

KLUCZ ZAGŁADY

JAMES ROLLINS



ROLLINS JAMES

Sigma #6 Klucz zaglady

JAMES ROLLINS

Sigma 06

Tytuł oryginalny: The Doomsday Key

Przełożył Paweł Wieczorek

Wydanie I Wydawca: Albatros 2010



Dla Mamy Z całą miłością

Podziękowania

Wszyscy autorzy potrzebują wsparcia. Bez mocnego gruntu pod nogami nie byłoby na czym budować. Nie jestem pod tym względem wyjątkiem. Chciałbym skorzystać z okazji i podziękować tym, którzy w ostatnich latach udzielali mi tego wsparcia.

Przede wszystkim chciałbym wyrazić podziękowania grupie moich krytyków, których uwagi pozwalają mi zachować szczerłość. Należą do niej: Penny Hill, Judy Prey, Dave Murray, Caroline Williams, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O'Riva, Sally Barnes, Denny Grayson, Leonard Little, Kathy L'Ecluse oraz Scott Smith. Podziękowania należą się też Steve'owi Preyowi – za ogromną pomoc przy sporządzaniu map i rysunków. A także Carolyn McCray i Davidowi Sylvianowi – którzy pomogli mi przejść przez wszystkie trudności. Za liczne lata dostarczania fascynujących opowieści szczególne podziękowanie składam Cherei McCarter. Chcę też podziękować Steve'owi Berry'emu za rady dotyczące kilku kluczowych zwrotów akcji – Steve jest wspaniałym pisarzem i jeszcze wspanialszym przyjacielem. Wielkie podziękowania należą się również mojej redaktor Lyssie Keusch i jej koleżance Wendy Lee oraz moim agentom – Russowi Galenowi i Danny'emu Barorowi. To właśnie oni byli fundamentem tej książki. I jak zawsze podkreślam, ponoszę odpowiedzialność za wszelkie błędy dotyczące faktów i detali, które mogły pojawić się w tym tekście.

Europa północna i koło podbiegunowe



Skarbiec nasion na Svalbardzie

D i Dg i d cpudotn

l7LhIkJlfl

Komentarz historyczny

W XI wieku Wilhelm Zdobywca nakazał przeprowadzenie kompleksowego przeglądu gruntów, budynków i pogłowia trzody oraz ludności Anglii, którą podbił. Wyniki zapisywano w wielkiej księdze katastralnej zatytułowanej *Domesday Book* – co można tłumaczyć jako „Księga obrachunku” albo „Księga zliczania”. Zawarte w niej informacje są jednym z najbardziej szczegółowych opisów życia w średniowieczu. Większość historyków uważa, że spis powszechny przeprowadzono po to, aby nałożyć na ludność odpowiednie podatki, nie jest to jednak do końca pewne. Procedurę tę do dziś otacza wiele tajemnic – nie wiadomo na przykład, dlaczego spis przeprowadzono tak szybko i dlaczego niektóre miejscowości zostały z niewiadomych powodów opatrzone łacińskim słowem oznaczającym: „spustoszone”. Niezwykłość tego przeglądu sprawiła, że ówcześni ludzie nadali tej księdze tytuł *Doomsday Book* – „Księga Dnia Sądu Ostatecznego”.

W XII wieku Mael Maedoc, irlandzki katolicki duchowny i przyszły święty Malachiasz, udał się w pielgrzymkę do Włoch. Kiedy ujrzał Rzym, padł na kolana i ukazało mu się stu dwunastu przyszłych papieży – aż po współczesnego mu Innocentego II i dzień Sądu Ostatecznego. Spisał ich wszystkich, używając kodu, i księga została przekazana do archiwów Watykanu. W którymś momencie zniknęła i pojawiła się ponownie w XVI wieku. Niektórzy historycy przypuszczają, że odnaleziona księga jest fałszerstwem, nie to jednak było najważniejsze – ale

to, że charakterystyki kolejnych papieży, aż po dzisiejszą głowę Kościoła katolickiego, Benedykta XVI, okazywały się dziwnie trafne. W proroctwie świętego Malachiasza obecny papież jest określany jako *Gloria Olivae* – Chwała Oliwki. Symbolem zakonu benedyktynów, od którego papież przyjął imię, jest gałązka oliwna. Najbardziej niepokojące było jednak to, że Benedykt XVI jest sto jedenastym papieżem, a wedle proroctwa świat ma się skończyć podczas panowania następnego.

Komentarz naukowy

W latach 2006 – 2008 w Stanach Zjednoczonych (a także w części Europy i Kanady) zniknęła jedna trzecia pszczół miodnych. Stwierdzono, że znakomicie prosperujące ule opustoszały – pszczoły po prostu odleciały i nie wróciły. Zjawisko to nazwano destrukcyjnym załamaniem kolonii. Tajemnicze masowe ginięcie pszczół było tematem wielu sensacyjnych artykułów. Co tak naprawdę przydarzyło się tym pracowitym owadom?

Odpowiedź na to pytanie znajduje się na stronach tej książki – i jest prawdziwa.

W czasie najgorszego prześladowania świętego Kościoła rzymskokatolickiego na tronie zasiądzie Piotr Rzymianin, który będzie paść swe owce w wielkim trudzie i cierpieniach, po czym miasto siedmiu wzgórz zostanie zniszczone i straszny Sędzia osądzi swój lud.

PROROCTWO ŚWIĘTEGO

MALACHIASZA, 1139

Szybkość wzrostu liczby ludzkości jest znacznie większa aniżeli zdolność ziemi do produkowania środków utrzymania.

THOMAS MALTHUS,

Traktat *PRAWO LUDNOŚCI*, 1798

(tłum. K. Stein)

Kupować należy wtedy, kiedy ulicami płynie krew.

BARON NATHAN ROTHSCHILD, NAJBOGATSZY CZŁOWIEK XIX WIEKU

Wiosna 1086 roku

Anglia

Pierwszym znakiem były kruki.

Kiedy wóz zaczął zjeżdżać pełną kolein drogą prowadzącą między falującymi polami jęczmienia, stado kruków wzleciało za nim w powietrze, tworząc czarną chmurę. Ptaki wzbiły się wysoko w błękit poranka, nie była to jednak zwykła ucieczka przestraszonej gromady. Kruki kołowały i pikowały, niektóre nagle zamierały jak postrzelone, inne wściekle łopotały skrzydłami. Wpadały jeden na drugiego i spadały jak kamienie. Małe korpusy uderzały o drogę, ptaki łamały sobie skrzydła i szyje. Podrygiwały w koleinach w drgawkach agonii, a ich skrzydła bezsilnie biły powietrze.

Najbardziej przerażająca była jednak panująca wokół cisza.

Żadnego krakania czy skrzeczenia.

Jedynie wściekle bicie skrzydłami – a potem miękkie uderzenia małych ciał o ubitą ziemię i pokruszone kamienie.

Woźnica przeżegnał się i ściągnął lejce, zamierzając zwolnić. Spod ciężkich powiek obserwował niebo. Koń szarpnął łbem i parsknął w chłodne poranne powietrze.

–Jedź dalej – powiedział siedzący na wozie urzędnik.

Martin Borr był najmłodszym z królewskich kornerów, rozesłanych po kraju przez króla

Wilhelma Pierwszego.

Owinął się ciasniej grubym płaszczem i przypomniał sobie treść wiadomości, zabezpieczonej woskiem, w którym odcisnięta była wielka pieczęć. Królewscy wysłannicy mieli przeprowadzić szczegółowe zliczenie ziem w całym państwie. Wszystkie dane były zapisywane sekretnym kodem po łacinie w ogromnej księdze zwanej *Domesday Book* - „Księgą zliczania”. Spis przeprowadzano w celu określenia wysokości podatków należnych królowi.

A przynajmniej tak mówiono.

Niektórzy podejrzewali, że istnieje jeszcze jeden powód tak dokładnego przeglądu ziem. Porównywali oni „Księgę zliczania” do biblijnego opisu Sądu Ostatecznego, do „Księgi życia”, w której Bóg zapisuje czyny każdego człowieka, i wkrótce wynik wielkiego przeglądu zaczęto nazywać *Doomsday Book* - „Księgą Dnia Sądu Ostatecznego”.

Było to bliższe prawdy, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Martin czytał królewski edykt i wyobrażał sobie skrybę, starannie przepisującego do wielkiej księgi zebrane przez kornerów dane. Widział, jak pisarz przy nazwach wielu miejscowości wpisuje słowo *vastare* – spustoszone.

Informowało ono, że okolica została spustoszona w wyniku wojny albo grabieży, ale dwa wpisy dokonano czerwonym atramentem. Jeden dotyczył wyspy leżącej między wybrzeżami Irlandii i Anglii. Martin udawał się do drugiego miejsca – na polecenie króla miał przeprowadzić dochodzenie na miejscu. Złożył przysięgę o zachowaniu tajemnicy i przydzielono mu do pomocy trzech ludzi, którzy jechali za wozem na koniach.

Siedzący obok Martina woźnica szarpnął lejcami i zachęcił konia – potężnego kasztana – do przyspieszenia kroku. Kiedy jechali, koła wozu najeżdżały na wijące się na drodze kruki, miażdżąc kości i rozpryskując krew.

W końcu wóz wjechał na szczyt wzgórza i w dole ukazała się zielona dolina. Pośrodku niej znajdowała się wioska – z jednej strony ograniczał ją kamienny dwór, z drugiej kościół ze spiczastą wieżą. Pozostałe chaty i jednoizbowe domy, kryte strzechami, przypominały niskie stodoły. Wokół nich rozrzucone były owczarnie i gołębniki.

–To przekłete miejsce, milordzie – powiedział woźnica. – Zapamiętaj moje słowa, panie. To nie zaraza nawiedziła tę wioskę.

–Przybyliśmy tu właśnie po to, aby zbadać tę sprawę.

W pewnej odległości od wioski stroma droga została zablokowana przez królewskie wojsko. Nikt nie miał prawa przejść przez blokadę, nie powstrzymało to jednak rozprzestrzeniania się plotek o dziwnych zgonach.

–Przeklęte miejsce... – ponownie mruknął pod nosem woźnica, kierując wóz ku wiosce. – Słyszałem, że kiedyś te ziemie należały do Celtów. W lasach wysoko na wzgórzach ciągle jeszcze można znaleźć ich święte kamienie.

Żyłaste ramię woźnicy wyciągnęło się w stronę drzew, które porastały zbocza wznoszących się wysoko w niebo wzgórz. Unosiła się nad nimi mgła, zmieniając zieleń koron w ponurą paletę szarych i czarnych cieni.

–Proszę mi wierzyć, milordzie, oni przeklęli to miejsce. Sprowadzają nieszczęście na wszystkich, którzy noszą krzyż.

Martin Borr nie uznawał tego typu przesądów. Miał trzydzieści dwa lata i pobierał nauki u wybitnych uczonych z całej Europy. Przybył do tego miejsca, aby odkryć prawdę.

Odwrócił się i machnął na jeźdźców, aby go wyprzedzili, i cała trójka ruszyła cwałem w stronę wioski. Każdy znał swoje zadanie. Martin kazał woźnicy zwolnić i uważnie obserwował wszystko, co mijali. Leżąca w znajdującej się wysoko dolinie, odizolowana od świata wioska nazywała się Highglen i była znana w okolicy z wyrobów garncarskich.

Używano do nich gliny wykopywanej w pobliżu gorących źródeł, które były jedną z przyczyn gromadzenia się wilgoci w powietrzu i powodującego zbieranie się mgieł w wyżej położonych lasach. Mówiono, że stosowane w wiosce metody wypalania oraz skład gliny wykorzystywanej do wyrabiania naczyń są ściśle strzeżonymi tajemnicami, znanymi jedynie członkom miejscowego cechu.

Teraz ta wiedza została stracona na zawsze.

Wóz turlał się w dół doliny, mijając pola żyta i owsa, zagony fasoli i warzyw. Na niektórych polach widać było ślady niedawnych zbiorów, inne zostały spalone.

Czyżby wieśniacy zaczęli coś podejrzewać?

Po chwili ukazały się zagrody dla owiec otoczone wysokimi żywopłotami, które nie pozwalały zobaczyć, co się dzieje w ich wnętrzu. Na zarośniętych łąkach leżały setki wzdętych owczych trucheł. Bliżej wsi widać było także świnie i kozy z rozrzuconymi na boki kończynami i zapadniętymi ślepiami. W głębi pola zwałił się na ziemię potężny wół, ciągle jeszcze przywiązany do palika.

Kiedy wóz dotarł do pierwszych chat wioski, nie przywitał go żaden dźwięk. Nie zaszczekał pies, nie zapiał kogut, nie zarżał osioł. Nie zadzwonił kościelny dzwon i nikt nie krzyknął do wjeżdżających między domy obcych.

Całą okolicę przygniatała ciężka cisza.

Prawdopodobnie większość mieszkańców wioski umarła w domach – byli zbyt słabi, aby wyjść

na zewnątrz. Ale jeden z nich upadł twarzą do dołu tuż przy kamiennych frontowych schodach rezydencji. Leżący z rozrzuconymi na boki ramionami człowiek wyglądał, jakby potknął się na schodach i skręcił sobie kark. Nawet jednak z kozła wozu widać było, jak bardzo jest wychudzony – podobnie jak zwierzęta, które zdechły na polach. Można by pomyśleć, że wioskę bardzo długo oblegano i wzięto ją głodem.

Do wozu podjechał na koniu wysoki, pokryty bliznami mężczyzna. Miał na imię Reginald i był królewskim nadzorcą.

–Spichlerze są pełne – powiedział, wycierając dłonie w spodnie. – A w śmietnikach widziałem szczury i myszy.

Martin popatrzył na niego.

–Martwe jak wszystko inne – mruknął Reginald. – Tak samo jak na tamtej przeklętej wyspie.

–Ale teraz spustoszenie dotarło do naszych wybrzeży – stwierdził Martin. – Wkroczyło na nasze ziemie.

Właśnie dlatego ich tu przysłano, dlatego droga do wioski była zablokowana i dlatego musieli przysiąc, że zachowają tajemnicę.

–Girard znalazł ci dobre ciało, panie – oświadczył Reginald. – Świeższe niż pozostałe. Chłopiec mógł mieć jakieś osiem lub dziewięć lat. Zaniósł go do kowala – dodał, wskazując drewnianą szopę z kamiennym kominem.

Martin kiwnął głową i zszedł z wozu. Musiał się upewnić, a mógł to zrobić tylko w jeden sposób. Był to jego obowiązek – miał dowiedzieć się od zmarłych prawdy. Ale tym razem zamierzał pozostawić najbardziej krwawą część roboty francuskiemu rzeźnikowi.

Ruszył w kierunku otwartych drzwi kuźni. Girard był w środku, stał zgarbiony nad wygasłym paleniskiem. Służył w armii Wilhelma, amputując kończyny i próbując utrzymać rannych żołnierzy przy życiu.

Oczyścił już stojący pośrodku kuźni stół, rozebrał chłopca i przywiązał go do blatu. Martin popatrzył na blade, wychudzone ciało. Jego syn był mniej więcej w tym samym wieku, ale śmierć postarzyła leżącego na stole biedaka.

Kiedy Girard przygotowywał noże, Martin ścisnął czubkami palców skórę chłopca i stwierdził, że pod spodem w ogóle nie ma tłuszczu. Zbadał spękane wargi, łyse placki na głowie, opuchnięte pęciny i stopy, a potem przeciągnął dłońmi po wystających kościach.

Co tu się stało?

Zdawał sobie sprawę, że odpowiedź na to pytanie jest ukryta znacznie głębiej.

Girard podszedł do stołu z długim srebrnym nożem w dłoni.

–Będziemy zaczynać, *monsieur*?

Martin kiwnął głową.

Kwadrans później zwłoki chłopca przypominały wypatroszoną świnię. Skóra, rozplątana od krocza po gardło, została odciągnięta na boki i przybita do drewnianego stołu. Ciasno splecione wnętrzności leżały w zakrwawionej jamie brzusznej, wzdęte i różowe. Spod żeber wysuwała się na zewnątrz brązowożółta wątroba, zbyt duża jak na takie małe, wychudzone ciało.

Girard sięgnął do jamy brzusznej, a stojący po drugiej stronie stołu Martin dotknął czoła i bezgłośnie poprosił chłopca o wybaczenie. Ale było już za późno, aby chłopiec mógł mu udzielić rozgrzeszenia.

Francuz wyciągnął gumowaty biały żołądek, z którego zwisała wzdęta śledziona. Kilkoma cięciami oddzielił go od niej i położył na stole. Kolejnym ruchem ostrza otworzył żołądek i na blat – niczym z rogu obfitości – wylała się cuchnąca ciemnozielona masa nieprzetrawionego jedzenia.

Martin zakrył usta nie z powodu smrodu, ale przerażającej pewności.

–Umarł z głodu, to jasne – stwierdził Girard. – Tyle że z pełnym żołądkiem.

Martin cofnął się. Dla uzyskania ostatecznej pewności będą musieli zbadać jeszcze inne ciała, ale wszystko wskazywało na to, że śmierć tutejszych wieśniaków spowodowało to samo, co zabiło mieszkańców wyspy – drugim miejscu oznaczonym w „Księdze zliczania” czerwonym atramentem jako „spustoszone”.

Popatrzył na ciało chłopca. Musieli zlokalizować plagę, która wtargnęła do ich ojczyzny, i zadeptać ją, zanim zdąży się rozpowszechnić. Zmarłych w wiosce dopadło to samo co wyspiarzy: jedli i jedli, a mimo to umierali z głodu; zamiast się nasycić, chudli.

Poczuł, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Odwrócił się i wyszedł z cienia na słońce. Zapatrzył się na pofałdowane wzgórza pokryte bujną roślinnością. W dół zboczy spłynął wiatr, przeczesując pola jęczmienia, owsa, pszenicy i żyta. Wyobraził sobie dryfującego po oceanie człowieka, umierającego z pragnienia, otoczonego zewsząd wodą, której nie można pić.

Niczym się to nie różniło od sytuacji, jaką zastali w wiosce.

Martin zadrżał – miał ochotę znaleźć się jak najdalej od tej doliny. Nagle jego uwagę zwrócił krzyk, który rozległ się po jego prawej stronie. Przed otwartymi drzwiami jakiegoś budynku stała ubrana na czarno postać. Martin pomyślał, że widzi śmierć we własnej osobie, ale po chwili

postać zamachała ręką, rozwiewając iluzję.

Był to opat Orren, ostatni członek ich grupy, głowa opactwa Kells w Irlandii. Stał obok wejścia do kościoła.

–Chodź to zobaczyć, panie! – zawołał.

Martin na niepewnych nogach ruszył w jego stronę. Nie miał ochoty wracać do kuźni, wołał zostawić martwego chłopca z Francuzem. Przeszedł przez łąkę, wspiął się na schody i dołączył do mnicha.

–O co chodzi? – zapytał.

Orren odwrócił się na pięcie i ruszył ku wejściu do kościoła.

–Jak można bezcześcić to miejsce w taki sposób! wyrzucił z siebie. – Nic dziwnego, że wszystkich pokarała śmierć.

Martin szedł szybkim krokiem za opatem. Mnich był chudy jak szkielet i w swoim zbyt dużym habicie tak też wyglądał. Jako jedyny z nich wszystkich odwiedził wyspę u wybrzeży Irlandii i widział, co się stało z jej mieszkańcami.

–Znalazłeś to, czego szukałeś? – spytał Martin.

Opat bez słowa wszedł do środka prymitywnej budowli, więc Martin ruszył za nim. Wnętrze kościoła było ponure i mroczne, brakowało ławek, a klepisko pod stopami pokryto

sitowiem. Jedynym źródłem światła były dwa wysoko umieszczone w tylnej ścianie budynku okienka – dwa wąskie pasma zakurzonego powietrza padały na ołtarz wykonany z pojedynczej kamiennej płyty. Wcześniej musiała go przykrywać płachta materiału, została jednak zerwana i rzucona na podłogę – prawdopodobnie przez opata.

Orren podszedł do ołtarza i wskazał nagi kamień. Jego ramiona drżały ze wzburzenia.

–To bluźnierstwo wyryć te barbarzyńskie symbole w domu Pana naszego!

Martin podszedł bliżej i pochylił się nad ołtarzem. Na powierzchni kamienia wyryte były spirale, okręgi i symbole przypominające węzły.

–Dlaczego ci ludzie popełnili tak wielki grzech? – zapytał mnich.

–Nie sądzę, aby zrobili to mieszkańcy Highglen – odparł Martin.

Przeciagnał dłonią po ołtarzu. Czuł pod palcami, że wyryte w kamieniu znaki są mocno zwietrzałe. Musiały być bardzo stare. Przypomnił sobie słowa woźnicy, że to miejsce miało szczególne znaczenie dla starożytnych Celtów, którzy w tutejszych lasach zostawili swoje

gigantyczne święte kamienie.

Wyprostował się. Jeden z tych kamieni musiał zostać przywieziony do Highglen i użyty do budowy ołtarza w wiejskim kościele.

–Jeżeli nie zrobili tego tutejsi ludzie, jak to wyjaśnisz, panie? – spytał opat.

Podszedł do ściany za ołtarzem i zatoczył ramieniem łuk, wskazując znajdujący się na niej wielki znak. Musiano go namalować całkiem niedawno, a sądząc po czerwono-brązowym kolorze, prawdopodobnie wykonano go krwią. Był to okrąg przecięty krzyżem.

Martin widywał podobne symbole na nagrobkach i w starożytnych ruinach.

Był to święty znak celtyckich kapłanów.

–Pogański krzyż – mruknął.

–Taki sam namalowano na drzwiach wszystkich domów na wyspie – powiedział opat.

–Ale co ten krzyż może oznaczać?

Opat dotknął srebrnego krucyfiks na swojej szyi.

–Jest tak, jak obawiał się król... Węże, które nękały Irlandię i zostały wypędzone przez świętego Patryka, przybyły teraz do tych wybrzeży.

Martin wiedział, że opat nie ma na myśli węży żyjących na polach, ale pogańskich kapłanów, którzy mieli laski z pozwijanych jak węże gałęzi – druidzkich przywódców starożytnych Celtów.

Wprawdzie święty Patryk nawrócił większość pogan w Irlandii, a resztę wypędził, było to jednak sześć wieków temu.

Martin odwrócił się i wyjrzał przez otwarte drzwi kościoła. W głowie huczały mu słowa Girarda: „Umarł z głodu... z pełnym żołądkiem”.

Nie miało to żadnego sensu.

–To wszystko trzeba spalić – stwierdził stojący za jego plecami opat. – A ziemię posypać solą.

Martin kiwnął głową jednak w jego sercu zaczął narastać niepokój. Czy jakkolwiek ogień potrafi zniszczyć to, co dokonało tutaj takiego spustoszenia? Miał co do tego wątpliwości, ale jednego był pewien.

Ich problem nie został jeszcze rozwiązany.

Czasy współczesne

8 października, godz. 23. 55 Watykan

Ojciec Marco Giovanni ukrywał się w ciemnym kamiennym lesie.

Potężne marmurowe kolumny podtrzymywały kopułę Bazyliki Świętego Piotra i dzieliły jej wnętrze na kaplice, krypty i wnęki. Świątynię wypełniały dzieła wielkich mistrzów: *Pieta* Michała Anioła, baldachim nad grobem świętego Piotra wykonany przez Berniniego, figura świętego Piotra na tronie.

Marco wiedział, że nie jest w tym kamiennym lesie sam. Czyhał tu na niego myśliwy – prawdopodobnie gdzieś w głębi budynku.

Przed trzema godzinami otrzymał wiadomość od kolegi archeologa, który również służył Kościołowi, swojego byłego mentora na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Dokładnie o północy mieli się spotkać w bazylice.

Okazało się to jednak pułapką.

Oparty plecami o kolumnę Marco przyciskał prawą dłoń do rany pod lewą pachą, próbując powstrzymać krwawienie. Jego bok był rozplątany aż do żeber i po palcach sphywała gorąca krew. W lewej dłoni trzymał starożytną skórzaną sakiewkę nie większą od portmonetki. Ścisnął ją tak mocno, jakby od tego zależało jego życie.

Kiedy się nieco przesunął, aby spojrzeć w głąb nawy, krew pociekła obficie i spryskała marmurową podłogę. Jeśli szybko czegoś nie postanowi, osłabnie tak bardzo, że nie będzie mógł iść. Z bezgłośną modlitwą na ustach odepchnął się od kolumny i ruszył ciemną nawą w kierunku papieskiego ołtarza. Każdy krok był jak nowe dźgnięcie w bok. Nie został jednak uderzony nożem, lecz strzałą – po zranieniu go wbiła się w jedną z sąsiednich kościelnych ławek. Była krótka, masywna i czarna. Stalowy bełt kuszy. Marco dobrze mu się przyjrzał ze swojej kryjówki. Palila się na nim mała czerwona dioda, która wyglądała w ciemności jak płonące oko.

Szedł szybkim krokiem, starając się jak najniżej trzymać głowę. Wiedział, że prawdopodobnie zginie, ale sakiewka, którą ścisnął w ręku, była ważniejsza od jego życia. Musi dotrzeć do wyjścia po przeciwległej stronie, znaleźć kogoś z żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej i przekazać wiadomość Stolicy Apostolskiej.

Zaczął biec, nie zważając na ból i strach.

Ołtarz papieski był dokładnie na wprost niego. Unoszący się nad nim zaprojektowany

przez Berniniego baldachim z brązu opiera się na czterech kolumnach o skręconych trzonach. Marco skierował się w lewo, ku nawie poprzecznej przecinającej nawę główną. Po chwili zobaczył monumentalny pomnik Aleksandra VII i znajdujące się obok drzwi.

Wyjście na Piazza Santa Marta.

Gdyby...

Uderzenie w brzuch odrzuciło go do tyłu.

Marco spojrzął w dół. Nie został trafiony pięścią. Z jego koszuli wystawał stalowy trzpień z plastikowymi piórami. Ból nadszedł sekundę później, rozchodząc się gwałtownie na wszystkie strony. Tak samo jak na poprzednim bełcie, także i na tym jarzyło się czerwone oko. Dioda była umieszczona pośrodku sześcianu znajdującego się przy tępych końcu strzały.

Marco zatoczył się do tyłu. Cienie przy drzwiach przesunęły się i ukazały postać w wielobarwnym stroju żołnierza Gwardii Szwajcarskiej – z pewnością był to przebrany napastnik. Skrytobójca opuścił kuszę i wyszedł z osłoniętego przejścia, w którym czekał na swoją ofiarę.

Marco wrócił do ołtarza, zamierzając uciec główną nawą, ale ujrzał w niej kolejnego mężczyznę w mundurze szwajcara, który pochylił się nad ławką i wyszarpnął z niej bełt.

Przerażony Marco odwrócił się w stronę prawego transeptu, jednak i tym razem jego plany zostały pokrzyżowane – z cienia konfesjonału wyszła trzecia postać i uniosła kuszę.

Został złapany w pułapkę.

Bazylika była zbudowana na planie krzyża, a trzy jego ramiona zostały zablokowane przez skrytobójców. Marco mógł jedynie pobiec w stronę apsydy, stanowiącej trzon krzyża – ale był to ślepy zaułek.

Przed nim wznosił się ołtarz zwany katedrą Świętego Piotra – potężny złożony monument, otoczony świętymi i aniołami, w którego wnętrzu umieszczono drewniany tron, używany ponoć przez samego świętego Piotra. Powyżej znajdował się witraż przedstawiający Ducha Świętego jako gołębia.

Okno witrażowe było jednak zbyt wysoko.

Marco odwrócił się i rozejrzał. Z lewej miał grobowiec Urbana VIII. Nad marmurową płytą wznosiła się rzeźba przedstawiająca szkielet – było to wyobrażenie Ponurego Żniwiarza, przypominające człowiekowi jego ostateczne przeznaczenie.

–*Lilium et Rosa* - wyszeptał Marco po łacinie.

Lilia i róża.

W XII wieku irlandzkiemu świętemu o imieniu Malachiasz ukazali się wszyscy papieże – od współczesnych mu czasów aż do końca świata. Zgodnie z proroctwem miało ich

być stu dwunastu. Każdemu z nich Malachiasz przypisał tajemnicze określenie. Urbana VIII, który urodził się pięć wieków po jego śmierci, nazwał „lilią i różą”. Jak w przypadku wszystkich innych papieży, także i to proroctwo okazało się trafne: Urban VIII urodził się we Florencji, której herbem jest czerwona lilia.

Najbardziej niepokoiło jednak to, że obecny papież był na liście świętego Malachiasza przedostatni. Według przepowiedni następna głowa Kościoła katolickiego miała być świadkiem końca świata.

Do tej pory Marco nie wierzył w takie proroctwa – teraz jednak, ściskając w dłoni skózaną sakiewkę, zastanawiał się, jak blisko Armagedonu znalazła się ludzkość.

Usłyszał kolejne kroki – zbliżał się do niego jeden ze skrytobójców. Nie pozostało mu już zbyt wiele czasu.

Szybko zrobił to, co zaplanował. Przyciskając dłonią ranę, aby nie pozostawiać krwawych śladów, odszedł na bok, żeby schować to, co musiało zostać uratowane. Kiedy plan został wykonany, wrócił do apsydy, opadł na kolana i z rezygnacją czekał na śmierć. Kroki zbliżyły się do ołtarza i po chwili pojawiła się przed nim ciemna postać. Mężczyzna stanął i rozejrzał się.

Nie był to żaden z zabójców.

Nie był to także nikt obcy.

Kiedy Marco jęknął, zaskoczony mężczyzna znieruchomiał na moment, a potem szybko podszedł do niego.

–Marco?

Zbyt słaby, aby wstać, Marco mógł jedynie patrzeć na przybysza, zawieszony między nadzieją i podejrzeniem. Ale mężczyzna był wyraźnie zatroskany.

–*Monsignore Verona...* – wymamrotał Marco, odrzucając na bok podejrzenia. W głębi serca wiedział, że ten człowiek nigdy by go nie zdradził.

Uniósł ramię i wyciągnął w górę pustą dłoń. Drugą ręką ścisnął belt, tkwiący cały czas w jego brzuchu.

Kiedy błysnęło światelko, spojrział w dół. Czerwona dioda na belcie nagle zrobiła się zielona.

Nie...

Eksplozja rzuciła Marca kilka metrów do tyłu. Gdy sunął po marmurowej podłodze w smudze gęstego dymu, zostawiał za sobą szerokie pasmo krwi i wylewających się z brzucha wnętrzności. W końcu przewrócił się na bok u stóp ołtarza. Po raz ostatni spojrział na górujący

nad nim pozłacany monument.

Petrus Romanus.

Piotr Rzymianin.

Tak brzmiało ostatnie imię na proroczej liście świętego Malachiasza – imię następcy obecnego Ojca Świętego, który miał być ostatnim papieżem na świecie.

Ponieważ Marco zawiódł, nic już nie powstrzyma końca.

Przed oczami rannego zaczęła zapadać ciemność. Głuchł. Nie miał siły mówić. Leżał na boku i patrzył na grobowiec papieża Urbana VIII oraz wychodzący z płyty brązowy szkielet. Na jego kościstych palcach zawiesił sakiewkę, której tak długo pilnował. Miał przed oczami prastary znak wypalony na jej boku.

Był on jedyną nadzieją dla ludzkości.

Tracąc oddech, Marco modlił się, aby to wystarczyło.



CZĘŚĆ PIERWSZA

SPIRALA I KRZYŻ

Viatus

Wtorek, 5 maja - do natychmiastowej publikacji

VIATUS STAWIA SOBIE ZA CEL GLOBALNE ZABEZPIECZENIE ZASOBÓW ŻYWNOŚCI

OSLO, NORWEGIA (BUSINESS WIRE) – Viatus International, światowy lider na rynku wyrobów petrochemicznych, ogłosił w dniu dzisiejszym utworzenie Działu Badań i Rozwoju Biogenetyki Roślin Uprawnych.

„Zadaniem nowego działu jest opracowywanie technologii, które na tyle zwiększą wydajność upraw rolnych, że zostanie zaspokojony globalny popyt na żywność, pasze i paliwa – oświadczył Ivar Karlsen, dyrektor generalny korporacji Viatus. – Dzięki niemu będziemy mogli stawić czoła temu wyzwaniu, stworzyć rolniczy ekwiwalent projektu Manhattan”.

W ostatnich latach opatentowane przez korporację Viatus technologie z zakresu hybrydyzacji i transgeniki pozwoliły zwiększyć zbiory zbóż, kukurydzy i ryżu o 35 procent, a w ciągu kolejnych pięciu lat przewiduje się nawet ich podwojenie.

Karlsen wyjaśnił konieczność utworzenia nowego działu firmy podczas przemówienia, które wygłosił na Światowym Szczycie Żywnościowym w Buenos Aires. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia jedna trzecia światowej populacji głoduje. „Jesteśmy w globalnym kryzysie żywnościowym” – powiedział. „Większość cierpiących głód to mieszkańcy Trzeciego Świata. Zamieszki wywołane brakiem żywności obejmują coraz to nowe rejony świata i dodatkowo destabilizują niebezpieczne regiony”.

Stwierdził też, że należące do największych zagrożeń tysiąclecia niedobory żywnościowe są znacznie gorsze od problemów z niedoborem ropy naftowej i wody. „Zwiększenie produkcji żywności za pomocą nowych metod upraw i biotechnologii ma zasadnicze znaczenie zarówno z humanitarnego punktu widzenia, jak i ze względu na troskę o globalne bezpieczeństwo” – oświadczył.

Lider w zakresie innowacji rolniczych, Viatus International, ma siedzibę w Oslo i znajduje się na liście 100 największych firm świata opublikowanej przez czasopismo „Fortune”. Założona w 1802 roku firma Viatus dostarcza swoje produkty do 180 krajów

świata, poprawiając poziom życia ich mieszkańców. Na giełdzie nowojorskiej oznaczona jest symbolem VI. Nazwa Yiatus pochodzi od dwóch łacińskich słów: via – droga i vita – życie.

9 października, godz. 4.55 Mali,

Afryka Zachodnia

Z głębokiego jak otchłań snu wyrwała Jasona Gormana strzelanina. Potrzebował pół sekundy, aby przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Śniło mu się, że pływa w jeziorze na północ od Nowego Jorku, nad którym jego ojciec miał letni dom. Otaczająca połowe łożko moskitiera i chłód pustynnego przedświtów szybko przywołały go do rzeczywistości.

Dobiegające z zewnątrz krzyki przeraziły go.

Z łomoczącym sercem jednym ruchem nogi odrzucił prześcieradło i rozsunał moskitierę. W namiocie Czerwonego Krzyża było ciemno, ale migotanie za jedną z zewnętrznych płóciennych ścian świadczyło o tym, że gdzieś we wschodniej części obozu dla uchodźców coś się pali. Ogień musiał się szybko rozprzestrzeniać, bo po chwili czerwone plamki zatańczyły na wszystkich czterech ścianach namiotu.

Boże...

Dobrze wiedział, co się dzieje – poinformowano go o podobnych incydentach, zanim został wysłany do Afryki. W ubiegłym roku oddziały Tuaregów często atakowały obozy dla uchodźców i rabowały znajdującą się w nich żywność. Kiedy w Republice Mali ceny ryżu i kukurydzy trzykrotnie wzrosły, stolice państwa sparaliżowały rozruchy. W północnych dystryktach żywność była na wagę złota. Trzem milionom ludzi groził głód.

Właśnie dlatego Jason Gorman przybył do tego kraju.

Jego ojciec sponsorował finansowany przez korporację Viatus i nadzorowany przez biologów oraz biogenetyków z Uniwersytetu Cornella projekt eksperymentalnego gospodarstwa rolnego zajmującego sześćdziesiąt akrów na północ od obozu dla uchodźców. Na spalonych słońcem polach rosła genetycznie zmodyfikowana kukurydza. W ubiegłym tygodniu zebrano pierwsze plony, mimo że do podlewania upraw zużyto zaledwie jedną trzecią wykorzystywanej normalnie wody. Informacja o tym musiała dotrzeć do niepowołanych osób.

Jason bosko wyskoczył z namiotu. Miał na sobie bermudy w kolorze khaki i luźną koszulę, w których położył się wieczorem do łóżka. Jedynym źródłem światła były palące się

gdzieś na skraju obozu zabudowania.

Oznaczało to, że ktoś zniszczył generatory.

W ciemności głośnym echem odbijały się serie z broni maszynowej i krzyki. Dookoła kłębiły się cienie – byli to uciekający w panice uchodźcy. Wystrzały ze strzelb i serie z broni

maszynowej padały ze wszystkich stron, więc nikt nie wiedział, w którą stronę biec.

Ale Jason wiedział.

Krista na pewno jest w ośrodku badawczym. Poznał ją Stanach trzy miesiące temu – podczas odprawy prze wyjazdem, jednak dopiero miesiąc temu zaczęła dzielić z nim łóżko. Tej nocy spał sam, bo Krista zamierzała dokończyć oznaczanie DNA zebranej właśnie kukurydzy.

Musi do niej dotrzeć.

Biegając pod prąd, kierował się na północ obozu. Tak jak się obawiał, strzelanina i pożary były tam najintensywniejsze. Prawdopodobnie rebelianci zamierzali splądrować magazyny kukurydzy. Dopóki nikt nie będzie próbował ich powstrzymać, nikomu nic się nie stanie. Niech sobie zabierają tę kukurydzę. Kiedy opróżnią magazyny, znikną w ciemnościach tak samo szybko, jak się pojawili. I tak zamierzano zniszczyć zebrane plony. Dopóki nie zostaną zakończone dodatkowe badania, kukurydza nie mogła być przeznaczona do spożycia.

Jason skręcił za róg i potknął się o leżące między rozpadającymi się chatami ciało nastolatka z rozrzuconymi na boki rękami. Chłopak został zastrzelony i zdeptany. Jason odpełził od ciała, wstał i pobiegł dalej.

Po kolejnych stu metrach dotarł do północnego krańca obozu.

Wszędzie leżały trupy, w niektórych miejscach były ich całe sterty – mężczyźni razem z kobietami i dziećmi. Wiele ciał było przeciętych na pół seriami z broni maszynowej. Znajdujące się za tym polem śmierci blaszane baraki działu badawczego wyglądały jak zacumowane na zachodnioafrykańskiej sawannie ciemne statki. Nie paliły się w nich światła – jedynie wokół migotały płomienie.

Krista...

Jason zatrzymał się gwałtownie sparaliżowany przerażeniem. Chciał biec dalej, pokonać tchórzostwo, ale nie był w stanie się poruszyć. Do oczu napłynęły mu łzy rozpacz.

Za jego plecami rozległo się głośnie mechaniczne dumb-dumb-dumb. Odwrócił się i ujrzał dwa lecące nisko nad ziemią helikoptery, kierujące się prosto na obóz. Prawdopodobnie byli to żołnierze z pobliskiej bazy wojskowej. Viatus International nie liczyła się z kosztami, kiedy chodziło o zapewnienie bezpieczeństwa pracownikom firmy.

Jason odetchnął z ulgą. Helikoptery na pewno odpędzą rebeliantów. Nieco

uspokojony, ruszył przez pole, ale w dalszym ciągu biegł mocno pochylony. Jego celem był znajdujący się nie więcej niż sto metrów od niego blaszany barak. Ukryje się tam w głębokim cieniu – laboratorium było w sąsiednim baraku.

Modlił się, żeby Krista nigdzie nie wychodziła.

Kiedy dotarł do tylnej ściany baraku, za jego plecami rozbłysło jaskrawe światło. Umocowany na dziobie prowadzącego helikoptera reflektor zaczął przeszukiwać teren obozu.

To powinno odstraszyć rebeliantów.

Nagle z obu stron helikoptera wystrzeliły jężory ognia z karabinów maszynowych i na obóz poleciał grad pocisków. Jasonowi krew zastygła w żyłach. Nie było to uderzenie mające przepłoszyć rebeliantów. Ktoś zamierzał zniszczyć cały obóz.

Drugi helikopter zatoczył łuk w bok, kierując się ku obrzeżom obozu. Po chwili otworzył się właz z tyłu kadłuba i zaczęły z niego wypadać beczki, które wybuchały w chwili zetknięcia się z ziemią. Wysoko w niebo wystrzeliwały jężory płomieni, a krzyki jeszcze bardziej się nasiliły. Jason ujrzał biegnącego w stronę pustyni płonącego jak pochodnia nagiego człowieka. Ogień szybko się rozprzestrzeniał i dochodził już do blaszanego baraku.

Jason odwrócił się i minął go biegiem.

Przed nim znajdowało się pole i magazyny ziarna, nie mógłby jednak znaleźć tam bezpiecznej kryjówki, bo z przeciwległego krańca pola nadbiegały już ciemne postacie.

Aby dotrzeć do laboratorium Kristy, musiał zaryzykować bieg przez otwarty teren. Okna baraku były ciemne, a jedyne wejście skierowane na otwartą przestrzeń.

Stał przez chwilę w miejscu, próbując się uspokoić. Jeden krótki sprint i mógł znaleźć się w środku. Zanim zdążył się ruszyć, po drugiej stronie pola buchnęły płomienie. Między rzędami kukurydzy szli mężczyźni z miotaczami płomieni, paląc wszystko, czego jeszcze nie zdążono zebrać.

Co się działo?

Z prawej strony eksplodowała wieża, w której znajdował się spichlerz, i wysoko w niebo wystrzelił wirujący płomień. Mimo szoku Jasonowi udało się wykorzystać tę chwilę – kilkoma susami podbiegł do otwartych drzwi baraku i zanurkował do środka.

Pomieszczenie sprawiało wrażenie nienaruszonego. W tylnej części baraku trzymano przyrządy i instrumenty używane podczas badań genetycznych i biologicznych: mikroskopy, wirówki, inkubatory, termocyklery, urządzenia do elektroforezy gazowej. Z prawej strony znajdowały się boksy z laptopami, sprzętem do łączności satelitarnej oraz generatorami.

Na jednym ze stołów świecił ekran laptopa, wyraźnie widoczny w ciemności, mimo że był wygaszony. Znajdował się w boksie Kristy, ale jej samej nigdzie nie było widać.

Jason podbiegł do laptopa, przeciągnął kciukiem po panelu dotykowym i na ekranie pojawiło

się okno programu pocztowego.

Rozejrzał się po baraku.

Krista musiała uciec, ale dokąd?

Wszedł na swoje konto e-mailowe i wpisał adres biura ojca w waszyngtońskim Capitol Hill. Wstrzymując oddech i szybko stukając w klawisze, w kilku krótkich zdaniach opisał atak na obóz. Zanim wysłał wiadomość, pomyślał, że mógłby dołączyć do niej pliki Kristy, które znajdowały się na ekranie. Przeciągnął je, dodał do e-maila i wcisnął „wyślij”. Krista na pewno też by nie chciała, aby dane zostały utracone.

Załącznik był dość obszerny, więc cała operacja prawdopodobnie potrwa jakąś minutę. Jason nie mógł czekać – mógł tylko mieć nadzieję, że bateria laptopa wytrzyma jeszcze trochę i pliki zostaną wysłane.

Ruszył do drzwi. Nie miał pojęcia, gdzie mogła ukryć się jego dziewczyna. Może udało jej się dostać na pustynię, poza obręb obozu. Zamierzał zrobić to samo. Pustynia stanowiła istny labirynt żlebów i wyschniętych koryt strumieni i w razie potrzeby można się tam było ukrywać przez wiele dni.

Kiedy był już przy drzwiach, stanęła w nich ciemna postać i zablokowała wyjście. Jason cofnął się z głośnym westchnieniem.

Postać weszła do środka i zatrzymała się zaskoczona.

–Jase?

Jasona ogarnęła fala ulgi.

–Krista...

Podbiegł do niej, szeroko rozkładając ramiona. Mogli uciec razem.

–Jason, dzięki Bogu...

Czuł nie mniejszą ulgę niż ona – jednak tylko do chwili, gdy uniosła pistolet i strzeliła mu trzy razy prosto w pierś. Uderzenia pocisków były jak ciosy zawodowego boksera; odrzuciło go do tyłu i cisnęło na podłogę. Poczul ostry ból który sprawił, że noc wokół wydała się jeszcze ciemniejsza. Wystrzały, wybuchy i krzyki dochodziły do niego jak zza warstwy mgły.

Krista pochyliła się nad nim.

–Twój namiot był pusty – powiedziała. – Obawialiśmy się, że uciekłeś.

Jason zakaszłał, nie mogąc mówić. Krew wypełniała mu usta.

Nie przejmując się jego milczeniem, dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się na ułamek sekundy w otwartych drzwiach, a potem zniknęła w mroku.

Jason próbował pojąć, co się stało.

Dlaczego...

Kiedy zaczęła ogarniać go ciemność, nadal nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie. Usłyszał jednak, że laptop w boksie obok brzęknął cicho.

Wiadomość została wysłana.

10 października, godz. 7.04

Las księcia Williama Wirginia

Pochylony nad kierownicą motocykla komandor Grayson Pierce wszedł w ostry zakręt. Całe jego mające ponad metr osiemdziesiąt trzy centymetry ciało położyło się wraz z motocyklem na bok tak nisko, że omal nie przejechał kolanem po asfalcie.

Kiedy dodał gazu i wyprostował maszynę, silnik ryknął. Cel pościgu znajdował się pięćdziesiąt metrów przed nim – jechał na nieco mniejszej hondzie CBR. Gray ścigał go na yamasze V-Max. Obie maszyny miały czterocyldrowe silniki, ale yamaha była większa i cięższa. Gray wiedział, że jeśli ma dopaść uciekiniera, będzie potrzebował wszystkich swoich umiejętności.

I może trochę szczęścia.

Dotarli do krótkiego prostego odcinka drogi prowadzącej przez Las księcia Williama. Po obu stronach dwupasmowej szosy ciągnęły się gęste szeregi drzew liściastych. Wysokie buki i osiki stanowiły wymarzoną scenerię krajoznawczej przejażdżki – zwłaszcza w październiku, kiedy liście zmieniały kolor. Niestety, nocna burza strąciła większość liści z drzew i zamieniła je w placki śliskiego błota.

Gray jeszcze mocniej przekręcił rączkę gazu i poczuł w kroczu kopnięcie przyspieszające maszyny. Lekko kołysząc się na boki, motocykl jak rakieta pomknął prostym odcinkiem drogi, a środkowy pas zamienił się w rozmazaną linię.

Uciekinier także wykorzystał łatwiejszy fragment drogi. Do tej pory Route 619 była wariackim szlakiem biegnącym wśród pofałdowanych wzgórz i pełnym ostrych, niebezpiecznych zakrętów. Trwająca ponad godzinę pogoń była brutalna, ale Gray nie mógł pozwolić przeciwnikowi uciec.

Kiedy drugi motocyklista zwolnił, aby pokonać kolejny zakręt, odległość między maszynami wyraźnie się zmniejszyła. Gray nie zamierzał odpuszczać. Może było to niezbyt bezpieczne, ale znał możliwości swojej yamaha. Zaraz po kupieniu motoru poprosił jednego z inżynierów DARPA – działu badawczo-rozwojowego Departamentu Obrony – aby dokonał w nim kilku modyfikacji.

Byli mu winni przysługę.

Zespół Graya – znany jako Sigma – był grupą uderzeniową DARPA. Składał się z byłych żołnierzy sił specjalnych, którzy po odejściu ze służby ukończyli różne uczelnie, aby móc działać jako agenci terenowi.

Jedną z modyfikacji był wbudowany w kask Graya wizjer przezierny. Świeące cyferki, pojawiające się na powierzchni przezroczystej owiewki kasku z lewej strony, informowały o prędkości, obrotach silnika, temperaturze oleju. Prawa strona owiewki była sprzężona z mapą nawigacyjną – wyświetlała optymalny dla danego odcinka drogi bieg i prędkość.

Kątem oka Gray zauważył, że igła tachometru wchodzi w czerwoną strefę. Cyferki zamigotały gwałtownie, co oznaczało, że zbliża się do zakrętu z nadmierną prędkością.

Ignorując ostrzeżenie komputera, Gray przez cały czas utrzymywał taką samą szybkość.

Dystans między obiema maszynami jeszcze bardziej się zmniejszył – dzieliło je teraz trzydzieści metrów.

Kierowca pierwszego motocykla położył maszynę na bok i z rykiem silnika wszedł w zakręt. Sekundę później Gray również się na nim znalazł. Próbował zyskać kolejny metr, zacieśniając skręt i niemal muskając środkową linię. Na szczęście o tak wczesnej godzinie na drodze nie było innych pojazdów.

Niestety, nie dało się tego samego powiedzieć o dzikich zwierzętach.

Tuż za zakrętem na poboczu siedziała niedźwiedzica z małym. Oba zwierzęta wyjadały coś z torby od McDonalda. Gdy pierwszy motocykl śmignął obok nich, matka wyprostowała się odruchowo, a małe zaczęło uciekać prosto na drogę.

Gray jeszcze bardziej położył motocykl, próbując ominąć zwierzę. Traśce o asfalt opony zaczęły dymić. Kiedy uderzył w miękkie, gliniaste pobocze po drugiej stronie jezdni, puścił motocykl i odepchnął się od niego nogami. Siła bezwładności sprawiła, że jeszcze kilka metrów sunął na plecach po mokrych liściach, a maszyna z łoskotem uderzyła w dąb.

Motocyklista zatrzymał się w kałuży i natychmiast przekręcił na bok. Zdążył jedynie dostrzec znikający między drzewami zad niedźwiedzicy, za którą posłusznie dreptało małe. Najwyraźniej zwierzęta miały już dość jedzenia resztek.

Po chwili ciszę zmaćił ryk szybko nadjeżdżającego motocykla.

Gray usiadł. Człowiek, którego ścigał, zawrócił i pędził w jego stronę.

Wspaniale...

Rozpiął paski kasku i ściągnął go z głowy.

Drugi motocyklista podjechał bliżej i ostro zahamował, unosząc przednie koło. Był niski, ale umięśniony jak pitbull. Kiedy się zatrzymał, także zdjął kask. Głowę miał ostrzyżoną do gołej skóry. Z niepokojem popatrzył na Gray a, marszcząc czoło.

–Jesteś cały?

Był to Monk Kokkalis, agent Sigmy i najlepszy przyjaciel Graya.

–Wszystko w porządku. Nie spodziewałem się na drodze niedźwiedzia.

–Kto by się spodziewał? – Monk uśmiechnął się szeroko, – oparł motocykl na nóżce i zsiadł. – Nie myśl tylko, że nasz zakład zostanie z tego powodu unieważniony. Przegrałeś, więc płacisz za kolację. Befszyki z polędwicy i najciemniejsze ale, jakie mają w restauracji nad jeziorem.

–W porządku, chyba jednak należy mi się rewanż. Te miśki to nieuczciwe fory.

–Fory? – Monk zdjął prawą rękawicę, odsłaniając protezę. – Nie mam dłoni. I sporej części pamięci długotrwałej. Przez rok byłem na chorobowym. Ale mi fory!

Wyciągnął do przyjaciela zaprojektowaną i wykonaną przez inżynierów DARPA protezę. Gdy komandor ją ujął, poczuł, jak chłodny plastik mocno chwyta jego dłoń. Tą protezą Monk mógł bez trudu zgniatać orzechy.

Kiedy Gray wstał i zaczął strząsać z kevlarowego kombinezonu liście, w kieszonce na jego piersi zadzwonił telefon. Wyjął go i sprawdził, kto dzwoni.

–Kwatera główna – powiedział do Monka i przyłożył telefon do ucha. – Komandor Pierce przy telefonie.

–Pierce? Najwyższy czas, żebyś odebrał. Dzwoniłem do ciebie cztery razy w ciągu minionej godziny. Mogę zapytać, co robisz w środku lasu w Wirginii?

Był to szef Graya, Painter Crowe, dowódca Sigmy.

Gray popatrzył na swój motocykl, jakby ten mógł mu podpowiedzieć jakieś rozsądne wyjaśnienie. Musiał go zdradzić zainstalowany w maszynie GPS.

Przez chwilę intensywnie myślał, ale nie umiał znaleźć żadnego logicznego usprawiedliwienia. Razem z Monkiem przyjechali z Waszyngtonu do Quantico, aby wziąć udział w konferencji FBI na temat bioterroryzmu. Był drugi dzień szkolenia i obaj uznali, że mogą się urwać z porannych wykładów.

–Niech zgadnę: postanowiliście się trochę przejechać – powiedział Painter Crowe.

–Panie dyrektorze...

–Pomogło Monkowi? – zapytał dyrektor nieco łagodniejszym tonem.

–Jak zwykle bez trudu domyślił się prawdy.

Gray popatrzył na przyjaciela. Monk stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Miniony rok nie był dla niego łatwy. Został bardzo brutalnie potraktowany w ośrodku badawczym wroga, gdzie usunięto mu fragment mózgu i wymazano część pamięci.

Podczas ostatnich dwóch miesięcy ponownie powoli aklimatyzował się w Sigmie, jednak zakres jego obowiązków mocno ograniczono. Siedział za biurkiem i otrzymywał jedynie łatwiejsze zadania, w dodatku tylko na terenie Stanów Zjednoczonych. Zbierał dane wywiadowcze i analizował materiały – często razem z żoną, kapitan Kat Bryant, która przeszła do Sigmy z wywiadu marynarki wojennej.

Gray wiedział, że Monk robi, co może, aby odzyskać życie, które mu skradziono. Wszyscy traktowali go, jakby był z porcelany, i zaczynał mieć już tego dość.

Dlatego właśnie Gray zaproponował mu wyścig przez park, który graniczył z rezerwatem korpusu piechoty morskiej w Quantico. Był to dobry sposób rozładowania napięcia i poprawienia nastroju.

Zakrył mikrofon dłonią i odwrócił się do Monka.

–Painter jest wkurzony – szepnął.

Monk uśmiechnął się szeroko.

Gray ponownie przyłożył telefon do ucha.

–Słyszałem to – oświadczył dyrektor. – Jeśli skończyliście się bawić, zapraszam dziś po południu do dowództwa Sigmy. Obu.

–Tak jest, dyrektorze. Mogę zapytać, o co chodzi?

Zapadła długa cisza, jakby Painter zastanawiał się, co odpowiedzieć.

–O pierwszego właściciela twojego motocykla – odparł w końcu nieco tajemniczo.

Gray popatrzył na rozbity pojazd. Natychmiast przypomniał sobie wieczór sprzed dwóch lat i ryk motocykla pędzącego z wyłączonymi światłami spokojną ulicą, prowadzonego przez śmiertelnie niebezpiecznego kierowcę – skrytobójczynię Seichan.

Przełknął ślinę.

–Co z nią? – zapytał.

–Powiem ci, kiedy się spotkamy – odparł Painter.

Godz. 13. 00

Waszyngton

Kilka godzin później wykąpany i przebrany w dżinsy i bawełnianą bluzę Gray siedział w pomieszczeniu nadzoru satelitarnego dowództwa Sigmy. Byli tu także Painter Crowe i

Monk Kokkalis. Ekran pokazywał cyfrową mapę, na której widoczna była skomplikowana linia prowadząca z Tajlandii do Włoch.

Trasa skrytobójczyni kończyła się w Wenecji.

Sigma śledziła ją od ponad roku, obecne miejsce pobytu obiektu wskazywał na monitorze mały czerwony trójkąt świecący pośrodku Wenecji. Widać było kręte uliczki, budynki i wijące się kanały z małymi prostokącikami przedstawiającymi gondole, znieruchomiałe w chwili zapisywania obrazu. Moment zapisu oraz przybliżona lokalizacja Seichan zostały podane w rogu monitora:

10:52:45 GMT OCT 9

SZER. 41°52'56, 97"N

DŁ. 12°29'5, 19"E

–Jak długo już tam siedzi? – spytał Gray.

–Ponad miesiąc.

Painter z wyraźnym zmęczeniem przecesał dłonią włosy i zmrużył oczy. Ostatni rok nie był dla niego najłatwiejszy. Spędzanie większości doby w biurze sprawiło, że był błądy i o jego indiańskim pochodzeniu świadczyły jedynie rysy twarzy oraz czarne włosy z pojedynczym jasnym pasmem wyglądającym jak śnieżnobiałe pióro.

Gray przyglądał się uważnie mapie.

–Wiemy, gdzie mieszka?

Painter pokręcił głową.

–Gdzieś w Santa Croce. To jedna z najstarszych dzielnic Wenecji, niezbyt atrakcyjna dla turystów. Labirynt mostów, zaułków i kanałów. Łatwo się tam ukryć.

Monk siedział nieco z boku i regulował styki swojej protezy.

–Dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie wybrała właśnie to?

Gray popatrzył na róg monitora, w którym umieszczono zdjęcie Seichan. Zbliżała się już do trzydziestki, a jej delikatne rysy, smągła skóra i pełne usta sugerowały mieszankę wietnamsko-europejską – prawdopodobnie francuską. Kiedy Gray spotkał ją po raz pierwszy przed trzema laty, omal go nie zabiła – strzałem prosto w pierś. Teraz też wyobrażał ją sobie w tym samym czarnym kombinezonie z golfem. Dobrze pamiętał jej szczupłe ciało, jednocześnie twarde jak skała i miękkie.

Kiedy została aresztowana i znajdowała się pod nadzorem armii amerykańskiej, pomógł jej opuścić szpital, splacając w ten sposób dług, który wobec niej zaciągnął, gdy uratowała mu życie.

Tak naprawdę jednak nadal ją kontrolowano.

Podczas zabiegu szef Graya kazał umieścić w brzuchu Seichan pasywne urządzenie namierzające. Był to warunek jej wypuszczenia – gwarancja, że przez cały czas będą mogli ją monitorować. Była zbyt ważna, aby pozwolili jej zniknąć bez śladu, zbyt blisko powiązana z organizacją terrorystyczną o nazwie Gildia. Nikt nie wiedział, kto pociąga w niej za sznurki –

wiadomo było jedynie, że ma swoich ludzi w wielu instytucjach na całym świecie.

Seichan twierdziła, że jest podwójnym agentem, którego zadaniem była infiltracja Gildii i odkrycie, kto naprawdę kieruje operacjami tej organizacji, nie przedstawiła jednak na to żadnych dowodów. Gray udał, że pozwala jej uciec, a wszczęte urządzenie namierzające miało umożliwić amerykańskim służbom wywiadowczym rozpracowanie Gildii.

Podejrzewał, że decyzja Seichan o ukryciu się w Wenecji, nie ma nic wspólnego z Gildią. Cały czas czuł na sobie badawczy wzrok Paintera Crowe'a – jego twarz nie zdradzała, o czym myśli, ale przenikliwe spojrzenie błękitnych jak lód oczu sugerowało, że to sprawdzian.

–Wraca na miejsce przestępstwa – powiedział.

–Nie bardzo rozumiem – stwierdził Monk.

Gray odwrócił się do mapy.

–W dzielnicy Santa Croce znajduje się część najstarszych budynków Uniwersytetu Weneckiego. Dwa lata temu Seichan zamordowała kuratora muzeum związanego z tym uniwersytetem. Zabiła go z zimną krwią. Twierdziła, że było to konieczne, aby ochronić jego rodzinę, żonę i córkę.

Painter potwierdził jego słowa kiwnięciem głowy i dodał:

–Obie mieszkają w tej dzielnicy. Mamy tam ludzi, którzy próbują zlokalizować Seichan, niestety urządzenie namierzające jest pasywne. Nie da się zawęzić miejsca jej pobytu do kwadratu mniejszego niż pięć kilometrów kwadratowych. Jeżeli się nie pokaże, będziemy musieli zacząć obserwować rodzinę kuratora.

Gray pamiętał napięcie na twarzy Seichan, kiedy próbowała usprawiedliwić popełnione z zimną krwią zabicie. Przypuszczał, że do Wenecji sprowadziła ją nie Gildia, lecz poczucie winy. A jeżeli się mylił? Jeśli to jakaś kolejna wyrafinowana sztuczka? Seichan była nie tylko bezlitosnym skrytobójcą, lecz także doskonałym strategiem.

Przyjrzał się jeszcze raz ekranowi.

Coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

–Dlaczego mi pan to pokazuje? – zapytał Paintera.

Sigma śledziła Seichan od ponad roku, skąd więc ten nagły pośpiech i wezwanie go do dowództwa?

–Dotarło do nas, że ponieważ podczas przebywania Seichan na wolności przez cały rok nie uzyskano od niej żadnych przydatnych informacji, szycy na górze straciły cierpliwość i

zarządziły jej natychmiastowe przejęcie. Ma zostać zawieszona do ośrodka przesłuchań w Bośni.

–Przecież to bezcelowe. Seichan nic nie powie. Śledzenie jej to nasza jedyna szansa dowiedzenia się czegokolwiek o Gildii.

–Ja też tak uważam, ale niestety jesteśmy odosobnieni. Gdyby DARPA w dalszym ciągu była pod dowództwem Seana...

Painter Crowe urwał, jakby go coś zabolalo. Doktor Sean McKnight zalozył Sigmę i przez długi czas nią kierował, ale przed rokiem został zabity podczas ataku na kwaterę główną Sigmy. Nowy szef, generał Gregory Metcalf, nie miał zbyt dużego doświadczenia i nadal zmagal się z politycznymi skutkami napaści. Painter Crowe nie był z nim w najlepszych stosunkach i Gray podejrzewał, że utrzymuje się na swoim stanowisku jedynie dzięki poparciu prezydenta. Ale nawet to poparcie miało granice.

–Metcalf nie chce zmierzić sierści żadnej ze służb wywiadowczych tego kraju i w tej sprawie stanął po stronie NSA.

–Więc ją aresztują...

Painter Crowe wzruszył ramionami.

–Jeśli im się uda. Nie mają pojęcia, z kim mają do czynienia.

–Jestem w tej chwili wolny, więc mógłbym tam pojechać i spróbować pomóc.

–W czym? Pomóc ją znaleźć czy pomóc jej uciec? – zapytał dyrektor.

Gray popatrzył mu prosto w oczy.

–Zrobię to, co mi się każe – powiedział.

Painter Crowe pokręcił głową.

–Kiedy Seichan cię zobaczy albo nawet jeśli tylko zacznie podejrzewać, że jesteś w Wenecji, domyśli się, że była nadzorowana, i stracimy całą przewagę.

Zadzwoił telefon i dyrektor podniósł słuchawkę. Krótka przerwa była na rękę Grayowi, mógł uporządkować myśli.

–Co jest, Brant? – zapytał Crowe swojego asystenta. – Przełącz.

Po chwili wyciągnął słuchawkę w stronę Graya.

–Dzwoni porucznik Rachele Verona – wyjaśnił.

–Rachele? – rzucił zaskoczony Gray do słuchawki, odwracając się plecami do obu mężczyzn w pokoju.

Usłyszał, że dziewczyna z trudem powstrzymuje płacz. Jej słowa były urywane i stłumione.

–Gray... potrzebuję... twojej pomocy...

–Czego tylko sobie zażyczysz. O co chodzi?

Nie rozmawiali ze sobą od miesiący. Przez rok on i kruczowłosa pani porucznik byli ze sobą, planowali nawet małżeństwo, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Ona była zbyt mocno związana ze swoją służbą we Włoszech, on pracował i mieszkał w Stanach. Odległość okazała się zbyt duża.

–Chodzi o wuja Vigora – wyjaśniła. – Wczoraj w nocy w bazylice był wybuch. Wuj jest w śpiączce.

–Boże, co się stało?

Rachele zaczęła wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego:

–Zabity został jeden z księży, jego były student. Władze podejrzewają atak terrorystyczny, ale nie... nie pozwolili mi... nie wiem, do kogo innego mogłabym zadzwonić.

–Nie ma sprawy. Wsiadam w pierwszy samolot do Rzymu – odparł Gray i popatrzył na swojego szefa, który kiwnął głową, o nic nie pytając.

W przeszłości *monsignore* Vigor Verona pomagał Sigmie podczas przeprowadzania dwóch operacji. Jego wiedza z zakresu archeologii i historii starożytnej oraz ścisłe kontakty z Kościołem okazały się nieocenione i Sigma wiele mu zawdzięczała.

–Dziękuję, Gray – powiedziała już znacznie spokojniej Rachele. – Prześlę ci akta śledztwa, ale nie ma w nich zbyt wielu szczegółów. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy się zobaczymy.

Słuchając jej, Gray ponownie skupił się na czerwonym znaczku w centrum Wenecji. Z rogu ekranu patrzyła na niego Seichan. Ona także wkroczyła kiedyś w życie Rachele i jej wuja.

A teraz wróciła do Włoch.

Graya zaczęły ogarniać złe przeczucia.

Coś było nie tak w całej tej sprawie. Czuł zbierającą się gdzieś blisko burzę, nie miał jednak pojęcia, w którą stronę powieją wiatry.

–Będę u ciebie najszybciej, jak się tylko da – obiecał Rachele.

10 października, godz. 19. 28

Rzym

Kiedy porucznik Rachele Verona wyszła ze szpitala w wieczorny rzymski półmrok i zaczerpnęła powietrza, poczuła, że jej niepokój odrobinę ustępuje. Ostry zapach środków dezynfekujących ledwie maskował odór leżących w łózkach ciał. W szpitalach zawsze pachnie strachem.

Po raz pierwszy od lat miała ochotę na papierosa, chciała stłumić obawę, jaka narastała w niej z każdą godziną przebywania wuja w śpiączce. Był podłączony do kroplówek i urządzeń monitorujących najważniejsze funkcje życiowe, respirator wpompowywał mu powietrze do płuc. Wyglądał dziesięć lat starzej, miał podkrążone oczy, a jego głowa była ogolona i owinięta bandażami. Diagnoza brzmiała: krwawienie podtwardówkowe i niewielkie pęknięcie czaszki. Przez cały czas monitorowano ciśnienie wewnątrzczaszkowe. Rezonans magnetyczny wskazywał, że nie ma uszkodzenia mózgu, ale pacjent – co bardzo martwiło lekarzy – wciąż pozostawał nieprzytomny. Z raportu policyjnego oraz karty przyjęcia do szpitala wynikało, że Vigor – zanim wpadł w śpiączkę – uporczywie powtarzał jedno słowo.

Morte.

Śmierć.

Co to miało znaczyć? Wiedział, że jego dawny uczeń zginął, czy tylko majaczył?

Nie mogli go o to zapytać, bo nie było z nim kontaktu.

Jego stan bardzo niepokoił Rachele. Trzymała go za rękę przez większą część dnia i modliła się o jakiś znak, który świadczyłby o tym, że powraca do zdrowia, ale palce wuja pozostawały bezwładne, a skóra zimna, jakby życie uciekło już z ciała, pozostawiając jedynie pustą skorupę.

Dobrze, że wkrótce pojawi się Gray.

Była to jedyna dobra wiadomość w ciągu minionej doby.

Rachele nie potrafiła pomóc Vigorowi w odzyskaniu zdrowia, ale mogła wykorzystać swoje możliwości zawodowe i spróbować odkryć, kto stoi za atakiem na wuja.

Śledztwo w sprawie wybuchu w Bazylice Świętego Piotra utknęło w wieloagencyjnym trzęsawisku, w którym taplali się wszyscy – od włoskich służb

wywiadowczych po Interpol i Europol. Zgadzano się jednak co do tego, że musiał to być atak terrorystyczny. Opinia ta wynikała głównie z faktu, że ciało zabitego księdza zostało

okaleczone: na czole wypalono mu dziwny znak.

Ktoś najwyraźniej pozostawił wiadomość, ale co oznaczała i kto ją przesłał? Jak na razie żadna grupa terrorystyczna nie przyznała się do tego morderstwa.

Rachele wiedziała, że najszybszym sposobem dotarcia do prawdy jest rozpoczęcie własnego dochodzenia o węższym zasięgu, ale dokładniejszego.

Właśnie dlatego zadzwoniła do Graya. Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała skorzystać z możliwości Sigmy. Wiedziała także, że nie poradzi sobie sama. Potrzebowała kogoś zaufanego. Potrzebowała Graya.

Ale czy tylko dlatego do niego zadzwoniła?

Odsunęła od siebie tę myśl.

Podeszła do swojego mini coopera, wsiadła, wyjechała ze szpitalnego garażu i ruszyła na miasto. Miała opuszczony dach – świeża bryza pomagała jej uporządkować myśli, niestety po kilku minutach wyprzedził ją autobus i wypluł jej prosto w nos kłęb spalin.

Zjechała z głównej ulicy i zaczęła krążyć bocznymi uliczkami pełnymi sklepików, kawiarenek i restauracji. Zamierzała jechać do domu, aby odpocząć przed jutrzejszym dniem, ale jakimś sposobem znalazła się nad Tybrem i po kilku zakrętach ujrzała przed sobą kopułę Bazyliki Świętego Piotra.

Pozwoliła się nieść strumieniowi samochodów.

Zaraz po wybuchu cały Watykan zamknięto, a papieża przewieziono do letniej rezydencji w Castel Gandolfo. Nie powstrzymało to jednak napływu turystów i gapiów, ciekawość sprawiła, że było ich jeszcze więcej niż zwykle.

Z powodu tłoku Rachele miała trudności ze znalezieniem miejsca do zaparkowania i kiedy dotarła do zamykającej wejście na plac policyjnej barykady, była już noc. Plac Świętego Piotra wypełniali zazwyczaj o tej porze zarówno wierni, jak i rozkrzyczani turyści, ale teraz był prawie pusty. Między kolumnami i na otwartej *piazza* znajdowało się tylko kilku umundurowanych funkcjonariuszy uzbrojonych w karabiny maszynowe. Jeden z nich stał pod wznoszącym się na środku placu egipskim obeliskiem.

Rachele wyciągnęła swoją legitymację.

Policjant zmarszczył czoło. Był w średnim wieku, miał wielki brzuch i pałkowate nogi. W miejskiej policji i oddziałach karabinierów służą nie tylko wybrane jednostki.

–Czego pani tu szuka? – spytał opryskliwie. – Co Carabinieri Tutela del Patrimonio Culturale mają wspólnego z tym zamachem?

Było to dobre pytanie. Wydział Rachele zajmował się kradzieżą dzieł sztuki i czarnym rynkiem handlu antykami. Nie miał nic wspólnego z terroryzmem i pani porucznik nie była upoważniona do przebywania na miejscu zamachu. Więcej nawet – ponieważ jedna z ofiar była z nią spokrewniona, polecono jej trzymać się z dala od tej sprawy.

Musiała jednak na własne oczy obejrzeć miejsce przestępstwa.

Odchrząknęła i popatrzyła na policjanta.

–Przyszłam sprawdzić, czy po wybuchu bomby niczego nie skradziono.

–Aha, robota sekretarki... – mruknął z pogardą. – Nic dziwnego, że przysłali kobietę...

Rachele nie zamierzała dać się sprowokować. Wyjęła policjantowi z dłoni swoją legitymację.

–Proszę mnie przepuścić. Jest późno i mam mnóstwo do roboty.

Wzruszył ramionami i odsunął się na bok, ale tylko odrobinę. Aby przejść, musiała się o niego otrzeć. Napał na nią, próbując ją zastraszyć swoim brzuchem i wielkim cielskiem. Rachele знаła tę grę. Gdy kobieta pracuje z samymi mężczyznami, zazwyczaj jest postrzegana jako zagrożenie albo jako obiekt, który należy podbić.

Ogarnął ją gniew, który natychmiast przytłumił strach i niepokój. Minęła brutala, nie zapominając o wbiciu mu obcasa w stopę.

Stęknął z bólu i odskoczył do tyłu.

–Scusi - powiedziała, niby to przepraszając, i poszła dalej, nie oglądając się za siebie.

–Zoccolo! - zaklął.

Zignorowała obelgę, jakby jej w ogóle nie usłyszała. Po obu stronach otaczały ją kolumnady Berniniego. Gdy mijała fontanny, uświadomiła sobie, że mimowolnie przyspieszyła kroku. Szła w stronę bazyliki, której kopuła, zaprojektowana przez Michała Anioła, błyszczała wysoko w górze na tle nieba.

Kiedy przechodziła obok wielkich rzeźb przedstawiających apostołów Piotra i Pawła, stojących na warcie po bokach prowadzących do bazyliki schodów, spojrzała na hebrajski napis umieszczony pod uzbrojonym w miecz świętym Pawłem. Napis brzmiał: *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia*. Nie знаła hebrajskiego, ale wuj Vigor przetłumaczył jej te słowa z Listu do Filipian, kiedy była małą dziewczynką, i teraz czerpała z nich siłę.

Zaczęła wchodzić po schodach. Okazało się, że drzwi bazyliki wcale nie są zamknięte. Minęła portyk i weszła do gigantycznej nawy rozciągającej się przed nią na niemal dwieście metrów. Wnętrze świątyni było dość ciemne, a znajdujący się w głębi papieski ołtarz oświetlały jedynie

przenośne lampy sodowe. Nawet z dużej odległości widać było krzyżujące się policyjne taśmy otaczające miejsce zamachu.

Wybuch nastąpił w apsydzie, za głównym ołtarzem. Rachele szła centralnym przejściem, nie zwracając uwagi na otaczające ją skarby sztuki.

Gdy znalazła się przy głównym ołtarzu, powoli podeszła do miejsca przestępstwa. O tej porze w bazylice nikogo nie było. W ciągu minionych 48 godzin policyjni specjaliści przeczesał tu każdy centymetr swoimi szczoteczkami, zbierając dowody do torebek i próbek. Wiadomo już było, że do wyprodukowania bomby użyto środka o nazwie heptanitrocubane – nowej bardzo silnej substancji wybuchowej.

Kiedy Rachele patrzyła na poczerniały od eksplozji marmur, przeszedł ją dreszcz. Był to jedyny ślad po zamachu. Usunięto krew i inne zanieczyszczenia, ale podłoga w dalszym ciągu była oklejona taśmą – dla zaznaczenia rozbryzgów krwi i wektorów sił wybuchu. W głębi apsydy narysowany kredą kontur wskazywał, gdzie i w jakiej pozycji leżał ojciec Marco Giovanni. Znalaziono go u stóp ołtarza zwanego tronem świętego Piotra, pod witrażem przedstawiającym Ducha Świętego.

Rachele czytała raport na temat młodego księdza. Był studentem jej wuja, a potem watykańskim archeologiem. Z raportu wynikało, że Marco Giovanni ostatnie dziesięć lat spędził w Irlandii, badając korzenie celtyckiego chrześcijaństwa i zlewanie się w dawnych czasach pogańskich rytuałów z wiarą katolicką. Koncentrował się głównie na mitach dotyczących Czarnej Madonny – postaci często przedstawianej jako połączenie pogańskiej Matki Ziemi z Maryją Dziewicą.

Dlaczego ktoś chciałby zamordować takiego człowieka? A może ojciec Giovanni zginął przypadkiem? Może wuj i jego dawny student po prostu znaleźli się w tym miejscu w niewłaściwym momencie?

Żadna z tych hipotez nie miała sensu.

Rachele przełknęła ślinę i odwróciła się. Jej wuja znaleziono pod papieskim ołtarzem, gdzie rzuciła go fala uderzeniowa.

Nie chcąc naruszać miejsca przestępstwa, obchodziła je poza obrębem taśmy. Weszła po dwóch schodkach znajdujących się z lewej strony apsydy. Nie było tam zbyt wiele miejsca. Przecisnęła się obok pomnika papieża Pawła III i umieszczonych u jego podstawy pomników przedstawiających Sprawiedliwość i Rozwagę, których rysy przypominały twarze matki i siostry papieża.

Nagle zwolniła kroku.

Uświadomiła sobie panującą wokół ciszę, poczuła cały ciężar minionych stuleci i śmierci – otaczały ją dziesiątki grobowców. Po drugiej stronie apsydy znajdował się grobowiec Urbana

VIII, na którego szczycie stoi wykonany z brązu pomnik papieża

unoszącego dłoń w geście błogosławieństwa. U stóp posągu na płycie grobowca umieszczono szkielet z brązu, którego kościste ramię zawisło w powietrzu podczas zapisywania imienia zmarłego na rozwiniętym zwoju.

Rachele wzdrygnęła się na ten widok.

Nie była przesadna, ale wuj Vigor w każdej chwili mógł umrzeć... Co będzie, jeżeli go straci?

Chciała się odwrócić, jednak nie mogła oderwać wzroku od makabrycznego szkieletu. Nagle coś sobie przypomniała i przez jej ciało przepłynęła fala zimna, pokrywając ramiona gęsią skórką.

ŚMIERĆ.

Powiedziała głośno słowo, które Vigor powtarzał w delirium:

MORTE.

Przyjrzała się uważnie wychodzącej z grobowca postaci. Może Vigor próbował im coś ważnego przekazać?

Obeszła otoczone taśmą policyjną miejsce i przeszła na drugą stronę apsydy. Wspięła się na palce, aby lepiej przyjrzeć się szkieletowi, ale choć obejrzała go bardzo dokładnie, mało brakowało, a nie dostrzegłaby tego, co trzeba. Brązowy rzemień miał taki sam kolor jak szkielet.

Założyła gumowe rękawiczki chirurgiczne i weszła na brzeg grobowca. Złapała za rzemień i wyciągnęła małą sakiewkę, ukrytą do tej pory za kościstą dłonią Ponurego Kosiarza. Cofnęła się i zeszła na podłogę ze swoją zdobyczą w dłoni. Czy to, co znalazła, miało jakieś znaczenie, czy też pozostawił to tylko jakiś pielgrzym albo turysta?

W skórze sakiewki wypalona była spirala, ale prawdopodobnie nic to nie znaczyło.



Rozczarowana, odwróciła sakiewkę, jednak kiedy ujrzała, co zostało wypalone po drugiej stronie, nagle zabrakło jej powietrza. Okrąg z wpisanim w środek krzyżem.



Widziała już coś takiego wcześniej – w raporcie patologa opisującym obrażenia ojca Marca Giovanniego.

Taki sam symbol wypalono na czole martwego księdza. Na pewno miał jakieś znaczenie, ale jakie?

Odpowiedź na to pytanie musiała znajdować się w sakiewce. Rachele rozluźniła rzemień i wytrząsnęła zawartość mieszka na dłoń. Ze środka wypadło coś małego – coś, co wyglądało jak wysuszony, poczerniały kawałek gałązki. Przyjrzała się mu dokładniej i natychmiast zrozumiała swoją pomyłkę.

Gałązka miała paznokieć.

Przerażona, omal nie rzuciła znaleźiska na podłogę.

Z sakiewki nie wypadła gałązka.

Na jej dłoni leżał ludzki palec.

Godz. 14. 55

Waszyngton

Painter siedział za biurkiem w swoim pozbawionym okien gabinecie i obracał w palcach buteleczkę z aspiryną. Między oczami gniótł go tępy ból, zapowiadając ostry atak migreny. Potrząsnął buteleczką, żalując, że nie ma niczego mocniejszego, na przykład dużej porcji słodowej whisky.

Najchętniej zamieniłby aspirynę na masaż karku w wykonaniu swojej przyjaciółki. Niestety, Lisa wyjechała na Zachodnie Wybrzeże, do Yosemite, aby odwiedzić brata, i miała wrócić dopiero w przyszłym tygodniu. Będzie musiał zadowolić się produktami firmy Bayer.

Przez ostatnią godzinę analizował dane i raporty, z których część ciągle jeszcze była wyświetlana na wielkich naściennych monitorach LCD otaczających jego biurko. Kiedy spojrział na jeden z ekranów, znowu pomyślał, że zamiast niego mogłoby tu być prawdziwe

okno. Może wynikało to z jego indiańskiego pochodzenia, ale potrzebował kontaktu z błękitnym niebem, drzewami i prostymi rytmemi zwykłego życia.

Nie było mu to jednak pisane, przynajmniej nie podczas pracy.

Jego gabinet – podobnie jak reszta pomieszczeń dowództwa Sigmy – ukryty był pod znajdującym się w dzielnicy National Mail zanikiem Instytutu Smithsona, w podziemnych bunkrach z czasów drugiej wojny światowej. Lokalizację taką wybrano zarówno z powodu bliskości ośrodków władzy, jak i licznych ośrodków badawczych Instytutu Smithsona.

Jednak w tym momencie Painter zamieniłby wszelkie wygody na okno. Nie zmieniało to oczywiście faktu, że ten gabinet od kilku lat był jego domem. Po dokonanych przed rokiem zamachu na Sigmę organizacja ciągle jeszcze nie doszła do siebie. Szkody sięgały znacznie głębiej, niż można by sądzić po osmalonych ścianach i zniszczonym sprzęcie. Waszyngtońska polityka to nieustanna walka o władzę i ścieranie się ambicji. Słabi są tu rozrywani na strzępy i zamach – abstrahując od tego, czy było to słuszne, czy nie – znacznie osłabił pozycję Sigmy wśród amerykańskich agencji wywiadowczych.

Co gorsza, Painter podejrzewał, że jego inicjatorzy w dalszym ciągu są na wolności. Człowiek, który kierował zamachem, szef wydziału Agencji Wywiadu Obronnego, został wprowadzie

zwolniony z pracy i ukarany, ale Painter wcale nie był pewien, jaki jest jego obecny status. Aby zorganizować tego rodzaju operację, trzeba mieć wsparcie ze strony kogoś znacznie mocniej zagiędzonego w waszyngtońskiej sieci politycznej.

Kto to mógł być?

Painter pokręcił głową i spojrział na zegarek. Z zadawaniem tych pytań musi trochę poczekać. Za kilka minut miał zacząć gasić kolejny pożar. Nie był jeszcze gotów do następnego starcia, nie miał jednak wyboru. Dwie godziny wcześniej odbył burzliwą rozmowę z Grayem Pierce'em. Komandor chciał zabrać ze sobą do Włoch Monka Kokkalisa, ale Painter miał wątpliwości, czy Monk znowu może pracować w terenie. Dział medyczno-psychologiczny nie przedstawił mu jeszcze zaświadczenia o jego całkowitym powrocie do zdrowia.

Informacje docierające z Rzymu były bardzo skąpe i Painter nie bardzo wiedział, który agent Sigmy najlepiej uzupełni wiedzę i doświadczenie Graya. Specjalnością Monka Kokkalisa była medycyna sądowa, jednak na razie umiejętności z tej dziedziny nie wydawały się potrzebne. Mimo to Painter nie zamierzał posyłać Graya do Europy samego, wiedział, że przyda mu się wsparcie.

Zanim zdecydował, czy powinien łyknąć kolejną aspirynę, na jego biurku zabręczał interkom.

–Dyrektorze, dzwoni generał Metcalf – powiedział Brant.

Painter spodziewał się tego telefonu od chwili, gdy przeczytał zaszyfrowany e-mail od szefa DARPA. Westchnął ciężko, nacisnął klawisz na aparacie i odwrócił fotel, aby widzieć wiszący na ścianie za biurkiem monitor.

Ciemny ekran rozjaśnił się, ukazując siedzącego za biurkiem generała. Gregory Metcalf był Afroamerykaninem, absolwentem West Point, i choć miał już pięćdziesiąt pięć lat, jego sylwetka pozostała niemal taka sama jak w czasach, gdy grał na pozycji linebackera w uniwersyteckiej drużynie futbolowej. Jedynymi oznakami wieku były siwiejące włosy oraz trzymane w lewej dłoni okulary do czytania. Kiedy mianowano go szefem DARPA, Painter szybko nauczył się doceniać jego inteligencję.

Jednak ich wzajemne stosunki trudno było nazwać przyjaźnią.

Generał przesunął się lekko do przodu.

–Czytał pan raport o konflikcie w Afryce, który wam przesłałem? – zapytał bez żadnych wstępów.

Painter wskazał jeden z monitorów na ścianie.

–Czytałem. A także raport NATO dotyczący ataku na obóz Czerwonego Krzyża. Sprawdziłem również dane dotyczące korporacji, która prowadziła tam farmę badawczą.

–Doskonale. Dzięki temu nie będę musiał marnować czasu na wprowadzanie pana w szczegóły.

Painterera uraził jego protekcyjny ton.

–W dalszym ciągu nie rozumiem, co to ma wspólnego z Sigmą.

–Nie może pan rozumieć, bo jeszcze tego panu nie powiedziałem, dyrektorze.

Ból między oczami Painterera się nasilił.

Metcalf wcisnął kilka klawiszy na leżącej przed nim klawiaturze. Obraz na ekranie zawieszonym na ścianie podzielił się i obok generała pojawiło się zdjęcie. Ukazywało młodego białego mężczyznę, ubranego jedynie w bokserki i przywiązanego do drewnianego krzyża, stojącego pośrodku spalonego i jeszcze dymiącego pola. Ukrzyżowany człowiek przypominał makabrycznego stracha na wróble. W tle widać było afrykańską sawannę.

–Ten młodzieniec to Jason Gorman – oświadczył Metcalf.

Painter ściągnął brwi.

–Gorman? Czyżby to był ktoś z rodziny senatora Gormana?

Nazwisko senatora pojawiała się kilka razy w trakcie śledztwa, które Painter Crowe przeprowadził w sprawie Viatus International. Sebastian Gorman był przewodniczącym Senackiej Komisji Rolnictwa, Żywności i Zasobów Leśnych. Był gorącym rzecznikiem

rozpowszechniania genetycznie modyfikowanej żywności, która miała wykarmić głodujący świat i zapewnić nowe źródła biopaliw.

Generał odchrząknął.

–To dwudziestotrzyletni syn senatora – wyjaśnił. – Zrobił magisterium z biologii molekularnej roślin i przygotowywał się do pisania doktoratu, ale pojechał do Mali, aby dopilnować realizacji jednego z projektów hodowlanych.

Painter zaczynał rozumieć, dlaczego kryzys w Waszyngtonie osiągnął taki poziom. Prawdopodobnie senator, zrozpaczony utratą syna, żądając odnalezienia i ukarania sprawców, potrząsał całym Capitol Hill. W dalszym jednak ciągu nie rozumiał, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Sigma. Z raportu NATO wynikało, że atak przeprowadzili Tuaregowie, rebeliancka armia, która nieustannie nękała zachodnioafrykańską republikę.

–W dniu napaści senator Gorman otrzymał od syna e-mail – kontynuował Metcalf. – Jason w kilku zdaniach opisał atak na obóz. Brały w nim udział helikoptery, z których zrzucano bomby napalmowe, z czego wynika, że przeprowadzono go w wojskowym stylu i uczestniczyły w nim znaczne siły.

Painter poprawił się w fotelu.

–Do listu dołączone były pliki naukowe. Senator nie miał pojęcia, dlaczego mu je przesłano, i nie rozumiał ich treści, więc przesłał dane do promotora syna na Uniwersytecie Princeton, doktora Henry'ego Malloya.

–Chętnie bym je obejrzał – powiedział Painter, powoli zaczynając rozumieć, czemu włączono w tę sprawę jego organizację. Dziwny atak na obóz, tajemnicze pliki z danymi naukowymi – wszystko to pasowało do Sigmy i bardzo zaintrygowało Paintera, który już zaczął układać plan działania. – Jeden z naszych ludzi w ciągu dwudziestu czterech godzin może znaleźć się w Mali – oświadczył.

–Nie. Pańska rola w tej sprawie musi pozostać ograniczona – odparł Metcalf. – Senator Gorman poluje na czarownice, szuka kogoś, na kogo dałoby się zwalić winę.

–Generale...

–Sigma już i tak ma zachwianą pozycję. Jeden niewłaściwy krok i nikt nie pozbiera kawałków, na które się rozleci.

Painter powstrzymał się od protestów, choć nie podobał mu się brak zaufania do jego ludzi, jaki okazywał Metcalf. Nie może z nim bez przerwy walczyć.

–Jaką rolę dla Sigmy widzi pan w tym wszystkim? – spytał.

–Zbieranie informacji wywiadowczych w celu ustalenia, czy warto prowadzić dalsze dochodzenie. Zaczynjcie od doktora Malloya. Chcę, żeby został przesłuchany.

–Mój zespół może być u niego dziś po południu.

–Bardzo dobrze. Jest jednak jeszcze coś... Coś, czym chciałbym obarczyć pana osobiście.

–To znaczy?

–Nie ujawniono jeszcze wszystkich szczegółów dotyczących tego morderstwa. Chcę, żeby pan się tym zajął. – General wcisnął klawisz na klawiaturze i twarz Jasona Gormana się powiększyła. – Ten, kto przywiązał chłopaka do krzyża, naznaczył ciało.

Painter wstał i podszedł do monitora. Na czole młodego człowieka wypalono okrąg, w który wpisany był krzyż.

–Chcę wiedzieć, kto to zrobił – oświadczył Metcalf. – I co to znaczy.

Painter kiwnął głową.

Sam też chciał się tego dowiedzieć.

Rzym

Rachele wjechała mini cooperem na swoje miejsce w garażu apartamentowca. Jeszcze przez chwilę nie wysiadła, zastanawiając się nad tym, co zrobiła. Na fotelu pasażera leżała przezroczysta plastikowa torebka z sakiewką i jej makabryczną zawartością.

Wyszła z bazyliki, nie mówiąc nikomu o swoim znalezisku.

Jest późno, pomyślała, próbując się usprawiedliwić. Mogę przekazać sakiewkę śledczym jutro rano. Razem z pełnym raportem.

Zdawała sobie jednak sprawę, że w rzeczywistości kryje się za tym coś innego. Do sakiewki doprowadziły ją słowa wuja i czuła, że ma do niej pewne prawo. Gdyby oddała sakiewkę władzom, nie tylko otrzymałaby naganę za wtargnięcie w centrum sprawy, która nie mieściła się w jej jurysdykcji, lecz mogłaby też zostać od niej całkowicie odsunięta – i wtedy nigdy nie poznałaby znaczenia sakiewki. Poza tym była dumna ze swojego odkrycia. Dokonała go, ponieważ zaufała intuicji i dzięki temu osiągnęła znacznie więcej, niż to się udało chaotycznie działającym śledczym.

Intuicja mówiła jej jednak również, że sprawa ta znacznie przekracza jej możliwości. Potrzebowała pomocy. Zaczeka do rana, do przylotu Graya, a potem mu wszystko przekaze i pozwoli działać dalej.

Ustalwszy plan, wzięła torebkę na dowody i wsunęła ją do kieszeni kurtki, po czym

wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku schodów. Jej mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Choć było małe, z balkonu roztaczał się piękny widok na Koloseum.

Po chwili dotarła na drugie piętro i wyszła z klatki na korytarz. Idąc nim, zauważyła dwie rzeczy: pani Roselli znowu gotowała jakąś potrawę, do której dodała zbyt dużo czosnku, a w szparze pod jej własnymi drzwiami widać było światło.

Zatrzymała się. Przed wyjściem z mieszkania zawsze gasiła światło. Jednak tego dnia rano była bardzo zdenerwowana i może tym razem zapomniała to zrobić.

Powoli ruszyła dalej. W mieście było pełno złodziei, włamania też nie należały do rzadkości. Przez cały czas wpatrywała się w pasek światła pod drzwiami. Kiedy podeszła bliżej, przesunął się po nim cień.

Ktoś był w jej mieszkaniu.

Zakłęła pod nosem i cofnęła się. Nie miała broni. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zapukać do pani Roselli i nie ukryć się u niej w mieszkaniu, ale po zastanowieniu zrezygnowała

z tego pomysłu. Nawet na korytarzu czosnek kłuł ją w nos – w zagrożonym mieszkaniu starszej pani smród byłby nie do wytrzymania. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła komórkę.

Wycofała się na klatkę schodową, przez cały czas uważnie obserwując drzwi. Gdy stanęła na podeście, coś zimnego wbiło jej się w kark.

Lufa pistoletu.

–Nie ruszaj się – powiedział twardy głos.

10 października, godz. 15.28

Rockville, stan Maryland

Monk podrzucił córeczkę na kolanie. Penelope piszczała, uśmiechając się szeroko -dokładnie tak samo jak tata. Na szczęście było to wszystko, co po nim odziedziczyła. Jasno-kasztanowe loki i delikatne rysy miała po matce.

–Monk, jeżeli jej się uleje, to... – zaczęła groźnie Kat, która właśnie wyszła z kuchni, po drodze wycierając ręce w ręcznik.

Przed godziną wróciła z Capitol Hill, gdzie próbowała odnowić kilka dawnych kontaktów wywiadowczych i pomóc Painterowi Crowe'owi nakłonić do współpracy paru zadufanych w sobie polityków. Po przyjeździe do domu rozpuściła włosy, pozwalając im opaść poniżej ramion.

Monk był w spodniach od dresu i T-shircie. Po zawiezieniu Graya na lotnisko wrócił prosto do ich nowego domu na przedmieściach. Nie miał nic innego do roboty. Wiedział, że Gray próbował włączyć go do wyprawy do Włoch, ale Painter się na to nie zgodził.

Poprawił małą na kolanach.

–Podgrzałam jej butelkę – powiedziała Kat, podchodząc bliżej z wyciągniętymi rękami, aby wziąć od męża Penelope. Nagle potknęła się, podskoczyła i z trudem odzyskała równowagę. Spojrzała na podłogę. – Ile razy mam ci mówić, żebyś nie rzucał swojej protezy gdzie popadnie?

Monk potarł kikut przedramienia.

–Jest nowa i ciągle ociera – mruknął. Kat westchnęła i wzięła od niego małą.

–Wiesz, ile coś takiego kosztuje?

Wzruszył ramionami. Stworzona przez inżynierów DARPA proteza dłoni była cudem bioinżynierii, zastosowano w niej najnowsze osiągnięcia techniki, dzięki czemu sztuczna dłoń mogła wykonywać niezwykle precyzyjne ruchy. Na kikucie umieszczono mankiet z syntetycznych materiałów, który połączono chirurgicznie z wiązkami nerwów i ścięgnami.

Monk dotknął styków na osłonie nadgarstka i leżąca na podłodze sterowana

bezprzewodowo dłoń podniosła się i oparła na czubkach palców. Monk tak nią posterował, aby wspięła się na kanapę, po czym wziął ją do lewej ręki i przymocował do nadgarstka. Rozprostował palce.

–W dalszym ciągu ociera – stwierdził.

Kat zamierzała wrócić do kuchni, ale Monk poklepał miejsce obok siebie. Znowu westchnęła i usiadła na brzegu kanapy. Monk przyciągnął żonę do siebie i wsunął nos w jej włosy, wciągając zapach jaśminu. Przytuliła się do niego i przez długą chwilę siedzieli bez słowa. Penelope zasnęła z przyciśniętą do ust piąstką. Wspaniale było mieć całą swoją rodzinę w jednym objęciu.

–Przykro mi z powodu Włoch – powiedziała w końcu Kat.

Monk przewrócił oczami. Nic jej na ten temat nie mówił. Była to delikatna sprawa, powinien się jednak domyślić, że Kat się o wszystkim dowie. Przy jej kontaktach w światku wywiadowczym trudno było oczekiwać, że uda się utrzymać w tajemnicy przed nią jakiegokolwiek istotne fakty.

Spojrzała na niego. Malująca się w jej oczach łagodna troska i napięta linia ust świadczyły o mieszanych uczuciach. Doskonale wiedziała, jak bardzo Monk chce znowu zacząć działać w terenie, ale nie potrafiła ukryć swoich obaw. Popatrzył na protezę dłoni. Obawy Kat były w pełni uzasadnione.

Ale on w dalszym ciągu kochał swoją pracę i wiedział, jak bardzo jest ważna.

W ciągu minionego roku, powracając do zdrowia zarówno fizycznego, jak i psychicznego, zaczął to znacznie lepiej dostrzegać. Mimo całej swojej miłości do rodziny i poczucia odpowiedzialności za nią coraz wyraźniej uświadamiał sobie, jakie znaczenie dla utrzymania bezpieczeństwa na świecie ma Sigma. Czuł się źle, siedząc w biurze.

–Słyszałam, że dostałeś dziś nowe zadanie – powiedziała Kat.

–Przekładanie papierków. Mam jechać do New Jersey na rozmowę o badaniach prowadzonych w Princeton. Wrócę przed północą.

–W takim razie powinieneś chyba zacząć się szykować.

–Mam jeszcze czas. Dyrektor Crowe przyśle po mnie jednego ze swoich ludzi. Kogoś, kto zna się na genetyce. Nowego rekruta.

–Johna Creeda...

Monk spojrzał jej w oczy.

–Wiesz o wszystkim, co się u nas dzieje, prawda?

Uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała go.

–Wiem, że jedzenie w butelce Penelope robi się zimne – odparła.

Protetyczna dłoń Monka zacisnęła się na jej ramieniu, powstrzymując przed wstaniem. – A ja wiem, że można je ponownie podgrzać – powiedział lekko schrypniętym głosem. – Mam jeszcze pół godziny.

–Całe pół godziny? Robisz się ambitny.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

–Nie kpij sobie ze mnie, kobieto.

Znowu go pocałowała, tym razem znacznie dłużej przyciskając wargi do jego ust.

–Nigdy tego nie robię – szepnęła.

Godz. 16. 44

Princeton, stan New Jersey

Doktor Henry Malloy był sam w znajdującym się w piwnicy laboratorium. Po raz trzeci powtarzał symulację komputerową. Czekając na wynik, ze zdumieniem kręcił głową. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny kompilował dane przesłane z biura senatora Gormana. Z powodu ich objętości do analizy wszystkich zawartych w plikach badań i prób DNA potrzebował znajdującej się w laboratorium stacji macierzy firmy Aflymetrix.

Pukanie do drzwi nieco go zdziwiło. Dla ochrony przed ozonem laboratorium było strefą zamkniętą, można się było do niego dostać jedynie za pomocą karty zbliżeniowej.

Ponieważ analiza miała potrwać jeszcze kilka minut, podszedł do drzwi, które otworzyły się z cichym sykiem sprężonego powietrza. Stała w nich Andrea Solderitch, jedna z jego doktorantek, którą zatrudnił jako asystentkę. Była bardzo atrakcyjną kobietą i mimo że miała pięćdziesiąt parę lat, jej figurze nie można było nic zarzucić. Rozpocząła właśnie nową karierę zawodową. Jeszcze niedawno pracowała jako pielęgniarka i specjalizowała się w dializowaniu. Malloy spędzał z nią wiele godzin i szybko nauczył się doceniać towarzystwo kobiety należącej do tego samego pokolenia co on. Nawet lubili tę samą muzykę i nieraz słyszał, jak Andrea nuci pod nosem jedną z jego ulubionych melodii.

Jej twarz była zatroskana.

–Co się stało, Andreo?

Wyciągnęła w jego stronę kilka samoprzylepnych karteczek.

–Dzwoniono trzy razy z biura senatora Gormana z pytaniem, jakie robimy postępy.

Henry wziął od niej karteczki. Nienawidził, kiedy ktoś stał za jego plecami i dyszał mu w kark, ale rozumiał zdenerwowanie senatora. Choć Jason Gorman był jedynie jego

studentem, czuł dojmujący żal z powodu jego przedwczesnej śmierci – zwłaszcza tak okrutnej.

–Chciałam też przypomnieć, że za godzinę masz spotkanie z doktorem Kokkalisem z Waszyngtonu. Przynieść ci przedtem coś z kafeterii?

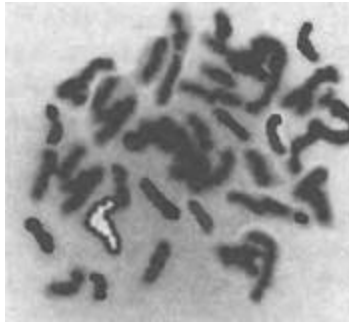
–Nie, dziękuję, ale jeśli już tu jesteś, chciałbym, żebyś rzuciła okiem na te dane. Mogłabyś to zrobić?

Andrea uśmiechnęła się z zadowoleniem.

–Jestem ci wdzięczny, że przyszedłaś do pracy w wolny dzień – dodał Henry, kiedy szli do komputera. – Nie poradziłbym sobie bez twojej pomocy.

–Nie ma problemu, doktorze.

Symulacja komputerowa została zakończona. Na ekranie widać było chromosomową mapę kukurydzy hodowanej na eksperymentalnym polu w Afryce. Wszystkie chromosomy – poza jednym, wyróżnionym na białą – zostały zaczernione.



Henry postukał w ekran.

–Biały element to obce DNA, wprowadzone do zmodyfikowanej kukurydzy.

Andrea przysunęła się do ekranu i zmarszczyła czoło.

–Jakie jest źródło tego DNA? Bakteryjne?

–Nie jestem pewien.

Choć Andrea zgadywała, prawdopodobnie miała rację. Większości modyfikacji genetycznych dokonuje się poprzez rekombinację bakteryjną i łączenie genów, wprowadzając szczepy określonych bakterii do genomu rośliny. Jednym z najwcześniejszych osiągnięć w tym zakresie było wprowadzenie genów *Bacillus thuringiensis* do sadzonek tytoniu. Zwiększyło to odporność roślin na choroby i sprawiło, że uprawy wymagały mniej intensywnych oprysków insektycydami. Tę samą metodę zastosowano potem w przypadku kukurydzy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat technologia ta stała się tak powszechna, że obecnie jedna trzecia uprawianej w Stanach Zjednoczonych kukurydzy jest modyfikowana genetycznie.

–Jeżeli to nie jest DNA bakteryjne, to jakie? – spytała Andrea.

–Nie wiem. Metoda ta została opatentowana przez Viatus International i utajniona. W aktach określa się te szczepy jako Dt dwieście dwadzieścia dwa. Skrót Dt oznacza *drought tolerant*, czyli odporne na suszę. Nie to jednak chciałem ci pokazać. – Henry wskazał ekran. – Tę próbkę przysłał mi dwa miesiące temu Jason Gorman.

–Dwa miesiące temu?

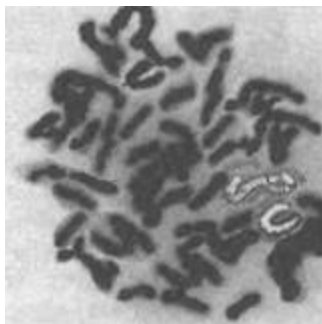
–Nie denerwuj się. Chłopak był tak podniecony możliwością uczestniczenia w tym afrykańskim badaniu, że przekazał mi dane wbrew klauzuli poufności, którą zawierał kontrakt. Ostrzegalem go, aby był ostrożniejszy i bardziej dyskretny. Wyobrażam sobie, jaki był zdesperowany tego ostatniego dnia, a jednak mimo to udało mu się uratować dane.

–Co właściwie przesłał?

Henry postukał w klawisze.

–Zaraz ci to pokażę. Właśnie doczekali się pierwszych plonów. Jason przesłał kompletną analizę zebranych nasion kukurydzy razem z próbkami DNA. Oto wyniki.

Na ekranie pojawił się drugi komplet chromosomów. Znowu większość z nich była zaczerniona, co oznaczało, że jest to DNA zwykłej kukurydzy. Na białło zaznaczono tym razem nie jeden, lecz dwa chromosomy.



Andrea pokręciła głową. – Nie rozumiem...

–Przyjrzyj się temu bliżej – poradził jej Henry.

Kiedy zrobił zbliżenie przetransferowanego chromosomu okazało się, że zaznaczony na białło gen wcale nie jest biały, ale pokryty poprzecznymi białło-czarnymi paskami.



–Obce DNA, które wniknęło w chromosom, atakuje sąsiada – wyjaśnił Henry.

–Rozprzestrzenia się?

Henry Malloy usiadł i popatrzył na swoją asystentkę.

–Nie umiem tego stwierdzić na pewno, ale trzy razy kompilowałem dane. Może

pierwsza próbka, którą przysłał Jason, pochodziła z innej hybrydy. Może testowali więcej niż jedną wersję kukurydzy. Jeśli nie, powiedziałbym, że ta modyfikacja genetyczna jest niestabilna. Zmienia się z jednego pokolenia na następne. Próbka staje się bardziej obca i jest w mniejszym stopniu kukurydzą.

–Co to znaczy?

Henry wzruszył ramionami.

–Nie mam pojęcia, ale ktoś powinien się o tym dowiedzieć. Wysłałem już tę informację do Działu Biogenetyki Roślin Uprawnych Viatusa. Na pewno zechcą obejrzeć przesłane do nas dane. Być może uda mi się wydusić od nich nowe dotacje.

–Może więc wreszcie dostanę podwyżkę, o której czasem wspominasz – powiedziała Andrea i uśmiechnęła się.

–Zobaczymy.

Andrea popatrzyła na zegarek.

–Jeśli mnie już nie potrzebujesz, powinnam iść do domu. Moje psy siedziały przez cały dzień w zamknięciu. Prawdopodobnie przestępują już z łapy na łapę, nie mogąc doczekać się spaceru.

Henry odprowadził swoją asystentkę do drzwi.

–Jeszcze raz dziękuję, że przyszedł w wolny dzień.

–Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym przyniosła ci coś do jedzenia?

–Nie, skończę tylko tę analizę i zapiszę ją na serwerze. To już nie potrwa długo.

Wychodząc, pomachała mu na pożegnanie. Drzwi zamknęły się za nią z sykiem.

Henry Malloy wrócił do komputera. Sporządzenie formalnego raportu zajmie mu niecałą godzinę. Choć dane, które Jason Gorman przysłał z Afryki, nie rzucały światła na całe wydarzenie, dowodziły wielkiej odwagi młodego człowieka – jego ojciec na pewno byłby z niego dumny.

–Dobra robota, Jason – mruknął Henry pod nosem, po raz ostatni przeglądając pliki.

Podczas następnego kwadransa zrobił kilka notatek. Chciał zrobić dobre wrażenie w Viatusie, ponieważ ich Dział Biogenetyki Roślin Uprawnych podpisywał umowy z laboratoriami na całym

świecie, zlecając im prace podwykonawcze, choć ostatnio ze względu na koszty współpracował głównie z tymi, które znajdowały się w Indiach i Europie Wschodniej. Ale laboratorium genomiczne w Princeton było jednym z najlepszych na świecie i gdyby udało mu się przekonać korporację do zlecenia im badań...

Na jego ustach pojawił się uśmiech.

Z zadumy znowu wytrąciło go pukanie do drzwi. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Podejrzewał, że Andrea nie potraktowała jego słów poważnie i z pewnością przyniosła mu coś do jedzenia z kawiarni.

–Już idę! – zawołał, po czym podszedł do drzwi i przysunął do czytnika kartę zbliżeniową.

Godz. 17. 30

Monk podszedł do stojącej pod dworcem taksówki. Jego partner siedział już na tylnym siedzeniu i mówił kierowcy, gdzie ma jechać:

–Laboratorium imienia Carla Icahna w kampusie Princeton. Przy Washington Road.

Usiadł obok Creeda, wygładził marynarkę i oparł się wygodnie. Miał na kolanach aktówkę – wykonaną na zamówienie w firmie Tanner Krolle. Przeciągnął dłonią po angielskiej skórze, używanej zazwyczaj do wyrobów siodlarskich. Dostał tę aktówkę w prezencie od Kat dwa miesiące temu, w dniu formalnego powrotu do służby. Doskonale rozumiał niewypowiedziany przekaz, kryjący się za tym drogim zakupem: jego żona była szczęśliwa, że będzie jedynie przekładał papiery i prowadził rutynowe rozmowy z agentami i świadkami. Nie chciała, aby stał na linii ognia.

Westchnął.

Jego partner John Creed siedział lekko zgarbiony. Wydawał się bardzo chudy, ale za to brakowało mu nie więcej niż dwa palce do dwóch metrów i dziesięciu centymetrów. Był jednym z najświeższych nabytków Sigmy – gładko ogolony, rudy, piegowaty niemal na całej twarzy. Mimo chłopięcych rysów zawsze miał ponury wyraz twarzy.

Monk spojrział na niego i zadał mu pytanie, które dręczyło go od ich pierwszego spotkania.

–Dzieciaku, ile ty właściwie masz lat? Czternaście? Piętnaście?

–Dwadzieścia pięć.

Monk z niedowierzaniem pokręcił głową. Wydawało mu się to niemożliwe. Naprawdę dzieliło ich jedynie siedem lat? Rozprostował palce protezy – przez siedem lat sporo mogło się wydarzyć. Uważniej przyjrzał się swojemu towarzyszowi, próbując ocenić jego przydatność

jako agenta.

Podczas jazdy pociągiem z Waszyngtonu zapoznał się z danymi dotyczącymi doktora Henry'ego Malloya, ale o swoim towarzyszu wiedział niewiele. Creed pochodził z Ohio, po roku przerwał studia medyczne i przesłużył dwie tury w Kabulu. Podczas służby został

zraniony przez odłamek z miny-pułapki i do tej pory kulał. Próbował załapać się na trzecią turę, ale zwolniono go ze służby. Wyniki testów i doświadczenie sprawiły, że został zwerbowany przez Sigmę i wysłany na studia z zakresu genetyki na Uniwersytecie Cornella.

W dalszym ciągu jednak wyglądał jak maturzysta.

–Ile czasu pracujesz w Sigmie? – spytał Monk.

Creed popatrzył na niego.

–Skończyłem Cornell trzy miesiące temu – odparł. – Jestem w Sigmie od dwóch miesięcy i powoli się wciągam.

–Więc to twoje pierwsze zadanie?

–Jeżeli chcesz nazwać to zadaniem... – mruknął chłopak, wyglądając przez okno.

Choć Monk miał podobne odczucia, najeżył się.

–W pracy w terenie liczy się każdy szczegół, więc jej nie lekceważ. Odpowiednia informacja może pomóc rozwiązać sprawę, a jej brak wszystko rozwalić. Musisz się tego nauczyć, dzieciaku.

Creed znowu spojrział na swojego starszego towarzysza. Sprawiał wrażenie nieco zawstydzonego.

–Rozumiem. Uwaga przyjęta.

Monk splótł ramiona na piersi i pokręcił głową.

Dzieciaki... wydaje im się, że wszystko wiedzą, pomyślał.

Ponieważ taksówka właśnie wjeżdżała na teren uniwersyteckiego kampusu, rozejrzał się wokół. Miał wrażenie, że w samym środku New Jersey spadł z nieba zielony kawałek Anglii. Na trawnikach leżały różnokolorowe jesienne liście, po dostojnych murach wspinał się bluszcz i nawet akademiki przypominał litografie angielskiego wydawnictwa Currier and Ives.

Nie jechali zbyt długo przez ten bukoliczny świat. Po chwili taksówka podjechała do krawężnika i wysiedli.

Laboratorium imienia Carla Icahna zajmowało jeden z rogów rozległego trawnika. W odróżnieniu od innych budynków w Princeton – z których większość pochodziła z XVIII i XIX wieku – miało zaledwie kilka lat i stanowiło zadziwiające dzieło architektoniczne. Dwa budynki, w których mieściły się główne laboratoria, stały prostopadle do siebie, połączone piętrowym łukowatym atrium wychodzącym na park.

Tu właśnie mieli się spotkać z doktorem Henrym Malloyem.

–Gotów? – spytał Monk swojego partnera, spoglądając na zegarek.

Byli kilka minut spóźnieni.

–Gotów na co? – zdziwił się Creed.

–Na rozmowę.

–Sądziłem, że ty ją będziesz prowadził.

–Nic z tego. To zadanie należy do ciebie, mały.

Creed westchnął ciężko.

–Niech ci będzie.

Weszli do budynku i po chwili znaleźli się w atrium. Za piętrową zakrzywiającą się szklaną ścianą rozciągał się wspaniały trawnik. Okna dzieliły dwunastometrowej wysokości żaluzje, które były tak zaprogramowane, że zmieniały położenie wraz z przesuwaniem się słońca na niebie. Rzuciły w głąb atrium głębokie cienie, nakrapiając siatką plamek stoły i krzesła. Rzędzie siedziały grupki rozgadanych studentów, niemal każdy trzymał w dłoniach kubek z kawą.

Monk rozejrzał się, szukając miejsca, w którym mieli się spotkać z doktorem Malloyem.

–Tędy – powiedział po chwili i poprowadził swojego towarzysza przez atrium.

Przy schodach wznosiła się sięgająca do pierwszego piętra rzeźba przypominająca roztopioną muszlę ślimaka. Bez trudu można było w niej rozpoznać dzieło Franka Gehry'ego. „Muszla” otaczała niewielką przestrzeń, na tyle charakterystyczną, aby umawiający się w tym miejscu ludzie łatwo się odnaleźli. Przy prostokątnym stole konferencyjnym siedziało już kilku ludzi.

Monk podszedł bliżej i stwierdził, że wszyscy są zbyt młodzi, aby jeden z nich mógł być Henrym Malloyem, którego fotografię miał w aktówce.

Może doktor już sobie poszedł?

Wyszedł z „muszli” i wyjął komórkę. W gabinecie Malloya nikt nie podnosił słuchawki – po

chwili włączyła się automatyczna sekretarka.

Jeśli doktor gdzieś wyszedł, cała droga była na darmo...

Monk zadzwonił pod inny numer – do asystentki doktora.

Kiedy odebrała, wyjaśnił jej sytuację.

–Nie ma go? – zdziwiła się kobieta.

–Jest tylko grupa dzieciaków wyglądających jak uczniowie szkoły średniej.

–Ma pan rację – odparła asystentka ze śmiechem. – Studenci robią się coraz młodszy. Przykro mi, doktor Malloy musi być nadal u siebie w laboratorium. Kiedy wychodziłam, był tam jeszcze, ale on nigdy nie słyszy telefonu. Czasami tak bardzo koncentruje się na tym, co akurat robi, że potrafi zapomnieć o zaplanowanym wykładzie. Obawiam się, że dziś może być

podobnie, więc proszę nie rezygnować. Jest ogromnie podniecony tym, co dziś odkrył.

–Ostatnie słowa zelektryzowały Monka. Czyżby Malloy odkrył coś, co mogłoby im pomóc?

–Proszę posłuchać – powiedziała kobieta. – Jestem teraz w moim gabinecie po drugiej stronie ulicy, z koleżanką, musimy tylko coś skończyć. Budynek, w którym pan się znajduje, i ten, w którym jest mój gabinet, łączy podziemny tunel. Proszę zapytać któregoś ze studentów o drogę. Pożyczę od administratora kartę zbliżeniową i spotkamy się w tunelu. Laboratorium doktora Malloya jest na poziomie piwnicy. Sądzę, że zechce osobiście pokazać panu wynik analizy DNA.

–Doskonale, wobec tego spotykamy się w tunelu. – Monk schował telefon do kieszeni i machnął na Creeda aktówką. – Idziemy. Jesteśmy umówieni w laboratorium doktora.

Po uzyskaniu wskazówek od studentki w bardzo obcisłym sweterku zeszli do poziomu piwnicy. Znalezienie podziemnego tunelu nie sprawiło im żadnej trudności.

Gdy się tam znaleźli, z jego przeciwległego końca zamachała do nich kobieta w średnim wieku. Podeszła szybkim krokiem i wyciągnęła rękę.

–Andrea Solderitch – przedstawiła się.

Kiedy również się przedstawili, poprowadziła ich sąsiadującym z tunelem korytarzem. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, bez przerwy mówiła.

–Na dole jest tylko kilka laboratoriów, toteż łatwo się zgubić. Znajdują się tu głównie magazyny, pomieszczenia techniczne... no i wiwarium, w którym trzymamy zwierzęta laboratoryjne. Wydział genomiki przechowuje tu też swoje centrum mikromacierzy, aby nie miało kontaktu z ozonem. Już dochodzimy.

Uniosła trzymaną w dłoni kartę zbliżeniową i podeszła do zamkniętych drzwi.

–Administrator wydziału próbował dzwonić do laboratorium, ale nikt nie odbierał telefonu – dodała. – Zajrzyjmy do środka. Jestem pewna, że doktor nie wyszedł jeszcze z kampusu.

Pomachała kartą i nacisnęła klamkę. Kiedy drzwi otworzyły się z sykiem sprężonego powietrza, Monk poczuł dym – sądząc po jego cierpkim smaku, prawdopodobnie był to dym ze spalonych przewodów elektrycznych – a także inny zapach, jakby spalonych włosów. Chciał zatrzymać Andreę, ale się spóźnił – już zdążyła zobaczyć, co się stało. Jej twarz wykrzywiło przerażenie. Uniosła dłoń do ust.

Monk przyciągnął ją do siebie i pchnął w stronę Creeda.

–Nie pozwól jej tu wejść – polecił chłopakowi.

Wypuścił z ręki aktówkę i sięgnął do kabury pod pachą.

Szybkim ruchem wyjął służbowego hecklera kocha kaliber 45. Oczy Andrei zrobiły się wielkie jak spodki. Odwróciła się i wtuliła twarz w ramię Creeda.

–Masz broń? – spytał go Monk.

–Nie... sądziłem, że to tylko zwykła rozmowa.

Monk pokręcił głową.

–Niech zgadnę, synuś, nigdy nie byłeś w skautach, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do laboratorium, uważnie rozglądając się po całym pomieszczeniu. Mógłby się założyć, że ten, kto odwiedził doktora, już zniknął, ale wolał nie ryzykować. Henry Malloy był przywiązany do stojącego pośrodku pomieszczenia krzesła. Głowa zwisała mu na pierś, a pod krzesłem rozlewała się kałuża krwi.

Komputer za plecami doktora był zwęglony.

Monk popatrzył na sufit. Z pewnością wyłączono czujniki dymu.

Podszedł do Malloya i sprawdził puls. Nie wyczuł go, choć ciało było jeszcze ciepłe. Mordercy musieli uciec bardzo niedawno temu. Doktor miał połamane palce, więc był torturowany – prawdopodobnie próbowano wyciągnąć z niego jakieś informacje.

Przyczyną śmierci było uderzenie nożem w pierś – tylko jedno, fachowo zadane. To, że doktora tak szybko zabito, świadczyło o tym, że powiedział wszystko, czego od niego oczekiwano.

Monk pociągnął nosem. Smród spalenizny był silniejszy przy zwłokach. Odór spalonego ciała.

Delikatnie uniósł palcem podbródek zmarłego. Kiedy głowa bezwładnie opadła do tyłu, odkrył skąd pochodzi ten zapach. Pośrodku czoła widać było świeżo wypaloną, sięgającą aż do kości ranę, gotującą się jeszcze na krawędziach.

Okrąg z wpisanym w środek krzyżem.

Z zamyślenia wyrwał go dobiegający od wejścia do laboratorium dzwonek telefonu komórkowego. Nie chcąc dalej naruszać miejsca zbrodni, wycofał się na korytarz.

Andrea trzymała telefon przy uchu. Miała wilgotne oczy i ciekło jej z nosa.

–Co? – jęknęła z rozpaczą. – Nie! Dlaczego?!

Opadła plecami na ścianę i zsunęła się po niej na podłogę.

Telefon wypadł jej z ręki. Monk ukląkł obok.

–Co się stało?

Kobieta potrząsnęła głową.

–Ktoś... – wskazała telefon. – Dzwoniła moja sąsiadka.

Usłyszała, że moje psy szczekają, i zobaczyła, jak ktoś wychodzi z mieszkania. Poszła zobaczyć... drzwi były otwarte. Zabili... moje psy... – Zasłoniła twarz dłońmi. – Czemu nie poszłam prosto do domu, jak powiedziałam doktorowi Malloyowi?

Creed zmarszczył czoło, nie rozumiejąc, o co chodzi. Monk wstał i pomógł podnieść się Andrei.

–Kiedy pani sąsiadka widziała intruza? – zapytał.

–Nie... nie wiem. Nie mówiła. Zadzwoiła na policję.

Monk znowu popatrzył na ciało Henry'ego Malloya. Doktor powiedział swoim oprawcom wszystko, czego zażądali. Wymienił nazwiska. Prawdopodobnie było wśród nich nazwisko jego asystentki. Sądził, że Andrea pojechała do domu. Musiał dać zabójcom jej adres i pojechali ją uciszyć.

A kiedy jej nie znaleźli...

Wystarczyło wykonać kilka telefonów.

–Musimy natychmiast stąd zniknąć! – zawołał. – Już!

Ruszyli szybkim krokiem podziemnym korytarzem.

–Mówiła pani, że pracuje w swoim laboratorium z koleżanką – powiedział Monk, kiedy już oddalili się od drzwi laboratorium. – Czy ona wie, dokąd pani poszła?

Odpowiedź na swoje pytanie otrzymał u wylotu tunelu. Korytarzem szedł w ich stronę wysoki mężczyzna w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu – choć od wielu dni nie padało.

Monkowi wystarczyło na niego spojrzeć. Natychmiast pchnął Andreę do tyłu i wyciągnął pistolet. Jakby poruszany tym samym impulsem, mężczyzna uniósł rękę, poły jego płaszcz rozsunęły się na boki i wysunął się spod nich pistolet maszynowy z krótką lufą. W ścianę korytarza uderzył grad pocisków. Broń intruza nie była głośniejsza od miksera, ale kiedy kule wgryzły się w róg, za którym zniknęli, w powietrze poleciały kawałki kafelków.

–Schody! – krzyknął Monk i wskazał w kierunku atrium.

Gdy dotarli do schodów, na ich szczycie rozległ się tupot stóp.

Monk kazał Andrei i Creedowi zatrzymać się i spojrzal w górę. Po schodach zbiegał ku nim napastnik ubrany tak samo jak poprzedni – w wojskowe buty i czarny płaszcz przeciwdeszczowy.

Wycofali się w labirynt podziemnych korytarzy – musieli znaleźć inną drogę ucieczki.

Kiedy zagłębili się w mroczne korytarze, gdzieś po przeciwnej stronie piwnic huknęły ciężkie metalowe drzwi.

Monk odwrócił się do Andrei.

–To chyba było wyjście awaryjne – szepnęła z przerażeniem.

Monk natychmiast domyślił się, co to znaczy.

Trzeci skrytobójca.

10 października, godz. 18. 32

Waszyngton

–Tego symbolu nie ma w bazie danych żadnej ze znanych grup terrorystycznych – powiedział Painter Crowe.

Stał przed stołem konferencyjnym, a za nim na ścianie rozwieszony był ekran, na którym widniał przekreślony krzyżem okrąg.



Dyrektor oparł się o stół. Sala konferencyjna była nowym nabytkiem w kwaterze głównej Sigmy, urządzono ją dopiero po zamachu bombowym. Pośrodku stał okrągły stół, przed każdym krzesłem znajdował się komputer. Było dwanaście miejsc, teraz jednak zajęto tylko trzy.

Kat siedziała po prawej stronie Paintera Crowe'a, poproszona o uczestnictwo w naradzie ze względu na swoje kontakty z międzynarodowym wywiadem. Po jej prawej siedział Adam Proust, kryptolog, a po drugiej stronie stołu Georgina Rowe, nowy rekrut Sigmy, specjalistka z zakresu bioinżynierii.

–Zaczynamy więc od zera – stwierdził Painter i zaczął chodzić wokół stołu. Sam zaprojektował to pomieszczenie w taki sposób, aby mówca mógł po nim chodzić i obserwować siedzących za stołem ludzi. – Co ten symbol oznacza? W jaki sposób wiąże się ze zniszczeniem obozu Czerwonego Krzyża oraz zamordowaniem syna senatora i okaleczeniem jego zwłok?

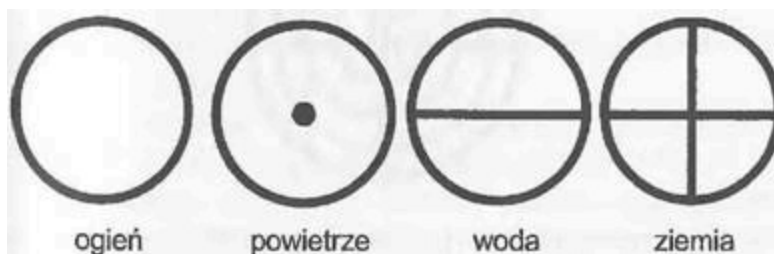
Adam Proust odchrząknął i wskazał ręką ekran. Miał czterdzieści pięć lat i był ubrany po sportowemu – dzinsy, cienki czarny golf i tweedowa marynarka.

–Ten symbol ma dość długą historię, sięgającą wczesnych wieków istnienia ludzkości – powiedział. – Czasem nazywa się go podzielonym na ćwiartki okręgiem. Jego znaczenie

jest dość podobne w różnych kulturach. Okrąg reprezentuje Ziemię, którą krzyż dzieli na cztery części. W kulturze Indian amerykańskich te cztery elementy reprezentują...

–Cztery wiatry – dokończył Painter.

–Właśnie. W innych kulturach oznaczają one cztery żywioły: ziemię, wodę, powietrze i ogień. Niekiedy przedstawia się je w ten sposób... – Kryptolog postukał w klawisze i obraz na ekranie się zmienił.



–Jak państwo widzą, podzielony na ćwiartki okrąg staje się tu symbolem Ziemi i zawiera wszystkie pozostałe elementy.

Znak ten można znaleźć we wszystkich częściach świata. Jego etymologia jest bardzo interesująca i sięga pogańskich czasów. W wielu krajach nordyckich umieszczano go na płytach i pionowo ustawianych kamieniach. Często towarzyszy mu inny petroglif: pogańska spirala. Oba te symbole są ściśle ze sobą powiązane.

–Powiązane? – powtórzył Painter. – W jaki sposób?

Adam znowu postukał w klawisze. Na ekranie pojawił się nowy obraz.

–Mamy tu stylizowaną pogańską spiralę. W północnej Europie można znaleźć wiele jej wariantów.



Kolejne stuknięcie w klawisze nałożyło spiralę na podzielony na ćwiartki okrąg.



–Proszę zwrócić uwagę na to, że spirala zaczyna się w środku krzyża i rozchodzi na

boki, wypełniając całą przestrzeń. Okrąg symbolizuje Ziemię, a spirala życie i wędrówkę duszy: od narodzin do śmierci i znowu do kolejnych narodzin.

Kat westchnęła.

–No dobrze, ale nie bardzo rozumiem, jaki to ma związek z tym, co się wydarzyło w Afryce. Czy przypadkiem nie odbiegamy od tematu?

–Może nie – powiedziała Georgina Rowe i poprawiła się na krześle. Była krępa i miała ostrzyżone po męsku włosy. – przejrzałam raport NATO i choć szczegóły są dla mnie w dalszym ciągu niezbyt jasne, nie mogę pozbyć się wrażenia, że wcale nie chodziło o konflikt między rebeliantami a rządem Mali, ale o zniszczenie farmy należącej do Viatus International.

–Mnie również się tak wydaje – stwierdziła Kat. – Tuaregowie nigdy nie demonstrowali takiego poziomu agresji. Zwykle atakowali, zabierali, co się dało, po czym uciekali. Nigdy nie wyrzynali wszystkich w pień.

–I jeszcze to ukrzyżowanie tamtego biednego chłopaka pośrodku wypalonego pola i wypalenie mu na czole znaku... – Georgina ze smutkiem pokręciła głową. – Prawdopodobnie miało to być ostrzeżenie dla korporacji prowadzącej badania nad genetycznie zmodyfikowaną żywnością. Moja specjalność to bioinżynieria i doskonale zdaję sobie sprawę z kontrowersji, jakie budzi genetycznie modyfikowana żywność. Opór przed tego typu manipulowaniem przyrodą jest coraz silniejszy. Oczywiście głównie wynika to ze strachu, którego przyczyną jest brak informacji. Mogę podać państwu więcej szczegółów...

Painter zatrzymał się i popatrzył na nią.

–Lepiej na razie skupmy się na tym, jaki to może mieć związek z naszą sprawą.

–Nietrudno się tego domyślić. Ruch przeciwników genetycznie modyfikowanej żywności jest szczególnie silny w Afryce. Zambia i Zimbabwe zakazały ostatnio sprowadzania wszelkich produktów spożywczych zawierających genetycznie modyfikowane składniki, choć milionom mieszkańców tych krajów grozi głód. Oczywiście to głupia polityka, oparta na założeniu „lepiej umrzeć, niż się najeść”, ale podobne podejście jest coraz powszechniejsze. Moim zdaniem zniszczenie obozu Czerwonego Krzyża było atakiem na Viatus International. – Wskazała ekran. – I według mnie potwierdza to etymologia tego symbolu przedstawiona przez Adama.

–Symbol reprezentujący Ziemię... – mruknął w zamyśleniu Painter.

–Ktokolwiek stoi za tą napaścią, uważa, że w ten sposób ją chroni – oświadczyła Georgina. – Moim zdaniem mamy tu do czynienia z nową grupą ekoterrorystyczną.

Kat zmarszczyła brwi.

–To ma sens – przyznała. – Muszę porozmawiać z moimi informatorami. Może uda nam się zlokalizować siedzibę tych terrorystów i określić, kim są.

–Przerwaliśmy panu – powiedział Painter, odwracając się do Adama Prousta. – Chciałby pan coś jeszcze dodać?

–Jedną rzecz. Dotyczy to podzielonego na ćwiartki okręgu i spirali. Oba te symbole miały wielkie znaczenie dla druidów. Kiedy północne regiony Europy przechodziły na chrześcijaństwo, symbole te włączono do nowej wiary i krzyż druidzki stał się używanym do dziś krzyżem celtyckim.

Adam wyświetlił nowy obraz.



–Spirala zaczęła wtedy reprezentować Chrystusa, symbolizując jego przejście od życia do śmierci, a potem zmartwychwstania – dodał.

–I co z tego wynika? – spytała z niecierpliwością Kat, najwyraźniej zaniepokojona, że dyskusja może zbiec na niewłaściwe tory.

Painter domyślił się jednak, do czego dąży kryptolog.

–Uważa pan, że ta ekoterrorystyczna grupa ma siedzibę w Afryce?

Adam pokręcił głową.

–W Afryce podzielony na ćwiartki okrąg reprezentuje najczęściej nie Ziemię, ale Słońce. Moim zdaniem powinniśmy się raczej skupić na kierunku północnoeuropejskim. Zwłaszcza że Viatus International ma siedzibę w Oslo.

–A więc szukamy bandy wkurzonych druidów – stwierdziła Georgina.

Adam wzruszył ramionami.

–W całej Europie wyraźnie widoczne jest rozszerzanie się neopoganizmu. Wiele grup ma korzenie w dalekiej przeszłości. Krąg Druidów Uniwersalnej Więzy. Prastary Zakon

Druidów. Początki obu tych grup sięgają końca szesnastego wieku, ale inne grupy twierdzą, że ich dziedzictwo jest znacznie starsze. Tak czy owak, ten ruch stale się rozwija, w dodatku niektóre grupy są zdecydowanie wrogo nastawione do systemu korporacyjnego. Według mnie

właśnie na tym powinno się skupić śledztwo. I to w Europie Północnej.

Kat kiwnęła głową. Już układała plan.

Painter wrócił pod ścianę z ekranem.

–Ja również uważam, że to dobry punkt startu. Jeżeli Wszyscy...

W tym momencie w jego kieszeni zadzwonił telefon. Uniósł dłoń, prosząc o chwilę przerwy, wyjął aparat i sprawdził, kto dzwoni. Był to jego asystent. Ponieważ Painter polecił, żeby mu nie przeszkadzano, jeśli nie pojawi się coś naprawdę ważnego, poczuł niepokój.

–Co się dzieje, Brant?

–Właśnie dzwoniło z operacyjnego. Z Princeton było mnóstwo telefonów pod dziewięćset jedenaście. W Laboratorium imienia Carla Icahna miała miejsce strzelanina.

Painter starał się zachować obojętną minę. Monk Kokkalis i John Creed mieli dotrzeć do laboratorium godzinę temu, toteż Painter nie chciał, aby Kat zauważyła jego niepokój.

–Połącz się z miejscowymi władzami i uruchom łącze satelitarne. Zaraz u was będę – powiedział, po czym rozłączył się i popatrzył na siedzących przy stole konferencyjnym ludzi. – W porządku, wszyscy znają swoje zadania, więc do roboty.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

Czuł na plecach wzrok Kat. Najwyraźniej coś podejrzewała, ale dopóki nie było wiadomo nic więcej, nie chciał jej niepotrzebnie niepokoić.

Tym bardziej że znowu była w ciąży.

Godz. 18. 45

Monk prowadził z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

Miał tylko dziesięć naboí, a polowało na nich przynajmniej trzech zabójców. Stosunek sił był mocno niekorzystny, w dodatku napastnicy byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Nie mógł zmarnować ani jednego strzału. Miał zapasowy magazynek w aktówce, ale zostawił ją pod laboratorium Malloya.

–Jest stąd jakieś inne wyjście? – spytał Andreę.

–Nie... chociaż... – urwała, rozglądając się nerwowo na boki.

John Creed przez cały czas trzymał ją za łokieć i zmuszał do marszu.

–Co: „chociaż”?

–Budynek ma konstrukcję modułarną, aby można było zmieniać konfigurację pomieszczeń. – Wskazała palcem w górę. – Między piętrami jest duża przestrzeń techniczna z kładkami dla serwisantów.

Monk popatrzył na sufit. To mogło się udać...

–Gdzie jest najbliższe wejście?

Andrea pokręciła głową, wciąż jeszcze nie była w stanie jasno myśleć.

–Nie wiem...

Monk złapał ją za ramię i ścisnął lekko.

–Andrea, weź wdech, spróbuj się uspokoić...

Przerwała mu salwa z broni maszynowej. Zza rogu korytarza wyszła czarna postać i natychmiast otworzyła ogień. Pociski rozorały podłogę i ściany. Monk zasłonił asystentkę Malloya i również zaczął strzelać, ale napastnik błyskawicznie się schował. Monk wepchnął Andreę w najbliższe otwarte drzwi, a Creed podążył za nimi.

Znaleźli się w czymś na kształt przedpokoju albo poczekalni. Zobaczyli przed sobą kolejne drzwi – tym razem podwójne.

–Idziemy! – zakomenderował Monk.

Kiedy weszli do następnego pomieszczenia, automatycznie zaczęły zapalać się w nim światła, ukazując rozległą przestrzeń, podzieloną szeregami klatek z nierdzewnej stali. Ich nozdrza natychmiast wypełnił smród moczu i zapach piżma. Musiało to być laboratoryjne wiwarium, w którym trzymano zwierzęta używane do eksperymentów. Gdzieś w głębi zaszczekał pies, a bliżej zaczęły poruszać się jakieś małe zwierzęta oraz kilka znacznie większych.

W najniższej warstwie dość sporych klatek były zamknięte tłuste prosiaki wielkości piłki futbolowej – niektóre piszczały i kręciły się w kółko jak oszalałe.

Monk kazał swoim towarzyszom iść przejściem między klatkami. Nie mogli zabarykadować drzwi, więc wiedzieli, że mężczyzna z pistoletem maszynowym zaraz ich dogoni.

–Jest stąd jakieś wyjście? – zapytał znowu Monk asystentkę zamordowanego doktora.

Andrea wskazała przed siebie.

W tym samym momencie usłyszeli dobiegający z tyłu metaliczny szczęk. Kiedy Monk się odwrócił, zobaczył, że Creed otwiera najniższe klatki. Po chwili zaczęły się z nich wytaczać

małe czarno-różowe kule. Biegały, podskakiwały i piszczwały. Do stada wciąż dołączały kolejne prosiaki.

–Co ty robisz?

–Przeszkoda – wyjaśnił Creed, otwierając następne klatki.

Monk kiwnął głową. Powinno to spowolnić ich prześladowcę.

Kiedy niemal dotarli do przeciwnego końca wiwarium, podwójne drzwi za ich plecami otworzyły się z hukiem. Zaterkotała seria z pistoletu maszynowego, ale przerwało ją pełne zaskoczenia stęknienie i loskot padającego na podłogę ciała.

Punkt dla czarno-różowych piłek futbolowych.

Monk doprowadził Andreę do końca holu, przeszli przez następne podwójne drzwi i ponownie znaleźli się w piwnicznym korytarzu.

–Te wejścia do przestrzeni serwisowych... – zaczął Monk. – Jest jakieś w pobliżu?

–Wiem tylko o jednym. W laboratorium doktora Malloya.

Monk próbował się połapać w systemie korytarzy, ale mu się to nie udało – zupełnie stracił orientację.

–Może nas tam pani zaprowadzić?

–Oczywiście. Tędy.

Andrea ruszyła do przodu – najwyraźniej otrząsnęła się już z szoku. Kiedy szli za nią, Monk zauważył, że Creed trzyma się za udo.

–Rykoszet – mruknął chłopak, gdy zauważył jego pytający wzrok. – Mała obcierka. Nie musimy się z tego powodu zatrzymywać.

Po wyjściu zza następnego zakrętu Monk zorientował się, że zatoczyli krąg i ponownie dotarli w pobliże laboratorium doktora Malloya. Przy jego otwartych drzwiach ujrzał swoją aktówkę.

Ruszyli biegiem.

Po przeciwnym końcu korytarza pojawił się kolejny napastnik z pistoletem maszynowym. Od drzwi laboratorium dzieliło ich jeszcze dziesięć metrów.

Monk biegł i strzelał.

–Nie zatrzymujcie się! – krzyknął do Andrei i Creeda. – Schowajcie się w laboratorium!

Choć biegnięcie w stronę strzelającego z pistoletu maszynowego napastnika mogło wydawać się szaleństwem, nie mieli wyboru – laboratorium było jedyną kryjówką.

Monkowi kończyła się już amunicja, ale dalej strzelał, bo dzięki temu przeciwnik nie mógł się zatrzymać i dokładniej wycelować. Niestety, strzelanina ściągnęła uwagę jeszcze kogoś – za ich plecami rozległ się terkot drugiego pistoletu maszynowego. Napastnicy próbowali wziąć ich w krzyżowy ogień.

Na szczęście po chwili dotarli do laboratorium.

Andrea i Creed zanurkowali do środka. Monk pochylił się, złapał swoją aktówkę i pobiegł za nimi.

Creed szybko zatrzasnął drzwi.

–Zamykają się automatycznie – powiedziała Andrea, obejmując się ramionami. Trzymała się jak najdalej od krzesła, do którego przywiązano doktora Malloya.

Monk wstał z pistoletem w jednej ręce i luksusową aktówką w drugiej.

–Gdzie jest ten właz?

Andrea wskazała sufit nad stołem laboratoryjnym. Jeden ze znajdujących się na nim prostokątnych paneli był oznaczony symbolem ostrzegającym przed porażeniem prądem.

–Wchodźcie na górę – polecił Monk Creedowi i Andrei.

–A co z tobą?

–Nie martw się o mnie. Będę tuż za wami. Pospieszcie się!

Kiedy Creed podsadzał Andreę na stół, Monk opadł na kolano. Musiał zapewnić swoim towarzyszom jak najwięcej czasu na ucieczkę. Najważniejsze było teraz uratowanie asystentki Henry’ego Malloya. Doktor musiał jej powiedzieć coś ważnego – coś, czego zdaniem zabójców nie powinna wiedzieć.

Creed otworzył już właz serwisowy i wpychał Andreę do środka.

Ukrywając się za zwłokami na krześle, Monk złapał aktówkę i rzucił ją – otwartą – na podłogę. Przez cały czas obserwował drzwi. Zdawał sobie sprawę, że nawet zamknięte, nie wytrzymają zbyt długo. Zwłaszcza że tamci mieli broń maszynową.

Pozostały mu tylko dwa naboje i musiał zmienić magazynek.

Kiedy po niego sięgał, drzwi wystrzeliły w jego stronę razem z dużym fragmentem ościeżnicy.

Monk ujrzał skraj czarnego płaszcza i strzelił dwa razy.

Napastnik zniknął z pola widzenia.

Monk ponownie sięgnął po zapasowy magazynek, jednocześnie wyrzucając stary. Kątem oka dostrzegł machnięcie ramienia zza drzwi i w jego stronę poszybował przedmiot wielkości piłki tenisowej.

A niech to cholera...

Granat.

Monk wypuścił z rąk pistolet i zapasowy magazynek, błyskawicznie podniósł aktówkę, złapał w nią granat, po czym szerokim zamachem wyrzucił ją przez otwarte drzwi.

Zanim teczka wyleciała na zewnątrz, wskoczył na stół i rzucił się ku otwartemu włazowi, w którym właśnie zniknęły buty Creeda.

Za późno.

Eksplozja była ogłuszająca i oślepiająca. Fala uderzeniowa wepchnęła Monka w przestrzeń serwisową. Uderzył głową w jakieś rury i zwałił się na Creeda. Zaczęli się szarpać, próbując się rozłączyć, i Monk dostał łokciem w oko.

Mimo oszołomienia natychmiast zaczął poganiać pozostałą dwójkę. Wątpił, żeby napastnicy za nimi podążyli, ale nie zamierzał pozwolić swoim towarzyszom na odpoczynek, dopóki nie znajdą się w bezpiecznym miejscu i nie zdobędą jakiejś broni.

Pełzli na czworaka na wpół głusi i ślepi.

Tak jak mówiła Andrea, przestrzeń serwisowa była wyposażona w liczne podesty. Dzięki temu nie potrzebowali zbyt wiele czasu, aby wydostać się na zewnątrz i wmieszać w panujący wokół budynku chaos. Policja zablokowała już wszystkie wyjścia, dookoła było pełno radiowozów, furgonetek SWAT i reporterów.

Kiedy wyszli, natychmiast otoczyli ich gliniarze. Zanim Monk zdążył cokolwiek wyjaśnić, złapała go jakaś silna dłoń, odciągnęła na bok i pokazała odznakę.

–Departament Bezpieczeństwa Krajowego – powiedział wielki jak góra mężczyzna. – Doktorze Kokkalis, mamy zawieźć was w bezpieczne miejsce. To rozkaz z Waszyngtonu.

Monk nie protestował. Taki rozkaz bardzo mu się podobał. Kiedy ich odprowadzano, odwrócił się i popatrzył na laboratorium.

Kat mu nie daruje – ta aktówka była droga jak cholera.

11 października, godz. 6. 28

Fiumicino, Włochy

Gdzie ona może być? – zastanawiał się Gray.

Wyszedł właśnie z terminalu głównego rzymskiego lotniska i kierował się w stronę postoju taksówek. Wszędzie ryczały klaksony i dudniły autobusy. Nawet tak wcześnie rano lotnisko było pełne samochodów i turystów.

Przechodząc przez tłum, Gray przyciskał do ucha telefon. Mógł iść dość szybko, bo drogę torował mu idący przed nim olbrzym. Joe Kowalski nie miał zbyt szczęśliwej miny – zdecydowanie wolał pływanie po morzach i oceanach od latania.

–Te siedzenia w samolocie chyba nie mogły być ciaśniejsze – mruknął z dezaprobatą i pokręcił głową, aż chrupnęło mu w karku. – Kolanami tarłem o uszy. Jakby zamierzali zbadać mój gruczoł krokowy. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby zamiast stewarda mieli stewardesę... – dodał.

–Nie musiałeś zgłaszać się na ochotnika – odparł Gray, czekając na połączenie.

–Na ochotnika? Obiecano mi przecież pięćdziesiąt procent premii! To było jak przystawienie mi pistoletu do karku. Poza tym muszę przecież pomóc dziewczynie.

Graya nieco dziwiła ta jego nagła chęć do pomagania Rachele, ale przynajmniej dzięki temu były marynarz częściej brał prysznic i nawet czarna szczecina na jego głowie była przystrzyżona.

Machnął ręką, dając mu znak, aby się nie zatrzymywał. Czekał na połączenie z Comando Carabinieri Tutela del Partimonio Culturale, gdzie pracowała porucznik Verona.

Przed wylotem z Waszyngtonu zaplanowali spotkanie przed terminalem lotniska, nie było jej jednak w tłumie turystów. Próbował dzwonić do niej do domu i na komórkę, ale nie odbierała. Sądząc, że być może utknęła gdzieś w korku, odczekał pół godziny pod terminalem lotniska.

Czekając, skontaktował się z Sigmą. W Waszyngtonie było tuż po północy. Painter Crowe zapoznał go ze szczegółami wydarzeń w New Jersey, podczas których Monk został wciągnięty w strzelaninę. Mogło to mieć związek z jakąś grupą ekoterrorystyczną, ale jeszcze

tego nie sprawdzono.

Gray najchętniej wskoczyłby z powrotem do samolotu i wrócił do Waszyngtonu, jednak Painter oświadczył, że sytuacja została opanowana, i ma zostać w Rzymie.

W końcu w słuchawce odezwał się ponury kobiecy głos, mówiący po włosku. Po roku spotkania się z Rachele Gray nieco opanował ten język.

–Porucznik Verony nie ma dziś w TCP. Z jej grafiku wynika, że ma wolne – powiedziała kobieta. – Może mógłby panu pomóc inny oficer...

–Nie, dziękuję. *Grazie* - odparł Gray, rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

Wiedział, że Rachele planowała wziąć wolne, ale miał nadzieję, że z jakiegoś powodu zjawi się w pracy. Coraz bardziej się niepokoił. Gdzie ona mogła być?

Kowalski zatrzymał taksówkę i wszedł.

–A co ze szpitalem, w którym leży jej wuj? – spytał były marynarz. – Sprawdziłeś, czy jej tam nie ma?

–Chyba powinienem – mruknął Gray.

Jak mógł o tym nie pomyśleć? Może stan zdrowia Vigora się pogorszył. Gdyby tak było, Rachele na pewno rzuciłaby Wszystkie inne sprawy i pojechała do szpitala.

Zadzwoił do informacji i uzyskał połączenie z centralą szpitala. Nie udało mu się połączyć z pokojem Vigora, ale mógł porozmawiać z pielęgniarką.

–*Monsignore Verona* wciąż przebywa na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej – poinformowała go. – Jeśli ma pan jakieś pytania, proszę się zwrócić do rodziny albo policji.

–Chciałem się tylko dowiedzieć, czy może jest u niego jego bratanica, porucznik Rachele Verona.

Głos kobiety natychmiast złągodniał.

–Ach, jego *nipote* Rachele. *Belissima ragazza*. Spędza tu wiele godzin. Była wczoraj wieczorem, ale dziś jeszcze się nie zjawiała.

–Czy jeśli się pojawi, mogłaby jej pani przekazać, że dzwoniłem? – poprosił Gray i podał kobiecie swój numer.

Wsunął telefon do kieszeni i opadł na oparcie fotela. Wpatrywał się w domy przemykające obok prowadzącej do centrum trasy szybkiego ruchu.

Rachele wynajęła dla niego pokój w niewielkim hoteliku. Gray dobrze go znał – spotykali się w nim, kiedy byli parą.

Zastanawiał się, dlaczego dziewczyna nie pojawiła się w umówionym miejscu. Gdzie mogła być? Jego niepokój zbliżał się do granicy paniki. Próbował siłą woli zmusić taksówkę do

szybszej jazdy.

Sprawdzi w hotelu, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości, i pojedzie prosto do mieszkania Rachele, które znajdowało się tylko kilka przecznic od hotelu.

Zajmie to jednak nieco czasu.

Zbyt wiele.

Z każdym kilometrem serce waliło mu mocniej, a lewa ręka silniej zaciskała się na kolanie. Kiedy przejechali przez zabytkową bramę i zbliżali się do centrum, taksówka zwolniła. Ulice robiły się coraz węższe. Piesi uciekali na boki, między samochodami przeciskali się rowerzyści.

W końcu taksówka skręciła w boczną uliczkę i stanęła przed hotelikiem. Gray wyskoczył, złapał swoją torbę i zostawił Kowalskiego, żeby zapłacił.

Hotel mieścił się w trzech sąsiadujących ze sobą budynkach pochodzących z XVIII wieku. Na małej mosiężnej plakietce, nie większej od ludzkiej dłoni, był wygrawerowany napis: CASA DI CARTINA. Do małego holu schodziło się po kilku stopniach.

Gray zszedł na dół. Wszystkie cztery ściany holu obwieszane były starymi mapami i przyrządami kartograficznymi, co tłumaczyło nazwę hotelu. Jego właściciele byli potomkami podróżników i marynarzy, a korzenie rodziny sięgały czasów sprzed Krzysztofa Kolumba.

Gościa przywitał stojący za małą drewnianą ladą starszy pan w zapiętej na wszystkie guziki kamizelce. Na jego twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

–Dawno pana u nas nie było, *signore* Pierce – powiedział po angielsku.

–Rzeczywiście dawno, Franco.

Kiedy zjawił się Kowalski, uważnie obejrzał ściany. Jako były marynarz potrafił docenić oryginalny wystrój holu i z aprobatą kiwnął głową.

–Czy przypadkiem nie dzwoniła do ciebie Rachele Verona? – zapytał Gray właściciela hotelu, próbując powiedzieć to w miarę obojętnym tonem. – Miałem nadzieję, że zostawi dla mnie jakąś wiadomość.

Twarz Franco zmarszczyła się ze zdziwienia.

–Wiadomość?

Nadzieja Graya rozprysła się jak mydlana bańka. Nie było dla niego żadnej wiadomości, może Rachele...

–*Signore* Pierce, dlaczego *signorina* Verona miałaby zostawiać u mnie wiadomość? Już jest w

pańskim pokoju i czeka.

–Na górze?

Franco sięgnął do schowka za plecami, wyjął z niego klucz i podał Grayowi.

–Trzecie piętro. Dałem panu ładny pokój z balkonem. Jest z niego wspaniały widok na Koloseum.

Gray kiwnął głową i wziął klucz.

–*Grazie.*

–Poprosić kogoś, żeby zaniósł na górę pański bagaż?

Kowalski szybko złapał torbę Graya.

–Ja się tym zajmę – oznajmił.

Gray ponownie podziękował właścicielowi hotelu i ruszył ku schodom. Były wąskie i kręte, bardziej przypominały drabinę niż schody. Musieli iść jeden za drugim. Kowalski rozejrzał się podejrzliwie.

–A gdzie winda?

–Nie ma windy.

–Chyba żartujesz...

Po dwóch kondygnacjach jego twarz zrobiła się ciemnoczerwona, a z ust leciał nieustający strumień przekleństw.

Na trzecim piętrze Gray poszedł za strzałkami do swojego pokoju. Korytarz był labiryntem ostrych zakrętów i ślepych zaułków.

W końcu dotarli do właściwych drzwi. Choć Gray miał wejść do swojego pokoju, przed użyciem karty zapukał. Odczekał chwilę i otworzył drzwi; nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie znowu zobaczy Rachele. Tak długo się nie widzieli... może zbyt długo.

–Rachele? To ja, Gray.

Siedziała na łóżku, na tle okna, skąpana w porannym świetle. Kiedy szybkim krokiem wszedł do pokoju, wstała.

–Dlaczego nie zadzwoniłaś?

–Dlatego że ją o to poprosiłam – odpowiedział drugi kobiecy głos.

Dopiero w tym momencie Gray zauważył kajdanki, przykuwające prawą rękę Rachele do wezłowania łóżka. Odwrócił się.

Z łazienki wyszła szczupła postać, ubrana w szlafrok sięgający do połowy ud. Jej czarne włosy były mokre, szesane na ramiona. Na Graya spojrzały migdałowe oczy o barwie jadeitu.

W prawej ręce trzymała pistolet, wycelowany prosto w jego pierś.

–Seichan...

Godz. 01.15

Waszyngton

–Nic więcej z niej nie wydobędziemy – powiedział Monk do Paintera i opadł na stojący za biurkiem fotel. – Jest bardzo zmęczona i w dalszym ciągu znajduje się w szoku.

Painter Crowe przyjrzał się swojemu podwładnemu. Monk również nie wyglądał zbyt dobrze.

–Czy Creed skończył już analizę danych genetycznych?

–Kilka godzin temu. Chce je pokazać jeszcze statystykowi, ale potwierdza wersję Andrei Solderitch. Przynajmniej na tyle, na ile jesteśmy ją w stanie zweryfikować.

Asystentka Henry'ego Malloya zrelacjonowała rozmowę, którą odbyła ze swoim szefem godzinę przed jego śmiercią. Doktor kompilował macierz kodu genetycznego z danych, które Jason Gorman przesłał ojcu – z mapy genetycznej zebranej w Afryce kukurydzy. Radioaktywne markery wskazywały, które geny są obce gatunkowi.

Dwa chromosomy.

–A co z pierwotnym plikiem? – spytał Painter. – Tym, który Jason przesłał doktorowi dwa miesiące temu? Z danymi genetycznymi pierwotnie wysianych nasion.

Monk przeciągnął dłonią po swojej łysej głowie.

–Technicy z Princeton w dalszym ciągu próbują je odzyskać. Sprawdzili wszystkie serwery. Doktor musiał przechowywać ten plik na swoim komputerze. Tym, który został spalony przez napastników. Wszystkie dowody zginęły.

Painter westchnął. Jedna ślepa uliczka za drugą. Skrytobójcy także zniknęli. Nie znaleziono ciała. Musieli uciec i prześlizgnąć się przez otaczający laboratorium kordon.

–Choć nie mamy dowodów, wierzę Andrei – oświadczył Monk. – Według niej w pierwotnym

materiale siewnym doktor Malloy znalazł tylko jeden obcy chromosom. Uważał, że drugi Plik dowodzi, iż dokonana w roślinach modyfikacja genetyczna Jest niestabilna.

–Ale nie da się tego udowodnić bez pierwotnego pliku.

–Pewnie właśnie dlatego torturowano i zamordowano Malloya. Zabójcy musieli otrzymać rozkaz zniszczenia wszelkich śladów istnienia pierwszego pliku... i zabicia każdego, kto o nim wiedział. Prawie im się to udało.

Painter zmarszczył czoło.

–Jednak w dalszym ciągu na potwierdzenie tego mamy tylko słowa pani Solderitch, z których zresztą wynika, że Malloy nie był do końca pewien swojej tezy o niestabilności. Próbki mogły pochodzić z dwóch różnych hybryd genetycznych. Mogły nie być ze sobą

spokrewnione.

–Więc co robimy?

–Chyba czas udać się do źródła.

Monk wbił wzrok w przypominające kształtem ziarno zboża logo na teczce leżącej przed Painterem.

–Viatus?

–Wydaje się, że tylko tam możemy znaleźć odpowiedzi na nasze pytania. Czytałeś raport dotyczący symbolu, jaki wypalono Jasonowi Gormanowi i doktorowi na czołach?

Monk z niesmakiem zacisnął usta.

–Podzielony na ćwiartki okrąg. Pogański krzyż.

–Założenie wstępne jest takie, że ten symbol reprezentuje grupę ekoterrorystów. Być może tak jest. Może jakaś grupa wariatów prowadzi osobistą wendetę przeciwko Viatusowi, a w pierwotnym pliku zawarta jest jakaś wskazówka na ten temat. – Painter westchnął i przeciągnął się. – Tak czy owak, najwyższy czas porozmawiać z Ivarem Karlsenem, dyrektorem generalnym Viatus International.

–A jeżeli ten facet nie zechce z nami rozmawiać?

–Dwa morderstwa na dwóch kontynentach... lepiej dla niego będzie, jeśli zechce. Zła prasa może pogorszyć notowania giełdowe Viatusa znacznie bardziej niż informacje o złych zbiorach.

–Kiedy chciałby pan... – zaczął Monk, ale przerwało mu pukanie do drzwi.

Obaj się odwrócili. Do środka szybkim krokiem weszła Kat i podeszła do biurka. Monk chciał się z nią przywitać, ale żona go zignorowała.

Painter wyprostował się.

To nie wróżyło niczego dobrego...

Kat miała zmrużone oczy i zaczerwienione policzki, jakby przez całą drogę biegła.

–Mamy kłopoty – oświadczyła.

–Co się stało? – zapytał Painter.

–Powinnam była zauważyć to wcześniej. – Jej głos łamał się ze złości. – Raporty Interpolu i nasze musiały skrzyżować się gdzieś nad Atlantykiem i pomieszać. Nikt nie zauważył, że mowa o dwóch różnych incydentach. Byliśmy jak goniące za własnymi ogonami psy.

–Co się stało? – powtórzył Painter.

Monk ujął dłoń żony.

–Zwolnij, skarbie. Weź głęboki oddech.

Rada męża jeszcze bardziej ją rozzłościła, nie zabrała jednak ręki z jego dłoni.

–Mamy kolejne morderstwo. Kolejne ciało oznakowane okręgiem z krzyżem.

–Gdzie?

–W Rzymie. W Watykanie.

Nie musiała niczego więcej wyjaśniać.

Godz. 7.30

Rzym

–Zachowajmy spokój – powiedziała Seichan, nadal celując w pierś Graya.

Stojący z boku Kowalski wypuścił bagaż i uniósł ręce do góry.

–Nienawidzę podróżować z tobą, Gray – burknął. – Nienawidzę.

Gray zignorował go i popatrzył na byłą skrytobójczyni Gildii... jeżeli to prawda, że rzeczywiście była już tylko „byłą”.

–Co ty wyprawiasz? – zapytał.

Pytanie to zawierało kilka innych: Co robisz w Rzymie? Dlaczego wzięłaś Rachele jako zakładniczkę? I czemu celujesz do mnie z pistoletu?

Odbierany przez satelitę impuls zlokalizował ją w Wenecji. Gdyby zmieniła miejsce pobytu, Painter natychmiast by go o tym zawiadomił.

Seichan odpowiedziała pytaniem na pytanie:

–Jesteście uzbrojeni?

–Nie.

Przyjrzała mu się uważnie, jakby się zastanawiała, czy mówi prawdę.

Nie kłamał – podróżowali zwykłą linią pasażerską i nie mogli mieć broni. Poza tym i tak nie zdążyliby jej sobie zorganizować.

Seichan wzruszyła ramionami, schowała broń do kieszeni i weszła do pokoju. Poruszała się z wdziękiem lwicy, świadoma swojej siły. Gray nie wątpił, że gdyby uznała to za konieczne, natychmiast wyciągnęłaby pistolet.

–W takim razie możemy porozmawiać jak przyjaciele – stwierdziła szyderczo, rzucając Grayowi kluczyk do kajdanek Rachele.

Gray złapał go, podszedł do łóżka i pochylił się, aby rozpiąć dziewczynie kajdanki.

–Wszystko w porządku? – spytał ją szeptem, kiedy przekręcał kluczyk.

Skóra na karku Rachele pachniała znajomo, budząc dawne uczucia i na nowo

rozniecając wygasły żar. Gdy się prostował, zauważył, że Rachele zapuściła dłuższe włosy, sięgały jej teraz za ramiona. Trochę też schudła, co uwydatniło kości policzkowe i jeszcze bardziej upodobiło ją do młodej Audrey Hepburn.

Uwolniona Rachele zaczęła rozcierać nadgarstki.

–Nic mi nie jest. Ale chyba powinieneś wysłuchać, co ona ma do powiedzenia. – Ściszyła głos. – Bądź jednak ostrożny, jest napięta jak struna.

Gray odwrócił się do Seichan, która podeszła wolnym krokiem do okna i wyjrzała przez okno na rozciągające się za nim dachy.

–Od czego chcesz zacząć, Pierce? – zapytała, nie odwracając się do niego. – Nie spodziewałeś się mnie w Rzymie?

Przyłożyła dłoń do lewego boku. Nie był to przypadkowy ruch, ale oskarżenie. Rok wcześniej

podczas zabiegu chirurgicznego właśnie w tym miejscu wszczepiono jej czujnik, który pozwalał ją namierzać.

Jej słowa potwierdziły obawy Graya.

–Dziwiło mnie, dlaczego tak łatwo udało mi się uciec z Bangkoku. Kiedy się zorientowałam, że nikt mnie nie ściga, wiedziałam, że coś śmierdzi. – Odwróciła się i uniosła brwi. – Agent Gildii ucieka i nikogo to nie niepokoi?

–Znalazłaś implant...

–Owszem, choć niełatwo było go znaleźć. Nawet rezonans magnetyczny całego ciała zrobiony w Petersburgu nic nie wykazał. Pięć miesięcy temu kazałam chirurgowi przeprowadzić zabieg eksploracyjny... miał zacząć od miejsca, które operowaliście.

Najwyraźniej nie docenili poziomu jej paranoi.

–Zabieg trwał trzy godziny, obserwowałam wszystko w lustrze – powiedziała z goryczą w głosie. – Znaleźli implant w zabliznionej ranie, którą odniosłam, ratując ci życie, Pierce.

Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale z oczu nie zniknęła uraza.

–A więc usunęłaś urządzenie namierzające. – Gray przypomniał sobie wijącą się ścieżkę na monitorze nadzorującym. – Ale go nie wyrzuciłaś.

–Doszłam do wniosku, że może się przydać. Pozwalało mi lepiej się przed wami ukryć. Mogłam zostawiać je gdzieś na jakiś czas i jechać, gdzie miałam ochotę.

–Tak właśnie zrobiłaś w Wenecji, prawda?

Wzruszyła ramionami.

–W mieście, w którym mieszkał zamordowany przez ciebie kurator... I w którym do dziś mieszka jego rodzina – dodał oskarżycielskim tonem Gray.

Seichan powoli pokręciła głową i odwróciła wzrok.

–Dziewczynka ma kota – powiedziała cicho. – Pręgowanego rudzielca noszącego nabijaną ćwiekami obróżkę.

Gray domyślił się, że „dziewczynka” to córka kuratora. A więc Seichan wyśledziła jego rodzinę i zbliżyła się do niej, po czym przymocowała urządzenie namierzające do obróżki kota. Było to bardzo sprytne posunięcie. Wędrówki kota po ulicach i dachach wszystkich zmyliły. Nic dziwnego, że agenci nie potrafili wyśledzić obiektu – przez cały czas szli fałszywym tropem.

Gray chętnie zadałby Seichan wiele pytań – zwłaszcza jedno, dotyczące rozmowy, którą

kiedyś zaczęli i nigdy nie skończyli.

–A co z twoim twierdzeniem, że jesteś podwójną...

Twarz Seichan nawet nie drgnęła, lecz oczy stwardniały, ostrzegając go, że posuwa się za daleko. Chciał zakwestionować jej słowa, że była umieszczonym w Gildii kretem, podwójnym agentem, ale ona najwyraźniej nie zamierzała rozmawiać z nim na ten temat w obecności innych osób. A może źle zinterpretował wyraz jej oczu? Może było w nich jedynie szyderstwo z jego naiwności? Dobrze pamiętał, co powiedziała w Bangkoku.

„Zaufaj mi choć trochę, Gray”.

Postanowił nie zadawać tego pytania.

Na razie.

–Więc po co przyjechałaś do Rzymu? – zapytał zamiast tego. – I dlaczego spotykamy się w takich okolicznościach? – dodał, wskazując Rachele.

–Po prostu potrzebna mi karta przetargowa.

–Aby wyrzucić na mnie presję?

–Nie. Dla Gildii. Po wydarzeniach w Kambodży nabrali podejrzeń co do mojej lojalności. Wiem, że oni również węszyli wokół niedawnego zamachu bombowego w Bazylice Świętego Piotra. Najwyraźniej coś wzbudziło ich zainteresowanie. Potem dowiedziałam się, że w ten incydent zamieszany był *monsignore* Verona...

–Incydent?! – wybuchnęła Rachele. – Mój wuj leży w szpitalu, w śpiączce!

Seichan zignorowała ją.

–Uznałam, że mogę wykorzystać tę sytuację, więc przyjechałam. Gdyby udało mi się zdobyć jakąś ważną informację na temat tego zamachu, mogłabym odzyskać zaufanie Gildii.

Gray przez chwilę uważnie jej się przyglądał. Pasowało to do tego, co mówiła dwa lata temu. Twierdziła wtedy, że została umieszczona w Gildii, aby zlikwidować jej przywódców. A jedynym sposobem zbliżenia się do nich był awans w mrocznej hierarchii –

na który mogła liczyć tylko dzięki wynikom.

–Zamierzałam przesłuchać Rachele, ale kiedy dotarłam do jej mieszkania, ktoś już w nim był...

Gray popatrzył na Rachele, która potwierdziła słowa Seichan kiwnięciem głową.

–Gildia ustaliła, że skrytobójcy szukali czegoś, co miał przy sobie zamordowany ksiądz, i rozpaczliwie chcieli to zdobyć. Prawdopodobnie przeszukali ciało zabitego, ale nie zdążyli przeszukać *monsignore* Verony.

–Więc ktoś uznał, że Vigor ma to przy sobie... – Gray odwrócił się do Rachele. – I po odebraniu jego rzeczy ze szpitala mogła to przejąć jego bratanica.

Seichan wzruszyła ramionami.

–Właśnie dlatego przeszukali jej mieszkanie.

Przerażenie ścisnęło żołądek Graya. Gdyby skrytobójcy zastali dziewczynę, przesłuchaliby ją, a potem zabili. Ponieważ nie znaleźli niczego w jej mieszkaniu, z pewnością ciągle jeszcze na nią polowali, rozstawiając obserwatorów w różnych miejscach: w pobliżu mieszkania i pracy oraz w szpitalu.

Był tylko jeden sposób ochrony Rachele.

–Musimy się dowiedzieć, czego szukają – stwierdził.

Rachele i Seichan spojrzały na siebie.

–Mam to w kieszeni kurtki – powiedziała Rachele.

Gray omal się nie zakrztusił.

–Nie wiemy tylko, jakie to ma znaczenie – dodała Seichan. – Pokaż mu.

Rachele sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej niewielką skórzaną sakiewkę, którą znalazła na palcu szkieletu z brązu w Bazylice Świętego Piotra.

–Doprowadził mnie do niej wuj Vigor, powtarzając w gorączce jedno słowo... – wyjaśniła, podając sakiewkę Grayowi. – Zastanawiająca jest jej zawartość, ale nie udało nam się z Seichan nic ustalić.

Nam... z Seichan?

Z tonu głosu Rachele można by sądzić, że obie kobiety są partnerkami, a nie przeciwniczkami. Gray spojrział w stronę łazienki, w której przed chwilą zniknęła Seichan. Na pewno ich słuchała i gdyby spróbowali uciec, natychmiast by się na nich rzuciła.

–Naprawdę nic ci nie jest? – zapytał Rachele.

Pokręciła głową.

–Przykuła mnie do łóżka, bo chciała wziąć prysznic. Jest raczej nieufna.

Gray pogratulował Seichan w myślach ostrożności. Rachele była nie mniej uparta od

niego i gdyby tylko nadarzyła się okazja, na pewno spróbowałyby odzyskać wolność. Mogłoby się to źle skończyć. Gdyby złapali ją sprawcy zamachu w bazylice, prawdopodobnie nie byłiby tak delikatni.

Podszedł do nich Kowalski i wskazał na sakiewkę.

–Co jest w środku? – zapytał.

Gray rozsupłał rzemyki i wytrząsnął zawartość skózanego mieszka na dłoń. Czuł, że Rachele patrzy na niego pytająco.

–Czy to jest... – Kowalski zerknął Grayowi przez ramię i kiedy dotarło do niego, co ma przed oczyma, natychmiast się, odsunął. – Rany... to chore...

–To ludzki palec – powiedział Gray, krzywiąc się z niesmakiem.

–Zmumifikowany – dodała Rachele.

Twarz Kowalskiego jeszcze bardziej spochmurniała.

–I na pewno przeklęty.

–Skąd pochodzi? – spytał Gray.

–Nie wiem, ale ojciec Giovanni prowadził wykopaliska górach północnej Anglii. W policyjnym raporcie nie było szczegółów.

Gray wrzucił palec do sakiewki. Zauważył przy tym wypaloną na jej boku spiralę. Zaintrygowany, odwrócił sakiewkę i zobaczył kolejny wypalony znak – okrąg z krzyżem w środku. Natychmiast rozpoznał w nim symbol, o którym wspomniał Painter Crowe, przedstawiając raport z wydarzeń w Dystrykcie Columbii. Dwa morderstwa, popełnione na dwóch kontynentach, na obu ciałach wypalony taki sam znak...

Odwrócił się do Rachele.

–Ten symbol... powiedziałaś, że sakiewka ma jakiś związek z zamachem bombowym. Skąd ta pewność?

Dziewczyna popatrzyła na niego.

–Napastnicy naznaczyli ojca Giovanniego w ten sam sposób. Nie wspomniano o tym w prasie. Interpol sprawdza znaczenie tego faktu.

Gray wbił wzrok w sakiewkę w swojej dłoni.

A więc trzy morderstwa na trzech kontynentach.

W jaki sposób są ze sobą powiązane?

–O co chodzi, Gray? – zapytała Rachele, która nie spuszczała z niego wzroku i musiała zauważyć zmianę wyrazu jego twarzy.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon stojący na nocnej szafce.

Wszyscy zamarli.

Do pokoju weszła Seichan – miała na sobie czarne spodnie i bluzkę koloru czerwonego wina, na którą założyła czarną kurtkę z pościeranej skóry.

–Ktoś zamierza odebrać? – spytał Kowalski, kiedy telefon ponownie zadzwonił.

Gray podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę.

–Halo?

Dzwonił Franco, właściciel hotelu.

–*Signore* Pierce, chciałem tylko poinformować, że idzie do pana trzech gości.

W Europie powszechnym zwyczajem jest anonsowanie gości – na wypadek gdyby hotelowy gość był zajęty lub niedysponowany. A Franco wiedział, że Gray i Rachele byli kiedyś kochankami, więc nie chciał, żeby przyłapano ich w niezręcznej sytuacji.

Ale Gray nikogo się nie spodziewał.

–*Grazie* - powiedział, po czym odwrócił się do pozostałych. – Będziemy mieli towarzystwo.

–Jakie towarzystwo? – zdziwił się Kowalski.

–Śledzono cię? – zapytała Seichan.

Gray przypomniał sobie, że był tak zaniepokojony nieobecnością Rachele na lotnisku, że prawie wcale nie zwracał uwagi na to, co się wokół niego działo.

Najwyraźniej jego niepokój musiał zostać dostrzeżony przez kogoś niepowołanego.

Seichan nie zastanawiała się zbyt długo. Odwróciła się do drzwi i wyciągnęła zza paska pistolet.

–Czas wymeldować się stąd, chłopaki.

11 października, godz. 8. 04

Oslo, Norwegia

Ivar Karlsen obserwował zbierającą się nad fiordem burzę.

Uwielbiał taką pogodę towarzyszącą przechodzeniu jesieni w zimę. W zimniejsze noce często padał lodowaty deszcz lub śnieg, a większość poranków zaczynała się szronem. Nawet w tej chwili, opierając dłonie na starożytnych kamieniach i wyglądając przez łukowate okna, czuł na policzkach chłód.

Stał na szczycie wieży Munk. Był to najwyższy punkt fortecy Akershus, jednego z najciekawszych miejsc Oslo. Ta imponująca kamienna budowla, której najstarsza część pochodzi z XIII wieku, została wzniesiona przez króla Haakona V z myślą o obronie miasta od wschodniej strony portu. Z biegiem lat umacniano ją dodatkowymi fosami, szanćcami i murami. Wieża Munk powstała w połowie XVI wieku, kiedy fortecę i zamek wyposażono w armaty.

Ivar wyprostował się i położył dłoń na jednym z wiekowych dział. Zimny metal przypominał mu o jego obowiązkach, o odpowiedzialności nie tylko za ojczysty kraj, lecz także cały świat. Właśnie dlatego postanowił, że tegoroczny Światowy Szczyt Żywnościowy UNESCO odbędzie się w Akershus. Ufortyfikowany zamek doskonale pasował do idei walki z niepokojącymi czasami, które nadeszły. Miliardowi ludzi na świecie groził głód, a był to dopiero początek. Światowy Szczyt Żywnościowy będzie miał decydujące znaczenie zarówno dla świata, jak i dla jego firmy – Viatus International.

Nie pozwoli, aby cokolwiek pokrzyżowało jego plany – ani to, co wydarzyło się w Afryce, ani to, co działo się w Waszyngtonie.

W 1802 roku, kiedy Oslo nazywało się jeszcze Christianią, dwaj bracia, Knut i Artur Karlsenowie, połączyli firmę zajmującą się wyrębem drewna z zakładem wyrabiającym proch strzelniczy, kładąc podwaliny pod imperium przemysłowe. Ich majątek stał się legendarny, nigdy jednak nie żałowali pieniędzy na dobroczynność. Zakładali w szybko rozwijającym się kraju szkoły, budowali szpitale, sponsorowali różnego rodzaju innowacje. Nazwali swoją firmę Viatus, od łacińskich słów *via*, czyli droga, oraz *vita* – życie. Dla braci Karlsenów

Viatus był Drogą Życia, ponieważ wierzyli, że celem rozwoju przemysłu powinno być doskonalenie świata, a bogactwo musi służyć także innym.

Ivar zamierzał kontynuować dzieło Knuta i Artura. Krążyły opowieści, że korzenie rodziny Karlsenów sięgają czasów pierwszych osiedlających się w Skandynawii wikingów, a może nawet splatają się z korzeniami drzewa Yggdrasil – Drzewa Świata z nordyckiej mitologii. Ivar wiedział jednak, że tego typu opowieści są tylko barwnymi legendami przekazywanymi z

pokolenia na pokolenie.

Tak czy owak, był bardzo dumny z historii swojej rodziny i bogatej tradycji ludowej Norwegii. Lubił się porównywać z wikingami, którzy docierali swoimi ozdobionymi smokami łodziami do wielu krajów Europy i Azji – i nawet trafili do Ameryki.

Dlaczego nie miałby być z tego dumny?

Ze swojego punktu obserwacyjnego na szczycie wieży obserwował sunące po niebie burzowe chmury. Wkrótce na pewno zacznie padać gęsty deszcz, który po południu zamieni się w śnieg z deszczem, a wieczorem spadnie pierwszy prawdziwy śnieg.

Opady śniegu miały się w tym roku zacząć znacznie wcześniej – był to kolejny znak zmieniającego się klimatu, buntu przyrody przeciwko człowiekowi i wyrządzanym przez niego szkodom, zemsty za duszące świat toksyny i coraz wyższy poziom dwutlenku węgla w atmosferze. Wielu ludzi nie wierzyło w globalne ocieplenie – ale Ivar mieszkał w krainie lodowców i znał prawdę. Zalegający w górach śnieg i wieczna zmarzlina topniały, a norweskie lodowce cofały się szybciej niż kiedykolwiek przedtem.

Świat się zmieniał, roztopiał na jego oczach. Ktoś musiał to powstrzymać.

Nawet gdyby miał to być jakiś cholerny wiking, pomyślał ponuro Ivar.

Skrzywił się i pokręcił głową. Wraz z upływem lat coraz silniej czuł się związany z historią swojego kraju. Wkrótce będzie obchodził sześćdziesiąte piąte urodziny. Mimo iż jego rude włosy dawno posiwiały, nie przystrzygał ich i nadal sięgały mu do ramion. Utrzymywał dobrą formę ćwiczeniami, sauną, długimi spacerami w zimie i wspinaczkami – choćby takimi jak dziś rano, kiedy dotarł na szczyt wieży Munk. Wszystko to sprawiało, że jego ciało wciąż było sprężyste, a ogorzała twarz przypominała wygarbowaną skórę.

Popatrzył na zegarek. Przed szczytem UNESCO, który miał się oficjalnie zacząć następnego dnia, musiał wziąć udział w kilku spotkaniach organizacyjnych.

Kiedy burza dotarła nad fiord, zaczął schodzić na dół. Rozpoczęto już tam przygotowania i mimo groźby deszczu ustawiano stoły. Większość rozmów i wykładów miała się odbyć w pełnych przepychu salach bankietowych zamku Akershus, a część imprez – koncerty z udziałem muzyków i śpiewaków z całego świata – w średniowiecznym kościele

wzniesionym na terenie fortecy. Znajdowały się tam także dwa muzea Wojskowe – Norweskie Muzeum Ruchu Oporu i Muzeum Sił Zbrojnych – oraz prastare kazamaty, po których mieli oprowadzić goście przewodnicy, opowiadając o duchach i czarownicach nawiedzających ponoć ponurą budowlę.

Historia Akershus była równie ponura jak sam zamek. Podczas drugiej wojny światowej zajęli go Niemcy i zamordowali w nim wielu Norwegów. Po wojnie odbyło się tu kilka procesów

zbrodniarzy wojennych i egzekucji – wykonano tu także wyrok na osławionym zdrajcy i kolaborancie Vidkunie Quislingu.

Po zejściu na dół Ivar wyszedł na dziedziniec. Ponieważ myślami wciąż tkwił w przeszłości, nie zauważył blokującego mu drogę mężczyzny o wydatnym brzuchu, dopóki omal na niego nie wpadł.

Sekretarz generalny Klubu Rzymskiego nie wyglądał na zadowolonego. Ivar doskonale wiedział, o co chodzi. Miał nadzieję, że uda mu się zyskać jeszcze kilka godzin, ale najwyraźniej była to naprawdę pilna sprawa.

Klub Rzymski to międzynarodowa organizacja zrzeszająca naukowców, polityków, biznesmenów a nawet członków rodów królewskich. Został założony w 1968 roku i obecnie działa w trzydziestu krajach na pięciu kontynentach. Jego głównym celem jest uświadamianie rządów problemów zagrażających ludzkości – w tym również problemów związanych z zanieczyszczeniem środowiska. Ojciec Ivara był jednym z członków założycieli tej organizacji.

Po śmierci Karlsena seniora syn zajął jego miejsce i stwierdził, że klub może służyć realizacji jego planów. Kiedy awansował, Antonio Gravel poczuł się zagrożony i zaczął utrudniać mu życie.

–Niestety, nie mam zbyt wiele czasu – powiedział Ivar, starając się zachować spokój. – Może po drodze powiesz mi, o co chodzi?

Antonio ruszył za nim przez zamkowy dziedziniec.

–Musisz znaleźć dla mnie czas, Ivarze. Zgodziłem się, aby tegoroczna konferencja odbyła się w Oslo, więc przynajmniej mógłbyś wysłuchać tego, co mnie niepokoi.

Ivar skrzywił się lekko. Gravel walczył z nim na każdym kroku. zaproponował, aby tegoroczna konferencja odbyła się w Zurychu, gdzie miał swoją nową siedzibę międzynarodowy sekretariat klubu, ale Ivar przebił go obietnicą zorganizowania wyprawy na Spitsbergen, zaplanowanej na ostatni dzień spotkania. Wyprawy, w której mieli wziąć udział jedynie najwyższej postawieni uczestnicy konferencji.

–Sądzę, że jako sekretarz generalny Klubu Rzymskiego powinienem towarzyszyć naszym gościom – stwierdził Antonio.

–Rozumiem twoje stanowisko, ale obawiam się, że to niemożliwe. Gdyby to zależało ode mnie, oczywiście twoje towarzystwo byłoby mile widziane, jednak rząd norweski ograniczył liczbę uczestników wyprawy do Svalbardu.

–Ale... – zaczął Antonio, szukając jakiegoś racjonalnego argumentu. Marzył o uczestnictwie w tej wyprawie jak mały chłopiec o czekoladzie.

Ivar zignorował go. Wyczarterowanie samolotów, które miały zawieźć gości na Spitsbergen, kosztowało Viatus International majątek. Celem wycieczki było zwiedzenie Światowego Skarbcza Ziaren na Svalbardzie. W tym gigantycznym podziemnym banku przechowywano nasiona niemal wszystkich istniejących na Ziemi roślin – przede wszystkim roślin uprawnych. Aby skarbiec mógł przetrwać każdą globalną katastrofę – naturalną lub spowodowaną przez człowieka – umieszczono go we wnętrzu góry w strefie stałej zmarzliny, w niedostępnym miejscu. W przypadku takiej katastrofy jego zawartość pozwoliłaby odtworzyć świat roślinny Ziemi.

Właśnie dlatego nazywano go Skarbcem Dnia Sądu Ostatecznego.

–Zarząd Klubu Rzymskiego powinien być w komplecie na tej wycieczce – oświadczył Antonio.
– Bezpieczeństwo żywnościowe jest dziś jednym z absolutnych priorytetów...

Ivar z trudem zmusił się do zachowania spokoju. Wiedział, że motywacje Antonia Gravela mają niewiele wspólnego z troską o zapewnienie ludzkości bezpieczeństwa żywnościowego – przede wszystkim zależało mu na tym, aby pościskać dłonie przyszłym przywódcom świata.

–Masz rację – odparł. – Na pewno powiem o tym w moim przemówieniu programowym.

W rzeczywistości zamierzał je wykorzystać do realizacji swoich planów. Nadszedł czas konkretnych działań. Nie umknęła mu zmiana nastroju Antonia – na jego twarzy pojawiła się nagle złość.

–Jeśli chodzi o twoje przemówienie, trafił do mnie jeden ze szkiców...

Ivar zeszywniał.

–Czytałeś moje przemówienie? Od kogo je dostałeś?

Antonio zbył to pytanie machnięciem dłoni.

–Nieważne. Ale po wygłoszeniu takiego przemówienia nie możesz oczekiwać, że w dalszym ciągu będziesz reprezentował Klub Rzymski. Rozmawiałem już o tym z prezesem Bouthą, który całkowicie się ze mną zgadza. Nie czas teraz na przepowiadanie końca świata.

To... nieodpowiedzialne.

Do twarzy Ivara napłynęła fala krwi. Mimo zimna czuł, jak płoną mu policzki.

–A kiedy będzie na to czas? Wtedy, gdy świat ogarnie chaos i umrze dziewięćdziesiąt procent populacji?

Antonio pokręcił głową.

–Chodzi mi o to, że po twoim przemówieniu wszyscy pomyślą, że jesteśmy bandą szaleńców.

Nie możemy tego tolerować.

–Tolerować? Moje przemówienie opiera się na danych zawartych w raporcie opublikowanym przez klub.

–Wiem. *Granice wzrostu*. Ale ten raport został napisany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku.

–I nadal jest aktualny. Ukazuje katastrofę ekologiczną, ku której coraz szybciej zmierzamy.

Ivar dokładnie przestudiował *Granice wzrostu* i włączył do swojego przemówienia wiele z zawartych w nim danych i wykresów. W raporcie przedstawiono model świata, w którym liczba ludności rośnie geometrycznie, a produkcja żywności arytmetycznie. Efektem tego będzie utrata przez ludzkość zdolności produkowania wystarczającej ilości pożywienia. Kiedy ten punkt zostanie osiągnięty, na całym świecie zapanuje chaos, zaczną się wojny i ludzie będą umierać z głodu. Nawet najbardziej optymistyczne modele wykazywały, że zginie wtedy 90 procent ziemskiej populacji. Badania wielokrotnie powtarzano, ale za każdym razem uzyskiwano podobne wyniki.

Sekretarz generalny wzruszył ramionami.

–W swoim przemówieniu zalecasz radykalną kontrolę urodzin... To nie przejdzie.

Ivar zacisnął dłoń w pięść – miał ochotę złamać Gravelowi nos.

–Musi. Nie ma innego sposobu uniknięcia tego, co nadchodzi – oświadczył. – W ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci ludność świata zwiększyła się z czterech do sześciu miliardów, a za kolejne dwadzieścia lat będzie nas dziewięć miliardów. Już dziś zaczyna brakować ziemi uprawnej, a globalne ocieplenie sprawia, że umierają oceany. Dojdziemy do punktu krytycznego znacznie szybciej, niż się nam wydaje. – Złapał Antonia za ramię. – Możemy zatrzymać ten proces, podejmując odpowiednie działania. Istnieje tylko jeden sposób uniknięcia ogólnoświatowej katastrofy: sukcesywne zmniejszanie liczby ludzi na naszej planecie. Od tego zależy przyszłość świata.

–Jak dotąd, świetnie sobie radzimy – zaprotestował Antonio. – Czyżbyś nie wierzył w nasze osiągnięcia? Przecież metody genetycznego modyfikowania roślin uprawnych, jakie opracowuje twoja firma, mają umożliwić uzyskanie znacznie większych zbiorów.

–Nawet to pozwoli nam jedynie nieco zyskać na czasie.

Antonio popatrzył na zegarek.

–Jeśli już mówimy o czasie, muszę iść. Chciałem ci tylko Powiedzieć, co o twoim przemówieniu programowym sądzi Boutha. Jeżeli chcesz je wygłosić, musisz zmienić jego treść.

Ruszył w stronę zwodzonego mostu prowadzącego na ulicę Kirkegata.

Zaczął mżyć, ale Ivar nie schował się pod dachem. Chciał, aby lodowate krople deszczu ochłodziły jego rozpaloną twarz. Później pomyśli o czekającej go rozmowie z prezesem klubu. Może rzeczywiście powinien użyć w swoim przemówieniu łagodniejszych sformułowań.

Kiedy się trochę uspokoił, zaczął szybkim krokiem iść w stronę kościoła Akershus, którego front zdobiło wielkie rozetowe okno. Był już spóźniony na spotkanie. Do Klubu Rzymskiego należało wielu podobnie jak on myślących ludzi, gotowych bronić swoich przekonań. Antonio i obaj prezesi byli jedynie formalnymi przywódcami organizacji, podczas gdy Ivar Karlsen i jego akolici tworzyli klub wewnątrz klubu – serce z żelaza przepełnione troską o los planety.

Po wejściu do kościoła stwierdził, że pozostali członkowie już się zebrali w niewielkiej nawie. Krzesła przesunięto na jedną stronę, a po lewej stronie ołtarza ustawiono podesty dla chóru. Łukowate okna wpuszczały do środka niewiele światła, ale mroczne wnętrze rozjaśniał nieco złożony kandelabr, na którym paliły się wszystkie żarówki.

Kiedy Ivar wszedł, odwróciły się ku niemu wszystkie głowy.

Dwanaście.

To właśnie ci ludzie stanowili o prawdziwej potęgze Klubu Rzymskiego – byli to przedstawiciele przemysłu, nobliści, reprezentanci rządów światowych mocarstw, a nawet gwiazda Hollywoodu, której działania na forum publicznym zainteresowały wielu ludzi i otworzyły niejedną kieszeń.

Każdy członek grupy miał wyznaczone zadanie.

Miał je także człowiek o udręczonej twarzy, który właśnie podchodził do Ivara. Był ubrany w czarny garnitur.

–Dzień dobry, Ivarze – powiedział, wyciągając rękę na powitanie.

–Senatorze Gorman, proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu pańskiej straty. To, co się stało w Mali... powinienem był wydać więcej pieniędzy na zabezpieczenie obozu...

–Niech się pan nie obwinia. – Senator ujął Ivara za ramię – Jason zdawał sobie sprawę z ryzyka. Był dumny, że może uczestniczyć w tak ważnym projekcie.

Rozmowa o synu przychodziła mu z trudem. Był jeszcze pod wpływem szoku.

Z daleka obaj mężczyźni mogli uchodzić za braci – Sebastian Gorman był tego samego wzrostu co Ivar i miał podobnie ogorzałą twarz – ale jego siwe włosy były krótko przystrzyżone, a garnitur tak idealnie wyprasowany, że kanty spodni przypominały ostrze

brzytwy.

Ivara zdziwiło przybycie senatora, choć właściwie powinien się tego spodziewać. Sebastian Gorman odegrał znaczącą rolę w rozwoju badań nad biopaliwami i ich wdrażaniu w zachodnim świecie, a właśnie to miało być głównym tematem rozmów podczas konferencji. Poza tym zbliżały się wybory, więc żałoba po synu musiała poczekać.

Ivar doskonale rozumiał ból senatora. Kiedy skończył trzydzieści lat, stracił syna i żonę w połogu. Ta tragedia omal go nie zniszczyła. Nigdy więcej się nie ożenił.

–Możemy zacząć? – spytał Gorman.

–Oczywiście. Najwyższy czas. Musimy omówić wiele spraw.

–Doskonale.

Kiedy senator wskazywał uczestnikom spotkania ich miejsca, Ivar przyglądał mu się uważnie. Nie miał wyrzutów sumienia. Viatus to droga życia, która często bywa kamienista i wymaga poświęceń.

Takich jak śmierć Jasona Gormana zamordowanego na jego rozkaz.

Nie mógł sobie pozwolić na żal.

11 października, godz. 8.14

Rzym

Pozostała im niecała minuta. Niespodziewani „goście”, o których przybyciu poinformował ich właściciel hotelu, zaraz tu będą.

Gray nie miał ochoty na nich czekać.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę schodów przeciwpożarowych, które znajdowały się niedaleko pokoju komandora, tuż za zakrętem korytarza. Gray pierwszy dotarł do okna, otworzył je i odsunął się na bok, aby przepuścić Rachele.

–Pochyl głowę – polecił. – Nie wystawiaj się na strzał.

Rachele wypełzła przez okno na metalowy podest.

Gray dźgnął Kowalskiego palcem w pierś.

–Pilnuj jej – polecił.

–Nie musisz mi mówić, co mam robić – obruszył się wielkolud.

Seichan stała dwa kroki dalej, w głębi korytarza. Miała szeroko rozstawione nogi i wyciągnięte do przodu ręce, w których ścisnęła czarnego sig sauera, celując w głąb korytarza.

–Masz jeszcze jakąś broń? – spytał Gray.

–Ta wystarczy. Ruszajcie się.

W głębi korytarza rozległy się stłumione głosy, do których dołączył po chwili skrzyp podłogowych desek. Zabójcy dotarli już do ich piętra i kierowali się w stronę pokoju Graya. Skomplikowany system korytarzy prawdopodobnie uratował im życie, dając czas na wymknięcie się z zasadzki.

Na nic więcej jednak nie mogli liczyć.

Gray wrócił do okna i wyslizgnął się na zewnątrz. Za nim podążyła Seichan. Przez cały czas patrząc w głąb korytarza, przełożyła nogę nad parapetem.

Rachele i Kowalski schodzili już po drabince przeciwpożarowej. Kiedy dotarli piętro niżej, zaczęto ich ostrzeliwać z ulicy. Nie było słyhać wystrzałów, ale wizg rykoszetów i chmurki pyłu w miejscach, gdzie pociski trafiły w ceglany mur, zmusił ich do cofnięcia się.

Kowalski zaklął, zasłonił sobą Rachele i zaczęli z powrotem wchodzić na górę.

Gray dostrzegł przykucniętego za śmietnikiem mężczyznę z pistoletem maszynowym – prawdopodobnie cały zaulek za budynkiem był obstawiony. Gdy Seichan odpowiedziała ogniem, strzelec na dole ukrył się szybko, ale ponieważ sig sauer nie miał tłumika, napastnicy znajdujący się wewnątrz hotelu na pewno usłyszeli huk wystrzałów.

–Wchodzimy na dach! – zakomenderował Gray.

Kiedy zaczęli uciekać, strzelec na dole próbował ich trafić, jednak Seichan nie pozwalała mu się odpowiednio ustawić i metalowa klatka wokół drabiny pożarowej okazała się wystarczającą ochroną. Na szczęście dach był niedaleko, bo hotel miał tylko cztery piętra.

Po wejściu na górę Gray kazał się wszystkim odsunąć jak najdalej od krawędzi. Rozejrzał się po obsranym przez gołębie dachu, z którego wystawały rury wentylacyjne i pokryte graffiti klimatyzatory. Musieli znaleźć jakąś drogę ucieczki.

Na drabince przeciwpożarowej piętro niżej załomotały buciory.

Ich prześladowcy znowu się zbliżali.

Gray wskazał przeciwną stronę dachu. Do hotelu przylegał budynek o jedno piętro niższy. Musieli zniknąć napastnikom z oczu.

Pobiegli w kierunku rozdzielającego domy murku. Kiedy Gray się wychylił, ujrzał przymocowaną do wyższej ściany drabinkę, prowadzącą na dach niższego budynku.

–Idziemy – powiedział.

Rachele przetoczyła się przez krawędź i zaczęła schodzić po drabince. Kowalski nie czekał na swoją kolej – złapał krawędź muru, zwiesił się na palcach i zeskoczył. Wylądował na plecach na pokrytym papą dachu.

W tym momencie znowu do nich strzelono. Za schodami przeciwpożarowymi po drugiej stronie dachu mignęła głowa w kominiarce.

–Teraz albo nigdy, Pierce! – krzyknęła Seichan.

Strzeliła dwa razy, odbierając napastnikom ochotę do wychylania się. Gray zsunął się za krawędź dachu, złapał drabinkę, ale nie zawracał sobie głowy szczebelkami i zjechał na dół jak strażak po słupie.

Rozległy się kolejne strzały.

Kiedy Gray dotknął stopami papy, spojrział w górę. Zza krawędzi murku wyskoczyła właśnie Seichan i lewą ręką próbowała złapać drabinkę, nie udało jej się jednak złapać górnego

szczebla. Impet skoku przekreślił ją w powietrzu i zaczęła spadać głową w dół. Wypuściła pistolet i ponownie próbowała chwycić się drabinki. Czubki palców na ułamek sekundy złapały metal, ale nie udało jej się utrzymać szczebla. Sig sauer uderzył w dach tuż przy stopach Graya.

Seichan spadała jak kamień.

Gray dał susa w tę stronę i Seichan wylądowała na jego wyciągniętych ramionach. Musiał przykłęknąć na jedno kolano, ale utrzymał ją. Oddychała ciężko i ścisnęła go za nadgarstek.

Kowalski podszedł do nich i podniósł pistolet.

Seichan gwałtownie uwolniła się z ramion Graya, chwiejnym krokiem podeszła do wielkoluda i wyszarpnęła mu pistolet z ręki, zanim zdążył zareagować.

–Hej... – wymamrotał zdezorientowany, wpatrując się w swoją pustą dłoń, jakby go zdradziła.

Znalazłam drogę ewakuacyjną! – zawołała Rachele.

Pobiegli we wskazanym kierunku. Górna część drabinki ukryta była za wielkim klimatyzatorem. Zaczęli szybko schodzić, przeskakując z podestu na podest, i po chwili wylądowali w małej, wąskiej uliczce. Zyskali dzięki temu kilka sekund, było jednak jasne, że hotel jest otoczony. Musieli się wymknąć, zanim sieć zostanie całkowicie zaciągnięta.

Pobiegli w stronę wylotu uliczki. Nadal nie byli bezpieczni, w każdej chwili mogli wpaść na kolejnego zabójcę.

Musieli nie tylko oddalić się od hotelu, lecz także uciekać z miasta.

–Ktoś ma samochód? – spytał Gray.

–Ja – odparła Rachele. – Ale jest zaparkowany za rogiem hotelu.

Gray pokręcił głową. Nie mogli po niego iść – ale i tak z powodu porannych korków nie na wiele by im się przydał.

Warkot z lewej strony ostrzegł Graya przed niebezpieczeństwem. Odskoczył do tyłu w tym samym momencie, kiedy tuż przy nich pojawił się motocyklista. Kowalski był o sekundę wolniejszy i motocyklista omal go nie potrącił. Zdenerwowało to wielkoluda.

–Pieprz się, rajdowcu! – wrzasnął i pchnął maszynę obydwiema rękami.

Motocyklista wyleciał w powietrze, a jego pojazd uderzył w stojący obok samochód. Kolejny motocyklista, próbujący jechać za tym, nie zauważył tego i nie zdążył na czas skrócić, więc musiał przewrócić motocykl.

Seichan popatrzyła pytająco na Graya.

„Możemy spróbować” – odpowiedział jej bezgłośnie.

Ruszyła w stronę pierwszej maszyny, a Gray w stronę drugiej.

Pistolet Seichan uciszył protesty pierwszego motocyklisty. Rachele, która szła tuż za Grayem, wyciągnęła szybkim ruchem swoją legitymację *Carabinieri* i trzymała ją wysoko w górze. Drugi motocyklista również odsunął się od swojego pojazdu.

Gray podniósł motocykl i wskoczył na siodło, a Rachele usiadła z tyłu i objęła go ramieniem.

Seichan też już siedziała na pierwszej maszynie. Kowalski stał obok nich, nie bardzo wiedząc, co ma robić. Seichan poklepała siedzenie za sobą.

–Chyba żartujesz – burknął wielkolud. – Nie jeżdżę z nikim na drugiego.

Seichan odwróciła się sauera rękojeścią do niego. Było to jak zaproponowanie psu kości.

Kowalski wziął broń i usiadł z tyłu.

–Tak już lepiej – stwierdził.

Kiedy z oddali doleciało wycie policyjnych syren, ruszyli.

Gray prowadził, omijając pełnące samochody i poruszające się znacznie szybciej motocykle. Rachele wykrzykiwała mu do ucha wskazówki, jak ma dotrzeć do szerszych, mniej zapchanych ulic. Powoli nabierali prędkości.

Nie dojechali jednak zbyt daleko.

Kiedy Gray usłyszał pisk hamulców, obejrzał się i zobaczył czarne lamborghini, które wyjechało z bocznej uliczki i ruszyło prosto na Seichan i Kowalskiego. Z okna pasażera wychyliła się ubrana na czarno postać z przyłożoną do ramienia grubą rurą. Celowała z niej prosto w motocykl.

Granatnik M32.

Seichan skuliła się na siedzeniu i dodała gazu, ale w tak gęstym ruchu nie było dokąd uciekać.

Czarno ubrana postać pociągnęła za spust.

Godz. 2.22

Waszyngton

Monk czekał razem z Kat w jej gabinecie w dowództwie Sigmy. Leżeli na skórzanej kanapie. Monk obejmował żonę, ciesząc się ciepłem jej ciała i miękkością skóry. Choć w dowództwie Sigmy było wiele pokoi gościnnych, wiedzieli, że nie będą mogli zasnąć, dopóki nie usłyszą najnowszych wieści od Graya.

–Powiniennem być przy nim – stwierdził Monk.

–Ma przecież Kowalskiego.

Monk popatrzył na nią i pokręcił głową.

–Może masz rację – mruknęła. – Ale przecież nie mamy żadnej pewności, że coś poszło nie tak.

–Nie odbiera telefonu.

Kat mocniej wtuliła się w jego ramiona.

–Miał się spotkać z Rachele – przypomniała mu.

Nie uśmierzyło to jednak obaw Monka.

Painter w dalszym ciągu pociągał za sznurki, próbując się dowiedzieć, co tak naprawdę stało się w Rzymie, Kat również przeprowadziła swoje własne śledztwo i teraz czekała na szczegółowy raport Interpolu. Chwila spokoju była tylko krótkim antraktem, ale Monk starał się wykorzystać każdy moment.

Wyciągnął rękę i położył dłoń na brzuchu żony. Przykryła jego dłoń swoją dłonią, ich palce się splotły.

–Czy to źle, że chciałbym mieć syna? – spytał Monk.

Uderzyła go ręką w udo.

–Pewnie...

Przytulił ją mocniej.

–Ale chłopak... mógłbym grać z nim w piłkę, chodzić na ryby...

Kat westchnęła i popatrzyła na niego.

–Możesz to robić także z córką, ty seksistowska świnió...

–Nazywasz mnie seksowną świnią?

–Seksistowska... zresztą nieważne.

–Wolę „seksowną” – stwierdził, pochylając się nad nią.

Zacząła coś mówić, ale po chwili umilkła. Przerwało im pukanie do drzwi. Kat wstała i ruszyła do drzwi, wyglądając po drodze garsonkę.

Otworzyła drzwi. Przed nimi stał Painter Crowe.

–Dyrektorze...

–Właśnie szedłem do sali namiaru satelitarnego – przerwał jej Crowe. – Mamy kłopoty w Rzymie.

Monk wstał.

–Chodzi o Graya?

–A o kogóż by innego?

Godz. 8.21

Rzym

Lamborghini jechało prosto na motocykl Seichan.

W chwili gdy napastnik pociągał za spust, Kowalski zaczął wściekle strzelać. Przednia szyba wozu popękała w pajęczynę i samochodem lekko zarzuciło – ale to wystarczyło, aby strzelec nie trafił.

Z granatnika wystrzeliła spirala dymu, minęła głowę Kowalskiego i pomknęła w głąb ulicy. Pocisk uderzył w róg budynku na najbliższym skrzyżowaniu.

Buchnął słup ognia, na wszystkie strony rozprysnęły się kawałki cegieł.

Spanikowani przechodnie rozpierzchli się, a kilkanaście samochodów zderzyło się ze sobą. Gray jako pierwszy dotarł do skrzyżowania. Gwałtownymi skrętami próbował przebić się przez chaos i dym, wykorzystując każdą szczelinę między pojazdami.

Seichan i Kowalski szybko go doganiali.

Zablokowane przez inne samochody lamborghini skręciło na chodnik i przyspieszyło, nie zwracając uwagi na pieszych.

Za skrzyżowaniem ulice były znacznie mniej zatłoczone. Gray podkręcił gaz i jak rakietę wystrzelił do przodu. Seichan jechała po jego prawej stronie.

–Uważaj! – krzyknęła nagle Rachele Grayowi do ucha.

Wyciągnęła rękę w bok.

Przed nimi zza zakrętu, zarzucając wściekle na boki, wyjechało kolejne czarne lamborghini i jechało prosto na nich. Pierwszy samochód doganiał ich od tyłu.

Rachele wskazała w lewo.

–Schody! – wrzasnęła.

Gray zobaczył wznoszące się dość stromo przejście dla pieszych między dwoma budynkami. Skręcił ostro, zahamował, przez chwilę sunął kontrolowanym poślizgiem, po czym wyprostował maszynę i ruszył w stronę przejścia.

Seichan jechała tuż za nim – wpadła w nieco większy poślizg, ale nie została w tyle.

Kowalski klął jak szewc i strzelał z sig sauera.

Kiedy dojechali do przejścia, Gray zredukował bieg i znowu podkręcił gaz. Unosząc przednie koło, wjechał na schody i pomknął w górę. Na szczęście schodów było niewiele i przejście szybko się wyplaszczało – niestety było wąskie i zygzakowate.

Gray jechał przed siebie, mając nadzieję, że ryk motocyklowych silników przepłoszy pieszych. Zaryzykował spojrzenie za siebie. Nie widział ulicy, którą przedtem jechali, ale

mógłby się założyć, że jeden albo dwóch napastników wysiadło z samochodów i podążyło za nimi. Samochody prawdopodobnie zataczały koło, aby zablokować przejście z drugiej strony.

Gdzie kończyło się to przejście?

Odpowiedź otrzymali bardzo szybko – po chwili wyjechali na rozległy plac, wokół którego biegł objazd. Gray popatrzył na starożytną budowlę zajmującą środek placu.

Koloseum.

Nie było jednak czasu na turystyczne zachwyty.

–Mamy towarzystwo! – wrzasnął Kowalski, wskazując w prawo.

Oba lamborghini wjeżdżały na okrążającą amfiteatr drogę.

–Gray! – krzyknęła Rachele i wskazała w lewo.

Trzecie lamborghini, tak samo smukłe i czarne jak dwa Poprzednie.

Ktoś miał mnóstwo pieniędzy do wydania.

Gray wjechał na otaczający Koloseum plac przeznaczony dla pieszych. Był to labirynt betonowych ścieżek, trawników i asfaltowych placyków. Uciekinierów mogła uratować jedynie szybkość i zwrotność.

Niestety, lamborghini wcale im pod tym względem nie ustępowały.

Wszystkie trzy samochody zjechały z drogi, wjechały na plac i zaczęły zaciskać pętlę.

Gray nie miał wyboru.

Jeśli ich prześladowcy chcieli się pościgać...

Godz. 2. 23

Waszyngton

Painter Crowe patrzył na przekaz satelitarny z National Reconnaissance Office. Na ekranie widać było plac w centrum Rzymu, na którym wznosiło się Koloseum. Starożytny amfiteatr wyglądał jak spoglądające na niego wielkie oko.

–Zrób większe zbliżenie – polecił technikowi.

–Jest pan pewien, że to Gray? – spytał Monk, który razem z Kat siedział obok niego.

–Eksplozja miała miejsce przecznicę od jego hotelu. Raporty policyjne mówią o pościgu wokół Koloseum.

Obraz na ekranie przybliżył się, ukazując inne miejsce placu. Szczegóły trochę się rozmazały, ale wyraźnie widać było dwa czarne samochody okrążające kamienny amfiteatr.

Po ścieżkach dla pieszych i trawnikach uciekały przed nimi dwa motocykle. Jeden z nich gwałtownie zahamował, stanął na tylnym kole, po czym opadł na ziemię i pomknął dalej.

–No tak – mruknął Monk. – To musi być Gray...

Oba samochody szybko doganiały uciekinierów.

–Tutaj! – krzyknęła Kat, wskazując na ekran.

Prosto na motocykle pędził, blokując im przejazd, trzeci samochód.

Tuż przy jednym z motorów coś eksplodowało, posyłając wysoko w powietrze śmietnik i kawałek ceglanej ściany.

–Granat – stwierdził Monk.

Co się działo?

Okrażane z trzech stron, motocykle gwałtownie zawróciły i zaczęły uciekać jedyną wolną drogą.

–Oni chyba nie... – zaczęła zdumiona Kat. – Chyba nie sądzą, że...

Monk przysunął się do ekranu.

–Nie ma wątpliwości, to na pewno Gray.

11 października, godz. 8.23

Rzym

Gray niemal leżał na kierownicy, a Rachele na jego plecach. Jechali prosto na kamienną ścianę amfiteatru. W najwyższym punkcie miała pięćdziesiąt metrów wysokości, a każdy jej segment wieńczyły łuki, wspierające się na potężnych kolumnach. Na najniższym poziomie zamykały je wysokie stalowe bramy, ale na wprost nadjeżdżających motocykli znajdowało się główne wejście, przed którym zawsze stali w kolejce turyści.

Gray kierował się właśnie na nie.

O tak wczesnej godzinie Koloseum nie było jeszcze dostępne dla zwiedzających, jednak główną bramę już otworzono i zaczynał się przed nią zbierać tłum. Strzelanina i wybuchy skłoniły większość turystów do ucieczki, ale wielu z nich pozostało i ukryło się za występami kamiennego muru. Dwóch mężczyzn przebranych za gladiatorów wspięło się na rosnące w pobliżu wejścia do amfiteatru drzewo.

Gdy zaczęła się strzelanina, pilnujący porządku policjanci usunęli ludzi spod bramy.

Mając otwarty przejazd, Gray jeszcze bardziej podkręcił gaz.

Jeden ze strażników zastąpił mu drogę, zdecydowany bronić obiektu. Kiedy podniósł broń i krzyknął ostrzegawczo, Rachele coś mu odkrzyknęła i pomachała swoją legitymacją *Carabinieri*.

Mężczyzna się zawahał.

To wystarczyło.

Gray przemknął obok niego, omal go przy tym nie wywracając. Seichan jechała tuż za nim. Na pełnej prędkości wpadli do kolumnadowego przejścia, otaczającego centralną arenę. Ryk silników odbijał się echem od ścian.

Nagle z lewej strony zaterkotała broń automatyczna. Rozsłonecznionym placem jechał jeden ze ścigających ich samochodów, przez cały czas trzymając się na ich wysokości. Wysunięty z okna pasażera strzelec walił w uciekinierów seriami z karabinka szturmowego,

na szczęście mury i stalowe bramy dawały im dostateczną ochronę. Od stali odpryskiwały iskry.

W pewnym momencie z tyłu rozległ się głośny trzask rozrywanego metalu.

Gray zerknął przez ramię i zobaczył, że drugie lamborghini przebiło się przez jedną z bram i rusza za nimi kolumnadowym przejściem – było na tyle szerokie, że mały sportowy samochód swobodnie się w nim zmieścił.

Po chwili Graya zaalarmował huk eksplozji. Jedna ze stalowych bram przed nimi została wyrwana z zawiasów i wystrzeliła do środka. Przez otwór wjechało trzecie lamborghini, po czym zatrzymało się gwałtownie, blokując uciekinierom drogę.

Z okna wychyliła się ubrana na czarno postać i wycelowwała w nich dymiący granatnik.

–W prawo! – krzyknęła Rachele, wskazując kamienną pochylnię.

Gray skręcił ostro i wysunął kolano w bok. Motocykl wpadł w poślizg i pochylił się niebezpiecznie – zbyt niebezpiecznie. Kiedy maszyna przechyliła się jeszcze bardziej, Gray podparł się kolanem, nadpalając sobie spodnie i zdzierając skórę.

Okazało się, że ostry przechył uratował im życie, bo w tym samym momencie huknęło ogłuszająco i tuż nad pochylonym motocyklem przemknęła smuga dymu, o centymetry mijając ich głowy. Gray poczuł smagnięcie gorąca na policzku.

Granat poleciał dalej, uderzając w przednią szybę stojącego z przodu lamborghini. Z okien samochodu wystrzeliły płomienie i pojazd wywrócił się na bok.

Gray wyprostował motocykl i ruszył w stronę pochylni. Seichan i Kowalski objechali potężną kolumnę, po czym ruszyli w tę samą stronę. Obydwa motocykle razem dotarły do pochylni, przemknęły zaciemnionym fragmentem przejścia i ponownie wyprysnęły na słońce.

Za pochylnią otwierała się ogromna przestrzeń. Mury czteropoziomowej budowli obejmowały sześć akrów powierzchni. Choć amfiteatr w ciągu wieków wielokrotnie niszczyły pożary, trzęsienia ziemi i wojny, w dalszym ciągu wyglądał imponująco.

Przed nimi rozciągała się arena, na której ze śmierci uczyniono sport. Pierwotna drewniana podłoga dawno zgniła, odsłaniając labirynt podziemnych kamiennych przejść i cel, w których kiedyś trzymano zwierzęta, niewolników i gladiatorów.

Teraz nad otwartą jamą w ziemi przerzucono drewnianą kładkę i Gray bez wahania z niej skorzystał. Nie zwalniając, popędził wąskim pomostem z desek. Ryk motocykli odbił się zwielokrotnionym echem od murów, budząc duchy niegdysiejszych widzów, klaszczących i żądających krwi.

Nie będą dziś rozczarowane.

Za plecami motocyklistów znowu zaterkotała broń maszynowa. Gray spojrzął w lusterko wsteczne – na końcu przejścia zajmowało pozycje dwóch strzelców. Każdy z nich przyciskał do ramienia karabinek szturmowy. Jedna z kul trafiła w oponę motocykla Seichan, zmuszając ją

do porzucenia pojazdu. Kiedy odepchnęła go od siebie, zaczął sunąć na boku, a ona i jej pasażer upadli na pomost.

Kowalski próbował wstać, ale Seichan podcięła mu nogi – gdyby tego nie zrobiła, kolejna kula trafiłaby go w głowę. Sturlali się z pomostu i spadli w podziemne korytarze.

Gray i Rachele, wyeksponowani jak kaczki na jeziorze, nie mieli szans dotrzeć do drugiego końca kładki. Gray gwałtownie zahamował, odwrócił się, złapał Rachele w pól i oboje stoczyli się z motocykla na pomost.

Pociski załomotały o deski tuż przed nimi.

Gray nie przestawał się turlać – po chwili minęli krawędź kładki i polecili w dół.

Godz. 2.35

Waszyngton

Painter również przysunął się do monitora.

–Można jeszcze bardziej powiększyć obraz?

Technik obsługujący podgląd satelitarny pokręcił głową i opadł na oparcie fotela.

–To najlepsza rozdzielczość, jaką da się uzyskać w tych warunkach. Mógłbym przepuścić dane przez filtr, ale ich kompilacja zajęłaby kilka godzin.

Painter odwrócił się do Kat, która rozmawiała przez telefon.

–Do akcji wkracza włoskie wojsko – poinformowała ich po chwili. – Będą na miejscu za dziesięć minut. Policja obstawiła całą okolicę.

Painter ponownie spojrzął na ekran.

Stracili z oczu motocykle, kiedy wjechały do Koloseum, jednak po kilku sekundach pojawiły się ponownie – na przecinającym arenę drewnianym pomoście. Nie było widać szczegółów, ale zobaczyli, że jeden z motocykli nagle zawrócił i zatrzymał się. Kilka sekund później to samo zrobiła druga maszyna. Obraz zadygotał i znieruchomiał.

Rozdzielczość była zbyt słaba, aby dało się stwierdzić, czy na pomoście leżą jakieś ciała.

Kiedy technik próbował poprawić jakość obrazu, Monk zaglądał mu przez ramię.

–Dyrektorze... – powiedział po chwili, wskazując palcem ekran. – Chyba znowu coś widać. Na pomoście.

Technik potwierdził jego słowa kiwnięciem głowy.

–Wydaje mi się, że to dwóch mężczyzn. Może trzech...

Painter śledził ruchy postaci przesuwających się w stronę motocykli. Nawet przy tak słabej rozdzielczości rozpoznał w nich myśliwych podchodzących zwierynę.

–Spadaj stamtąd, Gray... – wyszeptał do monitora.

Godz. 8. 36

Rzym

Mimo że Rachele opierała się na ramieniu Graya, każdy krok sprawiał, że w górę jej prawej łydki promieniował ostry ból. Kiedy spadała, skręciła nogę w kostce. Kuśtykając, rozglądała się wokół.

Słońce stało jeszcze nisko na niebie i skrywały ich głębokie cienie. Rachele wiedziała od wuja Vigora, że dolne poziomy amfiteatru nazywają się hypogeum, co oznaczało po prostu „podziemie”. To właśnie tu trzymano różne dzikie zwierzęta – lwy, słonie, tygrysy, żyrafy – oraz niewolników i gladiatorów.

Teraz z tego wszystkiego pozostały jedynie sypiące się mury, ślepe korytarze i maleńkie cele. Pozbawiony dachu dolny poziom był wystawiony na działanie słońca i deszczu. Podłogę porastała trawa, a ściany pokrywał mech. Z powodu ryzyka zawalenia hypogeum było niedostępne dla turystów, ale nie dla archeologów. Kiedy Rachele była nastolatką, wuj Vigor zabrał ją tu raz ze sobą.

Gdyby tylko mogła spokojnie pomyśleć...

Gray zatrzymał się nagle, bo za ich plecami rozległy się jakieś podejrzanе odgłosy: szuranie stopami, zduszone oddechy. Ukryli się w jednej z cel.

Korytarzem w ich stronę szły dwie postacie.

Gray odetchnął z ulgą, kiedy je rozpoznał.

–Seichan...

Dziewczyna syknęła i przyłożyła palec do ust. Kowalski, który siedł tuż za nią, miał połowę twarzy zalaną krwią spływającą z poszarpanej rany nad okiem. On również uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

Po chwili usłyszeli tupot stóp nad głowami.

Wbrew ich nadziejom zabójcy wcale nie uciekli. Polowanie wciąż trwało.

Seichan wskazała w górę, po czym wyciągnęła rękę w bok. Bez trudu zrozumieli znaczenie tego gestu: jeżeli zostaną pod pomostem, trudniej będzie ich zauważyć. Musieli jednak zachowywać się bardzo cicho.

Gray kiwnął głową i ruszył w głąb hypogeum, ale Rachele ścisnęła go za ramię i zatrzymała. Gdy popatrzył na nią zdziwiony, pokręciła głową. Właśnie sobie przypomniała, że jeżeli pójdą dalej wzdłuż pomostu, natkną się na mur.

Wskazała przed siebie i poruszyła ręką, jakby uderzała tasakiem. Było to wojskowe oznaczenie ślepej uliczki.

Wiele lat temu wuj pokazał jej wyjście, o którym wiedziało tylko kilka osób. Jednak aby tam dotrzeć, musieli wyjść spod podestu i przejść do odsłoniętej części podziemnego labiryntu.

Gray znów na nią spojrzał, zadając jej nieme pytanie: „Jesteś pewna?”.

Kiedy odpowiedziała kiwnięciem głowy, zacisnął palce na jej ramieniu. Przez chwilę zapragnęła, aby ją objął i mocno przytulił, ale Gray odwrócił się i zaczął coś szeptać do Kowalskiego – zbyt cicho jednak, aby mogła cokolwiek usłyszeć.

Podeszła do niej Seichan, która także obserwowała obu mężczyzn. Rachele podejrzewała, że próbuje czytać z ruchów ich warg. Na jej policzku rozlewał się purpurowy siniak. Rachele uświadomiła sobie, jak bardzo Seichan schudła od ich poprzedniego spotkania. Jej twarz również była wychudzona, ale ciemnozielone oczy, choć zapadnięte, nie straciły swojego dawnego mrocznego żaru.

Gray cofnął się i kazał wszystkim przykucnąć.

Kiedy jeden ze ścigających ich mężczyzn przechodził nad nimi pomostem, spojrzał w górę. Zabójcy obserwowali hypogeum po obu stronach kładki. Gdyby zauważyli jakikolwiek ruch, natychmiast zaatakowaliby. Przypominałoby to strzelanie do ryb pływających w rzece.

–Musimy odwrócić ich uwagę – szepnął Gray, kiedy tamci przeszli dalej. – Kowalski ma w pistolecie jeszcze jeden nabój. Nie na wiele się to przyda, ale...

Ostrożny rytm kroków nagle się zmienił. Powolne stąpania zawróciły i zamieniły się w tupot, który szybko się do nich zbliżał.

Napastnicy musieli usłyszeć szept Graya. Kowalski uniósł pistolet i przygotował się do strzału, ale Seichan powstrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Tupot minął ich i pomknął dalej. Najwyraźniej ich prześladowcy uciekali. Coś ich przestraszyło.

–Pewnie pojawiła się policja – mruknął Gray.

–Najwyższy czas – stwierdził z ulgą Kowalski.

Seichan nie podzielała ich zadowolenia. Była poszukiwana przez służby policyjne wielu krajów – i znajdowała się na liście terrorystów opublikowanej przez Interpol.

Zanim podjęli jakąkolwiek decyzję, usłyszeli rytmiczny odgłos łopat wirnika helikoptera. Gray wyszedł spod podestu i spojrzał w górę. Rachele dołączyła do niego.

Nad Koloseum pojawił się czarny helikopter przypominający osę.

–To nie *polizia* - stwierdziła Rachele.

Na maszynie nie było żadnych oznakowań.

Po chwili otworzył się właz z boku kadłuba.

Gray złapał Rachele za ramię.

–Uciekaj! – krzyknął.

Było jasne, dlaczego zabójcy przestali ich ścigać i zniknęli. Po co strzelać do pływających w rzece ryb, jeżeli znacznie skuteczniejsze mogą być ładunki głębinowe?

–Tędy! – zawołała Rachele.

Ruszyła biegiem, ignorując ból, złagodzony nieco przez adrenalinę. Biegła wzdłuż półkolistej ściany z szeregiem cel. Pozostali podążyli za nią.

–Co się dzieje? – jęknął zdezorientowany Kowalski.

Rachele skręciła w pierwszy korytarz w prawo i zaraz potem w lewo.

Ślepy zaułek.

–Wracamy!

Odwrócili się.

Rachele wiedziała, gdzie jest wyjście, nie pamiętała jednak dokładnie drogi do niego. Cofnęła się kilka kroków i w końcu znalazła właściwą odnogę korytarza. Przejście kończyło się wąskim łukiem, pod którym schodziło się schodami na niższy poziom hypogeum.

Ruszyła w tamtą stronę, ale Gray złapał ją za kurtkę na plecach i wepchnął do jednej z cel. Pozostali wbiegli do niej za nimi. Ułamek sekundy potem rozległ się potężny grzmot, który wstrząsnął ścianami amfiteatru, a tuż nad ich głowami przeleciała fala płomieni, ciągnąc za sobą kłęby dymu i trujących oparów.

Gray wypchnął Rachele z powrotem na korytarz. Zatoczyła się i przetarła łzawiące oczy. Helikopter skręcał w bok, łopaty wirnika mieszały dym i płomień. Na krawędzi otwartego wjazdu maszyny leżała stalowa beczka.

O, nie...

Wiedząc, co zaraz nastąpi, Rachele popędziła korytarzem, przeskakując przewrócone kamienie i fragmenty muru. Do łukowatego sklepienia brakowało jej już tylko dziesięć

metrów. Wpatrzona w cel, nie zauważyła, że staje na obrośniętym mchem kamieniu i poślizgnęła się. Zanim zdążyła upaść, Gray złapał ją w pasie i przeniósł ostatnie kilka metrów. Kiedy dotarli do przejścia, wpadli na nich biegnący za nimi towarzysze i wszyscy się przewrócili, potykając o własne nogi i turlając w dół kamiennych schodów.

Eksplozja przy łukowatym przejściu ogłuszyła ich. Wokół toczyły się kamienie, a u szczytu schodów wystrzeliły płomienie.

Ciśnienie gwałtownie spadło. Po chwili płomienie zostały wysane przez ciąg powietrza z głębi tunelu, a z niższych poziomów wypłynął chłodniejszy podmuch.

Popęzli w stronę mrocznych korytarzy. Po kilku metrach zaczęli wstawać. Rachele oparła się o ścianę. Ciężko dyszała i chciało jej się wymiotować.

–Idziemy dalej – zakomenderował Gray.

Wstrząsy i ogień mogły spowodować zawalenie się korytarzy pierwszego podziemnego poziomu. Musieli jak najszybciej dotrzeć do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

Gray odwrócił się do Rachele.

–Wiesz, gdzie jest wyjście? – zapytał.

Zakaszła i spojrzała na niego.

–Chyba... wydaje mi się, że...

Ścisnął ją za łokieć.

–Rachele!

Kiwnęła głową i spróbowała wziąć się w garść.

–Już, już... Tędy.

Wyjęła telefon komórkowy i otworzyła go. Ekranik nie świecił zbyt mocno, ale i tak było to lepsze niż nic.

Ruszyła przed siebie, trzymając Graya za ramię. Do wyjścia nie było daleko, jednak przed nimi rozciągał się istny labirynt korytarzy.

Pamiętała, jak wuj Vigor zabierał ją tutaj i opowiadał o wystawianych tu wspaniałych przedstawieniach. Najwspanialsze z nich, *naumachiae*, było naprawdę wyjątkowe, ale odbywało się bardzo rzadko.

–Zanim wybudowano tu podziemia, zalewano ten teren wodą, tworząc pośrodku Koloseum wielkie jezioro – powiedziała. – Odtwarzano na nim słynne bitwy morskie, kazano pływać koniom i bykom.

Kowalski szedł z tyłu za całą grupą – zakurzony, zakrwawiony i osmalony.

–Pływanie? To chyba wreszcie coś dla mnie – stwierdził.

–Co robiono z wodą po pokazie? – spytał Gray.

–Zaraz zobaczysz.

Po kolejnych dwóch zakrętach stanęli przed ścianą. Znajdujące się w niej wąskie i niskie przejście przegradzała stalowa krata, za którą korytarz schodził pod ostrym kątem w dół.

–To przejście zostało udrożnione dopiero w zeszłym roku – wyjaśniła Rachele, po czym odsunęła zasuwkę i otworzyła kratę.

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, usłyszeli potężny łoskot. Za ich plecami wystrzeliła chmura gęstego pyłu i przetoczyła się w głąb tunelu.

–Ściany *hypogeum* się walą... – powiedziała Rachele.

Tuż obok nich z sufitu spadł wielki kawał marmuru. Zaraz potem dobiegły ich kolejne łomoty. Cały pierwszy podziemny poziom składał się jak kostki domina.

–Idziemy! – zawołała Rachele. – Szybko!

Zanurkowała w otwarte przejście i poprowadziła ich opadającym w dół korytarzem. Po chwili podłoga ponownie zadygotała, a powietrze wypełniła następna porcja pyłu, zatykając wszystkim nosy i oślepiając ich.

Zasłaniając usta rękawem, Rachele szła po omacku. Stroma podłoga zrobiła się jeszcze bardziej stroma. Dziewczyna jedną ręką przytrzymywała się ściany, a w drugiej trzymała służący jej za latarkę telefon.

–Daleko jeszcze? – spytał Gray.

Nie odpowiedziała. Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Po jakiejś minucie z przodu doleciał ich odgłos przypominający plusk wody. Rachele przyspieszyła, ale się poślizgnęła, przewróciła – na plecy i zaczęła zsuwać się w dół. Podczas upadku wypuściła z dłoni telefon komórkowy, który przez chwilę sunął przed nią, a potem zniknął.

Zjeżdżała jak po lodowej rynnie, nie mogąc się zatrzymać. Nagle poczuła, że ziemia usuwa jej się spod pleców i leci w powietrzu. Krzyknęła, zaraz jednak wylądowała w płytkim strumieniu. Wysokość, z jakiej spadła, nie przekraczała metra.

–Uważaj! – zawołał Gray.

Ledwie zdążyła odtoczyć się na bok, do wody zaczęli wpadać jej towarzysze. Telefon leżał na brzegu i w dalszym ciągu działał. Podniosła go.

Znajdowali się w długiej kamiennej rurze wykonanej z kamiennych płyt. Płynący nią strumień miał jakieś pół metra szerokości.

–Gdzie jesteśmy? – spytał Gray.

–W starych kanałach – odparła Rachele, podniosła się i ruszyła z prądem wody. – Starożytni Rzymianie właśnie w taki sposób opróżniali amfiteatr.

Kowalski westchnął.

–Powiniennem był się domyślić... – mruknął. – Wycieczka po Rzymie z Grayem musiała skończyć się w kanalizacji.

11 października, godz. 15. 12

Waszyngton

Painter siedział za biurkiem i przygotowywał się do nadchodzącej bitwy. Po nieprzespanej nocy trochę się zdrzemnął, wziął prysznic i przebrał się w czyste ubranie.

Od kilku godzin wiedział, że Grayowi i Kowalskiemu nic się nie stało i opuścili Wieczne Miasto. Komandor złożył już wstępny raport o wydarzeniach w Rzymie, nie mógł jednak pozostawać w jednym miejscu. Obiecał, że przedstawi pełny raport, kiedy znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Zabrzączał interkom.

–Dyrektorze, generał Metcalf do pana – powiedział Brant.

Painter ostrzeżono, że wybiera się do niego szef DARPA.

Nie zapowiadało to niczego dobrego.

–Przyślij go prosto do mnie.

Kilka sekund później drzwi się otworzyły. Kiedy Gregory Metcalf wkroczył do gabinetu, Painter Crowe wstał. Generał trzymał czapkę pod pachą, jego twarz była pocięta głębokimi bruzdami.

Painter chciał wyjść mu naprzeciw, ale Metcalf podszedł prosto do biurka, rzucił czapkę na blat i dał gospodarzowi znak, że ma wrócić na swoje miejsce.

–Czy pan wie, jaka burza polityczna nam się szykuje w związku z tym, co się stało we Włoszech? – spytał zamiast powitania.

Painter wrócił za biurko, poczekał, aż jego gość usiądzie, i zrobił to samo.

–Zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, generale – odparł. – Śledzimy wszystkie rozmowy na ten temat na kanałach wywiadowczych.

–Najpierw strzelanina w hotelu, potem pogoń po ulicach i na koniec zamach bombowy w jednym z siedmiu cudów średniowiecznego świata. A w centrum tych wszystkich wydarzeń był pański agent...

Painter wziął głęboki wdech.

–Tak jest, panie generale. To jeden z naszych najlepszych agentów terenowych.

–Najlepszych? – prychnął Metcalf. – W takim razie wolałbym nie poznawać tych najgorszych.

–Został wciągnięty w zasadzkę – powiedział Painter Crowe z lekką irytacją. – Robił tylko to, co konieczne, żeby ujść z życiem.

–Jakim kosztem? Z tego co wiem, zajmował się sprawą, którą nie powinien się zajmować. Sprawą, nad którą doskonale panowały włoskie służby wywiadowcze. Jeżeli udział pańskiego agenta w tych wydarzeniach zostanie ujawniony...

–Generale, ta sprawa wykracza daleko poza wewnętrzne problemy Włoch – przerwał mu Painter. – Dlatego poprosiłem pana o spotkanie w cztery oczy. Nikt nie wie, że się nią interesujemy, i chciałbym, aby tak pozostało.

Metcalf wbił w niego spojrzenie, czekając na szczegóły, ale Painter nie spuścił wzroku.

W końcu generał westchnął i opadł na oparcie fotela.

–Więc proszę mi powiedzieć, co się stało.

Painter rozluźnił się, otworzył jedną z leżących na biurku teczek, wyjął z niej fotografię i przesunął ją w stronę generała.

–To zdjęcie ofiary zamachu bombowego w Watykanie – oświadczył.

Metcalf przyjrzał się fotografii i zmarszczył brwi.

–Ma wypalony na czole taki sam znak jak syn senatora Gormana...

–A także doktor Malloy z Princeton – dodał Painter, który doskonale wiedział, że generał czytał raport z wydarzeń na uniwersytecie.

–No dobrze, lecz co ten ksiądz ma wspólnego z wydarzeniami w Afryce? Rozumiem związek Jasona z Malloyem, ale to? – Przesunął zdjęcie w kierunku Paintera. – Brak w tym sensu.

–Komandor Grayson Pierce, który jest naszym agentem terenowym i został wysłany do Włoch, ocalił jeden z elementów tej układanki. Coś, co było dla kogoś na tyle ważne, że dla jego zdobycia gotów był zniszczyć Koloseum.

–I my to mamy...

Painter kiwnął głową.

–Co to takiego?

–Jeszcze nie wiemy dokładnie. Historyczny artefakt, być może mający związek z pewnymi wykopaliskami w Anglii. Wolałbym na razie nie mówić o szczegółach. Ujawniamy tylko tyle, ile konieczne.

–A ja nie muszę znać tych szczegółów?

Painter popatrzył na niego.

–Naprawdę chciałby je pan znać?

Oczy Metcalfa zwężyły się, jednak po chwili pojawiło się w nich coś w rodzaju mrocznego rozbawienia.

–Słuszna uwaga. Po tym, co się stało w Rzymie, prawdopodobnie nie. Chyba najlepsze będzie teraz ostrożne zaprzeczanie.

–Też tak sędzę – odparł Painter.

Jeszcze nigdy generał nie dał mu tyle swobody.

Ale potrzebował jej znacznie więcej.

–To, co się dzieje, sięga daleko poza granice Włoch – powiedział. – A najlepszym sposobem dotarcia do prawdy jest nieujawnianie swoich działań.

Kiedy Metcalf kiwnął głową, Painter dodał:

–Zanim usłyszeliśmy, co się stało we Włoszech, doszedłem do wniosku, że potrzebujemy więcej informacji o badaniach genetycznych przeprowadzanych w obozie Czerwonego Krzyża w Afryce.

–Na farmie prowadzonej przez Viatus International...

–Z tymi badaniami ma związek śmierć dwóch Amerykanów, Jasona Gormana i doktora Malloya, choć jeszcze nie wiemy jaki. Dlatego musimy rozszerzyć dochodzenie. Potrzebujemy więcej szczegółów. Informacji, które można zdobyć tylko w jednym miejscu.

–Ma pan na myśli korporację, prawda?

–Jutro w Oslo zaczyna się Światowy Szczyt Żywnościowy. Podczas konferencji będzie przemawiał dyrektor generalny Viatusa, Ivar Karlsen. Ktoś powinien go przycisnąć, nakłonić do mówienia i ujawnienia prawdziwego charakteru badań, które prowadzili w Afryce.

–Słyszałem co nieco o nim. Nie należy do ludzi, którzy poddają się jakimkolwiek naciskom. W ten sposób niczego się od niego nie dowiemy.

–Wobec tego trzeba spróbować inaczej.

–Ma bardzo wpływowych przyjaciół... także w USA.

–Zdaję sobie z tego sprawę.

Painter miał teczkę z dokładnymi danymi dotyczącymi Ivara Karlsena i doskonale wiedział, że Viatus International wkroczył także na rynek amerykański – finansując działające na Środkowym Zachodzie konsorcjum zajmujące się produkcją biopaliw, wchodząc w spółkę z jedną z największych firm petrochemicznych produkującą nawozy sztuczne i herbicydy oraz opracowując wspólnie z Monsanto Company genetycznie zmodyfikowany materiał siewny.

–Wiem o szczycie w Oslo – powiedział Metcalf. – Będzie w nim uczestniczył nasz wspólny znajomy. Ktoś, kto bardzo naciska na DARPA w związku ze śmiercią syna.

–Senator Gorman?

–Tak. Już pojechał do Oslo. Mimo niejasnych okoliczności tragicznej śmierci syna przez cały czas współpracuje z Karlsenem. Lepiej nie denerwować żadnego z nich. Rozmowa z dyrektorem generalnym Viatusa będzie musiała być przeprowadzona z najwyższą ostrożnością.

–Oczywiście. Między innymi dlatego poprosiłem pana o spotkanie.

–To znaczy?

–Ponieważ jest to bardzo delikatna sprawa i musimy zachować ostrożność, chciałbym osobiście porozmawiać z Karlsenem.

Metcalf nie spodziewał się tego.

–Chce pan jechać do Oslo?

–Myślę, że powinienem, panie generale.

–A kto miałby podczas pańskiej nieobecności dowodzić Sigmą?

–Kathryn Bryant. Jest moją zastępczynią. Ma doświadczenie wyniesione z pracy w wywiadzie marynarki wojennej i międzynarodowe kontakty. Na pewno doskonale by sobie poradziła.

Metcalf odchylił się, rozważając tę propozycję.

Painter wiedział, jak niewzruszone są zasady generała dotyczące odpowiedzialności osobistej, i zamierzał to wykorzystać.

–Sam pan zauważył, jak słaba jest pozycja Sigmy – powiedział. – Proszę dać nam szansę. Jeśli coś pójdzie nie tak, wezmę całą odpowiedzialność na siebie.

Metcalf popatrzył na niego uważnie, ale nadal milczał.

W końcu kiwnął głową, wstał i wyciągnął rękę. Painter uściskał ją.

–Niech pan działa ostrożnie i delikatnie, dyrektorze – powiedział generał, zanim ruszył do drzwi. – I niech pan używa łagodnych sformułowań.

–Proszę się nie martwić, potrafię stąpać bardzo lekko. To umiejętność przekazywana w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

Metcalf uśmiechnął się.

–Być może, ale ja miałem na myśli Teddy'ego Roosevelta.

Kiedy wyszedł, Painter pomyślał, że do słów prezydenta powinien stosować się każdy agent wybierający się w teren. „Przemawiaj łagodnie, ale noś ze sobą grubą pałkę”.

Godz. 16. 10

–Takich właśnie słów użył dyrektor Painter? – spytała zdziwiona Kat.

Siedziała na kanapie w swoim gabinecie, a Monk stał przed nią.

–Dokładnie takich. Potrzebuje grubej pały.

–I ty masz być tą pałą?

Monk ukląkł na jednym kolanie i popatrzył żonie prosto w oczy. Wiedział, że łatwo mu z nią nie pójdzie. Rozmawiał z Painterem pół godziny temu i dyrektor Sigmy zaproponował mu uczestnictwo w akcji w terenie. W Oslo, stolicy Norwegii. Nie miał odwagi powiedzieć o tym Kat wcześniej.

–To będzie tylko wywiad – obiecał jej. – To samo, co robię od trzech miesięcy w Stanach. Tyle że nieco dalej.

Kat nie patrzyła na niego. Wbijała wzrok w swoje dłonie, które zaciskała na podołku.

–Jasne, wystarczy sobie przypomnieć, jak zakończył się twój ostami przydział.

Monk przysunął się do niej.

–Przecież nikomu nic się nie stało.

Kilka minut temu sprawdził, co się dzieje z Andream Solderitch. Przeniesiono ją do bezpiecznego miejsca, strzeżonego przez grupę agentów Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego pod dowództwem Scotta Harvatha, do którego Monk miał absolutne zaufanie.

–Dobrze wiesz, że nie o to chodzi – powiedziała Kat.

Monk wsunął dłoń pod jej bluzkę i delikatnie dotknął nagiego brzucha.

–Oczywiście, że wiem – odparł lekko schrypniętym głosem. – Może moja pamięć przypomina szwajcarski ser, ale nie zapominam, co jest naprawdę ważne... ani na sekundę. I dlatego na pewno zadbam o to, aby nic się nie stało.

–Nie masz nad wszystkim kontroli.

–Ani ty, kochanie.

W jej oczach mignął cień żalu. Monk doskonale pamiętał, jak troskliwie zajmowała się nim podczas rehabilitacji. Wiedział również, jak bardzo go jej brakowało. Przez kilka miesięcy sądziła, że nie żyje, i trudno mu było sobie wyobrazić, co musiała wtedy czuć. Choć być może rozładowałyby to napięcie między nimi, nigdy nie próbował z nią o tym porozmawiać.

Teraz jednak nie zamierzał stawiać na swoim.

Jeżeli nie będzie chciała, żeby jechał – nie pojedzie.

–Nie cierpię, kiedy pracujesz w terenie – powiedziała. Wyciągnęła jego dłoń spod bluzki i ścisnęła ją mocno. – Ale jeszcze bardziej nie cierpię samej siebie za to, że tak bardzo chcę cię prosić, żebyś nie jechał.

–Wcale nie musisz mnie o to prosić – odparł. – Doskonale wiem, co czujesz. Rozumiem to. Będą następne misje. Pojadę, kiedy oboje będziemy gotowi.

Przyciągnęła jego głowę do siebie.

–Zawsze musisz być męczennikiem, panie Kokkalis? – spytała, pochylając się nad nim.

–O czym ty mówisz?

Uciszyła go, przyciskając wargi do jego ust. Po chwili odsunęła się od niego.

–Zadbaj tylko o to, żeby tym razem wrócić w takim samym stanie, w jakim wyjeżdżasz – oświadczyła, uderzając lekko palcem w jego protezę.

–Chcesz powiedzieć, że...

–Boże drogi, Monk... Tak, możesz jechać.

Ogarnęła go radość. Uśmiechnął się szeroko i przytulił ją mocno do siebie.

Popatrzyła na niego i również się uśmiechnęła.

–Tylko nie zacznij znowu mówić o wielkiej pale...

–Ależ kochanie... jakżebym mógł...

Pochyliła się i ponownie go pocałowała. Wsunął dłonie pod jej pośladki i posadził ją sobie na kolanach.

–Po co mam o tym gadać, skoro mogę udowodnić to czynem? – szepnął żonie do ucha.

Godz. 22. 15

Terni, Włochy

Gray stał na straży przy oknie i wpatrywał się w ciemny ogród za starym wiejskim domem. Miał stąd także widok na parking i biegnącą w pobliżu Via Tiberina. Przejechali prawie sto trzydzieści kilometrów, aby dotrzeć do tego znanego ze starożytnych rzymskich ruin i łaźni miasteczka w Umbrii.

Miejsce postoju wybrała Rachele. Zatrzymali się w przerobionym na hotel piętrowym wiejskim domu, który dzięki belkowaniam z orzecha, ceglany łukom i żelaznym

kandelabrom zachował swój dawny charakter. Dodatkowym plusem było jego położenie – z dala od bardziej uczęszczanych dróg.

Mimo to Gray nie zamierzał stracić czujności. Po wydarzeniach w Rzymie nie chciał ryzykować. I nie był w tym osamotniony.

W ogrodzie mignął ognik papierosa. Nie wiedział, że Seichan pali, ale przecież tak naprawdę niewiele o niej wiedział. Była w jego życiu wielką niewiadomą i niepotrzebnym ryzykiem. Pamiętał rozkaz, jaki wydano w Waszyngtonie: zatrzymać i przekazać policji, kiedy tylko okaże się to możliwe.

Ale przecież dzisiejszego dnia ochraniała im tyły, a w przeszłości uratowała mu życie.

Kiedy w sąsiadującej z pokojem łazience zakręcono wodę, rury wydały z siebie basowy pomruk. Rachele właśnie skończyła brać prysznic. Po godzinie spędzonej w kanalizacji rzymskiego amfiteatru wszyscy potrzebowali dłuższego kontaktu z mydłem i gorącą wodą.

Potrzebowali także czasu, aby zaplanować dalsze działanie.

Po chwili z zaparowanej łazienki wyszła Rachele – bosa, owinięta jedynie ręcznikiem, z ociekającymi wodą włosami.

–Prysznic wolny – poinformowała Graya i rozejrzała się po pokoju. – Gdzie się podział twój partner?

–Poszedł na dół. Zamierzał spróbować wyłudzić w kuchni późną kolację.

Rachele zatrzymała się w otwartych drzwiach, bo nagle poczuła się bardzo dziwnie. Bała się spojrzeć na Graya. Od momentu kiedy znowu wpadli jedno drugiemu w życie, ani przez sekundę nie byli sami.

Gray wiedział, że powinien się dyskretnie odwrócić, dać jej chwilę prywatności, jednak nie potrafił się do tego zmusić.

Rachele powoli podeszła do łóżka. Tylenol i bandaż nieco pomogły bolącej nodze, ale potrzebowała przynajmniej jednego dnia odpoczynku. Na łóżku leżały świeże ubrania, jeszcze z etykietami, owinięte w papier: dżinsy, granatowa bluzka i płaszcz sięgający do połowy uda.

Ścisnęła ręcznik jak tarczę, choć Gray doskonale wiedział, co jest pod spodem. Jego ręce i usta znały całe jej ciało. Mimo woli zadrżał, wspominając to wspaniałe ciało, ciche słowa wypowiedane w mroku nocy i obietnice, które nigdy nie zostały spełnione.

Ponownie odwrócił się do okna – nie ze wstydu ani grzeczności, ale z poczucia żalu i utraty czegoś pięknego.

Słyszał, jak Rachele porusza się przy łóżku, jak szeleści papier. Nie poszła ponownie do łazienki – ubierała się za jego plecami. Nie było w tym nic uwodzicielskiego, raczej wyzwanie, coś, co miało go zabołec i zawstydzić.

A może się mylił?

Kiedy już była ubrana, podeszła do okna i stanęła przy nim.

–W dalszym ciągu trzymasz straż?

Nic na to nie odpowiedział.

Postała przy nim przez chwilę. W ogrodzie na dole płomień zapalniczki oświetlił na chwilę twarz Seichan i Gray poczuł, że Rachele sztywnieje. Popatrzyła na niego, odwróciła się i ruszyła w stronę łóżka.

Zanim którekolwiek z nich się odezwało, zapukano do drzwi. Wszedł Kowalski – z wielką drewnianą tacą i dwiema butelkami wina pod pachą.

–Obsługa hotelowa – powiedział.

Kiedy wchodził, dostrzegł leżący na podłodze ręcznik. Popatrzył na Graya, potem na Rachele i przewrócił oczami. Nucąc coś pod nosem, zaniósł swój łup do stołu.

Postawił na nim tacę, ale wino nadal trzymał pod pachą.

–Gdybyście mnie potrzebowali, będę w łazience. Zamierzam wziąć długą kąpiel. Naprawdę długą. Zajmie mi przynajmniej godzinę – oświadczył i znacząco popatrzył na Graya.

Na twarz Rachele wypłynął blady rumieniec.

Od konieczności odpowiedzi uratował Graya dzwonek jego komórki, leżącej na stoliku przy łóżku. Spojrzał na zegarek – to musiał być Painter Crowe. Wziął telefon i podszedł z nim do okna.

–Pierce przy aparacie – powiedział, kiedy rozległ się cichy trzask, informujący, że włączone zostało zabezpieczenie linii przed podsłuchem.

–A więc znaleźliście sobie lokum – stwierdził dyrektor.

–Na razie musi wystarczyć.

Kowalski poszedł do łazienki z dwiema butelkami wina, a Rachele siedziała na łóżku i słuchała tego, co mówił Gray. Przez najbliższe piętnaście minut Gray i dyrektor Crowe porównywali swoje przemyślenia i notatki: trzy morderstwa na trzech kontynentach, agresja i okrucieństwo służące zakamuflowaniu rzeczywistych zamiarów zabójców, znaczenie pogańskiego symbolu, który najwyraźniej łączył wszystko w jedną całość.

Painter powiedział o swoim planowanym wyjeździe do Norwegii. Zamierzał przyjrzeć się bliżej Viatusowi i przeprowadzić rozmowę z dyrektorem generalnym firmy.

–Monk jedzie z panem? – zapytał Gray.

Kiedy dyrektor potwierdził, zaskoczyło go to nieco, ale był zadowolony, że jego przyjaciel wreszcie wraca do pracy w terenie.

–Jedzie też z nami John Creed, nasz nowy genetyk – dodał Painter Crowe. – To on odczytał dane z e-maila Jasona Gormana. I w ten sposób dochodzimy do odkrycia porucznik Verony... do tego, co tak bardzo ktoś chciał zniszczyć.

–Czyli do zmumifikowanego palca – mruknął Gray i spojrział na Rachele.

W czasie jazdy pociągiem z Rzymu długo na ten temat rozmawiali. Ojciec Marco Giovanni pracował przy wykopaliskach w północnej Anglii, w górskim regionie graniczącym ze Szkocją. Nie znali dokładniejszej lokalizacji tego miejsca i wiedzieli jedynie, że były student wuja Vigora badał korzenie celtyckiego chrześcijaństwa, mieszanie się pogańskich rytuałów z katolicyzmem.

Gray powiedział o tej rozmowie Painterowi, nie rozwodził się jednak nad szczegółami.

–Wydaje mi się, że powinien pan posłuchać, co ma na ten temat do powiedzenia porucznik

Verona – dodał. – Nie wiem, jakie to wszystko ma znaczenie, ale sądzę, że warto zapoznać się z faktami.

–Doskonale. Daj mi ją do telefonu.

Gray podszedł do łóżka i podał Rachele aparat.

–Chyba powinnaś powiedzieć Painterowi, czego się dowiedziałas.

Kiwnęła głową i po kilku wstępnych uprzejmościach przeszła do sedna.

–Zanim zaczęło się to szaleństwo w Rzymie, zdobyłam listę wszystkich publikacji ojca Giovanniego – powiedziała. – Większość z nich dotyczyła Czarnej Madonny.

Gray słuchał tego tylko jednym uchem. Przed podjęciem pracy w Sigmie studiował religioznawstwo porównawcze i sporo wiedział o kulcie Czarnej Madonny. Rzeźby i obrazy przedstawiające Matkę Boską z ciemną albo nawet czarną skórą pojawiały się od początków chrześcijaństwa. W Europie istnieje ponad czterysta tego typu wizerunków – część pochodzi z XI wieku. Wiele obrazów do dziś otacza się kultem religijnym – należy do nich między innymi Czarna Madonna z Częstochowy, Madonna z Hermits w Szwajcarii i Dziewica z Gwadelupy w Meksyku.

Mimo że wszystkie te wizerunki otacza się szczególną czcią, budzą wiele kontrowersji. Jedni twierdzą, że mają cudowne właściwości, inni uważają, że ciemna skóra to efekt osadzania się kopcia świec albo naturalnego ciemnienia drewna czy marmuru. Jednak Kościół katolicki unika wypowiadania się na temat cudotwórczej mocy tych obrazów.

–Marco uważał, że kult Czarnej Madonny w chrześcijaństwie celtyckim wywodzi się z przekonania, iż jest ona połączeniem starej pogańskiej Matki Ziemi z Dziewicą Maryją – mówiła dalej Rachele. – Całą swoją karierę naukową podporządkował poszukiwaniu źródeł tego mitu.

Przerwała, bo Painter zadał jej jakieś pytanie.

–Nie wiem, czy odnalazł to źródło, znalazł jednak coś, czego chronienie kosztowało go życie – odparła po chwili. – Rozumiem, przekażę telefon komandorowi Pierce'owi.

Gray wziął od niej aparat, przyłożył go do ucha i odwrócił się do okna.

–Słucham, dyrektorze.

–Biorąc pod uwagę opowieść Rachele, chyba jest oczywiste, jaki powinien być wasz następny krok, prawda?

–Przyjrzenie się wykopaliskom w Anglii.

–Właśnie. Nie mam pojęcia, co łączy morderstwa w Afryce i Princeton z poszukiwaniami ojca Giovanniego, ale jakiś związek musi być. Ja zajmę się w Oslo aspektem genetycznym, a wy sprawdźcie, co oznacza ten zmumifikowany palec.

–Tak jest, dyrektorze.

–Będziesz potrzebował kogoś jeszcze, czy wystarczy ci tych dwoje, Kowalski i porucznik Verona?

–Sądzę, że im nas mniej, tym lepiej – odparł Gray.

Choć próbował panować nad swoim głosem, czuł, że pojawiło się w nim napięcie. Spojrzał w stronę ogrodu, w którym znowu rozjarzył się czerwony ogień. Niechętnie okłamywał szefa, ale gdyby Painter Crowe dowiedział się o ich nowym sojuszniku, musiałby przysłać po Seichan ludzi, którzy zabraliby ją do specjalnego ośrodka przesłuchań.

Nie mógł na to pozwolić.

Zastanawiał się jednak, czy podjął właściwą decyzję.

Kiedy odwrócił się od okna, napotkał wzrok Rachele. Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że ryzykuje, narażając nie tylko własne życie, ale pamiętał pełną bólu prośbę Seichan sprzed dwóch lat.

„Zaufaj mi choć trochę, Gray”.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie, wziął długi, uspokajający oddech i ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

–Poradzimy sobie w takim składzie, w jakim jesteśmy – powiedział.

11 października, godz. 23. 22

Oslo, Norwegia

Ivar Karlsen otworzył ciężkie dębowe drzwi ozdobione pasami kutego żelaza. W bezgwiazdnej nocnej ciemności wirował śnieg, smagając wąskie łukowate wejście. Zimno szczypało policzki, a żelazna klamka aż parzyła. Burza, która zaczęła się w ciągu dnia, do wieczora zamieniła się w pierwszą tegoroczną śnieżycę.

Taka surowa pogoda pobudzała Ivara, sprawiała, że jego serce biło mocniej, a płuca pracowały jak miechy. Może – jak twierdziła jego stara *bestemor* - w żyłach Karlsenów naprawdę płynęła krew wikingów?

Pochylił się, aby wejść do środka, i kilka razy tupnął, strząsając z butów śnieg. Przed sobą miał ciemne schody prowadzące do podziemi zamku Akershus. Ściągnął z głowy kaptur, wyjął z kieszeni latarkę, zapalił ją i ruszył w dół.

Jego kroki odbijały się głośnym echem od niskich ścian. Aby nie uderzać głową w sufit, musiał iść pochylony. Schody prowadziły do dawnego pomieszczenia dla strażników. Na ścianach wisiały haki i uchwyty na pochodnie, a sufit podierały grube belki.

Po przeciwległej stronie wejścia znajdował się obmurowany ceglami łuk, wychodzący na korytarz z ciasnymi celami, w których kiedyś trzymano więźniów. To właśnie tutaj hitlerowcy torturowali rodaków Ivara, którzy próbowali walczyć z okupantem. On sam stracił tu stryjecznego dziadka. Aby uczcić jego pamięć, Viatus International co roku przekazywała znaczne sumy na konserwację i renowację zamku.

Ivar skierował promień latarki w głąb ponurego, mrocznego korytarza. Ta część zamku była zamknięta dla zwiedzających. Niewiele osób wiedziało o jej istnieniu i mrocznej historii. W podziemiach Akershus przetrzymywano ludzi, którzy dopuścili się zdrady króla i kraju, i wykonywano na nich wyroki. Spędził tu także ostatnie dni przed egzekucją nazistowski kolaborant Viktor Quisling.

Ivar zacisnął palce na starej monecie, którą zawsze nosił w kieszeni. Była to czteromarkówka z czasów Fryderyka IV, wybita w 1725 roku przez Henrika Christofera

Meyera. On również zmarł w tych piwnicach, uwięziony w nich za zastępowanie w królewskich monetach srebra miedzią, co zostało uznane za zdradę.

Król Fryderyk IV, mimo że uważany był za łaskawego i miłosiernego władcę, hołdował bardzo surowemu kodeksowi honorowemu. Krążyły pogłoski, że w jego żyłach płynęła krew wikingów, a według ich kodeksu każda zdrada musiała być bezlitośnie ukarana.

Na rozkaz króla nieuczciwego mincerza nie tylko wychłostano i skazano na dożywotnie więzienie, lecz także napiętnowano, wypalając mu znak na czole. Król polecił, aby użyto do tego celu jednej z monet, które bił Meyer.

Czteromarkówka w kieszeni Ivara była właśnie taką monetą. Należała do rodziny Karlsenów od stuleci, a związaną z nią opowieść przekazywano z pokolenia na pokolenie. Była też ważnym elementem kodeksu Karlsenów: zawsze bądź dla ludzi łaskawy i szczodry, ale nigdy nie toleruj zdrady.

Drzwi na górze otworzyły się i zamknęły z trzaskiem, wytrącając Ivara z zadumy. Po chwili dobiegło do niego echo kroków schodzącej szybko osoby.

Do wartowni weszła szczupła, długonoga kobieta, przynosząc ze sobą powiew zimowego chłodu. Jej włosy pokrywała warstewka śniegu, a w bursztynowych oczach odbijało się światło latarki.

–Przepraszam cię za spóźnienie, Ivarze – powiedziała i odrzuciła do tyłu włosy, strząsając z nich śnieg.

Choć Krista Magnussen nie miała jeszcze trzydziestu lat, bardzo szybko awansowała i była już naczelnym genetykiem działu biogenetyki roślin uprawnych Viatusa. Dopiero w ubiegłym roku Ivar Karlsen dowiedział się, kim jest naprawdę – powiedziała mu to, kiedy nad jego starannie przygotowywanymi planami zawisły czarne chmury. Domek z kart, który budował z taką dbałością o najdrobniejsze szczegóły, zaczął się rozpadać i trzeba go było ustabilizować. Krista bardzo mu w tym pomogła, lecz odkrycie, że jest zupełnie kimś innym, niż sądził, było dla niego szokiem.

W jego branży szpiegostwo przemysłowe nie jest czymś niezwykłym, ale nigdy nie podejrzewałby o nie Kristy. Nigdy też nie spodziewałby się, że ma tak rozległe kontakty. Pracowała dla używającej wielu nazw organizacji, która w zamian za dostęp do nowych technologii i udziały w przyszłych zyskach oferowała swoją pomoc w rozwiązywaniu najróżniejszych problemów. Dzięki tej pomocy jego plany zostały nie tylko uratowane, ale nawet mogły być zrealizowane znacznie wcześniej.

Krista osobiście zajęła się jednym z jego problemów – sprawą syna senatora.

Podeszła bliżej, objęła Ivara i musnęła ustami jego policzek. Jej wargi wciąż jeszcze były zimne.

–Przepraszam też, że musiałam wezwać cię tak nagle i o tak późnej porze – dodała.

–Jeżeli sprawa jest poważna...

–Jest. – Krista potrząsnęła płaszczem, aby strącić z niego śnieg i krople wody. – Właśnie się dowiedziałam, że nasze cele w Rzymie przeżyły.

–Żyją? Zdawało mi się, że byłaś pewna ich śmierci.

–Nie doceniliśmy ich – odparła Krista, wzruszając ramionami.

Nie usprawiedliwiała się, nie kłamała, nie unikała odpowiedzialności. Ivar zawsze bardzo cenił jej szczerość.

–W dalszym ciągu mają artefakt?

–Tak.

–Skąd to wiesz?

Uśmiechnęła się lekko.

–Wygląda na to, że nasz atak zwrócił czyjąś uwagę, bo po wydarzeniach w Rzymie skontaktowano się z nami i zaproponowano układ. Mamy kogoś wewnątrz ich grupy.

–Czy tej osobie można zaufać?

–Nigdy nie stawiam na zaufanie. Nasza organizacja będzie cały czas blisko.

–Nie rozumiem waszej strategii. Jeżeli macie kogoś w ich grupie, dlaczego po prostu nie każecie mu przejąć artefaktu albo go zniszczyć?

Oczy Kristy zamigotały w ciemności.

–To chyba nie najlepsze rozwiązanie.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Ojciec Giovanni cię zdradził. Wziął od ciebie pieniądze, pozwolił ci finansować jego badania, ale kiedy znalazł artefakt, ukradł go i uciekł. Być może jednak...

Palce Ivara zacisnęły się na monecie w kieszeni. Książkowi musiał zapłacić za zdradę. Kiedy Ivar dowiedział się o powiązaniach Kristy, opowiedział jej o Henriku Meyerze – a wtedy ona dla zakamuflowania morderstw zaproponowała okaleczanie ciał, tak aby podejrzenie padło na ekoterrorystów. Ivarowi się to spodobało, bo przypominało średniowieczny sposób wymierzania sprawiedliwości zdrajcom. A przecież ci ludzie zdradzili świat.

–... może tamci podejmą poszukiwania tego, czego nam brakuje – dokończyła Krista. – Tego, czego szukał Giovanni.

–Klucza Dnia Sądu Ostatecznego...

Umożliwiłoby to nie tylko realizację jego planu, ale otworzyło także nowy etap w historii. W

tym kluczu kryło się coś, co z pewnością umożliwiłoby rozwikłanie pradawnej tajemnicy.

–Ci ludzie są inteligentni i przedsiębiorczy – powiedziała Krista. – I może uda im się osiągnąć sukces tam, gdzie ojciec Giovanni poniósł porażkę...

Ivar popatrzył na nią.

–Jesteś pewna, że nie stracisz nad tym kontroli?

–Nie będę sama, pomoże mi Gildia – odparła Krista i znowu się uśmiechnęła. – Nie zawiedziemy cię – dodała.

Pozwoliła mu się objąć i pocałowała go. Tym razem nie było to lekkie muśnięcie w policzek, lecz pocałunek w usta. Włosy Kristy, zimne i wilgotne, dotknęły jego policzka, przyprawiając go o dreszcz, ale jej wargi i język niemal parzyły.

Przyciągnął ją mocniej do siebie. Wiedział, że Krista go uwodzi i że może się to dla niego źle skończyć, jednak nie potrafił się od niej odsunąć.

Oboje zdawali sobie sprawę, że stawka w tej grze jest bardzo wysoka.

Była nią przyszłość ludzkości.

I absolutna władza.

CZEŚĆ DRUGA

OGIEŃ I LÓD

12

12 października, godz. 10. 12

Hawkshead, Anglia

Nieemożliwe, aby trop tych wszystkich ponurych zbrodni prowadził do takiej idyllicznej wiejskiej okolicy, pomyślał Gray.

Jechali krętą drogą, która z każdym kilometrem robiła się węższa i wkrótce land-rover z wypożyczalni ledwie się na niej mieścił. Nad nimi zwisały splątane gałęzie drzew, tworząc mroczny tunel. Kiedy krajobraz ponownie się otworzył, zobaczyli w oddali wierzchołki wzgórz pokryte płachtami bieli po nocnej śnieżnej burzy.

Nieco bliżej obrzeżone żywopłotami polne drogi ciąły na mniejsze prostokąty pokryte zbrązowiałą trawą łąki i puste pola. Między gładkimi jak lustra jeziorkami i niewielkimi stawami pokrytymi przy brzegach lodem migotały strumienie i małe rzeczki. Wszędzie leżał nawiany przez wiatr śnieg.

Wszyscy milczeli, podziwiając malownicze widoki.

Prawie wszyscy.

–Zgubiłeś się, prawda? – zaatakował nagle Graya siedzący z tyłu Kowalski.

–Nic podobnego – skłamał.

Rachele popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

No dobrze, może nieco zoczyli z kursu...

Przed dwiema godzinami wyjechali z Liverpoolu i dotarli do Krainy Jezior na północy Anglii. Drogi były dobrze oznakowane, ale ledwie zjechali z głównej szosy, znaleźli się wśród wzgórz, lasów i jezior, między którymi biegly nieoznakowane wiejskie trakty.

Nawet GPS na nic się im nie przydał, bo żadna z dróg nie prowadziła tam, gdzie należało się spodziewać.

Ich celem była wioska Hawkshead – umówili się tam z kolegą ojca Giovanniego, historykiem z Uniwersytetu Dublińskiego, doktorem Wallace'em Boyle'em. Doktor nadzorował prace wykopaliskowe w tej części dystryktu i zgodził się z nimi spotkać w hotelowym pubie.

Najpierw jednak musieli dotrzeć do Hawkshead.

Rachele patrzyła na mapę i co chwila wyglądała przez okno w poszukiwaniu jakichś charakterystycznych punktów. Seichan, siedząca z tyłu razem z Kowalskim, w ponurym milczeniu przyglądała się pofałdowanym wzgórzom i dolinom. Od wyjazdu z Włoch prawie się nie odzywała i przez cały czas trzymała się na uboczu, zachowując ostrożny dystans.

–Jeśli szybko nie dojedziemy do tej wioski, będziesz się musiał zatrzymać przy jakimś drzewie albo krzakach – oświadczył Kowalski. – Moje zęby trzonowe już pływają.

Gray przyspieszył.

–Gdybyś nie wypił w Liverpoolu czterech piw...

–To nie moja wina, ale tych niedorzecznych nazw. Blackwater Brewery's Buccaneer. Cains Double Bock. Boddington's Bitters. Tetley's Cask. Człowiek nie ma pojęcia, co dostał, póki nie spróbuje.

–Ale wypileś wszystkie.

–Oczywiście. Nie chciałem być niegrzeczny.

Rachele złożyła mapę.

–To chyba już niedaleko – powiedziała bez przekonania. – Może powinniśmy się zatrzymać i zapytać kogoś o drogę?

Kilka chwil później okazało się to zbędne. Kiedy land-rover pokonał kolejne wzgórze, w dolinie przed nimi ukazała się mała wioska.

Gray spojrział na Rachele. Malująca się na jej twarzy ulga wystarczyła mu za odpowiedź. To musiało być Hawkshead. Między domkami otoczonymi ogródkami biegły brukowane uliczki; łupkowe dachy pokrywał śnieg, a z kominów wzbijały się w niebo cienkie słupy dymu. Na wzgórzu, niczym strzegący wioski ponury wartownik, stał stary kamienny kościół.

Kiedy zjeżdżali do doliny, w pewnym momencie po obu stronach drogi pojawiły się kamienne mury. Land-rover przejechał przez łukowaty granitowy most i wjechał na obrzeża wioski. Domy były wykonane z obrzuconej gliną plecionki, z wyeksponowanymi drewnianymi elementami – jak w angielskich miasteczkach z epoki Tudorów. Małe przydomowe ogródki i skrzynki w oknach pozwalały się domyślać, że wiosną i latem wszędzie jest zielono, ale teraz na ulicach leżał śnieg, tworząc bożonarodzeniową scenerię.

Po chwili opony zachręściły na pokrytych lodem kocich łbach i Gray jeszcze bardziej zwolnił. Kierował się w stronę rynku, przy którym stał hotel Kings Arms – spotkanie wyznaczono w hotelowym pubie. Byli już dwadzieścia minut spóźnieni. Kiedy dotarli na miejsce, zatrzymali się

na małym parkingu.

Gdy wysiedli, zimno wgrzyzło się w nieosłoniętą skórę. Wilgoć Liverpoolu i jazda w ogrzewanym samochodzie nie przygotowały ich na lodowate powietrze wyżynnej Krainy Jezior. Otulili się ciasniej płaszczami i ruszyli do hotelu.

Hotel Kings Arms stał po przeciwległej stronie rynku. Pokryty łupkiem budynek z epoki elżbietańskiej witał podróżnych od pięciuset lat. Piwny ogródek od frontu otaczał niski murek, stoły i krzesła pokrywała cienka warstwa śniegu, ale blask padający z parterowych okien obiecywał ciepło i gorące napoje w środku.

Szli szybkim krokiem, a Kowalski włókł się z tyłu.

–Hej, popatrzcie na te wszystkie niedźwiadki... – powiedział tęsknym tonem, co było tak nieoczekiwane, że wszyscy się zatrzymali.

Gray odwrócił się i spojrział na niego. Wielkolud wpatrywał się w jedną z wystaw. Za oszronioną szybą w bursztynowym świetle siedziały pluszowe misie różnej wielkości i najrozmaitszych kształtów. Nad drzwiami był napis: Sixpenny Bears.

–Jeden z nich ma strój boksera! – zawołał Kowalski i skręcił w stronę sklepu.

–Jesteśmy już spóźnieni – przypomniał mu Gray.

Ramiona wielkoluda opadły. Po raz ostami rzucił okiem na wystawę i podążył za resztą.

Rachele popatrzyła na niego ze zdumieniem.

–Co jest? – burknął Kowalski. – To dla Liz, mojej dziewczyny. To ona... zbiera niedźwiadki.

Rachele nie wyglądała jednak na przekonaną.

Wielkolud ruszył dalej, mamrocząc coś pod nosem.

Seichan podeszła do Graya i ujęła go za łokieć.

–Idźcie na to spotkanie, a ja popilnuję na zewnątrz – powiedziała.

Zaskoczyło to Graya. Nie tak się umawiali. Choć twarz Seichan niczego nie wyrażała, jej oczy cały czas przeszukiwały rynek, wypatrując ewentualnych kryjówek snajperów, dróg ucieczki i miejsc, w których można by się ukryć. A może po prostu obawiała się spojrzeć mu w oczy? Chroniła ich, czy chciała zachować chłodny dystans?

–Coś nie tak? – spytał, zwalniając kroku.

–Nie – odparła niemal ze złością. – I mam zamiar dopilnować, aby tak pozostało.

Gray nie miał nastroju do kłótni. Poza tym po wydarzeniach we Włoszech postawienie wartownika na zewnątrz chyba nie było złym pomysłem.

Seichan odeszła w bok, a Gray ruszył za Kowalskim i Rachele.

Przeszli przez zamarznęty ogródek piwny i stanęli przed frontowymi drzwiami. Obok nich wisiał napis: ZAPRASZAMY ŁAGODNE PSY I GRZECZNE DZIECI. Prawdopodobnie wykluczało to Kowalskiego. Gray przez chwilę rozważał, czy nie kazać mu zostać na zewnątrz razem z Seichan, ale w końcu doszedł do wniosku, że tylko by ją to rozzłościło.

Kiedy pociągnął za klamkę, buchnęła na niego fala gorącego powietrza przesyconego zapachem słodu i chmielu. Ze środka dobiegał gwar rozmów i głośne wybuchy śmiechu. Kowalski wszedł pierwszy i natychmiast ruszył w kierunku toalety.

Gray pozostał przy wejściu i rozejrzał się po wnętrzu pubu. Przed kamiennym kominkiem, w którym buzował ogień, porozstawiano stoliki. Pośrodku pomieszczenia stała naturalnej wielkości drewniana figura przedstawiająca króla w koronie.

Kolejny wybuch śmiechu zwrócił uwagę Graya na stół tuż przy kominku. Przed siedzącym za nim mężczyzną stało dwóch mężczyzn w myśliwskich strojach i sięgających do kolan butach.

–Mówisz, że wpadł do bagna, Wallace? – powiedział ze śmiechem jeden z myśliwych i uniósł kufel z ciemnym ale.

–Prosto w najpaskudniejsze błoto! – odparł mężczyzna za stołem z wyraźnym szkockim akcentem.

–Żałuję, że tego nie widziałem!

–Panowie, ale ten smród, który się potem z tego błota wydobył... nie chcielibyście być w pobliżu – dodał mężczyzna za stołem i również wybuchnął śmiechem.

Gray rozpoznał w nim doktora Wallace'a Boyle'a, którego zdjęcie widział na stronie internetowej Uniwersytetu Edynburskiego – choć tam był gładko ogolony i ubrany w garnitur. Mężczyzna siedzący za stołem miał rozczochraną siwą brodę i – podobnie jak obaj myśliwi – nosił wystrzępioną kurtkę z materiału w jodelkę, założoną na watowaną kamizelkę. Na stole leżała reszta stroju: tweedowa czapka w kolorze mchu, rękawiczki bez palców i gruby szal. Na ławce stała pionowo strzelba w futerale.

Doktor Boyle zauważył, że Gray na niego patrzy.

–Tavish, Duff, wygląda na to, że właśnie przybyli dziennikarze, z którymi miałem się tu spotkać – powiedział do swoich towarzyszy.

Była to przykrywka Graya i Rachele: mieli udawać parę dziennikarzy zajmujących się sprawą

zamachu bombowego w Watykanie i zamierzających wyjaśnić przyczyny śmierci ojca Giovanniego. Kowalski miał grać rolę fotografa.

Myśliwi spojrzeli na Graya podejrzliwie, ale kiwnęli głowami na powitanie. Dopili piwo i zaczęli zbierać się do odejścia.

–Trzymaj się, Wallace – powiedział jeden z nich. – Na nas już czas. Na dworze robi się coraz bardziej nieciekawie.

–I coraz zimniej – przyznał doktor, po czym dał Grayowi i Rachele znak, aby podeszli.

Kowalski wrócił z toalety, ale ominięcie baru okazało się ponad jego siły. Wbił wzrok w wiszącą nad kominkiem tablicę, na której wypisano nazwy miejscowych piw.

–Copper Dragon's Golden Pippin? To piwo czy napój owocowy? Nie chcę niczego, w czym są owoce.

Gray dał mu znak, żeby się uciszył, i podeszedł do stolika doktora.

Wallace wstał i wyprostował się. Choć już po sześćdziesiątce, był w doskonałej formie – szerokie bary i masywna sylwetka upodabniały go trochę do Seana Connery'ego. Kiedy podawali sobie dłonie na powitanie, historyk nieco dłużej zatrzymał wzrok na twarzy Rachele i zmrużył oczy. Trwało to jedynie ułamek sekundy.

Dziewczyna zaczęła wsuwać się do boksu i nagle znieruchomiała – jej strona ławki była zajęta. Nad stołem uniósł się pokryty zmierzwionym futrem psi łeb i opadł na blat obok talerza z niedojedzoną kiełbasą i purée ziemniaczanym.

–Złaź, Rufus! – rzucił Wallace. – Zrób pani miejsce!

Siwoczarny terier prychnął, zgramolił się z ławki i wylazł spod stołu. Poczłapał do kominka, obrócił się dwa razy wokół własnej osi i z głośnym sapnięciem zwałił się na podłogę.

–To mój pies – wyjaśnił doktor. – Jest trochę rozpuszczony, ale w jego wieku... myślę, że zasłużył sobie na trochę względów. Najlepszy tropiciel lisów w tym rejonie. Zresztą właśnie tu się urodził i wychował. Prawdziwy terier z Krainy Jezior – dodał z dumą.

Nie sprawiał wrażenia naukowca czekającego na wcześniejszą emeryturę ani człowieka spoczywającego na laurach, choć uważany był za najwybitniejszego znawcę historii Wysp Brytyjskich, zwłaszcza epoki kamienia gładzonego, kiedy ich mieszkańców podbili Rzymianie.

Gdy usiedli, Gray położył na stole mały dyktafon. Po wymianie uprzejmości i paru uwag na temat pogody Wallace przeszedł do sedna.

–Przejechaliście taki kawał drogi, żeby zobaczyć, co odkryliśmy na wzgórzach? – spytał. Jego

szkocki akcent niemal zupełnie zniknął, najwyraźniej dostosowywał się do swoich rozmówców.

– Od śmierci ojca Giovanniego przez cały czas odpowiadam na jakieś

pytania, ale jesteście pierwszymi osobami, które pofatygowały się do nas osobiście. Zresztą ojca Giovanniego też tu nie było od wielu miesięcy.

–Jak to? – zdziwiła się Rachele.

–Wyjechał pod koniec lata. Najpierw pojechał na wybrzeże, a stamtąd do Irlandii, skąd dostałem od niego ostatnią wiadomość. – Wallace ze smutkiem pokręcił głową i postukał paznokciem w kufel. – Był znakomitym naukowcem i jego śmierć to dla nas wielka strata. Jego badania i prace dotyczące chrześcijaństwa celtyckiego mogłyby zmienić sposób patrzenia na historię.

–Dlaczego przyjechał do Krainy Jezior? – spytał Gray.

–Podejrzewam, że prędzej czy później i tak by tu trafił. Nawet gdybym go nie wezwał po dokonaniu odkrycia w górach.

–To znaczy?

–Odwiedzał tu wszystkie miejsca, w których ząbiały się pogaństwo i chrześcijaństwo. – Wallace zakreślił ręką łuk, jakby tym gestem chciał pokazać, jaki obszar ma na myśli. – Historia tego regionu to nieustanne kulturowe konflikty. W dziewiątym wieku przybyli tu z Irlandii wikingowie, przywożąc ze sobą wszystkie swoje tradycje. Nawet angielskie słowo *fell*, czyli „wzgórze”, pochodzi z języka używanego przez ludy nordyckie. Hawkshead zostało założone przez wikinga o imieniu Haukr. Powinno to dać wam wyobrażenie, jak długą historię mają te ziemie.

Zamilkł na chwilę i ruchem głowy wskazał okno, za którym widać było górujący nad wioską kościół.

–Czasy się jednak zmieniają – podjął. – W dwunastym wieku wszystko to stało się własnością mnichów z opactwa Fumess, którego ruiny znajdują się niedaleko stąd. Dzięki handlowi owcami i wełną mnisi bardzo się przyczynili do rozwoju tego regionu, choć rządzili jego mieszkańcami żelazną ręką. Ale konflikt między starożytnymi pogańskimi zwyczajami a nową religią nadal istniał. Wciąż odprawiano dawne rytuały w prehistorycznych miejscach, jakich pełno w tej okolicy.

–Co pan ma na myśli, mówiąc o „prehistorycznych miejscach”? – spytała Rachele.

–Miejsca, w których odkryto wytwory człowieka pochodzące z neolitu. Sprzed pięciu tysięcy lat – odparł Wallace. – Starożytne kamienne kręgi, dolmeny, ufortyfikowane wzgórza. Stonehenge jest najbardziej znane, ale to tylko jedno z setek podobnych miejsc na Wyspach Brytyjskich.

–Co tak bardzo zainteresowało ojca Giovanniego w pańskich wykopaliskach, że tu przyjechał? – wtrącił Gray, chcąc wrócić do najbardziej interesującego go tematu.

Wallace wzruszył ramionami.

–Chyba najlepiej będzie, jeśli sami to zobaczycie... Ja mogę jedynie powiedzieć, co mnie samego tu sprowadziło.

–Co to takiego?

–Zapis w starej księdze. W tekście pochodzącym z jedenastego wieku, który nazwano „Księgą Dnia Sądu Ostatecznego”.

Do stolika podszedł Kowalski. W każdej ręce trzymał kufel piwa i pił z obu. Słyszając słowa doktora, popatrzył na niego i potrząsnął głową.

–Sąd Ostateczny... wspaniale. Jakbyśmy nie mieli dość problemów.

Godz. 11. 05

Seichan doszła do końca rynku, utrwalając w pamięci topografię okolicy – ze wszystkimi szczegółami, z każdym budynkiem i zaparkowanym na rynku samochodem.

Zauważyła wychodzących z pubu dwóch mężczyzn w myśliwskich strojach i ruszyła za nimi w bezpiecznej odległości, kiedy skierowali się do zaparkowanej nieopodal furgonetki. Chciała się upewnić, czy odjadą.

Gdy samochód wyjechał z rynku, znalazła dobry punkt do obserwacji hotelu – w bramie zamkniętego sklepu z pamiątkami. Mogła się tu ukryć przed podmuchami wiatru i wzrokiem ewentualnych obserwatorów. W witrynie po prawej stronie ustawiono całą gromadę ceramicznych zwierzątek – świnek, krówek, kacuzsek i oczywiście króliczków. Kraina Jezior była przecież domem Beatrix Potter i stworzonego przez nią królika Piotrusia.

Wzrok Seichan mimowolnie powędrował ku wystawie. Z dzieciństwa pamiętała jedynie króciutkie fragmenty, ale i o nich najchętniej by zapomniała. Nie знаła swoich rodziców, wychowywała się w sierocińcu pod Seulem. Było to bardzo ponure miejsce. Kiedyś katolicki misjonarz przyniósł tam kilka książek dla dzieci, wśród których był Piotruś Królik Beatrix Potter. Ta książka była dla Seichan kwintesencją dzieciństwa, możliwością ucieczki przed głodem i odrzuceniem. Zrobiła kiedyś króliczka z wypchanego ryżem płótna i trzymała zabawkę za luźną deską w ścianie, lecz zjadł ją szczur. Płakała potem przez cały dzień – i dostała lanie od jednej z opiekunek, bo żal też był niedozwolonym luksusem.

Odwróciła się od wystawy i odpędziła te wspomnienia. Ale nie tylko one ją bolały. Przez długą chwilę patrzyła na siedzącego w pubie Graya, który rozmawiał ze starszym mężczyzną w tweedach – prawdopodobnie był to doktor Wallace Boyle. Gray miał teraz

trochę dłuższe włosy, lekko przerzedzone nad czołem. Jego twarz także się zmieniła: kości policzkowe wystawały nieco bardziej. W kącikach ust i błękitnych jak lód oczu było więcej zmarszczek – nie powstały od śmiechu, wyłobily je przeżycia kilku trudnych ostatnich lat.

Doskonale pamiętała dotyk jego warg – pocałowała go kiedyś w chwili słabości. Nie było w tym pocałunku czułości, jedynie desperacja i pragnienie fizycznego zaspokojenia, ale nie zapomniała szorstkości szczeciny na jego podbródku i mocnego uścisku, gdy ją do siebie przyciągnął. Nie miało to jednak żadnego znaczenia – była to tylko gra.

Dotknęła dłonią blizny na brzuchu.

Tak samo będzie teraz.

W jej kieszeni zawibrował telefon.

Nareszcie.

Właśnie dlatego została na zewnątrz. Wyjęła aparat i otworzyła go.

–Mów – rzuciła do mikrofonu.

–Ciągłe jeszcze mają artefakt? – zapytał spokojny kobiecy głos z ostrym amerykańskim akcentem. Była to Krista Magnussen.

Seichan nienawidziła przyjmować rozkazów, ale nie miała wyboru. Musiała się wykazać.

–Tak – odparła. – Jest bezpieczny. A oni właśnie rozmawiają ze swoim informatorem.

–Bardzo dobrze. Wykonamy następny ruch, kiedy dotrą do stanowiska archeologicznego w górach. Nasi ludzie założyli tam w nocy ładunki. Świeży śnieg powinien ukryć wszelkie ślady.

–Jaki jest nasz cel?

–Nadal taki sam: zapalić im pod tyłkami ogień... tyle że tym razem dosłownie. Stanowisko archeologiczne straciło wartość i stało się zagrożeniem, ale jego zniszczenie musi wyglądać naturalnie.

–I sami się tym zajęliście?

–Tak. Dzięki temu będziesz mogła się skupić na swoim zadaniu.

Seichan wyczuła kryjącą się za tymi słowami groźbę. Jeśli zawiedzie – nie będzie usprawiedliwienia.

Słuchała instrukcji Kristy i jednocześnie obserwowała okno pubu. Nie patrzyła na Graya, lecz na siedzącą obok niego Włoszkę.

Rachele Verona uśmiechała się, jej oczy migotały.

Seichan nie miała nic przeciwko niej, wiedziała jednak, że musi ją otruć.

Godz. 11. 11

Rachele słuchała rozmowy obu mężczyzn. Historyczny wykład Wallace'a był interesujący, wyczuwała jednak, że doktor nie ujawnia wszystkiego, że ukrywa coś związanego z ojcem Giovannim. Niemal przez cały czas na nią patrzył – nie było w tym spojrzeniu nic uwłaczającego, ale mimo to czuła się nieswojo.

O co chodziło?

–Nie rozumiem... – powiedział Gray. – Co „Księga Dnia Sądu Ostatecznego” ma wspólnego z pańskim odkryciem w górach?

Wallace uniósł dłoń, prosząc go tym gestem o cierpliwość.

–Po pierwsze prawdziwa nazwa księgi nie brzmiała *Doomsday Book* - „Księga Dnia Sądu Ostatecznego”, ale *Domesday Book* - „Księga zliczania”. Została utworzona od staroangielskiego słowa *dom*, które oznacza „ocenie” albo „obliczanie”. Sporządzenie tej księgi nakazał król Wilhelm w celu oszacowania wartości podbitego kraju oraz określenia wysokości podatków i dziesięciny. Spisano w niej wszystkie angielskie miasta, wioski i posiadłości i oszacowano lokalne zasoby, łącznie ze zwierzętami. Księga ta jest jednym z najwierniejszych opisów ówczesnego życia w Anglii.

–No dobrze – mruknął Gray. – Ale powiedział pan, że do rozpoczęcia wykopalisk skłonił pana konkretny zapis. Co pan miał na myśli?

–Zaraz to wyjaśnię. Musi pan wiedzieć, że „Księga zliczania” była pisana dość specyficzną łaciną, którą tylko niewielu ówczesnych ludzi potrafiło odczytać, a całość opracował jeden skryba. Nie bardzo wiadomo, dlaczego postanowiono te wpisy w ten sposób utajnić, i wielu historyków wysuwa hipotezę, że być może księga kryje w sobie drugie dno. Szczególnie zastanawiające jest to, że niektóre z wymienionych w spisie miejscowości są opisane jednym łacińskim słowem, oznaczającym „spustoszone”. Większość z nich znajduje się na północnym zachodzie Anglii.

–Czy mówiąc o północnym zachodzie, ma pan na myśli takie regiony jak ten? – spytała Rachele.

–Owszem. W tamtych czasach przez hrabstwo Cumbrii ciągle przetaczały się wojny i wiele miejscowości zostało zniszczonych przez armię króla. Oznaczano je jako „spustoszone”, ponieważ nie można było ściągać podatków w miastach i wsiach, które przestały istnieć.

–Naprawdę? – wtrącił Kowalski, szczerząc się do swoich kufli z piwem. – Nigdy nie słyszał pan

o podatku od zgonu?

Wallace popatrzył na niego ze zdumieniem.

–Niech pan nie zwraca na niego uwagi – powiedział Gray.

Doktor odchrząknął.

–Dokładniejsze przestudiowanie „Księgi zliczania” ujawniło coś bardzo dziwnego... Otóż nie wszystkie miejsca opisane jako „spustoszone” zostały zniszczone w wyniku działań wojennych. Miejscowości te były opisane czerwonym atramentem, jakby dla nadania temu oznakowaniu większego znaczenia. Próbowałem znaleźć jakieś wyjaśnienie tego faktu i spędziłem nad jednym z tych zapisów prawie dziesięć lat... Chodziło o nieistniejącą już wioskę w górach. Szukałem dotyczących tego miejsca dokumentów, ale zniknęły. Kiedy już chciałem zrezygnować, znalazłem dziwny wpis w dzienniku królewskiego kornera o nazwisku Martin Borr. Odkryto go w kościele Świętego Michała podczas remontu, w zamurowanej piwnicy.

Machnął ręką, wskazując stojącą na skraju wioski ponurą budowlę.

–Borr został pochowany na tutejszym cmentarzu, a jego majątek przekazano kościołowi. W swoim dzienniku nie wspomina, co się stało z wioską, ale jest tam osobliwa uwaga... że „Księgę zliczania” powinno się raczej nazwać „Księgą Dnia Sądu Ostatecznego”. Narysował też na nim pogański symbol, który zwrócił moją uwagę.

–Pogański symbol? – powtórzyła Rachele, a jej dłoń powędrowała do kieszeni płaszcza, w której miała sakiewkę z makabryczną zawartością.

Gray ścisnął ją lekko za ramię. Nie chciał, aby pokazywała sakiewkę Wallace'owi, dopóki go lepiej nie poznają. Rachele przełknęła ślinę, wysunęła dłoń z kieszeni i położyła ją na stole.

–Był zdecydowanie pogański. Pokażę go wam – powiedział doktor, po czym umoczył palec w piwie i kilkoma pociągnięciami narysował na stole okrąg z wpisanym w środek krzyżem.

–Podzielony na ćwiartki okrąg... – mruknął Gray.

Wallace uniósł brew i popatrzył na niego.

–Właśnie. Takie symbole spotyka się na wielu starożytnych obiektach, ale oznakowanie w ten sposób dziennika chrześcijanina zwróciło moją uwagę.

–Czy ten znak pomógł panu znaleźć ślad wioski w górach? – spytała Rachele.

–Niestety, nie – odparł Wallace. – Ale to, co znalazłem, było jeszcze bardziej interesujące.

–To znaczy?

Doktor skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył na swoich gości.

–Zanim odpowiem na to pytanie, może mi wyjaśnicie, po co tak naprawę tu przyjechaliście?

–Nie rozumiem – odparł Gray, udając zdziwienie.

–Nie jestem idiotą. Jeśli wy jesteście dziennikarzami, to ja występuję w balecie. – Wallace wbił wzrok w Rachele. – Poznałem cię, dziewczyno. Jesteś bratanicą monsignore Verony.

Rachele zerknęła na Graya. Wyglądał, jakby dostał cios w brzuch. Kowalski tylko przewrócił oczami, podniósł kufel i jednym haustem dopił piwo.

Rachele doszła do wniosku, że dalsze udawanie nie ma sensu. Zrozumiała teraz, dlaczego doktor tak uważnie jej się przyglądał.

–Zna pan mojego wuja?

–Znam, choć niezbyt dobrze. Przykro mi, że w dalszym ciągu jest w śpiączce. Przed wielu laty spotkaliśmy się na sympozjum i zaczęliśmy korespondować. Wuj był z pani bardzo dumny... nie każdy ma w rodzinie *carabinieri* zajmującą się kradzieżą dzieł sztuki. Przesłał mi kilka pani zdjęć, a w moim wieku nie zapomina się takiej ładnej buzi.

Rachele ze skrucłą spójrzała na Graya. Nie miała pojęcia o kontaktach swojego wuja z Wallace'em Boyle'em.

–Nie rozumiem, dlaczego zdecydowaliście się na tę maskaradę, ale jeśli chcecie, abym kontynuował, poproszę o kilka wyjaśnień – oświadczył doktor.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, terier Wallace'a zawarczał, wstał i popatrzył na drzwi wejściowe. Kiedy się otworzyły, jego warkot jeszcze się nasilił.

Do środka weszła Seichan i zaczęła strząsać śnieg z butów.

12 października, godz. 13. 36

Oslo

Uroczysty lunch zakończył się groźnym *memento*.

–Nie możemy dłużej czekać bezczynnie – oświadczył Ivar Karlsen, stojący na podium ustawionym w głębi sali bankietowej. – Wkrótce staniemy w obliczu globalnej katastrofy.

Painter siedział przy stoliku w głębi sali, razem z Monkiem i Johnem Creedem. Przyjechali do Oslo przed godziną i ledwie zdążyli na lunch otwierający Światowy Szczyt Żywnościowy.

Sala bankietowa zamku Akershus mogłaby stanowić doskonale tło filmu o średniowieczu. Sufit podtrzymywały ręcznie ciosane belki, dębowa podłoga pociemniała ze starości, a nad długimi stołami migotały bogato zdobione kandelabry.

Posiłek składał się z pięciu dań – co wydawało się ironią, bo na spotkaniu miała być omawiana groźba głodu na Ziemi. Podano najlepsze potrawy kuchni norweskiej – w tym także medaliony z renifera w sosie grzybowym i *lutefisk*.

Monk grzebał łyżeczką w miseczce z deserem, próbując wyłowić z bitej śmietany ostatnią malinę moroszkę, a John Creed trzymał w dłoniach filiżankę z kawą i w skupieniu słuchał mówcy.

Z powodu zbyt dużej odległości od podium Painter nie bardzo mógł przyjrzeć się Karlsenowi, ale słyszał w jego głosie pasję i żarliwość.

–Światowe rządy są zbyt powolne – mówił dyrektor generalny Viatus International. – Jedyne sektor prywatny jest na tyle elastyczny, że mógłby zareagować z odpowiednią szybkością, pozwalającą zażegnać kryzys.

Przedstawiony przez Karlsena scenariusz był przerażający. We wszystkich opisanych przez niego modelach efekt końcowy wyglądał tak samo. Gdy niekontrolowany przyrost naturalny doprowadzi do wyczerpania się światowych zasobów żywności i możliwości jej produkowania, chaos, który nastąpi, spowoduje śmierć ponad 90 procent światowej populacji. Wszystko wskazywało na to, że istnieje tylko jedno rozwiązanie – niewiele różniące się od tego, jakie zaproponował Hitler.

–Kontrolę przyrostu naturalnego należy rozpocząć natychmiast. Należy zacząć działać już dziś... choć tak naprawdę powinno się to zrobić wczoraj. Jedynym sposobem uniknięcia katastrofy jest spowolnienie przyrostu ludności, naciśnięcie hamulca, zanim uderzymy w ścianę. Nie łudźmy się: na pewno uderzymy w tę ścianę, to nieuniknione, możemy jednak albo zabić

przy tym wszystkich pasażerów pociągu, albo wyjść z tego zderzenia jedynie z lekkimi obrażeniami. Dlatego powtarzam: ze względu na ludzkość, ze względu na naszą wspólną przyszłość musimy zacząć działać natychmiast.

Po tych słowach Ivar Karlsen uniósł dłoń, jakby przyjmował wyrazy uznania, nie doczekał się jednak entuzjastycznej reakcji.

Siedzący przy jednym z pierwszych stolików mężczyzna podniósł się ze swojego krzesła. Painter rozpoznał w nim południowoafrykańskiego ekonomistę o zawsze skwaszonej twarzy – był to doktor Reynard Boutha, jeden z prezesów Klubu Rzymskiego. Idąc na podium, Boutha skinął głową Karlsenowi, ale widać było, że jest spięty i poirytowany Pesymistyczny ton przemówienia programowego najwyraźniej mu się nie spodobał.

Painter ledwie słyszał jego słowa, które miały łagodzić nastroje, tchnąć optymizmem, podkreślać, co już zostało osiągnięte dla zaspokojenia głodu na świecie. Koncentrował się na Karlsenie. Twarz dyrektora Viatusa była obojętna, ale mocno ścisnął szklankę z wodą i odwracał wzrok od mówcy, jakby w ten sposób dawał do zrozumienia, że nie przyjmuje do wiadomości jego pełnego nadziei przekazu.

Monk doszedł do tego samego wniosku.

–Ten gość wygląda, jakby miał ochotę walnąć w coś pięścią – mruknął.

Gdy tylko Boutha skończył mówić, Painter wstał i powiedział do Monka i Creeda:

–Wracajcie do hotelu. Zamienię kilka słów z Karlsenem i dołączę do was.

John Creed również podniósł się ze swojego miejsca.

–Zdawało mi się, że macie się spotkać dopiero jutro.

–Owszem, ale przecież mogę się z nim przywitać – odparł Painter i ruszył pod prąd wychodzących z sali ludzi.

Karlsena otaczała mała grupka akolitów, gratulując mu, zadając pytania i ściskając dłoń. Idąc w jego stronę, Painter usłyszał fragment rozmowy Bouthy z mężczyzną o orlim nosie i czerwonej, pokrytej plamami twarzy, ubranym w źle dopasowany garnitur.

–Antonio, zdawało mi się, że ostrzegłeś pana Karlsena przed wygłaszaniem tego typu opinii...
– powiedział Boutha.

–Ostrzegłem – odparł tamten. – Ale czy on kiedykolwiek kogoś posłuchał? Dobrze, że przynajmniej stonował niektóre swoje wypowiedzi. W pierwotnej wersji wzywał do

wprowadzenia obowiązkowej kontroli urodzin w krajach Trzeciego Świata. Wyobraża pan

sobie, jak to zostałyby przyjęte?

Boutha westchnął i obaj mężczyźni ruszyli do wyjścia, przez cały czas rozmawiając.

–Chyba lepiej, że nie będzie go jutro na konferencji – stwierdził doktor.

–Niewielka pociecha. Ma się spotkać w Svalbardzie z kilkoma naszymi najważniejszymi sponsorami. Wolę sobie nie wyobrażać, co im powie, kiedy będą sami... Może gdybym mógł jechać z nimi...

–Wiesz, że w samolotach jest komplet, Antonio. Poza tym ja tam będę i może mi się uda pogasić najgorsze pożary...

Minęli dyrektora Sigmy, nie zwracając na niego uwagi. Wykorzystując lukę w tłumie, Painter podszedł do Karlsena, ujął jego dłoń i energicznie nią potrząsnął.

–Jestem kapitan Neal Wright z Biura Inspektora Generalnego USA – przedstawił się.

Norweg uwolnił dłoń, ale uśmiech nie zniknął z jego ust.

–Śledczy z Departamentu Obrony... zapewniam pana, że w sprawie dotyczącej ostatnich tragicznych wydarzeń w Mali możecie liczyć na naszą pełną współpracę...

–Jestem o tym przekonany. Wiem, że jesteśmy umówieni na rozmowę dopiero jutro, ale chciałem jedynie powiedzieć, że pańskie przemówienie było fascynujące. Choć zastanawiałem się, czy pan się zbytnio nie hamował...

Ostatnie słowa Paintera wyraźnie zainteresowały Karlsena.

–To znaczy? – zapytał.

–Wygląda na to, że do opanowania przyrostu naturalnego konieczne będzie podjęcie drastycznych kroków. Miałem nadzieję, że nie ograniczy się pan do ogólników, ale przedstawi konkretne propozycje.

–Może powinienem, jednak to bardzo kontrowersyjny temat i lepiej podchodzić do niego ostrożnie. Ludzie często utożsamiają kontrolę narodzin z eugeniką.

–Czyli ustalaniem, komu wolno mieć dzieci, a komu nie?

–Właśnie. Dlatego nie powinny się tym zajmować osoby kierujące się doraźnymi korzyściami politycznymi ani popularnymi opiniami... i dlatego ta sprawa nigdy nie zostanie rozwiązana przez światowe rządy. Wymaga delikatności i wyboru odpowiedniego czasu. – Karlsen popatrzył na zegarek. – A skoro już mówimy o czasie, niestety muszę iść, bo jestem prawie spóźniony na kolejne spotkanie. Z przyjemnością porozmawiam z panem na ten temat, kiedy spotkamy się jutro w moim biurze.

–Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję za interesujące przemówienie.

Karlsen z roztargnieniem kiwnął głową; najwyraźniej myślał już o następnym spotkaniu.

Kiedy Norweg odszedł i zbliżał się do wyjścia, Painter namacał w kieszeni telefon komórkowy i wcisnął znajdujący się z jego boku mały klawisz. Z aparatu wysłana została wiązka fal radiowych, która aktywowała wszczepiony w ucho dyrektora Sigmy polisyntetyczny odbiornik.

Painter usłyszał chór głosów, zmieszany ze szczęką zbieranych ze stołów talerzy. Wszystkie te odgłosy przekazywała pluskwa, którą podczas rozmowy przypiął Karlsenowi do wewnętrznej strony mankietu koszuli. Było to urządzenie nie większe od ziarna ryżu i zostało skonstruowane przez DARPA – według jego projektu. Painter był dyrektorem Sigmy, ale zaczynał jako agent terenowy i specjalizował się w mikroinżynierii.

Tuż za wyjściem z sali bankietowej Karlsen zatrzymał się i uściśnął dłoń wysokiemu siwemu mężczyźnie. Painter bez trudu rozpoznał w nim senatora Gormana. Aby lepiej słyszeć rozmowę obu mężczyzn, wyciszył odgłosy z tła.

–... senatorze! Udało się panu wysłuchać mojego exposé?

–Tylko samego zakończenia, ale doskonale znam pańskie poglądy. Jak przyjęto przemówienie?

Karlsen wzruszył ramionami.

–Obawiam się, że trafiło w próżnię.

–Sądzę, że to się wkrótce zmieni.

–Niestety, tak – przyznał Karlsen i po chwili dodał: – A tak ńpropos, właśnie poznałem śledczego z Waszyngtonu. Sprawia wrażenie kompetentnego.

Painter uśmiechnął się lekko. Grunt to dobre pierwsze wrażenie...

Senator rozejrzał się po sali. Painter prześlizgnął się przez grupkę ludzi, starając się trzymać w bezpiecznej odległości od Gormana. Senator nie wiedział o istnieniu Sigmy, mimo to Painter wolał występować jako śledczy z Departamentu Obrony. Generał Metcalf ostrzegwał, że Gorman jest wybuchowym człowiekiem i nie grzeszy wyrozumiałością, co też po chwili zademonstrował.

–Przysyłanie tu kogoś przez pół świata to idiotyczne marnowanie zasobów – stwierdził. – Śledztwo powinno się skupiać na Mali.

–Pewnie po prostu chcą być dokładni – odparł Karlsen. – Nie mam nic przeciwko temu.

–Jest pan zbyt wspaniałomyślny.

Kiedy mężczyźni ruszyli razem dalej, Painter poszedł za nimi, nie wyłączając odbiornika.

Lubił mieć przewagę, nawet jeśli była niewielka.

*** * ***

W jednym z pokoi przylegających do sali bankietowej przed laptopem siedziała Krista Magnussen. Z zainteresowaniem obserwowała człowieka widocznego na ekranie. Był bardzo przystojny, miał wysportowane ciało, kruczoczarne włosy i błyszczące błękitne oczy. Podczas lunchu uważnie przyglądał się każdemu, kto rozmawiał z Iwarem Karlsenem. W rogu sali bankietowej umieszczona była mała bezprzewodowa kamera, filmująca wszystko, co działo się w przedniej części. Przekazywała jedynie obraz, ale to wystarczyło do przepuszczenia każdej osoby znajdującej się na sali przez program rozpoznawania twarzy i porównania jej z bazą danych Gildii.

Twarz mężczyzny na ekranie rozpadła się na setki pikseli i dane zostały przekazane do serwera. Po chwili na ekranie zaczęło migać pojedyncze słowo – wraz z umieszczonym pod nim kodem operacyjnym.

Krista poczuła lodowaty chłód.

SIGMA.

Kod operacyjny również znała:

„Zlikwidować przy pierwszym kontakcie”.

Ponownie włączyła przekaz z kamery i przysunęła się do monitora, ale przystojny brunet zniknął.

*** * ***

Antonio Gravel miał kiepski dzień.

Stał w holu i czekał na Ivara Karlsena. Zamierzał zaraz po przemówieniu po raz ostami spróbować go przekonać, że powinien pozwolić mu się przyłączyć do wycieczki do Svalbardu. Był gotów iść na ustępstwa i w razie potrzeby posunąć się nawet do pochlebstw – jednak kiedy dyrektor generalny Viatusa wychodził, natknął się na senatora Gormana i zaczął

z nim rozmawiać. Antonio spodziewał się, że zostanie przedstawiony senatorowi, ale zignorowano go. Wkrótce obaj mężczyźni odeszli, pochłonięci rozmową.

Antonio z oburzenia niemal stracił dech. Po chwili złość przeszła w oślepiającą furję. Odwrócił się gwałtownie i zderzył z kobietą, która właśnie wybiegła z bocznych drzwi. Miała na sobie długie futro, włosy związała szalem. Zderzyli się tak mocno, że z nosa kobiety zsunęły się wielkie okulary przeciwsłoneczne od Versace. Złapała je szybko i z powrotem wsunęła na nos.

–Entschuldigen Sie bitte – wymamrotał Antonio. Był tak zaskoczony, że odruchowo przeszedł na ojczysty szwajcarski niemiecki. Przez głowę przemknęło mu mgliste wspomnienie.

Kim ona...

Kobieta przeszła obok niego, jakby był meblem, zajrzała do sali bankietowej i ruszyła przed siebie szybkim krokiem, rozwiewając za sobą sięgające do kostek futro. Najwyraźniej spieszyła się na jakieś spotkanie.

Antonio patrzył, jak znika w najbliższej klatce schodowej.

Nagle sobie przypomniał.

Odwrócił się szybko i spojrzał za siebie.

Nie możliwe...

To musi być pomyłka. Spotkał tę kobietę tylko raz – na spotkaniu organizacyjnym, na którym omawiano projekt badawczy Viatusa w Afryce. Nie pamiętał, jak się nazywa, wiedział tylko, że

jest genetyczką. Przez większą część tamtego spotkania gapił się na nią i rozbierał ją wzrokiem, wyobrażając sobie, że na niej leży.

To musiała być ona.

Ale przecież podobno zginęła w masakrze w Mali! Nikt wtedy nie przeżył.

Nie odwracał wzroku od klatki schodowej. Co ta kobieta tu robi – żywa i cała? I dlaczego się ukrywała, zasłaniając twarz wielkimi okularami przeciwsłonecznymi?

Najwyraźniej coś się szykowało, coś związanego z Viatusem, o czym nikt miał nie wiedzieć.

Przez lata szukał haków na Ivara, czegoś, czym mógłby go złamać – może właśnie nadarza się okazja...

Jak ją wykorzystać?

Odwrócił się, układając w głowie plan. Wiedział, jaką kartą najpierw zagrać. Senator Gorman... ciekawe, co sobie pomyśli, kiedy się dowie, że ktoś przeżył masakrę w Mali, a Ivar Karlsen utrzymuje ten fakt w tajemnicy?

Ruszył przez hol z ponurym uśmiechem na twarzy. Może ten dzień wcale nie będzie taki zły.

Godz. 15. 15

Dyrektor Sigmy kierował się w stronę ceglanego łuku w murze fortecy Akershus.

Choć minęła dopiero trzecia po południu, słońce wisiało tuż nad horyzontem. Za łukiem widać było port na fiordzie. Śnieg pokrywał zwrócone ku morzu spatynowane armaty mające chronić miasto przed okrętami wroga. Ale teraz przy nabrzeżu cumował jedynie statek wycieczkowy linii Cunard, wokół którego krążyły wrzeszczące mewy.

Painter szedł wzdłuż potężnego kadłuba statku w stronę miasta, trzymając się w bezpiecznej odległości za Karlsenem i podsłuchując jego rozmowę z Gormanem. Dzięki pluskwie miał możliwość dowiedzenia się czegoś więcej o dyrektorze generalnym Viatusa – każda informacja mogła się okazać bezcenna podczas jutrzejszego spotkania.

Karlsen mówił głównie o sprawach codziennych, widać jednak było, jak bardzo jest zaangażowany w działania mające na celu zmniejszenie niedoboru żywności na świecie i złagodzenie skutków eksplozji demograficznej. Najwyraźniej traktował to jak swoją życiową misję.

Painter usłyszał także fragment ciekawej rozmowy o odpornych na suszę szczepach kukurydzy, stworzonych przez Viatusa – jedną z wersji testowano właśnie w ośrodku badawczym w Mali. W ubiegłym tygodniu do różnych miejsc na całym świecie wysłano duże

transporty tych nasion, co wywołało gwałtowny skok cen akcji firmy na giełdach. Mimo to Ivar Karlsen nie był zadowolony. Mówił, że dział biogenetyki jego firmy będzie w dalszym ciągu pracował nad szczepami o innych korzystnych cechach – między innymi nad odporną na choroby pszenicą, dobrze znoszącymi niskie temperatury cytrusami i soją, obok której nie chciały rosnąć żadne chwasty. Lista była długa, znajdował się na niej nawet szczep rzepaku, z którego można będzie wytłaczać olej stanowiący podstawowy składnik biodegradowalnego tworzywa sztucznego.

Na zakończenie rozmowy Karlsen sparafrazował Henry'ego Kissingera, [Amerykański polityk i dyplomata, w latach 60. prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa, 1969 – 1974 dyrektor Rady Bezpieczeństwa Narodowego, 1973 – 1977 sekretarz stanu, 1973 laureat Pokojowej Nagrody Nobla.] odpowiadając na pytanie, dlaczego jego firma przeniosła swoje zainteresowania z produktów petrochemicznych na bioinżynieryjne: „Zapanuj nad zasobami

ropy naftowej, a będziesz rządzić narodami, zapanuj nad zasobami żywności, a będziesz rządzić całą ludzkością”.

Czyżby Karlsen rzeczywiście w to wierzył?

Kilka minut później dyrektor generalny Viatusa wszedł do korporacyjnej limuzyny i wyruszył do znajdującego się pod Oslo ośrodka badawczego. Mikroprzebieg, który Painter przyczepił mu do mankiem, miał ograniczony zasięg, więc podsłuchiwanie musiało zostać przerwane. W najciekawszym momencie! To, co Norweg mówił o dziale biogenetyki upraw rolnych swojej firmy, tak bardzo zainteresowało Paintera, że prawie nie czuł zimna. Zamyślony, przecisnął się przez zgromadzony wokół trapu statku tłumek.

Musiał przygotować się do kolejnego etapu śledztwa – wymagającego nieco staranniejszego kamuflażu.

Kiedy przepychał się między pasażerami, wpadł na niego krępy mężczyzna w zimowej kurtce. Ułamek sekundy przed tym, zanim doszło do zderzenia, Painter odsunął się odruchowo, ale mimo to jego bok przeszył ostry ból.

Okręcił się na pięcie i kątem oka dostrzegł w dłoni krępego mężczyzny błysk noża. Gdyby się nie cofnął, jego ostrze utkwiliby mu głęboko w brzuchu. Nie mógł jednak liczyć na kolejny szczęśliwy traf – napastnik znowu się do niego zbliżał.

Jak na razie nikt niczego nie zauważył.

Painter zerwał z ramienia stojącego obok turysty ciężkiego nikonu SLR. Trzymając aparat za pasek, zamachnął się nim i uderzył krępego mężczyznę w skroń. Kiedy bandzior się przewracał, owinał mu nadgarstek paskiem aparatu, przerzucił szarpiącego się mężczyznę przez biodro i z całej siły trzasnął nim o ziemię.

Napastnik upadł twarzą na cement. W uwięzionej ręce trzasnęła kość i nóż z grzechotem

uderzył w ziemię.

Nie zwracając uwagi na rozlegające się wokół krzyki, Painter przeskoczył wijące się ciało i sięgnął po broń. Zanim zdążył jej dotknąć, nóż nagle podskoczył, zasyczał głośno i zaczął sunąć po oblodzonym nabrzeżu jak rakieta, która wyrwała się spod kontroli. Painter natychmiast się zorientował, z czym ma do czynienia.

Był to specjalny nóż wstrzeliwujący WASP.

Dzięki umieszczonemu w rękojeści naboju ze sprężonym gazem stawał się czymś w rodzaju krótkiej broni palnej. Po wbiciu ostrza w ciało ofiary wciśnięcie przycisku na rękojeści noża sprawiało, że do jej wnętrza wstrzeliwana była porcja powietrza o bardzo niskiej temperaturze, powodując zamrożenie narządów wewnętrznych. Takim nożem można jednym ciosem zabić niedźwiedzia.

Napędzany wydobywającym się z rękojeści gazem nóż pomknął między nogi otaczających miejsce zdarzenia ludzi. Natychmiast zapanował chaos. Jedni zaczęli uciekać, inni próbowali podejść jeszcze bliżej.

–Ten człowiek ukradł mi aparat! – wrzasnął właściciel nikona.

Po trapie zaczęła zbiegać grupka ochroniarzy ze statku.

Painter przycisnął dłoń do boku i zanurkował w tłum. Gruby płaszcz i odruchowe odsunięcie się w bok uratowały mu życie, ale rana mocno krwawiła. Czuł się, jakby go przypalano. Nie mógł pozwolić, by go złapano, i wcale nie chodziło mu o ochroniarzy. Biegając, rozglądał się wokół.

Czy napastnik był sam?

Mało prawdopodobne.

Przepychając się przez tłum, patrzył na twarze mijanych ludzi i obserwował ich ręce. Ilu jeszcze zabójców, ubranych jak turyści i pilnujących wyjścia z Akershus, mogło go otaczać?

Jedno wiedział na pewno: nie była to przypadkowa napaść. Zwyczajni bandyci nie mają noży WASP. Jakimś sposobem został zdemaskowany i wokół fortecy zarzucono sieć.

Painter musiał wydostać się z doków, znaleźć jak najdalej od tego miejsca.

Kiedy dotarł do otaczającego port parkingu, tłum się przerzedził. Ziemię pokrywał chrzęszczący pod nogami zlodowaciały śnieg, na którym skapujące spomiędzy palców krople krwi zostawiały wyraźnie widoczny ślad.

Pięćdziesiąt metrów przed nim przez płot przeskoczył kolejny napastnik w zimowej kurtce i

ruszył w jego stronę. Nie wiedząc, czy mężczyzna ma broń, Painter odwrócił się i zaczął uciekać w stronę pasa świerków rosnących na końcu parku.

Musiał się gdzieś ukryć.

* * *

Zabójca podążał tropem świeżej krwi. Biegł nisko pochylony, trzymając w lewej ręce nóż. Kiedy dotarł do linii drzew, jednym okiem obserwował ścieżkę, a drugim drzewa. Robiło się już ciemnowo, nie na tyle jednak, aby stracił trop. Od ostatniego śniegu nikogo tu nie było i dziewczęta biel przecinały ślady stóp jednego człowieka.

A także łańcuszek czerwonych kropli.

Krwawy ślad biegł zygzakiem między drzewami. Obiekt prawdopodobnie bał się, że ten, kto go ściga, ma broń, i starał się nie wchodzić na ścieżkę. Nie miało to najmniejszego sensu – zabójca szedł przez las na skrót, równoległe do trasy nieporadnej ucieczki swojej ofiary.

Ścieżka wychodziła na polanę. Ślady stóp przecinały ją w poprzek – najwyraźniej zwierzyzna straciła czujność i próbowała dotrzeć do ulic za parkiem. Zabójca mocniej ścisnął nóż i ruszył biegiem.

Kiedy znalazł się na skraju polany, niska gałąź jednej z sosen uderzyła go w piszczele z siłą taranu, nogi się pod nim ugięły i zwałił się twarzą w dół, w śnieg. Zanim zdążył się podnieść, na jego plecach wylądowało coś ciężkiego i wypchnęło mu z płuc resztkę powietrza.

Natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. Mężczyzna, którego ścigał, cofnął się po własnych śladach i zaatakował go, używając jako broni naprężonej gałęzi.

Miała to być ostatnia pomyłka w jego życiu.

Silna dłoń objęła podbródek zabójcy, a druga przycisnęła go do ziemi. Jedno szybkie szarpnięcie i kark trzasnął.

Mężczyzna poczuł ból, jakby odrywano mu pokrywę czaszki, i po chwili ogarnęła go ciemność.

Godz. 17. 34

–Niech pan się nie rusza – powiedział Monk. – Jeszcze tylko jeden szew.

Painter w samych bokserkach siedział na skraju wanny. Czuł, jak igła wbija mu się w ciało. Znieczulenie miejscowe tłumilo jedynie najostrzejsze ukłucia bólu. Na szczęście Monk pracował bardzo szybko. Oczyszczył i przemył ranę pod dolnym zębem Paintera, wstrzyknął antybiotyki i założył szwy. Kiedy skończył, wyjął z leżącej na podłodze łazienki sterylnej torby chirurgicznej rolkę bandaża i przyklepiec, po czym zaczął owijać tułów pacjenta.

–Co teraz? – spytał. – Trzymamy się dotychczasowego planu?

Po unieszkodliwieniu ścigającego go mężczyzny Painter uciekł do miasta, upewnił się, czy nie jest śledzony, a potem zadzwonił do Monka. Na wszelki wypadek kazał swoim ludziom zmienić hotel i zameldować pod innymi fałszywymi nazwiskami. Dołączył do nich, kiedy byli już w nowej kwaterze.

–Nie widzę powodu, aby cokolwiek zmieniać – stwierdził.

Monk popatrzył na jego ranę.

–Ja widzę aż dziesięć centymetrów powodów – stwierdził.

Painter pokręcił głową.

–Ktokolwiek zorganizował ten atak na mnie, zrobił to niedbale, w pośpiechu. Zostałem jakimś sposobem zdemaskowany, ale nie sądzę, abyśmy byli bardziej wyeksponowani niż dotychczas.

–I tak jesteśmy mocno na widoku.

–Cóż, po prostu będziemy musieli zachować nieco większą ostrożność. Nie pójdę na konferencję, będę się trzymał w cieniu. Zadanie też wykonacie sami.

–Więc idziemy w nocy przyjrzeć się ośrodkowi?

Painter kiwnął głową.

–Będę was monitorował przez radio. Żadnych szaleństw. Wejdziecie, podłączycie się do serwerów i uciekniecie.

Operacja nie sprawiała wrażenia trudnej. Dzięki kontaktom Kat mieli identyfikatory, karty elektroniczne do otwierania zamków i szczegółowy plan ośrodka badawczego Viatusa. Mieli wejść do środka po północy, kiedy w budynku będzie pusto.

Do łazienki wszedł John Creed. Miał na sobie kitel laboratoryjny z logo Viatus International na kieszonce – właśnie go przymierzał.

–Pański telefon buczy – powiedział.

Painter wyciągnął rękę i wziął od niego swoją komórkę. Spojrzał na numer dzwoniącego i zmarszczył brwi. Generał Metcalf. O co mu mogło chodzić? Painter nie przesłał jeszcze raportu do Waszyngtonu – zamierzał zrobić to dopiero wtedy, gdy pozna więcej szczegółów. Zamknięcie operacji, zanim tak naprawdę się rozpoczęła, nikomu by nie wyszło na dobre.

Zwłaszcza jemu samemu.

–Słucham, generale – powiedział.

–Dyrektorze Crowe... podejrzewam, że właśnie jesteście w trakcie instalowania się w nowym miejscu, więc będę się skracał. Przed chwilą miałem telefon od senatora Gormana. Był bardzo zdenerwowany.

Painter nie miał pojęcia, o co chodzi. Nie zrobił niczego, co mogłoby wyprowadzić senatora z równowagi.

–Pół godziny temu Gorman dostał tajemniczy telefon. Ktoś oświadczył, że ma jakieś dodatkowe informacje dotyczące wydarzeń w Afryce. Twierdził też, że wie, iż przynajmniej jedna osoba przeżyła.

Painter nie potrafił ukryć zaskoczenia.

–Ktoś przeżył atak na obóz?

–Osoba, która dzwoniła do senatora, zaproponowała mu spotkanie w barze hotelowym, jeśli chce poznać szczegóły. Ale ma być sam.

–Nie sądzę, aby to było mądre.

–My też nie. Dlatego musi pan pójść do tego baru. Senator wie, że w Oslo jest śledczy z Departamentu Obrony, i zażądał, aby ten śledczy był gdzieś w pobliżu. Ma pan nie spuszczać go z oka i interweniować w razie konieczności.

–Kiedy odbędzie się to spotkanie?

–Dziś o północy.

Painter rozłączył się i rzucił telefon Creedowi.

–Co jest? – spytał Monk.

Gdy Painter wyjaśnił, o co chodzi, zmarszczki na czole Monka jeszcze się pogłębiły.

–To może być pułapka – mruknął Creed. – Może znowu chcą wywabić pana na otwarty teren.

–Powinniśmy odwołać operację w Viatusie i iść z panem jako wsparcie – stwierdził Monk.

Painter nic nie odpowiedział, zastanawiając się nad tą propozycją. Monk od dłuższego czasu nie pracował w terenie, a Creedowi jeszcze nie wyszło mleko pod nosem. Posyłanie ich samych do ośrodka badawczego było dość ryzykowne. Przez chwilę przyglądał się obu mężczyznom, rozważając wszystkie za i przeciw.

–Jeżeli myślimy o tym samym, to nie musi się pan martwić – powiedział Monk. – Na pewno

sobie poradzimy.

Pewność w jego głosie przekonała Paintera. Westchnął i kiwnął głową. Nie byli w Waszyngtonie, ale w terenie. Musieli działać, bo wszystko wskazywało na to, że sprawy zaczynają wymykać się spod kontroli.

Nie mogli sobie pozwolić na dalsze czekanie.

–Działamy zgodnie z wcześniejszym planem – oświadczył. – Musimy uzyskać dostęp do ich serwera. Atak na mnie dowodzi, że ktoś coraz bardziej się denerwuje i robi się coraz bezczelniejszy. Nie możemy dać się zaskoczyć. Będziemy musieli się rozdzielić.

–A jeśli ktoś ponownie pana zaatakuje? – spytał John Creed.

–Nie martw się. – Painter sięgnął do umywalki i wziął leżący na niej sztylet WASP, który zabrał mężczyźnie ścigającemu go w parku. – Dziś wieczorem to ja będę myśliwym.

Godz. 18. 01

Otulona futrem z lisów Krista Magnussen szła główną ścieżką parku Frogner, położonego w zachodniej części Oslo. Miała mieszkanie z widokiem na park, ale nie mogła dłużej wytrzymać w zamkniętym pomieszczeniu.

Słońce zaszło i temperatura gwałtownie spadła.

Miała teraz park tylko dla siebie.

Powoli mijala stojące między drzewami rzeźby. Przy każdym oddechu z jej ust wydobywał się gęsty obłok pary. Potrzebowała ruchu, ale napięcie nie pozwalało jej się rozluźnić.

W tym najsłynniejszym norweskim parku znajduje się ponad dwieście rzeźb wykonanych według projektów Gustava Vigelanda. Większość zastygłych w najróżniejszych pozach kamiennych postaci jest naga. Teraz pokrywał je śnieg i wyglądały, jakby owinięto je w poszarpane prześcieradła.

W centralnym miejscu parku stała największa rzeźba, zawsze oświetlona w nocy. Był to Monolit, wykuta z jednego kamiennego bloku, wysoka na trzy piętra kolumna, uformowana z setek nagich ludzkich ciał, poskręcanych i splecionych ze sobą. Zamiarem artysty było przedstawienie odwiecznego cyklu narodzin, życia i śmierci, ale Kriście kojarzyło się to z Czyśćcem Dantego.

Wpatrywała się w rzeźbę, myśląc o tym, co miało nastąpić.

To, co zamierzają rozpętać...

Zadrzała i ciaśniej otuliła kołnierzem. Nie miała wyrzutów sumienia, ale przerażało ją nieco

to, co nadchodziło. W najbliższych dniach zostanie przekroczony punkt, spoza którego nie będzie już powrotu. Świat miał się całkowicie zmienić, a ona znacznie się do tego przyczyniła.

Oczywiście nie sama.

W jej kieszeni zawibrował telefon. Zaczerpnęła powietrza i wypuściła ustami strumień pary. Wiedziała, że zawiodła. Jaka czeka ją kara? Rozejrzała się po ciemnym parku. Nie bała się śmierci, ale tego, że zostanie wycofana z gry akurat w tym momencie. Z powodu pośpiechu podjęła niewłaściwą decyzję. Powinna skontaktować się ze swoimi przełożonymi, zanim wydała polecenie zlikwidowania agenta Sigmy.

Przyłożyła aparat do ucha.

–Tak?

W pustym parku nie musiała się obawiać, że ktoś podsłucha rozmowę, poza tym telefon pracował na kodowanym łączu.

Przygotowała się na najgorsze.

Jednak to, co usłyszała, całkowicie ją zaskoczyło.

–On żyje – powiedział głos w telefonie. – Powinnaś być mądrzejsza.

Nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Słyszała ten głos tylko raz w życiu – zaraz po rekrutacji i brutalnej inicjacji, podczas której musiała zabić całą rodzinę – razem z małym dzieckiem. Była to rodzina wenezuelskiego polityka wspierającego dochodzenie w sprawie francuskiej firmy farmaceutycznej, któremu należało ukręcić łeb. Ochroniarze Wenezuelczyka postrzelili Kristę w nogę, udało jej się jednak uciec.

Podczas rehabilitacji zadzwoniono do niej z gratulacjami.

Dzwonił ten sam mężczyzna co teraz.

Wiedziała tylko, że to jeden z przywódców Gildii – członek grupy nazywanej „Eszelonem”.

Po chwili odzyskała zdolność mówienia.

–Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za fiasko tej akcji – oświadczyła.

–I mam nadzieję, że wyciągnęłaś z tej porażki wnioski...

–Tak, proszę pana.

–Pozostaw tę sprawę nam. Podjęto już niezbędne kroki. Niestety pojawiło się nowe zagrożenie... znacznie większe od agentów Sigmy. To coś, czym powinnaś natychmiast się

zając.

–Tak?

–Ktoś wie, że podczas masakry w Mali nie wszyscy zginęli. Ten człowiek ma się spotkać dziś wieczorem z senatorem Gormanem, żeby przekazać mu szczegóły.

Palce Kristy zacisnęły się na telefonie. Jak to możliwe? Gorączkowo próbowała przypomnieć sobie tamten dzień. Zaczęło jej się robić gorąco ze strachu.

–Nie może dojść do tej rozmowy – dodał mężczyzna, po czym powiedział jej, gdzie i kiedy ma się odbyć spotkanie.

–A co z senatorem?

–Przestał być nam potrzebny. Jeżeli zaczniesz coś podejrzewać, zanim uda ci się zamknąć sprawę, wyeliminuj go. Nie mogą pozostać żadni świadkowie.

Krista nic na to nie odpowiedziała – wiedziała, że nie powinna się w tym momencie odzywać.

–A jeśli chodzi o operację w Anglii... czy wszystko przygotowane? – spytał mężczyzna.

–Oczywiście, proszę pana.

–Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, jak ważne jest odnalezienie klucza Dnia Sądu Ostatecznego...

Krista wpatrywała się w ciała wijących się na Monolicie ludzi. Klucz mógł ich uratować albo skazać na niebyt.

–Ufasz swojemu tamtejszemu informatorowi? – spytał jeszcze mężczyzna.

–Oczywiście, że nie – odparła. – Zaufanie to coś całkowicie zbędnego. Liczą się jedynie władza i kontrola.

–Dobrze cię wyszkolono – stwierdził jej rozmówca i po raz pierwszy w jego głosie pojawił się cień rozbawienia. – Eszelon cię obserwuje – dodał i zakończył rozmowę.

Krista wciąż stała przed *Monolitem*.

Poczuła ulgę, ale wiedziała, że tym razem nie może zawieść.

12 października, godz. 16. 16

Kraina Jezior, Anglia

Gray z powątpiewaniem przyglądał się transportowi, który dla nich przygotowano.

Transport również się w niego wpatrywał – tak samo powątpiewająco, dla dodania sobie animuszu uderzając kopytem w ziemię.

–To kuce rasy Fell – powiedział doktor Boyle, przeciskając się między końmi. – Nie znajdziecie bardziej wytrzymałego zwierzęcia. Idealny do jazdy po górach, pewny w nogach i silny. jak bawół.

–Nazywa je pan „kucami”? – zdziwił się Kowalski.

Gray doskonale rozumiał niepokój swojego partnera. Matowoczarny ogier, którego osiodłano dla jego towarzysza, musiał mieć dobrze ponad metr trzydzieści w kłębie. Parskał w zimnym powietrzu i grzebał kopytem w zamarzającym błocie.

–Stój spokojnie, Pip – powiedział stajenny, zaciągając popręg konia Graya.

Przed godziną wyjechali samochodem z Hawkshead i Wallace zaprowadził ich do znajdującej się w górach stadniny. Do stanowiska archeologicznego można było dotrzeć tylko konno albo pieszo. Doktor zapowiedział ich wizytę w stadninie telefonicznie i kazał przygotować czworonożny transport.

–Kuce Fell są w tej okolicy bardzo popularne – powiedział, kiedy wyprowadzano zwierzęta. – Dzicy Piktowie używali ich do walki z Rzymianami, a wikingowie wykorzystywali je do orki. Potem Normanowie zrobili z nich zwierzęta transportowe do przewozu ołowiu i węgla.

Pogłaskał swojego karego wałacha i wspiał się na siodło. Rufus, jego terier, podniósł przy płocie tylną łapę i wysikał się. Jego początkowa nieufność wobec Seichan zamieniła się w ostrożny rozejm. Kiedy dziewczyna włożyła stopę w strzemień i wskoczyła na gniadą klacz, ominął ją szerokim łukiem.

–Obawiam się, że będziecie musieli okazać trochę wyrozumiałości staremu Rufusowi – powiedział Wallace, kiedy jeszcze siedzieli w pubie. – Ma swoje nawyki. Ze wstydem

muszę też stwierdzić, że jest nieco dwulicowy. Ubiegłej wiosny pogryzł pakistańskiego studenta.

Rachele popatrzyła na niego z przerażeniem, a Seichan w milczeniu tak długo wbijała wzrok w psa, że w końcu podkulił ogon i schował się za swojego pana.

Gdy doktor rozpoznał Rachele, powiedziała mu, co ich tu sprowadziło, lecz wiele szczegółów zachowała dla siebie. Nie wspomniała na przykład o zmumifikowanym palcu.

Wallace wysłuchał jej i wzruszył ramionami.

–Nie martw się, dziewczyno. Twój sekret będzie u mnie bezpieczny. Z przyjemnością pomogę ci złapać drani, którzy zabili Marca i posłali twojego wuja do szpitala.

Zaraz potem wyruszyli w drogę.

Gray dosiadł swojego ogiera i po kilku niespokojnych szurnięciach nogą koń ruszył wąską, wijącą się ścieżką.

Doktor Boyle jechał przodem na swoim wałachu, a pozostali za nim.

Gray od wieków nie siedział na koniu. Potrzebował kilku kilometrów, aby dostosować się do rytmu kroków zwierzęcia. Otaczające ich wzgórza zdawały się na nich napierać. W oddali, w ostatnim blasku zachodzącego słońca, błyszcząca ośnieżona korona najwyższej góry w Anglii – Scafell Pike.

Wokół panowała cisza, słychać było jedynie chrzęst śniegu pod końskimi kopytami. Gray musiał przyznać, że opinia Wallace'a o koniach rasy Fell była jak najbardziej uzasadniona. Mimo że ziemię pokrywał śnieg, Pip doskonale wiedział, gdzie stawiać nogi. Kiedy schodzili w dolinę, ani razu się nie potknął.

Po kolejnych trzech kilometrach droga zrobiła się szersza i Gray mógł jechać obok Rachele i Seichan. Kobiety przez cały czas rozmawiały ze sobą.

Gdy do nich podjechał, Rachele właśnie próbowała wyjąć z uchwytu termos. Seichan zauważyła, że sobie nie radzi, więc puściła lejce, kierując koniem samymi nogami, wyjęła swój termos i odkręciła go.

–Gorąca herbata dobrze ci robi – powiedziała, wyciągając kubek w stronę Rachele.

–Dziękuję – odparła Rachele. Kiedy upiła łyk, para oszroniła jej twarz. – Tak przyjemnie rozgrzewa...

–To specjalna mieszanka ziołowa mojego pomysłu – wyjaśniła Seichan.

Rachele jeszcze raz jej podziękowała i oddała kubek.

Jadący z przodu Kowalski siedział w siodle i kiwał się – najwyraźniej spał, ufając koniowi, że będzie szedł za ich przewodnikiem.

Jechali przez rzadki olchowo-dębowy las, depcząc rozrośniętą jak paproć orlicę, wystającą spod pokrytej śniegiem darni przecinanej licznymi lodowatymi strumieniami. Gray cieszył się,

że nie muszą iść pieszo – w odróżnieniu od Rufusa, który z zadowoleniem truchtał obok konia swojego pana, na bardziej podmokłym terenie przeskakując z pagórka na pagórek.

Kiedy słońce zaszło, temperatura wyraźnie spadła.

–Jak długo jeszcze będziemy jechali? – spytała Rachele.

Gray pokręcił głową. Wallace nie chciał ujawniać szczegółów, powiedział tylko, że stanowisko archeologiczne, do którego mieli dotrzeć, znajduje się „daleko w górskiej dziczy”. Ale przynajmniej nie musieli martwić się o powrót, bo całą przebytą drogę pokazywał GPS, który Gray uaktywnił, kiedy wyruszyli.

Rachele szczelniej otuliła się grubą kurtką. Z każdym oddechem z jej ust wydobywały się chmurki pary.

–Może powinniśmy byli poczekać do jutra...

–Nie – odparła Seichan. – Jeżeli są tu jakieś odpowiedzi, to im szybciej je znajdziemy i ruszymy dalej, tym lepiej.

Gray zgadzał się z nią, choć myśl o buzującym ognisku była nęcąca. Nie umknęło jego uwagi, jak bardzo Seichan jest spięta i jak mocno zaciska usta.

Ściągnął cugle, pozwalając się kobietom wyprzedzić, i uważnie im się przyjrzał.

Różniły się od siebie niemal we wszystkim. Seichan jechała swobodnie, całkowicie rozluźniona, lecz w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa gotowa do natychmiastowej reakcji. Natomiast Rachele zachowywała się, jakby wyruszała na bitwę, i wciąż się rozglądała. Seichan również często się rozglądała, ale jej wzrok był jak skaner – przez cały czas analizowała sytuację.

Łączyło je też wiele podobieństw. Obie były świadome swojej wartości i lubiły rzucać wyzwanie światu. I co najważniejsze, obie potrafiły sprawić, że serce Graya zaczynało bić znacznie szybciej.

Wiedział jednak, że z żadną z nich nie ma szansy na wspólną przyszłość. Rozdział z Rachele zamknął już dawno temu, rozdziału z Seichan wolał w ogóle nie otwierać.

W milczeniu pokonywali kolejne kilometry. W ciągu następnej godziny ścieżka zniknęła, ustępując miejsca płataninie skalnych uskoków, ośnieżonym klifom i kępom czarnych drzew. Kiedy w końcu dotarli do grani, ujrzeli rozciągającą się za nią głęboką dolinę, do której prowadziła stroma ścieżka.

Wallace dał znak, aby się zatrzymali.

–Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział.

Bezchmurne, rozgwieżdżone niebo sprawiało, że mimo nocy do tej pory jechało im się stosunkowo łatwo, jednak w dolinie było bardzo ciemno, bo jej dno porastał mroczny las.

Ale to nie wszystko.

Na tle czarnej połaci widać było przypominające ogniska jasne plamki. W dzień trudno byłoby je dostrzec.

–Co to za ogień? – zdziwił się Gray.

–Płonące torfowiska – odparł Wallace i pochuchał w rękawice, aby stopić nieco lodu z brody. – Spora część tych wzgórz jest pokryta torfem.

–A co to takiego? – spytał Kowalski.

Wallace zaczął wyjaśniać, lecz Gray go nie słuchał – wiedział wystarczająco dużo o torfie. Jest to skała osadowa, powstała w wyniku niepełnego rozkładu szczątków roślinnych – drzew, liści, mchów i grzybów – wchłoniętych przez bagno i sprasowanych pod ciężarem kolejnych warstw osadów. W ten sposób powstaje torf. Jego złoża najczęściej występują w miejscach, z których wycofały się lodowce, takich jak Kraina Jezior.

–Ten las rośnie na jednym z najgłębiej sięgających torfowisk w okolicy – mówił doktor. – Rozciąga się ono na przestrzeni tysięcy akrów. Większość złóż torfu kończy się na głębokości trzech metrów, ale w tej dolinie w niektórych miejscach sięgają nawet do trzydziestu. To bardzo stare torfowisko.

–A te ognie? – spytała Rachele.

–Torf ma jedną szczególną właściwość – powiedział Wallace. – Pali się. Ludzie od niepamiętnych czasów wykorzystują go do gotowania i ogrzewania. Podejrzewam, że właśnie te ognie, które widzimy, podsunęły prehistorycznemu człowiekowi myśl, że można używać torfu jako paliwa.

Gray popatrzył na niego.

–Od kiedy się palą?

Doktor wzruszył ramionami.

–Trudno powiedzieć. Palily się już, kiedy przyjechałem tu trzy lata temu. Nie da się ich ugasić. Palą się i palą, zasilane sięgającą wiele metrów w głąb ziemi warstwą paliwa. Z pisemnych przekazów wynika, że niektóre torfowiska palą się od stuleci.

–Są niebezpieczne? – spytała Rachele.

–Owszem. Trzeba uważać, gdzie stawia się nogi. Podłoże może wyglądać na solidne, czasem

nawet jest pokryte śniegiem, ale dwa metry niżej mogą znajdować się kieszenie pełne rozżarzonego torfu albo pełzące pod ziemią strumyczki ognia. – Wallace uderzył konia

piętami i zaczął zjeżdżać w dolinę. – Nie martwcie się jednak, znam bezpieczne ścieżki. Tylko się nie oddalajcie, cały czas trzymajcie się blisko mnie.

Nikt nie protestował. Nawet Rufus podbiegł bliżej do konia swojego pana. Gray wyjął GPS i sprawdził, czy zapisuje trasę. Na widoczną na ekraniku mapę nakładała się linia złożona z czerwonych punktów pokazująca drogę, którą przebyli. Gray schował urządzenie do kieszeni.

Seichan przez cały czas go obserwowała. Kiedy to zauważył, szybko odwróciła głowę.

Wallace zygzakowatą ścieżką zaczął schodzić w dół. Marsz koni utrudniały luźne kamienie i krusząca się darni, ale w końcu doktorowi udało się bezpiecznie sprowadzić wszystkich do doliny.

–Trzymajcie się teraz ścieżki – polecił im, po czym ruszył dalej.

–Jakiej ścieżki? – zapytał ze zdziwieniem Kowalski, rozglądając się dokoła.

Przed nimi rozciągała się otwarta zaśnieżona płaszczyna, na której widać było jedynie nieliczne kępy wrzosów i skupisko wielkich, porośniętych mchem kamieni przypominających kłęzących na ziemi gigantów. Daleko po lewej jarzyła się łąka darni otoczona pasem zielonego mchu. Na tle śnieżnej bieli wyraźnie odcinała się smużka dymu, którego zapach kojarzył się z wonią lekko przypieczonego mięsa.

Wallace zatrzymał się i głęboko wciągnął powietrze.

–Przypomina mi to dom – powiedział z rozmarzeniem w głosie. – Do kropelki szkockiej nie ma nic lepszego od zapachu palącego się torfu.

Poprowadził ich obok głązów w stronę widocznego w oddali ciemnego lasu. Mimo wcześniejszych ostrzeżeń nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, zresztą większość ogni znajdowała się na obrzeżach doliny, a kilka w wyższych partiach gór. Gray pamiętał, że torf najczęściej zapala się od pożarów – ogień przenika wtedy pod powierzchnię ziemi do złoża i tli się tam przez całe lata.

Za otwartą przestrzenią zaczynały się drzewa. Ich oblepione śniegiem konary odbijały światło gwiazd, ale na dole było ciemno jak w grobie. Wallace był na to przygotowany – do siodła miał przymocowaną silną lampę.

Wjechali do lasu gęsiego. Powietrze było tu nieco mniej zadymione. Otoczyły ich brzozy i sosny, gdzieś rosnęły także stare dęby. Gałęzie drzew ciągle jeszcze były pełne brązowych liści. Na zaśnieżonej ziemi leżało mnóstwo żołądź, co wyjaśniało obecność wiewiórek, które z piskiem uciekały przed końmi.

Kiedy w pewnym momencie między drzewami przemknęło jakieś większe zwierzę, Rufus chciał za nim pobiec, ale Wallace szybko go pohamował.

–Daj mu spokój! – zawołał. – Odgryzie ci nos jednym chapnięciem!

Kowalski podejrzliwie przyglądał się ciemnym zaroślom.

–A co z niedźwiedziami? Czy w Anglii są niedźwiedzie?

–Pewnie, całe mnóstwo – odparł doktor.

Były marynarz podjechał bliżej.

–Najwięcej jest ich w ogrodach zoologicznych, ale chyba od średniowiecza nie ma ani jednego na wolności – dodał Wallace.

Kowalski skrzywił się, ale nie odjechał. Doktor był uzbrojony w strzelbę, więc czuł się przy nim bezpieczniej.

Jazda przez las trwała pół godziny. Wokół było tak ciemno, że Gray całkowicie stracił orientację.

Wreszcie drzewa się skończyły i znowu wyjechali na otwartą przestrzeń. Światło gwiazd oblewało srebrem płytkie zagłębienie o powierzchni niemal pół hektara. Ze świeżego śniegu wystawały kępy trawy, orlica i pnie powycinanych drzew.

Polana nie była pusta – na jej skraju stały dwie ciemne budy, będące czymś w rodzaju skrzyżowania chaty z namiotem. Wykonano je ze stalowych rur obciążonych grubym materiałem. Obok stały piramidki pociętego w płaty, przygotowanego do spalania torfu, ale na polanie nie było żywej duszy – prawdopodobnie z powodu zapowiadanych silnych opadów śniegu obozowisko miało pozostać opuszczone do końca zimy.

Jednak to nie chaty przyciągnęły ich uwagę, lecz dół wykopany w ziemi. Stanowisko archeologiczne było oznakowane żółtą taśmą krzyżującą się jak wielka siatka. Z ziemi wyrastały ustawione w nierównym kręgu kamienie. Każdy z nich miał ponad trzy i pół metra wysokości. Na dwóch głazach leżała wielka kamienna płyta, tworząc prymitywną bramę.

–Wygląda jak małe Stonehenge – stwierdził Kowalski.

Doktor zsunął się z siodła.

–To miejsce jest starsze od Stonehenge – powiedział. – Znacznie starsze.

Zsiedli z koni. Przy chatach była zagroda – wprowadzili tam zwierzęta i rozsiodłali je. Kowalski poszedł do pobliskiego strumienia po wodę.

Wallace zaczął opowiadać o swoim odkryciu, o tym, jak „Księga zliczania” doprowadziła go do tego miejsca – oznakowanego jako „spustoszone”.

–Nie znalazłem żadnych śladów osady, ale kiedy polowałem, natknąłem się na ten kamienny krąg. Łatwo można byłoby uznać te kamienie za ułożone przypadkowo... zwłaszcza że pokrywały je mchy i porosty. Ale tego rodzaju skały nie występują w tutejszych górach.

Kiedy uporządkowali konie, doktor zaprowadził ich do kamiennego kręgu. Przyświecając sobie latarkami, przeszli przez żółte taśmy i zaczęli brnąć przez sięgający do kostek śnieg. Oczyszczone przez archeologów głązy stały na obrzeżach prostokąta wykopanej ziemi.

–Gdy przybyłem tu po raz pierwszy, były do połowy zakopane. Są tak ciężkie, że przez minione tysiąclecia zapadały się coraz głębiej i głębiej.

–Tysiąclecia? – powtórzyła zdziwiona Rachele. – Ile to miejsce może mieć lat?

–Co najmniej dwa tysiące więcej niż Stonehenge. To okres, w którym na Wyspy Brytyjskie zaczęli przybywać pierwsi osadnicy. Tysiąc lat przed zbudowaniem w Egipcie największych piramid.

Kiedy dotarli do ciemnego kręgu, Gray poświecił na najbliższy kamień, oczyszczony z mchu i porostów. Od strony, na którą patrzyli, wyryto w nim prymitywne petroglify. Pokrywały całą widoczną powierzchnię głązu i wszystkie były takie same.



–Spirale... – mruknął Gray.

–To bardzo popularny pogański symbol – powiedział Wallace. – Reprezentuje wędrówkę duszy. Ten tutaj jest niemal idealną repliką znaków na kamieniach znajdujących się w Newgrange, przedceltyckim kompleksie grobów korytarzowych w Irlandii. Newgrange datuje się na rok trzy tysiące dwusetny przed naszą erą, czyli podobnie jak ten krąg tutaj, co sugeruje, że zbudowały je te same plemiona.

–Druidzi? – spytał Kowalski.

Doktor jęknął.

–Gdzie ty się uczyłeś historii, młody człowieku? Druidzi to celtyccy kapłani, którzy mieli się tu

pojawić dopiero za trzy tysiące lat. – Wskazał neolityczne kamienie. – Ten krąg to dzieło najwcześniejszych osadników na Wyspach Brytyjskich.

Kowalski wzruszył ramionami – najwyraźniej nie przejął się zbytnio krytyką swojego wykształcenia.

Wallace westchnął.

–Chyba rozumiem, dlaczego tak wielu ludzi popełnia ten błąd... Celtowie włączyli elementy kultury pierwszych mieszkańców tych ziem do swojej. Odprawiali swoje rytuały religijne w tych samych miejscach co oni, ponieważ wierzyli, że te starożytne kamienie są siedzibą ich bogów. Większość tego, co dziś uważamy za sztukę celtycką, była wzorowana na staropogańskich rytach. Tak więc koniec końców wszystko powraca do tego miejsca. – Doktor ponownie wskazał krąg głazów. – Nadal jednak pozostaje bez odpowiedzi pytanie, kim byli ci starożytni budowniczości.

Sprawił wrażenie, jakby miał znacznie więcej do powiedzenia, ale powstrzymał się, aby zwiększyć napięcie. Zanim jednak ponownie zdążył otworzyć usta, Rachele zawołała:

–Popatrzcie lepiej na to!

Stała przy jednym z kamieni w środku kręgu i wskazywała coś dłonią.

Przeszli przez żółtą taśmę i dołączyli do niej. Gray uniósł latarkę. Na wewnętrznej stronie kamienia wyryto tylko jeden symbol. Gray powiodł promieniem światła po pozostałych głazach – w całym kręgu było ich dwanaście. Na każdym znajdował się taki sam symbol.



–Podzielony na ćwiartki okrąg... – mruknął Gray.

Wallace kiwnął głową.

–Teraz rozumiecie, dlaczego byłem pewien, że w dzienniku tego średniowiecznego kornera, Martina Borra, zostało opisane właśnie to miejsce. Na jego okładce był narysowany taki sam symbol.

Gray rozejrzał się.

Co to wszystko miało znaczyć?

Przyjrzał się ponownie kamieniowi, zastanawiając się nad jego znaczeniem. Z jednej strony spirale, z drugiej pogański krzyż. Taki sam schemat, jak na sakiewce: spirala w opozycji z krzyżem.

Popatrzył na Rachele i dostrzegł w jej oczach błysk tej samej myśli.

Zrozumiał, że jeżeli chcą uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, muszą odkryć karty przed doktorem.

Godz. 20. 42

Wallace uważnie przyglądał się starej skórzanej sakiewce. Siedział przy stoliku z mapami, rozstawionym w jednej z chat. Obok niego przysiadła Rachele. Grzała dłonie o kubek z herbatą, którą znowu poczęstowała ją Seichan. Popijała gorący płyn, ciesząc się ciepłem, choć przeszkadzała jej trochę lekka goryczka. Chętnie dodałaby nieco mleka, ale teraz najważniejsze było to, że herbata przeganiała z ciała zimno.

Spędzili dwie godziny na mrozie, robiąc zdjęcia i pomiary.

Popatrzyła przez stół na Graya. Czowała, że coraz bardziej się zamyka. Znała go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że martwi się, bo jest przekonany, iż brakuje mu jakiegoś elementu układanki. Wyczuwała, co dzieje się w jego głowie, i domyślała się, jakie nurtuje go pytanie.

Co sprawia, że to miejsce jest takie ważne?

Kiedy pracowali na dworze, Seichan nie pomagała im, najwyraźniej pozostawiała rozwiązanie zagadki innym. Czekali teraz na opinię doktora. Kowalski leżał na jednym ze stojących w głębi chaty piętrowych łóżek. Zasłaniał ręką oczy i nie chrapał, więc prawdopodobnie nie spał.

–Zupełnie nie wiem, co o tym sądzić – powiedział w końcu Wallace, kręcąc głową. Już wcześniej obejrzał zmumifikowany palec. – Nie wiem, gdzie Marco to znalazł ani dlaczego ktoś miałby go z tego powodu zabić.

–Cofnijmy się do początku – zaproponował Gray. – Dlaczego ojciec Giovanni tu przyjechał? Co miał nadzieję tu znaleźć?

–Ciała... – mruknął pod nosem Wallace.

–Ciała? – powtórzyła Rachele. – Jakie ciała?

Wallace odłożył sakiewkę i opadł plecami na oparcie krzesła.

–Te torfowiska były czczone przez Celtów i ich kapłanów. Zakopywali albo topili w nich obiekty kultu religijnego. Wiele takich miejsc okazało się prawdziwymi skarbnicami

przedmiotów o wartości archeologicznej: broni, biżuterii, glinianych naczyń, a nawet pojazdów. Znajdowano w nich także szczątki ludzkie.

Przerwał i podszedł do piecyka, aby ogrzać sobie dłonie nad płonącym torfowym brykietem. Po chwili odwrócił się do nich.

–Torf był źródłem życiodajnego ciepła, więc należało go szanować... często oznaczało to składanie ofiar z ludzi. Aby zyskać przychylność bogów, Celtowie zabijali swoich więźniów i wrzucali ich ciała do torfowisk. A to, co znajdzie się w torfie, zostaje zakonserwowane na wieki...

–Nie bardzo rozumiem – powiedziała Rachele.

–Kwaśne środowisko i brak tlenu sprawiają, że w torfie nic nie gnije – wyjaśnił Gray.

–Właśnie – potwierdził Wallace. – Znajdowano w bagnie pojemniki ze stuletnim masłem, które nadal nadawało się do spożycia.

Kowalski prychnął z niesmakiem i przewrócił się na bok.

–Proszę mi przypomnieć, abym nie jadł u pana tostów – mruknął.

Wallace zignorował go.

–W taki sam sposób konserwowane były zwłoki. Nazywa się je „torfowymi mumiami”. Najbardziej znana z nich to Człowiek z Tollund. Jest tak dobrze zakonserwowany, że wygląda, jakby umarł zaledwie parę dni wcześniej. Skóra jest cała, narządy wewnętrzne nienaruszone, ma też włosy i rzęsy. Nawet linie papilarne są widoczne. Badania wykazały, że został rytualnie uduszony... miał na szyi linę z węzłami. Wiemy też, że zabili go druidzi, ponieważ w jego żołądku znajdowała się jemiola, uważana przez nich za świętą roślinę.

–Tutaj również znaleźliście torfową mumię? – spytał Gray.

–Nawet dwie. Kobietę i dziecko. Natknęliśmy się na nie podczas oczyszczania kamiennego kręgu. Ciała leżały w centrum kręgu.

–To też były rytualne ofiary? – wtrąciła Seichan.

Doktor popatrzył na nią w zamyśleniu.

–Zastanawialiśmy się nad tym. Przyjmuje się, że kamienne kręgi były kalendarzami słonecznymi, ale służyły także jako miejsca pochówku, a to miejsce musiało być szczególnie święte. Kamienny krąg na świętym torfowisku... Mieliśmy nie naruszać ciał i wysłać je na uniwersytet w całości, ale musieliśmy, się dowiedzieć, czy śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, czy też ofiary zabito. Na szyjach zwłok nie było lin, ale można było w inny sposób

stwierdzić, czy są ofiarami rytualnego zabójstwa.

–Jemiola w żołądku... – podsunęła Rachele.

Wallace kiwnął głową, podszedł do swojego plecaka, rozwiązał go i wyciągnął z niego tekturową teczkę.

–Przeprowadziliśmy sekcję zwłok i sporządziliśmy dokumentację... choć mieliśmy nie pozostawiać niczego na papierze.

Otworzył teczkę i wyjął z niej plik zdjęć. Na jednym widać było kobietę i dziecko, leżące w ziemi. Kobieta obejmowała dziecko ramionami; oboje wyglądali, jakby byli pogrążeni we śnie. Ciała wyschły, ale czarne włosy kobiety nie uległy rozkładowi. Na następnym zdjęciu widać było ją na stole – nago. Dłoń na brzegu zdjęcia trzymała skalpel.

–Zanim odesłaliśmy ciała na uniwersytet, chcieliśmy sprawdzić, czy w ich żołądkach jest jemiola. To miała być niewielka ingerencja.

–I co? – spytała Rachele.

–Nie znaleźliśmy jemioly, ale coś innego... znacznie gorszego. Jeśli ma pani słaby żołądek, radzę nie oglądać kolejnych zdjęć.

Kolejna fotografia ukazywała zwłoki kobiety z odchylonymi na bok powłokami brzuszными i odsłoniętymi wnętrznościami. Coś było nie tak. Wallace wziął do ręki ostatnie zdjęcie – zbliżenie wątroby. Całą jej powierzchnię pokrywały jakieś dziwne wypustki.

Rachele zasłoniła dłonią usta.

–Czy to jest właśnie to, o czym myślę?

Wallace kiwnął głową.

–Grzyby.

Wstrząśnięty i zniesmaczony Gray opadł na oparcie krzesła. Próbował zrozumieć, co mogły oznaczać wyniki tej sekcji. Musiał osadzić to wszystko w jakimś kontekście, wrócił więc do punktu wyjścia.

–No dobrze, ale jaki to ma związek z ojcem Giovannim? – zapytał. – Powiedział pan, że sprowadziły go tutaj ciała...

–Tak. – Wallace z powrotem usiadł na swoim krześle. – Przyjechał tu, kiedy dowiedział się o naszym odkryciu. O miejscu, w którym chrześcijaństwo i pogaństwo nadal się ścierają.

–Jednak to nie ten konflikt go tu ściągnął – stwierdził Gray.

Wpatrywał się w pierwsze zdjęcie kobiety z dzieckiem. Nie mogło być wątpliwości: Madonna z Dzieciątkiem. W dodatku nie chodziło o zwykłą Madonnę – garbniki zawarte w torfie zabarwiły skórę kobiety na ciemny brąz, niemal czern.

–Kiedy wysłałem mu zdjęcie mumii, zjawił się u mnie następnego dnia. Interesowało go każde wyobrażenie Czarnej Madonny i wszystkie odniesienia do niej. Dwa ciała w świętym pogańskim miejscu pogrzebowym, w kraju, gdzie w dalszym ciągu mieszają się wierzenia pogańskie i chrześcijańskie... Musiał się koniecznie dowiedzieć, czy ma to jakiś związek z kultem jego ciemnoskórej bogini.

–I miało?

–Badaniu tego związku Marco poświęcił kilka lat. Krążył po całych Wyspach Brytyjskich. Ostatniego miesiąca odkrył coś, co go szczególnie podnieciło, ale nie chciał zdradzić, co to takiego.

–A co pan sądzi o tych mumiach? – spytał Gray.

–Jak już powiedziałem, nie znaleźliśmy w ich żołądkach jemioly. Uważam, że w chwili grzebania w torfie zarówno kobieta, jak i dziecko byli martwi. Ale kto i dlaczego pochował tu ich ciała? Dlaczego Martin Borr narysował na swoim dzienniku pogański symbol? Tego właśnie chciałem się dowiedzieć.

–I dowiedział się pan?

–Mam pewną hipotezę, która jest ściśle związana z „Księgą zliczania” – odparł Wallace. – Coś sprawiło, że tutejsza wioska została zniszczona. Coś na tyle straszliwego, że postanowiono zetrzeć ją z powierzchni ziemi i usunąć ze wszystkich map. O tym, że w ogóle kiedykolwiek istniała, świadczy jedynie wpis w księdze i wzmianka w dzienniku Martina Borra. Co mogło spowodować taką reakcję? Prawdopodobnie jakaś straszliwa choroba lub zaraza. Chcąc zapobiec jej rozpowszechnianiu się i utrzymać w tajemnicy jej istnienie, zniszczono całą wieś.

–A co z tymi ciałami? – zapytała Rachele, wskazując głową zdjęcia.

–Proszę zamknąć oczy i wyobrazić sobie tę miejscowość, położoną z dala od innych osad i nękaną przez jakąś straszliwą chorobę. Chrześcijanie mieszkali tu razem z ludźmi potajemnie odprawiającymi pogańskie rytuały i musieli wiedzieć o istnieniu kamiennego kręgu w lesie... Kiedy na dolinę spadło nieszczęście, każda ze stron z pewnością prosiła swoich bogów o łaskę. Niektórzy być może łączyli oba kulty. Aby przebłagać bogów, wybrali spośród ofiar zarazy matkę z dzieckiem, reprezentującą Madonnę z Dzieciątkiem, i pochowali ich w tym starożytnym pogańskim miejscu. Moim zdaniem to jedyne ciała, jakie zachowały się po zniszczeniu wioski.

Dotknął palcem zdjęcia z sekcji.

–Cokolwiek zaatakowało tę miejscowość, musiało być niezwykle groźne. Nic podobnego nigdy nie zostało opisane w annałach medycyny. Ciała wciąż jeszcze są poddawane badaniom, a wszystko otacza głęboka tajemnica. Nawet mnie nie chcą powiedzieć, co odkryto.

–Nie jest pan etatowym pracownikiem Uniwersytetu Edynburskiego? – zdziwił się Gray.

Wallace zmarszczył czoło.

–To nieporozumienie. Mówiąc o uniwersytecie, który wziął ciała, wcale nie miałem na myśli uczelni w Edynburgu. Dostałem grant z zagranicy. To nic niezwykłego. Aby móc prowadzić badania w terenie, przyjmuje się pieniądze od różnych ofiarodawców.

–Więc kto wziął te ciała?

–Zostały wysłane do laboratorium uniwersytetu w Oslo.

Gray poczuł się, jakby koń kopnął go w brzuch. Potrzebował chwili, aby zebrać myśli. Oslo... Było to pierwsze jednoznaczne powiązanie między odkryciem Wallace'a i tym, co miał sprawdzić Painter Crowe.

–Podejrzewam, że wszystko sprowadza się do ekstremofili – dodał doktor.

Jego słowa wyrwały Graya z zamyślenia.

–O czym pan mówi? – zapytał ze zdziwieniem.

–O moich znaleziskach – odparł doktor takim tonem, jakby było to oczywiste. – Jak powiedziałem: w tym biznesie bierze się pieniądze od każdego, kto chce je dać.

–A co mają do tego ekstremofile?

Ekstremofile to organizmy żyjące w skrajnych warunkach środowiskowych, zbyt trudnych dla innych organizmów. W większości przypadków są to bakterie żyjące w takich środowiskach jak wypełnione kipiącą wodą szczeliny w dnach oceanów czy kratery wulkanów, stanowiące potencjalne źródło nowych związków chemicznych.

Przemysł światowy dawno to dostrzegł i stworzył nową dziedzinę, zwaną bioprospectingiem lub „poszukiwaniami biologicznymi”. Chodzi tu o szukanie czegoś równie cennego jak złoto – substancji biologicznych, które można wykorzystać do tworzenia nowych produktów. Dziedzina ta coraz bardziej się rozwija. Dzięki ekstremofilom stworzono i opatentowano detergenty, nowe lekarstwa i wiele innych substancji – w tym także enzym używany w laboratoriach kryminologicznych do sporządzania „genetycznego odcisku kciuka”.

Ale jaki to miało związek z angielskimi mumiami torfowymi?

–Wiąże się to z moją hipotezą, którą przedstawiłem potencjalnym sponsorom – wyjaśnił

Wallace. – Doprowadziła mnie do niej „Księga Dnia Sądu Ostatecznego”.

Gray zwrócił uwagę, że doktor nie użył nazwy „Księga zliczania”, ale „Księga Dnia Sądu Ostatecznego”. Podejrzał, że występując o przyznanie funduszy na badania Wallace również użył tej drugiej nazwy – wywoływała emocjonalne skojarzenia.

–Jak już wspominałem, miejsca, które opatrzone w księdze dopiskiem „spustoszone”, zostały starte z powierzchni ziemi... nie w przenośni, ale dosłownie. Co innego niż jakieś

straszliwe niebezpieczeństwo mogłoby skłonić ówczesnych komisarzy spisowych do użycia takiego określenia?

–Choroba albo zaraza – powiedział Gray.

Wallace kiwnął głową.

–I to taka, z jaką ludzkość się jeszcze nie zetknęła. To były bardzo odosobnione miejsca. Kto wie, co wy dostało się z torfowisk? To mieszanina przeróżnych organizmów: bakterii, grzybów, pleśni.

–Więc zatrudniono pana jako bioprospektora...

Doktor wzruszył ramionami.

–Nie jestem jedyny – odparł. – Do pracujących w terenie archeologów zwracają się przedstawiciele wielu gałęzi przemysłu. Docieramy do starożytnych miejsc, niedostępnych dla innych. W ubiegłym roku jeden z amerykańskich koncernów chemicznych odkrył w nowo otwartym egipskim grobowcu kolejny gatunek ekstremofila.

–A przy tych wykopaliskach zatrudnił pana uniwersytet w Oslo?

–Nie. Uniwersytet w Oslo jest tak samo biedny jak wszystkie inne uczelnie. Dziś większość grantów pochodzi od wielkich korporacji.

–A jaka korporacja zatrudniła pana?

–Koncern biotechnologiczny wykorzystujący genetycznie modyfikowane organizmy. Przede wszystkim w roślinach uprawnych.

Gray zacisnął palce na brzegu stołu. No tak, to przecież oczywiste. W polowaniu na ekstremofile prym wiodły firmy biotechnologiczne. Bioprospecting był utrzymującą ich przy życiu krwią. Wysuwały czułki, obmacywały wszystkie dziedziny badań naukowych. A teraz przyszła kolej na archeologię.

Nie miał już wątpliwości, kto sponsorował badania Wallace'a.

–Viatus – powiedział głośno.

–Skąd pan wie? – zdziwił się Wallace.

Godz. 23. 44

Seichan stała przed chatą. Trzymała w dłoni papierosa, niezapalonego i dawno zapomnianego. Gwiazdy na niebie przypominały kawałki rżniętego szkła. Między drzewami pełzły pasma lodowatej mgły. Wciągnęła głęboko powietrze, w którym wyraźnie można było wyczuć zapach torfu – zarówno tego płonącego pod ziemią, jak i w piecykach.

Ustawione w krąg, obrzeżone lodem kamienie wyglądały jak wielkie grudy srebra.

Wyobraziła sobie dwa pogrzebane pośrodku ciała. Z jakiegoś powodu przypomniał jej się kurator, którego zabiła w Wenecji – a raczej jego żona i córka. Potrząsnęła głową, próbując pozbyć się tego wspomnienia wywołanego poczuciem winy.

Miała zadanie do wykonania.

Ale poczucie winy nie ustępowało.

Popatrzyła na dłoń, w której trzymała metalowy termos. Szczelna obudowa nie dopuszczała do strat ciepła, które utrzymywało biotoksynę w stanie aktywności. Po ujawnieniu źródła finansowania badań doktora Boyle'a wszyscy długo dyskutowali o ekstremofilach. Toksynę, którą dostarczono Seichan, wytwarzały bakterie tego samego rodzaju, odkryte w kominie wulkanicznym w Chile. Ponieważ były nieodporne na zimno, trzeba je było podgrzewać.

Nikt nie zwrócił uwagi, że tylko Rachele piła herbatę z tego termosu – Seichan jedynie udawała, że również popija.

Włożyła papierosa do kieszeni, podeszła do nawianej przez wiatr pryzmy i zaczęła napełniać termos śniegiem. Niska temperatura wysterylizuje go, zabijając resztę bakterii. Napełniwszy naczynie, próbowała je zamknąć, ale tak bardzo drżały jej dłonie, że krzywo nałożyła pokrywkę i zacięła się przy jej zakręcaniu. Rozwścieczyło ją to, więc zamachnęła się termosem i cisnęła go w las.

Przez parę sekund ciężko oddychała, wypuszczając w powietrze gęste kłęby pary.

W drugiej chacie – tej, którą przydzielono mężczyznom – skrzypnęły drzwi. Seichan podeszła bliżej, chcąc sprawdzić, kto oprócz niej jeszcze nie śpi.

Potężna sylwetka i charakterystyczny chód pozwoliły jej od razu zidentyfikować wychodzącego. Kiedy Kowalski ją zobaczył, uniósł rękę i wskazał kciukiem zagrodę dla koni.

–Idę spotkać się z kimś – oznajmił i zniknął za rogiem.

Chwilę potrwało, zanim Seichan pojęła, o co chodzi. Były marynarz zaczął gwizdać i zaraz potem zaszumiał strumień moczu.

Seichan spojrzała na zegarek. Za kilka minut północ. Nie było już odwrotu. Gildia dała grupie Graya jedynie tyle czasu, ile potrzeba było do obejrzenia stanowiska. Seichan próbowała wytargować jeszcze jeden dzień, ale nie zamierzano jej słuchać. Niech i tak będzie.

Popatrzyła na drugą chatę. Oby Kowalski nie siedział tam zbyt długo... Na szczęście wrócił po niecałej minucie, przez cały czas pogwizdując pod nosem.

–Nie możesz spać? – spytał.

Seichan wyjęła papierosa i uniosła go w górę.

–To zabija – mruknął wielkolud, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej niedopalone cygaro. – Więc lepiej szybko się z tym załatwmy.

Włożył koniec cygara między zęby, wyjął pudełko sztormówek i energicznym ruchem potarł dwie zapalki o ścianę chaty. Kiedy zapalił się podwójny płomień, podał jedno drewnienko Seichan.

–Gray właśnie się położył – powiedział, nie wyjmując cygara z ust. – Jeszcze przez dwie godziny próbował coś wydusić z doktora, ale nie wiem, czy mu się to udało. Musiałem wyjść na zewnątrz, bo ten jego pies ciągle zasmradza powietrze. Nic dziwnego... widziałaś, czym Boyle go karmi? Kielbasą i cebulą.

Seichan zapaliła papierosa. Nie przerywała Kowalskiemu – jego gadanina ją uspokajała. Ale wielkolud najwyraźniej chciał czegoś od niej i nie zamierzał bawić się w subtelności.

–No więc, co jest z tobą i Grayem? – spytał po chwili.

Zakrzuszyła się dymem.

–Cały czas się na ciebie gapi, a ty patrzysz przez niego, jakby był duchem – dodał Kowalski. – Zachowujecie się jak para napalonych uczniów.

Seichan chciała coś ostro odpowiedzieć, ale nie zdążyła.

Dokładnie z wybiciem północy dolina eksplodowała.

W lesie jeden po drugim wystrzeliwały gejzery ognia. Towarzyszyły im ciche wybuchy, prawie niesłyszalne – chyba że się ich spodziewało. Głęboko w torfie zostały umieszczone ładunki zapalające, połączone z termicznym katalizatorem rubidowym, który zamieniał wodę w akcelerator.

Trzy ładunki eksplodowały pośrodku kamiennego kręgu i wysoko w niebo wystrzeliły spirale

ognia.

Gorąco parzyło twarze nawet na odległość.

Z chat zaczęli wybiegać ludzie, a Kowalski zaklął.

Seichan stała bez ruchu, serce waliło jej jak młot. Pożar błyskawicznie zaczął się rozprzestrzeniać. Miał wygonić stąd grupę Graya, niszcząc jednocześnie wszystkie dowody.

Płomienie coraz bardziej się zbliżały.

Pewnie ktoś się przeliczył, nie zdawał sobie sprawy, jak łatwo pali się torf, pomyślała Seichan. Zaraz jednak przez głowę przemknęła jej inna myśl: a może została zdradzona? Może wszyscy mieli tu zginąć?

Ale przecież ich śmierć nikomu nic by nie dała. Przynajmniej nie w tej chwili. To na pewno zwykły błąd. Żarzące się przez lata ognie musiały wysuszyć złoża torfu i cała dolina zamieniła się w podpałkę.

Jednak nawet jeśli tak było, nie miało to teraz znaczenia.

Ogień prawie dochodził już do obozowiska.

Nie wydostaną się stąd żywi...

12 października, godz. 23. 35

Oslo

Monk szybkim krokiem szedł przez teren ośrodka badawczego. Pod grubym płaszczem był ubrany w mundur ochroniarza korporacji. Idący obok niego John Creed również miał na sobie ciepły płaszcz, lecz przez rękę przerzucił kitel laboratoryjny, który zamierzał założyć, gdy dotrą do celu.

Po pokazaniu sfałszowanych identyfikatorów bez problemu przejechali przez główną bramę kampusu Viatus International. Zaparkowali samochód na parkingu dla pracowników i ruszyli dalej na piechotę. Viatus miał biura na całym świecie, ale jego główna siedziba mieściła się w Oslo. Zajmowała porośnięty parkową roślinnością teren o powierzchni 40 hektarów, na którym rozrzucone były należące do korporacji budynki. Wszystkie były bardzo nowoczesne i świadczyły o tym, że ich projektanci pozostawiali pod wyraźnym wpływem skandynawskiego minimalizmu.

W centrum kampusu wznosił się budynek z salą konferencyjną, cały wykonany ze szkła. W środku stała łódź wikingów – nie model, lecz autentyk. Łódź odkryto w lodzie, w arktycznej części Norwegii. Wydobycie jej i zakonserwowanie kosztowało miliony, ale Ivar Karlsen nie żałował na to pieniędzy.

Dobrze jest być bogatym.

Monk szedł dalej. Laboratorium Biogenetyki Roślin Uprawnych znajdowało się w odległym zakątku kampusu i z parkingu był do niego spory kawałek.

Głębiej naciągnął kaptur parki.

–No więc, dzieciaku, jak udało ci się wyrwać z wojska i wylądować w Sigmie? – spytał Creeda, próbując nie zwracać uwagi na zimno.

Jego towarzysz machnął ręką.

–Nie pytaj – burknął.

Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać.

Chłopak nie był zbyt rozmowny, ale Monk musiał przyznać, że jest bardzo bystry. Zdążył się nawet nauczyć kilku słów po norwesku, i to z całkiem niezłym akcentem. Monk

znał tylko jedną osobę, która mogłaby mu pod tym względem dorównać. Wyobraził sobie jej uśmiech i coraz bardziej powiększający się brzuch. Myślenie o Kat pomagało mu zachować

ciepło.

Laboratorium Biogenetyki Roślin Uprawnych przypominało postawione pionowo srebrne jajko. Lustrzana powierzchnia zewnętrzna odbijała ziemię, nadając konstrukcji surrealistyczny wygląd – miało się wrażenie, że właśnie przechodzi w inny wymiar.

Był to stosunkowo nowy budynek, wyposażony w skomplikowany system zabezpieczeń, dzięki czemu do jego ochrony w nocy wystarczało bardzo niewiele strażników.

Dostanie się do środka nie powinno nastroczać zbyt wielkich problemów komuś wyposażonemu w najnowocześniejsze zabawki DARPA.

Monk na jednym ramieniu miał plecak, a pod pachę drugiej ręki wetknął pistolet – Taser XREP. Wystrzeliwiuje on zaopatrzoną w baterię strzałkę, która poraża trafioną osobę prądem, paraliżując ją na pięć minut. Miał nadzieję, że nie będą musieli go użyć.

Creed skierował się w stronę głównego wejścia.

Monk dotknął przymocowanego do szyi mikrofonu.

–Dochodzimy do budynku – zameldował dyrektorowi Sigmy.

–Jakieś problemy? – zapytał Painter Crowe.

–Jak na razie nie.

–Doskonale. Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco.

–Oczywiście.

Creed zatrzymał się przy drzwiach i wsunął w szparę czytnika kartę, od której biegł cienki drucik do znajdującego się na jego nadgarstku hakerskiego urządzenia. Wykorzystywało ono algorytmy kwantowe do łamania kodów zamków elektronicznych i było odpowiednikiem dawnego tak zwanego klucza-generała, który otwierał każdy mechaniczny zamek. Po chwili blokada została usunięta i chłopak otworzył drzwi.

Weszli do środka.

Przestrzeń za drzwiami była słabo oświetlona, za recepcyjnym biurkiem nikt nie siedział. Wiedzieli, że strażnik pilnuje stanowiska monitorującego piętro wyżej. Jeśli nie wyzwolą alarmu, nie powinni mieć trudności z dostaniem się do umieszczonych na dole serwerów i otwarciem tylnych drzwi centrali. Przy odrobinie szczęścia powinni się uporać z tym w ciągu dziesięciu minut.

Idąc przez hol, Monk odwracał głowę od kamer, których rozmieszczenie znali z dostarczonych przez Kat planów. Jego towarzysz również nie pokazywał twarzy.

Kierowali się ku windom. Creed szedł nieco zbyt szybko i Monk dotknął jego ramienia, dając mu znak, że ma zwolnić.

Kiedy wdusili jeden z przycisków, otworzyły się drzwi kilku wind. Weszli do najbliższej. Wyświetlacz na panelu sterowania świecił czerwono – bez wpisania właściwego kodu kabina nie ruszy.

Monk przysunął palec do przycisku B2 – dla drugiego poziomu podziemnego, na którym znajdowały się serwery. Creed przygotował swój hakerski klucz.

Ale Monk nie dotknął przycisku.

–Co jest? – spytał cicho chłopak.

Monk odsunął się i Creed zobaczył, że pod B2 są jeszcze przyciski B3, B4 i B5. Na planach, które otrzymali od Kat, pod B2 nie było kolejnych poziomów.

Co tam się znajdowało?

Mieli do wykonania konkretne zadanie, ale przede wszystkim powinni się dowiedzieć, co tak naprawdę dzieje się na terenie Viatusa. To, że korporacja trzyma kompromitujące materiały na serwerach, było jedynie domysłem. Największe tajemnice mogły zostać ukryte znacznie głębiej.

Na przykład na kolejnych podziemnych poziomach, których nie było na planie.

Monk przesunął palec na przycisk B5.

Creed popatrzył na niego pytająco.

–Mała improwizacja – wyjaśnił mu Monk, bezgłośnie poruszając ustami.

Od pracowników Sigmy nie wymagano ślepego wypełniania rozkazów, lecz samodzielnego myślenia – i chłopak musiał się tego nauczyć.

Monk wskazał czytnik kart i dał swojemu towarzyszowi znak, aby włączył urządzenie dekodujące. Nie zajmie im to zbyt wiele czasu – tylko rzucą na dole okiem. Jeśli okaże się, że to jedynie poziom techniczny albo że jest tam basen dla pracowników, będą mogli szybciotko wrócić na poziom B2, podpiąć się pod serwery i wiać.

Creed z westchnieniem wsunął kartę do czytnika. Po chwili zapaliło się zielone światelko i winda zaczęła zjeżdżać.

Wokół panowała cisza – alarm się nie włączył.

Gdy kabina się zatrzymała, jej drzwi otworzyły się na hol. Na wprost nich znajdowały się

zamknięte stalowe drzwi.

Monk zaczął się zastanawiać, co w takiej sytuacji zrobiłby Gray.

Od kiedy to należy wzorować się na Grayu, mistrzu pakowania się w kłopoty?

Kiedy drzwi kabiny zaczęły się zamykać, złapał swojego partnera za łokieć i wyciągnął go na zewnątrz.

–Zwariowałaś? – syknął chłopak, strząsając jego dłoń.

Monk podszedł do stalowych drzwi. Zamiast czytnika kart magnetycznych był na nich jedynie świecący panel, najwyraźniej przeznaczony do odczytywania odcisku dłoni.

–Co teraz? – spytał szeptem Creed.

Monk przyłożył do panelu swoją protezę. Pojawił się na nim jaśniejszy pasek, który zaczął przesuwać się w górę i w dół, skanując dłoń. Po kilku sekundach zastukały otwierające się zapadki.

Nad czytnikiem pojawiły się dwa słowa. IVAR KARLSEN.

Creed zmarszczył czoło i popatrzył na Monka – był zły, że nie został poinformowany o tym dodatkowym środku ostrożności.

To Kat wpadła na ten pomysł. Zdobyła pełne dane dyrektora generalnego Viatus International, łącznie z odciskiem dłoni. Przetworzenie ich i wpisanie do urządzenia, które było czymś w rodzaju ultranowoczesnej drukarki laserowej, trwało tylko kilka sekund. „Drukarka” wypaliła potem na sztucznej dłoni Monka wzór udający odcisk dłoni Karlsena.

Założyli, że jeśli ktokolwiek miał dostęp do wszystkich pomieszczeń ośrodka, na pewno był to generalny dyrektor. Monk podszedł do odblokowanych drzwi. Sprawdźmy, co Ivar tu ukrywa...

Godz. 23. 46

Painter obserwował wejście do hotelu z drugiej strony ulicy. Z ławki, na której siedział, miał doskonały widok. Nic dziwnego, że senator Gorman zatrzymał się właśnie w tym miejscu. Budynek hotelu, utrzymany w ekstrawaganckim stylu Ludwika XVI, miał siedem pięter i zajmował cały kwartał. Nad głównym wejściem wznosiła się wieża z zegarem. Tuż obok mieściły się budynki norweskiego parlamentu.

Mało prawdopodobne, aby ktoś mógł zorganizować tu zasadzkę.

Painter chciał się najpierw rozejrzeć, przyszedł więc godzinę przed czasem, ukrywając twarz za kołnierzem grubego płaszcza, szalikiem i kapeluszem. Szedł lekko kulejąc – co wcale nie było kamuflażem. Działanie środków przeciwbólowych mijało i rana po uderzeniu nożem coraz

bardziej bolała. W ciągu minionej godziny sprawdził wszystkie dostępne dla gości pomieszczenia hotelu – przede wszystkim bar Limelight, w którym senator Gorman

miał się spotkać ze swoim tajemniczym informatorem. Aby w razie niebezpieczeństwa mieć się czym bronić, zatknął za pasek zdobyczny sztylet WASP, a w kaburze pod pachą miał berettę kalibru 9 mm.

Jak na razie wszędzie było spokojnie.

Popatrzył na wieżę zegarową. Brakowało jeszcze kilku minut do północy. Czas zająć stanowisko obserwacyjne.

Wstał i ruszył w stronę wejścia do hotelu.

Monk był już w nim zameldowany, a kilka godzin temu Painter odbył przez telefon satelitarny krótką, lecz treściwą rozmowę z Grayem. Dowiedział się z niej, że to właśnie Viatus International finansował badania archeologiczne w Krainie Jezior w Anglii – oraz tego, że korporacja zajmowała się bioprospectingiem, szukając nowych organizmów, które można byłoby wykorzystać do badań genetycznych. Nie wiadomo, czy coś odkryli w Anglii, ale Gray opowiedział mu o ponurym znalezisku wewnątrz neolitycznego kamiennego kręgu – o dwóch zmumifikowanych ciałach pogrzebanych w torfie, zaatakowanych przez jakiegoś nieznanego grzyba.

Czy to mogło mieć jakieś znaczenie?

Painter pamiętał, że według zamordowanego genetyka z Princeton umieszczone przez Viatusa w próbkach kukurydzy geny nie były pochodzenia bakteryjnego. Czy mogły zostać wyekstrahowane z grzybów pochodzących z ludzkich zwłok? A jeśli tak – czemu zadano sobie tyle trudu, próbując to ukryć?

Postanowił na razie odsunąć te pytania na bok. Musiał skupić się na najbliższym zadaniu. Wszedł do hotelowego holu i rozejrzał się uważnie. Porównał twarze kręcących się po nim pracowników z tymi, które zapamiętał ze swoich poprzednich wizyt, i upewnił się, że nie ma wśród nich żadnej obcej.

Wszedł do ciemnego baru o ścianach wyłożonych drewnianą boazerią. Oświetlało go jedynie kilka lamp. Wnętrze dzieliły na mniejsze fragmenty obite czerwoną skórą kanapy i klubowe fotele. W powietrzu unosił się zapach dymu z cygar.

O tej porze nie było tu wielu gości i Painter od razu zauważył siedzącego przy barowym kontuarze Gormana. Senatorowi towarzyszył krępy mężczyzna w zbyt ciasnym garniturze. Był odwrócony plecami do baru i rozglądał się po sali w poszukiwaniu zagrożenia.

Painter przeszedł między fotelami i usiadł w boksie niedaleko wejścia. Przez cały czas obserwował obu mężczyzn kątem oka. Po chwili podeszła do niego kelnerka i przyjęła

zamówienie.

Zobaczmy, kto się pojawi.

Nie musiał długo czekać.

Do baru wszedł mężczyzna w płaszczu do kostek, rozejrzał się po wnętrzu i zatrzymał wzrok na senatorze. Painter z zaskoczeniem uświadomił sobie, że widział go już wcześniej – na inauguracyjnym lunchu Światowego Szczytu Żywnościowego. Skarżył się na coś prezesowi Klubu Rzymskiego.

Miał na imię... Anthony?

Nie... Antonio...

Na widok senatora mężczyzna uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem, ale kiedy zobaczył ochroniarza, uśmiech zniknął mu z twarzy. Gorman miał przyjść sam.

Painter szybko wysunął się ze swojego boksu. Podszedł do przybysza, złapał go za łokieć i wbił mu w żebra lufę pistoletu. Przez cały czas się uśmiechał.

–Musimy pogadać – powiedział cicho.

Zamierzał porozmawiać z tym człowiekiem sam na sam. Im mniej senator Gorman wiedział, tym lepiej.

Mężczyzna pozwolił się prowadzić, ale jego twarz wykrzywiało przerażenie.

–Pracuję dla rządu USA – oświadczył Painter. – Zanim spotka się pan z senatorem, musimy zamienić kilka słów.

Antonio uspokoił się trochę, lecz w jego oczach nadal czaił się strach. Painter poprowadził go do foteli w pustej części holu. Byliby tam osłonięci przed ciekawskimi oczami niskim murkiem i rozłożystą paprocią.

Nie dotarli jednak do celu.

Antonio potknął się nagle i opadł na kolana. Zacharczał i spróbował sięgnąć rękami do karku. Z jego szyi wystawał bełt kuszy, a z rany tryskała krew, plamiąc marmurową posadzkę hotelowego holu.

Między plastikowymi piórami bełtu migotało maleńkie czerwone światełko. Ciało Paintera zareagowało, zanim zdążył pomyśleć o zagrożeniu.

Bomba.

Skoczył za niski murek. Kiedy padał na podłogę, bomba eksplodowała. Huk był głośny jak grzmot w jaskini i Painter ogłuchł. Po chwili jednak znowu zaczął słyszeć.

Wszędzie rozlegały się wrzaski, jęki i rozpaczliwe okrzyki.

Painter podniósł się, ale nie do końca – murek nadal go chronił. Hotelowy hol wypełniał dym, przez który miejscami przeświecały płomienie. Wybuch osmalił duży kawał podłogi. Ciało Antonia zamieniło się w poszarpaną krwawą masę. Gorące powietrze było przesycone kłującą płucą chemią.

Termit i biały fosfor.

Painter zakaszał i rozejrzał się po holu. Sądząc po pozycji bełtu w ciele zabitego, musiano go wystrzelić z wnętrza hotelu, nieco z lewej strony. Kiedy Painter tam spojrział, zobaczył dwie zamaskowane postacie, biegnące przez kłębiący się na schodach dym. Trzeci zamaskowany mężczyzna wpadł przez frontowe drzwi.

Wszyscy kierowali się w stronę baru Limelight.

Zamierzali zaatakować senatora.

Godz. 0. 04

Monk stał w otwartych drzwiach. Za progiem ciągnął się długi korytarz, w którym zaczęły zapalać się światła.

–Jeden rzut okiem i spadamy stąd – powiedział szeptem.

Creed czekał, aż jego partner przejmie prowadzenie, po czym ruszył za nim.

W połowie korytarza po lewej i prawej stronie znajdowały się podwójne drzwi. Monk podszedł do nich. Wszędzie pachniało środkami dezynfekującymi. Wrażenie szpitalnej sterylności potęgowały jeszcze gładkie, puste ściany i linoleum na podłodze.

Monk zdziwił się, że w korytarzu nie ma kamer. Najwyraźniej firma w pełni ufała środkom ostrożności, jakie zastosowano przy wejściu.

Podobnie jak poprzednie także i te drzwi otwierały się na dotyk dłoni. Prawdopodobnie Ivar Karlsen miał dostęp do każdego pomieszczenia w tym budynku.

Zamek trzasnął i zapadki odskoczyły.

Gdy przeszli przez drzwi, znaleźli się w przeszklonym przedsionku, zakończonym kolejnymi drzwiami, za którymi widać było wielką podłużną halę. Po chwili zaczęły się w niej zapalać lekko przyciemnione światła.

Kiedy spróbowali otworzyć drzwi, okazało się, że nie są zamknięte. Najwyraźniej nie służyły do tego, aby powstrzymać tych, którzy chcieliby wejść, ale do zatrzymania lokatorów pomieszczenia.

Weszli do środka.

Obie ściany wielkiej hali były od podłogi do sufitu oszklone. Spoza nich dobiegało ciche buczenie przypominające nieco sygnał, jaki wydaje radio, kiedy sygnał zgubi się między dwoma stacjami.

Creed szedł tuż za Monkiem.

–Czy to...

Monk kiwnął głową.

–Pszczele ule.

Za szklanymi szybami kłębiła się gęsta masa pszczół – ich skrzydełka zdawały się wirować, korpusy tańczyć. W sięgających do samego sufitu specjalnych stelażach stały plastry miodu. Ule podzielone były na sekcje, a każdą „pasiekę” oznakowano kodem. Każdy z nich zaczynał się od tych samych trzech liter: IMD.

Nie wiadomo było, do czego służyła ta pszczela hodowla, musiała mieć jednak jakieś naukowe przeznaczenie.

Chyba że Ivar Karlsen miał bzika na punkcie świeżego miodu.

Kiedy podeszli do najbliższego ula, buczenie się nasiliło, jakby obecność ludzi zdenerwowała pszczoły. A może pobudziły je światła.

–Wyglądają jak pszczoły środkowoafrykańskie – stwierdził Creed. – I chyba są tak samo agresywne.

–Mało mnie obchodzi, skąd pochodzą. Co Viatus z nimi robi?

I czemu zastosowano takie zabezpieczenia?

Creed wyciągnął rękę w stronę szufladki umieszczonej w okienku ula.

–Ostrożnie – ostrzegł go Monk.

Chłopak wzruszył ramionami i wyciągnął szufladkę.

–Nie martw się. Pracowałem z pszczołami na farmie rodziców w Ohio.

W szufladce znajdowało się małe, szczelnie zamknięte pudełeczko, którego jedna ścianka była zrobiona z gęstej siatki. W środku znajdowała się wielka pszczoła.

–To królowa – wyjaśnił Creed.

Pszczoły za szklanymi ścianami zaczęły jeszcze bardziej szaleć.

Monk zauważył, że pudełko zostało oznakowane tak samo jak ul, w którym się znajdowało. Kiedy Creed wsunął szufladkę na miejsce, Monk wyjął małą, przypominającą długopis cyfrową kamerę. Musiał sfilmować ule i umieszczone na nich kody.

Nie mogli zrobić nic więcej. Monk spojrział na zegarek – sprawdzał, czy przed pójściem do serwerowni zdążą jeszcze rzucić okiem na pomieszczenia znajdujące się po drugiej stronie holu wejściowego.

–Idziemy – zakomenderował i ruszył do wyjścia.

Przyłożył swoją protetyczną dłoń do czytnika na drzwiach po drugiej stronie holu i po chwili weszli do przedsionka – takiego samego jak przedsionek laboratorium, w którym przed

chwilą byli. Na jednej z jego ścian wisały maski tlenowe. W znajdującej się za nim wielkiej, długiej sali, tak jak poprzednio zaczęły zapalać się światła.

Nie było tu jednak pszczół.

Wzdłuż całego pomieszczenia biegły cztery metalowe rynny umieszczone na wysokości metra nad podłogą. Nawet od wejścia można było dostrzec las wyrastających z pożywki w rynnach mięsistych małych główek.

–Grzyby... – mruknął Creed.

Drzwi otworzyły się z cichym sykiem i Monk wszedł do środka. Ciśnienie wewnątrz i na zewnątrz było tak ustawione, aby podczas otwierania drzwi powietrze nie wypływało na zewnątrz.

Natychmiast stało się jasne, czemu zastosowano takie środki ostrożności.

Monk zakrył nos i usta.

Powietrze w sali było gorące i przesycone wonią słonej wody, gnijącej ryby i psującego się mięsa. Monk najchętniej odwróciłby się na pięcie i uciekł, ale pamiętał, co mu powiedział Painter po swojej rozmowie z Grayem.

O grzybach znalezionych w torfowych mumiach.

Nie mógł to być zwykły zbieg okoliczności.

Ponownie wyjął kamerę. Creed podszedł do niego i podał mu maskę tlenową. Monk natychmiast założył ją na twarz.

Filtr w masce zredukował nieco smród. Monk podszedł do najbliższej rynny. Grzyby wyrastały z oleistego czarnego podłoża.

Creed wciągnął lateksowe rękawiczki i dołączył do Monka. W ręku trzymał jeszcze jedną rękawiczkę.

–Powinniśmy wziąć próbki – oświadczył.

Monk kiwnął głową i zabrał się do filmowania.

Chłopak sięgnął po jeden z grzybów, złapał go delikatnie u podstawy i wyciągnął. Udało mu się to bez trudu, ale razem z grzybem wyciągnął coś mięsistego, przyczepionego u dołu. Creed wzdrygnął się i wypuścił próbkę z ręki. Grzyb upadł na mokre podłoże, wstrząsając jego powierzchnią jak ledwie ściętą żelatyną.

Monk pochylił się i przyjrzał uważnie wnętrzu rynny.

Wypełniała ją lekko skrzepła krew.

–Widziałeś? – spytał Creed.

Monk jeszcze raz spojrział na przyczepioną do wyciągniętego przez chłopaka grzyba ciemną grudę. Była to nerka – sądząc po wielkości, prawdopodobnie ludzka.

Dał Creedowi znak, żeby skończył to, co zaczął.

Cały czas filmując, szedł wzdłuż plantacji grzybów. Najmniejsze rosły przy wejściu – były niewielkie i zupełnie białe – jednak dalej robiły się większe i zmieniały barwę na ciemną czerwień.

Między grzybami wystawały gdzieś tam brązowe łodygi. Kiedy Monk podszedł bliżej, aby je sfilmować, stwierdził z przerażeniem, że to nie łodygi, ale ludzkie palce.

Chwycił jeden z nich i kiedy pociągnął go w górę, nad powierzchnią pożywki pojawiła się dłoń. Podniósł palec jeszcze wyżej – za dłonią ukazało się przedramię. Na całej jego powierzchni rosły grzyby.

Monk powoli opuścił kończynę. Nie musiał widzieć więcej: w rynnach, zalane skrzepłą krwią, leżały całe ciała, stanowiąc pożywkę dla grzybów.

Skóra ramienia, które wyciągnął, była ciemna. Czyżby na afrykańskiej farmie, którą zniszczono i spalono podczas ataku, zbierano nie tylko kukurydzę?

Monk podszedł szybko do końca rynny. Rosnące tu grzyby były najbardziej dojrzałe – miały grube nogi i mięsiste żebrowane główki.

Dźgnął palcem protetycznej dłoni jeden z grzybów. Kiedy to zrobił, jego główka natychmiast się skurczyła i z otworu na jej szczycie wystrzeliła chmura gęstego pyłu.

Zarodniki.

Monk cofnął się szybko. Nie miał ochoty wdychać zarodników tych przedziwnych grzybów. Jak to dobrze, że mieli na twarzach maski...

Jakby otwarcie się pierwszego grzyba było sygnałem, zaczęły wybuchać następne.

Monk odwrócił się i zaczął uciekać, ścigany przez coraz gęstszą chmurę zarodników.

–Musimy stąd wiać! – krzyknął do swojego towarzysza.

Creed właśnie wrzucił próbkę do lateksowej rękawiczki i zawiązywał ją. Ze zdziwieniem popatrzył na Monka, ale kiedy eksplodowały kolejne grzyby, natychmiast zrozumiał powagę sytuacji.

Musieli jak najszybciej wydostać się do holu.

W suficie – prawdopodobnie uruchomione przez bioczujnik – włączyły się wentylatory. Z góry trysnęła piana, zalała podłogę i zaczęła puchnąć. Monk przebiegł pod jedną z dysz, poślizgnął się i ledwie udało mu się złapać równowagę.

Kiedy dobiegł do Creeda, piana sięgała mu już do pasa.

–Uciekajmy! – wrzasnął i wskazał drzwi.

Przeszli szybko do przedsionka. Był aż po sufit wypełniony pianą i musieli przebijać się na ślepo.

Monk pierwszy dotarł do wyjścia na korytarz.

Nacisnął klamkę i pchnął drzwi barkiem. Nie chciały się otworzyć. Pchał raz za razem, ale drzwi nie puszczały. Zostali zamknięci.

Godz. 00. 08

Nie zwracając uwagi na wypełniający hol dym, Painter przeskoczył przez murek. Po podłodze nadal pełzały płomienie, a marmur był śliski od krwi. Dyrektor Sigmy trzymał pistolet gotowy do strzału i skradał się w stronę zamaskowanego napastnika, który przed chwilą wszedł do środka głównym wejściem. Wpatrzony w drzwi baru zabójca w ogóle go nie zauważył. Painter strzelił mu prosto w pierś.

Mężczyzna zawirował wokół własnej osi, rozpryskując krew.

Jeden mniej.

Ludzie znowu zaczęli wrzeszczeć, uciekać na ulicę i chować się za meblami. Painter przebiegł przez pusty hol.

Przy wejściu do baru Limelight za dużą paprocią zajął pozycję ochroniarz senatora i wyciągał przed siebie trzymany oburącz pistolet. Nie było to najlepsze miejsce – pozostali dwaj napastnicy już go namierzyli.

Po chwili liście rośliny poszarpała seria z broni maszynowej i ochroniarz upadł na podłogę jak zepsuta lalka. Painter ani na ułamek sekundy nie zwolnił kroku. Kiedy dobiegł do stojącego przy drzwiach baru fotela, skoczył głową naprzód w pustą przestrzeń. Wylądował na jednej ze skórzanych kanap, przetoczył się przez bark i stanął.

Miał tylko kilka sekund.

Powietrze rozerwała kaskada pocisków z broni maszynowej. Kule posiekały ścianę za kontuarem, rozwalając po drodze butelki i lustra.

Painter rozejrzał się szybko.

Senatora nigdzie nie było widać.

Ochroniarz na pewno nie zostawił go na otwartej przestrzeni. Jeśli nie liczyć drzwi od frontu, z baru można było wyjść tylko do znajdującej się w głębi łazienki. Painter pobiegł w tamtą stronę i wpadł do środka. Tuż nad uchem śmignęła mu kula. Strzelono z łazienki.

Przy umywalce stał senator Gorman i celował do niego z trzymanego oburącz pistolem.

Painter szybko uniósł ręce.

–Jestem człowiekiem generała Metcalfa! – zawołał.

Gorman opuścił broń, na jego twarzy pojawiła się ulga.

–To pan jest tym śledczym z departamentu?

–Musimy uciekać!

–A co z Samuelsem? – spytał senator, patrząc na drzwi.

Painter domyślił się, że mówi o swoim ochroniarzu.

–Nie żyje, senatorze – odparł i podszedł do okna w głębi łazienki.

–Nie da się nim wejść ani wyjść – powiedział Gorman. – Sprawdziłem.

Painter podniósł do góry przesuwane okienko, za którym była krata. Kiedy pchnął ją dłonią, odchyliła się lekko. Zanim przyszedł na to spotkanie, usunął rygle.

Zawsze należy przygotować sobie awaryjne wyjście.

–Wychodzimy – zakomenderował i podstawił senatorowi kolano.

Gorman wspiął się na nie i zaczął wysuwać się na zewnątrz.

Pchając go, Painter usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Spojrzał za siebie – w drzwiach łazienki tkwiła krótka stalowa strzała.

Cholera...

Wypchnął senatora przez okno i natychmiast ruszył za nim. Dostał w oko włoskim mokasynem Gormana, ale było to nic w porównaniu z eksplozją, jaka w tym momencie nastąpiła.

Buchnęły płomienie i dym. Uderzyła w nich fala gorąca.

Kiedy płomienie się uspokoiły, Painter podskoczył do okienka, zamknął je i z powrotem zasunął kratę.

Niech się zastanawiają, któredy ich zwierzyna uciekła.

Może przeszukiwanie hotelu podaruje im kilka cennych minut.

–Mam dwie ulice stąd samochód – powiedział do senatora i obaj ruszyli biegiem.

Gorman ciężko dyszał i trzymał się za stłuczony bark. Po chwili stanął.

–Kim pan do cholery jest?

–Zwykłym pionkiem z cywilnych służb – odparł Painter, po czym przycisnął mikrofon do szyi i uaktywnił go. – Monk, jak wam idzie? – zapytał.

Monk usłyszał coś w słuchawkach, ale kiedy ściągnął maskę, tylko nałykał się piany. Wciąż pchał drzwi, mając nadzieję, że jakimś cudem się otworzą. Musiały się zablokować w chwili, gdy automat zaczął puszczać pianę.

Może było stąd jakieś inne wyjście?

Zanim zdążył się ruszyć, z sufitu trysnęła gorąca woda i piana zaczęła się rozpuszczać. Trwało to jakieś pół minuty.

Monk popatrzył na Creeda, który wyglądał jak zmokły pies. Oczy chłopaka były pełne przerażenia.

–To pianka chroniąca przed zagrożeniem biologicznym – wyjaśnił mu. – Używana do wiązania unoszących się w powietrzu patogenów. Nic nam nie będzie.

Jakby dla potwierdzenia jego słów zamek w drzwiach szczęknął. Musiał być nastawiony na cykl sterylizacji. Monk nacisnął klamkę i wyszli na zewnątrz.

Z holu dolatywały czyjeś głosy. Przy windach, dobrze widocznych z miejsca, w którym stali, ktoś mówił coś po norwesku. Na rękawach miał naszywki ochroniarza.

Najwyraźniej włączenie się czujników zaalarmowało strażników.

Monk zamarł.

Nie mogli wrócić do laboratorium z grzybami, bo właśnie tam skierują pierwsze kroki ochroniarze. Pozostawało im tylko jedno wyjście.

Przeszedł szybko przez hol i przyłożył protetyczną dłoń do czytnika obok najbliższych drzwi. Kiedy skaner sprawdzał linie dłoni, Monk wstrzymał oddech i modlił się, aby żaden ze stojących przy windach mężczyzn nie odwrócił się w jego stronę.

Wreszcie zamek puścił.

Monk z westchnieniem ulgi pchnął drzwi i weszli do środka. Nie zamknęli całkowicie drzwi – zostawili małą szparę, aby móc przez nią obserwować hol.

Do czwórki ochroniarzy dołączył technik w białym laboratoryjnym kitlu. Wyglądał, jakby właśnie się obudził. Najwyraźniej wstęp na ten poziom mieli tylko wtajemniczeni.

Monk pozwolił drzwiom jeszcze bardziej się zamknąć, przykucnął jednak, aby słyszeć, co się za nimi dzieje. Drzwi do drugiego laboratorium otworzyły się, ale nie wszyscy mężczyźni weszli do środka – trzech ochroniarzy zostało w holu.

Co teraz? – zastanawiał się gorączkowo Monk.

–Odejdź od drzwi – powiedział stojący za jego plecami Creed.

Odwrócił się. Jego partner zdjął kurtkę i zamienił ją na kitel laboratoryjny. Jakimś sposobem zdążył podsuszyć włosy i uczesał je palcami.

Kazał Monkowi pilnować drzwi pierwszego laboratorium, a sam wszedł do środka, do pomieszczenia o szklanych ścianach.

–Co chcesz zrobić? – spytał Monk.

Creed odsunął się na bok. Za wewnętrznymi drzwiami kłębiły się pszczoły.

–Co robisz? – spytał ponownie Monk.

Creed uniósł rękę. Trzymał w niej pudełko z siatkową ścianką.

–Ukradłem królową – odparł. – I otworzyłem ul.

Monk zmarszczył czoło. Z jednego z uli, z miejsca, w którym wcześniej znajdowała się szufladka, wylatywała gęsta kolumna pszczół.

–Po co?

Pszczoły zbijały się za drzwiami w coraz gęstsza chmarę.

–To na pewno pszczoły środkowoafrykańskie – powiedział Creed, patrząc na królową. – Bardzo agresywne.

–No dobrze, ale...

–Zrobiłem to, żebyśmy mogli się stąd wydostać. – Creed wskazał wewnętrzne drzwi przedsionka. – Kiedy powiem: „teraz!”, otwórz je, ale się zza nich nie wychylaj.

Monk, który wreszcie zrozumiał, o co chodzi, szybko zamienił się z nim miejscami i podszedł do wewnętrznych drzwi przedsionka. Creed zajął miejsce przy drzwiach prowadzących do holu i obserwował wciąż powiększającą się chmarę pszczół.

Szukające swojej królowej owady uderzały o drzwi przedsionka, próbując się wydostać na zewnątrz. Ich bzyczenie było tak głośne, że Monk czuł mrowienie na całej skórze.

Jego partner jeszcze czekał. Postawił pudełko z królową na podłodze. W przedsionku zrobiło się ciemno, bo chmara pszczół zasłaniała światło.

–Bądź gotów – powiedział po chwili Creed i wyprostował się.

Monk złapał za klamkę wewnętrznych drzwi.

Chłopak po raz ostatni przeciągnął palcami przez włosy i wyszedł do holu. Monk nic nie widział, ale usłyszał okrzyki zaskoczenia.

Creed warknął coś po norwesku do ochroniarzy.

Zanim mężczyźni zdążyli zdecydować, czy człowiek w laboratoryjnym kitlu stanowi zagrożenie, czy nie, chłopak szybkim ruchem nogi pchnął w ich stronę pudełko z królową.

–Teraz! – krzyknął.

Monk jednym szarpnięciem otworzył swoje drzwi i schował się za nimi.

Chmara pszczoł natychmiast wleciała do przedsionka.

Creed cofnął się i do końca otworzył drzwi prowadzące do holu. Rój wystrzelił szeroką falą w stronę królowej. Jeden z ochroniarzy strzelił w panice.

Był to błąd.

Pszczoły środkowoafrykańskie są bardzo wrażliwe na głośne dźwięki.

Wszyscy ochroniarze zaczęli krzyczeć, jeszcze bardziej pogarszając sytuację.

Creed złapał Monka za rękaw i wybiegli do holu. Nie musieli się już kryć. Ochroniarze wili się pośrodku wirującego wściekle roju pszczoł, grubą warstwą pokrywającego ich ciała.

Monk i Creed ruszyli w stronę wind.

Kilka pszczoł rzuciło się za nimi w pogoń i Monk został kilka razy użądłony, ale większość owadów pozostała przy królowej. Długonogi Creed pierwszy dotarł do wind i wcisnął centralny klawisz.

Drzwi natychmiast się otworzyły – kabina przez cały czas stała na ich poziomie. Wbiegli do środka. Nie mieli już czasu na podłączanie się do serwerów, więc Monk wduśił przycisk parteru. Creed nie protestował.

Kiedy jechali w górę, Monk spojrzał na niego.

–Dobra robota, dzieciaku.

–Naprawdę? To dlaczego w dalszym ciągu jestem dzieciakiem?

Monk wzruszył ramionami. Nie chciał, żeby sukces uderzył młodemu do głowy. Gdy wysiedli z windy i wychodzili z budynku, usłyszał wściekły szept:

–Monk, zgłoś się!

Włączył mikrofon na szyi.

–Właśnie wychodzimy – powiedział.

–A wasze zadanie?

–Mieliśmy małe kłopoty z pszczołami.

–Z pszczołami?

–Wyjaśnię wszystko później. Spotykamy się w hotelu?

–Nie. Mam towarzystwo.

Towarzystwo?

–Nastąpiła mała zmiana planów – dodał Painter. – W Oslo zrobiło się zbyt gorąco, więc przenosimy się do chłodniejszego miejsca.

Przemoczony Monk czuł przenikające go do szpiku kości zimno. Miał się przenieść do miejsca, w którym będzie jeszcze zimniej?

Idąc przez kampus Viatusa, pomyślał o Grayu, siedzącym w ciepłej chacie przy buzującym piecyku. Farciarz.

13 października, godz. 00. 22

Kraina Jezior, Anglia

Kiedy las się zapalił, Gray natychmiast pobiegł do swojego ogiera.

Błyskawicznie osiodłali konie – nie mieli chwili do stracenia.

Po pierwszej burzy ognia płomienie nieco przygasły, ale całą dolinę przykrywała warstwa gęstego dymu, zasłaniająca gwiazdy. W miejscu, gdzie zapalił się las, widać było pojedynczy ognisty krąg – reszta zaśnieżonych drzew jak na razie opierała się ogniowi.

Nie oznaczało to jednak, że byli bezpieczni.

–Musimy stąd uciekać – powiedział Gray.

Liczyła się każda sekunda, bo groziło im coś znacznie bardziej podstępnego: pod ziemią rozprzestrzenił się pożar torfu, płomienie rozchodziły się ognistymi kanałami po coraz głębszych pokładach. Choć las wciąż pozostawał mroczny, kryła się pod nim szalejąca pożoga.

Wallace oceniał, że ogień strawi dolinę w kilkadziesiąt minut. Żadna pomoc nie dotarłaby na czas. Gray przez telefon satelitarny skontaktował się z Painterem, żeby przedstawić mu sytuację i podać współrzędne GPS, ale dyrektor również przyznawał, że nie da się zorganizować pomocy z powietrza na tyle szybko, aby ich zdążyć ewakuować.

Byli pozostawieni sami sobie.

Kiedy Gray wskakiwał na siodło, przewrócił się jeden z głazów kamiennego kręgu – znajdujący się pod nim torf musiał się wypalić i w ziemi powstała dziura. Gdy kamień uderzył w grunt, wystrzeliły z niego płomienie. Po chwili kolejne kamienie również zaczęły się przewracać, a kilka zapadło się pod ziemię.

Nie był to ogień naturalnego pochodzenia.

Ktoś podpalił pokłady torfu, aby zniszczyć stanowisko archeologiczne i pozbyć się obozujących przy nim ludzi.

Rachele szła obok Graya, prowadząc swoją klacz za wodze. Zwierzę rzucało łbem i przewracało oczami, bliskie paniki. Dziewczyna również była przerażona.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z zagrożenia.

Kiedy wybuchł ogień, jeden z koni wyrwał się z zagrody i pognął do lasu. Kilka chwil później

usłyszeli odgłos zapadającego się gruntu, buchnęły płomienie i noc przeszło przerażające przedśmiertne rzenie.

Gray popatrzył na jeden z przewróconych głazów kamiennego kręgu, który powoli zapadał się pod ziemię. Nie wolno im zapominać, że wystarczy jeden niewłaściwy krok i skończą jak koń, który spanikował.

Podeszła do niego Seichan. To właśnie jej koń spanikował i zginął w lesie. Gray pochylił się, złapał ją za przedramię i wciągnął na siodło za sobą.

–Ruszamy! – zawołał i wskazał najciemniejsze miejsce lasu, gdzie nie było widać płomieni. Musieli przebić się przez otaczający ich ogień i uciec w góry.

Gray prowadził, obok niego jechał Wallace.

Przed nimi truchtał Rufus.

–Na pewno znajdzie dla nas bezpieczną drogę – powiedział doktor, którego twarz przybrała barwę popiołu. – Najpierw pali się najdojrzalszy torf. Może jego nos wychwyci to, czego my nie jesteśmy w stanie dostrzec.

Gray miał nadzieję, że Wallace się nie myli, ale cała dolina śmierdziała palącym się torfem – mała szansa, żeby pies potrafił rozróżnić różne rodzaje dymu. Nie mieli jednak wyboru.

Ale może pies rzeczywiście coś wyczuwał, bo szedł przez las zygzakiem, co chwila się zatrzymywał i wybierał nową drogę.

Gray przez cały czas jechał bardzo powoli, starając się zachować maksymalną ostrożność. Rufus przebiegł przez kawałek zaśnieżonej płaszczyzny i spokojnie ruszył dalej. Trudno było sobie wyobrazić, aby tak zimnej nocy, pod pokrytą śniegiem i lodem ziemią mogło szaleć piekło.

Dopiero przebiegający obok jeleni przypomnieli wszystkim o niebezpieczeństwie. Przestraszone zwierzę przeskoczyło ścieżkę przed nimi i pomknęło między drzewa, ale kiedy wpadło w zasypane śniegiem zagłębienie, ziemia ustąpiła i tylne nogi jelenia znalazły się w słupie ognia i popiołu. Zwierzę wyciągnęło szyję w milczącej agonii i zapadło się pod śnieg. W górę wystrzeliła kolumna dymu, a fala gorąca odepchnęła na chwilę lodowate powietrze.

–Niech mnie cholera... – wymamrotał Kowalski.

Seichan mocniej zacisnęła ręce wokół pasa Graya.

Każde zapalające się w zadymionym lesie drzewo natychmiast zamieniało się w kolejny słup ognia. Jedną z takich pochodni – stary, noszący ślady uderzenia pioruna dąb –

musieli ominąć szerokim łukiem. Płomienie tańczyły na ośnieżonych gałęziach, ostrzegając o

czającym się pod korzeniami niebezpieczeństwie.

Nawet Rufus zaczął zwalniać. Często się zatrzymywał, kręcił łbem, węszył i pojękiwał – najwyraźniej tracił pewność siebie. Prowadził ich jednak dalej – choć czasami zawracał, prześlizgując się między nogami koni.

Dotarli do wyschniętego koryta niewielkiej rzeki – był to dość płytki, lecz szeroki i kręty rów. Nic nie wskazywało na to, że może tu być niebezpiecznie, ale pies bał się zejść z brzegu. Zrobił dwa kroki, po czym się wycofał. Wyraźnie coś go niepokoiło. W końcu wrócił do swojego pana. Jego ciche pojękiwanie zamieniło się w pełne strachu skomlenie.

Gray uniósł się w siodle i rozejrzał. Ogień coraz gwałtowniej wydostawał się na powierzchnię. Niedaleko nich przewróciła się wielka sosna, przygniatając mniejsze drzewa. Buchnęła spod niej spirala ognia. Inne drzewa spotykał taki sam los. Całe fragmenty lasu zapadały się w płonące torfowisko – pozbawione korzeni, przewracały się albo znikaly w ziemi, która zamieniła się w popiół.

Im dłużej będą czekać, tym większe będzie im grozić niebezpieczeństwo. Musieli jechać dalej i jak najszybciej dotrzeć do wzgórz.

–Chodź, stary draniu – zachęcał doktor Rufusa. – Poradzisz sobie. Znajdź drogę do domu.

Pies popatrzył na niego, a potem na wyschnięte koryto rzeki. Zadrzał i usiadł na ziemi. Był to jednoznaczny komunikat – nie ma tu bezpiecznego przejścia.

Gray zsiadł i podał wodze Seichan.

–Zaczekajcie tutaj – powiedział.

–Co chcesz zrobić? – spytała Rachele.

Gray nie odpowiedział, tylko podszedł do leżącego obok ścieżki porośniętego mchem kamienia. Musiał sprawdzić ocenę psa. Wyszarpnął kamień z ziemi i cisnął go do dawnego koryta rzeki. Pocisk wylądował pośrodku zagłębienia i zapadł się pod ziemię. W górę natychmiast wystrzeliły płomienie, a śnieg wokół dziury rozpuścił się i zagotował z sykiem.

Po chwili dziura zaczęła się powiększać i na boki rozeszły się ogniste macki. Kiedy do ognia dopłynęła dodatkowa porcja tlenu, podziemne inferno rozszalało się na dobre. Wystrzeliły kolejne ognie, buchnęły kłęby pary i ogniste eksplozje pomknęły wzdłuż dawnego koryta.

–Musiałeś to zrobić? – jęknął Kowalski. – Nie mogłeś zostawić tego w spokoju?

Gray znalazł następny kamień i przerzucił go na przeciwległy brzeg, oddalony od nich o jakieś osiem metrów. Kamień wylądował z głuchym odgłosem na ziemi, wbijając się w darń i śnieg.

– Tam jest jeszcze twardo – stwierdził Gray. – Jeśli uda nam się dotrzeć na drugą stronę... – Odwrócił się do Wallace. – Czy te kuce dobrze skaczą?

Doktor przyjrzał się płonącemu korytu rzeczki.

– Bardzo dobrze, ale to spora odległość...

– Chyba nie mamy wyboru – mruknął Kowalski.

Za ich plecami zapadło się pod ziemię kolejne drzewo.

– To prawda – przyznał Wallace.

– Jadę pierwszy – powiedział Gray.

Szybko wrócił do swojego konia i wyciągnął rękę, aby pomóc Seichan zsiąść.

– Jadę z tobą – oświadczyła.

– Nie. Podwójny ciężar tylko utrudni...

– Widzisz tu gdzieś jakieś wolne konie? Muszę z kimś jechać. A twój ogier jest największy i najsilniejszy.

Wskoczył na siodło. Wszyscy się odsunęli, aby mógł się cofnąć i dobrze rozpędzić.

– Trzymaj się mocno – powiedział do Seichan.

Objęła go i przycisnęła policzek do jego pleców.

– Ruszaj... – szepnęła.

Pochylił się w siodle, spiął konia i szarpnął wodze.

Ogier, jakby doskonale wiedział, czego jeździec od niego oczekuje, wystrzelił do przodu niczym armatni pocisk. Oddychał szybko, pozostawiając za sobą chmurki pary. Dochodząc do maksymalnej prędkości, wyciągnął szyję i w tym samym momencie jego przednie kopyta dotknęły brzegu rzeczki.

Napinając wszystkie mięśnie, skoczył wysoko. Gray poczuł, że unosi się nad siodłem razem z trzymającą się jego pleców Seichan. Kiedy znaleźli się nad ogniem, buchnęła na nich fala gorąca.

Po sekundzie wylądowali na przeciwległym brzegu.

Gray opadł na siodło, mocno wpierając nogi w strzemiona. Ogier przebiegł jeszcze kilka

kroków, zanim wyhamował. Gray ściągnął wodze i wraz z koniem odwrócił się w stronę koryta rzeczki.

Seichan przez cały czas trzymała się jego pleców jak przyklejona.

Spojrzał na płonące koryto rzeczki i odetchnął z ulgą.

–Udało się nam... – mruknął.

Dał pozostałym znak ręką, aby zrobili to samo, co on przed chwilą.

Zaczęli szykować się do skoku.

Wallace pokonał przeszkodę z Rufusem na kolanach. Gray był pełen podziwu dla niego – starszy pan potrafił doskonale jeździć konno.

Następna była Rachele. Cofnęła swoją klacz i wzięła szybki, płynny rozbieg. Gray może i miał największego konia, ale jej był najszybszy.

Wszystko szło dobrze aż do momentu odbicia się od brzegu.

Kiedy ziemia na krawędzi koryta się obsunęła, jedno z przednich kopyt klaczy zjechało w dół.

Widać było, że Rachele będzie miała kłopoty. Skok był za niski, w dodatku ciało zwierzęcia przekręciło się w powietrzu w bok.

Nie pokonają tej przeszkody.

Rachele ze wszystkich sił walczyła o utrzymanie się w siodle. Gdy klacz skoczyła, mocno ścisnęła uda, ściągnęła wodze i pochyliła się nisko nad łękiem siodła.

Z przerażeniem patrzyła na rozpalone koryto pod sobą. Nie miała szans dotrzeć na drugi brzeg – koń już opadał na ziemię. Czowała narastające wokół gorąco.

Po chwili przednie kopyta klaczy uderzyły w brzeg po drugiej stronie i oparły się na twardym gruncie, ale tylne nadal znajdowały się nad kipiącą rzeką ognia.

Impet skoku sprawił, że Rachele wypuściła wodze, jej stopy wysunęły się ze strzemion i zaczęła zsuwać się do tyłu, w stronę ognia.

Nieszczęsna klacz rżała rozpaczliwie i próbowała wspiąć się na bezpieczny brzeg, jednak wciąż się obsuwała.

Rachele złapała za krawędź siodła. Ogień ogarniał już podeszwy jej butów, a wierzgająca klacz mogła ją lada chwila zrzucić.

–Trzymaj się! – zawołał ktoś z brzegu.

Rachele uniosła głowę i zobaczyła Seichan, która zanurkowała ku niej i chwyciła wodze konia. Stojący po drugiej stronie Gray próbował złapać za uzdę.

Usiłowali wspólnie powstrzymać klacz przed przewróceniem się na bok.

Seichan owinęła wodze wokół dłoni i odchyliła się do tyłu, wbijając pięty w ziemię. Kiedy klacz potrząsnęła łbem i zarżała, uzda wyślizgnęła się Grayowi z ręki. Skoczył do przodu, aby znowu ją złapać.

–Pospiesz się! – krzyknęła do niego Seichan, którą koń zaczął ściągać ku rzece ognia.

Rachele musiała wyteńczyć wszystkie siły, aby utrzymać się w siodle. Czując, że ogień ogarnia jej nogi, była przekonana, że spodnie już się zapaliły. Nagle na jej nadgarstku zacisnęły się czyjeś palce. Były to palce Graya, który połową ciała leżał na kłębie konia i jedną ręką trzymał łęk siodła, a drugą próbował wyciągnąć Rachele z siodła. Kiedy mu się to w końcu udało, wysapał:

–Wejdz na mnie!

Złapała go oburącz za kurtkę i wspięła na niego, odsuwając się od rzeki ognia. Po chwili stoczyła się z Graya i wylądowała na kolanach i dłoniach w śniegu.

Gray odsunął się od klaczy i również opadł na ziemię, zaraz jednak wstał, złapał Rachele pod pachy i przeciągnął wyżej na brzeg. Oboje ciężko upadli na śnieg. Dziewczyna objęła Graya i zaczęła łkać.

W tym samym momencie za ich plecami rozległ się wystrzał z broni palnej.

Kiedy Rachele odwróciła głowę, ujrzała Seichan z dymiącym pistoletem w dłoni. Klacz, której cierpienia skróciła, ześlizgiwała się w rzekę ognia.

Trzymając oburącz pistolet, Seichan osunęła się na śnieg.

*** * ***

Niech to cholera...

Były marynarz, który wciąż jeszcze znajdował się po zagrożonej stronie koryta rzeki, dobrze widział, co się stało z klaczą Rachele. Czy i jego konia czekał ten sam los? Wałach, który mu przypadł w udziale, nie był tak wysoki i silny jak ogier Graya i nawet w połowie nie tak szybki jak klacz Rachele. Poza tym nie miał jaj, co według Kowalskiego też nie najlepiej rokowało.

Przycisnął dłoń do brzucha. Chyba powinienem podjąć dietę, do której namawiała mnie Liz, pomyślał.

–Na co czekasz? – zawołał z drugiego brzegu Gray.

Kowalski pokazał mu wyciągnięty palec, a potem poklepał swojego konia po szyi.

–Uda ci się... prawda?

Przerażone zwierzę potrząsnęło łbem i przewróciło oczami.

Wielkolud cofnął się – nieco dalej niż jego poprzednicy – aby jak najlepiej wykorzystać swoją szansę. Wahał się jednak. Koń również nie wyglądał na zdecydowanego. Nerwowo drobił nogami, nie chciał się ustawić do skoku. Obaj – człowiek i zwierzę – mieli tyle samo do stracenia.

Tuż za nimi eksplodowała sosna. W niebo wystrzeliły płonące gałęzie, grudki żaru opryskały plecy jeźdźca i zad konia.

Wałach skoczył do przodu jak dźgnięty i gdyby Kowalski nie stanął w siodle, prawdopodobnie by z niego wypadł. Koń pędził przed siebie, wałąc kopytami o ziemię. Po chwili odbił się od brzegu i wyprysnął do góry, a były marynarz pochylił się i obydwoma rękami mocno objął go za szyję.

Kiedy tylko znaleźli się w powietrzu, brzeg za nimi zawałił się do końca. Natychmiast wystrzeliły z niego płomienie, próbując dosięgnąć jeźdźca.

Kowalski zacisnął powieki. Gorąco wokół było nie do zniesienia.

Wylądowali na przeciwległym brzegu z głośnym tąpnięciem. Chwył Kowalskiego okazał się zbyt słaby i były marynarz wyleciał do przodu jak z katapulty, lądując na stercie śniegu. Leżąc na plecach, zaczął się zastanawiać, czy jest cały. W każdym razie żył.

Podparł się łokciami i wstał. Chwiejnym krokiem podszedł do konia, któremu też jeszcze drżały nogi, objął go za szyję i mocno przytulił. – Kocham cię jak cholera, mój ty bezjajeczny cudzie...

*** * ***

Dwadzieścia minut później grupa Graya wspinała się kamienistą ścieżką w górę doliny. Płomienie rzucały na zbocze tańczące cienie. Cała dolina płonęła.

Seichan jechała za Kowalskim na jego koniu. Rachele, która przesiadła się do Graya, obejmowała go ramionami, a głowę oparła mu na barku. Po swoim niefortunnym skoku nad korytem rzeczki, z którego ledwo uszła z życiem, starała się trzymać jak najbliżej niego, czerpać siłę z jego pewności siebie.

Patrząc na nią, Seichan miała ochotę prychnąć pogardliwie.

Równocześnie jednak gryzło ją coś innego.

Nie mogła nie zauważyć, jak szybko ci dwoje się zgrali, jak łatwo stali się jednością. Kiedy sama przedtem jechała z Grayem, również go obejmowała, czuła zapach jego potu i ciepło ciała, ale to wszystko. Równie dobrze mogła być bagażem.

Z tą dwójką było zupełnie inaczej. Najwyraźniej wzajemne dotykanie się sprawiało obojgu wyraźną przyjemność i robili to odruchowo – teraz też Gray pogłaskał lekko przedramię Rachele, nie odrywając oczu od skalistej ścieżki.

Seichan odwróciła wzrok. Narastała w niej złość – nie na Graya, lecz na samą siebie. Przypomniały jej się słowa Kowalskiego: „Zachowujecie się jak para napalonych uczniów”. Sądziła, że lepiej potrafi ukrywać swoje uczucia, ale w tym równaniu był jeszcze Gray... Czyżby Kowalski miał rację?

Pozwoliła sobie przez chwilę wierzyć, że tak jest naprawdę. Ale tylko przez chwilę. Wystarczyło, że spojrzała na Graya, i ponownie sobie uświadomiła, że nie ma dla nich przyszłości. Dzieląca ich przepaść była zbyt głęboka i szeroka.

A wkrótce poszerzy się i pogłębi jeszcze bardziej.

To, co miało niebawem nastąpić, uczyni z nich śmiertelnych wrogów.

Najwyższy czas przystąpić do realizacji kolejnego punktu planu.

Godz. 2. 07

Kiedy dotarli do błękitnego górskiego jeziora, Gray ogłosił przerwę na odpoczynek i napojenie koni.

Chciał też przy okazji rzucić okiem na poparzenia Rachele. Już wcześniej obłożył jej łydki śniegiem, aby usunąć skumulowane ciepło. Teraz skóra na pewno była mocno zaczerwieniona i pojawiły się na niej bąble.

Zsiedli z koni. Wszyscy byli wykończeni i mieli nerwy napięte jak postronki. Udało im się co prawda pokonać rzekę ognia, jednak przeprawa przez płonące koryto dużo wszystkich kosztowała.

Gdyby Rufus nie pokazał im dalszej drogi...

Wallace wyjął z kieszeni kawałek suszonej kiełbasy i dał go swojemu pupilowi. Pies zasłużył na całe sterty kiełbasy, ale był zachwycony nawet taką małą nagrodą.

Doktor pochylił się i podrapał go po boku.

–Dobry z ciebie chłopak, ty parszywy kundlu – mruknął.

Rufus z zadowoleniem pomachał ogonem.

Kiedy Seichan rzuciła mu kawałek sera, bez wahania przyjął poczęstunek. Chyba zaczynał nabierać do niej zaufania. Dziewczyna podeszła do brzegu jeziora i zatrzymała się, oświetlana odbijającym się od wody światłem księżyca.

Gray spojrział na nią.

Gdy Rachele groziło wypadnięcie z siodła, Seichan jako pierwsza podążyła jej na ratunek. Wyprzedziła nawet jego. A on nawet jej nie podziękował za pomoc.

Oczywiście zrobi to, ale najpierw musiał zająć się kilkoma drobiazgami.

Kowalski rozpalił ognisko – mimo wielu gorących momentów, jakie wcześniej przeżyli, noc była lodowata i ogień bardzo się przydał. Kiedy tylko zapłonął, wszyscy szybko przysunęli się do niego.

Gray przez chwilę grzał dłonie nad płomieniami. Potem ściągnął z ramion plecak, otworzył boczną kieszeń i wyjął z niej telefon satelitarny.

–Dzwonisz do domu? – spytał Kowalski.

–Muszę zdać relację Pointerowi – odparł. – Powinien wiedzieć, że udało nam się uciec z tego piekła.

–Nie sądzę – powiedziała Seichan, która nagle znalazła się za jego plecami.

Celowała do niego z pistoletu.

–Co ty wyprawiasz?

–Daj mi telefon.

–Seichan...

–Nie dyskutuj.

Nie było sensu się z nią spierać – Gray doskonale wiedział, jak sprawnie obchodzi się z bronią. Kiedy rzucił jej aparat, złapała go i wrzuciła do jeziora, nawet na sekundę nie odwracając pistoletu od Graya.

–Czas zejść z widoku – oświadczyła.

Nietrudno było się domyślić, o co jej chodzi. Jeżeli się nie zameldują, Painter Crowe uzna, że nie udało im się uciec z płonącego lasu. Przeczesanie terenu zajmie ekipom ratowniczym tygodnie.

Gray nie bardzo jednak rozumiał, czemu to ma służyć.

Popatrzył na Seichan pytająco.

–Naszym celem jest zdobycie klucza, którego szukał ojciec Giovanni – wyjaśniła. – W przeszłości okazałeś się całkiem dobry w znajdowaniu różnych rzeczy, Pierce. Gildia ma do ciebie pełne zaufanie.

Gray pokręcił głową. Był zły na siebie. Podejrzewał, że Seichan może wykorzystać sytuację, aby powrócić do łask swoich dotychczasowych zleceniodawców – jako ich człowiek albo w roli podwójnej agentki. Tak czy owak, nie podejrzewał, że stanie się to tak szybko, więc stracił czujność. Chodziło jednak także o coś jeszcze – zgotowało się w nim, bo w głębi duszy bardzo chciał Seichan ufać.

–Jak zmusisz nas do współpracy? – spytał z wściekłością. – Nie możesz przez cały czas trzymać nas na muszce.

–To prawda – przyznała, chowając pistolet do kabury.

Zaniepokoiło to Graya znacznie bardziej.

–Właśnie dlatego trułam Rachele – oświadczyła.

Na chwilę zapanowało milczenie.

–Co?! – krzyknęła Rachele, kiedy dotarł do niej sens tych słów.

–W herbacie – dodała Seichan, nie patrząc na nią. Koncentrowała się na Grayu. – To biotoksyna, która zabija w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Objawy będą się nasilać: mdłości, ból głowy, a potem krwawienie.

Rachele potrząsnęła głową.

–Ale przecież uratowałaś mi życie... – wymamrotała.

–Potrzebna jej byłaś żywa – stwierdził Gray.

Seichan wzruszyła ramionami.

–Jest antidotum na tę truciznę... specjalny enzym. Nie ma innego sposobu ratunku. Ale nie wiem, gdzie się to antidotum znajduje ani jak je zdobyć. Dostaniesz ten środek tylko wtedy, jeśli przekażesz nam klucz.

–Nie rozumiem... O jakim kluczu mówisz?

–Tym, którego szukał ojciec Giovanni. Kluczu Dnia Sądu Ostatecznego.

–Przecież nawet nie wiadomo, czy ten klucz w ogóle istnieje – wtrącił Wallace.

–Dla dobra Rachele lepiej byłoby, żeby istniał. Musimy go znaleźć w ciągu trzech dni.

–Jaką mam gwarancję, że dotrzymasz umowy? – spytał Gray.

Seichan przewróciła oczami.

–Naprawdę muszę odpowiadać na to pytanie?

Miała rację. Nie musiała dawać żadnej gwarancji. Nie mieli wyboru.

Kowalski splótł ramiona na piersi i popatrzył na Graya.

–Następnym razem lepiej posłuchaj psa – mruknął.

13 października, godz. 3. 23

Oslo

Krista nie spała.

Sytuacja wydawała się pogarszać z minuty na minutę. Może jednak wszystko skończy się dobrze – wkrótce się tego dowie.

W narzuconym na ramiona włoskim szlafroku z kaszmiru stała przed buzującym w kominku ogniem. Palenisko było tak wysokie, że mogłaby wejść do środka bez schylania się. Palce jej nagich stóp zapadały się w leżące przed kominkiem futro z soboli. Gotyckie okna wychodziły na zaśnieżony podwórzec zaniku Akershus. Światło księżyca oblewało całe pomieszczenie srebrną poświatą, w której odbijały się płomienie.

Kirsta stała pośrodku.

Między ogniem a lodem.

Przez głowę przeniknął jej fragment wiersza Roberta Frosta. Uczyła się go na pamięć w katolickiej szkole dla dziewcząt pod Bostonem, w której nocami odwiedzał ją ojciec, kiedy matka była pijana.

Mówią, że świat zabije ogień, Albo że lód*.

[Przełożył Maciej Froński.]

Kristy nie obchodziło, kto wygra – najważniejsze, aby ona sama znalazła się po stronie zwycięzców. Znowu spojrzała na płomienie, wyobrażając sobie jednocześnie inny ogień. Tuż po północy obserwator przekazał jej najnowsze wiadomości z angielskich gór. Ładunki wybuchły zgodnie z planem, ale ogień wymknął się spod kontroli i stał się naprawdę groźny. Dopiero po kolejnych dwóch godzinach Krista dostała potwierdzenie, że grupie Graya udało się uciec i operacja może być kontynuowana zgodnie z planem.

Gdyby zawiodła...

Przeszył ją zimny dreszcz.

Byłaby to katastrofa, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się w hotelu. Trochę potrwało, zanim udało jej się dowiedzieć, że tajemniczym informatorem senatora jest Antonio Gravel, w dodatku okazał się sprytniejszy, niż się spodziewała. Zaraz po telefonicznym skontaktowaniu się z senatorem zniknął. Nie wrócił do hotelu ani nie pojawił się na konferencji. Zbyt późno dowiedziała się, że lubił młode prostytutki, które nie miały nic przeciwko nieco ostrzejszym

zabawom. Nie mogąc go znaleźć wcześniej, musiała zastawić pułapkę w hotelu. Było to bardziej ryzykowne, niżby sobie życzyła, ale nie miała czasu na subtelności – zamierzała ustrzelić dwa wróble jednym strzałem. Poleciała swoim ludziom, aby zabili Gravela natychmiast po jego pojawieniu się w hotelu, a potem zlikwidowali senatora.

Nie musiała zabijać Gormana – miał zginąć tylko wtedy, gdyby doszło do jego rozmowy z Gravelem, ale Krista nie lubiła niedokończonych wątków. Zwłaszcza jeżeli tymi wątkami byli ludzie, którzy mogli ją rozpoznać. Jason Gorman, zakochany w niej po uszy, na pewno wysłał ojcu zdjęcia swojej nowej dziewczyny.

Nie lubiła być na widoku i nie lubiła się martwić.

Okazało się jednak, że senator uciekł, choć ani ona, ani jej ludzie nie popełnili żadnego błędu. Powiedziano jej, że nie powinna ścigać ciemnowłosego agenta Sigmy. Nie jej wina, że pojawił się w hotelu właśnie w tym momencie.

Mimo to była spięta i czuła, że jest jej zimno, choć stała blisko ognia, a pasek jej szlafroka był mocno zawiązany.

Zawibrował jej telefon. Natychmiast przystawiła go do ucha.

–Słucham.

–Rozumiem, że operacja w Anglii jest kontynuowana zgodnie z planem.

–Oczywiście – odparła z lekką dumą.

–A senator Gorman uciekł.

Słowa te sprawiły, że cała pewność siebie Kirsty pękła jak bańka mydlana.

–Niestety...

Cisza, która zapadła w telefonie, przedłużała się.

Serce Kristy waliło jak młot.

–W takim razie możemy przejść do drugiego etapu planu – oświadczył w końcu jej rozmówca.

Krista odetchnęła z ulgą, ale nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

–Drugiego etapu?

–Trzeba zacząć oczyszczać dom i przygotować się do ostatecznej rozgrywki.

–To znaczy?

–Eszelon przeanalizował wszelkie możliwe scenariusze. Kontynuacja współpracy z Viatusem nie wydaje się już potrzebna. Uważamy, że Ivar Karlsen zaczyna nam przeszkadzać... zwłaszcza teraz, po dziwnych wydarzeniach, jakie miały miejsce minionego wieczoru w jego ośrodku badawczym. Najlepiej będzie wykorzystać go jako kozła ofiarnego, który odwróci od nas uwagę.

Krista poczuła, że odzyskuje pewność siebie.

–Mamy najważniejsze wyniki wszystkich badań – ciągnął głos w aparacie. – To, co rozpoczął Ivar Karlsen, nie może zostać zatrzymane. Posłuży nam z nim albo bez niego.

–Co mam robić?

–Zgodnie z planem będziesz mu towarzyszyć do Svalbardu i czekać na dalsze rozkazy. Podejrzewam, że wyjedzie wcześniej, niż to było zaplanowane.

–Zbliża się kolejna burza. Pewnie wolałby, żeby nie pokrzyżowała mu planów.

–Bardzo mądrze, bo burza na pewno uderzy. – Głos męczyzny w aparacie zaczął odpływać. – Znasz swoje zadanie.

Połączenie zostało przerwane.

Krista wyłączyła telefon i ścisnęła go w dłoniach. Podeszła jeszcze bliżej do ognia, ale nie czuła już ciepła. Stała nieruchomo, ciężko oddychając.

–Wracasz do łóżka? – spytał jakiś głos za jej plecami.

Spojrzała przez ramię. W otwartych drzwiach sypialni stał nagi Ivar Karlsen. Mimo swojego wieku był świetnie zbudowany, miał płaski brzuch i silne nogi. A co ważniejsze – nie musiał dla uzyskania sprawności seksualnej łykać żadnych tabletek.

–Wszystko w porządku? – spytał.

–Nie mogłoby być lepiej.

Odwróciła się do niego. Wrzuciła telefon do kieszeni, rozwiązała kokardę paska i zsunęła szlafrok z ramion. Stała plecami do kominka, czując gorąco buzujących płomieni i chłód zamkowej komnaty.

Tu właśnie było jej miejsce.

Między ogniem a lodem.

CZEŚĆ TRZECIA

ZIARNA ZNISZCZENIA

18

13 października, godz. 8. 43

Strefa powietrzna nad Morzem Norweskim

Słońce stało nisko na niebie, oświetlając poziomymi promieniami pędzący nad kołem podbiegunowym odrzutowiec. W ostatnich miesiącach jesieni tam, dokąd się udawali, nie było zbyt wiele słonecznego światła. Archipelag Svalbard znajduje się w połowie drogi między północnym wybrzeżem Norwegii a biegunem północnym. Ponad połowę tego obszaru pokrywa lodowiec i żyją tu tylko renifery i niedźwiedzie polarne.

Nawet Święty Mikołaj nie nazwałby tego miejsca swoim domem.

Na razie jednak Painter rozkoszował się wygodami, jakie oferowała urządzona w mahoniu i skórze kabina prywatnego samolotu Citation Sovereign, który załatwiła dla nich Kat. Z listu przewozowego wynikało, że są dyrektorami konsorcjum węglowego. Był to całkiem przyzwoity kamuflaż, ponieważ główną gałęzią przemysłu archipelagu jest wydobywanie węgla kamiennego.

Kabinę przewidziano na siedem osób, a ich było czworo – mieli więc sporo miejsca. Udało im się nieco przespać, co bardzo się wszystkim przydało, teraz jednak została już tylko godzina do lądowania w Longyearbyen – największym osiedlu na wyspach Svalbardu.

Painter poprawił się w swoim fotelu. Siedział naprzeciwko senatora Gormana, a Monk i Creed zajmowali kanapę obok. Najwyższy czas skonkretyzować plan gry przed zbliżającą się konfrontacją.

Będą musieli ruszyć do ataku, gdy tylko koła samolotu dotkną betonu lotniska. Uciekli z Oslo, ponieważ dekonspiracja Paintera i próba zamordowania senatora sprawiły, iż zrobiło się tam zbyt gorąco, poza tym główny podejrzany opuścił już miasto i udawał się w tym samym kierunku co oni. Musieli zapędzić Karlsena w kozzi róg i wydusić z niego kilka odpowiedzi.

Dyrektorowi generalnemu Viatusa towarzyszyła grupa przywódców szczytu, którzy chcieli obejrzeć słynny Światowy Skarbiec Ziaren na Svalbardzie. Był on swego rodzaju arką Noego, stworzoną dla ochrony nasion ponad 300 000 gatunków roślin przed wojnami, zarazami, bombardowaniem atomowym, trzęsieniami ziemi czy zmianami klimatycznymi.

Przechowalnia na Svalbardzie, zwana Skarbcem Dnia Sądu Ostatecznego, była tak skonstruowana, że mogła przetrwać nawet 20 000 lat, i znajdowała się 150 metrów pod powierzchnią lodu, w potężnej górze – w miejscu uważanym za najbardziej odludne na całym

ziemskim globie.

Skarbiec doskonale nadawał się do przeprowadzenia z Karlsenem rozmowy – w cztery oczy, bez niepożądanych świadków – choć nie było to pozbawione ryzyka.

–Senatorze, w dalszym ciągu uważam, że najlepiej by było, gdyby został pan w Longyearbyen – powiedział Painter. – W razie potrzeby w każdej chwili będziemy mogli się z panem skontaktować.

Według oficjalnej wersji on i jego dwaj towarzysze pracowali dla kryminalnego biura śledczego kontrwywiadu. Mieli nawet potwierdzające to odznaki.

–Idę z wami – oświadczył senator, ściskając w dłoniach kubek kawy.

Painter zauważył, że doprawił ją odrobiną brandy z barku, ale nie mógł mieć o to do niego pretensji. W ciągu ostatnich paru godzin spadło na niego kilka ciężkich ciosów. Był przecież bliskim współpracownikiem Karlsena – i może nawet się z nim przyjaźnił.

Gorman popatrzył na niego.

–Jeżeli Ivar naprawdę przyłożył rękę do śmierci mojego syna...

–Ciągle jeszcze nie wiemy, w jaki sposób to wszystko się z nim wiąże – powiedział ostrożnie Painter.

Senator nie zamierzał jednak tego kupić.

–Ścisnął mi skurwieli rękę! – wycedził z wściekłością i walnął pięścią w stół, aż podskoczyły wszystkie kubki i talerzyki.

Zdecydowanie nie zamierzał odpuścić. Painter doskonale rozumiał jego ból spowodowany utratą syna i zdradą, nie potrzebował jednak towarzystwa nikogo w gorącej wodzie kąpanego.

Ale Gorman miał jeden mocny argument:

–Beze mnie nie dostaniecie się w pobliże Karlsena.

Painter splótł dłonie na podolku. Nie było o czym dyskutować. Karlsen odleciał godzinę wcześniej, uciekając przed nadciągającym od strony bieguna sztormem. Kiedy wylądują, prawdopodobnie będzie już w skarbcu. Ponieważ miało się tam zjawić wielu dygnitarzy, ochrona będzie na pewno bardzo liczna.

–Aby dostać się do środka, będziecie potrzebować zarówno mnie, jak i mojego identyfikatora – dodał senator. – Wasze legitymacje na nic się nie przydadzą. A mnie może uda się wprowadzić do środka jednego z was.

Zostało postanowione, że tą osobą będzie Painter. Monk i Creed mieli czekać i w razie potrzeby wkroczyć do akcji jako wsparcie.

Painter sprawdził zabezpieczenia skarbcza. Chroniły go wzmocnione stałe drzwi i skomplikowany system nadzoru wideo – nie wspominając już o patrolach składających się z kilku tysięcy niedźwiedzi polarnych krążących po wyspie. Dla zapewnienia bezpieczeństwa biorącym udział w spotkaniu gościom skierowano też na wyspę oddział armii norweskiej.

Próba wdarcia się bez zaproszenia na tę imprezę przypominałaby próbę sforsowania fortu Knox.

Painter nie miał wyjścia – musiał się zgodzić na towarzystwo senatora. Wyprostował się w fotelu i rozejrzał po kabinie.

–Przeanalizujmy jeszcze raz wszystko, co wiemy... i czego nie wiemy. Będziemy musieli zacząć działać już w chwili, gdy koła samolotu dotkną pasa.

Monk kiwnął głową.

–Od czego zaczynamy?

–Od naszego głównego celu, Ivara Karlsena. – Painter popatrzył na senatora. – Pracował pan z nim przez wiele lat. Co pan może nam o nim powiedzieć?

Senator oparł się wygodnie.

–Gdyby zapytał mnie pan o to wczoraj, powiedziałbym, że to gość, który nie tylko wie, jak zarobić parę dolarów, ale także zdaje sobie sprawę z tego, jaka odpowiedzialność wiąże się z zamożnością. Ten człowiek to skrzyżowanie Rockefellera z Frankiem Delano Rooseveltem.

–Jak się poznaliście?

–W Klubie Rzymskim. Wstąpiłem do niego dla nawiązania kontaktów politycznych i biznesowych. Jaki mógłby być lepszy sposób ugruntowania mojej kariery? – Wzruszył ramionami, najwyraźniej wcale niezawstydzony swoimi ambicjami. – Wtedy poznałem Ivara. Jego pasja była zaraźliwa. Karlsen z całego serca wierzy w możliwość ratowania świata, zabezpieczenie przyszłości ludzkości. Oczywiście niektóre z jego propozycji zahamowania przyrostu naturalnego mogą wydawać się kontrowersyjne... obowiązkowa kontrola urodzin, sterylizacja, płacenie ludziom za rezygnację z posiadania dzieci... ale ktoś musi podjąć się tych niełatwych zadań. Właśnie to mnie do niego przyciągało: rzeczowe podejście do problemu i wrażliwość. Oczywiście nie byłem jedyną osobą z jego „wewnętrzny kręgu”.

–Co pan ma na myśli? – zapytał Painter.

–W Klubie Rzymskim Ivar zebrał wokół siebie ludzi o podobnych poglądach, również

uważających podjęcie trudnych decyzji za konieczne. Byliśmy swego rodzaju

klubem w klubie. Każdy z nas zajmował się konkretnymi projektami. Moim zadaniem było wykorzystywanie wpływów politycznych do promocji biopaliw. Członkowie tej podgrupy nadzorowali różne programy.

–Także te dotyczące pszczół? – spytał Monk.

Miał na myśli ule, które odkrył w podziemnym laboratorium ośrodka badawczego. Pomasował na policzku miejsce, gdzie jeden z owadów go użądlił.

Senator wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Każdy z nich działał samodzielnie.

–Porozmawiajmy lepiej o projekcie, od którego zaczął się ten cały bałagan – zaproponował Painter. – Projekcie, który zapoczątkował rozlew krwi. Wygląda na to, że wszystko zaczęło się od badań genetycznych prowadzonych w Viatusie, zwłaszcza badań nad odporną na suszę kukurydzą. Wiemy, że korporacja finansowała badanie ekstremofili, a jej współpracownicy odkryli w zakonserwowanych w angielskich bagnach zwłokach szczególnego rodzaju grzyby... Wiemy też, że te badania nadal są prowadzone, a ciała znalezione w laboratorium prawdopodobnie pochodzą z należącej do Viatusa farmy w Afryce.

Uruchomił już procedury mające umożliwić przeszukanie podziemnych laboratoriów, ale Viatus International był jedną z największych norweskich firm o potężnych powiązaniach finansowych i międzynarodowych i Painter podejrzewał, że zanim jakiś sędzia wyrazi zgodę na przeszukanie, korporacja posprząta laboratoria i pokaże władzom puste, wysterylizowane pomieszczenia.

–Uważam więc, że możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, iż tajemnicze geny, znalezione przez doktora Malloya w ziarnach kukurydzy, pochodzą z tego właśnie źródła i są niestabilne. Być może to właśnie one sprawiają, że kukurydza nie nadaje się do jedzenia.

Gorman pokręcił głową.

–Ale czemu zniszczono obóz? Przecież wszyscy wiedzieli, że ta kukurydza nie jest przeznaczona do spożycia.

–To był obóz dla uchodźców, a kiedy brakuje żywności, ludzie często zachowują się irracjonalnie. Prawdopodobnie w nocy ktoś zakradł się na pola i wziął dla siebie i rodziny nieco kukurydzy. Może ci, którzy prowadzili farmę, przymykali oko na tego rodzaju wtargnięcia... Dawało to Viatusowi możliwość prowadzenia badań na żywym człowieku bez potrzeby przyznawania się do tego.

–Tylko że nikt nie przewidział, iż gen się przekształci – dodał Monk. – Kiedy się o tym

dowiedziano, musiano zatrzeć ślady, przy okazji zdobywając trochę obiektów badawczych. Kto by pytał o kilku uchodźców... zwłaszcza po zbombardowaniu obozu?

Painter zauważył, że senator pobladł. Najwyraźniej gnębiła go nie tylko rozpacz z powody utraty syna.

–Viatus już rozwozi odporne na suszę nasiona kukurydzy – powiedział po chwili Gorman. – Od kilku tygodni. Na dużych obszarach południowej półkuli i na równiku pola zostały dawno obsiane. Miliony hektarów.

Painter ogarnęło przeczucie, że zaraz nastąpi coś jeszcze gorszego – i nagle zrozumiał: aby produkować ziarno w takich ilościach, korporacja już jakiś czas temu musiała gdzieś uprawiać zmodyfikowaną kukurydzę. Ale gdzie?

–Gdzie znajdują się pola, na których uzyskiwano materiał siewny z tej nowej odmiany kukurydzy? – zapytał.

–Pośredniczyłem przy finalizacji tych transakcji. Produkcja genetycznie modyfikowanego materiału siewnego to miliardowy przemysł. Sypanie pieniędzy do regionów, w których ich nie ma... – Głos Gormana zadrżał. – Rozsypywałem te pieniądze wzdłuż kukurydzianego pasa Ameryki: w Iowie, Illinois, Nebrasee, Indianie, Michigan... na tysiącach i dziesiątkach tysięcy hektarów całego Środkowego Zachodu.

–Na pewno była to ta sama kukurydza, którą testowano w Afryce? – spytał Monk.

–Nie do końca, ale z tej samej linii genetycznej.

–I prawdopodobnie tak samo niestabilna – mruknął Painter. – Nic dziwnego, że tę afrykańską farmę doświadczałną spalono. Ale kot już uciekł z worka.

–Jednego nie rozumiem – wtrącił Monk. – Jak możliwe było przeznaczenie tego materiału do siewu? A co z badaniami bezpieczeństwa?

Gorman wzruszył ramionami.

–Badania bezpieczeństwa genetycznie modyfikowanych produktów spożywczych to jeden wielki żart. Znacznie dokładniej bada się dodatki do żywności. Dla produktów modyfikowanych genetycznie nie ma żadnych formalnych wytycznych dotyczących stopnia zagrożenia, polega się tu głównie na własnych, wewnętrznych regulacjach. Akceptacja tych produktów jest dokonywana na podstawie poddanych filtracji albo nawet sfalszowanych raportów branżowych. Z czterdziestu rodzajów dopuszczonych w zeszłym roku do obrotu materiałów siewnych tylko w przypadku ośmiu opublikowano raporty z badań bezpieczeństwa. A ponieważ materiał Viatusa nie był przeznaczony do spożycia przez ludzi, mniej się nim interesowano. Poza tym... to ja pomogłem przepchnąć tę sprawę.

Zamknął oczy i pokręcił głową.

Nic dziwnego, że Karlsen go potrzebował, pomyślał Painter.

–Jeżeli ta kukurydza nie była przeznaczona do spożycia przez człowieka, może dałoby się jakoś ograniczyć niebezpieczeństwo – powiedział Monk.

–Tak czy owak, na pewno dostanie się do zasobów żywności przeznaczonej dla ludzi – stwierdził milczący do tej pory Creed.

Wszystkie oczy skierowały się ku niemu.

Najmłodszy członek Sigmy jakby się lekko skurczył pod tym zmasowanym spojrzeniem, ale wytrzymał presję.

–Po tym, co się stało w Princeton, przyjrzałem się bliżej modyfikowanym genetycznie materiałom siewnym. W dwutysięcznym roku zmodyfikowana genetycznie kukurydza o nazwie StarLink, podobnie jak szczep Viatusa nieprzeznaczona do spożycia przez człowieka, trafiła do ponad trzystu rodzajów produktów spożywczych w całym kraju. Podejrzewano, że wywołuje reakcje alergiczne i zaczęto wycofywać te produkty z obrotu. Aby oczyścić linię produkcyjną Kellogsa, musiano zamknąć ją na dwa tygodnie.

Senator kiwnął głową.

–Pamiętam ten przypadek. Aby zapobiec załamaniu się rynku, rząd musiał wykupić wszystkie zapasy tej firmy. Kosztowało nas to miliardy.

–A było to tylko jedno z wielu doniesień dotyczących genetycznie modyfikowanych materiałów, które dostały się do produktów spożywczych – dodał Creed i popatrzył na Paintera.
– W tym wszystkim jest jednak coś innego... coś, co wywołuje znacznie większy niepokój.

–To znaczy?

–Migracja pyłku i skażenie genetyczne.

Painter zmarszczył czoło.

–Nie ma możliwości kontrolowania migracji pyłku genetycznie zmodyfikowanych roślin, wydmuchiwanego przez wiatr i przewiewanego na sąsiednie pola. Odkrywano już zmodyfikowane rośliny oddalone o pięćdziesiąt kilometrów od właściwej uprawy. Zasiana przez Viatusa kukurydza też będzie się rozprzestrzeniać.

–A co z modyfikacjami genetycznymi?

–To jeszcze bardziej niepokojące zagadnienie. Obserwowano już przypadki przenoszenia się modyfikacji z gatunków poddanych manipulacjom genetycznym na gatunki dziko żyjące i

roznoszenia się skażenia w biosferze. Przy niestabilności zaobserwowanej

przez doktora Malloya w próbce ziaren kukurydzy wyprodukowanej przez Viatusa prawdopodobieństwo powtórzenia się tego jest całkiem spore.

–Twierdzisz, że cały Środkowy Zachód może zostać skażony? – spytał Monk.

–Za wcześnie na takie wnioski – zaprotestował Painter. – Musimy najpierw znaleźć odpowiedzi na inne pytania.

Choć próbował zachować optymizm, doskonale pamiętał, co Gray odkrył w Anglii. Tak samo jak ciała z laboratorium, mumie w torfowisku były pożywką dla dziwnych grzybów. Czyżby Karlsen niechcący spuścił ze smyczy jakiś niebezpieczny organizm?

A jeżeli nie zrobił tego niechcący?

Niewątpliwie manipulował senatorem, by osiągnąć swój cel – ale jaki był ten cel?

Tylko jedna osoba знаła odpowiedź na to pytanie.

–Za chwilę lądujemy w Longyearbyen – powiedział pilot. – Proszę o zapięcie pasów.

Painter wyjrzał przez okienko na wschodzące słońce. Najwyższy czas na rozmowę z Karlsenem. Dręczyło go jednak coś jeszcze i jego niepokój z każdą godziną wzrastał.

Godz. 11. 01

Spitsbergen, Norwegia

–W dalszym ciągu nie ma żadnych wiadomości od Graysona? – spytał Monk, kiedy znaleźli się na pokrytym lodem parkingu.

Był ubrany w zimowy kombinezon, ciepłe buty, rękawiczki i gogle, a pod pachą trzymał motocyklowy kask.

Painter mocniej ścisnął telefon satelitarny i pokręcił głową.

–Miałem nadzieję, że do rana da jakiś znak życia albo patrolę coś zauważą. O świcie helikoptery zaczęły przeszukiwać góry. Strażacy donoszą, że cała dolina zamieniła się w dymiące zgliszcza. Kontaktowałem się też z Kat... ale Gray nie nawiązał kontaktu z dowództwem Sigmy.

–Na pewno udało mu się uciec – stwierdził Monk.

Nie przekonało to jednak Paintera. Jeśli Gray przerwał komunikację, musiał mieć poważne kłopoty.

Słońce wisiało nisko na horyzoncie, jego promienie odbijały się od pokrywającego Spitsbergen śniegu i lodu. Za miesiąc miała tu zapaść noc polarna, która potrwa cztery miesiące. Nawet w środku dnia temperatura podnosiła się niewiele powyżej minus

dwudziestu stopni Celsjusza. Nie było tu w ogóle drzew – tylko ostre szczyty i głębokie szczeliny. Po holendersku Spitsbergen to „poszarpana góra”.

Nie był to krajobraz tchnący nadzieją, zwłaszcza że z północy napływały ciemne burzowe chmury.

–Nic więcej nie możemy zrobić – powiedział w końcu Painter. – Kazałem Kat dalej monitorować akcję ekip ratowniczych. Na pewno zrobi wszystko, co w jej mocy. Ale dopóki niczego nowego się nie dowiemy, mamy własne zadania do wykonania.

Stał obok terenowego volvo, którym przyjechali z lotniska. Monk przyprowadził drugi samochód ciągnący za sobą przyczepę. Creed właśnie zdejmował z niej dwa skutery śnieżne. Były to dwa pojazdy typu Lynx V-800, które wypożyczyli w agencji organizującej „zimowe safari” po archipelagu. Na bokach obu maszyn widniało logo wypożyczalni.

W terenówce na fotelu pasażera siedział senator Gorman. Razem z Painterem miał pojechać do skarbcza. Monk i Creed mieli udać się tam na skuterach okrężną drogą i podjechać najbliżej jak się da bez wzbudzania podejrzeń.

Pracownik agencji, który wypożyczał im skutery, powiedział, że jego firma organizuje nocne wyprawy w góry, mające na celu obserwację zamieszkujących okolice zwierząt. Od czasu wybudowania Światowego Skarbca Ziaren częstym przystankiem turystów stało się to właśnie miejsce i nie należało się obawiać, że obecność kolejnych dwóch turystów zwróci czyjąś uwagę.

Monk i Creed mieli czekać w pobliżu – mieli interweniować, gdyby konieczna była dodatkowa siła ognia albo szybka ewakuacja.

–Pilnujcie tylnego wyjścia ze skarbcza – przykazał im Painter.

Zza samochodu z przyczepą rozległ się ryk silnika.

–Ruszajcie – powiedział Painter. – I uważajcie na siebie.

–Wy też.

Painter wsiadł z powrotem do volvo, a Monk dołączył do Creeda, który siedział na jednym ze skuterów.

Obaj mieli przy siedzeniach karabinki szturmowe. Nie musieli ich ukrywać – na Spitsbergenie, gdzie było więcej niedźwiedzi niż ludzi, broń była koniecznością. W wydrukowanym na błyszczącym papierze prospekcie, które wzięli z agencji wynajmu skuterów, też było

ostrzeżenie: „Podróżując poza siedliskami ludzkimi, zawsze należy mieć przy sobie broń”.

–Gotów? – zapytał Monk, unosząc ramię.

W odpowiedzi jego partner podkręcił gaz.

Monk poprawił kask i przekręcił kluczyk. Maszyna ożyła z rykiem. Podkręcając gaz, skierował skuter w stronę biegnącej poniżej parkingu zaśnieżonej doliny. Gąsienica z tyłu pojazdu wgrzyła się w lód, a kiedy pokonał skraj zbocza i przyspieszył, obie przednie płozy zaczęły się ślizgać po śniegu.

Creed jechał tuż za nim.

Po chwili ujrzeli górę Plataberget, w której znajdował się Skarbiec Ziaren. Jego poszarpany szczyt niemal sięgał nisko wiszących chmur, które przesłaniały całe niebo.

Ponure miejsce.

Informacje z broszur dla turystów również nie napawały optymizmem.

Ostatnie zdanie dotyczące zachowania wobec niedźwiedzi brzmiało:

„Strzelać tak, aby zabić”.

Godz. 11. 48

Painter zatrzymał samochód na wyznaczonym miejscu parkingowym.

Na jedynej drodze, jaka prowadziła w górę zbocza, musieli przejechać przez dwie obsadzone przez norweskich żołnierzy barykady. Na niewielkim parkingu stały już inne terenówki i wielki autobus – prawdopodobnie były to pojazdy, które przywiozły tu członków Światowego Szczytu Żywnościowego.

Kiedy Painter wysiadał z ciepłego samochodu, zauważył pojazd śnieżny wielkości furgonetki, wyposażony w wielkie gąsienice – był to hagglunds, pojazd do eksploracji Antarktyki. Na bokach miał wymalowane norweskie flagi i wojskowe insygnia. Stało przy nim kilku żołnierzy i paliła papierosy. W pewnej odległości od parkingu teren patrolował podobnie oznakowany dwuosobowy sno-cat – choć sądząc po tym, jak się poruszał, należało przypuszczać, że ktoś robi sobie nim relaksującą przejażdżkę.

Senator Gorman, okutany w sięgającą do kolan kurtkę, podszedł do Paintera i razem ruszyli w stronę wejścia do skarbcza. Jedyłą jego nadziemną częścią był betonowy bunkier, przypominający dziób statku. Zresztą w pewnym sensie skarbiec był statkiem, bo we wnętrzu góry znajdowała się arka Noego pełna ziaren.

Ściana z wejściem miała około dziesięciu metrów wysokości i była płaską betonową

plaszczyną, ozdobioną na szczycie przypominającym okno prostokątem z luster i pryzmatów, oświetlonym światłowodami, który w gasnącym świetle dnia jarzył się czerwono.

Burzowe chmury napływały coraz gęstszym frontem nad górę, przyciskając niebo do ziemi. Powiewy wiatru wciąż wzbijały wiry kryształków lodu i kłującego śniegu.

Kuląc się z zimna, ruszyli do wejścia.

Po przejściu przez mały mostek stanęli przed potężnymi drzwiami. Dwójka uzbrojonych wartowników sprawdziła identyfikator senatora i wpisała go na listę.

–Mocno się pan spóźnił – powiedział jeden z nich w nie najlepszym angielskim.

–Mieliśmy problemy – odparł Gorman, uśmiechając się do niego. – Nawet tutaj linie lotnicze potrafią zgubić bagaż. A to zimno... brrr... nie wiem, jak możecie tu wytrzymać.

Żołnierz odpowiedział mu uśmiechem, a jego partner – który prawdopodobnie nie znał angielskiego – również się uśmiechnął. Painter musiał przyznać senatorowi, że umiał zjednywać sobie ludzi. Nic dziwnego, że osiągał w Waszyngtonie takie sukcesy.

Otworzono przed nimi drzwi.

Kiedy weszli do środka, wiatr ucichł, ale wcale nie zrobiło się cieplej. Wnętrze skarbcza, w którym utrzymywano temperaturę minus 18 stopni Celsjusza, było jak wielka zamrażarka.

Za krótkim pochyłym zjazdem zaczynał się półkolisty tunel, wystarczająco duży, aby mógł się w nim zmieścić cały skład wagoników metra. Jego podłoga była wyłożona betonowymi płytami, a pod sufitem biegły rzędy świetlówek, rury i kable. Szorstkie żelbetowe ściany upodabniały to miejsce do wykutej w skale jaskini.

Przed przyjazdem Painter dokładnie przestudiował plan skarbcza. Jego rozkład nie był zbyt skomplikowany: tunel o długości 150 metrów prowadził do trzech wielkich sal, z których każda była wyposażona w śluzę powietrzną. W pobliżu banków ziaren znajdowały się biura.

Po chwili dobiegły do nich echa głosów, a w głębi korytarza zamigotały światła.

Kiedy szli, senator Gorman opowiadał o skarbcu, akcentując swoje słowa ruchami rąk.

–Ivar wniósł ogromny wkład finansowy w budowę tego ośrodka. Był głęboko przekonany o konieczności zachowania różnorodności światowej flory i uważał, że żadne przechowalnie ziaren na świecie nie gwarantują bezpieczeństwa.

–Słyszałem, że lubi panować nad sytuacją.

–Ale w tym przypadku prawdopodobnie miał rację. Na świecie istnieje ponad tysiąc takich przechowalni, jednak większość z nich nie jest należycie zabezpieczona. Narodowy Skarbiec

Ziaren w Iraku obrabowano i zniszczono. W Afganistanie do ośrodka włamali się talibowie... i nie chodziło im o nasiona, lecz o plastikowe pojemniki, w których je trzymano. Tak samo narażone na włamania są inne banki ziaren. Złe zarządzanie, problemy

ekonomiczne, brak odpowiedniego wyposażenia... wszystko to zagraża zgromadzonym w nich materiałom siewnym. Jednak najważniejszy był brak wizji...

–A Karlsen ją miał?

–Skarbiec jest dzieckiem Fundacji Global Crop Diversity Trust, lecz kiedy Ivar usłyszał o tym projekcie, zaczął go wspierać finansowo i propagandowo. – Senator potarł palcami skronie. – To absurdałne, ale w dalszym ciągu nie jestem w stanie postrzegać tego człowieka jako potwora, którym najwyraźniej jest...

W jego głosie pobrzmiwało niedowierzenie. Po początkowym szoku znowu zaczął być sceptyczny. Trudno uwierzyć w podłość najlepszego przyjaciela czy dostrzec własną naiwność i ślepotę.

Przy końcu tunelu zebrała się spora grupa ludzi. Dochodzące stamtąd rozbawione głosy świadczyły o przyjęciowym nastroju. Pod jedną ze ścian stały rzeźby z lodu, podświetlone od spodu: niedźwiedź polarny, wieloryb, model góry i logo firmy Viatus International. Pod przeciwległą ścianą był zimny bufet.

Gorman wziął od przechodzącej kelnerki kieliszek szampana. Miała na sobie buty z foczej skóry i ciepłą kurtkę. Na tym przyjęciu parka była ekwiwalentem garnituru. Wokół stołów kręciło się około dwudziestu gości, ale sądząc po liczbie kelnerów i górach nietkniętego jedzenia, spodziewano się ich znacznie więcej.

Atak na hotel w Oslo, który zwałono na terrorystów, przestraszył wiele zaproszonych osób.

Mimo wszystko przyjęcie było udane, nastroje dopisywały. Przy mikrofonie stał Reynard Boutha, jeden z przewodniczących Klubu Rzymskiego, i mówił o tym, jak ważne jest zachowanie bioróżnorodności.

–Jesteśmy w trakcie genetycznego Czarnobyła... Sto lat temu w Stanach Zjednoczonych uprawiano ponad siedem tysięcy odmian jablek, a teraz jest ich niewiele ponad trzysta. Fasoli było trzysta rodzajów, dziś jest niewiele ponad trzydzieści. W ciągu stu lat zniknęło siedemdziesiąt pięć procent światowej flory i codziennie giną kolejne gatunki. Musimy zacząć działać, aby zachować to, co się da, zanim zostanie stracone na zawsze. Z tego właśnie powodu Światowy Skarbiec Ziaren na Svalbardzie ma tak wielkie znaczenie. Dlatego w dalszym ciągu musimy zbierać pieniądze i zwracać na tę sprawę uwagę rządów...

Wśród gości znajdował się również Ivar Karlsen. Stał między dwiema kobietami – smukłą i wysoką, o długich jasnych włosach, której twarz skrywał kaptur parki, oraz starszą, szepczącą mu coś do ucha.

–Kto to? – spytał Painter, wskazując ją Gormanowi.

–Była przewodnicząca Rady do spraw Ludności Fundacji Rockefellera. Należy do wewnętrznego kręgu Ivara. Przyjaźnią się od lat.

Painter doskonale wiedział, czym jest Rada do spraw Ludności. Była to jedna z najbardziej wpływowych organizacji zajmujących się kontrolą szybkości przyrostu naturalnego za pomocą planowania urodzin, a jeśli wierzyć plotkom – niektóre z jej metod graniczyły z eugeniką.

Nic dziwnego, że Karlsen przyjaźni się z tą kobietą, pomyślał.

Gorman wskazał kilku innych gości, również należących do najściślejszego kręgu akolitów dyrektora generalnego Viatusa.

–Ten wysoki gość z piwnym brzuszyskiem reprezentuje jedną z największych niemieckich firm chemiczno-farmaceu-tycznych. Viatus zamierzał wprowadzić do nowej generacji genetycznie zmodyfikowanego materiału siewnego jeden z ich insektycydów. Gdyby to się udało, można byłoby znacznie zredukować ilość pestycydów, jakie rozpyła się na polach. Uprawy byłyby wtedy tańsze, a plony znacznie większe.

Painter kiwał głową, słysząc kolejne nazwiska. Wyglądało na to, że „wewnętrzny krąg” Karlsena składa się albo z osób zainteresowanych opanowaniem kryzysu związanego z przeludnieniem, albo prowadzących badania nad sposobami zwiększenia zasobów żywnościowych. Dobro świata naprawdę zdawało się leżeć Karlsenowi na sercu.

Ale jak to pasowało do kogoś, kto polecił zniszczyć afrykański obóz dla uchodźców i zamierzał wprowadzić do masowej sprzedaży genetycznego potwora, który mógł trwale skazić biosferę?

Senator miał rację: to było absurdalne.

Painter ponownie skupił się na Karlsenie. Przed rozmową z dyrektorem generalnym Viatusa chciał poznać wszystkie związane z nim osoby.

–A ta druga kobieta? – spytał. – Blondynka, która wisi mu na ramieniu?

Gorman zmrużył oczy.

–Nie znam jej. Wydaje mi się znajoma, ale nie jest członkiem wewnętrznego kręgu. Może to tylko jakaś przyjaciółka.

Painter ruszył między gości. Nie należało się spodziewać, aby przy tylu świadkach Karlsen chciał podjąć jakieś mogące im zagrozić działania.

Po chwili stał przed norweskim potentatem. Karlsen właśnie skończył rozmowę z przewodniczącą Rady do spraw Ludności i nikt go nie absorbował. Nawet wisząca mu do tej

pory na ramieniu jasnowłosa kobieta zostawiła go i poszła do bufetu.

Dyrektor generalny Viatusa nie od razu rozpoznał Paintera. Gdy zobaczył Gormana, rozpromienił się i wyciągnął do niego rękę.

Senator uścisnął ją odruchowo.

–Dobry Boże, Sebastianie... kiedy przyjechałeś? – spytał Karlsen. – Jak się tu dostałeś? Kiedy nie zjawiłeś się na lotnisku, próbowałem dzwonić do twojego hotelu, ale z powodu zamieszania po wczorajszym zamachu nie udało mi się połączyć. Pomyślałem, że może wróciłeś do domu.

–Nie, przeniesiono mnie jedynie do innego hotelu. Nie dotarłem na lotnisko na czas, a że nie chciałem nikomu robić kłopotu, wynająłem sobie prywatny samolot.

–Nie musiałeś tego robić. Viatus pokryje wszystkie twoje wydatki.

Painter obserwował ich dyskretnie. Choć senator grał jak zawodowy aktor, widać było, że jest spięty i zdenerwowany. Karlsen sprawiał wrażenie autentycznie uradowanego jego widokiem. Nic nie wskazywało, że to właśnie on stoi za zamachem na Gormana. Albo nie miał z nim nic wspólnego, albo doskonale nad sobą panował.

Senator spojrział na Paintera, po czym wyciągnął dłoń w jego stronę.

–Chyba miałeś już okazję poznać śledczego z biura inspektora generalnego USA – powiedział do Karlsena.

Ciężki wzrok Norwega spoczął na Painterze. Po chwili dezorientacji przypomniał go sobie.

–Ależ oczywiście... bardzo przepraszam. Rozmawialiśmy wczoraj. Proszę mi wybaczyć, ale ostatnia doba była wariacka.

Sam o tym najlepiej wiem, pomyślał Painter.

Kiedy ściskali sobie dłonie, nie spuszczał wzroku z twarzy dyrektora Viatusa. Jeśli Karlsen wiedział, że nie jest agentem DCIS, nie okazywał tego.

–Senator był tak uprzejmy, że pozwolił mi do siebie dołączyć – wyjaśnił Painter. – Miałem nadzieję, że mimo wszystko uda nam się zamienić parę słów. Mam tylko kilka rutynowych pytań, muszę pozamykać pewne wątki. Obiecuję, że to długo nie potrwa. Może jest tu jakieś odosobnione miejsce, w którym moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

Karlsen popatrzył na Gormana i przez ułamek sekundy Painter miał wrażenie, że dostrzega w jego oczach poczucie winy. W masakrze w Afryce zginął syn senatora – jak mógł odmówić pomocy w rozwiązaniu tej sprawy w obecności pogrążonego w żałobie ojca?

Norweg spojrział na zegarek, po czym skinął głową w kierunku znajdujących się po prawej

stronie drzwi.

–Tam są biura. Catering zajął połowę z nich, ale mała sala konferencyjna powinna być wolna.

–Na pewno nam wystarczy – odparł Painter.

Kiedy odchodzili, zauważył, że szczupła blondynka ich obserwuje. Starła się zachować obojętny wyraz twarzy, ale jej wzrok był lodowaty. Gdy zauważyła, że Painter na nią patrzy, szybko odwróciła głowę.

Krista spoglądała na trójkę mężczyzn idących do biura administracji. Nie podobało jej się to.

Kilkanaście sekund wcześniej, widząc ciemnowłosego agenta Sigmy, który zjawił się nie wiadomo skąd, omal nie zakrzuszyła się oliwką. Obok niego siedł senator Gorman. Ledwie zdążyła zejść im z drogi.

Skąd oni się tu wzięli? Sądziła, że zostawiła ich daleko za sobą, w Oslo.

Wydało jej się nagle, że wszyscy na nią patrzą, więc poprawiła kaptur, aby obszycie futra z norek lepiej ukrywało jej twarz. Na szczęście założyła perukę – nie potrzebowała niespodzianek takich jak wcześniejsze spotkanie z Gravelem.

Ukryła się w głębi korytarza zakończonego poprzecznym przejściem, z którego wchodziło się do trzech banków nasion zabezpieczonych śluzami powietrznymi. Ponieważ wszyscy byli zajęci słuchaniem przemówień, miała trochę czasu dla siebie i mogła się zastanowić nad dalszymi działaniami.

Oparła się plecami o drzwi jednego z banków i namacała w kieszeni komórkę. Czekala na telefon, jednak jej przełożony się nie zgłaszał. Co powinna robić? Kazano jej „zająć się” agentem Sigmy, ale był z nim senator Gorman.

Miała zacząć działać na własną rękę czy czekać na rozkazy? Od osób, które w hierarchii organizacji zajmowały podobne miejsce jak ona, oczekiwano samodzielnego myślenia i w razie konieczności improwizowania.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Jeśli będzie musiała zacząć działać – zrobi to. Na razie jednak poprzestanie na obserwowaniu wydarzeń.

Wyjęła z kieszeni telefon. Wiedziała, że tak głęboko pod ziemią nie złapie sygnału, więc zaraz po przyjeździe uwolniła się na chwilę od Ivara i gdy w jednym z pokoi w biurze znalazła linię stacjonarną, podłączyła do niej wzmacniacz sygnału, dzięki czemu nadal mogła korzystać z komórki.

Wystukała numer. Jej ludzie czekali w Longyearbyen na rozkazy – nadszedł czas, by ich wezwać. Kiedy odebrano, kazała zablokować wszystkie drogi ucieczki ze skarbcza. Nie życzyła

sobie żadnych niespodzianek.

Wydanie poleceń sprawiło, że się trochę uspokoiła – najbardziej męczyło ją bezczynne czekanie. Działanie zawsze poprawiało jej samopoczucie, nawet jeśli nie musiała sama uczestniczyć w akcji. Poprawiła kosmyk jasnych włosów, który wymknął się spod kaptura. Powinna pójść do łazienki i sprawdzić makijaż.

Zanim zdążyła to zrobić, telefon w jej dłoni zawibrował. Natychmiast poczuła, że jej ciało zamienia się w lód i zaczyna dygotać.

Przyłożyła komórkę do ucha.

–Tak?

Usłyszała znajomy głos. Polecenie było krótkie i proste:

–Jeżeli chcesz żyć, natychmiast stamtąd uciekaj.

13 października, godz. 10. 13

Aberdaron, Walia

Gray zjechał długim zboczem w stronę stojącego nad morzem kościoła. Jechali przez całą noc, zmieniając się za kierownicą i starając się trochę przespać. Wszyscy byli wykończeni.

W lusterku wstecznym Gray widział wyglądającą przez okno Rachele. Nie spała nawet przez chwilę. Miała podkrążone oczy i często przyciskała dłoń do brzucha, najwyraźniej przerażona biotoksyną, która tkwiła w jej organizmie – i mogła zabić ją za trzy dni.

Siedząca po drugiej stronie pojazdu Seichan spokojnie przespała większą część nocy. Nie obawiała się, że którekolwiek z nich ucieknie. Nawet nie mogli zaryzykować wezwania pomocy. Gdyby ją aresztowano, Rachele byłaby skazana na pewną śmierć.

–Doktorze... – powiedział Gray na tyle głośno, aby obudzić drzemiącego między dwiema kobietami archeologa.

Leżący w przestrzeni bagażowej Rufus wyciągnął szyję.

–Jesteśmy na miejscu? – zapytał Wallace.

–Prawie.

–Najwyższy czas.

Noc wszystkim się dłużyła. Opuścili Krainę Jezior na koniach, prowadzeni przez doktora. Jeszcze przed wschodem słońca dotarli do wioski o nazwie Satterthwaite, gdzie zostawili konie na czyimś polu. Dalszą drogę zamierzali pokonać ukradzionym przez Graya land-roverem.

Podczas długiej jazdy konnej Gray dokładnie wypytał doktora o przedmiot, który mieli odnaleźć – klucz Dnia Sądu Ostatecznego. Związana z nim legenda mówiła ponoć, że zaszyfrowany łaciński tekst księgi jest mapą, mającą wskazywać miejsce ukrycia jakiegoś wielkiego skarbu.

–Ale to wszystko bzdury – dodał na koniec Wallace, ze złością wpatrując się w Seichan.

Wzruszyła ramionami. Miała swoje rozkazy i musiała je wykonać.

Ponieważ Gray potrzebował tropu, za którym mógłby podążać, wycisnął z doktora, ile się dało na temat podróży ojca Giovanniego – zwłaszcza miejsc, do których watykański archeolog udał się po wizycie w stanowisku przy kamiennym kręgu w Krainie Jezior. Wallace nie znał zbyt wielu szczegółów, bo ojciec Giovanni robił się coraz bardziej tajemniczy, ale jedna informacja

mogła im się przydać.

–Po zbadaniu odkrycia na torfowisku Marco pojechał zbadać inne miejsce, również oznaczone w „Księdze zliczania” jako „spustoszone”. Tamto miejsce zostało zapisane jako pierwsze.

Była to wyspa Bardsey na Morzu Irlandzkim, leżąca u wybrzeży Walii. Według Wallace'a ojciec Giovanni pojechał tam, by porozmawiać z miejscowym księdzem, doskonale znającym historię wyspy.

Postanowili również odwiedzić tę wyspę. Po opuszczeniu Krainy Jezior jechali przez całą noc na południe, ponownie minęli Liverpool, po czym skierowali się w stronę Walii. Ich cel znajdował się przy zachodnim krańcu Półwyspu Walijskiego – cienkiej jak palec wypustki lądu, wycelowanej prosto w Irlandię.

Wyspa Bardsey leży kilka kilometrów od wybrzeża – jest to maleńkie, mające zaledwie trzy kilometry szerokości wzniesienie na morzu.

Na szczęście ich pierwszy cel znajdował się znacznie bliżej, na Półwyspie Walijskim. Kościół Saint Hywyn stał nad samą plażą, przodem do wiatru i fal. Tu właśnie ojciec Giovanni rozpoczął swoje poszukiwania.

Gray wjechał na parking.

Kościół był zbudowany z szarego kamienia i przykryty łupkowym dachem. Jego duże gotyckie okna wychodziły na ponury cmentarz. Nieopodal znajdowała się niewielka wioska rybacka składająca się z kamiennych domków i krzywych uliczek.

Wysiedli z samochodu, by rozprostować nogi, ale musieli szybko szukać schronienia przed ostrymi podmuchami zimnej bryzy od morza. Fale ciężko uderzały o brzeg, powietrze pachniało solą i wodorostami.

–Zostanę w samochodzie – oznajmiła Seichan. – Nie chciałabym, żeby ktoś nam go ukradł.

Gray nawet nie próbował udawać, że ją zauważa.

Poprowadził wszystkich pozostałych w stronę probostwa. Po drodze zadzwonił z telefonu Seichan do pastora i zapytał, czy mogą go odwiedzić. Ojciec Timothy Rye był

zachwycony niespodziewanymi gośćmi i ich zainteresowaniem wyspą – dopóki nie poznał jego powodu.

–Marco nie żyje? Trudno mi w to uwierzyć... widzieliśmy się zaledwie kilka miesięcy temu.

Drzwi probostwa otworzyły się, zanim do nich dotarli. Pastor okazał się starszy, niż można by sądzić po głosie. Był chudy jak patyk, a jego głowę pokrywały jedynie nieliczne pasemka siwych

włosów. Opatulony o wiele za dużym swetrem i podparty sękatym kosturem, chwiał się w lodowatych podmuchach, ale jego uśmiech był ciepły i zapraszający.

–Schowajcie się przed wiatrem, zanim skopie was po zębach – powiedział na powitanie i machnięciem kościstej ręki zagonił ich do wnętrza budynku. – Postawiłem na piecu czajnik, a stara Maggie upiekła tacę babeczek z żurawiną. Nie ma lepszych w całej Walii.

Wprowadził ich do pomieszczenia o drewnianej podłodze i tak niskim stropie, że Kowalski musiał się schylić. Ściany były wykonane z tego samego kamienia co kościół, a w niewielkim kominku wesoło buzował ogień. Długi stół był nakryty do południowej herbaty.

Kiedy Gray zobaczył świeżo upieczone babeczki, zaburczało mu w brzuchu, chciał jednak jak najbardziej skrócić wizytę. Gonił ich czas. Popatrzył na Rachele – stary pastor już się nią zajął i poprowadził do stołu.

–Ty usiądziesz tutaj. Przy mnie – oświadczył.

Wallace zatrzymał się przy drzwiach razem z Rufusem – nie bardzo wiedział, czy powinien zostawić psa na zewnątrz, czy może wpuścić go do środka.

–A wy na co czekacie? – spytał pastor. – Schowajcie się przed zimmem.

Zaproszenie dotyczyło obu przybyszy i Rufus wbiegł do pokoju, zanim Wallace zdążył się poruszyć. Podbiegł prosto do ognia i opadł na podłogę z pełnym zadowolenia sapnięciem.

Kiedy wszyscy usiedli, Gray zaczął:

–Może mógłby nam ojciec powiedzieć, czy Marco Giovanni...

–Biedny chłopiec – przerwał mu ojciec Rye i przeżegnał się. – Niech spoczywa w pokoju. – Odwrócił się do Rachele i poklepał ją po dłoni. – Pomodłę się także za twojego wuja. Wiem, że przyjaźnił się z ojcem Giovannim.

–Bardzo dziękuję.

Pastor odwrócił się do Graya.

–Marco... niech się zastanowię. Po raz pierwszy przyjechał tu jakieś trzy lata temu.

–Czyli zaraz po tym, jak był u mnie – stwierdził Wallace.

–Potem przyjeżdżał bardzo często, włóczył się po całej Walii. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. W ubiegłym roku w czerwcu wrócił z wyspy Bardsey bardzo podniecony... Jakby coś go do głębi przeraziło. Modlił się przez całą noc w kościele. Słyszałem też, że prosił o przebaczenie. Kiedy się rano obudziłem, już go nie było.

–Czy powiedział, po co przyjechał, kiedy zjawił się tu po raz pierwszy? – spytał Gray.

–Owszem. Pielgrzymował na wyspę Bardsey. Jak wielu innych ludzi. Chciał złożyć hołd zmarłym.

Gray próbował jakoś uporządkować te informacje. Najwyraźniej Marco Giovanni nie był do końca szczery z ojcem Rye, ale może wystarczy to, co mu powiedział.

–Jakim zmarłym?

–Dwudziestu tysiącom świętych, którzy są tam pochowani. – Stary pastor wyciągnął rękę w stronę okienka wychodzącego na morze, jednak gęsty deszcz uniemożliwił zobaczenie wyspy.
– Chciał się dowiedzieć wszystkiego o tych zmarłych.

–I co mu ojciec powiedział?

–To samo, co wszystkim pielgrzymom. Wyspa Bardsey to święte miejsce. Ma długą historię, sięgającą czasów, kiedy zjawili się tu pierwsi ludzie. Ci, którzy stawiali pionowo kamienie i budowali starożytne kręgi.

–Mówi ojciec o ludziach z epoki neolitu, którzy jako pierwsi osiedlili się na Wyspach Brytyjskich? – spytał Wallace.

–Tak. Na Bardsey ciągle jeszcze można się natknąć na postawione przez nich kamienne kręgi. Już wtedy ta wyspa była święta. Mieszkali na niej przedstawiciele królewskich rodów. Znacnie celtyckie legendy o Fomorianach?

Gray pokręcił głową, ale Wallace zmrużył oczy. Najwyraźniej wiedział, o co chodzi, chciał jednak, aby pastor powiedział coś więcej.

–Czym byli Fomorianie? – spytała Rachele.

–Nie czym, ale kim. Legendy mówią, że kiedy Celtowie zjawili się po raz pierwszy na Wyspach Brytyjskich, zamieszkiwała je starożytna rasa straszliwych istot... Gigantów. Podobno byli to przodkowie przeklętego przez Noego Chama. Celtowie i Fomorianie przez całe stulecia walczyli ze sobą o Irlandię i okoliczne wyspy. Fomorianie nie władali zbyt dobrze mieczem, ale ponoć umieli zsyłać na swoich wrogów różne plagi.

–Plagi? – powtórzył ze zdziwieniem Gray.

–Właśnie. Według słów starej irlandzkiej ody zsyłali na wroga „potężną niszczycielską śmierć”.

Gray popatrzył na Rachele i Wallace'a. Czy jedna z tych plag mogła także wybić mieszkańców wioski w Krainie Jezior?

–Krażyło tu mnóstwo opowieści o straszliwych wojnach i niepewnym pokoju, zawieranych przez ludzi i Fomorian – kontynuował ojciec Rye. – Irlandzcy bajarze twierdzą, że to właśnie Fomorianie przekazali Celtom wiedzę o uprawie roli. Wojny skończyły się wielką bitwą na wyspie Tory, w której zginął król Fomorian.

–A co to ma wspólnego z wyspą Bardsey? – spytał Wallace.

Pastor uniósł brwi.

–Jak powiedziałem, na wyspie Bardsey mieszkali starożytni królowie. Tutejsze legendy mówią, że tam właśnie mieszkała fomoriańska królowa. Była wielką boginią i miała moc leczenia chorych. Potrafiła nawet chronić przed plagami.

–Nic dziwnego, że Marco często tu wracał... – mruknął pod nosem Wallace.

Gray chętnie by go zapytał, co ma na myśli, ale w tym momencie pastor Rye podjął swoją opowieść.

–W końcu Celtowie objęli w posiadanie wszystkie ziemie, jednak nawet druidzi uznawali świętość tych miejsc. Właśnie dlatego na pobliskiej wyspie Anglesey założyli uczelnię, do której przybywali studenci z całej Europy. Wyobrażacie to sobie? Ale za najbardziej święte miejsce uważali wyspę Bardsey. Wolno na niej było grzebać jedynie najważniejszych druidów... pochowano tam także najślawniejszego druida wszech czasów.

Wallace musiał znać tę legendę, bo dodał:

–Merlina.

* * *

Seichan stała na zawietrznej land-rovera, chroniąc się przed wiatrem. Mechanicznie otwierała i zamykała nóż, nie spuszczając ani na chwilę wzroku z drzwi. Nie obawiała się, że ktokolwiek spróbuje uciec albo zechce skorzystać z telefonu na probostwie, ale dla pewności przecięła druty telefoniczne.

Mogła wejść razem ze wszystkimi do środka, nie była jednak miłośniczką układanek historycznych. Poza tym nie chciała dekoncentrować Graya. Czuła jego wściekłość, kiedy się do niego zbliżała, postanowiła więc trzymać się z daleka. Jeśli miał wykonać zadanie, musiał być maksymalnie skupiony.

Zaraz po przyjeździe zauważyła audi, które pojawiło się w mijanej przez nich wiosce. Obserwowano ich z daleka. Prowadząca auto kobieta – Krista Magnussen – miała ich na oku przez cały czas od momentu ucieczki z torfowej doliny. Samochody były oczywiście zmieniane – do tej pory Seichan doliczyła się przynajmniej trzech. Gdyby ktoś nie wiedział, że ma się ich spodziewać, niczego by nie zauważył.

Ona jednak wiedziała.

Szybkim ruchem nadgarstka zamknęła nóż i schowała go do kieszeni. Czowała, że nawet teraz jest obserwowana, i musiała zacząć działać. Ruszyła w stronę starego kościoła. Jego stara kamienna fasada wyglądała imponująco i była twarda jak ludzie, którzy tu żyli, z trudem wiążąc koniec z końcem. Drzwi wejściowe również były potężne i bardzo stare. Seichan nacisnęła klamkę i stwierdziła, że kościół nie jest zamknięty.

Niezamknięte drzwi zawsze ją zaskakiwały – wydawało jej się to czymś niewłaściwym, nienaturalnym.

Pociągnęła je i weszła do środka. Wiatr się nasilał i nie wiadomo było, jak długo pozostali będą jeszcze rozmawiać z pastorem. Ruszyła w głąb nawy. Spodziewała się mrocznego, posępnego wnętrza, ale ściany pomalowano kremową bielą, która rozjaśniała skąpe dzienne światło wpadające przez łukowate okna. Po obu stronach przejścia biegły drewniane ławki, a do ołtarza prowadził jasnoniebieski dywan.

Kościół był pusty, lecz Seichan nie miała siły iść dalej. Czując ogarniające ją zmęczenie, wsunęła się do najbliższej ławki i usiadła. Popatrzyła na krzyż. Nie była religijna, jednak ból malujący się na umęczonej twarzy Chrystusa poruszył ją do głębi.

Doskonale знаła podobne cierpienie.

Obraz przed jej oczami nagle się zamazał, zniekształcony przez łzy. Zakryła twarz, jakby chciała je ukryć, zaprzeczyć ich istnieniu.

Siedziała w ławce przez długą chwilę, nie mogąc się poruszyć. Ucisk w jej piersi narastał, pęczniał boleśnie. Czekala, aż to dziwne uczucie minie, modliła się niemal, aby odeszło. Kiedy w końcu ustąpiło, pozostawiając po sobie pustkę – poczuła rozczarowanie. Przez jej ciało przebiegł dreszcz. Odetchnęła głęboko, otarła oczy i wstała.

Odwróciła się plecami do krzyża i wyszła. Na zewnątrz zimny wiatr smagnął ją po twarzy i zatrzasnął za nią drzwi kościoła.

Przypomniała jej się ważna życiowa lekcja.

Ludzie zawsze powinni trzymać swoje drzwi zamknięte.

*** * ***

Gray miał trudności z zachowaniem powagi.

–Chce ojciec powiedzieć, że na wyspie Bardsey pochowany jest Merlin? – zapytał.

Ojciec Rye uśmiechnął się i upił łyk herbaty.

–Oczywiście, wszyscy w okolicy opowiadają o tym. Mówi się, że jest pochowany w szklanym grobowcu. To akurat jest pewnie wyssane z palca, ale brzmi świetnie, prawda? – Popatrzył na Rachele. – Jednak wielu historyków uważa, że arturiańskie legendy o Avalonie mają swoje źródło na wyspie Bardsey.

–Co to jest Avalon? – spytał Kowalski z ustami pełnymi ciasta.

Gray kopnął go pod stołem. Nie zamierzał pozwolić pastorowi na żadne dygresje – musieli się dowiedzieć jak najwięcej o działalności ojca Giovanniego.

Niestety, było już za późno.

–Eee... celtyckie legendy mówią, że Avalon był rajem na ziemi – odparł ojciec Rye. – Tam wykuto miecz króla Artura, Excalibur. Tam też mieszkała czarodziejka Morgana Le Fay. Była to wyspa, na której rosły rzadkie gatunki jabłoni, stąd też nazwa wyspy... od walijskiego słowa *afal*. Avalon był miejscem, w którym ludzie nie chorowali i dożywali sędziwego wieku. Właśnie tam zabrano króla Artura po bitwie pod Camlann, aby Morgana Le Fay go wyleczyła. I tam pochowano czarownika Merlina.

Wallace miał coraz kwaśniejszą minę.

–To bzdury! – wybuchnął w końcu. – Każdy sądzi, że ma Avalon albo zamek Camelot na własnym podwórku.

Ojciec Rye uśmiechnął się lekko.

–Powiedziałem przecież, że to jedynie legenda. Ale podobnie jak Avalon, wyspę Bardsey od dawna uważa się za cudowne miejsce. Potwierdza to nawet książka podróżnicza z tysiąc sto osiemdziesiątego ósmego roku. Autor przedstawił mieszkańców wyspy jako ludzi niezwykle zdrowych i napisał, że „mało który umiera w innym wieku niż podeszły”. No i nie możemy zapominać o naszych magicznych jabłkach...

–Jabłkach? – powtórzył zdezorientowany Kowalski.

–Może powinniśmy odrzucić na bok mity – zasugerował Gray, próbując sprowadzić rozmowę z powrotem na ojca Giovanniego.

–To nie mity. – Ojciec Rye wstał, podszedł do stojącej na kontuarze misy, wziął z niej jabłko i rzucił je Grayowi. – Czy to wygląda jak mit, młody człowieku? Syn Maggie zerwał je z rosnącego na wyspie drzewa w ubiegłym tygodniu.

Gray popatrzył na owoc wielkości pięści.

–Nie ma podobnego jabłka na świecie – powiedział z dumą ojciec Rye. – Parę lat temu kilka owoców z tego drzewa wzięto do Krajowego Zbioru Owoców w Kencie. Przebadano je tam i

stwierdzono dwie rzeczy: po pierwsze, owoce z wyspy są nieznaną dotychczas odmianą, a po drugie są bardzo odporne na gnienie i choroby. Przebadano też starą jabłoń i stwierdzono, że jest w doskonałym stanie. Niektórzy uważają, że może to być egzemplarz pochodzący z ogrodu założonego na wyspie tysiąc lat temu przez mnichów z Saint Mary.

Gray ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w owoc na swojej dłoni. Wszystko wskazywało na to, że z wyspą Bardsey związana jest długa i niesamowita historia: najpierw uzdrowicielskie zdolności fomoriańskiej królowej, potem celtyckie legendy o Avalonie, a na koniec to niezwykle jabłko...

Wyjrzał przez okno na skalisty pagórek na morzu.

Co tam się kryło?

Ale ojciec Rye jeszcze nie skończył swojego wykładu.

–Wszystko, co trwa w czasie, musi się kiedyś skończyć – stwierdził. – Celtowie nie byli pod tym względem wyjątkiem. Zostali w końcu pobici przez Rzymian, choć walki trwały piętnaście lat, a rzymscy żołnierze skarżyli się, że druidzi rzucają na ich oddziały klątwy... tak samo, jak w dawnych czasach Fomorianie na Celtów. Kiedy zniknęli druidzi, pojawili się mnisi i objęli rządy nad tą pogańską krainą. W trzynastym wieku założono na wyspie opactwo. Ruiny wieży istnieją do dziś.

–A co z dwudziestoma tysiącami świętych, o których ojciec wspomniał na początku? – spytał Wallace.

Ojciec Rye znowu upił łyk herbaty i jednocześnie kiwnął głową, ale jakimś sposobem udało mu się nie uрониć ani kropli.

–Wyspa Bardsey znana jest jako Wyspa Dwudziestu Tysięcy Świętych, bo właśnie tylu skazanych na śmierć chrześcijan na niej pochowano.

–Aż tylu? – zdumiał się doktor. – Nie ma żadnych archeologicznych relacji o istnieniu w tym rejonie masowych grobów.

–Ma pan rację. Cóż, to tylko legenda... Ale miejscowi opowiadają o zabójczej chorobie, jaka spadła na Bardsey, uśmiercając większość wieśniaków i mnichów. Ich ciała spalono, a prochy rozsypano nad morzem.

Przypominało to historię wioski w górach. Spalono i usunięto dowody, pozostały jedynie plotki i tajemniczy wpis w „Księdze zliczania”.

–Tak czy owak, od chwili przybycia tu mnichów te wyspy znowu zaczęto uważać za święte. Bardsey stała się miejscem pielgrzymek i jest nim po dziś dzień. Watykan ogłosił, że trzy wyprawy na wyspę są równe jednej do Rzymu. Jeśli o mnie chodzi, bardzo mi to odpowiada.

Wielu innym pewnie też. – Ojciec Rye machnął ręką w kierunku kościoła. – Najstarsze fragmenty Saint Hywyn pochodzą z tysiąc sto trzydziestego siódmego roku. Przez jego drzwi przeszły tysiące udających się na wyspę pielgrzymów. Razem z większością ówczesnych irlandzkich i angielskich świętych.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł trzynasto – lub czternastoletni chłopak. Szybko ściągnął czapkę, odsłaniając płomiennorudą czuprynę.

Ojciec Rye wstał.

–Jesteś, Lyle – powiedział. – Tata przygotował prom dla naszych gości?

Chłopak przyjrzał się wszystkim obecnym.

–Oczywiście, ojczu. Kazał mi ich przyprowadzić. Musimy się jednak pospieszyć, bo wiatr coraz bardziej się nasila.

Ojciec Rye pokiwał głową, wyraźnie zasmucony, że straci słuchaczy.

–Powinniście natychmiast wyruszyć w drogę – stwierdził. – Lepiej, żeby sztorm nie złapał was w połowie drogi.

Gray wstał.

–Wobec tego ruszajmy.

–Czy mój pies może zostać u ojca? – spytał Wallace. – Nie trawi pływania statkiem.

Uśmiech powrócił na twarz pastora.

–Oczywiście. Będzie pan go mógł zabrać w drodze powrotnej.

Rufus wyglądał na bardzo zadowolonego z tej decyzji. Opuścił łeb na łapy i dalej grzał się przy kominku.

–Lyle, nie zapomnij pokazać im Groty Pustelnika! – zawołał ojciec Rye, kiedy wychodzili.

Gray odwrócił się zdziwiony.

Pastor popatrzył na niego.

–To właśnie tam pochowano Merlina – wyjaśnił.

Godz. 11. 22

Rachele uważnie przyjrzała się promowi. Stateczek wyglądał solidnie. Był to dwukadłubowiec

z osłoniętą kabiną sternika z przodu i otwartym pokładem z tyłu. Pływała już podobnymi jednostkami, kiedy nurkowała w rejonie Morza Śródziemnego. Były bardzo stabilne i sprawdzały się w różnych trudnych sytuacjach.

Ale sposób, w jaki statek podskakiwał i przechylał się na spienionych falach, mógł wzbudzać niepokój. Trzymając jedną dłoń kołnierz płaszcza tuż przy szyi, Rachele popatrzyła na szarpaną wiatrem powierzchnię morza. Czuła w powietrzu deszcz. Choć na brzegu było jeszcze sucho, w ich stronę sunęła ulewa.

Nietrudno było odgadnąć, o czym myśli.

– „Benlli” to dobra łódź – zapewnił ją kapitan promu, ubrany w gruby sweter i żółty przeciwdeszczowy kombinezon. Był to ojciec Lyle'a, Owen Bryce. Jego syn skakał po pokładzie ze zwinnością małpy. Ojciec obserwował go z dumą. – Proszę się nie bać, panienko. Dowieziemy was bezpiecznie.

Rachele nie bardzo wiedziała, czy powinna mu wierzyć, ale mężczyzna sprawiał wrażenie pewnego siebie.

Zjawił się Lyle i podał jej rękę. Ujęła ją i zeskoczyła z nabrzeża do łodzi. Gray i Wallace już tam byli i rozmawiali cicho. Kowalski i Seichan weszli na pokład jako ostatni.

Rachele usiadła obok Graya. Choć trzymała się z dala od Seichan, czuła jej obecność – nie dlatego, że tamta jej się przyglądała, ale dlatego, że unikała patrzenia na nią. Denerwowało to Rachele. Uważała, że zasłużyła przynajmniej na to, aby być zauważaną.

Chcąc odwrócić uwagę od Seichan i niespokojnego morza, skoncentrowała się na Grayu. Gdy podwójne zaburtowe silniki katamaranu zabulgotały, musiał podnieść głos, aby Wallace go słyszał.

– Kiedy byliśmy u pastora, powiedział pan, że nie jest zaskoczony, iż ojciec Giovanni tu wracał... Co pan miał na myśli?

Rachele też to słyszała. Doktor powiedział to, kiedy pastor mówił o pogańskiej królowej.

Wallace kiwnął głową.

– Zgadza się. Jako historyk specjalizujący się w neolitycznej Brytanii, dość dobrze znam irlandzkie legendy o fomoriańskich olbrzymach, które kiedyś zamieszkiwały te ziemie.

Podobno zjadały ludzi żywcem. Ale Marca najbardziej musiała zainteresować wzmianka, że byli potomkami Chama.

– Dlaczego?

–Zaczniemy od tego, że wszystkie celtyckie legendy były przekazywane ustnie. Przetrwały do dziś tylko dzięki irlandzkim mnichom, którzy spędzali większość życia na żmudnym kopiowaniu manuskryptów i ozdabianiu ich iluminacjami. Dzięki nim ocalały największe skarby zachodniej kultury, łącznie z irlandzkimi sagami i legendami. Musi pan jednak pamiętać o tym, że mnisi byli chrześcijanami, więc wiele opowieści nabrało biblijnego wydźwięku.

–Jak historia o pochodzeniu Fomorian... mówiąca o tym, że byli potomkami Chama.

–Właśnie. W Biblii w żadnym miejscu nie wspomina się, jakiej rasy byli ci potomkowie, ale dawni uczeni żydowscy i chrześcijańscy uważali, że z powodu przekleństwa mieli czarną skórę. To przekleństwo miało też usprawiedliwiać niewolnictwo.

Gray oparł się wygodnie. Powoli wszystko zaczynało mu się układać w głowie.

–Mówi pan, że według Celtów fomoriańska królowa była czarna, i dlatego mnisi uznali, że również pochodzi od Chama.

Wallace kiwnął głową.

–Tak, była ciemnoskórą królową, która potrafiła leczyć chorych.

–Dla Marca była prawdopodobnie pogańskim wcieleniem Czarnej Madonny. – Kiedy łódź wpłynęła na jeszcze bardziej spienione otwarte wody, Gray popatrzył w stronę wyspy. – Prawdopodobnie z tym samym źródłem związane są również legendy o Avalonie i czarownicy Morganie Le Fay... Kolejna kobieta o cudownej uzdrowicielskiej mocy.

–Nic dziwnego, że ojciec Giovanni miał obsesję na punkcie tego miejsca – stwierdziła Rachele.

–Nie tylko dlatego, ale także z powodu klucza – odparł Wallace.

–Klucza Dnia Sądu Ostatecznego? – zapytała Rachele. – Sądziłam, że pana zdaniem to wymysł.

–Owszem, tak uważałem, ale Marco wierzył, że ten klucz naprawdę istnieje. Wszystkie dotyczące go legendy mówią, że otwiera wielki skarb, który może uratować ludzkość. Marco był przekonany, że jest na dobrym tropie, badając miejsca opisane jako „spustoszone”, a ja powoli też tak zaczynam myśleć.

–Dlaczego pan zmienił zdanie? – spytał Gray.

–Z powodu opowieści ojca Rye. Według niego Fomorianie walczyli z nacierającymi Celtami, rzucając na nich plagi, a potem ponoć to samo robili druidzi z próbującymi podbić

kraj Rzymianami. Zastanawiam się więc, czy Celtowie nie dowiedzieli się czegoś od podbitych Fomorian... czegoś, co wcale nie dotyczyło sposobów uprawy roli. Może poznali nowy środek

bojowy, nowy rodzaj broni. Być może w tych legendach tkwi ziarno prawdy, ukrytej także w „Księdze zliczania”.

Rachele zaczęła się domyślać, do czego Wallace zmierza, ale zanim zdążyła się odezwać, Gray zapytał:

–Sądzi pan, że umiejętność rzucania plag przetrwała aż do jedenastego wieku? Może to jakaś wczesna postać broni biologicznej...

Rachele przypomniła sobie wygląd mumii: zakonserwowane, z rosnącymi w środku koloniami grzybów.

–Czy ktoś mógł zatruć mieszkańców tych wiosek jakimś grzybnym pasożytem? – spytał Gray. – A jeśli tak, to dlaczego?

–Jak już mówiłem, wszystkie wioski wspomniane w „Księdze zliczania” znajdowały się na terenach, na których wciąż trwały tarcia między chrześcijanami a poganami. Moim zdaniem szczególne znaczenie ma fakt, że pierwszym zaatakowanym miejscem była wyspa Bardsey, święte miejsce druidów. Nie mogło im się podobać, że zostało zaanektowane przez mnichów i chrześcijan.

–Sądzi pan, że tych wszystkich ludzi uśmierciła jakaś tajna sekta druidów?

–A potem przenieśli wojnę dalej, na największą angielską wyspę – powiedział Wallace. – Podejrzewam, że zaczęli od pogranicza, spodziewając się, że plagi szybko rozprzestrzenią się na całą Anglię.

Przerwał, bo w łódź uderzyła większa fala, i musiał złapać się relingu.

–Być może ukrytym celem „Księgi zliczania” było sporządzenie mapy tych biologicznych ataków. Urzędnicy, którzy zbierali dane, zostali rozesłani po całej Anglii, do wszystkich miast i wsi. Prawdopodobnie mieli zbadać, z czym mają do czynienia, i jakoś to powstrzymać.

–I co? – spytała Rachele.

–No cóż, zagrożenie się nie rozprzestrzeniło – odparł doktor. – Musiano znaleźć coś, co chroniło przed plagami. A potem gdzieś to ukryto.

–Ten klucz Dnia Sądu Ostatecznego... sądzi pan, że to coś w rodzaju lekarstwa?

Wallace dotknął palcem czubka swojego nosa.

–Więc jesteśmy na dobrym tropie? – zapytał Gray z nadzieją w głosie.

Nie mieli czasu na pomyłki.

Położył dłoń na ręce Rachele i lekko ją ścisnął, próbując dodać jej w ten sposób otuchy.

–Marco z pewnością wierzył w istnienie tego klucza – odparł doktor. – I sądząc po tym małym makabrycznym drobiazgu w sakiewce, prawdopodobnie coś odkrył. A wiemy, że zaczął poszukiwania tutaj, na Bardsey.

Skinął głową w stronę rosnącego masywu wyspy, ukrytej za ścianą sztormu. Chwilę później prom również otoczyły burzowe chmury. Wiatr nasilił się gwałtownie, a w łódź uderzały płachty lodowatej wody, jakby chciały wepchnąć ich pod powierzchnię morza. Widoczność spadła do kilku metrów.

–Trzymajcie się! – krzyknął Kowalski ze sterówki, w której stał razem z kapitanem. – Przed nami duża fala!

Dziób promu uniósł się wysoko w górę, po czym runął z powrotem do wody. Wszystko wokół się rozmazało, a łódź zadygotała i zabujała się na boki.

Żołądek Rachele również zaczął wyprawiać dzikie harce. Zalała ją fala nieprzyjemnego gorąca, ale dłonie miała zimne i lepkie. Nie było szans, aby zdążyła dotrzeć do toalety. Odwróciła się na siedzeniu, wychyliła przez reling i pozwoliła, aby treść żołądka wypłynęła na zewnątrz gwałtownym strumieniem. Tak bardzo ją to wycieńczyło, że z trudem udało jej się utrzymać na nogach.

Morze niespokojnie falowało, jakby szykowało się do zalania pokładu. Gdy łódź znowu mocniej się zabujała, reling wyslizgnął się z dłoni Rachele i dziewczyna osunęła się na pokład.

Natychmiast objęło ją silne ramię.

–Trzymam cię – powiedział Gray.

Oparła się o niego, próbując uspokoić wzburzony żołądek.

Przez resztę podróży nie odsunęła się od Graya nawet na centymetr.

Wydawało się, że upłynęło wiele godzin, zanim przed nimi pojawił się ląd. Sztorm nieco osłabł, ulewa zamieniła się w mżawkę. Kapitan wpłynął do portu, a Lyle wyskoczył na falochron i rzucił odbojniki. Po kilku sekundach byli już przycumowani.

Rachele z westchnieniem ulgi zeszła z bujającego się promu. Chrząst żwiru pod stopami dawno nie sprawił jej takiej przyjemności.

–Wszystko w porządku? – spytał Gray.

–Tak... tak sądzę. Dobrze, że już nie kołysze.

–Jesteś pewna, że to była tylko wina kołysania?

Rachele już zamierzała kiwnąć głową, ale nagle przypomniała sobie, co Seichan mówiła o truciznie. Jednym z pierwszych objawów miały być mdłości. A jeśli to była wina nie tylko fał?

Godz. 12. 05

Wyspa Bardsey, Walia

Traktor powoli wjeżdżał na zbocze. Ciągnął za sobą przyczepę do przewożenia siana, na której kuliła się grupka przemoczonych do suchej nitki ludzi. Rozciągnięta nad nią płachta chroniła przed strumieniami deszczu, jednak nie mogła osłonić pasażerów przed lodowatymi podmuchami wiatru.

Gray siedział przy samej burcie przyczepy i robił, co mógł, aby się przed nimi schować. Wprawdzie sztorm nieco osłabł, ale niebo na zachodzie zrobiło się prawie czarne, zapowiadając nadejście poważnych kłopotów.

Mniej więcej w połowie zbocza otworzyła się przed nimi panorama wyspy. Z tyłu wyrastała z cypla wysoka, pomalowana w biało-czerwone pasy latarnia morska. Między nią a zajmującym przynajmniej trzy czwarte wyspy wzgórzem leżały pola uprawne. Na Bardsey było jedynie kilkanaście całorocznych domów – należących do rolników i ludzi wynajmujących pokoje miłośnikom wędrówek po górach, obserwatorom ptaków i pielgrzymom.

Były tu jedynie polne drogi, po których jeździło się traktorami.

Od razu poczuli się jak w innej epoce.

U szczytu podjazdu traktor się zatrzymał. Lyle – ich kierowca i przewodnik – przeskoczył z kabiny do przyczepy, kucnął pod plandeką i czekał, aż przez wzgórza przetoczy się echo grzmotu.

–Ojciec Rye powiedział, że powinniście zobaczyć Grotę Pustelnika. Trzeba tam dojść na piechotę. Mogę pokazać drogę.

Kowalski poklepał się po kieszeni, szukając cygara.

–Chyba nie mam nastroju do składania wizyt pustelnikom – mruknął.

Gray zignorował go i podszedł do Lyle'a.

–Mówiłeś, że pomagałeś ojcu Giovanniemu. Podobno większość czasu spędzał w ruinach dawnego opactwa. Często chodził do grotty Merlina?

–Właściwie to nie. Tylko trochę na początku. Potem chyba przestał.

–Pokaż nam drogę – powiedział Gray, który doszedł do wniosku, że mimo wszystko powinien rzucić okiem na grotę.

–Pójdę z panem – zaofiarował się Wallace. – Szkoda byłoby przebyć taki kawał drogi i nie złożyć uszanowania wielkiemu Merlinowi – dodał z ironią.

Gray z niepokojem popatrzył na Rachele. Nadal nie wyglądała zbyt dobrze, choć trudno byłoby stwierdzić, czy spowodowała to choroba morska, zatrucie biotoksyną czy może coś jeszcze innego.

Zeskoczył z przyczepy i ze zdumieniem zobaczył, że Seichan robi to samo. W milczeniu podążyła za Wallace'em i chłopakiem.

Gray podejrzewał, że mniej jej zależało na zwiedzeniu groty Merlina, a bardziej na oddaleniu się od Rachele. Zrzucił na ramię plecak i ruszył wąską ścieżką za oddalającą się grupką.

Seichan zwolniła, aby się z nim zrównać.

–Musimy porozmawiać – powiedziała, nie patrząc na niego.

–Nie mamy o czym.

–Przestań zachowywać się jak idiota. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, wcale nie cieszy mnie moja rola w tej sprawie. Nie trułam Rachele z własnej woli. Chyba to rozumiesz, prawda?

Nie wierzył jej.

–To nieistotne, bo zakończenie będzie takie samo. Dostaniesz to, czego chcesz, a zapłacą inni – odparł. – Jak wypadły odwiedziny u wdowy po weneckim kuratorze? – dodał, aby jej dopiec.

Zmrużyła oczy. Zraniona i wściekła odwróciła się od niego.

–Cokolwiek tu się dzieje, poruszyło Gildią od samych szczytów po szeregowych członków. Wyasygnowali duże środki na znalezienie tego klucza. Do tej pory tylko raz byłam świadkiem takiej mobilizacji: kiedy szukaliśmy kości Mędrców.

–Dlaczego? – spytał Gray.

–Nie mam pojęcia. Ale cokolwiek dzieje się w Viatusie, jest to jedynie wierzchołek góry lodowej. Podejrzewam, że Gildia manipulowała korporacją, wykorzystując ją do swoich celów. Potrafi to doskonale robić. Jest jak wnikaający w ciało pasożyt: wysysa je i idzie dalej.

–A jaki teraz jest jej cel?

–Odnalezienie klucza. Ważniejsze jest jednak inne pytanie: czemu ten klucz ma dla Gildii tak wielkie znaczenie? Odpowiedz na nie, a może zbliżysz się do jego odnalezienia.

Musiał przyznać, że miała sporo racji. Może powinien spojrzeć na sprawę z innego punktu, cofnąć się o krok lub dwa.

–Wiemy, że Viatus zabrał mumie i przeprowadzał na nich eksperymenty – dodała po chwili Seichan. – Ale ciała zostały odkryte trzy lata temu, co oznacza, że przez długi czas nikt o niczym nie wiedział. Ja przynajmniej nie miałam o tym pojęcia. Gildia ujawniła swoje zamiary dopiero wtedy, gdy ojciec Giovanni skontaktował się z Vigorem Veroną. Każdy, kto wiedział, gdzie przyłożyć ucho, mógł się zorientować. W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin odkryli się bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Właśnie to sprawiło, że pojechałam do Włoch i zaczęłam szukać Rachele.

Kiedy wymawiała imię bratanicy Vigora, z jej ust wyrwał się mimowolny jęk.

–Wallace uważa, że to, co nazywamy kluczem, może być środkiem przeciwdziałającym jakiejś dawnej broni biologicznej – powiedział Gray. – Jeżeli Gildia go zdobędzie, uzyska kontrolę nad tą bronią.

–Może masz rację, ale Gildii z pewnością chodzi o coś więcej... Zaufaj mi.

Gray musiał użyć całej siły woli, aby nie wybuchnąć.

Zaufać jej?

Nie miała prawa używać tych słów.

Na szczęście od odpowiedzi zwolnił go Wallace, który uniósł rękę i wskazał jakiś punkt na ziemi.

–Oto i ona! – zawołał.

–Zastanów się nad tym – powiedziała Seichan. – Ja wracam do traktora.

Gray ruszył za Lyle'em, który już wszedł do groty. Wejście było małe, znajdująca się za nim jaskinia też nie była zbyt duża. Klęcząc na ziemi, Gray wyciągnął z plecaka latarkę i poświecił do środka. Jaskinia była dziełem natury i jeśli nie liczyć zgniecionej puszki po piwie i kupki śmieci, niczego w niej nie było.

Jeżeli było to miejsce ostatniego spoczynku Merlina, nie miał być z czego dumny. Nic dziwnego, że ojciec Giovanni przestał tutaj przychodzić.

–Niczego ciekawego tu nie ma – mruknął Wallace.

–Jedźmy na wzgórze – zaproponował Gray.

Ruszyli szybkim krokiem do traktora, bo deszcz zaczął się nasilać. Lyle wjechał na grzązki teren i zaczął zjeżdżać po drugiej stronie.

Przed nimi rozciągała się płaska przestrzeń, podzielona na pola uprawne i pastwiska. Ich cel znajdował się u stóp wzgórza – wieża o prostokątnej podstawie, z której pozostała nie więcej

niż połowa, otoczona cmentarzem. Było to wszystko, co zostało z opactwa Saint Mary.

Z boku stały dwa nowsze budynki: kaplica i mały dom. Ze wzgórza można było dostrzec fragmenty starych fundamentów.

Kiedy schodzili, Lyle wskazał widoczny w dole domek.

–To Plas Bach – powiedział. – Można go wynająć. Właśnie tam rośnie nasza sławna jabłoń.

Gray sięgnął do kieszeni i stwierdził, że cały czas ma w niej jabłko, które dostał od ojca Rye. Przypomniało mu ono, co mówiono o mieszkańcach opactwa. Wiele źródeł wspominało, że zarówno jabłoń, jak i mnisi byli bardzo zdrowi i długowieczni. Czyżby braciszkanie znali jakąś tajemnicę? Może chodziło o to, czego wszyscy szukali – o klucz Dnia Sądu Ostatecznego? A jeśli tak, jak mogli go odnaleźć?

Wyrzucając chmurę spalin, traktor zatrzymał się u stóp wzgórza, przy cmentarzu, na którym stały liczne celtyckie krzyże. Jeden z nich, ukryty w cieniu rozpadającej się wieży opactwa, był szczególnie wysoki.

Zsiedli z przyczepy i otrzepali się z resztek siana. Ulewa właśnie zrobiła sobie przerwę, co wszyscy przyjęli z ulgą. Niestety, na północy zaczęło błyskać, a basowe grzmoty zapowiadały kolejną falę deszczu. Musieli się szybko uwijać.

Gray podszedł do Lyle'a.

–Mówiłeś, że ojciec Giovanni spędzał większość czasu właśnie tutaj. Wiesz może, co wtedy robił?

Chłopak wzruszył ramionami.

–Cały czas był przy ruinach. Głównie mierzył.

–Mierzył?

Lyle kiwnął głową.

–Miał taśmy miernicze i takie... jak to się nazywa... – wyciągnął ramiona i popatrzył wzdłuż nich -... takie małe teleskopy do określania wysokości.

–Sprzęt mierniczy. Spędzał w jakimś miejscu więcej czasu?

–Przy krzyżach i starych kamiennych ruinach.

–Ruinach? Masz na myśli opactwo Saint Mary?

Podszedł do nich Wallace.

–Chyba chodzi o inne, znacznie starsze ruiny. Prawda, Lyle?

–Tak, proszę pana.

–Możesz je nam pokazać?

–Jasne.

Pobiegł w głąb cmentarza, więc za nim podążyli. Mijając celtyckie krzyże, wskazywał każdy z nich. W końcu dotarli do najwyższego. Stał na niewielkim wzniesieniu.

–To grób lorda Newborough – wyjaśnił chłopiec. – Był jednym z najznakomitszych bardseyowskich szlachciców i wielkim dobroczyńcą Kościoła.



Gray przyjrzał się krzyżowi. Ojciec Giovanni z pewnością znał celtyckie krzyże, będące modyfikacją starszych krzyży druidów, zapożyczonych przez nich od starożytnych ludów zamieszkujących Wyspy Brytyjskie i rytych na ustawianych pionowo kamieniach.

Jeden symbol łączący trzy kultury, który przetrwał od czasów starożytnych do współczesności.

Czyżby „klucz” odbył tę samą drogę? Od starożytnych ludów, poprzez Celtów, aż do chrześcijan?

Wallace popatrzył na cmentarz.

–Ojciec Giovanni mierzył te wszystkie krzyże?

–Tak.

–I to samo robił z ruinami?

–Proszę za mną – powiedział Lyle, po czym obszedł ruiny dzwonnicy i ruszył na porośnięte trawą pole. – Oglądał dokładnie wszystkie starożytne kamienne kręgi w miejscach, gdzie

kiedyś stały chaty – dodał. – Większość z nich znajduje się po tej stronie wyspy.

–Nic dziwnego, że mnisi właśnie tutaj zbudowali opactwo – stwierdził Wallace. – Budowanie chrześcijańskich świątyń w miejscach starego kultu było dawniej powszechną praktyką. Chodziło przy tym nie tylko o pozbycie się tego, co dawne, lecz o ułatwienie ludziom przejścia na nową wiarę.

–Tutaj! – zawołał Lyle. – To chyba jedno z tych miejsc!

Gray i Wallace podeszli do niego. Stał pośrodku kręgu składającego się z zagłębionych do połowy w ziemi kamieni. Gray zaczął go obchodzić.

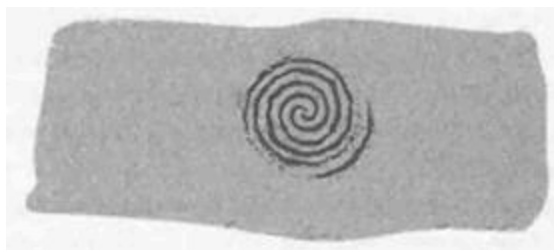
Wallace podrapał się w brodę.

–Jesteś pewien, że to właśnie ten krąg? Ten, którym szczególnie interesował się ojciec Giovanni?

Chłopiec się zawahał.

Gray zatrzymał się przy jednym z kamieni. Kiedy ukląkł i rozsunął trawę, upewnił się, że są we właściwym miejscu.

Na głazie wyryto znany im już znak – spiralę.



Rozejrzał się po polu i popatrzył na kompas. Dokładnie na wschodzie stał krzyż nagrobny lorda Newborough, wielki celtycki symbol pochodzący z tych samych zamierzchłych czasów co spirala na kamieniu u stóp Graya.

–Jesteśmy tu, gdzie trzeba... – mruknął pod nosem.

–Słucham? – spytał Wallace.

Gray przyglądał się stojącemu w oddali krzyżowi. Nie potrzebował przyrządów mierniczych, choć gdyby Lyle nie powiedział mu o prowadzonych przez ojca Giovanniego badaniach, nie wpadłby na to tak szybko.

–Wiem, gdzie patrzył ojciec Giovanni – oświadczył.

–Gdzie? – zapytała Rachele.

–Tam – odparł Gray, wskazując grobowiec lorda Newborough. – Tu jest tak samo, jak na kamieniach z pańskich wykopalisk, doktorze. Z jednej strony krzyże, z drugiej spirale.

–I tak samo jak na skórzanej sakiewce – przypomniała mu Rachele.

–Marco sam musiał się tego domyślić... Ojciec Rye mówił, że coś się z nim stało ubiegłego lata w czerwcu, a to oznacza, że był tu podczas przesilenia letniego. Ten najdłuższy dzień w roku to dla pogan wielkie święto, zwłaszcza dla wyznawców Słońca. – Wskazał krzyż i przeciągnął w powietrzu linię od niego do swoich stóp. – Jestem prawie pewien, że obliczenia, które prawdopodobnie przeprowadził Marco, wykazałyby, że kiedy rano w dniu przesilenia pierwsze promienie słońca oświetlają krzyż, jego cień sięga aż tutaj.

–I to doprowadziło Marca do jakiegoś ważnego odkrycia?

–Myślę, że tak – odparł Gray. – Dla pewności mógłbym odmierzyć odległość krokami, ale nie sądzę, aby to było konieczne. Popatrzcie, co znajduje się dokładnie w połowie między krzyżem a spiralą.

Wskazał na zrujnowaną budowlę.

–Wieża Saint Mary... – mruknął Wallace. – Sądzi pan, że to, co odkrył Marco, znajdowało się pod wieżą?

–Sam pan mówił, że Kościół stawiał swoje świątynie na miejscach dawnego kultu. Wyspa jest pełna jaskiń uważanych przez druidów za święte i do dziś krążą opowieści o potężnych druidach, reprezentowanych w tych legendach przez Merlina, pochowanych w grocie na wyspie. Ale może wcale nie o tę grootę chodzi?

–I tajemnica kryje się nie w Grocie Pustelnika, ale gdzieś pod opactwem? – powtórzył doktor.

–Tylko jak się tam dostać? – zastanawiała się Rachele.

Wokół ruin wieży nie było widać żadnych śladów wykopów.

–Musi być jakiś inny sposób dostania się pod ziemię – mruknął Gray i odwrócił się do Lyle'a. – Czy w okolicy są jakieś groty albo tunele? – zapytał.

–Mnóstwo, ale żadnych w pobliżu – odparł chłopak.

Zapadło milczenie. Gray popatrzył na Rachele. Nie mieli czasu na długie poszukiwania.

–Mogę pokazać panu to, co pokazałem ojcu Giovanniemu! – zawołał nagle Lyle. – To nie jaskinia, ale może się tak samo nadawać.

–To znaczy?

–Chodźcie za mną. Często przychodzę tam z kolegami – powiedział chłopak i biegiem ruszył w stronę ruin.

–Aż tak się nie spieszymy – burknął Kowalski.

–Mów za siebie – ofuknęła go Rachele.

Lyle zaczął obchodzić wieżę, ale tym razem kierował się w przeciwną stronę niż ta, z której przyszli. Kiedy niemal zatoczył koło, zatrzymał się niedaleko dużego celtyckiego krzyża i wskazał otoczony kamieniami prostokątny otwór w ziemi.

–Co to jest? – spytał Wallace.

Gray ukląkł i zajrzał do środka. Boki otworu wyłożono ceglami, a przy samym dnie w jednej ze ścian była wycięta nisza.

–Mówiłem, że to nie jaskinia – powiedział Lyle.

Gray wziął do ręki latarkę.

–To krypta – stwierdził.

–Grobowiec lorda Newborough... – mruknął Wallace. – Oczywiście już go tam nie ma. Przynajmniej tak myślę.

–Musimy to zbadać – oświadczył Gray.

Kowalski pokręcił głową i cofnął się o dwa kroki.

–Beze mnie. Kiedy wchodzisz do jakiejś dziury, zawsze dzieje się coś złego.

13 października, godz. 12. 41

Svalbard, Norwegia

Monk posłał milczącą modlitwę dziękczynną inżynierom, którzy wymyślili ogrzewane rączki skuterów śnieżnych. Wraz ze zbliżaniem się burzy temperatura ciągle spadała. Mimo zimowego kombinezonu, kasku, rękawic i kilku warstw specjalnej bielizny coraz bardziej doceniał najnowsze rozwiązania techniczne zastosowane w skuterach.

Zaparkowali w dolince poniżej Światowego Skarbca Ziaren. Wejście do podziemnego bunkra w górze Plataberget znajdowało się w odległości około dwustu metrów od nich. Gdyby nie ten betonowy twór, nic nie wskazywałoby na obecność ludzi w tej dzikiej okolicy.

No i oczywiście były jeszcze patrole norweskiej armii.

–Mamy towarzystwo – rozległ się w hełmie Monka głos Creeda.

Obrócił się na siedzeniu i zobaczył, że zza pokrytej lodem skarpy wyjeżdża dwuosobowy snowcat. Spod jego gąsienic wystrzeliwał strumień śniegu i kawałków lodu.

Przez całą minioną godzinę bawili się z patrolami w kotka i myszkę. Próbowali trzymać się od nich z daleka, jednocześnie starając się sprawiać wrażenie, że wcale tego nie robią.

–Co robimy? – spytał Creed.

–Nie wychylamy się, nadal udajemy turystów.

Gdyby jechali na mniejszych pojazdach, prawdopodobnie udałoby im się uciec masywnym snowcatom, ale taka próba byłaby przyznaniem się do winy.

Monk uniósł rękę w geście pozdrowienia.

Wcześniej sporo czasu poświęcił na obserwację norweskich żołnierzy. Większą część dnia spędzali na rozmowach i paleniu papierosów. Gdyby miał jednym słowem określić panującą wśród nich atmosferę, powiedziałby: nuda. W tak odizolowanym od świata miejscu żołnierze nie spodziewali się żadnego zagrożenia.

Monk i Creed nie mieli zamiaru wyprowadzać ich z błędu.

–Zachowaj chłodny umysł – poradził Monk swojemu towarzyszowi.

–Gdybym był jeszcze o jeden stopień chłodniejszy, pewnie bym srał kostkami lodu... – odparł z ponurą miną chłopak.

Monk popatrzył na niego. Czyżby Creed właśnie zażartował? Może jednak nie był jeszcze całkiem stracony.

Drzwiczki sno-cata otworzyły się i z ciepłej kabiny wypłynęła chmura pary. Żołnierz nawet nie założył kaptura i nie zapiął kurtki. Był blondynkiem o rumianych jak jabłuszka policzkach i wyglądał, jakby właśnie wyskoczył z norweskiej wersji katalogu Ralpa Laurena.

Monk zdjął kask. Creed zrobił to samo.

Żołnierz machnął do nich ręką i powiedział coś po norwesku. Monk nie rozumiał słów, ale ich znaczenie było jasne: „Co tu robicie?”

Creed zaczął z nim rozmawiać, kalecząc język i usiłując mu wytłumaczyć, po co tu przyjechali. Monk próbował go wesprzeć, wyciągając z kieszeni książkę o ptakach, którą wziął z agencji wynajmu skuterów. Pokazał też lornetkę, którą zawiesił sobie na szyi.

Nie ma tu nikogo poza nami, zwykłymi obserwatorami ptaków, panie wojskowy...

Żołnierz kiwnął głową.

–Burza idzie – ostrzegł ich po angielsku i machnął ręką w kierunku Longyearbyen. – Trzeba wracać, nie możecie tu zostać.

–Zaraz wracamy – odparł Monk. – Tylko chcieliśmy trochę odpocząć.

Mówiąc to, pomasaował się po pośladkach, co rozśmieszyło Norwega.

Niemal w tym samym momencie z trzaskiem otworzyły się drugie drzwiczki sno-cata, na zewnątrz wyskoczył kierowca, krzyknął coś, po czym wetknął w usta gwizdek i z kabury u pasa wyciągnął pistolet. Gwizdnął przeraźliwie i wycelował w Monka i Creeda.

Co to miało znaczyć?

Creed i pierwszy z norweskich żołnierzy padli na śnieg, lecz Monk się zawahał. Kierowca sno-cata strzelił trzy razy. Kiedy Monk się odwrócił, ujrzał jakiś ogromny kształt znikający za grupą głazów.

–Niedźwiedź polarny... – wymamrotał Creed, podnosząc się z ziemi.

Był bardzo blady, ale stojący obok niego żołnierz tylko się uśmiechnął i powiedział coś po norwesku do swojego kolegi z pistoletem.

Obaj Norwegowie nie sprawiali wrażenia szczególnie przejętych. Zachowywali się, jakby właśnie przegonili szopa pracza szukającego w śmietniku resztek jedzenia. Tyle że tym razem tymi resztkami mieli być Monk i Creed. Niedźwiedź musiał się podkraść do nich, kiedy się zatrzymali.

Pierwszy z żołnierzy ponownie machnął ręką w kierunku miasteczka, dając im do zrozumienia, że powinni tam jak najszybciej wracać.

Monk kiwnął głową.

Żołnierze wsiedli z powrotem do swojego sno-cata, śmiejąc się i wymieniając jakieś uwagi – pewnie żartowali sobie z Amerykanów.

–Co teraz? – spytał Creed.

–Patrolujemy dalej – odparł Monk. – Ale tym razem ja będę obserwował skarbiec, a ty rozglądaj się i uważaj na wszystko, co będzie miało ochotę nas zjeść.

Przyłożył do oczu lornetkę i rozejrzał się po dolinie. Miał nadzieję, że Painter zaraz się pojawi. Jeśli dalej będą się tu kręcić, na pewno wzbudzą podejrzenia – zwłaszcza że zbliżała się burza.

Wyostrzył lornetkę, aby lepiej widzieć wejście do bunkra. Po chwili zobaczył, że drzwi się otwierają i wychodzi przez nie szczupła jasnowłosa kobieta.

Jeden ze strażników próbował coś do niej zagadać. Kto by nie próbował? Nawet z odległości stu metrów widać było, że blondynka jest bardzo ładna i zgrabna.

Kobieta zbyła strażnika machnięciem ręki i pospieszyła w stronę zaparkowanych obok skarbca samochodów. Najwyraźniej miała już dość przyjęcia i chciała je jak najszybciej opuścić.

Godz. 12. 49

Painter i senator Gorman poszli za dyrektorem Viatusa do biur znajdujących się w głównym korytarzu. W największym z nich zsunięto biurka pod ściany, a na środku ustawiono zaplecze cateringowe – szafki termiczne na kółkach, naczynia z podgrzewaczami i plastikowe pojemniki z jedzeniem. Najwyraźniej przygotowano także desery, bo w całej sali pachniało jak w fabryce czekolady.

Przeszli do jednego z gabinetów w głębi korytarza. Na obu końcach długiego stołu stały dwa włączone komputery. Między nimi leżały sterty aluminiowych paczuszek, a pod ścianą stało kilka czarnych plastikowych pojemników. Jeden z nich był otwarty – i wypełniony srebrnymi kopertami.

–To nasiona, które dziś przysłano – wyjaśnił Karlsen. – Niestety, z powodu przyjęcia nie ma się kto nimi zająć. Ale jutro wszystkie pudła zostaną przejrzane, a ich zawartość skatalogowana...

W tym momencie sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Może powodem tego była nonszalancka postawa Karlsena, lecz gdy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi gabinetu, senator skoczył do przodu, złapał dyrektora Viatusa za przód koszuli i pchnął go z całej siły na stojące pod ścianą pojemniki.

Zaskoczony tym nagłym atakiem Karlsen nie od razu zareagował, ale po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdziwienia.

–Sebastianie, co ty...

–Skurwielu, zabiłeś mojego chłopaka! – wrzasnął Gorman. – A wczoraj wieczorem próbowałeś zabić mnie!

Karlsen odepchnął go obiema rękami i wyzwolił się z uchwytu.

–Zwariowałeś? Dlaczego miałbym to robić?

Painter musiał przyznać, że zaskoczenie w jego głosie brzmi prawdziwie. Wsunął się między obu mężczyzn, nie chcąc dopuścić do czegoś gorszego. Czerwony jak burak senator cofnął się o krok i odwrócił, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

Painter był wściekły na siebie. Nie spodziewał się ze strony Gormana takiej reakcji. Powinien temu zapobiec. Nie było szans wydobycia czegokolwiek z Karlsena zapędzonego w kozi róg.

Postanowił zmienić strategię.

Musi odkryć karty, zanim dyrektor Viatusa otrząśnie się z szoku.

–Wiemy o hodowli grzybów, pszczołach i o tym, co było ukrywane w Afryce – oświadczył.

Jeden cios Karlsen mógł przyjąć, ale całej serii nie powinien wytrzymać.

Fasada Norwega natychmiast pękła, na jego twarzy pojawił się błysk poczucia winy, który świadczył o tym, że wie o wszystkim. Nie był pionkiem ani figurantem. Doskonale wiedział, co się dzieje.

Oczywiście próbował się wycofać i zaprzeczyć.

–Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Nie da się jednak oszukać pogrążonego w żalobie ojca.

Senator Gorman ponownie rzucił się na Karlsena, ale tym razem Painter go nie powstrzymywał. Dyrektor Viatusa musiał zostać wytrącony z równowagi, zaatakowany ze wszystkich stron. Moralnie, psychicznie i fizycznie. Painter zamierzał użyć wszystkich dostępnych mu narzędzi.

Gorman wbił Karlsenowi bark w pierś i pchnął go na ścianę. Impet zderzenia wcisnął z płuc Norwega całe powietrze. Nie na darmo Gorman w czasach studenckich był linemanem w drużynie futbolowej.

Ale Karlsen też nie był stetryczalym dziadkiem. Uniósł ramiona i kiedy senator się odwrócił, z całej siły uderzył go łokciami w plecy.

Gorman upadł na kolana. Natychmiast sięgnął ręką za lewą nogę Karlsena i szarpnął z całej siły, a gdy morderca jego syna upadł twarzą na podłogę, skoczył mu na plecy.

–Zabiłeś Jasona! – wrzasnął. – Zabiłeś go...

Karlsen próbował się uwolnić, ale Gorman nie puszczał.

Dyrektor Viatusa przekręcił głowę, aby móc spojrzeć swojemu przeciwnikowi w oczy.

–Zrobiłem to... dla ciebie! – wycharczał.

Podziałało to na senatora jak kubek zimnej wody, choć Painter nie był pewien, czy sprawiło to samo przyznanie się Karlsena do winy, czy słowa, jakich użył. Do tej pory prawdopodobnie miał jeszcze nadzieję, że Painter się myli – teraz jednak nie pozostała mu już żadna iluzja.

–Zamknij się, do jasnej cholery! – wrzasnął.

Po przewróceniu jednego kamienia domina mogły polecieć następne. To, na co Painter przeznaczał cały dzień, mogło zostać dokonane w ciągu kilku minut, jednak do celu było jeszcze daleko. Karlsen mógł wszystkiemu zaprzeczyć, wszystkiego się wyprzeć. Był u siebie i miał potężne koneksje.

Painter musiał zdobyć przewagę – jednak to oznaczało aresztowanie dyrektora Viatusa. Aby tego dokonać, potrzebował pomocy.

–Niech go pan nie puszcza – powiedział do senatora.

Podszedł do komputerów. Do gabinetu musiała dochodzić wiązka łączy. Linia T1 albo T3 do Internetu, ale co ważniejsze...

Po chwili znalazł kabel telefoniczny. Przeciągnął wzdłuż niego dłonią aż do ściany. Zamierzał przekazać Monkowi sygnał radiowy, jednak z wnętrza góry nie było to możliwe. Będzie musiał wpiąć do linii telefonicznej wzmacniacze sygnału urządzenie o nazwie SQUID. Nagle jego palce namacały coś na kablu telefonicznym. Kiedy go wyciągnął, natychmiast rozpoznał, co do niego podłączono.

Nie był to żaden superwynałazek, ale znacznie wykraczał poza poziom technologii zastosowanej w skarbcu. Po przyjrzeniu się kablowi Painter stwierdził, że w obwód włączono

wzmacniający sygnał sieci komórkowej przekaźnik o małym zasięgu.

Dlaczego ktoś miałby podpinąć do linii telefonicznej taki przekaźnik?

Można to było wyjaśnić tylko w jeden sposób.

Jego rozmyślenia przerwało stuknięcie drzwi.

Odwrócił się i ujrzał wchodzącego do gabinetu prezesa Bouthę. Towarzyszyło mu kilku ludzi. Boutha zatrzymał się zdziwiony, widząc leżącego na podłodze Karlsena i siedzącego mu na plecach Gormana.

–Kelnerzy usłyszeli krzyki... – zaczął i pokręcił głową. – Co tu się dzieje?

Wykorzystując powstałe zamieszanie, Karlsen machnął ramieniem i uderzył senatora łokciem w skroń, odrzucając go na bok i uwalniając się z uścisku.

Boutha i towarzyszący mu mężczyźni blokowali drzwi. Dyrektor Viatusa odwrócił się do Gormana, który zamachnął się na niego pięścią. Karlsen uchylił się i udało mu się uniknąć złamania nosa, ale dostał w oko i zatoczył się kilka kroków do tyłu.

–Stójcie! – krzyknął Painter.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku.

–Musimy natychmiast opuścić to miejsce!

–Dlaczego?

Painter popatrzył na urządzenie, które trzymał w dłoni. Mógł się mylić, nie widział jednak innego powodu zamontowania przekaźnika tego rodzaju.

–Gdzieś tu jest ukryta bomba – wyjaśnił. – Musimy stąd uciekać!

Niestety, było już na to za późno.

Godz. 12. 55

Skupiając wzrok na betonowym bunkrze, przez który wchodziło się do skarbcza, Monk powoli jechał przez zaśnieżoną dolinę. Creed sunął za nim, wypatrując po drodze niedźwiedzi polarnych.

Burza przypędziła nad górę mnóstwo ciemnych chmur, czemu towarzyszył dalszy spadek temperatury. Wiatr również się nasilił i rozrzucał po dolinie tumany lodowych kryształów.

Monkowi wydawało się, że coś usłyszał, więc się zatrzymał i zgasił silnik. Z chmur dochodził

basowy pomruk, jakby gdzieś na północy waliły pioruny. Po chwili zamienił się w ryk i z chmur wypadły dwa odrzutowce, kierując się prosto na nich.

Nie – nie na nich.

Kiedy przeleciały nad ich głowami, gwałtownie skrzyły i przyspieszyły, a spod ich kadłubów wystrzeliły pociski rakietowe powietrze-ziemia klasy Hellfire i uderzyły w grań góry, pod którą ukryty był skarbiec. Na zboczu eksplodowały jaskrawe ognie, w niebo wystrzeliły płomienie i dym.

Fala uderzeniowa omal nie zrzuciła Monka i Creeda z ich skuterów.

Znajdujący się na zboczu żołnierze zostali wyrzuceni wysoko w powietrze, a kilku z nich wybuchy porozrywały na strzępy. Wielki sno-cat zwałił się w dziurę w ziemi ziejącą w miejscu, gdzie jeszcze przed paroma sekundami była droga.

Kiedy wiatr rozwiął dym, Monk rozejrzał się. Bunkier wejściowy nadal stał, ale jeden jego bok był osmalony i wyrwany został z niego spory kawał betonu. Na szczęście rakietka tylko otarła się o budowlę.

Usłyszeli kolejny grzmot. Monk obawiał się, że to drugi nalot, ale tym razem odgłos był inny – składał się z serii głuchych tąpnięć.

Całe zbocze nad wejściem do skarbcza zaczęło się obsuwać. Od szczytu góry oderwał się potężny kawał lodowca i rozpadając się na coraz mniejsze fragmenty, sunął w dół.

Bunkier zasypywała lodowa lawina.

Pozostali przy życiu żołnierze zniknęli pod masą śniegu i lodu.

Lawina się nie zatrzymywała.

–Musimy uciekać! – wrzasnął Creed.

Monk natychmiast wdusił przycisk zapłonu i silnik jego maszyny ryknął. Kiedy przekręcił manetkę gazu, gąsienica zawirowała jak wściekła, na szczęście po chwili złapała grunt. Monk wskazał przeciwległą stronę doliny.

–Tam, na górę! – krzyknął do swojego towarzysza.

Ale Creed nie potrzebował wskazówek. Zdążył już skrócić i gnał na drugą stronę doliny.

Monk czuł pędzącą za nim masę śniegu. Zza jego pleców z prawej strony wyskoczył kawał lodu wielkości garażu. Lodowe okrychy obsypały mu plecy i skuter, ale nie mógł bardziej przyspieszyć – pokręcił już gaz do końca.

Kiedy dogonił ich skraj lawiny, zaczęło się bombardowanie lodowymi głazami. Znaleźli się w chmurze wirujących grudek lodu. Ruch lawiny wypolerował je na gładko, co wyglądało, jakby płynęli w rzece diamentów.

Zacząli wjeżdżać pod górę.

Lodowe potwory za ich plecami jeszcze przez chwilę próbowały ich gonić, ale w końcu opadły na dno doliny.

Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów Monk zatrzymał skuter. Nie wyłączając silnika, obejrzał się za siebie. W dolinie kłębiły się tumany lodowych kryształów, ale wyraźnie widać było przeciwległe zbocze.

Bunkier zniknął.

–Co robimy? – spytał Creed.

Odpowiedział mu czyjś głośny krzyk. Kiedy się odwrócili, zobaczyli, że w ich stronę idzie dwóch norweskich żołnierzy, celując do nich z karabinków szturmowych. Dopiero teraz Monk dostrzegł zaparkowanego nieco wyżej sno-cata.

Była to ta sama dwójka żołnierzy, z którą rozmawiali jakiś czas temu.

Tym razem jednak nie byli przyjaźnie nastawieni.

–Co robimy? – spytał ponownie Creed.

–Poddajemy się – odparł Monk, podnosząc ręce.

Godz. 13. 02

Painter stał w kompletnych ciemnościach – wraz z pierwszymi eksplozjami zgasły wszystkie światła. Z początku sądził, że to eksplodowała ukryta gdzieś na terenie skarbcza bomba, ale po serii wybuchów, których echa doleciały z góry, doszedł do wniosku, że zostali ostrzelani raketami.

Potwierdzenie słuszności tego przypuszczenia nastąpiło chwilę później – wraz z basowym pomrukiem przetaczającym się po skarbcu.

Lawina.

Z tunelu dobiegały krzyki spanikowanych gości i pracowników.

Painter analizował sytuację. Jeśli gdzieś w środku umieszczono bombę, dlaczego nie eksplodowała podczas raketowego ataku?

Ścisnął w dłoni przekaźnik. Być może uratował wszystkim życie, odłączając go od kabla telefonicznego.

Nie zmniejszało to jednak grożącego wszystkim niebezpieczeństwa.

Gdyby sam to zaplanował, ukryłby gdzieś drugi ładunek z opóźnionym zapłonem. Zastanawiał się gorączkowo. Przekaznik miał ograniczony zasięg, więc jeśli w skarbcu była bomba, musiała znajdować się niedaleko i pewnie została niedawno wniesiona.

Firma cateringowa?

Nie – zbyt wielu pracowników i zbyt duże ryzyko. Ktoś niepowołany mógłby coś zobaczyć.

Przypomniał sobie słowa Karlsena sprzed kilku minut: „Nasiona, które dziś przysłano... Niestety, z powodu przyjęcia nie ma się kto nimi zająć”.

Pojemniki.

Podszedł do nich i zaczął grzebać w górnym, sięgając do samego dna. Przesuwał palcami między aluminiowymi kopertami, jednak niczego nie znalazł.

Odepchnął na bok pojemnik, który z trzaskiem spadł na podłogę.

–Co pan robi?! – krzyknął zaskoczony Gorman.

Painter nie miał czasu na dyskusje. W drugim pojemniku również niczego nie było – kiedy jednak zerwał pokrywę z trzeciego, ciemności rozświetlił wyraźny blask, wydobywający się spod warstwy kopert z nasionami.

Obecni w pokoju ludzie podeszli bliżej.

Painter odrzucił koperty, odsłaniając ukryte pod nimi urządzenie.

Zamigotały cyfry na wyświetlaczu.

Zapaliły się światła, znowu zgasły i po chwili ponownie się zapaliły. Najwyraźniej zaczęły działać generatory awaryjne. Krzyki dobiegające z korytarza natychmiast ucichły. Ich sytuacja w niczym się nie poprawiła, ale przynajmniej mogli teraz umrzeć przy zapalonych światłach.

Painter ostrożnie wyjął urządzenie z pudła. Nie przypuszczał, aby eksplozję wyzwał jakiś zamontowany na nim czujnik ruchu, bo pojemnik z nasionami przebył długą drogę i prawdopodobnie wielokrotnie nim rzucano. Opuścił urządzenie na podłogę i ukląkł obok niego.

Miało walcowaty kształt i wielkość dwóch pudełek na buty. Od umieszczonego na wierzchu zegara odchodziły przewody prowadzące do metalowej skrzynki pod spodem. Wojskowy kod – PBXN-112 – nie pozostawiał wątpliwości, z czym mają do czynienia.

–Bomba... – szepnął przerażony Boutha.

Mylił się jednak.

–To głowica bojowa – poprawił go Painter.

Godz. 13. 02

Krista zahamowała u stóp zbocza.

Uciekając, obserwowała w lusterku wstecznym rakietowy atak na bunkier. Płomienie wypełniły świat za jej samochodem, a wstrząsy omal nie wybiły jego szyb. Wyraźnie widziała odrywający się od góry kawał lodowca, który zablokował wejście do skarbcza.

Zatrzymała się, żeby uspokoić drżące dłonie. Oddychała ciężko.

Uciekła zaraz po tym, jak odebrała telefon. A gdyby coś ją zatrzymało? Nie pozostawiono jej czasu na żaden błąd.

A jednak przeżyła.

Przerażenie powoli zamieniało się w ulgę. Zaciśnęła oparte na kierownicy dłonie w pięści i zaśmiała się gardłowo.

Po drugiej stronie drogi pojawili się ludzie w śnieżnych strojach kamuflujących, a drogę zablokował potężny pojazd na gąsienicach.

Nie miała się czego bać. To byli jej ludzie.

Otworzyła drzwi samochodu i ruszyła w ich stronę. Zaczął padać śnieg i w powietrzu wirowały ciężkie płatki. Wsiadła do kabiny wielkiego pojazdu. Z tyłu siedzieli mężczyźni o ponurych

twarzach, uzbrojeni w karabinki szturmowe.

Pozostali zaczęli wsiadać na skutery śnieżne.

Wprawdzie droga prowadząca na szczyt góry została zniszczona, ale Krista miała zadanie do wykonania. Po raketowym ataku mogły pozostać niedobitki, a jej rozkazy były jednoznaczne.

Żadnych świadków.

Godz. 13. 04

–Może pan ją rozbroić? – spytał senator.

Wszyscy, łącznie z Karlsenem, zebrali się wokół Paintera. Norweski potentat miał tak samo nietęgą minę jak reszta. Najwyraźniej o niczym nie wiedział – dowodził tego jednoznacznie fakt, że został uwięziony wraz z innymi gośćmi.

–Ktoś powinien sprawdzić stan górnego tunelu – powiedział Painter. – Musimy wiedzieć, czy uda nam się stąd wydostać. Potrzebuję też konserwatora sprzętu.

Dwóch ludzi Bouthy kiwnęło głowami i wybiegło z pokoju.

–Może pan ją rozbroić? – powtórzył pytanie senatora Karlsen.

–To głowica nuklearna? – zapytał Gorman.

–Nie – odparł Painter. – Termobaryczna. Gorsza od nuklearnej.

Nie było sensu ukrywać prawdy.

Bomba termobaryczna, czyli paliwowo-powietrzna, jest wykonana z materiału wybuchowego niezawierającego utleniacza i w momencie eksplozji pobiera tlen z powietrza atmosferycznego.

Metalowa obudowa była wypełniona fluorkowanym proszkiem aluminiowym, w środku którego umieszczono ładunek detonujący PBXN-U2.

–To niszczyciel bunkrów – wyjaśnił Painter, któremu mówienie pomagało się skupić. – Eksplozja jest dwustopniowa. Pierwsza powoduje powstanie ogromnej chmury aerozolu, wystarczająco dużej, aby wypełnić cały ten tunel. Potem zapala się proszek aluminiowy, co wywołuje falę uderzeniową, która niszczy wszystko, w co uderzy, pochłaniając jednocześnie cały znajdujący się w powietrzu tlen. Dzięki temu można zginąć na cztery sposoby: można zostać rozerwanym, zmiażdżonym, spalonym albo się udusić...

Ignorując westchnienia zebranych wokół niego ludzi, skoncentrował się na detonatorze. Nie znał się na bombach, ale sporo wiedział o elektronice, dzięki czemu dość szybko zorientował się w plątaniu przewodów. Przecięcie niewłaściwego kabla, zmiana zasilania, wstrząs – było

mnóstwo sposobów niezamierzonego zdetonowania ładunku i tylko jeden, który pozwoliłby go rozbroić.

Kod.

Nie znali go jednak.

Nie było z nimi bohaterskiego saperskiego, nie można też było zastosować żadnej sztuczki w rodzaju zamrożenia głowicy płynnym azotem. Takie bzdury można zobaczyć tylko w filmach.

Painter spojrzął na zegarek.

Głowica miała wybuchnąć za niecałe osiem minut.

Usłyszeli tupot stóp jednego z wysłanych na inspekcję terenu ochotników.

–Tunel się nie zawalił... – wysapał mężczyzna. – Wpadłem na żołnierza, który schodził z góry. Zewnętrzne drzwi wytrzymały. Otworzył je, ale wyjście blokuje lód. Jesteśmy zasypani. Warstwa lodu jest tak gruba, że do środka nie dociera światło dzienne.

Painter pokiwał głową. Była to logiczna strategia. Skarbiec został tak skonstruowany, aby mógł wytrzymać atak jądrowy, więc żeby zabić wszystkich w środku, wystarczyło

szczelnie zamknąć go z zewnątrz i umieścić w środku bombę. Kogo nie zabije fala ognia, ten umrze z braku tlenu.

Po chwili pojawił się drugi ochotnik wraz z wysokim, potężnie zbudowanym Norwegiem – był to konserwator. Kiedy zobaczył leżącą na podłodze głowicę, zbladł.

–Mówi pan po angielsku? – spytał go Painter.

–Tak.

–Jest stąd jakieś inne wyjście?

Norweg pokręcił głową.

–A śluz powietrzne pomieszczeń, w których trzyma się nasiona... są pod ciśnieniem?

–Oczywiście.

–Może pan podwyższyć ciśnienie?

Konserwator kiwnął głową.

–Wobec tego proszę wybrać jedno z pomieszczeń magazynowych i zrobić to.

Mężczyzna jeszcze raz kiwnął głową i ruszył przed siebie szybkim truchtem.

Painter odwrócił się do zgromadzonych przy nim osób.

–Chciałbym, abyście zebrali wszystkich znajdujących się w skarbcu ludzi przy tym banku nasion, który wybierze konserwator – powiedział. – Tylko szybko!

–Co pan zamierza? – spytał senator.

–Sprawdzić, jak prędko umiem biegać.

Godz. 13. 05

Monk i Creed stali z rękami w górze, a norwescy żołnierze przez cały czas do nich celowali. Chłopak robił, co mógł – gadał jak karabin maszynowy, mieszając angielski z norweskim.

Nagle w słuchawce Monka zatrzeszczał czyjś głos. Większość słów była niezrozumiała.

–Słyszysz... pomocy... ma czasu...

Choć celowano do niego z broni automatycznej, Monk poczuł ulgę.

Painter żył!

–Dyrektorze Crowe, słyszymy pana – odparł natychmiast. – Możemy jakoś pomóc?

Nie otrzymał odpowiedzi. Najwyraźniej do Paintera nic nie docierało.

–To był dyrektor? – spytał Creed. – Żyje?

Oba karabinki skierowały się na Monka.

–Żyje, ale jest w pułapce – odparł Monk i uniósł dłoń, prosząc w ten sposób, aby mu nie przeszkadzano.

Creed próbował wytłumaczyć żołnierzom, co się dzieje, i chyba mu się to częściowo udało, bo na ich twarzach odmalował się niepokój.

Monk zastanawiał się, na ile czasu wystarczy tlenu uwięzionym wewnątrz góry ludziom i czy mimo zniszczenia drogi możliwe byłoby dostarczenie do skarbcza ciężkiego sprzętu budowlanego.

Przez skrzek w słuchawkach znowu przebiło się kilka słów. Choć były poszarpane, ich sens nie pozostawiał wątpliwości:

–... na dole... głowica bojowa... próbujemy...

Resztę zagłuszyły trzaski i szum.

Zanim Monk zdążył przekazać te wieści Creedowi, od zboczy doliny odbiło się głośnym echem wycie silników skuterów śnieżnych.

Wszyscy natychmiast się odwrócili.

Po zboczu, kierując się w stronę miejsca, w którym właśnie się znajdowali, wspinała się duża grupa pojazdów śnieżnych.

Monk przyjrzał im się przez lornetkę. Na każdym skuterze siedziało dwóch mężczyzn – jeden prowadził, drugi trzymał karabinek szturmowy. Wszyscy mieli na sobie maskujące skafandry śnieżne – bez wojskowych oznaczeń.

Norweski żołnierz, któremu jakimś sposobem udało się zejść do połowy zbocza, pomachał do nich.

Rozległ się pojedynczy strzał i śnieg spryskała krew.

Żołnierz upadł.

Monk opuścił lornetkę.

Najwyraźniej ktoś zamierzał posprzątać.

Godz. 13. 09

Painter nie miał pojęcia, czy jego wiadomość wydostała się poza bunkier. Pozostawało mu już tylko jedno – biec ile sił.

Pchał przed sobą wózek do serwowania potraw, na którym gumowymi taśmami przymocował głowicę. Musiał pokonać sto pięćdziesiąt metrów tunelu.

Na wyświetlaczu wciąż migotały czerwone cyferki.

Zanim Painter dobiegł do końca tunelu, zostały niecałe cztery minuty. Po chwili ujrzał przed sobą potężne drzwi, przez które wychodziło się na zewnątrz obiektu. Żołnierz, który badał sytuację, pozostawił je otwarte. Do środka wpadło kilka pojedynczych kawałków lodu, ale za drzwiami zaczynała się lita ściana utworzona przez lodowiec.

Painter przyspieszył. Chciał umieścić głowicę jak najbliżej lodowej ściany. Pchnął wózek w jej stronę, zawrócił i pobiegł z powrotem.

Na szczęście teraz biegł w dół.

Dyszał ciężko, ale usiłował robić jak najdłuższe kroki.

Jeśli nie można było powstrzymać wybuchu bomby, należało spróbować ją wykorzystać. Nie wiadomo, jak gruba warstwa lodu blokowała wyjście, jednak termobaryczny ładunek głowicy bojowej był czymś wyjątkowym. Pierwsza eksplozja mogła wybić część lodu, temperatura wywołana zapaleniem się aluminiowego proszku rozpuści kolejną warstwę, ale największą nadzieję Painter wiązał z wtórną falą uderzeniową.

W przypadku bomby termobarycznej największe zniszczenia powoduje gwałtowna i mająca ogromną siłę fala ciśnienia. Po eksplozji takiej bomby w zamkniętej przestrzeni fala uderzeniowa rozchodzi się na wszystkie strony i sięga do najdalszych zakamarków, unicestwiając wszystko, na co po drodze natrafi. Pali ludzkie ciało, przebija bębrenki uszne, rozrywa płuca i z każdego otworu wyciska krew.

Painter miał nadzieję, że wysadzi także zatykający wylot tunelu lód, oczywiście nie zabijając przy tym znajdujących się w skarbcu ludzi.

Kiedy dobiegł do końca tunelu, skręcił w poprzeczny korytarz. Zaraz za rogiem zatrzymał się przed zewnętrznymi drzwiami śluzy powietrznej, otworzył je jednym szarpnięciem i wskoczył do środka pomieszczenia, zatraskując za sobą drzwi.

Zawory powietrzne w suficie natychmiast zaczęły przywracać poprzednie ciśnienie.

Painter ruszył w stronę wewnętrznych drzwi śluzy. Zanim do nich dotarł, otwarto je przed nim i pojawił się w nich senator.

–Szybciej! – krzyknął.

Kiedy Painter zanurkował do środka, Gorman zatrasnął drzwi.

Zaraz za nimi kłębił się tłumek gości i pracowników. Pomieszczenie magazynowe niczym szczególnym się nie wyróżniało – całe jego wyposażenie stanowiły regały z ponumerowanymi półkami. Wypełniały je czarne plastikowe pojemniki, co kojarzyło się z supermarketem, w

którym sprzedaje się tylko jeden produkt.

Ktoś w grupie głośno liczył.

–Jedenaście... dziesięć... dziewięć...

Painter modlił się, aby po zdekompresowaniu śluzы ciśnienie zdążyło wrócić do poprzedniego poziomu. Ich jedyną szansą było przeciwstawienie ciśnienia ciśnieniu.

Jeżeli śluzą nie wytrzyma, wszyscy zginą.

–Osiem... siedem... sześć...

Karlsen przepchnął się bliżej Paintera.

–Nie ma Kristy... – wymamrotał, jakby dyrektor Sigmy mógł wiedzieć, o kogo chodzi.

–Kristy... Kristy Magnussen? Dziewczyny Jasona? – wycedził z wściekłością senator Gorman i ruszył do Karlsena.

Painter rozdzielił obu mężczyzn.

–Nie teraz!

Najpierw musieli przeżyć.

–Pięć... cztery... trzy...

13 października, godz. 12. 32

Wyspa Bardsey, Walia

Kiedy Gray przygotowywał się do zejścia do krypty, centrum burzy znalazło się nad wyspą. Wyglądało to tak, jakby bogowie chcieli ich ostrzec przed zbezczeszczeniem grobowca.

Po chwili niebo otworzyło się z trzaskiem pioruna i lunął deszcz. Wielkie krople zadudniły o kamienie jak kule karabinowe. Na północy bez przerwy strzelały błyskawice.

–Pójde pierwszy – oświadczył Gray między dwoma grzmotami.

Lyle pobiegł do kaplicy po linę, ale Gray nie chciał na nią czekać – obawiał się, że przy takim gwałtownym deszczu krypta zostanie zalana, zanim zdążą zejść.

Prowadzący do niej otwór w ziemi miał nieco ponad pół metra średnicy – co zapowiadało dość ciężkie wejście – i dwa metry głębokości. Dalej tunel rozszerzał się niemal dwukrotnie. Nie dało się dostrzec nic więcej bez zejścia na dół.

Gray złapał się krawędzi otworu i zaczął spuszczać nogi. Kiedy zeskoczył na dół, wyjął z kieszeni latarkę i spojrzał w górę na obserwujących go towarzyszy.

–Uważaj... – powiedziała Rachele.

–Niech pan mówi, co tam jest – zażądał Wallace.

Kowalski i Seichan stali nieco z boku, więc z dołu nie było ich widać.

Gray zapalił latarkę i rozejrzał się. Ściany szybu były wykute w skale, w której znajdowały się ceglane nisze. Prawdopodobnie za cegłami kryły się trumny wypełnione kośćmi. Być może w jednej z nich leżały szczątki lorda Newborough...

Nie zwracając uwagi na deszcz, zaczął dokładnie badać wszystkie nisze. Przeciągał po nich dłońmi, szukał luźnych cegieł i kamieni, jakiejś wskazówki, że ojciec Giovanni tu był i coś odkrył.

–No i co? – zapytał Wallace.

–Niczego tu nie ma!

–Lyle wraca z liną! – zawołała Rachele.

Gray przyjrzał się czwartej ścianie. Cegły otaczały tu łukowaty tunelik sięgający mniej

więcej do połowy uda. Gray ukląkł i poświęcił do niego. Pewnie było to również miejsce przeznaczone na trumnę i po wsunięciu jej do środka miało zostać zamurowane.

Choć nisza była pusta, Gray czuł, że musi mieć jakieś znaczenie, bo ściana, w której się znajdowała, była zwrócona w stronę ruin wieży opactwa. Na czworakach wpełzł do tunelu. Okazał się dość głęboki. Zaraz za wlotem cegły się kończyły i zastępowała je naga skała. Gray zaczął powoli wpełzać w głąb grobowca.

Przesuwając się, wodził dłońmi po kamiennych ścianach.

Niczego nie znalazł.

Nie tracił jednak nadziei. Jeśli w tej okolicy rzeczywiście coś ukryto, musiało się to znajdować pod ruinami opactwa Saint Mary. Mógł się jednak mylić co do miejsca, w którym należało szukać zejścia pod ziemię – może ta krypta nim nie była. Ojciec Giovanni mógł ją przeszukać pod wpływem sugestii Lyle'a – tak samo jak on teraz – a potem przeniósł swoje poszukiwania gdzie indziej.

Rozległ się plusk wody – ktoś dołączył do Graya w krypcie.

Gray wycofał się z tuneliku. Była to Rachele. Włosy kleiły jej się do twarzy, a pełne nadziei oczy błyszczały w świetle latarki Graya jak żarówki. Nie mógł jej zawieść.

–Ślepy zaulek? – spytała.

Skrzywił się, bo nie podobało mu się zarówno jej określenie, jak i to, że nic nie znalazł.

–Nie widzę niczego, co by świadczyło o tym, że ojciec Giovanni był tu na dole.

–Mogę zobaczyć? – spytała.

Kiedy podał jej latarkę, kucnęła, podpierając się dłonią, i wsunęła się do pustego grobowca. Ponieważ była drobniejsza, mogła się znacznie swobodniej poruszać w ciasnej przestrzeni. Zaczęła wodzić światłem latarki po ścianach.

–Widzisz coś? – zapytał po chwili.

–Nie.

–Może jesteście nie w tej dziurze, co trzeba – doleciał do nich z góry głos Wallace'a.

W końcu Rachele dała za wygraną, okręciła się i zaczęła wysuwać się z tunelu. Nagle znieruchomiała.

–Co jest? – spytał Gray.

–Chodź tu i sam zobacz.

Świeciła latarką prosto na niego, więc zasłonił oczy i zaczął pełznąć w jej kierunku.

–Nie! Wsuń się do środka na plecach!

Nie zwracając uwagi na to, że ubranie nasiąka mu wodą, przewrócił się na plecy i odpychając nogami, zaczął wsuwać się w niszę.

No tak – w grobie leży się przecież z twarzą zwróconą w górę...

–Coś macie? – zawołał z góry Wallace.

–Jeszcze nie wiem! – odkrzyknął Gray.

–Wejdz głębiej – powiedziała Rachele.

Wsuwał się coraz dalej, aż w końcu jego głowa znalazła się między kolanami Rachele. Pochylała się nad nim, czuł zapach wilgotnej wełny i widział jej piersi, unoszące się kilka centymetrów nad jego głową.

–Spójrz... – szepnęła.

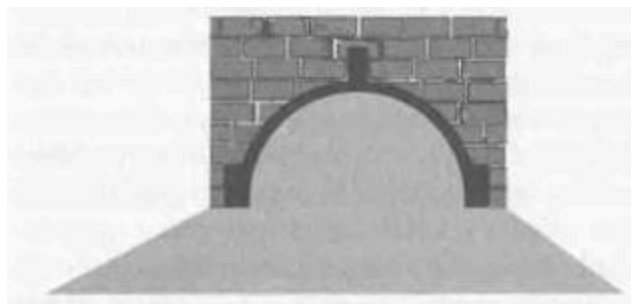
Aby popatrzeć na oświetlane przez nią miejsce, musiał unieść się na łokciach i spojrzeć w stronę wylotu tunelu. Z początku dostrzegał jedynie tył ceglanego obramowania, zamykającego tunel w skale.

–Zwróć uwagę, że wszystkie cegły są ułożone poziomo... z wyjątkiem trzech: u szczytu sklepienia i na dole jego obu boków.

Przyjrząwszy się uważnie, Gray dostrzegł różnicę.

–Stoją pionowo – stwierdził.

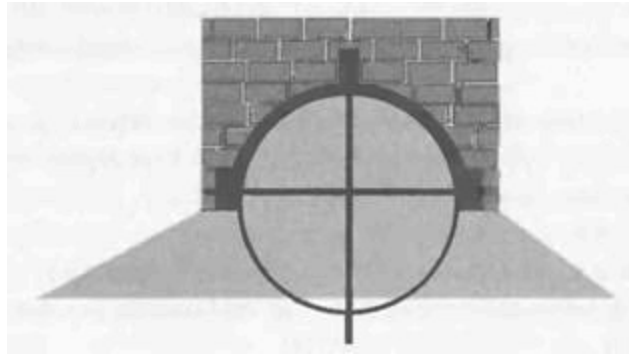
Wylot tunelu tworzył idealne półkole, a trzy pionowo ustawione cegły znajdowały się na godzinach 9, 12 i 3.



–Sądysz, że to ma jakieś znaczenie? – spytała Rachele.

–Wygląda jak połowa pogańskiego krzyża – mruknął Gray.

W wodzie na podłodze widać było odbitą brakującą część. Gray w wyobraźni uzupełnił ten obraz, pociągnął linie łączące odmiennie ustawione cegły. Druidzki krzyż, za którym podążali od samego początku wyprawy...



–Ale co to może znaczyć? – spytała ponownie Rachele.

–Poczekaj... – odparł Gray Wysunął się z tuneliku na plecach, po czym odwrócił się na brzuch i wpełzł do niego ponownie – tym razem stopami naprzód.

–No i co? – zapytał z góry Wallace.

–Cierpliwości! – odkrzyknął Gray.

Przyjrzał się uważnie trzem pionowo ustawionym cegłom. Obie boczne wydawały się solidnie osadzone w murze. Trzecia też – dopóki jej nie dotknął. Na górnym brzegu cegły namacał niewielkie zagłębienie.

Wcisnął do niego palce i pociągnął.

Cegła obróciła się o parę centymetrów. Coś ją zablokowało, ale kiedy Gray pociągnął mocniej, za jego plecami rozległ się metaliczny trzask i w skale coś zachręściło.

Odwrócili się szybko i spojrzeli za siebie.

Tylna ścianka tunelu odchyliła się, ukazując prowadzące w dół wąskie schodki.

–Wejście... – szepnęła Rachele. – Znaleźliśmy wejście...

Musieli się trochę powiercić, aby dostać się do schodków. Były dość wąskie, ale można było nimi swobodnie przejść.

Rachele poświeciła w dół.

–Czy mi się wydaje, czy na dole tych schodków jest kolejny tunel? – spytała.

Gray zaczął schodzić, żeby to sprawdzić. Kiedy stanął na piątym stopniu, poczuł, że kamień

pod jego stopą zapada się lekko.

We wnętrzu skały znowu coś metalicznie trzasnęło.

Serce Graya przestało na chwilę bić, a w jego głowie zapaliło się czerwone światełko.

PUŁAPKA.

Drzwiczki za nimi zaczęły się zamykać. Rachele krzyknęła i chciała wydostać się z tunelu, ale nie zdążyła – drzwiczki zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Zacząła łomotać pięścią w cegły, choć nie miało to sensu.

Zostali zamknięci.

Godz. 12. 42

Seichan usłyszała krzyk Rachele, ale niemal w tej samej chwili wszystkich ogłuszył huk pioruna.

–Znaleźliście coś? – zawołał do dziury w ziemi Wallace, kiedy echo grzmotu ucichło.

W dole panowała cisza – zniknęło także światło latarki. Seichan jak wąż zsunęła się do krypty. Wylądowała w kałuży wody, zamortyzowała skok ugięciem kolan, po czym zapaliła latarkę i poświeciła w głąb pustego tunelu.

–Co się dzieje? – spytał Wallace.

–Zniknęli – odparła.

Do otworu w ziemi podszedł Kowalski, mokry i obrażony na cały świat. Lyle jeszcze nie wrócił z parasolami, po które go wysłali.

–A nie mówiłem? Nigdy nie należy wchodzić do żadnej dziury z Grayem...

–Tym razem chyba było warto – stwierdził Wallace.

Były marynarz popatrzył na niego pytająco.

–Musieli znaleźć tajne przejście – dodał doktor.

Jednak krzyk Rachele, który przed chwilą słyszeli, wcale nie świadczył o radości.

Seichan wsadziła głowę do tuneliku i zawołała:

–Pierce! Rachele!

Znowu błysnęła błyskawica i huknął grzmot, ale Seichan usłyszała przytłumione głosy. Weszła głębiej do tunelu.

–Nie słyszę was! – krzyknęła.

Coś plusnęło za nią. Spojrzała przez ramię – za nią stał Wallace, trzymając w rękach linę.

–Na waszym miejscu nie robiłbym tego – ostrzegł ich Kowalski.

–Zamknij się! – warknęła Seichan.

Przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Po chwili rozpoznała głos Graya. Zamknęła oczy i jeszcze bardziej się skoncentrowała. Polecenia komandora były krótkie jak komendy. Musiał osłaniać usta dłońmi i głośno krzyczeć.

–W środku! Pionowa cegła! Nad wejściem! Trzeba ją pociągnąć!

Potrzebując obu rąk, Seichan zgasila latarkę i wsunęła się do tunelu. Macając na ślepo, po kilkunastu sekundach znalazła to, o czym mówił Gray. Pociągnęła cegłę.

Rozległ się głośny trzask i tylna ścianka tunelu się odsunęła.

Seichan zobaczyła przerażoną twarz Rachele. Tuż za nią stał Gray.

–Zatrzasnęliśmy się – wyjaśnił. – Sprowadź tu pozostałych, ale uważaj na piąty stopień. Zamyka drzwi.

Stojący za Seichan Wallace uniósł latarkę.

–Znaleźliście wejście! Znakomicie! Doskonale!

Po minucie zamieszania zeszli schodami do niższego tunelu. Jedyne Kowalski odmówił.

–Idźcie dalej sami – oświadczył. – Ja zaczekam na parasole.

–Popatrzcie na to – powiedziała Rachele, kierując światło latarki na masywną płytę z brązu wmontowaną w podłogę u stóp schodków. – To chyba dźwignia służąca do otwierania ukrytych drzwi.

–W taki sam sposób musiał tu wchodzić i stąd wychodzić ojciec Giovanni – mruknął Gray. – Mimo to na wszelki wypadek powinniśmy zablokować te drzwi.

Położył w wejściu kawał oderwanego od ściany tunelu kamienia, aby tajne drzwi nie zamknęły się ponownie. Seichan doskonale go rozumiała – również uważała, że zawsze warto zapewnić sobie drogę odwrotu.

Wallace skierował promień latarki w głąb tunelu.

–Średniowieczni mnisi często instalowali w swoich klasztorach drzwi-pułapki i ukryte pomieszczenia. Pozwalało im to w razie napaści ukrywać się przed wrogami, mogli też dzięki temu śledzić swoich gości. W tamtych trudnych czasach tego rodzaju zabezpieczenia były

równie cennym środkiem obrony jak tarcza.

–Sprawdźmy, dokąd ten tunel nas zaprowadzi – powiedział Gray i ruszył do przodu.

Poszli za nim, Seichan zamykała pochód.

Korytarz ostro opadał, ale dojście do jego końca nie zajęło im zbyt dużo czasu. Po chwili znaleźli się w przestronnym, zwieńczonym kopułą pomieszczeniu – bez innych wyjść.

–Musimy znajdować się dokładnie pod ruinami wieży – stwierdził Gray.

Wallace przeciągnął dłonią po ścianie.

–Nie ma tu żadnych śladów używania narzędzi. To naturalna grota.

Na środku pomieszczenia stał duży sarkofag – miał około metra wysokości i wyglądał, jakby wykuto go z jednego bloku skalnego.

Kilka metrów za grobowcem stał oparty o ścianę celtycki krzyż.



Podeszli do sarkofagu, a Seichan dokładniej przyjrzała się krzyżowi. Nie był tak ozdobny jak krzyże na cmentarzu, dzięki czemu sprawiał wrażenie znacznie starszego. Wyryto na nim jedynie kilka płaskich spiral, a okrąg wokół ramion krzyża podzielono na małe prostokąty.

Wszyscy poza Seichan skoncentrowali się na stojącej na ziemi kamiennej trumnie. Nie wyróżniała się niczym szczególnym.

–Czy to może być miejsce spoczynku lorda Newborough? – spytała Rachele.

Wallace położył na sarkofagu dłoń i przeciągnął palcami po jego szorstkiej powierzchni.

–Za stary – odparł. – Jeśli Newborough gdzieś tu jest, to prawdopodobnie w którejś z tamtych zamurowanych krypt. Ten sarkofag wykonano z niebieskawego dolerytu, z którego zrobiono większość tutejszych neolitycznych megalitów. Musiano go wydobyć gdzieś na lądzie i

przewieźć na wyspę. Podejrzewam, że to grób któregoś z dawnych mieszkańców wyspy... może nawet ich władcy.

–Na przykład kogoś takiego jak fomoriańska królowa? – spytała Rachele.

–Właśnie. Nasza ciemnoskóra królowa... – zaczął Wallace, ale nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Zmarszczył czoło i pochylił się, oświetlając latarką bok sarkofagu. Przeciągnął palcem po kamieniu. – Wygląda to tak, jakby kiedyś było tu jakieś rzeźbienie... dekoracja albo może napis... ale ktoś wszystko usunął.

Był wyraźnie zdegustowany.

–Skoro ten grobowiec pochodzi z neolitu, może to mnisi usunęli pierwotne napisy... – podsunął Gray.

–No cóż, byłoby to do nich bardzo podobne. Jeśli coś nie pasowało do kościelnego dogmatu, często było niszczone. Wystarczy sobie przypomnieć, co się stało z kodeksami Majów, które były jedynym źródłem wiedzy o tym ludzie... Kościół uznał, że są dziełem szatana i większość z nich spalono.

Podeszła do nich Seichan.

–W takim razie dlaczego nie zniszczono całego sarkofagu? – zapytała. – Po co usuwano same napisy?

–Jeśli są w nim ludzkie szczątki, Kościół mógł uznać, że należy im się szacunek. Mnisi mogli nie chcieć ich niszczyć.

–Albo coś, co było w tym sarkofagu, miało dla nich wielką wartość... – zasugerował Gray.

–Na przykład klucz Dnia Sądu Ostatecznego... – dodała Rachele.

Seichan udała, że nie zauważa jej spojrzenia. W milczeniu splotła ręce na piersi.

Gray pochylił się i uważnie przyjrzał sarkofagowi.

–Ten grobowiec wygląda, jakby był kiedyś uszczelniony woskiem. – Roztarł w palcach drobiny, które zeszkrobał z kamiennej pokrywy. – Ale ktoś zniszczył uszczelnienie.

–Z pewnością zrobił to ojciec Giovanni – powiedziała Rachele. – Popatrzcie tutaj...

Podeszła do starego krzyża i wskazała na ściany po jego obu stronach.

Węgłem drzewnym zapisano tam jakieś notatki i obliczenia. Prawdopodobnie ojciec Giovanni dokładnie wymierzył krzyż. Narysował też wokół niego perfekcyjny okrąg, pocięty jakimiś kreskami i znaczkami. Wyglądało to dość tajemniczo.

Gray uważnie obejrzał krzyż i otaczające go rysunki. Po kilkunastu sekundach odwrócił się do swoich towarzyszy.

–Skoro Marco zniszczył to, czym uszczelniono albo zapieczętowano sarkofag, zobaczmy, co w nim odkrył.

Godz. 13. 03

Wszyscy musieli mu pomóc podnieść pokrywę sarkofagu.

Ciągnąc co sił, zastanawiał się, jak sobie z tym zadaniem poradził ojciec Giovanni. Ktoś mu pomagał czy przyniósł tu jakieś narzędzia?

W końcu udało im się odsunąć pokrywę na bok, nie zrzucając jej na ziemię.

Gray poświecił do środka latarką. Dolna część sarkofagu rzeczywiście została wykuta z jednego bloku. Spodziewali się ujrzeć w środku kości, ale niczego takiego nie zobaczyli.

W kamiennej trumnie nie złożono ludzkich szczątków – nie była jednak zupełnie pusta.

Pośrodku leżała oprawiona w skórę wielka księga. Miała około trzydziestu centymetrów szerokości, tyle samo grubości i ponad pół metra wysokości. Sprawiała wrażenie doskonale zachowanej. Prawdopodobnie nie wyjmowano jej od momentu ukrycia w sarkofagu i uszczelnienia go woskiem.

Gray wyciągnął rękę.

–Ostrożnie! – zawołał doktor. – Nie chcemy jej przecież zniszczyć. Powinniśmy założyć rękawiczki.

Gray zawahał się, jednak po chwili Wallace nerwowo machnął ręką.

–Na co pan czeka?

Gray przełknął ślinę i położył dwa palce na krawędzi tomu. Ojciec Giovanni z pewnością przynajmniej raz go otwierał.

Ale okładka nie chciała się otworzyć.

–Niech pan to robi bardzo delikatnie – powiedział doktor.

Po otwarciu księgi Gray oparł krawędź okładki o bok sarkofagu. Pierwsza karta okazała się pusta, ale ponieważ była półprzezroczysta, widzieli kolory rysunków znajdujących się na następnej stronie.

Wallace przysunął się bliżej.

–Dobry Boże... – Sięgnął w dół i ostrożnie przewrócił pierwszą stronę. – To welin...

Na widok tego, co znajdowało się na kolejnej stronie, jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

W świetle latarek kolorowy atrament błyszczał jak drogocenne kamienie. Ciemne czerwienie, złociste żółcie i zielenie były tak soczyste, że wydawały się wilgotne. Ilustracje pokrywały całą kartę. Stylizowane ludzkie postacie były posplatane z przypominającymi węzły literami i wplecione w skomplikowane roślinne wzory. Pośrodku karty umieszczono wizerunek brodatego mężczyzny w koronie, siedzącego na tronie.

Nietrudno było się domyślić, że rysunek ma przedstawiać Chrystusa.

–Jakie to piękne... – wyszeptała zachwycona Rachele.

Wallace przewrócił kilka kolejnych kartek.

–To Biblia... – mruknął.

Jego palec zawisł nad linijkami łacińskiego tekstu. Pismo było bardzo ozdobne, a we wszystkie duże litery wpleciono roślinne ornamenty. Marginesy również były zdobione – wizerunkami ludzi i mitycznych zwierząt.

–Przypomina mi to Księgę z Kells – powiedział Wallace. – To iluminowany irlandzki skarb pochodzący z ósmego wieku. Powstała dzięki dziesięcioleciom żmudnej pracy żyjących w odosobnieniu mnichów, a zawarte są w niej jedynie cztery ewangelie... Tutaj jest chyba cała Biblia... jeśli tak, ten manuskrypt ma niewyobrażalną wartość...

–Dlaczego więc został tu ukryty? – spytała Seichan, która również podeszła do sarkofagu, aby przyjrzeć się księdze.

Wallace pokręcił głową. Kiedy jednak ostrożnie przewrócił kilka kolejnych kart, otrzymali odpowiedź na to pytanie.

W środku księgi wycięta była dziura. Miała mniej więcej osiem na osiem centymetrów i trzy centymetry głębokości.

Widząc to straszliwe świętokradztwo, Wallace westchnął ciężko.

Gray pochylił się jeszcze niżej. Było oczywiste, że zagłębienie zrobiono po to, aby coś w nim ukryć. Nie odwracając się, wyciągnął rękę w stronę Rachele. Dziewczyna bez słowa sięgnęła do kieszeni płaszcza.

Oboje od razu się domyślili, co musiało znajdować się kiedyś w skrytce.

Rachele podała Grayowi skórzaną sakiewkę. Widać było, że jest zrobiona z takiej samej skóry jak oprawa księgi.

Gray włożył ją do wyciętego otworu – pasowała idealnie.

**–Ojciec Giovanni zabrał sakiewkę, ale zostawił Biblię... – mruknął w zamyśleniu Gray. –
Dlaczego?**

–I dlaczego nikomu o tym nie powiedział? – dodał Wallace.

**–Prawdopodobnie powiedział – stwierdziła Seichan. – Gdyby tego nie zrobił, nie ścigano by go i
nie zamordowano.**

**–Na pewno właśnie tak było – przyznał Gray. – Może nie ujawnił wszystkiego, co wiedział, ale
powiedział komuś dość, żeby chciano go zabić.**

–O Boże! – zawołał nagle Wallace.

Gray natychmiast się do niego odwrócił.

**–Jakieś dwa lata temu Marco się ze mną skontaktował... – zaczął doktor. – Potrzebował
pieniędzy na swoje podróże. Powiedziałem mu wtedy, że być może mój sponsor, Viatus
International, zechce sfinansować dodatkowe badania związane z moimi**

**wykopaliskami. Podąłem mu nazwisko osoby, z którą się kontaktowałem. Kobiety... nazywała
się Krista Magnussen...**

Seichan drgnęła, ale się nie odezwała.

**–Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy... – Wallace wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze.
– Doszedłem wtedy do wniosku, że pewnie machnął ręką na całą tę sprawę. O Boże, może
oddałem go w ręce zabójców...**

**Gray pomyślał, że to całkiem prawdopodobny scenariusz. Viatus mógł zatrudnić ojca
Giovanniego – zwłaszcza jeżeli zaproponował, że znajdzie antidotum na to, co zabiło
zmumifikowanych w torfowisku ludzi. Nie mogliby mu odmówić. Jednak w którymś momencie
swoich poszukiwań ksiądz musiał natknąć się na coś tak przerażającego, że postanowił
wyruszyć do Rzymu, by spotkać się z Vigorem Veroną i powiedzieć mu o tym. Kiedy jego
pracodawcy się dowiedzieli, co planuje, postanowili wyłączyć go z obiegu.**

**Wallace przyciskał jedną dłoń do ust, a drugą przewracał z powrotem karty Biblii, które przed
chwilą odsłonił, jakby ukrycie tego, jak ją zbezczeszczono, mogło zmniejszyć jego winę.**

**–No dobrze, wiemy już, że ojciec Giovanni zabrał stąd sakiewkę, ale chyba znacznie
ważniejsza jest odpowiedź na pytanie, kto ją tu zostawił i dlaczego – oświadczyła Rachele.**

**Jej słowa przywróciły wszystkich do rzeczywistości. Od znalezienia odpowiedzi na te pytania
zależało jej życie.**

–Może potrafiłbym odpowiedzieć na pytanie, kto umieścił tu Biblię – powiedział Wallace i wziął głęboki wdech.

Gray odwrócił się do niego.

–Kto?

–Prawdopodobnie zrobił to człowiek, do którego ta księga należała – odparł doktor.



Wskazał Biblię – na wewnętrznej stronie jej okładki przyklejona była karta z welinu.

Gray tak był skupiony na swoich spekulacjach, że w ogóle jej nie zauważył. Była tak samo bogato iluminowana jak reszta kart, jednak bez trudu dało się dostrzec nazwisko – z pewnością należące do właściciela bezcennego woluminu.

–Mael Maedóc Ua Morgair... – przeczytał głośno Wallace.

Nazwisko to nic Grayowi nie mówiło. Popatrzył pytająco na doktora.

–Nie można żyć w tej części świata i nie znać tego nazwiska – stwierdził doktor. – Zwłaszcza w moim zawodzie.

–Kto to taki?

–Jeden z najbardziej znanych irlandzkich świętych po świętym Patryku. Nadano mu imię Mael Maedóc, po łacinie Malachiasz.

–Święty Malachiasz... – powtórzyła w zamyśleniu Rachele.

–Kto to był? – spytał Gray.

–Urodził się w mniej więcej tym samym czasie, kiedy pisano „Księgę Dnia Sądu Ostatecznego”. Zaczął karierę kościelną jako opat Bangoru, ale wkrótce został arcybiskupem.

Wiele czasu spędzał na pielgrzymkach.

–Więc bardzo prawdopodobne, że trafił także i tutaj.

Doktor kiwnął głową.

–Malachiasz był bardzo ciekawą postacią, nie miał w sobie nic z kościelnego dostojnika. Najchętniej spędzał czas na podróżach, niosąc Słowo Boże. To właśnie dzięki niemu w końcu zapanował trwały pokój między Kościołem a wyznawcami starej wiary.

Gray przypomniał sobie, co Wallace mówił na temat walk pogan z chrześcijanami: jego zdaniem ostami z pogan używali podczas tych walk broni biologicznej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie od czasów starożytnych.

–Sądzi pan, że podstawą tego pokoju mogła być wiedza o pladze i leczącym ją specyfiku, legendarnym kluczu Dnia Sądu Ostatecznego? – zapytał.

–Jestem przekonany, że na tej księdze są jego odciski palców – powiedział doktor. – Nie bez powodu go kanonizowano...

–Bo?

–Malachiasz był znany z uzdrowicielskich zdolności. Przypisuje mu się długą listę cudownych uleczeń.

–Podobnie jak wyspie Bardsey.

–Znam też inną opowieść na jego temat... Pochodzi z mojej pięknej Szkocji. Pewnego razu Malachiasz był w Annandale i poprosił miejscowego władcę, aby darował życie skazanemu na śmierć złodziejowi. Tamten wyraził zgodę, jednak mimo to kazał powiesić złodzieja. Malachiasz przeklął go i władca zmarł wraz z całą rodziną.

–Leczenie i rzucanie przekleństw... – mruknął pod nosem Gray.

–Brzmi to zupełnie tak, jakby Malachiasz dowiedział się czegoś od swoich przyjaciół pogan... czegoś, co Kościół postanowił zachować w tajemnicy.

–Nie wspomniał pan o tym, z czego Malachiasz był najbardziej znany – wtrąciła Rachele.

–Ma pani na myśli przepowiednie? – prychnął lekceważąco doktor i przewrócił oczami.

–Jakie przepowiednie? – zainteresował się Gray.

–Dotyczące papieży – odparła Rachele. – Mówi się, że podczas pielgrzymki do Rzymu Malachiasz miał wizję, podczas której zobaczył wszystkich papieży aż po dzień Sądu Ostatecznego. Wszystko to potem spisał.

–Nonsens – stwierdził Wallace. – Znalezione te zapiski w kościelnych archiwach jakieś czterysta lat po śmierci Malachiasza, ale prawdopodobnie to fałszerstwo.

–Niektórzy twierdzą, że była to kopia oryginalnego tekstu Malachiasza. Tak czy owak, opisy papieży okazały się niezwykle trafne. Weźmy na przykład dwóch ostatnich papieży... Jana Pawła Drugiego Malachiasz określa mianem De Labore Solis, co oznacza „Z pracy Słońca”, a wiadomo, że urodził się on podczas zaćmienia Słońca. Obecny papież, Benedykt Szesnasty, jest określany jako Gloria Olivae, czyli Chwała Oliwki, a symbolem zakonu benedyktynów, od którego nazwy papież przyjął imię, jest gałązka oliwna.

Doktor machnął ręką.

–Ludzie przypisują zbyt wielkie znaczenie łacińskim maksymom.

–Najbardziej niepokojące jest jednak to, że obecny papież jest sto jedenasty na liście Malachiasza – dodała Rachele, patrząc na Graya. – Następny papież, Petrus Romanus, ma być ostatni. Podczas jego panowania skończy się świat.

–No to mamy przechlapane – mruknęła Seichan, tak samo sceptyczna jak Wallace.

–Ja na pewno, jeśli nie znajdziemy tego cholernego klucza – odparła Rachele.

Gray milczał, ale wiedział, że Rachele ma rację: musieli znaleźć klucz. Zastanawiał się, dlaczego należąca do katolickiego świętego Biblia znalazła się w pogańskim grobowcu.

–Sądzi pan, że w sakiewce jest palec Malachiasza? – spytał doktora.

–Nie – odparł Wallace. – Sarkofag jest zbyt stary. Według mnie pochodzi z tego samego okresu co Stonehenge. Pochowano tu kogoś, ale na pewno nie Malachiasza.

–Kogo?

Doktor wzruszył ramionami.

–Prawdopodobnie kogoś z rodziny jakiegoś neolitycznego władcy. Może ciemnoskórą pogańską królową. Sądzę, że ten palec to wszystko, co pozostało ze szczątków pochowanej tu osoby.

–Gdzie w takim razie podziła się reszta ciała? – spytała Rachele.

–Została przeniesiona. Prawdopodobnie przez mnichów. A może nawet przez samego Malachiasza. Kość palca pozostawiono, bo tak nakazywała tradycja. Przenoszenie ciała bez zostawienia w pierwotnym miejscu pochówku jakiegoś jego fragmentu było wtedy uważane za grzech.

Rachele kiwnęła głową, potwierdzając słowa Wallace'a.

–Pozwalało to zmarłemu nadal spoczywać w spokoju. Wuj Vigor kiedyś mi o tym mówił. Odstąpienie od tego zwyczaju było traktowane jak świętokradztwo.

Gray w zamyśleniu wpatrywał się we wnętrze sarkofagu.

–Do przechowania sakiewki Malachiasz użył swojej Biblii... – mruknął. – Musiał uważać, że artefakt jest tego godzien.

Zastanawiał się nad tym, co o zachowaniu ojca Giovanniego po powrocie z wyspy mówił pastor. Młody ksiądz spędził wtedy całą noc, modląc się o przebaczenie. Czyżby powodem tego było zabranie relikwii i zbezczeszczenie w ten sposób grobu świętego z jego Kościoła? Ale jeśli tak, dlaczego to zrobił? Czemu ten palec był dla niego taki ważny?

–Dlaczego przeniesiono ciało? – zapytała Rachele.

–Może dlatego, żeby ocalić to, co było tu kiedyś razem z nim ukryte – odparł Wallace. – Za czasów Malachiasza Anglię i Irlandię nieustannie najeżdżali wikingowie. Nieufortyfikowana wyspa była szczególnie narażona na najazdy.

–Jeśli w tym sarkofagu trzymano klucz, musiał być jakoś związany ze złożonym w niej ciałem – dodał Gray. – Aby go zabezpieczyć, trzeba było przenieść całą zawartość grobowca w inne miejsce.

–Ale co to za klucz? – spytała Seichan. – Czego my właściwie szukamy?

Gray podszedł do ściany i ponownie przyjrzał się zrobionym na niej notatkom i obliczeniom. Przyłożył dłoń do ściany. Co ojciec Giovanni próbował tu odkryć?

Wszyscy się do niego przysunęli.

Jeszcze raz obejrzał celtycki krzyż.

–Jest zrobiony z tego samego kamienia co sarkofag – powiedział po chwili, przeciągając po nim palcem. – I tak samo wyglądony.

–Ma pan rację – przyznał Wallace.

–Nie postawiono go po to, aby świadczył o obecności grobu...

–Był tu na długo przed sarkofagiem – odparł doktor.

A więc nie jest symbolem chrześcijańskim, lecz pogańskim, pomyślał Gray. Z pewnością kryje w sobie jakąś wskazówkę. Czym może być ten tajemniczy klucz?

Skierował promień latarki na podstawę krzyża.

–Te trzy spirale u podstawy... może mają jakieś specjalne znaczenie?



Wallace podszedł bliżej.

–Taki wzór archeolodzy nazywają potrójną spiralą, choć w rzeczywistości nie są to trzy spirale, tylko jedna. Popatrzcie, jak ta krzywa przechodzi z elementu w element... Taki sam wzór można znaleźć na różnych europejskich megalitach. Jak wiele innych pogańskich

symboli, Kościół katolicki zaakceptował także i ten. Dla Celtów oznaczał wieczne życie, ale dla Kościoła było to odzwierciedlenie Trójcy Świętej... Ojca, Syna i Ducha Świętego. Wszystkie trzy spirale są ze sobą połączone: stanowią jedność.

Gray przeniósł wzrok na pojedynczą spiralę umieszczoną na przecięciu ramion krzyża – przypominała oś koła.



Painter Crowe przekazał mu podczas odprawy wiele szczegółów: o tym, w jaki sposób oba symbole się uzupełniają i co oznaczają. Krzyż reprezentował Ziemię, a spirala wędrówkę duszy, przenoszenie się z jednego świata do następnego.

Ponownie spojrzął na zapiski ojca Giovanniego na ścianie. Był przekonany, że coś się za nimi kryje. Miał to tak blisko, na wyciągnięcie ręki...

Podszedł do krzyża, odłożył latarkę i powiodł palcem po wyciętych w kamieniu zdobieniach.

Przypominały szprychy koła.

Przez głowę przemknęła mu nowa myśl. Znajdująca się pośrodku krzyża spirala naprawdę

wyglądała jak oś koła... obracającego się koła.

Nareszcie przebił się przez chrześcijański symbolizm.

–To przecież jest koło... – mruknął.

Chwycił je i spróbował przekręcić w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara – zgodnie z tym, co wskazywała spirala.

Poruszyło się!

Znowu spojrzął na obliczenia na ścianie. Na pewno kryła się w nich wskazówka dotycząca dostępu do klucza, ale trzeba było znać kod. Kamienne koło na krzyżu musiało być czymś w rodzaju zamka numerycznego, chroniącego miejsce, w którym trzymano klucz.

Marco prawdopodobnie próbował wyliczyć kod.

Niestety, Gray zrozumiał to zbyt późno – a przy zamku numerycznym można spróbować tylko jeden raz.

Rozległ się głośny huk i podłoga pod stopami Graya obsunęła się nagle. Wyciągnął rękę i zahaczył palce o wycięcia w krzyżu. Kiedy zawisł w powietrzu, spojrzął za siebie i stwierdził, że jedna połowa podłogi się unosi, a druga opada.

Rachele, Wallace i Seichan zaczęli krzyczeć, próbując się za coś złapać.

Pokrywa sarkofagu ześlizgnęła się z podstawy, zaczęła sunąć po pochylonej podłodze i po chwili wpadła w dziurę pod stopami Graya. Sekundę wcześniej zniknęła w niej jego latarka i jej światło ukazało skierowane szpicem ku górze kolce.

Kamienna pokrywa sarkofagu uderzyła w nie i rozprysła się na kawałki.

Podłoga coraz bardziej się przekręcała – kiedy ustawi się w pionie, wszyscy spadną na kolce w dole.

Wallace'owi i Rachele udało się złapać sarkofagu, który najwyraźniej był mocno przymocowany do kamiennej podłogi. Seichan nie miała tyle szczęścia – i zaczęła się zsuwać.

Kiedy mijala Rachele, dziewczyna wyciągnęła rękę, złapała ją za tył kurtki i przyciągnęła do siebie.

Ale Graya nie miał kto przytrzymać.

Jego palce wyslizgnęły się z uchwytu i zaczął spadać.

13 października, godz. 13. 13

Svalbard, Norwegia

Kiedy głowica eksplodowała, nawet mimo dwojga stalowych drzwi i skalnej ściany poczuli się, jakby dłonie jakiegoś giganta próbowały zmiażdżyć im czaszki. Słysząc było, jak pękają drzwi śluz powietrznych pozostałych dwóch banków nasion – nie podwyższono w nich ciśnienia. Sądząc po strasliwym huku, na oba pomieszczenia nadepnął ten sam gigant.

Przykucnięty za stalowymi drzwiami Painter usłyszał, że również w ich śluzie powietrznej zewnętrzne drzwi zostały wyrwane z zawiasów i uderzyły o wewnętrzne. Ale ostatnia zapora wytrzymała. Podwyższone ciśnienie wystarczyło, aby zatrzymać falę uderzeniową.

Painter z westchnieniem ulgi dotknął stalowych drzwi. Ich powierzchnia była ciepła, rozgrzana wybuchem ładunku ter-mobarycznego.

Eksplozja zniszczyła całą instalację elektryczną, byli jednak na to przygotowani. Rozdano wszystkim latarki, które zaczęły się po kolei zapalać.

–Udało się nam... – powiedział senator. Jego głos brzmiał w uszach Paintera jak cichy szept. Ludzie powoli wstawali z

podłogi. Słysząc było okrzyki ulgi, rozległo się nawet kilka wybuchów śmiechu.

Painter nie lubił być złym prorokiem, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Wstał i uniósł rękę.

–Jeszcze się stąd nie wydostaliśmy – oświadczył. – Nie wiemy, czy wybuch przebił warstwę lodu blokującą wyjście. Jeśli nie, możemy tu jeszcze posiedzieć kilka dni.

Popatrzył pytająco na konserwatora. Ten człowiek najlepiej znał tutejszy teren.

–Nawet tydzień – stwierdził Norweg. – I tylko wtedy, jeśli droga jest przejezdna. Biorąc pod uwagę wcześniejszy ostrzał rakietowy, było to raczej wątpliwe, ale Painter

zatrzymał to przypuszczenie dla siebie. Słowa konserwatora były wystarczająco przygnębiające. W dodatku sam musiał powiedzieć coś nieprzyjemnego. Wskazał drzwi.

–Ogień na pewno zużył większość tlenu w korytarzu i zatrął powietrze. Nawet jeśli wylot tunelu jest otwarty, dolne poziomy prawdopodobnie są bardzo niebezpieczne. Mamy tu jedyną kieszeń nadającego się do oddychania powietrza. Nie wystarczy to nam jednak na długo... najwyżej na trzy dni.

Konserwator sprawiał wrażenie, jakby chciał przedstawić nieco mniej optymistyczną wersję tego, co ich czeka, ale Painter powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Poza tym było coś jeszcze: ten, kto ich zaatakował, mógł wrócić.

Na szczęście wszyscy zachowywali spokój.

Pierwszy odezwał się Karlsen:

–Więc co teraz?

–Ktoś musi opuścić to pomieszczenie i sprawdzić główne drzwi. Nawet jeśli nie są już zablokowane, czeka go długi bieg przez tunel, w którym nie ma czym oddychać. Trzeba wyjść na zewnątrz i sprowadzić pomoc. Reszta powinna pozostać tutaj, bo tylko tu jest w tej chwili bezpiecznie.

–Kto wyjdzie na zewnątrz? – spytał Gorman.

–Ja – powiedział Karlsen.

–Nie może pan iść sam – oświadczył Painter. – Pójdę z panem. Może się panu przydać dodatkowa para rąk.

Nie wiadomo, co mogło ich czekać za śluzą. Korytarz mógł być częściowo zawalony, na drodze mógł leżeć zniszczony sprzęt. Usunięcie przeszkody mogło wymagać siły więcej niż jednej osoby. Painter przyjrzał się Karlsenowi sceptycznie. Dyrektor generalny Viatusa nie był w końcu najmłodszy.

–Dwa miesiące temu wykonałem półmaraton – powiedział Karlsen, jakby czytając w jego myślach. – Poza tym codziennie biegam. Nie będę pana spowalniał.

–W takim razie ja też idę – stwierdził senator.

Najwyraźniej nie zamierzał spuszczać z oczu człowieka odpowiedzialnego za śmierć jego syna. Zresztą Painter również tego nie chciał. Miał do Karlsena mnóstwo pytań – być może uzyskanie na nie odpowiedzi pozwoliłoby uniknąć ekologicznej katastrofy.

Mimo to wolał, aby Gorman i Karlsen zostali w banku nasion.

–Sprawa nie podlega dyskusji – oświadczył Karlsen. – Nie uda się panu mnie powstrzymać. Idę.

Gorman był równie uparty.

–Idziemy obaj.

Nie mieli czasu na spory, poza tym Painter nie mógł przykuć dyrektora Viatusa kajdankami do

kaloryfera – zwłaszcza że na sali znajdowało się znacznie więcej zwolenników norweskiego potentata niż jego.

–Wobec tego chodźmy – powiedział, po czym zmoczył wodą kilka szalików i podał dwa swoim towarzyszom. – Starajcie się jak najrzadziej oddychać.

Kiwnęli głowami.

Konserwator wręczył wszystkim trzem mężczyznom ochronne gogle, aby gorące, zatrute powietrze nie uszkodziło im oczu.

Painter polecił mu przejąć dowodzenie. Gdyby nie wrócili, najlepiej będzie wiedział, jak najdłużej zapewnić zamkniętym w banku nasion ludziom maksymalne bezpieczeństwo.

–Ciśnienie w tym pomieszczeniu jest teraz znacznie wyższe niż na zewnątrz – powiedział konserwator. – Gdy otworzę drzwi, część tlenu zostanie wyssana. Kiedy tylko wyjdziecie, zaraz je zamknę. Jeżeli będziecie chcieli wrócić, zapukajcie.

–Jeśli droga będzie zablokowana, wrócimy najszybciej, jak się da. Jeśli nie, niech się pan modli...

–Modłę się od chwili, gdy ujrzałem tę bombę – odparł Norweg ze słabym uśmiechem.

Painter poklepał go po ramieniu i odwrócił się do Karlsena oraz Gormana.

–Gotowi? – zapytał.

Ponownie kiwnęli głowami.

–Niech pan otwiera – poprosił Painter konserwatora, po czym zwrócił się do swoich towarzyszy: – Zaczepnijcie jak najwięcej powietrza.

Drzwi skrzypnęły i natychmiast usłyszeli syk uciekającego ze środka powietrza. Jednocześnie do pomieszczenia zaczęła wdzierać się fala okropnego żaru.

Painter skoczył w ciemność. Czuł się, jakby zanurkował we wrzątek, ale skóra piekła go nie tylko od gorąca. Chemia. Powietrze było znacznie bardziej skażone, niż sobie wyobrażał.

Za plecami słyszał kroki Karlsena i Gormana.

Kiedy wybiegł z poprzecznego korytarza na główny, zgasił latarkę.

Czy blokujący wyjście lód został wystrzelony?

Wstrzymując oddech, wpatrywał się w ciemność przed sobą. Korytarz nigdzie nie skręcał, więc gdyby wyjście zostało oczyszczone, powinno zrobić się troszkę jaśniej...

Najwyraźniej pomysł z głowicą bojową nie zadziałał. Nadal byli uwięzieni.

Po kilku sekundach od zgaszenia latarki jego oczy przystosowały się trochę do ciemności i w oddali przez dym przebiła się jaśniejsza plamka.

Westchnął z ulgą, pozwalając uciec z płuc odrobinie cennego powietrza.

Ponownie zapalił latarkę i przyspieszył. Nie miał pojęcia, czy Karlsen lub Gorman dostrzegli jaśniejszą plamę, ale obaj wiedzieli, co powinni robić. Gdyby nie było światła, mieli się wycofać i wrócić do pozostałych, ponieważ jednak Painter biegł dalej, musieli się domyślić, co to oznacza.

Właśnie mijali zniszczone zaplecze cateringowe. Poprzewracane stoliki powbijały się w ściany i blokowały drogę. Wszystko, co było zrobione z plastiku, zostało stopione. Rzeźby z lodu zniknęły. Co tylko mogło się zapalić, oczywiście się zapaliło, ale brak tlenu sprawił, że ogień szybko zgasł.

W powietrzu było gęsto od dymu, jednak im bardziej zbliżali się do wyjścia, tym mniej się go robiło. Wszystkie powierzchnie pokrywał czarny pył, powstały w wyniku wybuchu fluorkowego pyłu aluminiowego.

Po kilku kolejnych krokach Painter musiał wziąć pierwszy wdech. Przycisnął do nosa mokry szalik i wciągnął powietrze. Śmierdziało spaloną gumą i kłuło jak kwas. Wolał się nie zastanawiać, ile procent tlenu zawierało. Ale bliżej wyjścia powietrze na pewno będzie czystsze. Zwłaszcza jeśli lodowy „korek” został wypchnięty.

Byli mniej więcej w połowie drogi, pozostało im jeszcze nieco ponad siedemdziesiąt metrów. Nawet przy zapalonej latarce widać było słabą poświatę. Ciągnęła ich ku sobie jak magnes. Jednak im więcej powietrza Painter wciągał, tym bardziej czuł się zmęczony. Tunel migotał mu przed oczami, paliły go płuca, a cała skóra swędziała.

Mimo to nie zwalniał.

Spojrzał za siebie – obaj jego towarzysze zaczęli od-stawać. Senator Gorman wyraźnie się zataczał. Karlsen trzymał go za łokieć i zmuszał do biegu.

Painter zwolnił, zamierzając im pomóc, lecz dyrektor Viatusa wściekle zamachał ręką.

Znaczenie tego komunikatu było oczywiste: „Nie zatrzymuj się!”.

Ktoś przecież musiał wydostać się z pułapki, a Painter znajdował się najbliżej wyjścia. Kiedy na świeżym powietrzu odzyska jasność umysłu, w razie potrzeby wróci po pozostałą dwójkę.

W końcu ujrzał przed sobą pancerne drzwi – otwarte, skąpane w błękitnej poświacie. Jaśniejsze punkty niemal kłuły oczy – mimo to wylot tunelu nadal był zablokowany.

Nieosiżliwe...

Bładoniebieskie plamy tworzyło dżienne światło przesączaające się przez cieńsze miejsca w lodzie – wybuch ich nie uwolnił. Kiedy jednak Painter znalazł się przy ścianie lodu, stwierdził, że kilka jaśniejszych punktów to szczeliny.

Ponownie poczuł nadzieję. Przycisnął twarz do jednej z nich i zaczął wciągać do płuc świeże powietrze. Było cudownie chłodne. Natychmiast zaczęło mu się przejaśniać w głowie.

Odwrócił się. Karlsen i Gorman byli jakieś piętnaście metrów od niego. Karlsen prawie niósł senatora. Painter zawrócił i pomógł mu go doprowadzić do lodowej ściany.

Szybko znalazł dwie szpary do oddychania dla swoich towarzyszy i trzecią dla siebie. Po chwili zauważył, że blokująca wyjście ściana nie jest pokryta sadzą. To był nowy lód! Wybuch musiał odetkać wejście, ale zaraz potem zeszła druga lawina i znowu je zamknęła.

Oznaczało to jednak, że warstwa lodu nie może być bardzo gruba...

Przyłożył oko do szpary, próbując dostrzec, co się dzieje na zewnątrz.

U szczytu drzwi warstwa lodu mogła mieć jakieś pół metra i składała się z luźnych bloków. Każdy z nich był bardzo duży, ale może uda im się odkopać...

Obawiał się jednak, że nie mają zbyt wiele czasu. W każdej chwili mogła zejść kolejna lawina i zamknąć ich na dobre.

W tym momencie góra zaczęła dygotać.

Lód pod policzkiem Paintera zawibrował.

O, nie...

Godz. 13. 20

Monk obserwował wybuch bomby z drugiej strony doliny. Poczuł się, jakby coś eksplodowało mu w samym środku głowy. Zdezorientowany i ogłuszony upadł w śnieg.

Creeda i obu norweskich żołnierzy spotkał taki sam los.

Z zasypanego przez lawinę skarbcza wystrzeliła potężna fontanna odłamków lodu i płomieni, a w niebo wzbila się gęsta czarna chmura dymu.

Burzowe chmury – jakby obrażone tym konkurencyjnym pokazem – nagle się otworzyły i zaczął padać gęsty śnieg. Powietrze natychmiast wypełniły niesione wiatrem płatki i w ciągu pół minuty widoczność spadła do zera. Ale zanim to nastąpiło, Monk zdążył zauważyć, że wybuch oczyścił wejście bunkra z lodu. Zaraz jednak ze zbocza zsunęła się kolejna lawina i ponownie

zablokowała drogę ucieczki.

Czy ktoś ze znajdujących się w środku skarbcza ludzi przeżył?

Rozległo się kilka strzałów, które odbiły się echem od dolnych partii góry. Najemników nie było widać, ale najwyraźniej przez cały czas sprząтали.

Jeśli nawet ktoś przetrwał podziemny wybuch, nie pożyje zbyt długo...

Pozostawała im tylko jedna szansa.

Potrzebna była do tego pomoc norweskich żołnierzy. Na szczęście Creedowi udało się ich przekonać, że powinni zacząć działać razem.

Godz. 13. 21

Painter modlił się, aby kolejna lawina nie okazała się zbyt duża, jednak złowróżbny pomruk wciąż się nasilał.

Nagle zza zasłony śniegu i wiatru wystrzelił wielki sno-cat. Nie zwalniając, pędził prosto na wlot tunelu.

–Cofnąć się! – krzyknął Painter do swoich towarzyszy. Odepchnął Gormana od lodowej ściany, po czym złapał Karlsena za kaptur i również odciągnął go na bok. W samą porę.

Kiedy potężny pojazd huknął w blokującą wejście ścianę lodu, jego przednie koła podjechały wysoko w górę, a zderzak uderzył w górną belkę framugi drzwi.

Do wnętrza tunelu wleciały bloki lodu i rozsypały się na boki. Sno-cat cofnął się, aby powtórzyć natarcie. Painter skoczył do przodu. Wielki pojazd wybił dziurę wystarczająco dużą, aby dało się przez nią wydostać na zewnątrz. Zaczął się przeciskać, pomagając sobie łokciami.

Sno-cat się zatrzymał, otworzyły się drzwi pasażera i wychyliła się z nich znajoma postać.

–Dyrektorze Crowe! – zawołał Monk.

–Jesteś balsamem na moje zmęczone oczy...

–Doceniam to, ale musimy stąd zniknąć.

–W skarbcu jest uwięzionych wielu ludzi – oświadczył Painter.

Tuż za jego plecami stanęli Karlsen i senator Gorman.

–I na razie powinni tam zostać – odparł Monk, po czym wyskoczył ze sno-cata, sięgnął do środka i wyciągnął naręczce karabinów. – Umiecie strzelać? – spytał Karlsena i Gormana.

Obaj przytaknęli.

–To świetnie. Potrzebujemy maksymalnej siły ognia.

–Dlaczego? – spytał ze zdziwieniem Painter.

Zanim Monk zdążył cokolwiek wyjaśnić, zza zasłony śniegu doleciał warkot potężnego silnika.

–Za chwilę będziemy mieli towarzystwo – powiedział szybko.

Painter wziął jeden z karabinów. Zauważył, że Monk przyjechał tylko z norweskim żołnierzem.

–Gdzie Creed?

–Odjechał z kolegą tego faceta w środku. Pojechali po pomoc.

Painter rozejrzał się.

Jeden pojazd i czterech ludzi... Nawet Alamo miało więcej obrońców.

Ale i tak prawie wszyscy zginęli.

13 października, godz. 13. 32

Wyspa Bardsey, Walia

Widząc, że Gray spada, Rachele omal nie puściła Seichan. W ostatniej chwili jakimś sposobem udało mu się zahaczyć palcami o spiralną płaskorzeźbę, która zdobyła dolną część celtyckiego krzyża.

Przez chwilę drapał palcami, w końcu jednak zaczepił się o mały występ. Starał się jak najmniej poruszać, obawiając się, że płaskorzeźba nie utrzyma jego ciężaru. Wisiał nad sześciometrową przepaścią, pełną ostrych jak włócznie prętów.

Ale nie tylko jemu groziło niebezpieczeństwo – Rachele również zaczęła zsuwać się z sarkofagu.

–Złap mnie za nogi! – krzyknęła do Wallace'a.

Doktor kulił się obok niej na kamiennej trumnie. Sam ledwie się trzymał, jednak chwycił ją za kostki i pomógł wzmocnić chwyt.

Rachele wisiała z boku sarkofagu, trzymając Seichan, która zahaczyła się czubkami palców o jego krawędź.

Widać było, że obie są już na skraju sił.

Pomieszczenie zadygotało lekko – mechanizm obracający fragmenty podłogi był bardzo stary i uruchomienie go musiało naruszyć delikatną równowagę.

Całkiem możliwe, że zaraz zwałą im się na głowy ruiny wieży.

Kiedy po kamiennej podłodze przeszedł kolejny dygot, z przechylnego sarkofagu wysunęła się Biblia Malachiasza, spadła w czeluść pod Grayena i nabiła się na jeden z kolców.

Wallace jęknął z powodu utraty tak cennego znaleziska, ale mieli na głowie pilniejsze problemy.

W tym samym momencie Seichan oderwała się od krawędzi sarkofagu. Nie krzyknęła – jakby się tego spodziewała i czuła, że na to zasługuje. Jednak dłoń Rachele nadal była wczepiona w jej kurtkę.

Powstrzymała upadek Seichan, ale szarpnięcie wyrwało ją poza brzeg grobowca. Gdyby nie chwyt doktora, wciąż trzymającego jej kostki, nic nie uchroniłoby obu kobiet przed pewną śmiercią.

Rachele wisiała głową w dół, a jej biodra i nogi Wallace przyciskał do sarkofagu. Pod nią wisiała Seichan, cały czas trzymana za kurtkę. Mocno ścisnęła ją przy szyi, żeby się z niej nie wysunąć.

Rachele najchętniej by ją puściła, ale Euroazjatka była jej jedyną linią ratunkową.

Podłoga ponownie zadrżała i po chwili oderwał się kawał sufitu, poleciał w dół i rozprysnął się na metalowych szpicach w dole.

Rachele zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

Jakby w odpowiedzi na tę modlitwę niemal w tej samej chwili usłyszeli krzyk:

–Co tu się do cholery dzieje?!

Głos dobiegał z drugiej strony pomieszczenia, z tunelu prowadzącego do krypty lorda Newborough.

Kowalski! Musiał zejść na dół – albo się w końcu znecierpliwiał czekaniem, albo usłyszał uruchamianie się pułapki.

–Pomocy! – próbowała krzyknąć Rachele, ale z powodu pozycji, w jakiej się znajdowała, z jej gardła wydobył się jedynie cichy skrzek.

Były marynarz najwyraźniej nic nie usłyszał, bo znowu krzyknął:

–Halo!

–Kowalski! – zawołał Gray.

–Pierce? Gdzie jesteś? Widzę tylko dół i gołą ścianę!

Z miejsca, w którym stał, musiało być widać tylko spód ruchomego fragmentu podłogi i znajdującą się pod nią jamę.

–Wróć na górę i pociągnij za dźwignię! – wrzasnął Gray.

–Za co mam pociągnąć?

–Za dźwignię! W górze tunelu!

–Aha, rozumiem! Zaczekajcie!

Rachele popatrzyła na Seichan, a potem na Graya. Musieli czekać. Nic więcej nie mogli zrobić.

–Pospiesz się! – zawołał Gray, który znowu zaczął tracić chwyt.

–Przestań na mnie naskakiwać! – odkrzyknął Kowalski, ale jego głos był teraz znacznie cichszy.

Rachele trzymała Seichan resztką sił. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, że z podłogi coś wystawało – prawdopodobnie była to dźwignia. Widziała ją, kiedy schodzili na dół. Było to logiczne, pułapka musiała mieć mechanizm przywracający ją do stanu wyjściowego. Dawni właściciele tego miejsca mogli chcieć zabić wszystkich niepożądanych gości, ale na pewno zapewnili sobie dostęp do klucza.

Modliła się, aby Gray się nie mylił.

Chwilę później wszystko wokół zadygotało i rozległ się głośny zgrzyt kół zębatach. Podłoga znowu zaczęła się przekręcać – jednak nie wracała do poprzedniej pozycji, tylko odwracała się o sto osiemdziesiąt stopni. Rachele poczuła, że zsuwa się z sarkofagu, ale nawet nie miała odwagi krzyknąć.

Na szczęście po paru sekundach ruchome fragmenty zatrzymały się z gwałtownym szarpnięciem, koła zębate zazgrzytały jeszcze głośniej i po chwili podłoga zaczęła wracać do prawidłowej pozycji.

Usta Rachele poruszały się w niemej modlitwie.

Patrzyła, jak krawędź podłogi dotyka stóp Graya i popycha go do góry.

Nie miała już sił, więc sturlała się z sarkofagu.

Do pomieszczenia wszedł Kowalski z latarką.

–Jeśli skończyliście się zabawiać...

Rachele popatrzyła na niego jak na wariata.

–Przyszedłem powiedzieć, że burza coraz bardziej się nasila. Lyle uważa, że jeśli chcemy wydostać się z tej przeklętej wyspy, powinniśmy się zbierać.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć albo się poruszyć, oderwał się kolejny kawał sufitu i huknął o podłogę. Zaraz potem z góry poleciały kawałki cegieł i strumień wody. Wieża waliła się im na głowy.

–Wynosimy się stąd! – wrzasnął Gray.

Natychmiast wstali i biegiem rzucili się do wyjścia. Podłogą wstrząsnął kolejny dygot. Zaczęła trząść się i falować – coś musiało pęknąć w prastarym mechanizmie.

Rachele zatoczyła się w bok, na szczęście Gray zdążył ją chwycić i pociągnąć w stronę tunelu. Kiedy do niego wbiegli, zawałała się reszta podziemnej groty i spadła na nich fala uderzeniowa – jak przy trzęsieniu ziemi. Nad ich głowami przetoczyła się chmura skalnego pyłu.

Kaszłąc, dotarli do wyjścia i zaczęli jedno po drugim wychodzić na zewnątrz, w burzę. Lyle podawał im parasole.

Rachele wzięła jeden z nich, ale go nie otworzyła. Wystawiła twarz na deszcz, aby ją schłodził i obmył.

Znowu się nam udało... – pomyślała.

Godz. 13. 42

Gray spoglądał na do połowy zapadniętą w ziemię stertę kamieni, która pozostała z wieży opactwa. Wokół niej zaczęła się już zbierać woda.

Grota na pewno została zasypana.

Za ich plecami rozległ się głośny warkot – to Lyle uruchomił traktor. Sztorm wyl jak potępieniec – podczas ich pobytu pod ziemią zdecydowanie się nasilił. Lało jak z cebra, a kiedy wichur wiał od morza, deszcz padał niemal zupełnie poziomo. Nawet błyskawice pojawiały się rzadziej – jakby przestraszyła je gwałtowność burzy.

Zaczęli wsiadać. Po chwili traktor szarpnął i ruszył.

Kulili się na przyczepie, próbując chronić się przed wiatrem i ulewą.

Wallace popatrzył na zawałone ruiny opactwa Saint Mary.

–Pierwsza zasada archeologii: niczego nie dotykać – powiedział, spoglądając z wyrzutem na Graya.

Gray nie miał o to do niego pretensji. Źle ocenił sytuację, nie zastanowiwszy się nad mogącym im grozić niebezpieczeństwem. Był tak wstrząśnięty odkryciem, że krzyż jest starszy od chrześcijaństwa, a jego element da się obrócić, że zabrał się do działania, zanim pomyślał. Inaczej niż ojciec Giovanni, który przystąpił do rozwiązywania tej łamigłówki bardzo naukowo i z rozwagą.

Ale włoski ksiądz miał przygotowanie archeologiczne. Poza tym nie musiał przez cały czas myśleć o tym, że stawką w tej grze jest ludzkie życie.

Zostały im dwa dni na rozwikłanie tajemnicy klucza. Gray nie zamierzał nikogo przeproszać za stosowanie twardych metod i rezygnowanie z ostrożności dla szybszego dotarcia do celu.

Zdawał sobie sprawę, że czegoś jeszcze nie dostrzega. Im bardziej starał się to pochwycić,

tym bardziej mu umykało.

Doktor pokręcił głową i westchnął.

–Ilu ciekawych rzeczy moglibyśmy się dowiedzieć, gdybyśmy mieli więcej czasu...

Za tymi słowami kryło się wyraźne oskarżenie. Zwykła jowialność Wallace'a znikła bez śladu. Przez jeden głupi błąd zniszczyli bezcenny iluminowany manuskrypt i stracili dostęp do tego, co ukrywał krzyż.

–A jeśli klucz nadal tam jest? – spytał po chwili doktor.

Gray miał dość jego złośliwych przytyków.

–Sam pan w to nie wierzy – odparł. – Ja zresztą też nie.

Zabrzmiało to nieco ostrzej, niż zamierzał, ale też był zmęczony.

–Czemu?

–Ponieważ ojciec Giovanni opuścił to miejsce. Kontynuował poszukiwania gdzie indziej. Moim zdaniem rozwiązał zagadkę krzyża, znalazł pustą kryptę, w której kiedyś przechowywany był klucz, po czym ruszył dalej, zabierając ze sobą jedyną rzecz, której potrzebował do dalszych poszukiwań.

–Relikwię z grobowca – dodała Rachele.

Gray wpatrywał się w ścianę deszczu.

–Klucz w dalszym ciągu gdzieś tu jest. Wątpię, czy ten krzyż aż tak bardzo pomógł ojcu Giovanniemu. Ruszył dalej... i my musimy zrobić to samo.

–Ale dokąd? – spytał Wallace. – Gdzie mamy zacząć szukać? Wróciliśmy do punktu wyjścia.

–Nieprawda.

–Jak to?

Gray zignorował go i zwrócił się do Rachele.

–Skąd tyle wiesz o świętym Malachiaszu?

Była zaskoczona tym pytaniem.

–Dzięki wujowi Vigorowi – odparła. – Bardzo się nim interesował. Mógł godzinami rozprawiać na jego temat.

Gray wiedział, że monsignore Verona pasjonował się tajemnicami wczesnego Kościoła i poszukiwał prawdy kryjącej się za cudami. Taka postać jak święty Malachiasz musiała poruszyć jego wyobraźnię.

–Właśnie dlatego ojciec Giovanni wybrał twojego wuja. Ponieważ przypuszczał, że klucz do rozwiązania tej tajemnicy tkwi w życiu tego świętego, udał się do najlepszego źródła, jakie znał.

Wallace usiadł prosto, ignorując wiatr i deszcz.

–Do Vigora Verony...

–Może Marco wiedział o udziale Viatusa w tej sprawie, a może tylko coś podejrzewał, sądząc jednak, że im bardziej zagłębiał się w tę sprawę, tym wyraźniej sobie uświadamiał, że sam nie da rady rozwiązać tej zagadki. Że potrzebuje wiedzy, jaką dysponuje Kościół, i ochrony z jego strony.

–Ale zbyt późno zdecydował się poszukać pomocy – mruknęła Seichan. – Ktoś już się dowiedział, co zamierza zrobić.

Gray kiwnął głową.

–Jeśli mamy odkryć, gdzie ukryto ten klucz, potrzebny nam będzie ktoś doskonale znający żywot świętego Malachiasza.

–Przecież Verona ciągle jest w śpiączce – stwierdził doktor.

–Mamy kogoś, kto wie tyle samo – odparł Gray i popatrzył na Rachele.

–Mnie? – zdziwiła się dziewczyna.

–Musisz nam pomóc.

–W jaki sposób?

–Wiem, gdzie ukryty jest klucz...

Wallace wbił w Graya twarde spojrzenie.

–Gdzie?

–Biblia Malachiasza została umieszczona w tym sarkofagu z określonego powodu. Nie tylko po to, aby uświęcić relikwię. Umieszczono ją tam jako symbol, nitkę prowadzącą do nowego miejsca ukrycia klucza. Przed przybyciem Rzymian klucz i ten grób stanowiły jedność. Potem była już w nim jedynie Biblia Malachiasza i fragment ciała złożonej tam kiedyś osoby...

–Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Wallace.

–Uważam, że Malachiasz zajął miejsce tamtej osoby, stając się kolejnym strażnikiem klucza.

–Jeśli ma pan rację, to teraz klucz... – zaczął Wallace.

–Jest w grobowcu świętego Malachiasza.

Kowalski podłubał za paznokciem kawałkiem słomy.

–Może i tak – mruknął. – Ale uprzedzam: ja tam nie wejdę.

Zanim zdążyli się zastanowić, gdzie powinni dalej szukać, traktor szarpnął i zatrzymał się. Gray ze zdziwieniem stwierdził, że są już w porcie.

Lyle zeskoczył i dał im znak, aby wysiadali.

–Idźcie do starego kapitanatu i schowajcie się tam przed deszczem, a ja pójdę po tatę.

Morze nadal szalało. Wysokie fale łamały się, wystrzeliwując fontanny piany. Choć prom był zacumowany za falochronem, skakał i kiwał się na boki. Powrót na ląd zapowiadał się niewesoło.

W oknach kapitanatu odbijały się płomienie – najwyraźniej w środku w kominku palił się ogień. Weszli do środka, pozostawiając burzę za sobą, za zamkniętymi drzwiami. Ściany pomieszczenia były wyłożone surową sosną, a sufit podpierały grube belki. Pachniało dymem i tytoniem fajkowym. Na stołach stało kilka świec. Ogień w kominku zapraszał do wejścia głębiej, więc wybrali stolik, pozdejmowali kurtki i powiesili je na krzesłach.

Gray stanął plecami do ognia i pozwolił ciepłu rozchodzić się po całym ciele. Radosny taniec płomieni powoli rozpraszał ponury nastrój, jaki zaczął już go ogarniać.

Kiedy wiatr wyrwał klamkę z dłoni Owena Bryce'a, drzwi huknęły o ścianę. Kapitan szybko złapał ją ponownie i zamknął drzwi. Zatrzymał się na środku pokoju i strząsnął z siebie deszcz.

–Paskudna pogoda – stwierdził z uśmiechem. – Chyba mam dla was złe i dobre wieści.

Taka zapowiedź nigdy nie oznacza nic dobrego.

–Zła wiadomość jest taka, że nie uda nam się dziś wrócić na ląd. Sztorm tak bardzo wzburzył morze, że sobie z nim nie poradzimy. Jeśli jeszcze tego nie wiecie, to powiem wam, że walijska nazwa tej wyspy to Ynys Enlli, co oznacza: „wyspa złych prądów”. A to dotyczy słonecznego dnia.

–A jaka jest dobra wiadomość? – spytał Kowalski.

–Mogę wam załatwić nocleg za pół ceny. Na cały tydzień.

–Kiedy pana zdaniem będziemy mogli wracać? – spytał Gray.

Owen Bryce wzruszył ramionami.

–Trudno powiedzieć. Na całej wyspie nie ma prądu ani telefonów. Zanim zaczniemy myśleć o wypłynięciu, będziemy musieli dostać zgodę z kapitanatu portu w Aberdaron.

–Kiedy to może nastąpić, jak pan myśli?

–W ubiegłym roku mieliśmy turystów, którzy z powodu sztormu utknęli tu na siedemnaście dni.

Gray popatrzył na niego twardo. Czekał na odpowiedź na swoje pytanie.

Owen przeciągnął palcami przez włosy.

–Myślę, że będę mógł odwieźć was do Aberdaron za dwa dni. Góra trzy.

Rachele opadła ciężko na krzesło.

Nie mieli tyle czasu.

13 października, godz. 13. 35

Svalbard, Norwegia

Monk i Painter leżeli na dachu sno-cata, przywiązani do niego jak bagaż. Podmuchy wiatru wciąż próbowały ich stamtąd zrzucić, a śnieg tak ich zasypał, że wyglądali jak po lukrowani.

Mieli karabinki szturmowe, dostali też od norweskiego żołnierza niezbędny do walki w niskich temperaturach sprzęt.

Monk poprawił gogle noktowizyjne. Wiatr sprawiał, że widoczność nie przekraczała kilku metrów – ale noktowizor wychwytywał wszelkie ślady ciepła. Kiedy Monk patrzył w dół, widział silnik sno-cata w jasnopomarańczowych barwach.

Ich cele właśnie wyjeżdżały zza zasłony śniegu – a na zbocze zygzakiem wspinało się siedem lub osiem skuterów śnieżnych. Dojeżdżały już do miejsca, z którego Monk obserwował wcześniej skarbiec.

Poklepał dłonią leżący obok niego granatnik. Zanim zajęli stanowiska, przeszukali okolicę i znaleźli nie tylko wyrzutnie, lecz także skrzynkę granatów.

Senator i Karlsen siedzieli w sno-cacie razem z norweskim żołnierzem, wystawiając lufy karabinków przez okna.

Byli uzbrojeni po zęby, jednak ich przeciwnicy mieli nad nimi znaczną przewagę liczebną – przynajmniej dziesięć do jednego.

Kiedy najemnicy wjechali do doliny, kierowca sno-cata odbił w bok i schował się za zaspą.

Dwa skutery, każdy z dwoma ludźmi, minęły ich z prawej strony. Wrogowie nie zauważyli ukrytego za zaspą sno-cata, co oznaczało, że albo nie mieli gogli na podczerwień, albo byli całkowicie skoncentrowani na znajdującym się przed nimi skarbcu.

Monk i Painter pozwolili im przejechać.

Ludzie na skuterach nie byli ich najważniejszym celem.

W górę pędziły kolejne skutery, zagłuszając wyciem swoich silników basowy pomruk sno-cata. Zaraz potem w polu widzenia Monka pojawił się ogromny pojazd.

Był to transporter marki Hagglund.

Jechała nim główna siła uderzeniowa napastników i to własne jego należało wyeliminować

najpierw. Sno-cat Monka i Paintera nie mógł się mierzyć ze skuterami pod względem szybkości, ale nad hagglundem górował zwrotnością. Gdyby udało im się wyłączyć z akcji tego potwora, z pewnością podkopałoby to morale przeciwnika. Może wystarczająco, aby zrezygnował z ataku i się wycofał.

Tak czy owak, nie mogli pozwolić najemnikom dotrzeć do skarbcza, w którym ukrywało się ponad czterdzieści osób.

Kiedy hagglund był już dobrze widoczny, Painter zamienił swój karabin na granatnik. Mieli tylko jedną szansę. Po pierwszym strzale ściągną na siebie pełną moc ognia przeciwnika.

Monk klepnął dwa razy w dach i Painter wycelował.

Aby nie zostać oślepionym, Monk ściągnął z głowy gogle, ale wtedy przestał cokolwiek widzieć. Burza śnieżna wciąż szalała, zamazując cały świat. Miało się wrażenie, że tkwi się w środku śnieżnej kuli wrzuconej do miksera.

Nic dziwnego, że nieprzyjaciel ich nie dostrzegł.

–Ognia! – krzyknął Painter i pociągnął za spust.

Wyrzutnia wypluła dym i ogień i granat pomknął do celu.

Monk z powrotem nałożył gogle i zdążył jeszcze zobaczyć uderzenie granatu w gąsienice hagglunda, który przechylił się na bok.

Painter bardzo chciał go przewrócić, niestety się nie udało.

Transporter z powrotem opadł na śnieg. Uszkodzona gąsienica sprawiała, że pojazd kręcił się wokół własnej osi. Po chwili otworzyły się drzwi, ze środka zaczęły wyskakiwać najemnicy i nurkować w zaspy. Wiedzieli, że pozostając w hag-glundzie, będą jak kaczki do odstrzału.

–Ognia! – krzyknął ponownie Painter.

Monk zakrył oczy, przeczekał świst kolejnego granatu, po czym ponownie spojrzął na transporter. Tym razem Painter wycelował idealnie. Granat przebił przednią szybę hagglunda i wybuchł w środku, przewracając potężny pojazd. Jego szyby eksplodowały i przez otwory buchnął ogień. W powietrze poleciały wirujące ciała jaskrawo świecące w goglach Monka.

Painter padł na dach.

Po chwili zagwizdały nad nimi pociski – wystrzelenie drugiego granatu ujawniło ich pozycję.

Monk klepnął w dach i sno-cat natychmiast ruszył. Kierowca szybko zjechał na dół, po czym skręcił w prawo. Kiedy na zakręcie jedna gąsienica pojazdu uniosła się nad śniegiem, Painter przeturlał się i wpadł na Monka.

Sno-cat wyskoczył w górę na zaspie i przez sekundę wisiał w powietrzu, zaraz jednak uderzył w śnieg. Impet tego uderzenia rzucił Monka na reling dachowy, który wbił mu się w żebra.

Mieli niewiele czasu na wykorzystanie swojej przewagi. Dzięki zjazdowi w dół znaleźli się poniżej hagglunda. Musieli zaatakować, zanim przeciwnik ponownie się zorganizuje.

Monk rozglądał się, szukając pomarańczowych plam. Po chwili uniósł broń i zaczął strzelać, a Painter poszedł w jego ślady. W ciągu kilkunastu sekund wyłączyli z akcji paru ludzi przeciwnika, ale podskakiwanie sno-cata na nierównościach terenu bardzo utrudniało celowanie.

Żołnierze szybko się pochowali albo uciekli w górę zbocza.

Za hagglunda zaczęto odpowiadać ogniem i w metalowy grill sno-cata uderzyły pociski. Zaraz potem rozległ się brzęk miazdzonej kulami szyby.

Kierowca skręcił – tak, aby kadłub hagglunda znalazł się między nimi a ostrzeliwującymi ich najemnikami. Niestety dołączyli do nich kolejni strzelcy – poukrywani za śnieżnymi zaspami i głazami.

Ale sno-cat nie był w takiej zamieci łatwym celem, a norweski żołnierz cały czas robił niespodziewane skręty.

Po chwili znowu usłyszeli wycie silników skuterów śnieżnych. Oddział szturmowy, który ich wcześniej minął, zawrócił i ruszył na pomoc swoim towarzyszom.

Sno-cat mógł jak rekin osaczyć hagglunda, jednak przewaga Paintera i Monka już się skończyła – wkrótce skutery wrogów otoczą ich jak małe drapieżne rybki.

Godz. 13. 41

Painter obserwował przez gogle noktowizyjne dziesięć skuterów śnieżnych kierujących się w stronę hagglunda. Ich sygnatury ciepłe wyglądały jak pomarańczowe plamy na śniegu.

Nie mieli wyboru – musieli stawić im czoła.

Sno-cat pomknął w górę na spotkanie nieprzyjaciół.

Im bliżej wywróconego hagglunda podjeżdżali, tym mocniej ich ostrzeliwano. Zbliżanie się skuterów śnieżnych dodało leżącym za transporterem żołnierzom pewności siebie.

Paintera smagnęło coś po ramieniu – przypominało to uderzenie bicia. Mimo to ani na chwilę nie przerwał ognia.

Sno-cat wspinał się w górę, a z jego okien i dachu przez cały czas strzelano. Musieli przełamać opór przeciwnika. Painter miał co prawda nadzieję, że zapewni im to wyłączenie hagglunda z

akcji, jednak ich przeciwnicy najwyraźniej nie zamierzali odpuścić.

Zanosiło się na długotrwałą potyczkę – o jej wyniku zadecydują umiejętności i szybkość.

Tak przynajmniej mogłoby się wydawać.

Nagle do odgłosów strzelaniny dołączył nowy dźwięk.

Był to przenikliwy gwizd.

Monk stuknął trzy razy w dach i kierowca natychmiast się zatrzymał. Painter poleciał w przód i zsunął się z dachu. Uderzył w przednią szybę, ale linki, którymi był przywiązany, zahamowały dalszy upadek.

Monk utrzymał się na swojej grzędzie. Wyjął nóż, przeciął przytrzymujące Paintera linki, a potem swoje.

–Do środka! – krzyknął, wskazując w dół.

Kiedy skakali w dół, otworzyły się drzwi po obu stronach sno-cata. Monk zanurkował do środka od strony pasażera, a kierowca wychylił się na zewnątrz, złapał Paintera za rękaw i wciągnął go do pojazdu. W sno-cacie były tylko dwa miejsca, jednak z tyłu znajdował się jeszcze przedział bagażowy.

Strzelanina nie słabła ani na chwilę, ale ponieważ nie odpowiadali ogniem, a kierowca zredukował obroty, najemnicy mieli trudności z ich zlokalizowaniem.

–Co się dzieje? – spytał Painter.

Monk wpatrywał się w przestrzeń przed pojazdem.

–Creed miał sprowadzić pomoc. Norweska armia to nie jedyna siła broniąca tego skarbcza...

–Co to ma... – zaczął Painter, ale urwał, bo w tym momencie zrozumiał, co Monk ma na myśli.

Na śniegu pojawiły się nowe sygnatury ciepłe – przynajmniej tuzin. Przemuszały się z dużą prędkością i z każdą chwilą rosły.

Niedźwiedzie polarne.

Wciąż słyszeli przeraźliwy gwizd odbijający się echem od wyższych partii doliny.

Ten przenikliwy dźwięk musiał przestraszyć zwierzęta i zaczęły uciekać w głąb doliny.

–Kolega naszego kierowcy wychowywał się tutaj – wyjaśnił Monk. – Doskonale zna wszystkie miejsca, w których zbierają się niedźwiedzie. Tylko na tej wyspie jest ich trzy tysiące. Był

pewien, że uda mu się wygonić kilka z nich z kryjówek, rozzłościć je i zmusić do zmiany miejsca pobytu. Przepraszam, że nie powiedziałem o tym wcześniej, lecz nie traktowałem tego zbyt poważnie, myślałem, że to szalony pomysł...

Painter całkowicie się z tym zgadzał. Było to rzeczywiście szalone – ale zadziałało.

Niedźwiedzie polarne potrafią biec z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jednak jeśli coś je wyprowadzi z równowagi, krótkie odcinki mogą pokonywać jeszcze szybciej. A stado, które biegło w dół, było mocno rozwścieczone.

Painter patrzył przez gogle noktowizyjne, jak niedźwiedzie atakują skutery śnieżne. Ogromne zwierzęta obskakiwały je i przewracały z furją.

Przez strzelaninę przebijały się krzyki przerażenia i wrzaski bólu – towarzyszyły im zwierzęce ryki, od których włosy stawały dęba.

Kilku skuterom śnieżnym udało się dotrzeć do hagglanda, nie zatrzymały się jednak przy nim – minęły go na pełnej szybkości. Biegące za nimi niedźwiedzie natychmiast zabrały się do wylapywania poukrywanych za zaspami ludzi. Niektórzy z najemników próbowali się ostrzeliwać, ale zwierzęta były jedynie cieniami migającymi w zadyńce.

Strzały tylko zwiększyły wściekłość niedźwiedzi.

Jeden z żołnierzy próbował uciekać w stronę sno-cata, jednak nie zdążył przebiec nawet kilku metrów – potężna łapa wysunięta zza śnieżnej zasłony złapała go za nogę. Kończyna oderwała się, jakby była zrobiona z papieru, a żołnierz, rozpryskując na boki krew, wyleciał w powietrze.

Inny niedźwiedź przebiegł obok sno-cata, ostrzegawczo wbijając bark w jego bok.

Painter nawet nie miał odwagi oddychać.

Stado niedźwiedzi pędziło przez dolinę, rozrzucając na boki trupy i pozostawiając za sobą krwawy trop. A potem nagle zniknęły w śnieżnej burzy jak duchy tak samo szybko, jak się pojawiły.

Nic się nie poruszało.

Kto tylko mógł, uciekł. Wyłączenie z walki hagglanda nie powstrzymało najemników, ale nawet najbardziej zaprawionego w bojach weterana musiał przerazić tak gwałtowny pokaz brutalnej siły natury.

Od strony zbocza doleciał kolejny dźwięk.

Po chwili Painter ujrzał w goglach sygnatury ciepłe dwóch skuterów śnieżnych. Kilka sekund później wyjechały zza tumanu śniegu. Creed pozdrowił ich uniesioną ręką, a norweski kierowca

poklepał Paintera po ramieniu. Potyczka została zakończona.

Godz. 14. 12

Krista brnęła przez śnieg.

Przytrzymała kaptur przy twarzy, próbując chronić się przed lodowatym wiatrem. Jeden rękaw jej kurtki był spalony, a bolesne szarpnięcia sygnalizowały, że fragmenty materiału zlepily się ze skórą.

Ledwie udało jej się ujść z życiem. Kiedy do hagglanda wleciał drugi granat, tkwiła w nim dolną połową ciała. Eksplozja wypchnęła ją na zewnątrz i po kilku saltach w powietrzu wylądowała w śnieżnej zaspie. Płonący rękaw natychmiast został zgaszony.

Choć oszołomiona, podpełzła z powrotem do pojazdu i ukryła się pod nim. Dzięki temu udało jej się uniknąć zarówno postrzału, jak i ataku ze strony niedźwiedzi.

Jeszcze dygotała na myśl o rzeźni, jaką urządziły.

Nie wyszła spod transportera nawet wtedy, gdy odeszły. Kiedy zobaczyła Paintera – swoją nemezis – jęknęła cicho.

Ile żywotów ma ten cholerny Indianin?

Czekała, aż wszyscy odejdą. Jeden ze skuterów ruszył do Longyearbyen po pomoc, a reszta ludzi wróciła do skarbca. Prawdopodobnie zamierzali zorganizować tam obronę na wypadek, gdyby któryś z najemników przeżył atak niedźwiedzi i postanowił dokończyć wyznaczone mu zadanie.

Krista nie miała takiego zamiaru.

Podeszła do jednego z porzuconych skuterów śnieżnych. Szczątki kierowcy były rozwleczone na kilku metrach zakrwawionego śniegu. Obeszła je i obejrzała pojazd. Kluczyk tkwił w stacyjce.

Usiadła i przekręciła go. Silnik zawarczał, a kiedy dodała gazu, zawył głośno.

Ruszyła w kierunku miasteczka. Nie miała tu nic do roboty.

Przedtem jednak coś sobie obiecała.

Zanim cała ta sprawa się zakończy, wpakuje temu Indianinowi kulę w łeb.

13 października, godz. 15. 38

Wyspa Bardsey, Walia

Gray leżał w wannie i rozkoszował się gorącą wodą.

Miał zamknięte oczy i próbował uporządkować myśli. Niemal od godziny spierał się z Owenem Bryce'em, próbując mu wyjaśnić, że stan zdrowia Rachele wymaga jej natychmiastowego wywiezienia z wyspy. Że potrzebuje lekarstw, które zostały w hotelu. Ale Bryce poszedł tylko na jedno ustępstwo – zgodził się ponownie rozpatrzyć ich prośbę rano.

Gray martwił się o Rachele – mimo iż sprawiała wrażenie, że wszystko z nią jest w porządku. Ale zostali uwięzieni na wyspie przynajmniej na kilka najbliższych godzin, a jej stan mógł się pogorszyć.

Postanowił, że kiedy zapadnie zmrok, co o tej porze roku następowało dość wcześnie, i wyspiarze pójdą spać, ukradną prom. Nie mogli czekać do rana. Jeżeli Owen nie zgodzi się ich przewieźć, stracą kolejną dobę.

Wzięli zaofertowane im pokoje, bo uznali, że przyda się im nieco wypoczynku. Wszyscy byli bardzo zmęczeni.

Gray nie mógł się jednak odprężyć. Jego myśli krążyły wokół niebezpieczeństw, jakim musieli stawić czoła, i tajemnic, na które się natknęli.

Rozległ się grzmot i szybki w oknie nad wanną zadygotały, a płomień stojącej obok mydła świecy zadrżał. W dalszym ciągu nie było prądu. Aby nie zmarznąć w czasie kąpieli, Gray musiał rozpaść w kominku w sypialni. Migoczące płomienie sprawiały, że pod jego powiekami tańczyły różowe plamki.

Kiedy wygodniej wyciągnął się w wannie, różowe światełko pod powiekami zasnuł cień.

Wyprostował się gwałtownie, rozlewając na podłogę wodę.

W drzwiach stała ubrana w szlafrok Rachele. Nie słyszał, kiedy wchodziła do łazienki – uderzenie grzmotu zagłuszyło jej kroki.

–Rachele...

Dygotała, jakby było jej zimno. Bez słowa zdjęła szlafrok i ruszyła w stronę Graya. Wstał i chwycił ją w ramiona. Wtuliła się w niego, przyciskając twarz do jego szyi. Bardzo potrzebowała jego bliskości.

Podłożył rękę pod jej pośladki i podniósł ją. Była lżejsza, niż pamiętał – jakby brak nadziei ją wydrążył.

Usiadł z Rachele na rękach w gorącej wodzie.

Przez cały czas ją obejmował. Jej dłoń zaczęła się zsuwać w dół jego brzucha, ale powstrzymał ją i przesunął sobie na pierś. Czekał, aż Rachele przestanie drzeć. Od pożaru lasu przez cały czas uciekali – od chwili gdy dowiedziała się, że została otruta. Nie powinien zostawiać jej samej.

Jeżeli on był roztrzęsiony, co musiało dziać się w jej głowie? Objął ją mocniej – jakby mógł w ten sposób zapewnić jej ochronę.

Powoli przestawała drzeć.

Oparła się o niego.

Długo jeszcze siedzieli bez ruchu. Potem delikatnie dotknął twarzy Rachele, uniósł jej głowę i popatrzył w oczy. Zobaczył w nich potrzebę bliskości, poczucia, że nie jest sama, i znacznie głębiej – żar dawnej miłości.

Pochylił się i przyłożył usta do jej warg.

Godz. 16. 02

Seichan siedziała w swoim pokoju, opierając się plecami o drzwi, z niezapalonym papierosem w dłoni. Kilka minut temu skrzypnęły drzwi Rachele, korytarzem przekradły się ciche kroki i po chwili otworzyły się drzwi prowadzące do pokoju Graya.

Słuchała tych dźwięków, nie otwierając oczu.

Drzwi więcej się nie otworzyły.

Zalała ją fala połączonej ze złością zazdrości, przemieszanej z bólem, którego istnieniu nie mogła zaprzeczyć. Osunęła się na podłogę i objęła ramionami kolana.

Nikt jej nie obserwował, więc pozwoliła sobie na chwilę słabości. Było ciemno, ale nie zapaliła ognia w kominku i nawet nie miała świecy. Wolą ciemności – jak zawsze.

Bujała się lekko w przód i w tył, pozwalając bólowi przepływać przez ciało.

Było to jak powrót do czasów, kiedy bardzo często odczuwała ból – najpierw z powodu klapsów, a później poniżeń. Miała tajną szafę, w której szukała potem spokoju. Nie było w niej okna i nikt jej nie widział – tylko myszy i szczury.

Jedynie otoczona ciemnością czuła się bezpieczna.

Nienawidziła samej siebie w tej chwili. Powinna powiedzieć Grayowi prawdę i zakończyć tę sprawę, ale przysięgła sobie, że nigdy tego nie zrobi.

Złożyła tę obietnicę ze względu na niego.

Nieważne, ile ją to będzie kosztować – nigdy jej nie złamię.

Godz. 18. 55

Pod osłoną ciemności Gray prowadził swoich towarzyszy do portu.

Prom podskakiwał na falach, uderzając w odboje. Z mrocznego nieba lały się strumienie wody. Kowalski stał już przy katamaranie. Przyszedł do portu pierwszy, aby sprawdzić, czy łodzi nie ukradziono i czy nikogo na niej nie ma.

Ale któż miałby ochotę kraść łódź przy takiej pogodzie?

Pobiegli w dół pomostu.

–Na pokład! – zakomenderował Kowalski. – A ja tymczasem zrzucę cumy.

Gray pomógł pozostałym wspiąć się na rufę promu, co przy nieustannie poruszającym się pokładzie wymagało sporych zdolności akrobatycznych.

Kiedy ujął dłoń Rachele, nie popatrzyła na niego, tylko ścisnęła mu dłoń, dziękując w milczeniu za minioną noc. Gdy się rano obudził, już jej nie było. Wiedział, że tak musi być. Dobrze znał stawkę i ona również ją znała. To, co się wydarzyło, było szczere i potrzebne im obojgu. Wybuch namiętności zrodził się ze strachu i poczucia samotności. Gray kochał Rachele i wiedział, że ona czuje to samo, ale nawet kiedy leżeli przed kominkiem, spleceni ze sobą i ogarnięci namiętnością, jakaś jej część pozostawała poza jego zasięgiem.

Nie był to dobry czas na powrót do tego, co kiedyś między nimi było. Rachele była zbyt poraniona, zbyt słaba. Przyszła do niego, bo potrzebowała jego siły, dotyku i ciepła – a nie serca.

Dalszy ciąg musiał zaczekać.

Przeskoczył przez reling i złapał cumę, rzuconą przez Kowalskiego.

–Będzie niezła jazda – ostrzegł ich były marynarz i ruszył w stronę sterówki.

Kiedy uruchomił silniki, dał Grayowi znak, żeby rzucał ostatnią cumę.

Zaczął odsuwać uwolnioną łódź od pomostu w stronę otwartej wody. Do momentu opuszczenia portu zamierzali płynąć bez świateł.

Gray spojrział na brzeg. Nikt za nimi nie biegł. Może przy tym sztormie zniknięcie łodzi zostanie zauważone dopiero rano.

Powrócił do obserwacji morza, ale nie zanosił się na to, by pogoda się poprawiła.

–Poradzisz sobie? – spytał Kowalskiego.

Były marynarz wetknął do ust niedopalone cygaro.

–Nie martw się – odparł. – Zatopiłem tylko jedną jednostkę... nie, dwie...

Bardzo pocieszające.

Gray wrócił na pokład rufowy. Wallace rozdawał wszystkim jasnopomarańczowe kamizelki ratunkowe. Szybko je pozakładali i zapalili umieszczone na kołnierzach migające lampki.

–Przez cały czas się czegoś trzymajcie – ostrzegł ich Gray.

Kiedy mijali przybój, noc rozświetliła błyskawica. Morze wyglądało znacznie gorzej niż kilka minut temu. Fale zdawały się sunąć ze wszystkich stron i uderzały jedna w drugą, wystrzeliwując gejzery morskiej wody.

Kowalski zaczął gwizdać pod nosem.

Nie był to dobry znak.

Gdy wypłynęli na otwarte wody, poczuli się, jakby zostali wrzuceni do pralki. Łódź wystrzeliła w górę, a potem opadła w dół, dygocząc gwałtownie.

Gdziekolwiek skierowało się wzrok, wszędzie widać było spienione grzywacze.

Kowalski gwizdał coraz głośniej.

Prom uderzył w stromą falę i jego dziób uniósł się ku niebu. Wszystko, co nie było przymocowane, zaczęło zsuwać się w stronę rufy. W końcu jednak udało im się pokonać falę i ześlizgnęli się w dół.

Jednocześnie inna fala uderzyła ich z boku i przeleciała przez rufę, zmiatając z pokładu wszystko, na co natrafiła.

Po chwili woda spłynęła z pokładu i łódź znowu zaczęła iść w górę.

–Gray! – krzyknęła nagle Rachele.

Wypluł słoną wodę i natychmiast zauważył, co się stało.

Seichan zniknęła.

Gdy fala uderzyła w łódź, siedziała przy przeciwległej burcie i zepchnęło ją za reling.

Gray wstał i rozejrzał się dookoła.

Seichan podskakiwała na wodzie za rufą, oświetlana lampką na kamizelce ratunkowej, ale po chwili fale odepchnęły ją dalej i zniknęła z pola widzenia. Gray podbiegł do burty i skoczył do wody. Nie mogli stracić Seichan.

Kiedy leciał w powietrzu, Rachele odwróciła się do Kowalskiego. – Zawracaj! – krzyknęła. W tym momencie Gray uderzył w wodę i wszystko poczerwiano.

Godz. 19. 02

Seichan wirowała jak niesiony falą powodziową liść. W głąb jej ciała zaczęło przenikać zimno, jeszcze bardziej utrudniając oddychanie, i już tak niełatwe z powodu przewalających się nad nią gór wody.

Nie widziała świateł łodzi, tylko czarne góry wody.

Jedną ręką trzymała kamizelkę, a drugą próbowała strząsnąć z oczu słoną wodę.

Musiała dotrzeć do promu.

Nad jej głową wyrosła kolejna fala – ogromna, łamiąca się i pieniąca na krawędzi.

Po chwili spadła prosto na nią, wpychając ją głęboko pod powierzchnię. Straciła orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół. Woda zaczęła wlewać jej się do nosa. Zachłysnęła się, połykając jeszcze więcej wody.

Kamizelka zaczęła ciągnąć ją ku górze.

Próbowała zaczerpnąć powietrza, ale mogła tylko zakaszeleć. Zamrugła i próbowała się zorientować, gdzie jest.

Szła na nią kolejna fala.

O, nie...

Nagle coś ją złapało od tyłu. Fala spadła jej na głowę, jednak czyjeś ręce w dalszym ciągu trzymały ją za kurtkę na plecach. Po chwili silne nogi oplotły jej biodra i zaczęły razem wypływać z kipieli. Nie miała w płucach powietrza, ale jej panika osłabła, pozostawiając tylko strach.

Nic nie widziała, jednak doskonale zdawała sobie sprawę z tego, kto ją trzyma.

Wypłynęli razem na powierzchnię, dwie kamizelki pozwalały im łatwiej utrzymać się na wodzie.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

–Uratuj mnie... – szepnęła, wkładając w te dwa słowa wszystko, co czuła.

Godz. 19. 24

Za kurtyną burzy widać było światła rybackiej wioski. Do plaży pozostało już jedynie kilkadziesiąt metrów i Kowalski płynął prosto do celu.

Gray musiał przyznać, że jego podwładny naprawdę umie prowadzić łódź.

Gdy razem z Seichan walczyli z falami, Kowalski zawrócił. Kiedy ich znalazł, rzucił im linę i wciągnął na pokład.

Reszta drogi również nie była przyjemna, ale nikt już nie wypadł za burtę.

Seichan kaszlała jak gruźlik, próbując wyrzucić z płuc wodę, której się nałykała. Gray jeszcze nigdy nie widział jej takiej bladej.

Na szczęście nic jej już nie groziło.

Kowalski zakręcił kołem sterowym i wprowadził katamaran na płyciznę. Ostatnia fala uniosła łódź i wepchnęła ją na piasek. Podwójna stępka przejechała po piachu, wprawiając kadłub w gwałtowny dygot, i w końcu się zatrzymali.

Żadne polecenia Graya nie były potrzebne. Wszyscy błyskawicznie opuścili pokład i wskoczyli do sięgającej do kostek wody.

Kowalski poklepał katamaran.

–Świetna łajba – stwierdził.

Przemoczeni i straszliwie zmęczeni, zaczęli iść w stronę wioski. Ale podobnie jak na wyspie Bardsey, także i w Aber-daronie nikogo nie było widać.

Gray chciał, aby zniknęli, zanim ktokolwiek zauważy prom. Nie miał ochoty zakończyć dnia w miejscowym areszcie.

Poprowadził wszystkich w stronę kościoła Saint Hywyn. Furgonetka, którą przyjechali, stała tam, gdzie ją zostawili.

–Co z pańskim psem? – spytał Gray doktora, kiedy mijali kościół.

Wallace pokręcił głową.

–Musimy zostawić Rufusa tam, gdzie jest. Lepiej mu zrobi spanie przy kominku niż wałęsanie się po deszczu. Wrócę po niego, kiedy będzie po wszystkim.

Wsiadli do land-rovera. Gray prowadził. Po dwóch minutach wyjechali na główną drogę.

Musieli jeszcze tylko ustalić, dokąd powinni się teraz udać.

–Co możesz nam powiedzieć o grobowcu świętego Malachiasza? – zapytał Gray, patrząc na Rachele.

Do tej pory nie mieli okazji o tym porozmawiać. Rachele zdążyła im tylko powiedzieć, że święty Malachiasz został pochowany w północno-wschodniej Francji. Próbowwała dorzucić trochę szczegółów, ale nie mieli ich czasu wysłuchać.

Teraz był czas na spokojną rozmowę.

–Malachiasz zmarł gdzieś w połowie dwunastego wieku – zaczęła, wyglądając przez okno. – Wyzionął ducha w ramionach swojego najlepszego przyjaciela, świętego Bernarda z Clairvaux.

Kowalski odwrócił się w jej stronę.

–Świętego Bernarda? Czy to nie on wynalazł te śliniace się psy, które ratują ludzi w górach?

Rachele zignorowała go.

–Został pochowany w założonym przez Bernarda opactwie Clairvaux, które znajduje się jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Paryża. Jego znaczna część została zniszczona w dziewiętnastym wieku, ale parę zabudowań i resztek ścian zachowało się do dziś, w tym główny budynek klasztorny. Jest jednak pewien mały problem...

Ton, jakim to powiedziała, świadczył o tym, że ten problem wcale nie jest taki mały.

–To znaczy?

–Próbowałam powiedzieć wam to już jakiś czas temu...

Popatrzyła na nich z zakłopotaniem, jakby uważała, że powinna być wcześniej bardziej zdecydowana. Jednak podobnie jak Gray, miała sporo spraw na głowie.

–No dobrze, w porządku. O co chodzi?

–Ruiny są pod ochroną. Być może są to najbardziej chronione ruiny we Francji.

–Dlaczego?

–Ponieważ opactwo Clairvaux... znajduje się na terenie więzienia o zaostrzonym rygorze.

To chyba jakiś żart, pomyślał Gray. Niestety, wyraz twarzy Rachele świadczył o czymś innym.

–Wspaniale... – mruknął Kowalski. – Teraz musimy wdrzeć się nie tylko do grobowca, ale także do więzienia. Nie ma mowy, aby ten plan nie wypalił...

13 października, godz. 20. 18

Svalbard, Norwegia

Krista szła przez magazyn położony na przedmieściach Longyearbyen. Było w nim lodowato zimno, pachniało olejem i węglem i wszędzie piętrzyły się skrzynki. Miała na sobie gruby sweter z długimi rękawami ukrywającymi bandaże na ręce. Morfinowa mgiełka zmiękczała krawędzie świadomości. Wokół było sporo ludzi w znacznie gorszym stanie niż ona. Dwa leżące na podłodze magazynu ciała przykryto plandekami.

Zostało jej jedynie ośmiu ludzi.

Krista przez cały czas trzymała przy uchu komórkę – czekała na instrukcje. Wykręciła numer, który jej zostawiono. Telefon dzwonił i dzwonił, ale w końcu odebrano.

–Jestem o wszystkim poinformowany – powiedział bez wstępów jej rozmówca.

–Rozumiem, proszę pana – odparła Krista, próbując wyczuć, w jakim jest nastroju, ale jego słowa były chłodne i skąpe, nie czuło się w nich żadnych emocji.

–Przy takim obrocie spraw musimy zmienić cele naszej misji. Ponieważ Karlsen znajduje się w rękach Sigmy, przerywamy wszelkie działania w Norwegii.

–A w Wielkiej Brytanii?

–Wcześniej mogliśmy zaryzykować i pozwolić czynnikom zewnętrznym wyręczyć nas w szukaniu klucza. Teraz jednak nie mamy już tego luksusu. Musimy zebrać sztony i odejść od stołu.

–To znaczy?

–Przedmiot ukradziony przez ojca Giovanniego... Zabezpiecz go.

–A co z ludźmi?

–Zabij ich.

–A z...

–Wszyscy zostali uznani za obciążenie, panno Magnussen. Proszę zadbać o to, aby tego samego nie stwierdzono w pani przypadku.

Gardło Kristy zacisnęło się w ciasny supeł.

–Wykonać rozkazy.

CZEŚĆ CZWARTA

CZARNA MADONNA

27

14 października, godz. 5. 18

Przestrzeń powietrzna nad Morzem Norweskim

Przez okienko pędzącego nad Morzem Arktycznym prywatnego odrzutowca Painter patrzył na znikający w tyle archipelag Svalbard. Stracili pół dnia na ewakuację uwięzionej w skarbcu grupy, a potem Kat musiała się nieźle nagimnastykować w Waszyngtonie, aby zdążyli zniknąć z wyspy przed wybuchem medialnej burzy.

Dramatyczna akcja militarna ściągnęła uwagę całego świata. Na maleńki archipelag zjeżdżały ekipy międzynarodowych stacji informacyjnych i oficerów dochodzeniowych NATO. Jedynie odległość od cywilizowanego świata i gwałtowna burza pozwoliły Painterowi się wymknąć.

Nie był oczywiście sam.

Na kanapie leżeli Monk i Creed, a w jednym z foteli siedział senator Gorman, który tępo gapił się w przestrzeń. Ostatni pasażer siedział naprzeciwko Paintera – był to Ivar Karlsen.

Dyrektor Viatusa dołączył do nich dobrowolnie. Gdyby chciał, mógł im znacznie utrudnić – czy może nawet uniemożliwić – wywiezienie go poza terytorium Norwegii, ale nie zamierzał tego robić. Siedział wyprostowany w fotelu i patrzył przez okno na znikającą wyspę. Przebieg wydarzeń świadczył o tym, że prawdopodobnie to właśnie on był głównym celem zamachu bombowego na skarbiec, a jego dotychczasowy sojusznik stał się wrogiem.

Wiedział doskonale, komu zawdzięcza życie, i chciał spłacić ten dług.

A Painter zamierzał skorzystać z jego gotowości do współpracy.

Mały odrzutowiec podskakiwał na prądach powietrznych, co wyraźnie powiększało panujące w kabinie napięcie. Lecieli do Londynu. Do Paintera nie dotarła żadna wiadomość od zespołu Graya i podczas prowadzenia dalszych poszukiwań w Krainie Jezior chciał być w Anglii. Gdyby skończyły się pomyślnie, mogli w każdej chwili dotankować i lecieć do Waszyngtonu.

Podczas pięciogodzinnego lotu Painter musiał wydusić z Karlsena, ile się da. Kat zajmowała się badaniem plantacji na Środkowym Zachodzie, na których uprawiano

modyfikowaną genetycznie kukurydzę z nasion pochodzących z laboratoriów Viatusa. Wyniki tych badań były niewesołe: w okolicy piętnastu farm doświadczalnych doszło do

niewyjaśnionych zgonów. Sekcja jednego z ciał wykazała obecność nieznanego grzyba. A do zbadania pozostały jeszcze sześćdziesiąt trzy farmy...

–Chciałem tylko uchronić świat przed klęską głodu – powiedział Karlsen, kiedy zaczęli rozmowę.

Oczy senatora Gormana błysnęły wściekle, jednak Painter powstrzymał go spojrzeniem. To on prowadził przesłuchanie.

–Ludzie mówią o eksplozji demograficznej, ale nie chcą dostrzec, że zaczęła się już jakiś czas temu – stwierdził Karlsen, który nie zauważył bezsłownej komunikacji między Painterem a senatorem. – Ludność świata wkrótce osiągnie masę krytyczną, po której przekroczeniu skończą się możliwości produkowania wystarczającej ilości pożywienia. Jesteśmy tylko o krok od klęski głodu, wojny i straszliwego chaosu. Walki o jedzenie na Haiti, w Indonezji i Afryce to dopiero początek. Nie oznacza to jednak, że jest już za późno. Dałoby się coś zrobić, gdyby podobnie myślący ludzie skoordynowali swoje działania.

–I znalazł pan ich w Klubie Rzymskim.

Karlsen wzruszył ramionami.

–Właśnie. Klub bez przerwy alarmuje, ale to przypomina wołanie na puszczy. Uwagę mediów przyciągają modniejsze kryzysy: globalne ocieplenie, wyczerpywanie się zasobów ropy, ginięcie lasów tropikalnych. Lista tych kryzysów wciąż się powiększa, ale korzenie wszystkich problemów są te same: za wielu ludzi żyje na zbyt małej przestrzeni. Nikt nie chce stawić czoła temu problemowi. Jak wy to nazywacie w Ameryce? Niepoprawność polityczna? Ta sprawa jest tematem tabu. Jest zbyt uwikłana w religię, politykę, zagadnienia rasowe, ekonomię. Biblia mówi: „bądźcie płodni i rozmnażajcie się”. [Księga Rodzaju, 1, 28.] Nikt nie ma odwagi przyznać, że to droga prowadząca do katastrofy... każda taka próba byłaby politycznym samobójstwem. Zaproponuj jakieś rozwiązanie, a natychmiast zostaniesz oskarżony o popieranie eugeniki. Ktoś musi jednak postawić sprawę na ostrzu noża i podjąć właściwe decyzje.

–I to miał być pan? – zapytał Painter.

–Proszę nie ironizować. Wiem, czym to się skończyło, ale nie od tego się zaczęło. Zależało mi jedynie na tym, aby w jakiś sposób zahamować przyrost naturalny, zacząć stopniowo zmniejszać ilość biomasy na naszej planecie, sprawić, abyśmy zbyt szybko nie osiągnęli punktu krytycznego. W Klubie Rzymskim znalazłem wszystkie potrzebne mi narzędzia. Inwencję, najnowocześniejsze technologie, władzę polityczną. Zacząłem więc

prowadzić niektóre projekty w taki sposób, aby przyspieszyły realizację moich celów, i gromadzić wokół siebie podobnie myślących ludzi.

Popatrzył na senatora, zaraz jednak odwrócił wzrok.

–Wykorzystałeś mnie do rozsiewania swojego zatrutego ziarna! – syknął Gorman.

Karlsen wbił wzrok w swoje dłonie, ale kiedy znowu podniósł głowę, wcale nie sprawiał wrażenia speszzonego.

–To było później. Popełniłem błąd, zdaję sobie teraz z tego sprawę. Nawiązałem kontakt z tobą, ponieważ opowiadałeś się za biopaliwami, za przerabianiem kukurydzy i trzciny cukrowej na paliwo. Wspieranie takiej sprawy jak rozwój produkcji energii odnawialnej, która uwolni nas od zależności od ropy naftowej, było godne pochwały, w dodatku również służyło moim celom.

–To znaczy?

**–Zmniejszaniu zasobów żywnościowych świata – odparł Karlsen, twardo patrząc na Paintera.
– Panowanie nad żywnością to władza nad ludzkością.**

Painter przypomniał sobie sparafrazowane przez Karlsena słowa Henry'ego Kissingera: „Zapanuj nad ropą naftową, a będziesz rządzić narodami, zapanuj nad żywnością, a będziesz rządzić ludzkością”.

A więc taki był prawdziwy cel dyrektora Viatusa: ograniczyć przyrost za pomocą zmniejszenia zasobów żywnościowych. Gdyby to sprytnie przeprowadził, mogło mu się nawet udać.

–W jaki sposób wspieranie rozwoju technologii biopaliw miało wam pomóc zapanować nad zasobami żywności? – zapytał.

Domyślał się odpowiedzi, ale chciał ją usłyszeć z ust Karlsena.

–Najlepsze ziemie uprawne świata są wyeksploatowane, co zmusza rolników do wykorzystywania gorszych terenów. Rośliny do produkcji biopaliw mogą przynieść im większe zyski niż rośliny przeznaczone do spożycia. Coraz więcej dobrej ziemi uprawnej wykorzystuje się do produkcji biopaliw zamiast żywności. Aby wyprodukować ilość etanolu potrzebną do napełnienia zbiornika jednego SUV-a, trzeba zużyć tyle kukurydzy, ile wystarczyłoby do wyżywienia jednego człowieka przez cały rok. Oczywiście więc, że wspierałem działania na rzecz rozwoju produkcji biopaliw...

–I wcale nie dla uzyskania niezależności energetycznej...

Norweg kiwnął głową.

–... ale jako jednej z metod ograniczenia zasobów żywności – dokończył.

Senator Gorman patrzył na niego z przerażeniem.

Ostatnie zdanie Karlsena zastanowiło Paintera.

–Co pan miał na myśli, mówiąc o „jednej z metod”? – zapytał.

–To był tylko jeden z wielu projektów.

Godz. 5. 31

Monk przysłuchiwał się tej rozmowie z coraz większym niepokojem.

–Niech zgadnę – wtrącił się po chwili. – Jeden z tych projektów miał związek z pszczołami...

Karlsen popatrzył na niego ze zdziwieniem.

–Zgadza się – odparł. – Viatus prowadził badania nad destrukcyjnym załamaniem kolonii. To globalny problem, o którym panowie na pewno słyszeliście. W Europie i Stanach Zjednoczonych zniknęła mniej więcej jedna trzecia pszczół miodnych. Porzuciły ule i nie wróciły. W niektórych regionach utracono do osiemdziesięciu procent pszczół.

–A pszczoły zapylają drzewa owocowe... – mruknął Monk, który powoli zaczynał rozumieć, o co chodzi.

–Nie tylko owocowe – powiedział siedzący obok niego Creed. – Także orzechowce, avocado, ogórki, soję, dynię. Jedna trzecia roślin spożywczych uprawianych w Stanach Zjednoczonych wymaga zapylania. Jeśli stracimy pszczoły, stracimy znacznie więcej niż owoce.

A więc tak wyglądał kolejny kawałek układanki: „zapanuj nad pszczołami, a zapanujesz nad znaczną częścią zasobów żywnościowych”.

–Chce pan powiedzieć, że w jakiś sposób przyczyniliście się do wymierania pszczół?

–Nie, ale wiem, co je spowodowało, i Viatus chciał to wykorzystać.

–Chwileczkę... – wtrącił się znowu Monk. – Wie pan, co spowodowało wymieranie pszczół?

–To żadna tajemnica, panie Kokkalis. Media zrobiły z tego wielką sensację: zaczęły przedstawiać różne bzdurne historie, obwiniać globalne ocieplenie czy nawet kosmitów, ale prawda jest znacznie prostsza. Tyle że media w ogóle nie raczyły zwrócić na nią uwagi.

–Więc co jest przyczyną wymierania pszczół?

–Insektycyd o nazwie imidachlopyrd, w skrócie IMD.

Monk przypomniał sobie, że na wszystkich ulach w laboratorium Viatusa umieszczono właśnie te trzy litery. IMD.

–Potwierdziło to wiele badań. Drugim zabójcą jest związek o nazwie fipronil. W dwa tysiące piątym roku obie substancje zostały zakazane we Francji i w ciągu kilku lat pszczoły powróciły,

ale w innych krajach nadal wymierały. – Karlsen popatrzył na siedzących w kabinie mężczyzn.
– Czy ktoś z was o tym słyszał?

Nikt się nie odezwał.

–Coś takiego nie nadaje się na pierwsze strony gazet – kontynuował Karlsen. – Imidachlopyrd, fipronil... to nie tak sensacyjne jak kosmici. Media nie napisały też nic o sukcesie, jaki odnieśli Francuzi. Ale mnie jest to na rękę.

Monk zmarszczył czoło.

–Mniej pszczoł, mniej jedzenia?

–Nie, po prostu dlatego, że prędzej czy później media by coś zwęszyły. Naukowcy Viatusa badali strukturę IMD, aby go wszczepić w naszą kukurydzę.

–Tak jak na przykład Monsanto, które włączyło do wytwarzanych przez siebie genetycznie modyfikowanych nasion herbicyd Roundup... – zauważył Creed.

–Pewnie nawet gdyby zakazano stosowania IMD, nadal moglibyście panować nad populacją pszczoł – mruknął Monk.

Karlsen kiwnął głową.

–I nad zasobami żywności.

Monk opadł na oparcie fotela.

Ten człowiek był potworem, ale naprawdę błyskotliwym.

Godz. 5. 40

Painter musiał uzupełnić jeszcze kilka luk. Postanowił podejść do Karlsena z innej strony.

–Ale Viatus nie tylko wprowadzał insektycydy do nasion...

–Jak już mówiłem, mieliśmy wiele projektów.

–Proszę w takim razie opowiedzieć o muniach z torfowiska... o znajdującym się w ciałach grzybie.

Spojrzenie Karlsena stało się jakby odrobinę mniej pewne.

–Jako firma biotechnologiczna badamy co roku tysiące nowych związków chemicznych sprowadzanych ze wszystkich zakątków świata. Ten starożytny grzyb... – w

–głosie Karlsena pojawił się podziw -... był zdumiewający. Jego skład chemiczny i struktura genetyczna idealnie pasowały do moich celów.

Painter nie naciskał – czekał na to, co Norweg zechce mu powiedzieć z własnej woli.

–Z tych zmumifikowanych ciał udało nam się uzyskać zarodniki w dalszym ciągu zdolne do życia.

–Po tak długim czasie? – zdziwił się Monk.

Karlsen wzruszył ramionami.

–Mumie liczyły sobie zaledwie tysiąc lat. W Izraelu botanicy wyhodowali daktylowca z pestki, która miała ponad dwa tysiące. Torf jest doskonałym konserwantem. Kiedy udało nam się wyhodować zarodniki, dowiedzieliśmy się więcej o tym grzybie. Badanie ciał pozwoliło nam też ustalić, jak się do nich dostał.

–Jak?

–Został zjedzony. Nasz patolog ustalił, że zmumifikowani ludzie zmarli z głodu, choć ich żołądki były pełne żyta, jęczmienia i pszenicy. W każdym rodzaju zboża był grzyb. To bardzo agresywny organizm, tak samo jak sporysz. Może zakazić każdy rodzaj rośliny. W jednym celu...

–Jakim?

–Aby doprowadzić do śmierci głodowej każde zwierzę, które zje taką roślinę. – Karlsen popatrzył na przerażone twarze wokół siebie. – Zakażone przez ten grzyb rośliny stają się niemożliwe do strawienia, poza tym grzyb atakuje jelita zwierzęcia, jeszcze bardziej zmniejszając wchłanianie pokarmu. Idealna maszyna do zabijania. Doprowadza gospodarza do śmierci głodowej za pomocą tego, co powinno go utrzymać przy życiu.

–Więc zwierzę albo człowiek je i je, ale i tak umiera z głodu. – Painter pokręcił głową. – A co ten grzyb z tego ma?

–Grzyby są jednym z głównych czynników rozkładu materii – wyjaśnił Monk. – Martwych drzew, martwych zwierząt. Zabijając gospodarza, tworzą sobie podłoże.

Painter próbował wyobrazić sobie rosnące w żołądkach zmumifikowanych ludzi grzyby. Pamiętał także, co Monk odkrył w laboratorium: wyrastające z grzybów torebkowane główki i rozprzestrzeniające w powietrzu zarodniki, które zarażą kolejne rośliny i zaczną cały cykl od nowa.

–Celem naszych badań było wyodrębnienie substancji, dzięki której zboża nie dałoby się strawić – mówił dalej Karlsen. – Gdyby udało się ją wprowadzić do kukurydzy, moglibyśmy

zmniejszyć jej przyswajalność. Dla uzyskania dziennej normy kalorycznej konieczne byłoby wtedy zjedzenie większej ilości kukurydzy.

–Więc znowu ograniczylibyście zasoby żywnościowe planety – stwierdził Painter.

–I to w sposób pozwalający na ich pełne kontrolowanie. Za pomocą manipulacji genetycznej można by zmieniać przyswajalność kukurydzy w dowolnym stopniu. Taki był nasz cel, a nie tylko my staraliśmy się osiągnąć tego typu kontrolę genetyczną.

–Co pan ma na myśli? – spytał Painter.

–W dwa tysiące pierwszym roku firma biotechnologiczna o nazwie Epicyte ogłosiła wyhodowanie nasion kukurydzy zawierających środek antykoncepcyjny. Ich spożycie obniżało płodność. Zaproponowano to jako metodę rozwiązania problemu przeludnienia, ale podniosły się protesty i zmodyfikowana kukurydza zniknęła. Jak już powiedziałem, zabieranie się do tego rodzaju sprawy wprost nie prowadzi do niczego dobrego. Trzeba działać w zawołany sposób... Epicyte otrzymało lekcję, a ja chętnie ją wykorzystałem.

I w tym momencie wszystko zaczęło iść w nieodpowiednim kierunku, pomyślał Painter.

–Ale wasza nowa kukurydza była niestabilna – powiedział, starając się zachować spokój.

Karlsen pokręcił głową.

–Grzyb okazał się zdolniejszy, niż sądziliśmy. W końcu ewoluował przez tysiąclecia wraz ze swoimi roślinnymi gospodarzami. Sądziliśmy, że wpływamy tylko na jego jeden aspekt, zmianę przyswajalności zakażonej kukurydzy, ale w kolejnych pokoleniach wciąż mutował i w końcu odzyskał swoją pierwotną moc. Znowu potrafił zabijać i powracać do postaci grzyba. Co gorsza, odzyskał też zdolność rozprzestrzeniania się.

–Kiedy się o tym dowiedzieliście?

–Podczas eksperymentów przeprowadzanych w Afryce.

–Ale mimo to zaczęliście produkować materiał siewny w Stanach i innych krajach?

Karlsen skrzywił się lekko.

–Po wielu zapewnieniach kierowniczkę projektu, że wszystko jest w porządku. Szefowa działu genetyki stwierdziła, że wyniki badań wstępnych wystarczają do podjęcia decyzji o dalszych pracach. Zaufałem jej... nigdy nie sprawdziłem tych wyników.

–Kto to był? – spytał Painter.

–Krista Magnussen – powiedział z gorzkim uśmiechem Gorman.

Ivar Karlsen zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się dłużej unikać furii senatora. Ale spojrzenie mu w oczy nie było łatwe. Wyjął z kieszeni monetę i ścisnął ją w dłoni. Była to czteromarkówka Fryderyka IV wybita w 1725 roku przez zdradzieckiego mincerza Henrika Meyera, a Karlsenowi przez całe życie przypominająca, jaka jest cena zdrady.

Kiedy jego palce ścisnęły monetę, coraz wyraźniej uświadamiał sobie, jak nisko upadł, sprowadzony na złą drogę przez Kristę Magnussen. W końcu podniósł głowę i spojrzał Gormanowi w oczy. Nie mógł już dłużej karmić go kłamstwami.

–Senator ma rację – przyznał. – Zatrudniłem Kristę Magnussen sześć lat temu, kiedy uruchamialiśmy dział biogenetyki roślin uprawnych. Przedstawiła mnóstwo listów polecających z Harvardu i Oksfordu. Była młoda, błyskotliwa i miała wspaniałe wyniki.

–Ale nie była osobą, za którą się podawała, prawda? – dodał Painter.

–Nie. Jakiś rok temu zaczęliśmy mieć w naszych ośrodkach poważne problemy. Podpalenie w Rumunii. Defraudacja w naszym centralnym biurze. Seria kradzieży. Wtedy Krista oświadczyła, że ma dostęp do organizacji, która potrafi po cichu i skutecznie zapewnić nam bezpieczeństwo. Przedstawiła ją jako korporacyjną wersję najemnika wojskowego...

–Czy ta organizacja ma jakąś nazwę?

–Gildia.

Painterowi nie drgnął nawet jeden mięsień na twarzy, ale było to dla Ivara wystarczającym dowodem, że musi znać tę organizację i być może wie o niej znacznie więcej niż on sam.

–Wszystkie wasze problemy to sprawka Gildii – oświadczył Painter. – Podpalenie, manko, kradzieże. Potrzebowali Viatusa, więc postarali się zdobyć pańskie zaufanie. Kilka razy wyciągnęli pański tyłek z kłopotów i zaczął pan z nimi współpracować. I coraz bardziej się pan od nich uzależniał.

Być może odbyło się to nieco inaczej, jednak schemat, jaki przedstawił Painter, był bardzo prawdopodobny i z pewnością przynajmniej częściowo pokrywał się z rzeczywistością.

–Niech zgadnę... kiedy zaczęły się prawdziwe problemy... na farmie doświadczalnej w Afryce... do kogo się pan zwrócił?

–Oczywiście do Kristy. Opowiedziała mi o mutacjach i o tym, że niektórzy uchodźcy w obozie zachorowali po spożyciu naszej kukurydzy. Trzeba było coś z tym zrobić, tyle że obsialiśmy już pola na całym świecie. Stwierdziła, że sytuację da się jeszcze uratować, ale jej organizacja musi mieć wolną rękę. Ostrzegła też, że muszę być twardy. Czym jest kilka

istnienie ludzkich w obliczu możliwości uratowania całego świata? Tak właśnie powiedziała. A ja byłem na tyle zdesperowany, że w to uwierzyłem...

Zaczął ciężko oddychać, serce waliło mu w gardle. Oczyma wyobraźni widział nagą Kristę, która patrzyła na niego i namiętnie go całowała. Sądził wtedy, że zna grę, w którą grają.

Jakim był głupcem...

Painter popatrzył na niego i dokończył:

–Potem Gildia zlikwidowała obóz, a panu powiedziano, że to konieczne, aby groźny organizm się nie rozprzestrzenił. Zabrali ciała niektórych ofiar do badań i uzasadnili to mniej więcej w taki sposób: „Niech ich śmierć nie pójdzie na marne. Jeśli dowiemy się czegoś więcej, będzie można uratować całe narody”. A ponieważ produkcja materiału siewnego już się zaczęła, czas odgrywał zasadniczą rolę.

Senator Gorman zacisnął pięści na kolanach.

–A co z moim synem? – zapytał.

Ivar nie mógł już dłużej unikać tego tematu.

–Krista powiedziała mi, że przyłapała go na kopiowaniu tajnych danych. Twierdziła, że zamierza sprzedać je temu, kto da najwięcej pieniędzy.

Gorman uderzył się pięścią w udo.

–Jason nigdy...

–Pokazała mi e-mail z dołączonymi do niego skradzionymi danymi. Został wysłany do doktora Malloya z Princeton.

–Princeton nigdy nie zajmowało się szpiegostwem przemysłowym.

Ivar nie miał wyboru, musiał powiedzieć całą resztę.

–Organizacja Kristy miała dowody, że ślad pieniędzy prowadził do komórki terrorystycznej mającej bazę w Pakistanie. Ujawnienie udziału Jasona w przekazywaniu danych byłoby równoznaczne z odtajnieniem naszej działalności i jednocześnie zniszczyłoby twoją karierę. Krista próbowała porozmawiać z Jasonem, przekonać go, że powinien zerwać kontakty z tymi ludźmi, ale podobno odmówił i próbował uciekać. Wtedy jeden z jej ludzi spanikował i go zastrzelił.

Senator zasłonił twarz dłońmi.

Ivar najchętniej zrobiłby to samo, lecz nie mógł. Miał na rękach krew młodego Gormana.

Osobiście polecił, aby go przesłuchano i jeśli to się okaże konieczne – wyeliminowano.

–Jason był niewinny – oświadczył Painter. – To wszystko kłamstwa.

Karlsen patrzył tępo w przestrzeń.

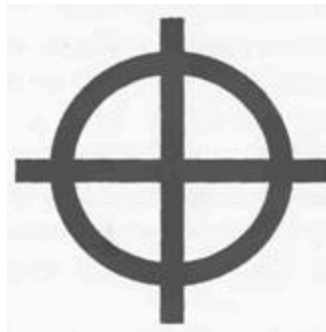
–Zabito Jasona, ponieważ przesłał obciążające was dane doktorowi Malloyowi. Dlatego obaj zostali zamordowani. Gildia nie chciała, aby fakt niestabilności nasion został ujawniony. A kiedy ta informacja wyciekła, potrzebowali kozła ofiarnego. Miał pan zostać rzucony wilkom na pożarcie. Po zabiciu pana na Svalbardzie Gildia mogłaby rozpląnąć się w powietrzu, zgarniając wszystkie nagrody: nową broń biologiczną oraz sposób jej kontrolowania. Masowe zatrucie pańską kukurydzą zostałyby zrzucone na karb nieposkromionych ambicji dyrektora generalnego Viatusa, ale po wyeliminowaniu pana nikt by już w tym nie grzebał. Dla Gildii był pan jedynie przytrzaśniętą przez żelaza łapą, którą trzeba poświęcić dla dobra całego organizmu.

Ivar siedział bez ruchu i czuł, jak po plecach spływa mu strużka potu. Nie mógł niczemu zaprzeczyć. W głębi duszy od dawna znał prawdę, ale bał się ją do siebie dopuścić.

–Mam jeszcze jedno pytanie, na które nie znam odpowiedzi – powiedział Painter.

Przesunął po blacie kartkę papieru ze znajomym symbolem i postukał w nią palcem.

Okrąg i krzyż.



–Rozumiem, dlaczego Gildia chciała zabić Jasona i doktora Malloya, ale po co miała zabijać watykańskiego archeologa? Jaki to miało związek z jej planami?

Godz. 6. 12

Painter czuł, że Karlsen jest bliski załamania. Miał szkliste oczy i zachrypnięty głos. Widać było, jak bardzo zraniła go zdrada, jakiej się wobec niego dopuszczono – ale Gildia była mistrzem manipulacji i wymuszania, infiltracji i oszukiwania, brutalności i przemocy.

Nawet Sigma padła jej ofiarą.

Painter nie zamierzał jednak mówić o tym dyrektorowi Viatusa.

–Ojciec Giovanni zwrócił się dwa lata temu do naszej korporacji o fundusze na badania – powiedział w końcu Karlsen. – Był przekonany, że z mumifikowane ciała z torfowiska to ofiary wojny między chrześcijanami i poganami, a grzyb został użyty jako broń, którą zakazano plony i w ten sposób wybijano całe wioski. Zostało to zapisane łacińskim szyfrem w średniowiecznej księdze pod tytułem „Księga zliczania”. Dotycząca tej sprawy dokumentacja, którą ojciec Giovanni zebrał, była imponująca. Uważał, że istnieje środek przeciwdziałający rozprzestrzenianiu się tego grzyba, sposób usunięcia go z ziemi i ciała człowieka.

–I sfinansowaliście badania nad tym środkiem.

–Tak. Pomyśleliśmy, że być może dzięki temu uzyskamy jakiś nowy związek chemiczny, który da się wykorzystać komercyjnie. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęliśmy podejrzewać, że nasze nasiona są niestabilne genetycznie, dowiedzieliśmy się, że ojciec Giovanni znalazł artefakt, który jego zdaniem mógł go doprowadzić do zagubionego klucza.

–Tego typu środek rozwiązałby wszystkie wasze problemy.

–Kazałem Kriście porozmawiać z księdzem, aby oceniła jego wiarygodność i zabezpieczyła artefakt. – Ivar zamknął oczy. – Boże, przebacz mi...

–Ale ojciec Giovanni uciekł.

Karlsen kiwnął głową.

–Nie wiem, co się wtedy stało. To, co powiedział przez telefon, bardzo zainteresowało organizację Kristy. A my po katastrofie w Afryce musieliśmy koniecznie przejąć artefakt. Nawet gdyby istniało najmniejsze prawdopodobieństwo istnienia środka przeciwdziałającego...

–Straciliście jednak artefakt, a ojciec Giovanni został zamordowany.

–Nie znam szczegółów. Po tym, co się stało w Afryce, musiałem pogasić największe pożary. Sprawdzenie, czy to, co mówił ojciec Giovanni, można poważnie traktować, zostawiłem Gildii.

–I co?

–Krista Magnussen przekazała mi, że jakaś inna grupa przez cały czas szuka tego klucza.

Musi chodzić o zespół Graya, pomyślał Painter.

–Zapewniła mnie jednak, że Gildia ma w tym zespole swojego kreta – dodał Karlsen.

Painter zamarł. Jeżeli Gildia zinfiltrowała grupę Graya...

Zrobił wszystko, aby im pomóc, skontaktować się z nimi, ale jak na razie nawet nie było wiadomo, czy w ogóle żyją.

Nie mógł nic więcej dla nich zrobić.

14 października, godz. 12. 18

Troyes, Francja

Biblioteka to raczej nietypowe miejsce do omawiania planu wdarcia się do więzienia.

Musieli jednak od czegoś zacząć.

Gray i Rachele siedzieli przy jednym biurku, a wokół nich piętrzyły się sterty książek. Przez wysokie okna nowoczesnej biblioteki miasta Troyes wpadało słońce. Na licznych stolikach stały długie szeregi komputerów.

Budynek miał fasadę ze szkła i stali, ale zbudowano go w 1651 roku i był jednym z najstarszych budynków bibliotecznych we Francji. Jego największy skarb stanowiła kolekcja manuskryptów z opactwa Clairvaux – po Wielkiej Rewolucji Francuskiej ze względów bezpieczeństwa przeniesiono do Troyes całą tamtejszą bibliotekę.

–Opactwo na więzienie przerobił Napoleon – powiedział Gray, odsunął od siebie grubą księgę i przeciągnął się, próbując pozbyć się napięcia w karku.

Cały poranek spędzili w bibliotece, zbierając informacje dotyczące opactwa i jego świętych. Niewiele spali – jedyną okazją do drzemki było czekanie na lotnisku oraz króciutki lot z Anglii.

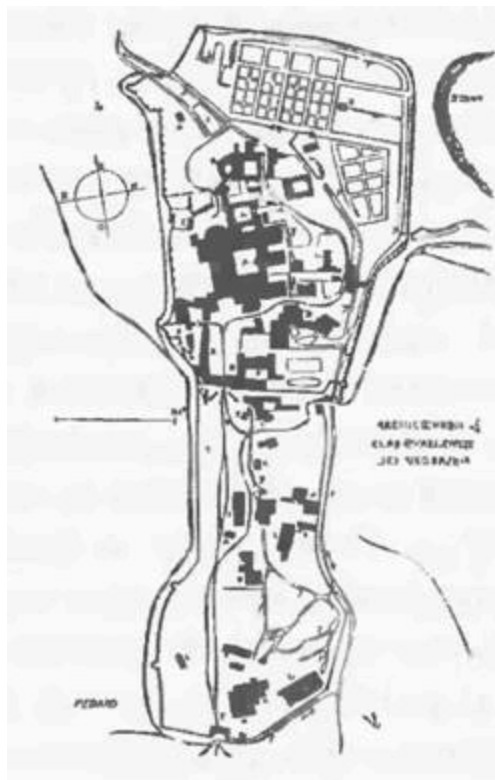
Musieli znaleźć odpowiedzi na dwa pytania: jak dostać się do znajdujących się na terenie więzienia ruin i czego szukać, kiedy już tam dotrą.

Gray, Rachele i Wallace pojechali do Troyes, położonego kilkadziesiąt kilometrów od więzienia. Biblioteka zawierała największy na świecie zbiór dokumentów historycznych dotyczących opactwa i żeby zdążyć ich przejrzeć jak najwięcej, Gray podzielił zadania. Rachele miała się skupić na życiu, śmierci i pochówku świętego Malachiasza, a Wallace udał się z pracownikiem biblioteki do niedostępnej dla zwykłych śmiertelników Wielkiej Sali, w której znajdowały się oryginały dokumentów dotyczących świętego Bernarda – założyciela zakonu i przyjaciela Malachiasza.

Gray zajął się zagadnieniami architektonicznymi. Sterta ksiąg, które wertował, wcale nie była mniejsza od tych, którymi zajmowała się Rachele. W tej chwili miał przed sobą otwarty tom z 1856 roku zawierający plan, który przedstawiał pierwotny kształt opactwa.

Teren otaczał wysoki mur naszpikowany wieżyczkami. Wewnątrz wydzielono dwie strefy: we wschodniej znajdowały się ogrody, sady i kilka stawów rybnych, a w zachodniej stodoły, stajnie, rzeźnie, warsztaty i kwatery dla gości. Między nimi, za wewnętrznymi murami, było położone właściwe opactwo – z kościołem, klasztorem, budynkami świeckimi i kuchnią.

Gray uważnie przyglądał się dziewiętnastowiecznemu planowi.



Było w nim coś nietypowego, ale im dłużej Gray się przyglądał, tym bardziej mu to umykało. Przez minione pół godziny szkicował budynki, które przetrwały do współczesności. Nie było tego wiele: dwie stodoły, kilka fragmentów murów, jeden dobrze zachowany budynek świecki i ruiny pierwszego klasztoru.

Właśnie on najbardziej go intrygował: *Le Grand Cloître*.

Wielki Klasztor znajdował się tuż obok miejsca, w którym stało kiedyś stare opactwo. Właśnie w podziemiach tego budynku pochowano ponoć świętego Malachiasza.

Ale czy jego grób rzeczywiście się tam znajdował?

Było to ich kolejne zmartwienie, bo po rewolucji wszystkie historyczne zapiski na temat grobowca świętego Malachiasza zniknęły., Czy miało to jakieś znaczenie?

Graya dręczyło jeszcze inne pytanie: dlaczego Napoleon przerobił opactwo w więzienie?

Musiał się nad tym głośno zastanawiać, bo Wallace, który przed chwilą wrócił z Wielkiej Sali, zatrzymał się przy nim.

–Nie było to niczym niezwykłym – powiedział. – Wiele średniowiecznych opactw zamieniano na ośrodki karne. Grube mury, wieże, dużo małych pomieszczeń... przerobienie czegoś takiego na więzienie było stosunkowo łatwe.

–Ale czemu ze wszystkich opactw Francji Napoleon wybrał akurat to? Czyżby chciał coś ochronić?

Wallace w zamyśleniu potarł brodę.

–Napoleon był człowiekiem Oświecenia. Przywiązywał wielką wagę do nowych dziedzin nauki, ale stare również go fascynowały. Kiedy rozpoczynał kampanię egipską, zabrał ze sobą wielu uczonych, którzy mieli zająć się tamtejszymi skarbami archeologicznymi. Gdyby odkrył w opactwie jakąś tajną, zakazaną wiedzę, z pewnością dobrze by ją zabezpieczył. Zwłaszcza gdyby uznał, że mogłaby stanowić zagrożenie dla jego imperium.

–Jak przekleństwo z „Księgi zliczania”.

–Spustoszone...

Czyżby coś tak bardzo przestraszyło Napoleona, że postanowił zamknąć to na cztery spusty?

Gray miał taką nadzieję. Jeżeli klucz Dnia Sądu Ostatecznego został ukryty w grobowcu świętego Malachiasza, powinien się tam znajdować do dnia dzisiejszego.

Ze względu na Rachele nie mogli się po raz kolejny pomylić.

W ciągu ostatnich kilku godzin zaczęła gorączkować i miała dreszcze. Nawet teraz siedziała w zapiętym pod szyję swetrze, choć w bibliotece było bardzo ciepło.

Gray popatrzył na zegarek. Za godzinę mieli się spotkać z Seichan i Kowalskim, którzy poszli obejrzyć więzienie i poszukać jego ewentualnych słabych punktów. Seichan miała wymyślić jakiś sposób dostania się do środka, ale kiedy ruszali, miała niepewną minę.

Rachele uniosła głowę znad książki – miała woskowożółtą cerę, a jej oczy były czerwone i opuchnięte.

–Więcej już chyba nic nie znajdę – stwierdziła z rezygnacją. – Przeczytałam cały życiorys Malachiasza, od urodzenia po ostatnie tchnienie. Nie mam pojęcia, dlaczego został pochowany we Francji, mimo że był irlandzkim arcybiskupem. Może dlatego, że Bernard był jego najbliższym przyjacielem? Właściwie z tych zapisków wynika, że Bernard został pochowany w Clairvaux razem z Malachiaszem.

–I są tu w dalszym ciągu?

–Nie znalazłam żadnej wzmianki, z której by wynikało, że ciała zostały gdzieś przeniesione. Ale pisana po rewolucji historia wygląda, jakby Malachiasz nigdy nie istniał.

–A co ze świętym Bernardem? – spytał Gray Wallace. – Udało się panu znaleźć coś na jego temat, co mogłoby się nam przydać?

–Kilka rzeczy. Bernard był blisko związany z templariuszami. Brał nawet udział w sporządzaniu reguł, jakimi templariusze mieli się kierować, i odegrał znaczącą rolę w uznaniu

tego zakonu przez Kościół. Zainicjował także drugą krucjatę.

Templariuszy otacza wiele tajemnic. Czy klucz, którego szukali, mógł do nich należeć?

–Jedna rzecz zdecydowanie się wyróżnia – mówił dalej Wallace. – Opowieść o cudzie, jaki wydarzył się właśnie tutaj. Bernard podobno śmiertelnie zachorował na jakąś zakaźną chorobę. Zaczął się modlić przed figurą Marii Panny i wtedy z jej piersi trysnęło mleko. Kiedy je wypił, został uleczony. Nazwano to Cudem Laktacyjnym.

Rachele zamknęła książkę.

–Kolejny przykład cudownego wyleczenia... – mruknęła.

–Owszem, ale nie to jest najciekawsze – odparł doktor, unosząc brew. – Z przekazów wynika, że figurą, z której piersi trysnęło mleko, była Czarna Madonna.

–Wyleczyła go Czarna Madonna...

–Brzmi znajomo, prawda? Nie bardzo wiem, co o tym myśleć, w każdym razie po śmierci Malachiasza święty Bernard stał się jednym z głównych rzeczników kultu Czarnej Madonny. Właściwie to on go zapoczątkował.

–A cud miał miej sce akurat tutaj.

–Właśnie. Sugeruje to, że ciało ciemnoskórej królowej mogło zostać przetransportowane z wyspy Bardsey do Clairvaux razem z kluczem.

Gray miał nadzieję, że Wallace ma rację, ale był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Musieli dostać się na teren więzienia.

Godz. 12. 43

Clairvaux, Francja

Seichan wędrowała przez las.

Jej wyprawa zwiadowcza nie przyniosła wielkich rezultatów. W sportowym stroju, z lornetką na szyi i z kijem w dłoni udawała młodą turystkę, która wybrała się na wycieczkę. Ale w kaburze na plecach miała sig sauera.

Więzienie i były klasztor leżały w dolinie między dwiema zalesionymi graniami. Cystersi często budowali swoje siedziby w odludnych miejscach. Preferowali surowy styl życia, nic więc dziwnego, że kryli się w lasach, na szczytach gór czy nawet na bagniskach.

Między innymi właśnie dzięki tym lokalizacjom wzniesione przez nich budowle doskonale nadawały się na więzienia.

Seichan obesza Clairvaux dookoła, zapamiętując pozycje wszystkich wież strażniczych oraz przebieg murów, stalowych ogrodzeń i zwojów drutu kolczastego.

Była to prawdziwa forteca.

Nie istnieje jednak forteca, do której nie da się wejść.

W jej głowie klarował się już plan. Będą potrzebowali mundurów, identyfikatorów i policyjnej furgonetki. Zostawiła Kowalskiego w kafejce internetowej w jednej z okolicznych wiosek – Bar-sur-Aube. Korzystając ze źródeł Gildii, kompletował listę nazwisk więźniów i strażników – ze zdjęciami włącznie. Miała nadzieję, że wszystko uda się przygotować do rana następnego dnia. Poranne godziny odwiedzin powinny umożliwić jednej lub dwóm osobom wejście do środka. Pozostali będą musieli przyjechać oznakowanym samochodem, ze sfalszowanymi dokumentami.

Oczywiście było w tym wszystkim wiele niewiadomych. Ile czasu będą musieli spędzić w środku? Jak się wydostaną? I co z bronią?

Wydawało jej się, że działają zbyt szybko, zbyt nierozważnie.

Nagle błyskawicznie ukryła się za pniem dębu. Nie umiałaby powiedzieć, co ją zaalarmowało.

Może mrowienie u nasady karku?

Doskonale wiedziała, że nigdy nie należy takich rzeczy ignorować. Ciało człowieka jest wielką anteną i odbiera sygnały, których umysł często nie zauważa – ale rejony mózgu, w których ma swoje źródło instynkt, przez cały czas je przetwarzają i często ostrzegają.

Zwłaszcza jeśli ktoś – tak jak Seichan – przeszedł intensywne szkolenie, a jego przeżycie często zależało od słuchania sygnałów wysyłanych przez podświadomość.

Kiedy wstrzymała oddech, usłyszała za sobą szelest suchych liści, a przed sobą trzask gałęzi. Przykucnęła.

Tropiono ją.

Wiedziała, że obserwujący ich ludzie z Gildii przyjechali za nimi do Francji. Przed wyjazdem z Anglii złożyła sprawozdanie i Magnussen wiedziała, co ich tu sprowadziło. Ogon dołączył do nich w Paryżu – nie potrzebowała zbyt wiele czasu, aby go zauważyć.

Mogłaby jednak przysiąc, że nikt nie szedł za nią, gdy rozstała się z Kowalskim w Bar-sur-Aube. Zostawiła samochód na parkingu przydrożnej restauracji i poszła do lasu.

Kto za nią szedł teraz?

Czekała. Znowu coś zaszeleściło. Przekręciła głowę i spojrzała w tamtą stronę. Przez las

szedł mężczyzna z karabinem, ubrany w kamuflujący strój – zdecydowanie w wojskowym stylu. Seichan wyrzuciła do przodu przedramię i spomiędzy jej palców wyleciał sztylet. Przeciął liście jak igła i wbił się w lewe oko intruza.

Mężczyzna upadł do tyłu z cichym okrzykiem.

Znalazła się przy nim czterema skokami i pchnęła dłonią rękojeść noża, wbijając go głęboko w mózg leżącego.

Potem jednym płynnym ruchem chwyciła jego karabin i poszła dalej w górę zbocza.

Przy grani leżał głaz. Dzięki przeprowadzonemu na początku rekonesansowi miała w głowie dokładną mapę terenu. Zsunęła się przy samym głazie, przekręciła ciało i znieruchomiła z okiem przy lunecie.

Od skały przy jej głowie z przenikliwym ping! odprysnął kawałek kamienia.

Nie było słycać wystrzału, ale pocisk przeleciał przez gałąź pobliskiej sosny i poobrywał igły. Ustaliła trajektorię, a kiedy zauważyła w lunecie przesuwający się po ziemi cień, pociągnęła za spust.

Wystrzał nie był głośniejszy od trzaśnięcia palcami.

Ciało zważyło się na ziemię. Zabójca dostał prosto w głowę.

Seichan ruszyła dalej.

Gdzieś jeszcze pozostał trzeci napastnik.

Pobiegła wzdłuż grani, próbując określić miejsce, w którym powinien znajdować się trzeci zamachowiec. Trzymała się górnych partii terenu – mapa w jej głowie nakładała się na rzeczywisty widok niczym obraz rzucany przez wyświetlacz przezierny na wizjer hełmu.

Jeśli sama zastawiałaby w tej okolicy zasadzkę, wykorzystalaby do tego celu wydrążony pień dębu, wypalonego uderzeniem pioruna. Gdyby przeszła jeszcze trzydzieści metrów, znalazłaby się w polu ostrzału siedzącego tam snajpera. Pierwsi dwaj zabójcy, spodziewając się, że ich ofiara lada chwila wejdzie w pułapkę, musieli stracić czujność i próbowali podejść ją zbyt szybko, przy okazji się odsłaniając.

Magnussen z pewnością ostrzegła ich, jak groźny jest cel, ale byli mężczyznami – najemcami o rozbuchanym ego – a ona kobietą.

Podchodziła do wypalonego pnia od tyłu, z góry. Zsuwała się po zboczu, nie poruszając najmniejszą gałązką czy liściem.

Przysunęła lufę karabinu do martwego dębu i strzeliła przez warstwę drewna. Rozległ się

krzyk zaskoczenia i bólu i ze znajdującego się po przeciwległej stronie pnia otworu wypadło ciało. Skoczyła na nie ze sztyletem w ręku.

Mężczyzna był krępy, pachniał tłuszczem i miał kilkudniowy ciemny zarost. Zaklął na widok Seichan z ciężkim marokańskim akcentem.

Przystawiła mu sztylet do szyi – w pierwszym momencie chciała go przesłuchać, dowiedzieć się, kto go przysłał i czemu została zaatakowana.

Mogła go zmusić do mówienia. Znała różne sposoby.

Zamiast tego jednak przeciągnęła mu ostrze po gardle, tuż pod krtanią, aby nie zdążył wydać z siebie żadnego dźwięku, po czym kopnęła go w twarz. Doszła do wniosku, że nie musi przesłuchiwać zabójcy. Znała odpowiedzi na swoje pytania.

Coś się zmieniło – prawdopodobnie Krista Magnussen wydała rozkaz zlikwidowania całej ich grupy. Napadając na nią w lesie, zamierzano wyeliminować ją jako pierwszą.

Ruszyła biegiem w stronę parkingu. Gray i pozostali nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia.

Sięgnęła do kieszeni i otworzyła telefon. Wystukała zapamiętany numer.

Kiedy odebrano, wyrzuciła z siebie całą złość:

–Tak dla twojej wiadomości: twoja operacja padła!

Godz. 13. 20

Rachele stała z Wallace'em w hotelowym ogrodzie w centrum Bar-sur-Aube. Hotel nazywał się Le Moulin du Landion i został przerobiony z szesnastowiecznego młyna wodnego. Dostarczający wodę kanał nadal płynął przez ogród i obracał stare drewniane koło. Wynajęli w tym hotelu pokoje.

Popatrzyła na zegarek. Kowalski i Seichan powinni już być z powrotem.

Mieli spotkać się na lunchu i omówić dalsze plany.

Hotel był bardzo piękny i powinien ją zachwycać, ale wszystko zdominowało złe samopoczucie. Pulsowało jej w głowie i piekło w gardle, a gorączka coraz bardziej się nasilała. Ciężko usiadła na ogrodowym krześle.

Gray wrócił z recepcji i popatrzył na nią.

–Nikt nie brał kluczy. Jak się czujesz?

Rachele pokręciła głową.

Nie spuszczał z niej wzroku. Wiedziała, o czym myśli. Jutro mieli spróbować dostać się do więzienia – na pewno się zastanawiał, czy uda jej się tak długo utrzymać w jakiej takiej formie.

Nagle zza rogu wyłoniła się Seichan. Rozglądała się gorączkowo dookoła. Zawsze była bardzo czujna, ale teraz jej zachowanie świadczyło o silnym zdenerwowaniu. Miała też rozszerzone oczy i rozbiegane spojrzenie.

Gray również to zauważył.

–Co się stało? – zapytał.

–Nic. Wszystko w porządku – odparła, marszcząc czoło. Kiedy zauważyła, że nie są w komplecie, znowu się zdenerwowała. – Gdzie Kowalski?

–Sądziłem, że z tobą.

–Zostawiłam go w wiosce, żeby sprawdził kilka rzeczy, a sama wybrałam się do lasu.

–Zostawiłaś Kowalskiego, żeby sprawdził kilka rzeczy?

Seichan wzruszyła ramionami.

–Prosta robota. Otrzymał instrukcje, które mogłaby wykonać mała.

–Ale to jednak Kowalski...

–Powinniśmy sprawdzić, co się z nim dzieje – stwierdziła Rachele.

–Prawdopodobnie znalazł jakiś bar i napycha kałdun. Prędzej czy później na pewno się odnajdzie, nie martwcie się o niego. Lepiej porozmawiajmy o tym, czego każde z nas się dowiedziało – powiedział Gray i ruszył w stronę stolika Rachele.

Seichan nie uspokoiła się jednak. Przez cały czas chodziła, a kiedy skrzypnęło popychane wodą koło napędowe młyna, drgnęła.

Była napięta jak struna, ale w końcu usiadła.

Gray zapytał ją o plany na następny dzień. Rozmawiali ściszymi głosami, z przysuniętymi do siebie głowami. Kiedy Seichan wyliczała rzeczy, które będą im potrzebne, Rachele coraz bardziej zapadała się w siebie. Tysiąc rzeczy mogło się nie udać.

Ból głowy zamienił się w ostre dżganie za prawym okiem, tak dokuczliwe, że zrobiło jej się niedobrze.

Nie przerywając rozmowy i nawet na nią nie patrząc, Gray położył dłoń na jej dłoni. Był to gest mający dodać jej otuchy.

Seichan zauważyła to, ale nagle odwróciła się w stronę ulicy i zamarła. Zachowywała się jak zamierzający zaatakować gepard.

Był to jednak tylko Kowalski. Szedł powolnym, spokojnym krokiem. Machnął do nich ręką, otworzył bramę i ruszył w ich kierunku. Palił cygaro, ciągnąc za sobą smugę pachnącego słodko dymu.

–Spóźniłeś się – stwierdził Gray.

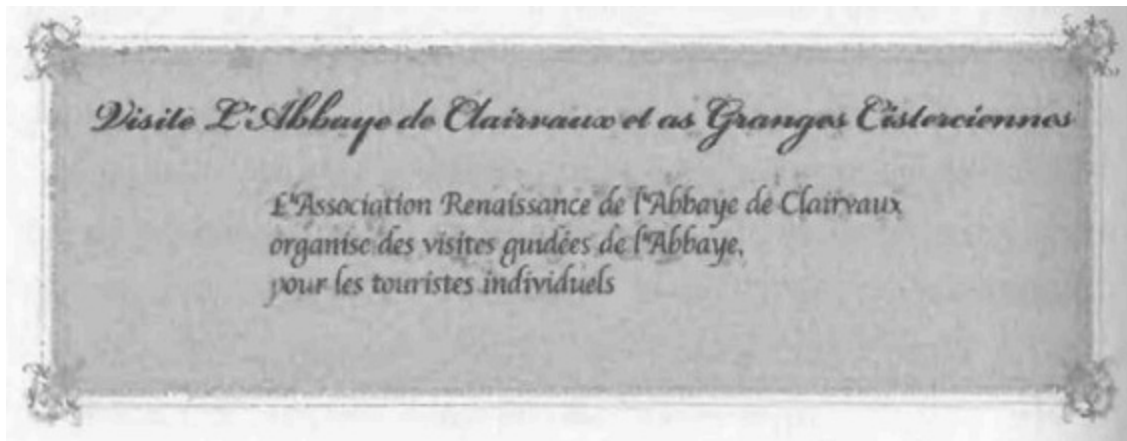
Kowalski przewrócił oczami.

Wallace wykorzystał chwilę przerwy, aby powiedzieć, co myśli o ich planach.

–To się nie uda. Potrzebne byłoby idealne zgranie w czasie i mnóstwo szczęścia. Jednak nawet wtedy nie damy rady dostać się do tych cholernych ruin.

–Może w takim razie zapiszmy się na wycieczkę – zaproponował Kowalski i klepnął w blat stołu prospektem.

Wszyscy wbili spojrzenie w kolorowy folder. Na jego okładce widać było starą kolumnadę, osłoniętą elegancką markizą.



Rachele przetłumaczyła francuski tekst. – Stowarzyszenie Odnowy Opactwa Clairvaux organizuje wycieczki po więzieniu.

Wszyscy wbili wzrok w Kowalskiego, który wzruszył ramionami.

–Co jest? Wetknęli mi to w rękę. Czasami lepiej nie mieszać się z tłumem.

Rachele przejrzała prospekt.

–Oprawdają grupy dwa razy dziennie, koszt dwa euro od osoby. Druga dzisiejsza tura zaczyna się za godzinę.

Wallace wziął broszurkę i przekartkował ją.

–Taka krótka wycieczka nie pozwoli nam zbyt dokładnie przeszukać terenu, ale przynajmniej się w nim z grubsza zorientujemy.

–Będziemy też mogli rzucić okiem na ochronę – dodał Gray.

–Ale przed wejściem wszystkich rewidują – ostrzegła ich Seichan. – Nie damy rady wnieść do środka żadnej broni.

–Nikt inny też jej nie wniesie – stwierdził Gray. – Przy takiej liczbie uzbrojonych strażników dookoła będziemy bezpieczniejsi niż kiedykolwiek.

Jednak Seichan nie wyglądała na przekonaną.

Godz. 14. 32

A więc ta dziwka żyła!

Krista szła znajdującym się cztery kilometry od Troyes trawiastym polem, na którym czekały na nią dwa kradzione nieoznakowane helikoptery. Były to maszyny typu Eurocopter Super Puma. Zostały już załadowane, a obok nich stało osiemnastu ludzi w bojowym rynsztunku, czekając na wejście na pokład. Technicy skończyli wyposażanie obu helikopterów w broń.

Obserwator naziemny doniósł, że cele znajdują się w ruchu. Wszyscy kupili bilety na wycieczkę z przewodnikiem po opactwie i właśnie tam jechali. Krista miała nadzieję, że przed akcją uda jej się wyeliminować Seichan – ale okazała się nadspodziewanie dobra. Na szczęście Krista miała dość ludzi i broni, aby sobie z nią poradzić.

Będzie to tylko nieco trudniejsze.

Miała rozkaz przejąć artefakt i zlikwidować grupę Graya. Zamierzała zrobić to jak najszybciej, musiała jednak pamiętać o tym, jak niepewna zrobiła się jej sytuacja w organizacji. Lodowate słowa, które usłyszała przez telefon, były tego najlepszym dowodem i jakiegokolwiek potknięcie pociągnęłoby za sobą jej usunięcie z Gildii. Jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli spełni oczekiwania swoich zleceniodawców, wcale nie posłuży to jej dobru.

Potrzebowała głównej wygranej – trofeum, które mogłaby zaprezentować Eszelonowi. Zamierzała je zdobyć. Jeśli klucz Dnia Sądu Ostatecznego znajdował się w ruinach, zmusi ekipę przeciwnika, aby go znalazła, po czym wyeliminuje wszystkich jej członków.

Mając klucz, odzyska swoją dawną pozycję w Gildii.

Nie mogła niczego pozostawić przypadkowi. Obiekty nie miały broni ani możliwości ucieczki – przynajmniej dopóki będą się znajdowały na terenie więzienia, które w momencie rozpoczęcia ataku zostanie szczelnie zamknięte.

Nie będą mieli dokąd uciec ani gdzie się schować.

Dała swoim ludziom znak, aby wsiadali do maszyn.

Nadszedł czas dobrać się przeciwnikowi do skóry.

14 października, godz. 14. 40

Clairvaux, Francja

Od razu było wiadomo, że będą mieli kłopoty.

W więzieniu rzeczywiście obowiązywały niezwykle środki ostrożności – nawet w stosunku do grupy turystów. Wszystkim zeskanowano paszporty i wpisano je do komputera, przeszukano bagaże, poza tym każdy musiał przejść przez dwie bramki z detektorami metalu i dodatkowo został jeszcze obszukany ręcznym aparatem. Wszędzie stali strażnicy, uzbrojeni w karabiny, pałki i broń krótką. Od zewnątrz teren patrolowali kolejni – z wielkimi psami.

–Przynajmniej odpuścili sobie badanie otworów ciała – mruknął Kowalski, kiedy minęli ostami punkt kontrolny.

–Robią to przy wychodzeniu – ostrzegł go Gray. Kowalski spojrział na niego, aby się upewnić, czy to nie żart.

–Tędy, *sil vous plaît* – powiedziała przewodniczka, podkreślając każde słowo machnięciem różowej parasolki.

Była to wysoka, poważna kobieta po sześćdziesiątce, ubrana w spodnie koloru khaki, jasny sweter i ciemnoczerwoną kurtkę. Nie próbowała zrobić niczego, co mogłoby ją choć trochę odmłodzić. Miała siwe włosy spięte ciasno z tyłu głowy i surową twarz.

W końcu korytarza były podwójne drzwi, którymi wychodziło się na wewnętrzne podwórze. Słońce rozświetlało starannie skoszone trawniki, równo przystrzyżone krzewy i żwirowe ścieżki. Po nieprzyjemnych przeszukaniach przy wejściu miało się wrażenie, że człowiek trafił nagle do innego świata. Dwu-akrowy teren przecinały porośnięte bluszczem fragmenty kruszącego się muru, przy których widać było wyraźne kontury na ziemi, wskazujące miejsce, gdzie kiedyś znajdowały się fundamenty.

Przewodniczka poprowadziła ich przez dziedziniec, a krok w krok za nimi szedł uzbrojony strażnik. Kobieta machnęła parasolką w stronę resztek murów.

–To pozostałości po pierwotnym *monasterium vetus* – powiedziała. – Prostokątna kaplica została włączona do kościoła opactwa, mającego olbrzymi chór oraz inne kaplice.

Gray rozglądał się wokół uważnie.

W czasie jazdy autobusem kobieta przedstawiła im krótką historię klasztoru i życiorys jego założyciela. Znali większość szczegółów, z wyjątkiem jednego – tego, że święty Bernard zbudował opactwo na ziemi należącej do jego rodziny. Musiał dobrze znać całą okolicę,

wszystkie ukryte groty i jaskinie.

Czy właśnie dlatego wybrał to miejsce?

Gray zauważył, że Rachele również wpatruje się w ziemię, prawdopodobnie zastanawiając się nad tym samym.

Idąca nieco z boku Seichan spoglądała na otaczające ich więzienne mury i wieże strażnicze. Ruiny, które zwiedzali, były nimi otoczone ze wszystkich stron, więc jej twarz miała dość ponury wyraz.

Kiedy zauważyła, że Gray na nią patrzy, wytrzymała jego spojrzenie. Choć sprawiała wrażenie spokojnej, zdradzały ją mimowolne ruchy mięśni twarzy.

–Przejdziemy teraz do doskonale zachowanego budynku świeckiego – powiedziała przewodniczka. – Zobaczymy w nim, jak żyli średniowieczni mnisi.

Ruszyła w stronę znajdującego się nieco w głębi dwupiętrowego kamiennego budynku. Od frontu miał kolumnadę, a w bocznych ścianach i z tyłu mnóstwo małych drzwiczek i okienek.

–Na dolnym poziomie znajdowało się *calefactorium* klasztoru, czyli wspólna sala dzienna. Jej konstrukcja jest niezwykła, *tres brilliant!* Pod podłogą biegły kanały, wychodzące z piwnic. Palony w podziemiach ogień ogrzewał mnichów po modlitwie albo nocnym czuwaniu. Tutaj mogli też przez rozpoczęciem dnia natłuścić swoje sandały.

Zaczęła się rozwodzić nad życiem codziennym mnichów w średniowieczu, ale Gray skoncentrował się na kamieniach pod swoimi stopami.

Mnisi byli przecież znakomitymi inżynierami i budowniczymi tuneli...

Pamiętał także słowa Wallace'a, że klasztory i opactwa często miały tajne przejścia.

Czy choć część z nich przetrwała do współczesnych czasów?

Przewodniczka poprowadziła ich dalej, pokazała resztki starej stodoły, która służyła jako warsztat do wyprawiania skór, po czym wrócili do ruin starego kościoła. Ostatnim elementem zwiedzania był potężny Wielki Klasztor – klejnot koronny wycieczki.

Przeszli przez duże sklepione przejście i znaleźli się na rozjaśnionym słonecznym światłem, trawiastym wirydarzu, otoczonym krużgankami z gotyckimi kolumnami.

Gray przeciągnął dłonią po ścianie. Budowla, która wytrzymała tysiąc lat, była świadectwem oporu przed niszczycielskim działaniem czasu i pogody.

Co jeszcze mogło na tym terenie przetrwać?

Kobieta zaprowadziła ich do wewnętrznego ogrodu – między niskimi krzewami i kwietnikami o regularnych konturach biegły wąskie ścieżki.

–Budynki klasztorne zawsze budowano na południe od kościoła, aby maksymalnie wykorzystać naświetlenie słoneczne – powiedziała, unosząc twarz do słońca.

Gray poszedł za nią i stanął obok bogato zdobionego kompasu umieszczonego pośrodku ogrodu. Zaczął się powoli obracać, patrząc na otaczające go szeregi kolumn.

Dlaczego ze wszystkich budynków opactwa tak dobrze zachował się tylko budynek klasztoru?

Gdyby grobowiec świętego Malachiasza istniał, musiał znajdować się gdzieś tutaj.

Kilka kroków dalej Rachele robiła zdjęcia. Przejrzała je w hotelu i może znajdą coś, co wskaże im dalszą drogę.

Ale zdjęcia nie mogły oddać atmosfery tego miejsca. Gray wchłaniał skumulowaną w tych murach przeszłość. Coś nie dawało mu spokoju. Próbując się skoncentrować, wyłączył słuch, aby nie docierała do niego paplanina przewodniczki, przestał też zwracać uwagę na chodzących wokół pozostałych turystów.

Wsluchiwał się w otaczające go miejsce.

Przeniósł się wyobraźnią w przeszłość, chciał usłyszeć śpiewy mnichów, dźwięk wzywającego ich na modlitwę dzwonu i kierowane ku niebu milczące prośby.

Święte miejsce...

Otoczone kolumnami...

Nagle zrozumiał.

Jeszcze raz wykonał pełen obrót wokół własnej osi.

–Jesteśmy w świętym kamiennym kręgu – oświadczył.

Stojąca niedaleko niego Rachele przerwała fotografowanie.

–O czym ty mówisz?

Zakreślił ręką koło.

–Te kolumny tak naprawdę niczym się nie różnią od megalitów z torfowiska – powiedział. – Stoimy pośrodku chrześcijańskiej wersji kamiennego kręgu.

Podszedł bliżej wznoszących się wysoko kolumn i zaczął powoli przechodzić od jednej do

drugiej. Były wykute z potężnych bloków żółtoszarego wapienia i każda musiała ważyć wiele ton – jeśli jednak nie brać pod uwagę różnicy kształtów, nie różniły się tak bardzo od stojących pojedynczo angielskich megalitów z błękitnego dolerytu.

Znalazł to, czego szukał, na czwartej kolumnie. Rysunek był mało widoczny, właściwie wyglądał jak cień na powierzchni kamienia. Gray powiódł palcami po krzyżu i okręgu wokół niego.



–Ten sam symbol – powiedział.

Przewodniczka zauważyła jego nagle zainteresowanie i podeszła.

–*Magnifique* – pochwaliła go. – Odkrył pan jeden z krzyży konsekuracyjnych. Popatrzył na nią pytająco.

–W średniowieczu zawsze świeciło się kościół i jego własność za pomocą tego typu symboli. Krucyfiks przedstawia cierpienie Chrystusa, a okręgi z wpisanymi w nie krzyżami symbolizują apostołów. Zawsze umieszczano ich...

–... dwanaście – dokończył Gray.

Przed oczami miał stojące na angielskim torfowisku megality. Na nich również było dwanaście krzyży.

–Właśnie. Reprezentują błogosławieństwa dwunastu apostołów. I być może coś znacznie starszego, pomyślał Gray.

Przeszedł do wnętrza krużganka, aby obejrzeć kolumny z tyłu. Megality w Anglii miały po jednej stronie krzyże, a po drugiej spirale.

Kiedy jednak przyjrzał się kolumnom, stwierdził, że od wewnętrznej strony krużganka nie ma na nich żadnych znaków. Gdy obszedł wszystkie kolumny i wrócił do punktu wyjścia, całe jego podniecenie wyparowało. Może się mylił – może za bardzo dał się ponieść wyobraźni?

Jego poszukiwania znowu zwróciły uwagę przewodniczki.

–Widzę, że słyszał pan miejscową legendę... – stwierdziła lekko drwiącym tonem. –
Podejrzewam, że gdyby nie ona, klasztor już by nie istniał.

Wallace wytarł czoło chustką.

–O jakiej legendzie mowa, droga pani? – zapytał.

Kobieta po raz pierwszy się uśmiechnęła, najwyraźniej ujęło ją zainteresowanie doktora.
Zresztą Wallace niemal przez cały czas siedł obok niej i ciągle zadawał pytania.

–To taka nasza miejscowa opowieść... przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ale jest dość
niezwykła.

Wallace odwzajemnił uśmiech.

Przewodniczka wskazała dziedziniec.

–Jak już mówiłam, zawsze uświęcano kościół dwunastoma krzyżami. Tutaj jednak mamy
tylko jedenaście.

Zaskoczony Gray wrócił do ogrodu, dając sobie w duchu kuksańca za brak dokładności. Nie
przyszło mu do głowy, że powinien policzyć symbole. Założył, że tak samo jak w przypadku
megalitów na torfowisku, jest ich dwanaście.

–Legenda mówi, że brakujący dwunasty krzyż konsekracyjny opactwa Clairvaux wskazuje
drogę do wielkiego skarbu. Ludzie szukają go od wieków, przeczesują teren, szukają nawet w
leżących za murami stodołach. Ale to jedynie wyszana z palca opowiastka. Prawdopodobnie
dwunasty krzyż został wykuty gdzieś wewnątrz klasztoru lub kościoła.

I być może istnieje do dziś... – pomyślał Gray.

Przewodniczka spojrzała na zegarek.

–Przykro mi, musimy już jednak kończyć zwiedzanie. Może mogłabym pokazać panu więcej,
gdyby przyszedł pan jutro... – powiedziała do doktora.

–Chętnie wrócimy – zapewnił ją.

Gray chciał zapytać Seichan, co o tym sądzi, ale zanim zdążył to zrobić, zawyła syrena.

Wszyscy rozejrzeli się z niepokojem. Co się działo?

Uzbrojony strażnik podszedł bliżej. Rachele popatrzyła na przewodniczkę, spodziewając się

jakiegoś wyjaśnienia.

–Musimy się gdzieś ukryć – powiedziała cicho Seichan do Graya.

Ton jej głosu brzmiał ponagląco, choć jednocześnie wyglądała, jakby jej ulżyło. Jakby wreszcie doczekała się tego, co miało nastąpić.

–Co się dzieje? – zapytał zdziwiony Gray.

Zanim mu odpowiedziała, przez wycie syreny przebiło się basowe dudnienie.

Kiedy spojrział w górę, ujrzał dwa helikoptery wylatujące zza porośniętej drzewami grani. Skierowały nosy w dół i zanurkowały w stronę więzienia. Syreny były informacją, że więzienie zostało zaatakowane.

Godz. 15. 22

Krista siedziała obok pilota, który położył helikopter na bok i zaczął nurkować. Nawet przez ryk łopat wirnika słycać było wycie syren w dole. W więzieniu zauważono ich przybycie i kilkakrotnie próbowano nawiązać z nimi kontakt, ale kiedy nie odpowiedzieli, ogłoszono alarm.

Pierwszy eurocopter był już nad terenem więzienia. Po chwili od jego kadłuba zaczęły się odrywać beczki. Wirowały w powietrzu i wybuchały w momencie uderzenia o ziemię. Eksplozje zagłuszały wszystkie inne odgłosy, dudniły jak grzmoty.

Krista poleciła swoim ludziom, by wywołali jak największy chaos. Wcześniej zapoznała się z procedurami obowiązującymi w więzieniu Clairvaux: w razie niebezpieczeństwa wszystkie bramy były zamykane, odcinając ruiny opactwa od świata zewnętrznego. Miało to chronić zarówno skarb narodowy, jak i znajdujących się w środku turystów.

Tak jak teraz.

**–Jest kontakt wzrokowy z celami na dole – przekazał Kriście pilot prowadzącego helikoptera.
– Podaję współrzędne.**

Popatrzyła na siedzącego obok pilota swojej maszyny. Musiał już dostać współrzędne, bo ostro skręcił w prawo. Mieli na pokładzie dziesięciu ludzi, przy obu włazach przygotowywano już liny, po których zaraz zjadą na ziemię. Za chwilę znajdą się nad ruinami, opanują teren i przechwycą obiekty.

Krista zamierzała znaleźć się na ziemi razem z pierwszą grupą szturmową.

Chciała osobiście zająć się dopilnowaniem wykonania zadania.

Kiedy więzienie zostanie zbombardowane i podpalone, prowadzący helikopter wysadzi drugą grupę szturmową, która da wsparcie pierwszej. Obie maszyny pozostaną w górze, aby

natychmiast po wykonaniu zadania móc przeprowadzić ewakuację.

Pochyliła się do przodu i spojrzała w dół. Podane współrzędne wyznaczały potężny kwadrat kamiennych ruin otaczających duży ogród. Był wystarczająco długi i szeroki, aby w razie potrzeby mógł tam wylądować helikopter.

–Czekam na znak – powiedział pilot.

Kirsta uniosła pięść ze skierowanym w dół kciukiem.

Najwyższy czas to zakończyć.

Godz. 15. 24

Ukryli się wewnątrz krużganka. Grayowi dudniło w uszach od ryku syren, serce waliło mu od wybuchów. Wszędzie wokół wystrzeliwały w powietrze fontanny ognia i dymu.

Zamiary atakujących były oczywiste.

Ktoś chciał ich uwięzić na terenie opactwa.

Nietrudno było się domyślić, kto to taki.

Czyżby Gildia dowiedziała się, jak niewiele brakuje im do odnalezienia klucza, i dlatego postanowiła przyspieszyć ostateczną rozgrywkę?

Ale Seichan była tak samo wściekła jak pozostali. Najwyraźniej nie została poinformowana o zmianie planów.

–Co robimy? – spytała Rachele.

Nie można było na to pytanie szybko odpowiedzieć, bo w tych dwóch słowach zawierało się wiele innych pytań. Jak się stąd wydostaną? Co z antidotum na truciznę, którą jej podano? Bez klucza Dnia Sądu Ostatecznego nie mieli żadnej karty przetargowej.

Musieli znaleźć ten klucz.

Tuż przed rozpoczęciem ataku coś się zaczęło klarować w głowie Gcaya. Był to jakiś nieokreślony przeblask, skrawek myśli. Niestety, syreny i wybuchy i to przegoniły.

Miało to jakiś związek z brakującym – dwunastym – krzyżem konsekracyjnym.

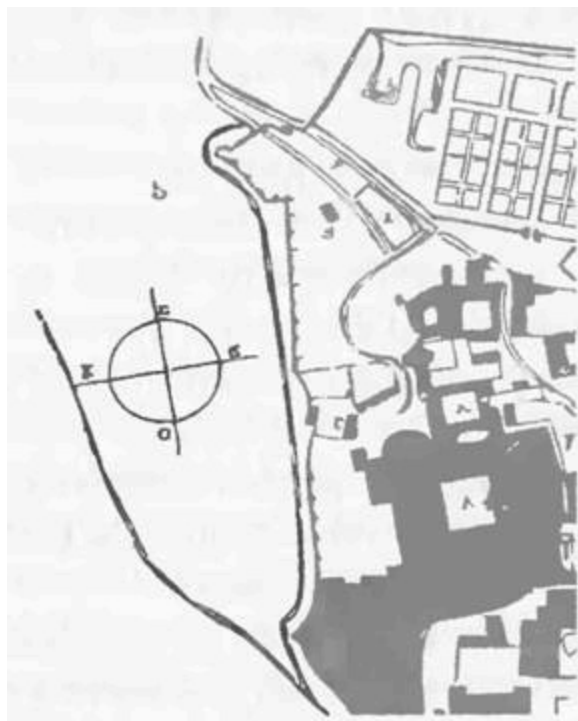
Z kłębow dymu wyleciał helikopter. Kiedy zawisł nad dziedzińcem, ogród przysłonił cień. Łopaty wirnika szarpały powietrze, przyciskały kwiaty do ziemi i wstrząsały krzewami.

Nie było dokąd uciekać.

Patrząc na ogród, Gray nagle doznał olśnienia. Nie musiał już dopasowywać żadnych elementów ani niczego obliczać. Wyjaśnienie samo zmaterializowało się w jego głowie.

Czas spowolnił bieg.

To, co go dręczyło w związku ze starym planem opactwa oglądanym w bibliotece w Troyes, nagle stało się jasne. Na planie również narysowano pogański krzyż, choć w bibliotece go nie dostrzegł, nie ujrzał tego, co należało.



Pogański krzyż został ukryty w kompasie, wskazującym strony świata na planie.

Gray znowu popatrzył na ogród. Znajdujący się na jego środku kompas był kunsztownie zdobioną konstrukcją z brązu, z wyraźnie zaznaczonymi czterema stronami świata.

Dwunasty krzyż konsekuracyjny przez cały czas był w zasięgu wzroku – choć znakomicie ukryty w ogrodowej dekoracji.

Jeśli można było mieć jeszcze jakieś wątpliwości, to powinien je rozproszyć fakt, że kompas umieszczono dokładnie pośrodku dziedzińca i był otoczony kolumnami ze świętymi symbolami. Dla przedstawicieli starożytnych kultur, którzy stawiali kamienne kręgi, to miejsce było czymś najświętszym.

Było oczywiste, co powinni teraz zrobić.

Gray odwrócił się do uzbrojonego strażnika i wskazał helikopter, którego włązy właśnie się otwierały.

–Ognia! – zawołał.

Ale przerażony strażnik nie zareagował. Był młody, prawdopodobnie nowy i jego głównym

zadaniem było towarzyszenie turystom. Nie dorósł do trudniejszego zadania.

–No cóż, jeśli nie masz ochoty... – mruknął Kowalski, wyjmując mu broń z rąk. – Pokażę ci, jak to się robi.

Skoczył na skraj krużganku, uniósł broń i zaczął strzelać. Z wjazdu na linach zjeżdżali właśnie uzbrojeni ludzie. Kiedy zaskoczony ostrzałem pilot helikoptera gwałtownie nabral wysokość i odbił w bok, jedna z lin oderwała się i spadła na ziemię.

Gray miał jedynie kilka sekund na potwierdzenie swojej teorii.

–Kowalski, trzymaj ich w szachu! Reszta za mną!

Po chwili znaleźli się przy kompasie.

–Stańcie dookoła! – krzyknął Gray i złapał za literę N.

Wallace, Rachele i Seichan nie bardzo wiedzieli, o co mu chodzi.

–Musimy go obrócić! – zawołał Gray. – Jak grobowiec na wyspie! Przekręcić!

Wbił pięty w trawnik, oparł bark o tarczę kompasu i zaczął pchać. Pozostali robili to samo, ale nic się nie działo, konstrukcja nie ustępowała. Czyżby próbowali obrócić ją w niewłaściwym kierunku?

Nagle opór osłabł i kompas powoli zaczął się obracać wokół swojej osi.

Kowalski wciąż strzelał.

Żołnierze w helikopterze również nie próżnowali, próbując wyłączyć z akcji dokuczającego im śmiałka.

Helikopter zmienił pozycję, przenosząc się nad środek ogrodu. Huk łopat wirnika ogłuszał pochylonych nad kompasem ludzi.

–Nie przestawajcie! – krzyczał Gray.

Mechanizm był bardzo stary i obracanie konstrukcji przypominało wiercenie w piasku.

Helikopter zawisł nad ich głowami.

Z góry spadło kilka lin.

Godz. 15. 27

–Wstrzymać ogień! – krzyknęła Krista, kiedy jeden z jej ludzi wycelował w grupę przy

kompasie. – Chcę ich mieć żywych!

Ale żołnierzy opanowała żądza krwi, bo jeden z ich kolegów dostał w głowę i leżał martwy na podłodze. Ktokolwiek do nich strzelał, umiał się posługiwać karabinem.

Krista musiała jakoś uspokoić swoich podwładnych.

Wskazała im miejsce, w którym ukrywał się snajper, i podała granatnik.

–Niech któryś z was go zdejmie – poleciała.

Przed termobarycznym granatem nikt nie mógł się schować.

*** * ***

Kowalski biegł jak sprinter.

Nagła przerwa w ostrzale była dla niego wystarczającą informacją, że za chwilę spadnie mu na łeb coś paskudnego. Na szczęście młody strażnik i ich przewodniczka już na samym początku uciekli, gdzie pieprz rośnie.

Wiadomo, Francuzi...

Po chwili usłyszał przenikliwy gwizd, który zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Spojrzał za siebie – i nie zauważył dziury.

Nawet nie poczuł, że grunt pod jego stopami nagle się otwiera.

Poleciał głową do przodu w dół wąskich schodków.

Tuż nad miejscem, w którym się przed chwilą znajdował, rozległ się straszliwy huk. Fala uderzeniowa kopnęła Kowalskiego w tyłek i pchnęła do końca zejścia.

Wylądował u wlotu ciemnego tunelu.

Kiedy ogłuszony, z krwawiącym nosem i dymiącymi spodniami gramolił się z ziemi, dotarły do niego dwie rzeczy: pierwsza, że jeszcze przed chwilą schodków nie było, a druga – że znowu trafił do jakiegoś tunelu.

Godz. 15. 28

Choć Grayowi dzwoniło w uszach od wybuchu granatu, usłyszał zarówno swoje imię, jak i potok przekleństw.

–Tempo! – krzyknął do swoich towarzyszy.

Złapał Rachele, a Seichan Wallace'a i zaczęli uciekać, omijając slalomem zwisające z góry rozbujałe liny. Fala uderzeniowa po eksplozji zdestabilizowała helikopter, który zabujał się w powietrzu jak spławik.

Duży fragment klasztornej ściany zamienił się w dymiącą czarną ruinę.

Gray widział, jak Kowalski ucieka z zagrożonej strefy.

Nagle zniknął – jakby wpadł do studni.

–Chodźcie tu wreszcie! – wrzasnął po chwili.

Tylko jedna rzecz mogła sprawić, aby w jego głosie mogło się pojawić tyle strachu.

–Szybciej! – poganiał swoich towarzyszy.

Helikopter za ich plecami ustabilizował pozycję i żołnierze znowu zaczęli zjeżdżać po linach. Słychać było, jak podeszwy ich butów uderzają w kamienne podłoże.

–Na dół! – krzyczał Kowalski.

Wcisnęli się w dziurę, z której dobiegał jego głos. Gray był ostatni. Kątem oka dostrzegł przygotowującego się do strzału żołnierza i skulił się szybko. Tuż nad jego głową przeleciał grad pocisków, które uderzyły w ścianę z przodu. Zrykoszetowały – i jeden z nich ukłuł Graya w głowę.

Mogło być gorzej, pomyślał.

Kiedy zbiegał na dół, uświadomił sobie, że to gumowe pociski. Komuś zależało na wzięciu ich żywcem.

Zbiegł na niższy poziom.

–Tu jest jakaś dźwignia! – wrzasnął Kowalski. – Mam pociągnąć?

–Tak! – odkrzyknęli wszyscy równocześnie.

Rozległ się chrzęst metalu i schody za ich plecami zaczęły się podnosić. Każdy stopień był ruchomą kamienną płytą, która opuszczała się do odpowiedniej wysokości, aby można było zejść na dół – a potem unosiła do poziomu ziemi i schody zniknęły.

Po chwili otoczyła ich całkowita ciemność.

Trzasnęła zapalniczka i zamigotał płomyk, w którego świetle pojawiła się Seichan.

–I co teraz? – zapytała.

Mieli tylko jedną szansę. Życie Rachele – życie ich wszystkich – zależało od tego, czy tym razem dobrze trafili.

–Musimy znaleźć ten klucz – odparł Gray.

14 października, godz. 15. 33

Clairvaux, Francja

Krista szła przez klasztorny ogród.

Niebo było zasnuwane dymem i wyglądało to, jakby zaraz miał zapaść zmrok. Na terenie więzienia płonęły setki ogni. Wyły syreny, co chwila rozlegały się strzały i krzyki.

Strażnicy byli zajęci pacyfikowaniem więźniów, walką z ogniem i opanowywaniem chaosu. Krista nie musiała się obawiać, że zainteresują się ruinami, ale na wszelki wypadek kazała drugiej grupie szturmowej wystawić posterunki i zabezpieczyć wszystkie punkty dostępu. Helikoptery dawały im wsparcie z powietrza.

Nagle jej uwagę zwróciła szczególnie głośna eksplozja. Na zachodzie w niebo wystrzeliła nowa chmura dymu. Podejrzewała, że to zbiornik paliwa przy lądowisku należących do więzienia helikopterów – jeden z ich pierwszych celów.

Chciała odizolować Clairvaux od świata, i to na jak najdłuższy czas. Przed atakiem jej ludzie odcięli kable telefoniczne i zaminowali prowadzącą do więzienia drogę. Prędzej czy później pomoc oczywiście dotrze, ale do tego czasu Krista zamierzała zniknąć.

Podszedł do niej potężny Algierczyk o imieniu Khattab, jej zastępca. Pokręcił głową i powiedział:

–W dalszym ciągu nie mamy kontaktu z obiektami.

Kazała kilku ludziom przeszukać teren za ruinami klasztoru. Ktoś ostrzelał jednego z ich ludzi – z opisu wynikało, że był to Grayson Pierce. Ale gdzie potem wszyscy zniknęli? Raport, który złożył żołnierz, nie miał sensu. Pokazał miejsce, w którym zniknął przeciwnik, jednak w tym miejscu nie było żadnego okna ani drzwi. Przecież nie przeniknęli przez ściany jak duchy.

W ruinach znaleziono tylko przestraszonego strażnika i starszą kobietę. Kirsta przesłuchiwała ich, ale nie mieli o niczym pojęcia.

Stała w kruzganku z Khattabem i wpatrywała się w wielki kompas pośrodku ogrodu. Kiedy nadleciał jej oddział, ścigana przez nich grupa coś przy nim robiła.

–Każ dwóm ludziom obejrzeć ten kompas – poleciała swojemu zastępcy. – Niech sprawdzą, czy nie ma w nim czegoś nietypowego.

–A co z obiektami? Rozkazy pozostają te same?

–Mam nowe – odparła. – Strzelać tak, aby zabić.

Kiedy odchodziła, poślizgnęła się na cienkiej warstwie piasku. Popatrzyła na kamienne płyty pod swoimi stopami. Uklękła. Poprzednio tego nie dostrzegła, ale kiedy się dokładnie przyjrzała, zobaczyła prostokąt kamienia, na którym nie było piasku. Właśnie w tym miejscu zniknęli ścigani przez jej oddział przeciwnicy.

Pomacała kamień, podniosła odłamany kawałek i obejrzała go. Zmrużyła oczy.

–Khattab, zmiana rozkazów. Potrzebuję tu paru ludzi z doświadczeniem saperskim.

Może jednak klucz nie był jeszcze poza jej zasięgiem...

Godz. 15. 34

Gray prowadził całą grupę ceglanym, stromo opadającym tunelem prowadzącym pod miejsce, w którym kiedyś znajdowało się stare opactwo. Musieli już zejść jakieś trzy piętra pod ziemię.

Nikt nic nie mówił.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że od odnalezienia klucza zależy życie Rachele.

Gray szedł za promieniem światła latarki. Mimo pośpiechu rozglądał się uważnie, sprawdzając ściany i podłogę tunelu – nie mogli sobie teraz pozwolić na kolejną pomyłkę.

Kiedy tunel zaczął się kończyć, Gray wstrzymał oddech. Po chwili światło latarki rozlało się na boki i weszli do ogromnej komnaty.

Mieli wrażenie, że znajdują się w podziemnej katedrze. Jej kopułę wspierały cztery potężne kolumny, dookoła których biegły ceglane ściany. Przypominało to budowlę znajdującą się nad ziemią, ale ta kopuła była znacznie większa. Z każdej kolumny wychodziły wysoko wysklepione, krzyżujące się żebra. Nietrudno było się domyślić, co widać, kiedy patrzyło się w górę, stojąc pośrodku wielkiego pomieszczenia.

Pogański krzyż.

Okrąg podzielony krzyżem na ćwiartki.

W przypadku wątpliwości co do wymowy tego symbolu wystarczyło spojrzeć pod nogi. W wapiennej podłodze ułożony był wzór z brązu mający przynajmniej trzydzieści

metrów średnicy. Inkrustacja zwijała się, rozciągała na boki i wracała z powrotem, tworząc trzy splecione ze sobą spirale.

Był to starożytny wzór potrójnej spirali, znajduwany na megalitach w Anglii, w starych irlandzko-celtyckich tekstach i przejęty przez Kościół katolicki jako symbol Świętej Trójcy.

Okrąg z krzyżem na górze – spirala na dole.

Stał na niej jeden przedmiot – jedyna ozdoba ogromnego pomieszczenia.



–Celtycki krzyż... – szepnęła Rachele.

Pozostali podeszli do Graya.

Krzyż został umieszczony dokładnie w środku potrójnej spirali. Wykonano go z brązu, miał niewiele ponad dwa metry wysokości i prostą formę – były to dwa pręty z brązu, których skrzyżowanie otaczał okrąg.

Kiedy ruszyli w jego stronę, Kowalski wycofał się do tunelu.

–Wolę tu zostać – powiedział Grayowi. – Dobrze pamiętam, co się stało ostatnim razem, gdy majstrowałeś przy krzyżu.

–Mnisi z zakonu cystersów preferowali surowość i minimalizm, dlatego symbole religijne we wznoszonych przez nich świątyniach zawsze miały prostą formę – powiedział Wallace. – Ich dewizą było: wszystko ma być na swoim miejscu i służyć określone mu celowi.

Gray ostrożnie szedł po brązowej spirali. Nie był przekonany, czy taka ozdoba podłogi mogłaby podpadać pod kategorię „surowość”, ale co do krzyża doktor miał rację. Rzeczywiście wyglądał niepozornie, bardziej przypominał narzędzie rzemieślnicze niż symbol religijny.

–Stoi dokładnie między spiralą a okręgiem na górnym krzyżu – zauważyła Rachele, patrząc na kopułę.

Gray poświecił w górę. Podzielona na cztery ćwiartki kopuła wcale nie była architektonicznie surowa – w świetle latarki odbiły się umieszczone na suficie grudki kryształu.

Było oczywiste, co miały oznaczać.

–To nieboskłon – stwierdziła Rachele.

Gray musiał przyznać jej rację. Po chwili rozpoznał kilka konstelacji.

Kryształy miały różną wielkość i tworzyły iluzję trójwymiarowości.

Nie mieli jednak czasu na zachwyty.

–Co dalej? – zapytała Seichan, przywołując ich do rzeczywistości. – Na wyspie Bardsey doszedłeś do wniosku, że otwierający kryptę kod ukryty jest w krzyżu. Może tu jest tak samo? Popatrz...

Wskazała wiszący na krzyżu okrąg. Był ponacinany w poprzek, podobnie jak okrąg krzyża na wyspie Bardsey.

Nacięcia przypominały znaczniki na zamku numerycznym.

Gray podejrzewał, że Seichan ma rację, był tylko jeden problem.

Nie znali kombinacji.

Tym razem wolał nie działać w ciemno, bo kiedy poprzednim razem tak zrobił, omal wszystkich nie pozabijał.

Miny jego towarzyszy wyraźnie mówiły, że oni też o tym nie zapomnieli.

–Musimy spróbować – stwierdził w końcu Wallace.

–Jeśli znowu uruchomisz jakąś pułapkę, będziemy mogli tak jak poprzednim razem kazać Kowalskiemu pociągnąć za dźwignię – dodała Seichan.

Gray pokręcił głową.

–Nawet gdyby rzeczywiście tak było, mielibyśmy prze-chlapane. Pociągnięcie za dźwignię mogłoby ponownie otworzyć zejście schodami.

–Z deszczu pod rynną... – mruknął ponuro Wallace.

Gray ponownie odwrócił się w stronę krzyża.

–Możemy spróbować tylko raz. Jeśli popełnimy błąd, będzie po nas.

–Ale jeżeli nie spróbujemy, też będzie po nas – odparła Rachele., – Jeśli jeszcze raz ktoś powie „po nas”, natychmiast stąd znikam – wymamrotał pod nosem siedzący w korytarzu Kowalski, ale akustyka wielkiego pomieszczenia była tak dobra, że wszyscy to usłyszeli.

Godz. 15. 48

Krista stała obok Khattaba i oboje patrzyli, jak saper kończy wpychać do ostatniego otworu C-4. Kształtował miękki plastik palcami jak rzeźbiarz. Kiedy uznał, że efekt jest zadowalający, wsunął w materiał wybuchowy bezprzewodowy zapalnik.

Dał znak, żeby wszyscy się odsunęli.

Otoczający go ludzie natychmiast wycofali się do ogrodu.

Nikt nie miał ochoty stać w chwili wybuchu w krążanku, bo saper ostrzegł, że może się zawalić na tajne wejście.

–Gotowa? – spytał Kristę jej zastępca.

Niecierpliwie machnęła ręką.

Na znak Khattaba saper wcisnął przycisk detonatora.

Godz. 15. 49

Kiedy nastąpił wybuch, Rachele upadła na kolana – nie z powodu fali uderzeniowej, lecz ze strachu. Kilkumetrowa warstwa kamienia stłumiła eksplozję, ale i tak zabrzmiała jak wystrzał z armaty.

–Próbują wysadzić wejście – stwierdziła Seichan, spoglądając w stronę tunelu, którym przyszli.

–Na nich! – wrzasnął Kowalski i ruszył z powrotem, sam przeciwko całej armii.

Rachele usiadła na podłodze. Miała coraz większą gorączkę i wstrząsały nią dreszcze. Dudniło jej w głowie, jakby z każdym uderzeniem serca mózg nadymał się i kurczył. Nie mogła też już dłużej nie zwracać uwagi na mdłości.

Gray popatrzył na nią z niepokojem. Machnęła ręką, aby dalej badał krzyż.

Jego pozioma poprzeczka była wydrążona w środku, a z tyłu Wallace odkrył przyczepioną do miejsca skrzyżowania ramion linkę. Było to wysuszone ścięgno, splecione w warkocz i obciążone na końcu trójkątnym kawałkiem metalu.

Ponieważ nie było wiadomo, czemu to ma służyć, nikt nie miał odwagi tego dotknąć.

Łoskot obcasów poinformował ich o powrocie Kowalskiego.

–Nie przebili się! – zawołał. – W dalszym ciągu jesteśmy zamknięci na cztery spusty!

–Będą próbowali dalej – mruknęła Seichan.

Rachele popatrzyła na Graya.

Mieli coraz mniej czasu.

Gray odsunął się od krzyża i opadł na podłogę, jakby się poddawał.

Rachele знаła go jednak na tyle dobrze, aby wiedzieć, że to nieprawda.

Godz. 15. 59

Krista przyciskała telefon do ucha. Nie chciała odbierać tego połączenia, ale nie miała wyboru. Wolną dłonią zasłaniała drugie ucho. Syreny nadal wyły, a odgłosy walki na więziennym dziedzińcu jeszcze się nasiliły. Krista obawiała się, że strzelanina w każdej chwili może się przenieść do ich oazy.

–Wiemy, gdzie są! – krzyczała do telefonu, próbując nie zdradzać swojej desperacji. – Wysadzimy to przejście w ciągu najbliższych dziesięciu minut!

Popatrzyła na Khattaba, który stał przy saperze. Kiedy jej zastępca zauważył, że na niego patrzy, uniósł do góry dziesięć palców.

Próbowali po raz drugi. Pierwsza eksplozja zrobiła w podłodze krążanka krater, odsłaniając ukryte pod ziemią i ułożone w nieprzypadkowy wzór wapienne płyty. Krista czuła, że są blisko, i klęła sapersa za jego powolność.

Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że muszą zachować ostrożność. Gdyby spowodowali zawalenie krążanka, nigdy nie dostaliby się pod ziemię.

Po długiej chwili milczenia mężczyzna w telefonie w końcu się odezwał. Jego głos był przerażająco zimny.

–Sądzisz, że dostali się do jakiejś krypty, w której może się znajdować klucz?

–Na pewno – odparła z przekonaniem.

Miała nadzieję, że się nie myli.

W telefonie znowu zapadła cisza.

Tuż obok słyhać było ostre karabinowe strzały – oznaczało to, że muszą się pospieszyć.

–No dobrze – powiedział w końcu mężczyzna w telefonie. – Zabezpiecz klucz.

Tym razem nie musiał jej niczym grozić.

Rozmowa została przerwana.

Krista popatrzyła na Khattaba.

Trzymał w górze dziewięć palców.

Skoro ojciec Giovanni tu dotarł, musiał wiedzieć, że idzie właściwym tropem.

Było to wszystko, na czym mógł się opierać Gray.

Siedział na podłodze ogromnego podziemnego pomieszczenia w Clairvaux, ale duchem przeniósł się z powrotem do krypty pod opactwem Saint Mary na wyspie Bardsey. Przypominał sobie notatki i obliczenia zrobione węglem drzewnym na ścianie. Ponownie czytał zapiski księdza oraz badał wielki okrąg otaczający krzyż i układ linii dzielących go na cztery części.

Jednocześnie patrzył na krzyż stojący w pomieszczeniu, w którym się znajdowali. Zawsze był przekonany, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Bardziej narzędzie rzemieślnicze niż znak religijny... Nie dekoracja, ale przedmiot stworzony do pełnienia określonej funkcji.

Przypomnił sobie słowa Wallace'a charakteryzujące zakon cystersów.

„Wszystko ma być na miejscu i służyć określönemu celowi”.

Odchylił głowę i wbił wzrok w nieboskłon z kwarcowymi konstelacjami. Czuł, że jego umysł z każdą chwilą coraz bardziej zbliża się do odkrycia właściwej drogi – ale nie umiał jeszcze tej myśli ubrać w słowa.

Nagle uświadomił sobie, że stoi, choć nie pamiętał, żeby 424

wstawał. Podszedł do krzyża i popatrzył na niego z boku. Konstrukcja z brązu była tylko odrobinę wyższa od człowieka i aby spojrzeć przez wydrążoną poziomą poprzeczkę, musiał przykucnąć.

–To nie jest krzyż... – wymamrotał pod nosem.

–Słucham? – spytał zdziwiony Wallace.

Gray pokręcił głową. Jeszcze wszystkiego nie rozumiał, nie znał odpowiedzi – dopiero się tworzyła. Pochylił się i spojrział przez wydrążone ramię krzyża.

–Wygląda jak teleskop – powiedziała stojąca tuż za jego plecami Seichan.

Gray wyprostował się gwałtownie.

Właśnie!

Ostatni element układanki trafił na swoje miejsce.

Tama w głowie Graya nagle pękła i popłynęło zrozumienie. Przemykające przez jego umysł obrazy układały się w sensowny ciąg.

Popatrzył na sufit.

Jak teleskop...

Odwrócił się i objął Seichan. Zesztywniała z zaskoczenia.

–Już wiem... – szepnął jej do ucha.

Zadrżała, słysząc te słowa – zinterpretowała je po swojemu.

Gray puścił ją, opadł na podłogę i zabrał się do badania podstawy krzyża, wspierającej się na półkuli z brązu. Zaczął obmacywać jej krawędź. Nie stykała się dokładnie z podłożem – między nią a kamienną podłogą była szpara grubości karty kredytowej.

Zerwał się i pobiegł do swojego plecaka. Wyrzucił jego zawartość na podłogę, wyłowił spośród innych rzeczy czarny flamaster i zaczął nim coś rysować na kamiennej podłodze – musiał się przekonać, czy ma rację.

Część jego umysłu znowu przeniosła się na wyspę Bardsey. Doskonale pamiętał obliczenia na ścianie i poznaczony poprzecznymi liniami okrąg. Ojciec Giovanni okazał się sprytniejszy od nich wszystkich. Okrąg reprezentował Ziemię, a notatki...

–Obliczenia na ścianie dotyczyły długości i szerokości geograficznej – powiedział po chwili głośno.

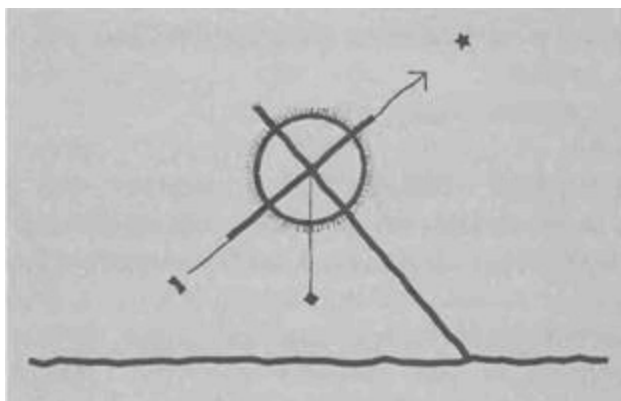
Pozostali stłoczyli się wokół niego.

–O czym pan mówi? – spytał Wallace.

Gray wskazał stojącą pośrodku pomieszczenia konstrukcję z brązu.

–To nie jest krzyż, ale narzędzie nawigacyjne – wyjaśnił.

Szybko dokończył rysunek na podłodze.



Szkic pokazywał, jak powinno się pochylić krzyż, aby jego ramię wskazywało jedną z gwiazd na kopule, obciążona linka służyła jako pion, a koło z nacięciami wskazywało stopnie.

–To coś w rodzaju sekstansu – dodał Gray.

–Boże drogi... – Wallace cofnął się i przyłożył dłoń do czoła. – Archeolodzy przez cały czas się zastanawiali, jak starożytnym udawało się tak dokładnie wyznaczać pozycje megalitów. A oni robili to właśnie w ten sposób... – Wycelował palec w rysunek. – Niech mnie kule biją! To urządzenie mogło być nawet używane jako teodolit!

–Co to takiego? – spytała Rachele.

–Narzędzie miernicze do pomiaru kątów poziomych i pionowych – odparł Gray. – Stosuje się je w inżynierii.

–Teraz już rozumiem ten kult spirali i krzyża... – mruknął Wallace. – Oba te symbole naprawdę reprezentują niebo i ziemię.

Gray wpatrywał się w zrobiony przez siebie rysunek.

–Więcej. Te symbole reprezentują także kult tajnej wiedzy zawierającej sekrety nawigacji i inżynierii.

–A co to ma wspólnego z kluczem Dnia Sądu Ostatecznego? – spytała Seichan, sprowadzając wszystkich na ziemię.

Wbili wzrok w krzyż.

Ale Gray znał już odpowiedź.

–W starożytności dostęp do tego rodzaju wiedzy mieli jedynie kapłani – powiedział i popatrzył na Wallace'a, spodziewając się potwierdzenia.

Doktor kiwnął głową.

–Aby odnaleźć klucz Dnia Sądu Ostatecznego, musimy wykazać się taką samą wiedzą.

–Czyli co powinniśmy zrobić? – spytała Rachele.

–Musimy wykorzystać umieszczone na kopule gwiazdy i obliczyć nasze obecne współrzędne geograficzne – odparł Gray. – Podejrzewam, że to właśnie jest kod, którego szukamy...

–Może pan je obliczyć? – spytał Wallace.

–Spróbuję... – mruknął Gray i ponownie pochylił się nad podłogą.

Celtycki krzyż działał nieco inaczej niż sekstans, w którym do obliczenia szerokości i długości geograficznej wykorzystuje się lustra i odbicia światła.

–Potrzebuję jakiejś stałej... – powiedział po chwili Gray i popatrzył na nieboskłon z kryształowymi gwiazdami.

–Może Gwiazda Polarna? – podsunęła Seichan.

Kucnęła i wskazała grudkę kwarcu reprezentującą gwiazdę, którą od niezliczonych wieków wykorzystuje się w nawigacji.

W samochodzie mieli GPS i Gray doskonale pamiętał współrzędne Clairvaux.

SZER. 48°09'00" N DŁ.

04°47'00" E

Długość i szerokość geograficzną podaje się w godzinach, minutach i sekundach, a ich pomiar przypomina nieco pomiar czasu – również odbywa się w zamkniętym kręgu. Odpowiadało to liniom wyciętym na przymocowanym do krzyża ruchomym kole.

Obliczenie dokładnych współrzędnych miejsca, w którym się teraz znajdowali, zajęło Grayowi niecałą minutę.

Zapamiętał wynik i wstał.

Rachele wpatrywała się w niego pełnym nadziei wzrokiem.

Gray bardzo chciał spełnić tę nadzieję.

–Na wypadek gdybym się pomylił, najlepiej będzie, jeśli wszyscy schowacie się teraz do tunelu.

Ponownie podszedł do krzyża. Czuł się bardzo niepewnie i znowu ogarnęły go wątpliwości. Miał tylko jedną szansę. Jeśli się mylił, coś źle policzył lub niewłaściwie ustawi, teraz starożytny sekstans – wszyscy zginą.

Jeszcze raz przyjrzał się krzyżowi.

–Na pewno ci się uda – powiedział ktoś za jego plecami.

Spojrzał przez ramię – stała za nim Seichan. Pozostali ukryli się w tunelu.

–Zmykaj stąd! – warknął na nią.

–To może wymagać współpracy dwojga ludzi – odparła, ignorując jego polecenie. – Jedna osoba będzie musiała pochylać krzyż pod odpowiednim kątem, a druga obracać koło, żeby ustawić właściwą kombinację.

Miała rację. Poza tym wołał nie być w takiej chwili sam.

–Wobec tego bierzmy się do roboty – powiedział.

Znowu przykucnął, żeby móc popatrzeć przez wydrążoną poprzeczkę. „Jak teleskop”, pomyślał, powtarzając słowa Seichan, które wskazały mu właściwą drogę.

Nie zastanawiał się dłużej. Chwycił krzyż i pociągnął jego poprzeczne ramię w dół. Cała

konstrukcja się pochyliła i obróciła razem z półkolistą podstawą. Kiedy się zatrzymała, spod podłogi doleciał głośny metaliczny szczęk.

Kości zostały rzucone.

Gray przekręcił krzyż w taki sposób, aby jego poziome ramię wskazywało północ. Patrząc przez wydrążoną poprzeczkę, zaczął szukać właściwego punktu na sztucznym nieboskłonie. Seichan pomagała mu, oświetlając latarką grudkę kwarcu mającą przedstawiać Gwiazdę Polarną.

Odpowiednio ustawił krzyż, ale kiedy to zrobił, rozległ się głośny gong, który odbił się echem od ścian i kopuły pomieszczenia.

Co to mogło znaczyć?

Z sufitu oderwały się setki kamieni i poleciały na dół jak deszcz. Jeden z nich trafił Graya w ramię. Zaskoczony, omal nie wypuścił krzyża z rąk. Seichan zaklęła i przycisnęła dłoń do czoła. Spomiędzy jej palców pociekła strużka krwi.

Nadal jednak patrzyła w górę.

Gray podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Z otworów powstałych po wypadnięciu kamieni wysunęły się metalowe szpikulce i zaczęły powoli opuszczać ku podłodze. Jednocześnie na wlot do tunelu nasuwała się wielka kamienna płyta.

Nie mieli szans uciec – nie zdążyliby dobiec do wyjścia, zanim się całkowicie zamknie.

Pułapka była odwróceniem tego, co ich spotkało na wyspie Bardsey – tym razem nie mieli zostać zrzućeni na ostrza, ale nabici na nie od góry.

W każdym razie w obu przypadkach miała ich spotkać śmierć.

Obliczenia Graya okazały się błędne.

14 października, godz. 16. 04

Clairvaux, Francja

–Jesteś pewien, że to wysadzi drogę do tajnego przejścia? – spytała Krista. Przebijanie się trwało dłużej, niż oczekiwano. Po wykonaniu kolejnych obliczeń saper

postanowił wywiercić w wyrwie na krużganku więcej otworów, aby rozmieścić ładunki w szerszym promieniu.

Na pytanie Kristy odpowiedział jedynie wzruszeniem ramionami. Przebijakiem wykonywał właśnie ostatnie otwory. Obok niego leżały kostki C-4 czekające na ugniecenie i wepchnięcie do dziur.

Po chwili wymamrotał pod nosem coś po arabsku. Khattab natychmiast przetłumaczył Kriście jego słowa:

–Powiedział, że tak, jeśli Allah będzie sobie tego życzył.

Krista przycisnęła dłoń do kabury z pistoletem. Lepiej, żeby twój Allah sobie tego życzył, bo inaczej skończysz z dziurą w głowie, pomyślała.

–Ile to jeszcze potrwa?

–Dziesięć minut.

Krista miała ochotę krzyczeć, ale tylko się odwróciła i powoli odeszła.

Nad ich głowami przeleciał jeden z helikopterów. Kiedy łopaty wirnika zamieszały gęsty dym, na chwilę ukazało się słońce, zaraz jednak znowu zapadł ponury mrok. W powietrzu unosił się smród płonącego oleju i kordytu.

Zaterkotał karabin maszynowy helikoptera, który ostrzeliwał obrońców więzienia, próbujących przedrzeć się do zaatakowanej strefy. Słychać było głośnie komendy oraz wrzaski rannych. Walka była niezwykle zaciekła i brutalna. W pewnym momencie Krista zobaczyła, jak jeden z jej ludzi wlecze swojego postrzelonego kolegę do klasztoru. Ranny wił się z bólu i uciskał pięścią ranę na brzuchu.

Nie uda im się tu zbyt długo utrzymać.

Odwróciła się do Khattaba.

Uniósł osiem palców.

Wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić. Prawdopodobnie tyle jeszcze wytrzymają. Kiedy tunel zostanie otwarty, razem ze swoimi ludźmi zejdzie pod ziemię i zniszczy wszystko, co stanie jej na drodze.

Popatrzyła na leżącą u jej stóp walizkę.

Nic jej nie powstrzyma.

Godz. 16. 05

Seichan uspokajająco położyła Grayowi dłoń na ramieniu.

Odsunął się od krzyża, ale przez cały czas go trzymał. Widać było, o czym myśli – jego twarz poryły zmarszczki rozpaczy.

–Mam pociągnąć za dźwignię? – zapytał Kowalski.

Kłęcząc na ziemi i wyglądając przez coraz węższą szparę, jaką pozostawiała nasuwająca się na wejście do tunelu kamienna płyta.

–Nie – odparł Gray.

Reszta grupy była bezpieczna, bezpośrednio zagrożeni byli jedynie on i Seichan. Gdyby Kowalski pociągnął za dźwignię, prawdopodobnie mechanizm pułapki zostałby zablokowany, ale mogło to także spowodować otwarcie się tajnego wejścia – a wtedy ludzie Kristy Magnussen natychmiast wpadliby do tunelu.

Gray i Seichan mogli albo chronić swoich towarzyszy, albo próbować uratować się ich kosztem. Trzeciej możliwości nie było.

Jego decyzja była oczywista: postanowił chronić pozostałych. Jedyna nadzieja w tym, że napastnicy zostaną odpędzeni, zanim utworzą sobie drogę pod ziemię.

Szansa była niewielka, ale istniała.

Seichan znowu popatrzyła w górę i postanowiła powiedzieć Grayowi prawdę.

Żadne tajemnice nie mogły mieć w tej chwili znaczenia.

Nagle Gray odwrócił się do niej.

–A jeśli się nie pomyliłem? – zapytał.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

–Słucham?

–Trzymaj krzyż, kiedy będę przekręcał koło.

Zrobiła, co kazał.

–Może to wcale nie jest pułapka, ale czasomierz... Kiedy próbujesz wpisać kombinację, masz na to określony czas – powiedział, wskazując opadające z sufitu kolce.

–Żeby nie działać metodą prób i błędów?

–Właśnie.

Sięgnął po obciążoną linkę i poprawił ją, a potem przeciągnął palcami po przymocowanym do krzyża kole. Licząc nacięcia, poruszał wargami. Po chwili dotarł do właściwego miejsca.

–Zobaczmy... – szepnął.

Chwycił koło i zaczął je obracać. Kiedy wybrane miejsce znalazło się na tej samej wysokości co zwisająca w dół linka, wstrzymał oddech i zacisnął wargi.

Rozległ się identyczny gong jak poprzednio.

–Musi się udać...

Niestety, szpikulce nie tylko się nie zatrzymały, lecz nawet przyspieszyły opadanie.

–Gray! – krzyknęła Seichan.

Znowu zaczął liczyć, tym razem głośno:

–Osiem... siedem... sześć... pięć... cztery...

Kiedy dotarł do wyliczonego nacięcia, przytrzymał je palcem i zaczął obracać koło w przeciwną stronę.

Seichan uchyliła się przed opadającym prosto na jej twarz ostrzem. Zaraz potem oboje musieli uklęknąć. Seichan podpierała krzyż, a Gray obracał koło, trzymając krzyż drugą ręką.

Jeden z kolców zsunął się w dół ramienia dziewczyny, przecinając skórę.

Gray krzyknął, gdy kolejne ostrze wbiło mu się w grzbiet dłoni i zmusiło do puszczenia koła.

Seichan przesunęła się w bok, włożyła rękę między dwa kolce i złapała koło w innym miejscu.

–Powiedz mi, kiedy powinnam przestać kręcić... – wy-sapała.

Aby mieć lepszy chwyt, musiałyby się podnieść. Koło nie chciało się obracać. Seichan

przycisnęła bok twarzy do metalowego kolca. Po chwili przebił się przez policzek – krew wypełniła jej usta i spłynęła po szyi.

Koło nadal nie chciało się obracać.

Spanikowana Seichan próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Grayem, bo z kolcem wbitym w policzek nie mogła mówić. Kiedy na nią popatrzył, włożyła w swoje spojrzenie wszystkie przepełniające ją uczucia, obnażyła się, na chwilę przestała cokolwiek ukrywać.

Nawet to, co ukryła najgłębiej – w swoim sercu.

Oczy Graya rozszerzyły się, prawdopodobnie po raz pierwszy zobaczył, jaka jest naprawdę, dostrzegł to, co skrywało się pod fasadą. Wyciągnął rękę, dotknął jej nogi i powiedział coś, czego jeszcze nikt jej nie powiedział z pełnym przekonaniem:

–Ufam ci.

To, czego nie osiągnął ból, osiągnęły jego słowa. Spod powiek Seichan wypłynęły długo powstrzymywane łzy i potoczyły się po policzkach. Wcisnęła twarz w ostrze, wbijając je sobie jeszcze głębiej. Jej palce zacisnęły się mocniej na metalu. Pociągnęła za koło i tym razem się poruszyło.

Czas rozciągnął się jak ostrze brzytwy.

Seichan przeszył straszliwy ból – poczuła czubek metalowego szpikulca na języku.

Nie przestawała jednak kręcić.

–Stop! – krzyknął wreszcie Gray.

Puściła koło i opadła na ziemię, zsuwając się ze szpikulca, na który została nabita.

W oddali rozległ się trzeci gong.

Trzy spirale, trzy uderzenia gongu.

Pole widzenia Seichan było ograniczone do otoczonego czarnymi krawędziami prostokąta, ale dostrzegła, że szpikulce cofają się w stronę sufitu. Ponieważ leżała na podłodze, słyszała też zgrzyt obracających się pod nią wielkich zębatek.

Krzyż wyprostował się.

Gray natychmiast znalazł się przy niej, podniósł ją i położył sobie na kolanach. Owinęła się wokół niego – i objęła go mocno.

–Udało ci się... – wyszeptała.

–Zobacz, co się dzieje – powiedział Gray.

Uniosła głowę i rozejrzała się wokół.

Wszystkie trzy spirale na podłodze odwracały się spodem do góry. Po chwili ukazało się to, co przez stulecia było do nich przymocowane.

Trzy duże szklane kołyski, przytwierdzone do trzech obrotowych fragmentów podłogi.

Kiedy ruchome części podłogi się zatrzymały, dostrzegli, że w każdej z kołysek znajduje się ciało.

Nie były to kołyski, ale trumny na biegunach.

–Kolejny grobowiec... – mruknął Gray.

Płyta, która do tej pory zasłaniała wejście do tunelu, odsunęła się i czekający w nim ludzie wbiegli do wielkiego pomieszczenia.

–Udało się wam! – zawołał Wallace.

–Gray... – jęknęła Rachele.

Po jej twarzy spływały łzy. Musiała być przekonana, że Gray nie żyje. Na jej twarzy malowała się ulga połączona z przerażeniem, bo choć żył, cały był zalany krwią.

Seichan spróbowała wstać, okazało się jednak, że jest zbyt słaba.

Gray pomógł jej się podnieść, ale kiedy już stała, nadal ją podtrzymywał. Z jej zranionego policzka wciąż spływała krew, choć już nie tak obficie. Wallace podał jej chusteczkę, a ona zwinęła ją w kulkę i przycisnęła do twarzy.

Gray popatrzył na nią pytająco. Kiwnęła głową i postąpiła krok do przodu, opuszczając jego ramiona. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła, ale wiedziała, że tak musi być – to nie było jej miejsce.

Rachele szybko podeszła do Graya i pomogła mu zabandażować dłoni.

–To szklane trumny... – szepnął Wallace.

Gray zawiązał końce bandaża. Kiedy wskazał potrójny grobowiec, z jego palca skapnęła kropla krwi.

–Musimy wreszcie znaleźć ten klucz – powiedział.

Godz. 16. 08

Nie zastanawiał się długo, od czego powinien zacząć.

Zaprowadził wszystkich do szklanej trumny, która znacznie odbiegała wyglądem od pozostałych dwóch. Szkło pokrywała cienka warstwa kurzu, ale rysunki były wyraźnie widoczne. Promienie latarek natychmiast się na nich skupiły.

Szklane boki trumny były pocięte misternymi różnokolorowymi wzorami, a niemal całą powierzchnię wieka pokrywały zrobione z kawałków szkła i okruchów drogocennych kamieni miniaturowe ptaki, szakale, skrzydlate lwy, pszczoły, dłonie, oczy, pióra i geometryczne figury.

–Egipskie hieroglify... – szepnął z zachwytem Wallace.

Rachele była nie mniej oczarowana.

Doktor pochylił się nad wiekiem trumny.

–To bardzo stare pismo... wczesnoegipskie. Według mnie pochodzi z okresu Starego Państwa, czyli z trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. Musiano je skopiować z jakiejś oryginalnej steli nagrobnej. Może te hieroglify były kiedyś wyryte na sarkofagu z wyspy

Bardsey? Zanim je usunięto, jakiś mnich je przerysował, a potem wykonano ich kopie z barwionego szkła.

–Może pan je przetłumaczyć? – spytał Gray, mając nadzieję, że hieroglify zawierają jakąś wskazówkę, która doprowadzi ich do klucza.

Wallace przeciągnął palcem po zakurzonej powierzchni wieka trumny i zaczął odczytywać starożytną inskrypcję.

–Tu leży Meritaton, córka króla Echnatona i królowej Nefretete... która przepłynęła morza i przywiodła do tej zimnej krainy boga słońca... – Kiedy skończył, jego głos drżał tak samo jak dłonie. – Czarna królowa... egipska księżniczka...

–Czy to możliwe? – spytała Rachele.

Gray spoglądał na szklaną trumnę i myślał o opowieści starego pastora o wyspie Bardsey i czarowniku Merlinie, który według legendy został tam pochowany w szklanej trumnie. Czy to możliwe, żeby źródłem tej opowieści było to, na co właśnie patrzyli? Czyżby dotyczyła ona księżniczki Meritaton, której imię zostało przekręcone?

Zastanawiał się nad wojnami między Celtami a plemieniem czarnoskórych potworów – Fomorian – o której opowiadał ojciec Rye. Egipcjanie na pewno wydawaliby się Celtom dziwni i obcy. W dodatku Fomorianie posiadali ponoć ogromną wiedzę rolniczą – a przecież u żyjących nad Nilem Egipcjan rolnictwo stało na bardzo wysokim poziomie.

Wallace popatrzył na niego.

–Niektórzy historycy twierdzą, że starożytni budowniczości, którzy stawiali megality w Anglii, mogli być Egipcjanami – powiedział, jakby czytał w jego myślach. – Na neolitycznym cmentarzu w miejscowości Tara w Irlandii znaleziono ciało przystrojone ceramicznymi paciorkami, których produkcja nie była tam znana... paciorkami niemal identycznymi jak te znalezione w grobowcu Tutenchamona. W Anglii, niedaleko Hull, odkryto zakonserwowane w torfie wielkie łodzie. Miały taką samą konstrukcję jak łodzie budowane przez Egipcjan, w dodatku według archeologów pochodziły z tysiąc czterechsetnego roku przed naszą erą, więc nie mogły być łodziami wikingów, którzy przybyli do naszych wybrzeży znacznie później. Widziałem też w British Museum starożytny kamień wykopany przez walijskiego chłopca, na którym wyryty był rysunek przedstawiający człowieka w egipskim stroju i piramidy w tle. – Doktor pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. – A tutaj... mamy jednoznaczny dowód.

–No dobrze, a klucz? – przypomniała im Seichan, mocniej przyciskając do twarzy zakrwawiony opatrunek.

Przymocowane na zawiasach wieko szklanej trumny było zamknięte wykonaną z brązu klamrą. Musieli zakłócić egipskiej księżniczce spokój. Gray zdjął klamrę, podniósł wieko i odchylił je.

Z trumny wydobył się słodki, duszący smrodek.

–Mój Boże... – westchnęła Rachele.

Choć zwłoki były wyschnięte i zwietrzałe, zachowały się w zadziwiająco dobrym stanie. Zapadniętą twarz otaczały długie czarne włosy, czarna skóra była mocno napięta. Od stóp do szyi ciało było owinięte cienkim materiałem, a głowę zdobiła złota korona z egipskimi inkrustacjami z lazurytu.

Poza twarzą widoczne były tylko dłonie trzymające kamienne naczynie pokryte hieroglifami. Naczynie zamknięto złotą pokrywą w kształcie łba jastrzębia.

–Popatrzcie na jej prawą rękę – powiedziała Rachele.

Brakowało w niej palca wskazującego.

Wallace uważnie obejrzał kamienne naczynie.

–To urna kanopska – stwierdził. – Rytualne naczynie, w którym umieszczano wnętrzności, wyjęte z ciała przed jego zabalsamowaniem.

Musieli zajrzeć do środka, ponieważ we wszystkim, z czym się dotychczas spotkali, klucz Dnia Sądu Ostatecznego kojarzony był z ciałem czarnej królowej. Gray sięgnął do trumny i wyjął z

rak zmarłej ciężki kamienny pojemnik.

–Ja bym tego nie robił... – mruknął Kowalski i cofnął się o krok. – Nie ma mowy. To, co tam znajdziecie, na pewno jest przeklęte.

Albo jest lekiem, pomyślał Gray.

Prawdopodobnie posiadający wielką wiedzę rolniczą Egipcjanie odkryli jakiś rodzaj pasożyta grzybowego, który potrafił unicestwiać całe wioski. Ale czy odkryli także antygen?

Ścisnął mocniej naczynie, ujął jastrzębi łeb i podniósł pokrywkę. Nie mając pojęcia, czego oczekiwać', skulił się w środku.

Przekleństwo czy lekarstwo?

Wallace poświecił latarką.

Z naczynia wysypał się biały proszek, tak drobny, że wyglądał jak płyn. Skojarzenie ze świętym Bernardem, po którego modlitwach z piersi Czarnej Madonny trysnęło mleko, samo się nasuwało.

–To lek – oświadczył Gray. – Mamy klucz.

Wsypał proszek z powrotem do urny i zamknął ją szczelnie.

–Nie chcecie tego obejrzeć? – zapytała Seichan, stojąca przy jednej z dwóch pozostałych trumien, którą przed chwilą otworzyła.

Podeszli do niej.

Skierowała światło latarki do wnętrza trumny. Leżące w niej ciało było ubrane w prostą szatę z kapturem. Złożone dłonie trzymały małą, oprawioną w skórę książeczkę.

Seichan oświetliła twarz nieboszczyka, która wyglądała, jakby leżący w trumnie człowiek zmarł dopiero wczoraj. Skóra, choć lekko zapadnięta, była świeża i gładka, wargi czerwone, a oczy zamknięte jak we śnie. Ciemne włosy były uczesane i starannie przycięte nad czołem.

–W ogóle nie uległ zepsuciu – stwierdziła Seichan.

Rachele kiwnęła głową.

–Mówi się, że ciała świętych nie ulegają rozkładowi. To musi być święty Malachiasz... – popatrzyła na trzecią trumnę -... albo święty Bernard.

Wallace jednak najwyraźniej miał zupełnie inną teorię na temat stanu ciał. Spojrzał na naczynie, które trzymał Gray, a potem znowu na zmarłych.

–Do urn kanopskich nie zawsze wkładano zakonserwowane narządy – powiedział. – Czasami były w nich substancje używane do balsamowania: oleje, maści, proszki.

–Jeżeli substancja, którą nazywano kluczem, miała właściwości lecznicze i zwalczała niebezpieczne grzyby, musiała mieć właściwości przeciwgrzybiczne... i prawdopodobnie także przeciwbakteryjne – stwierdził Gray. Przyjrzał się uważnie twarzy zmarłego. – A ciało rozkładają przede wszystkim grzyby i bakterie. Jeśli zabalsamuje się taką substancją ciało i szczelnie zamknie trumnę, będzie niemal niezniszczalne.

Prawdopodobnie wyjaśniałoby to również niezwykłą długowieczność i doskonałe zdrowie mnichów z wyspy Bardsey – tak silny lek doskonale zabezpieczałby ich przed wszelkimi patogenami. Nic dziwnego, że wyspa była uważana za miejsce, w którym można wyleczyć każdą chorobę.

Wallace popatrzył na Graya.

–A więc klucz...

–Początkowo była to prawdopodobnie jedynie substancja używana do balsamowania. Może przywieziono ją z Egiptu albo odkryto w Europie. Tak czy owak, na pewno bardzo szybko dostrzeżono jej lecznicze właściwości. W tamtych czasach uzdrowienia tego typu lekiem musiano uważać za cud.

Doktor kiwnął głową.

–A w połączeniu ze śmiertelnośnym patogenem stanowił narzędzie niemal nieograniczonej władzy. Broń biologiczna i neutralizujący ją środek...

–Wiedza o tym została przekazana przez Egipcjan Celtom, a przez Celtów ówczesnemu Kościołowi, który zamknął ją w butelce i ukrył.

–Nie była to jedyna wiedza, ukryta w ten sposób. – Wallace odwrócił się w stronę celtyckiego krzyża. – Archeolodzy wciąż się zastanawiają, jak Egipcjanom udało się zbudować piramidy... Konieczne byłyby do tego bardzo precyzyjne narzędzia miernicze.

Gray jeszcze raz przyjrzał się krzyżowi. Czyżby używali czegoś takiego? Kiedy usłyszał, że Rachele westchnęła głośno, odwrócił się w jej stronę. Obie kobiety pochylały się nad trzecią trumną i właśnie otworzyły książkę, którą zmarły trzymał w dłoniach.

–Zobacz, tu jest nazwisko... – powiedziała Seichan. – Mael Maedóc.

–Święty Malachiasz – mruknęła Rachele i przerzuciła kilka kartek. – Ta książka to jego dziennik. Te liczby i zapiski po łacinie... – Spojrzała na Graya. – To oryginał jego proroctwa dotyczącego papieży. Ale tekstu jest znacznie więcej niż w kopiach, które uznano za fałszerstwo. Dziesiątki stron! Wygląda na to, że są tu setki innych proroctw, nigdy nie

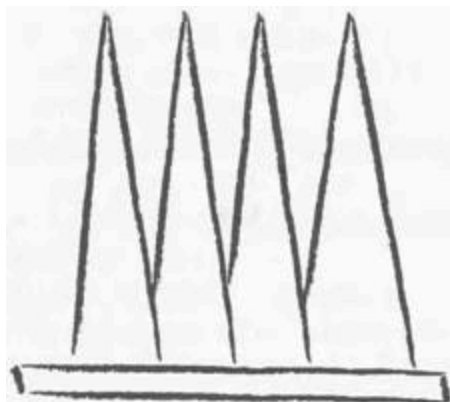
przekazanych światu przez Kościół!

Może to i dobrze, pomyślał Gray. Proroctwo dotyczące papieży i zapowiedź końca świata musiały bardzo przerazić Kościół, skoro zdecydowano się to wszystko tak głęboko ukryć.

Zanim Rachele zdążyła przeczytać coś więcej, Seichan wyjęła jej książkę z rąk i przewróciła kartki, wracając do pierwszej strony. Narysowano na niej egipski symbol. Kiedy pokazała go Grayowi, natychmiast go rozpoznał.

A więc to dlatego Gildia zachowywała się jak rozwścieczony rój os. Starożytna wiedza, zwłaszcza egipska, zawsze była ich *idée fixe*. Ojciec Giovanni musiał coś na ten temat powiedzieć i właśnie to wywołało zainteresowanie organizacji całą tą sprawą.

W milczeniu wpatrywał się w rysunek, którego znaczenie poznał, gdy po raz pierwszy miał do czynienia z Gildią – były to stożkowate symbole świętej potrawy.



Przedstawiały chleby pokładne, pokarm bogów. Dawano je faraonom, aby ich umysły stały się święte. Czyżby czarna królowa Meritaton przywiozła z Egiptu nie tylko cudowny środek do balsamowania, lecz także chleb pokładny? Czyżby Malachiasz miał do niego dostęp i doznał swoich wizji, kiedy go zjadł?

Nie było jednak czasu na takie rozważania, bo nagle nad ich głowami rozległ się huk eksplozji – znacznie głośniejszej niż poprzednia. Z tunelu wystrzeliły kłęby dymu i pyłu, wypełniając pomieszczenie, w którym się znajdowali.

–Przebili się – stwierdziła Seichan.

Gray odwrócił się do Kowalskiego.

–Bierz karabin i...

Zanim były marynarz zdążył się poruszyć, Wallace wyrwał mu broń z rąk, wycelował ją w swoich dotychczasowych towarzyszy i zaczął wycofywać się w stronę tunelu.

–Nie ruszać się! – warknął.

Z tunelu wybiegło sześciu żołnierzy, za którymi szła wysoka kobieta z sig sauerem w dłoni.

–Najwyższy czas, dziewczyno – powiedział Wallace.

14 października, godz. 16. 15 Clairvaux, Francja

Krista z zadowoleniem patrzyła na zdziwione twarze towarzyszy Graya, zwłaszcza Eurazjatki. Seichan wyglądała jak rozwścieczona wilczyca, ale to tylko jeszcze bardziej cieszyło Kristę. Ta chwila wynagradzała jej wszystko, co było wcześniej – prawie wszystko.

– Chyba nie sądziłaś, że jesteś moim jedynym argumentem? – zapytała. – Cóż warto jest zaufanie bez zabezpieczenia się?

Kiedy doktor podszedł do niej, dodała:

– Od początku stanowiliśmy z Wallace'em doskonały zespół. Od chwili gdy odkrył ten straszliwy grzyb. Ostrzegł nas też, że włoski ksiądz zamierza się wycofać i chce przekazać całą sprawę Watykanowi. Ojciec Giovanni powinien był zachować większą ostrożność w doborze ludzi, którym się zwierzał...

Roześmiała się cicho, po czym spojrzała na Wallace'a.

– Co z kluczem? – zapytała. – Jest tutaj? Doktor wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Oczywiście, przed chwilą go znaleźliśmy. Jest w tym kamiennym naczyniu, które trzyma komandor Grayson Pierce.

Gray cofnął się o krok.

– Mieliśmy przecież umowę... – powiedział. Ale Krista nie miała czasu na dyskusje.

– Khattab, zabierz mu to – poleciła swojemu zastępcy, celując z sig sauera do Rachele. Nie mając wyboru, Gray oddał kamienne naczynie potężnemu Murzynowi.

Na polecenie Kristy Khattab położył na podłodze metalową walizkę i wycofał się z urną.

Gray popatrzył na walizkę – domyślał się, co zawierała.

– To ładunek zapalający z kinetycznymi kulami ognia – oświadczyła Krista, potwierdzając jego podejrzenia. – Prosto z Chin. Pali się bardzo długo i nie pozostawia po sobie niczego.

– Przynajmniej weź ze sobą Rachele – poprosił Gray.

Krista pokręciła głową, ale mimo iż Grayson Pierce był jej wrogiem, poczuła dla niego coś w rodzaju szacunku i jednocześnie ogarnął ją smutek. Czy ktokolwiek poświęciłby się tak dla niej?

–Obawiam się, że nic dobrego by z tego nie wyniknęło – odparła z westchnieniem. – Nie byłam do końca szczerą. Na truciznę, którą Wallace przekazał Seichan, nie ma lekarstwa. Nie można powstrzymać jej działania. Podejrzewam, że *signorina* Verona już odczuwa jej działanie. Jeśli umrze tutaj razem z tobą, będzie to dla niej mniej bolesne i szybsze.

Rachele zamknęła oczy i wtuliła głowę w pierś Graya.

Krista popatrzyła na Khattaba.

–Ruszamy. Kiedy tylko stąd wyjdziemy, każ jednemu z naszych ludzi wysadzić wejście do tunelu.

Zrobiła tu wszystko, co miała do zrobienia.

Prawie.

Odwróciła się i wycelowała do doktora, którego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Pociągnęła za spust i strzeliła mu w brzuch. Westchnął, osunął się na podłogę i usiadł, podpierając się jedną ręką.

Jego twarz wykrzywił ból.

–Nie wiesz, co robisz... – wymamrotał.

Wzruszyła ramionami i przesunęła pistolet, celując mu w głowę.

–Jestem Eszelon – dodał.

Zawahała się. Czy to możliwe? Tylko kilka osób na świecie znało tę nazwę.

Nie była pewna, czy doktor blefuje, czy mówi prawdę, ale jedno wiedziała: aby w Gildii można było awansować, musiało się zwolnić miejsce na jej szczycie.

Pociągnęła za spust.

Głowa doktora odskoczyła do tyłu i zaraz potem poleciała do przodu. Martwe ciało zważyło się bezwładnie na podłogę.

Krista Magnussen ruszyła w stronę tunelu. Nie spodziewała się żadnych nieprzyjemnych reperkusji – przecież kazano jej wszystkich zabić.

Wszystkich.

–Wychodzimy – powiedziała do swojego zastępcy.

Khattab ruszył za nią, trzymając kamienną urnę pod pachą. Szli w stronę słonecznego światła,

od którego dzieliła ich jedynie sterta gruzu, tylko tyle pozostało z krużganka po wysadzeniu przejścia.

Krista zamierzała opuścić to przeklęte miejsce zaraz po wyjściu na powierzchnię. Na terenie więzienia robiło się zbyt gorąco. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy wystrzałów.

Wyszła za swoimi ludźmi na górę, na jaskrawe słońce. Potrzebowała chwili, aby zauważyć, że strzelanina się nasiliła. Dostrzegła niebezpieczeństwo dopiero wtedy, gdy Khattab nagle przyklął, a potem przewrócił się na bok.

Nie miał połowy twarzy. Kamienna urna wypadła mu z martwych rąk i odtoczyła się na bok, na rozświetlony trawnik.

Krista kątem oka dostrzegła, że idzie na nią ława żołnierzy, i szybko ukryła się za najbliższą kolumną.

Front dotarł do ruin starego opactwa.

W górze jeden z helikopterów eksplodował w kuli ognia i dymu, zawirował jak bąk i grzmotnął o ziemię.

Serce Kristy zabiło mocniej.

Co się działo?

Po chwili zobaczyła, kto do nich strzela, kto zaatakował jej ludzi. Żołnierze we francuskich mundurach. Zauważyła także, kto ich prowadził.

Nie możliwe...

Przeklęty Indianin!

Painter Crowe!

Serce waliło jej jak młot – nie ze strachu, lecz z wściekłości.

Sięgnęła do kieszeni i wcisnęła przycisk nadajnika. Ziemia pod jej stopami tapnęła i rozległ się głośny wybuch, a z dziury wystrzeliła kolumna dymu.

Nie będzie ratunku dla ludzi tego drania.

Korzystając z zamieszania i kłębiącego się wokół niej dymu, wycofała się. Nie miała jednak złudzeń – zostali otoczeni i wszystko było stracone. Pozostało jej tylko wykonanie ostatniego zadania. Przed opuszczeniem Norwegii coś sobie obiecała i zamierzała tej obietnicy dotrzymać.

Godz. 16. 20

Strzelanina urwała się tak samo nagle, jak się zaczęła.

Painter i prowadzonych przez niego żołnierzy zaskoczyło nagle pojawienie się grupki ludzi wroga, którzy nie zauważyli wylotu tunelu ukrytego w cieniu wysadzonego fragmentu klasztoru.

Szybko się jednak z nimi rozprawiono.

Francuscy' żołnierze rozsypali się po ogrodzie z karabinami gotowymi do strzału.

Painter pozostał nieco w tyle i rozejrzał się.

Gdzie jest Gray i jego towarzysze?

Krużgankiem szedł w jego stronę Monk z dymiącym karabinem w ręku. Miał ponurą twarz, niepokoił się o swoich przyjaciół.

Jedynym ostrzeżeniem była nieznaczna zmiana kształtu cienia padającego na ziemię.

W wąskich drzwiach po prawej stronie Paintera pojawiła się kobieta z pistoletem w ręku, wycelowanym w jego pierś.

Strzeliła cztery razy.

Odgłosy wystrzałów przypominały trzaski piorunów.

Tylko jeden pocisk musnął bark Paintera, bo gdy kobieta zaczęła pociągać za spust, dyrektor Sigmy został odepchnięty na bok.

Opadł na jedno kolano i z rozpaczą patrzył, jak uderzające w Johna Creeda pociski wyrzucają go na ogród.

Po chwili chłopak przewrócił się na plecy.

Kobieta krzyknęła coś i ruszyła w stronę Paintera. Kiedy zaczęła przesuwając pistolet, by wycelować w jego głowę, skoczył na nią. Podczas skoku wyciągnął z buta nóż i wbił go napastniczce głęboko w brzuch.

Zignorowała ból i przystawiła mu lufę do szyi. Jej oczy mówiły, że nic jej nie powstrzyma – nawet śmiertelne ostrze w brzuchu.

–Chyba ta broń należy do pani – wycedził Painter i wcisnął przycisk na rękojeści noża.

W głąb ciała kobiety wystrzelił sprężony gaz, który w ułamku sekundy zamroził i zamienił w proszek jej narządy wewnętrzne.

Painter odepchnął ją od siebie. Usta kobiety rozciągnęły się w niemym krzyku i po chwili jej ciało zwiotczało.

Krista Magnussen nie żyła.

Monk biegł wielkimi susami do ogrodu.

–Creed! – krzyknął.

Painter ruszył za nim.

Chłopak leżał na plecach, z jego ust wypływała krew, a z trzech ran na piersi wydobywała się czerwona piana. Miał rozszerzone strachem oczy, czuł, że umiera.

Monk ukląkł obok niego, zerwał z siebie kurtkę i zaczął ją zwijać, aby założyć ucisk.

–Trzymaj się! – wysapał.

Wiedzieli jednak, że nic już nie da się zrobić. Na ziemi wokół rannego rozlała się wielka kałuża krwi. Musiał dostać pociskami półpłaszczowymi, deformującymi się w ciele.

Creed poszukał na ślepo dłoni przyjaciela i złapał ją z całej siły. Monk przykrył jego rękę swoją protetyczną dłonią.

–John...

Pierś chłopaka uniosła się i opadła po raz ostatni i jego dłoń wyslizgnęła się z trzymającej ją ręki. Monk chciał ją ponownie złapać i ścisnąć, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc, lecz oczy Creeda zrobiły się szkliste.

–Nie... – jęknął Monk.

Painter zamierzał się pochylić, by go jakoś pocieszyć, ale nagle usłyszał jakiś nowy dźwięk. Odwrócił się w jego stronę i przykucnął, bo dziwny dźwięk dobiegał z dymiącej dziury w ziemi.

Po chwili zobaczył wychodzącą z niej grupę kaszlących i potykających się ludzi.

Jeden z nich rozejrzał się, po czym chwiejnym krokiem ruszył w jego stronę.

–Gray...

Godz. 16. 22

Mieli do dyspozycji zaledwie kilka sekund.

Gray wiedział, że Krista Magnussen zdetonuje chiński ładunek zapalający, gdy tylko znajdzie

się na powierzchni, kiedy więc ostami żołnierz zniknął w tunelu, natychmiast podbiegł do celtyckiego krzyża i obrócił znajdujące się na nim koło. Podejrzał, że mnisi musieli zainstalować jakiś mechanizm służący do opuszczania trumien.

Obróć kołem, a obrócisz podłogę.

Tym razem się nie pomylił – trumny zaczęły wracać na dół, a metalowe spirale na górę.

Gdy trzy fragmenty podłogi się obracały, krzyknął do Kowalskiego, żeby zrzucił do podziemi walizkę z ładunkiem zapalającym. Nie był pewien, czy zamykająca się podłoga wytrzyma impet wybuchu, ale nie mieli wyboru.

Były marynarz błyskawicznie wykonał jego polecenie, a potem wszyscy pobiegli pod ściany i padli płasko na podłogę.

Kiedy nastąpił wybuch, ruchome fragmenty podskoczyły, zatańczyły na wydobywających się z dołu płomieniach i z hurgotem opadły na swoje miejsca. Natychmiast zrobiło się gorąco jak w piecu. Dusił ich dym, ale jego większa część od razu została wyszana tunelem.

Największym zagrożeniem był szalejący na dole pożar.

Bijący spod podłogi żar był tak silny, że po chwili jedna z brązowych spiral również zaczęła się żarzyć.

Gray krzyknął, żeby wszyscy wycofali się do tunelu.

Skuleni w ciasnej przestrzeni słuchali strzelaniny na górze, ale nagle została przerwana.

Nie wiadomo było, co się dzieje.

Usłyszeli jeszcze kilka kolejnych strzałów i ktoś krzyknął. Kiedy Gray poznał ten głos, poczuł, że zalewa go fala ulgi.

Monk.

Poprowadził wszystkich w górę tunelu i po chwili znaleźli się na zewnątrz. Wszędzie leżały nieruchome ciała. Natychmiast otoczyli ich francuscy żołnierze.

Gray zrobił dwa chwiejne kroki w stronę ogrodu.

–To nasi! – zawołał Painter Crowe.

Gray nie bardzo mógł zrozumieć, co tu robi jego szef i skąd się wziął, ale musiał poczekać na wyjaśnienia. Rozejrzał się i dostrzegł leżące pod krzakiem znajome kamienne naczynie ze złotą pokrywką.

Urna kanopska.

Podbiegł do niej, ukląkł i ostrożnie podniósł.

Jej pokrywka była nienaruszona.

Podszedł do niego Painter.

–To klucz Dnia Sądu Ostatecznego – wyjaśnił Gray.

–Pilnuj go – powiedział Painter Crowe i odwrócił się do pozostałych.

Najwyraźniej wcale nie był zaskoczony obecnością Seichan.

Dziewczyna popatrzyła mu w oczy i pokręciła głową.

–Musieliśmy spróbować – powiedział tajemniczo.

–Mimo to się nie udało. Od początku ostrzegałam, że Gildia nigdy znowu w pełni mi nie zaufa.

– Odwróciła się i rozejrzała po ogrodzie. – A ja nie powinnam była ufać jej.

Otumaniona gorączką Rachele stała nieruchomo, wpatrując się w niebo. Ocaleli, ona jednak w dalszym ciągu tkwiła w pułapce.

Drżały jej nogi.

Ciężkie przeżycia minionych dni i nieustanny stres doprowadziły ją do kresu wytrzymałości.

Po chwili jej ciało zwiotczało i osunęła się na ziemię.

Godz. 22. 32

Troyes, Francja

Kilka godzin później Gray siedział na ławce w korytarzu oddziału szpitalnego, obok sali, w której leżała Rachele. Byli przy niej Monk i francuski internista. Dziewczynę podłączono do kroplówki i napompowano antybiotykami. Nic już jej nie groziło, ale mało brakowało, a sytuacja stałaby się krytyczna. Kiedy po wyjściu z tunelu zemdląła, wojsko natychmiast przewiozło ją helikopterem do szpitala w Troyes.

Na szczęście odzyskała już przytomność.

Gray pomacał bandaż na swojej głowie. Oczyszczono mu rany, zaszyto je i opatrzone, nadal jednak nie czuł się najlepiej.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi i ze swojej sali wyszła Seichan. Miała na sobie

szpitalną koszulę, a w ręku trzymała paczkę papierosów. Popatrzyła w głąb korytarza, najwyraźniej się zastanawiając, czy może zaryzykować zapalenie papierosa. Kiedy odwróciła się i zobaczyła Graya, zamarła.

Sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Jej sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Wkrótce zacznie jej szukać Gildia, a w Stanach nadal ścigano ją listem gończym. Painter Crowe musiał wykorzystać wszystkie swoje talenty, aby ukryć miejsce jej pobytu. Zresztą Gray też był poszukiwany.

Nie mogli się jednak wiecznie ukrywać.

Żadne z nich.

Gray poklepał miejsce obok siebie.

Seichan prawie przez minutę stała bez ruchu. W końcu podeszła do niego, ale nie usiadła. Zauważył, że ma obandażowaną twarz i lekko zamglone od morfiny oczy. Stała ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i patrzyła na drzwi prowadzące do sali Rachele.

–Nie zatrulałam jej – powiedziała chrapliwym szeptem. Po zabiegu, jaki przeszła, właściwie w ogóle nie powinna mówić, najwyraźniej jednak musiała wyrzucić z siebie to, co leżało jej na sercu.

–Wiem – odparł Gray. – Dostała obustronnego zapalenia płuc. Zbyt wiele czasu spędzonego na deszczu, zimno i nieustanny stres...

Seichan opadła na ławkę.

Painter wyjaśnił Grayowi, na czym polegał jego plan. Przed miesiącem skontaktował się z Seichan, którą wysledził dzięki implantowi. Wcale nie odkryła go sama – a kiedy jej w końcu o nim powiedział, była zszokowana i wściekła. Dał jej jednak szansę – zaproponował współpracę, przekonał, że powinna podjąć jeszcze jedną próbę zinfiltrowania Gildii. Dowiedział się, że wydano rozkaz sprowadzenia jej na przesłuchanie, i postanowił to wykorzystać, by nakłonić ją do współpracy. Zdawał sobie sprawę, że tylko dzięki niej może odkryć, kto kieruje organizacją.

Seichan zgodziła się, musiała jednak poczekać na pojawienie się odpowiedniego zadania, które pozwoliłoby jej wykazać się przed Gildią i odzyskać jej zaufanie. Nie przypuszczała, że doprowadzi to do starcia z Grayem, ale kiedy się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

–Kazano mi przez cały czas podtrzymywać kamuflaż – powiedziała, mając na myśli zarówno „zatrucie” Rachele, jak i swoje wcześniejsze zachowanie. – W Hawkshead częstowałam ją herbatą ze swojego termosu, ale wcześniej zniszczyłam biotoksynę, która w niej była. Musiałam udawać, że ją truję, bo wiedziałam, że ludzie z Gildii obserwują każdy nasz ruch. Mój telefon był na podsłuchu. Poza tym od początku miałam pewne podejrzenia co do Wallace'a Boyle'a...

Gray przypuszczał, że wywołała je paranoja Seichan, jednak tym razem okazały się uzasadnione.

–Kiedy dotarliśmy do Francji i musieliśmy się rozdzielić, miałam okazję odłączyć się od Wallace'a i ukraść telefon. A gdy potem zabiłam w lesie nasłanych na mnie przez Gildię skrytobójców...

–... zadzwoniłaś do Paintera – dokończył za nią Gray. – Wiedziałaś już, że jesteś spalona, i powiedziałaś mu o tym.

Kiwnęła głową.

–Musiałam to zrobić. Potrzebowaliśmy pomocy.

–To prawda...

Podczas rozmowy telefonicznej Painter poprosił ją, aby mimo wszystko nadal udawała sojusznika Gildii. Jeszcze nie było wiadomo, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Wallace, a na Środkowym Zachodzie wciąż wzrastała liczba ofiar i świat bardzo potrzebował antidotum – nawet jeśli oznaczało to podpisanie paktu z diabłem.

Zapadła niezręczna cisza.

Seichan miętosła w palcach paczkę papierosów i sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie.

W końcu Gray postanowił poruszyć sprawę, którą próbował wyjaśnić już dawno temu.

–Kiedyś powiedziałaś mi, że tak naprawdę pracujesz jako podwójna agentka... przeciwko Gildii. To była prawda?

Seichan wbiła wzrok w podłogę, a kiedy po chwili podniosła głowę, w jej oczach pojawiła się nagle twardość.

–Czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? – zapytała.

Gray próbował dotrzeć do jej myśli, ale twarz Seichan była nieprzeniknioną ścianą. W przeszłości, kiedy ich ścieżki się krzyżowały, kilka razy mu pomogła. Jej metody były brutalne – ale czy miał prawo ją osądzać? Nie tkwił w jej skórze. Samotność Seichan, jej nieustanna walka o przetrwanie i to, w jaki sposób była wykorzystywana wykraczało poza granice jego zrozumienia.

Skrzypnięcie drzwi uwolniło go od konieczności udzielenia odpowiedzi. Na korytarz wyszedł Monk, a za nim lekarz. Obaj mężczyźni popatrzyli na Graya i Seichan. Panujące między nimi napięcie musiało przypominać lodowaty front pogody.

Monk machnął ręką internście, po czym wskazał drzwi sali, w której leżała Rachele.

–Jest zmęczona, ale można wejść do niej na kilka minut... tylko na kilka. Nie wiem, czy wiesz, że jej wuj obudził się ze śpiączki. Dziś rano. Ta wiadomość bardzo dobrze jej zrobiła.

Gray wstał z ławki.

Seichan również się podniosła, lecz skierowała się w stronę swojej sali.

Gray zatrzymał ją, dotykając lekko jej ramienia.

–Czemu nie chcesz wejść ze mną do Rachele? – zapytał.

Nie odwróciła się, jednak on nie ustępował.

–Jesteś jej to winna – powiedział. – Kazałaś jej przejść przez piekło. Po prostu z nią porozmawiaj.

Seichan westchnęła i najwyraźniej uznając to za zasłużoną karę, dała się poprowadzić do drzwi sali i weszła do środka.

Rachele siedziała na łóżku. Kiedy ujrzała Graya, uśmiechnęła się, jednak gdy zobaczyła, kto za nim wchodzi, w jej oczach błysnęła złość.

–Jak się czujesz? – zapytał Gray.

–No cóż, nie zostałam otruta.

Seichan przyjęła to bez komentarza i usiadła na krześle stojącym obok łóżka.

Rachele odsunęła się od niej.

Seichan położyła dłoń na poręczy łóżka. Nie odzywała się, pozwalając, aby milcząca wściekłość Rachele spływała na nią. Po kilku minutach chora opadła na poduszkę.

Dopiero wtedy Seichan się odezwała.

–Przepraszam – powiedziała po prostu.

Gray czuł, że obu kobietom było to bardzo potrzebne – Seichan musiała to wreszcie powiedzieć, a Rachele usłyszeć. Po przeprosinach obie kobiety zaczęły rozmawiać – cicho, z wahaniem. Gray wycofał się do drzwi. Wiedział, że nie powinien być obecny przy tej rozmowie.

Kiedy wyszedł na korytarz, zobaczył, że na ławce siedzi Monk. Usiadł obok niego. Zauważył, że przyjaciel trzyma w dłoni telefon.

–Rozmawiałeś z Kat? – zapytał.

Monk kiwnął głową.

–Ciągłe jest na ciebie wściekła, że się narażałeś?

Monk bez słowa ponownie kiwnął głową.

Milczeli przez kilkanaście sekund.

–Wszystko w porządku? – spytał w końcu Gray.

Minęło kolejnych kilkanaście sekund, zanim Monk się odezwał. Jego głos brzmiał spokojnie, jednak Gray wyczuwał w nim ogromny ból.

–Był dobrym chłopakiem. Powinienem lepiej go pilnować.

–Nie mogłeś przecież...

–Wybacz, ale nie wiem, czy chcę o tym w tej chwili rozmawiać.

Gray nie zamierzał naciskać. Siedzieli w milczeniu, każdemu z nich wystarczało samo towarzystwo drugiego.

Pół godziny później w głębi korytarza rozległo się znajome gwizdanie i zjawił się Kowalski. Jakimś sposobem udało mu się przetrwać wszystko cało, jednak ze względów bezpieczeństwa nie wolno mu było opuszczać szpitala.

Trzymał coś w ręku, ale kiedy ujrzał Graya i Monka, szybko schował to za plecami.

–Przyniosłeś Rachele prezent? – spytał Gray, gdy były marynarz podszedł bliżej.

Przyłapany na gorącym uczynku olbrzym wyciągnął zza pleców misia. Pluszak był bielutki jak śnieg i miał na sobie strój pielęgniarki. Kowalski popatrzył na drzwi sali Rachele, a potem na Graya, i wyciągnął do niego rękę z misiem.

Gray wziął od niego białą przytulankę.

–Oczywiście, dam go jej – powiedział.

Kowalski odszedł ciężkim krokiem. Nie gwizdał już.

–Co to miało znaczyć? – spytał zdziwiony Monk.

–Nie wiem, czy chcę o tym w tej chwili rozmawiać.

23 października, godz. 10. 14

Waszyngton

Spotkali się wszyscy w gabinecie senatora Gormana na Kapitolu.

Painter zajął miejsce obok generała Metcalfa, a po jego drugiej stronie usiadła – krzyżując nogi – doktor Lisa Cummings.

Czubek jej buta lekko musnął nogawkę Paintera. Nie było to przypadkowe muśnięcie. Oboje długo się nie widzieli, a od swojego powrotu z urlopu Lisa była bardzo zajęta i często musiała latać na Środkowy Zachód, gdzie próbowano opanować kryzys medyczny.

Metcalf odczytywał im właśnie raport dotyczący produkcji nowej substancji przeciwgrzybiczej, ale Painter słuchał go jednym uchem, ponieważ już go znał.

Obserwował w szybie za plecami senatora odbicie swojej przyjaciółki. Lisa związała dziś włosy w wysoki kok i założyła konserwatywny garnitur. Wyobrażał sobie, jak rozplątuje jej kok i rozpina bluzkę.

–Opryskujemy tą substancją wszystkie pola, łącznie ze strefą bezpieczeństwa o szerokości dwudziestu kilometrów wokół każdego z nich – mówił Metcalf. – Agencja Ochrony Środowiska współpracuje z Gwardią Narodową, badając próbki flory w promieniu kolejnych pięćdziesięciu kilometrów.

Senator Gorman kiwnął głową.

–Wszystkie zagrożone pola zostały już oczyszczone i opryskane – powiedział. – Teraz możemy tylko mieć nadzieję, że udało nam się zgasić pożar na czas.

–Jeśli nie, jesteśmy przygotowani do dalszych działań – oświadczyła Lisa. – Wstępne badania wypadły pozytywnie, z minimalnymi niepożądanymi reakcjami. Ludzie, którzy zostali zakażeni wcześniej, również dobrze zareagowali. Będzie to nowy impuls dla medycyny. Mamy mnóstwo antybiotyków, ale nasz arsenał środków przeciwgrzybiczych, zwłaszcza stosowanych w przypadku zakażeń systemicznych, był do tej pory ograniczony i obciążony dużym ryzykiem. Mając do dyspozycji nowy związek...

–W dodatku za darmo – wtrącił Painter.

–... będziemy mogli zatrzymać tę katastrofę – zakończyła Lisa.

–Jeśli już mówimy o tym leku „za darmo”, to chciałem wam powiedzieć, że po wizycie w produkującej go fabryce Viatusa odwiedziłem Ivara Karlsena... – wtrącił senator Gorman.

Karlsen siedział w norweskim areszcie i czekał na proces, ale przez cały czas nadzorował z celi działania Viatusa. W ramach częściowej rekompensaty za swoje winy podporządkował całą biotechnologiczną infrastrukturę firmy wytwarzaniu leczniczego składnika i natychmiast rozpoczęto jego masową produkcję.

Lisa wyjaśniła Painterowi, że otrzymywano go z występującego w strefie subsaharyjskiej porostu. Atakował jedynie znajdujący się w membranach komórek grzyba sterol, dzięki czemu był bardzo skuteczny i bezpieczny.

Jednak Paintera nie interesowały szczegóły, liczyło się tylko to, że środek działa.

–Powinniście państwo zobaczyć celę Karlsena – powiedział Gorman. – Wygląda jak apartament w Ritzu.

–Być może, ale w najbliższym czasie nie będzie się mógł wymeldować – stwierdził Painter. – A może nawet w ogóle, bo przecież nie jest już najmłodszy...

–Jeśli nie mają państwo pytań – powiedział Metcalf i wstał – to chciałbym się pożegnać, bo muszę jeszcze załatwić parę spraw w kwaterze głównej DARPA.

Gorman również się podniósł i podał mu rękę.

–Jestem pańskim dłużnikiem i gdybym mógł w czymkolwiek pomóc... – Było to skierowane do Metcalfa, ale kiedy Gorman to mówił, spojrzał na Paintera Crowe'a.

Po wydarzeniach w Norwegii musieli ujawnić istnienie Sigmy, bo gdyby senator zaczął drążyć i szukać wyjaśnień, nikomu nie wyszłoby to na dobre. Zresztą to, że wiedział o nich, dawało im silnego sojusznika na Kapitolu. Painter zauważył już zmianę postawy różnych amerykańskich agencji wywiadowczych w stosunku do Sigmy. Zbierające się u ich drzwi wilki zostały wycofane i Painter mógł zająć się zabezpieczeniem kierowanej przez siebie organizacji.

A było jasne, że niebawem może się to okazać bardzo potrzebne.

Gildia nie odpuści i na pewno wkrótce zaatakuje.

Po opuszczeniu sali konferencyjnej Painter i Lisa dołączyli do Metcalfa. Painter wciąż jeszcze nie uzyskał od niego potwierdzenia w pewnej bardzo delikatnej sprawie.

–Generale... – zaczął.

–Ta kobieta jest pańskim problemem – przerwał mu Metcalf. – Nie mogę odwołać rozkazu jej zatrzymania, ma zbyt ściśle powiązania z tym, co się teraz dzieje na świecie... Musi nadal się ukrywać. Sądzi pan, że może nam się jeszcze przydać?

–Myślę, że tak.

–No dobrze. Ale sam pan musi sobie z tym poradzić.

Nie ma to jak entuzjastyczne wsparcie, pomyślał Painter.

Kiedy Metcalf pożegnał się z nimi i ruszył na kolejne spotkanie, dyrektor Sigmy wyszedł razem z Lisą na poranne słońce.

Spojrzał na zegarek. Pogrzeb zaczynał się za godzinę. Miał czas jedynie na prysznic i zmianę ubrania. Choć był piękny, słoneczny dzień, jego duszę przepełniał smutek. John Creed zginął, ratując mu życie. Painter często wysyłał ludzi na niebezpieczne akcje i musiał wyrobić w sobie pewną twardość. Był to jedyny sposób zachowania zdrowia psychicznego i zdolności podejmowania decyzji.

Ale tym razem nie potrafił być twardy.

Nie w przypadku Johna Creeda.

Lisa ujęła go za rękę i przytuliła się do jego ramienia.

–To przejdzie – powiedziała.

Miała oczywiście rację, jednak to wcale nie poprawiało mu samopoczucia. „Przechodzenie” oznaczało zapominanie, a on nie zamierzał zapomnieć o poświęceniu Johna Creeda.

Godz. 15. 33

Monk i Kat trzymali się za ręce i powoli szli ścieżką biegnącą po wzgórzach cmentarza Arlington. Jesienny dzień był bardzo piękny, a potężne dęby wyglądały, jakby płonęły. Pogrzeb zakończył się godzinę temu, ale Monk nie chciał jeszcze odejść.

Kat doskonale rozumiała męża.

Zjawili się wszyscy, nawet Rachele przyleciała z Rzymu. Miała wracać następnego dnia – nie chciała zbyt długo zostawiać wuja samego. Vigor dopiero przed dwoma dniami wyszedł ze szpitala, lecz na szczęście szybko wracał do zdrowia.

Idąc wolnym krokiem, Monk i Kat zatoczyli koło i dotarli do miejsca, z którego wyruszyli. Grób Johna Creeda znajdował się na szczycie małego pagórka, pod krzakiem derenia. Jego gałęzie były już nagie i wyglądały na tle błękitnego nieba jak szkielety, ale kiedy nadejdzie wiosna, pokryją się żółtymi kwiatami.

To było dobre miejsce.

Monk miał nadzieję, że wszyscy już sobie poszli, chciał choć przez chwilę być przy grobie tylko z Kat, zobaczył jednak, że ktoś ciągle jeszcze tam klęczy.

Zatrzymali się.

Był to młody człowiek w mundurze marynarki wojennej. Monk przypominał go sobie z pogrzebu – siedział tak samo sztywno jak wszyscy inni. Ale najwyraźniej on również potrzebował dodatkowej chwili na pożegnanie.

Kat zacisnęła palce na dłoni męża. Kiedy się do niej odwrócił, pokręciła głową i odciągnęła go na bok. Popatrzył na nią pytająco.

–To partner Johna – wyjaśniła.

Było oczywiste, że nie ma na myśli partnerstwa w interesach. Monk przypomniał sobie swoją rozmowę z Creedem, podczas której go zapytał, czemu po dwóch turach w Iraku zwolniono go ze służby. Chłopak odpowiedział wtedy dwoma słowami: „Nie pytaj”.

Monk sądził wtedy, że chodzi o to, aby nie był zbyt ciekawy, ale to była odpowiedź.

Nie pytaj, nic nie mów.

Kat odciągnęła Monka od grobu, aby nie przeszkadzać młodemu mężczyźnie.

–Cały czas jest w armii – powiedziała.

Monk ruszył za nią. Rozumiał teraz, dlaczego w czasie pogrzebu ten młody człowiek zachowywał się tak sztywno. Chciał zachować swój ból dla siebie. Mógł się pożegnać tylko w samotności.

Kat przytuliła się do męża, a on objął ją mocno. Każde z nich wiedziało, o czym myśli drugie. Nie chcieliby się w ten sposób żegnać.

Godz. 21. 55

Gray stał pod prysznicem. Miał zamknięte oczy i słuchał, jak w ścianach grają rury. Wiedział, że zaraz zabraknie ciepłej wody.

Nie poruszał się jednak, chciał jak najdłużej rozkoszować się parą i gorącem. Rozciągał grzły mięśni i masował je. Spędził trochę czasu na siłowni i teraz za to płacił. Po ciężkich przeżyciach minionych dni powinien być nieco ostrożniejszy – dopiero dwa dni temu zdjęto mu szwy z ręki.

Rury zadygotały po raz ostami i woda zrobiła się zimna. Gray zakręcił kran, sięgnął po ręcznik i wytarł się.

Krótki zimny prysznic przypominał mu wyspę Bardsey. Rano rozmawiał z ojcem Rye – chciał się upewnić, czy Rufus będzie mógł u niego zostać jako kościelny pies. Chciał też sprawdzić, czy Owen Bryce dostał pieniądze na naprawę promu, który mu ukradli i nieco poobijali.

Wypytał także pastora o czarne królowe i Czarne Madonny. Ojciec Rye sporo wiedział na ten temat i zasugerował – zresztą zgodnie z tym, co o tym sądzili niektórzy historycy – że kult Czarnej Madonny może mieć korzenie w kulcie bogini Izydy, w mitologii egipskiej władczyni nieba i ziemi, jednej z wcieleń Wielkiej Macierzy.

A więc znowu pojawiał się wątek egipski.

Jednak w wyniku eksplozji wszelkie dowody zostały zniszczone: szklane trumny i ciała – oraz przepowiednie Malachiasza.

Wszystko zniknęło.

Być może tak było lepiej. Przyszłość nie powinna być znana.

Proroctwo dotyczące papieży kończyło się dość tajemniczo i niejasno. Malachiasz ponumerował wszystkich papieży na swojej liście z wyjątkiem ostatniego – miał to być *Petrus Romanus*, świadek końca świata. Ten „apokaliptyczny” papież nie otrzymał numeru.

–Niektórzy uczeni uważają, że oznacza to, iż między obecnym papieżem a ostatnim będą jeszcze inni – powiedział Vigor. – A to sugerowałoby, że świat potrwa nieco dłużej.

Gray również miał taką nadzieję.

Kiedy był już całkiem suchy, owinął wokół bioder ręcznik i poszedł do sypialni.

Okazało się, że nie jest sam.

–Zdawało mi się, że chciałaś już iść...

Rachele leżała w pościeli, jej jedna długa noga była odsłonięta aż po biodro. Przeciągnęła się jak lwica i uniosła rękę nad głowę, odsłaniając kawałek piersi. Po chwili opuściła rękę, jednocześnie podnosząc kołdrę. Jej ciało skrywała płatanina materiału, ale zaproszenie było jednoznaczne.

–Znowu? – zdziwił się Gray.

Uniosła lekko brwi i uśmiechnęła się do niego. Gray westchnął, odwiązał ręcznik i rzucił go na podłogę.

Praca mężczyzny nigdy się nie kończy...

Epilog

23 października, godz. 23. 55

Waszyngton

Painter szedł po schodach prowadzących do siedziby dowództwa Sigmy. Brakowało tylko kilku minut do północy – nie był to najlepszy czas na wizytę w kostnicy.

Przesyłka przybyła jednak dopiero godzinę temu i trzeba było szybko zrobić to, co należało. Potem wszystkie dowody zostaną zniszczone.

Naczelnny patolog Sigmy, doktor Malcolm Reynolds, czekał już na niego i natychmiast wprowadził go do środka.

–Ciało jest już przygotowane – powiedział.

Painter przeszedł za nim do sąsiedniego pomieszczenia. Natychmiast poczuł nieprzyjemny zapach – przypominał zapach gotowanego mięsa, które się zepsuło. Na stole leżało przykryte prześcieradłem ciało. Obok na specjalnym wózku stała trumna. Doktor Reynolds sam złamał dyplomatyczną pieczęć, którą była zabezpieczona.

Painter musiał stanąć na głowie, aby zabrać zwłoki doktora Boyle'a z Francji i przewieźć je do Waszyngtonu na fałszywych papierach.

–Nie wygląda zbyt przyjemnie – ostrzegł go patolog. – Zanim ktoś wpadł na pomysł, aby je wydobyć z tych podziemi, przypiekało się przez kilka godzin.

Painter odrzucił róg prześcieradła i odsłonił ciało doktora Wallace'a Boyle'a. Jego twarz była z jednej strony poczerniała, a z drugiej ciemnoczerwona. Prawdopodobnie zwęglona połowa zwłok leżała na rozżarzonej ceglanej podłodze.

–Przekręćmy go na brzuch – powiedział do Reynoldsa.

Kiedy to zrobili, uważnie przyjrzał się ciału.

–Potrzebuję czegoś do ogolenia mu głowy – oświadczył.

Reynolds zniknął na zapleczu.

Czekając na niego, Painter wpatrywał się w wychudzone ciało. Wallace powiedział, że jest członkiem Eszelonu, a według Seichan tak właśnie nazwali siebie przywódcy Gildii. Ale i ona opierała swoje przypuszczenia jedynie na historii, którą kiedyś słyszała.

Po chwili wrócił Reynolds z elektryczną maszynką do strzyżenia i jednorazową maszynką do

golenia. Painter najpierw wystrzygł włosy na potylicy Wallace'a, a potem wygolił skórę.

Po kilku pociągnięciach maszynki na głowie doktora ukazał się niewielki tatuaż o średnicy dwóch centymetrów. Przedstawiał narzędzia murarskie: cyrkiel skrzyżowany z węgielnicą.



Był to symbol wolnomularstwa, międzynarodowego bractwa – ale w środku znajdowało się coś, czego jeszcze nigdy nie widział.

W znaku masonów węgielnicą i cyrkiel otaczały literę G, symbolizującą Boga albo Geometrię. Czasami litera ta oznaczała Gildię.

Painter wiedział, że terrorystyczna organizacja, do której należała Seichan, nie ma nazwy, choć wszyscy, którzy wiedzieli o jej istnieniu, nazywali ją „Gildią” – czyżby źródłem tej nazwy był właśnie ten symbol?

Przyjrzał się tatuażowi. W rombie wyznaczonym przez cyrkiel i węgielnicę umieszczono półksiężyc i gwiazdę. Ludzie, z którymi związał się Wallace Boyle, na pewno nie byli masonami.

–Spal ciało – powiedział po chwili do Reynoldsa.

Wiedział już prawie wszystko, co chciał wiedzieć.

Nie chciał jednak, aby ktokolwiek inny się tego dowiedział. Brakowało mu jeszcze wielu informacji o byłych zleceniodawcach Seichan, ale właśnie dołożył do układanki dwa kolejne fragmenty – nazwę Eszelon i dziwny symbol.

Na razie musiało to wystarczyć, choć sprawa nie była jeszcze zakończona.

–Co to oznacza? – spytał Reynolds, kiedy Painter skierował się do wyjścia.

–Chyba to, że czeka nas wojna.

Od autora do Czytelników: prawda czy fikcja?

Wszystko w tej książce jest prawdą – poza tym, co nią nie jest. Historia, którą przedstawiłem, narodziła się dzięki dwóm elementom. Natknąłem się na nie całkiem przypadkowo, ale wiem, że musi być między nimi jakiś związek i Sigma powinna go zbadać.

Historia celtyckiego krzyża. Jej analiza wskazuje, że w starożytności rzeczywiście mógł być używany jako instrument nawigacyjny. Wiele informacji na ten temat znajduje się w fascynującej książce *The Golden Thread of Time* autorstwa Crichtona Millera.

Historia neolitycznej Anglii. Zawarte w tej książce szczegóły dotyczące tworzenia przez Egipcjan kolonii w Anglii są zgodne z prawdą. Jeśli ktoś chce dokładniej poznać ten temat, proponuję mu przeczytanie książki *Kingdom of the Ark* Lorraine Evans. Opis żyjących w Irlandii legendarnych plemion Fomorian o ciemnej skórze i ogromnej wiedzy na temat rolnictwa, z którymi zetknęli się Celtowie, mógłby pasować do zaginionego egipskiego plemienia.

Starożytne symbole. W powieści przedstawionych zostało wiele symboli, przez śmiecia przemienianych i zyskujących nowe znaczenie – włącznie z krzyżem konsekracyjnym w średniowiecznych kościołach.

Święci. Jak już zostało wspomniane na początku książki, Malachiasz był irlandzkim świętym z dwunastego wieku, któremu przypisuje się liczne cudowne uzdrowienia oraz przepowiednię dotyczącą papieży. Rzeczywiście został pochowany w opactwie Clairvaux, którego ruiny znajdują się obecnie na terenie więzienia o zaostrożonym rygorze, założonego przez Napoleona. Raz w tygodniu organizowane są tam wycieczki, a bilet kosztuje dwa euro. Informacje dotyczące życia świętego Bernarda (Cud Laktacyjny, jego związki z templariuszami i zaangażowanie w kult Czarnej Madonny) są faktami historycznymi. Gdyby ktoś chciał dowiedzieć się czegoś więcej o celtyckich świętych i kulturze celtyckiej, polecam

lekturę książki *Jak Irlandczycy ocalili cywilizację* Thomasa Cahilla oraz *The Quest for the Celtic Key* Karen Rails-MacLeod i Iana Robertsona.

Przepowiednia świętego Malachiasza:

a. Papież Paweł VI (1963 – 1978) jest określony jako Flos Florum, czyli „kwiat kwiatów”. Na jego herbie były trzy kwiaty lilii.

b. Papież Jan Paweł I (sierpień – wrzesień 1978) został przez Malachiasza określony jako De medietate Lunae, czyli „z połowy księżyca”. Wybrano go dzień po tym, jak księżyc wszedł w ostatnią kwadrę, i panował niewiele ponad miesiąc, a więc umarł dzień przed „połową” księżyca.

c. Papież Jan Paweł II (1978 – 2005), określony jako De labore Solis, co oznacza „z pracy Słońca”, urodził się w dniu jego zaćmienia.

d. Papież Benedykt XVI (2005) otrzymał określenie Gloria Olivae, czyli „chwała oliwki”. Jednym z symboli zakonu benedyktynów, od którego wziął swoje imię, jest gałązka oliwna.

e. Ostatni papież, który będzie świadkiem końca świata, ma nosić imię Petrus Romanus. Dotyczący go łaciński opis jest najdłuższy.

In persecutione extrema S. R. E. sedebit Petrus Romanus, qui pascet oves in multis tribulationibus: quibus transactis civitas septicollis diruetur, et Iudex tremendus iudicabit populum. Finis.

Oznacza to:

W czasie najgorszego prześladowania świętego Kościoła Rzymskiego na tronie zasiądzie Piotr Rzymianin, który będzie paść swe owce wśród wielu cierpień, a potem Miasto Siedmiu Wzgórz zostanie zniszczone i straszny Sędzia osądzi swój lud. Koniec.

Jednak tak jak monsignore Verona powiedział Grayowi, w odróżnieniu od wszystkich swoich poprzedników ostami papież nie jest opatrzony numerem. Niektórzy

interpretują to jako możliwość pojawienia się między nim a ostatnim papieżem jeszcze kilku innych. Czas pokaże, jaka jest prawda.

No i grzesznicy.

a. Biopaliwa. Ilość kukurydzy, jaką trzeba przerobić, aby zapełnić paliwem zbiornik SUY-a, rzeczywiście wystarczyłaby do wykarmienia przez rok jednego człowieka. Ekonomiści uważają też, że przejście z uprawiania roślin wykorzystywanych jako pożywienie na uprawianie roślin służących do wyrobu paliw spowodowałoby gwałtowny wzrost cen żywności.

b. Genetycznie modyfikowana żywność. O tego rodzaju żywności napisano już tomy – zarówno pro, jak i contra. Jeśli chodzi o bardziej niepokojącą lekturę na ten temat, polecam dwie książki. A jeżeli kogoś interesują przepisy obowiązujące w tej branży, powinien przeczytać Nasiona kłamstwa Jeffrey M. Smitha. Jeśli chodzi o inne ponure aspekty tej sprawy, najbardziej przerażała mnie Seeds of Destruction F. Williama Engdahla (a zwłaszcza materiał siewny zawierający środki antykoncepcyjne, o czym wspomniałem w tej książce).

c. Pszczoły. Czy wiemy, co zabija pszczoły? Według Michaela Schackera, autora dobrze udokumentowanej książki *A Spring without Bees*, istnieje odpowiedź na to pytanie, lecz próbowano ją zignorować. To, że francuskie pszczoły wracają do swoich uli, jest prawdą.

d. Broń. Bohaterowie mojej powieści używają w walce noży WASP, głowic termobarycznych i kinetycznych kul ogniowych. Wszystkie te rodzaje broni rzeczywiście istnieją.

Nadmiar ludności. Klub Rzymski także istnieje i wykonuje mnóstwo dobrej roboty. Sporządzony przez jego członków w 1972 roku raport pod tytułem *Granice wzrostu* to scenariusz zagłady, przedstawiony w tej książce przez Ivara Karlsena. Jeżeli nie podejmie się żadnych działań, świat nadal będzie dążył do samozniszczenia.

„Księga Dnia Sądu Ostatecznego”. Jak zostało wspomniane we wstępie, jest to dzieło historyczne. Niektóre wpisy rzeczywiście są zaopatrzone tajemniczym dopiskiem „spustoszone”. Księgę sporządzono w czasach nieustannych tarć między chrześcijanami a

poganami – zwłaszcza na pograniczu.

Lokalizacje, lokalizacje, lokalizacje. Większość miejsc opisanych w tej książce jest prawdziwa – prawdziwe są także związane z nimi opowieści.

a. Forteca Akershus znajduje się na skraju portu w Oslo. Prawdą jest, że wykonywano w niej egzekucje – w tym także egzekucję mincerza Henrika Christofera Meyera, którego skazano na chłostę i dożywotnie więzienie za popełnione przez niego przestępstwa, a przedtem na rozkaz króla wypalono mu na czole znak zdrady – monetą, którą sfalszował.

b. Skarbiec nasion na Svalbardzie istnieje naprawdę i zyskał sobie przydomek „Skarbca Dnia Sądu Ostatecznego”. Wszystkie szczegóły dotyczące jego konstrukcji i zabezpieczeń również są zgodne z prawdą – łącznie z tym, że jednym z jego systemów obronnych są niedźwiedzie polarne.

c. Wyspa Bardsey to rzeczywiście Avalon. Wszystkie związane z nią opowieści i legendy są prawdziwe – w tym także opowieść o grobie Merlina, krypcie lorda Newbdrough i dwudziestu tysiącach pochowanych tam świętych. Jabłoń z wyspy Bardsey nadal rodzi owoce, można też kupić tam sadzonki tego prastarego drzewa. Jeśli zaś chodzi o nękające wyspę niebezpieczne prądy morskie – to również jest prawdą! Wybierzcie się więc na nią w pogodny dzień.

d. Kraina Jezior w Anglii to przepiękne miejsce, jest tam mnóstwo kamiennych kręgów i oczywiście to właśnie stamtąd pochodzą kuce Fell. Jest tam też mnóstwo torfowisk, choć żadne z nich nie jest aż tak bardzo zagrożone ogniem jak to, które zostało opisane w książce. Znane są jednak opisy podziemnych pożarów, które trwały przez wiele stuleci i nie gasły nawet zimą. Do dziś używa się torfu w produkcji szkockiej whisky, ale to całkiem inna historia. Wydobyte z torfu mumie też są prawdziwe. Prawdziwy jest także sklep w Hawkshead, w którym sprzedaje się pluszowe niedźwiadki.

Wybierzcie się tam, aby kupić misia Kowalskiemu... chyba sobie na niego zasłużył.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/